B. BOLESŁAWITA

(J. I. Kraszewski)

TUŁACZE

OPOWIADANIA
HISTORYCZNE

1912

TUŁACZE.

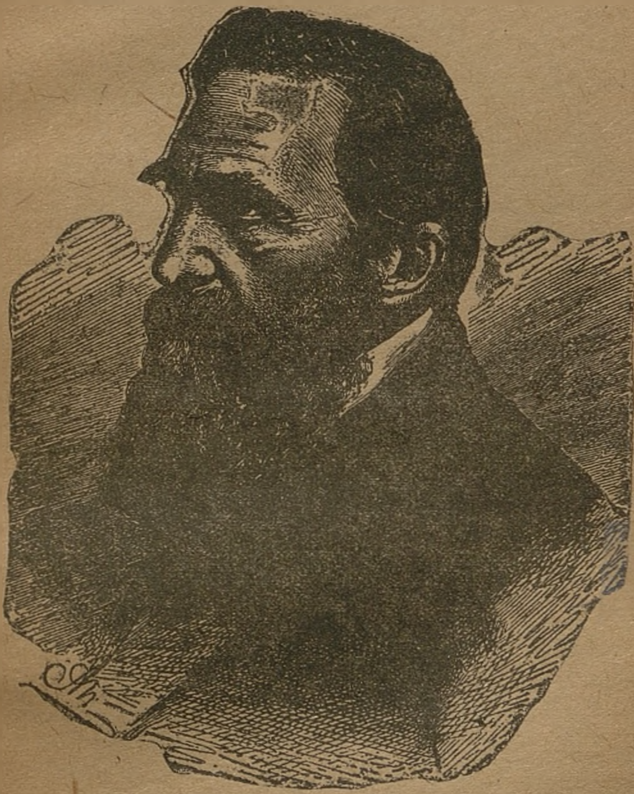
Opowiadania historyczne.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

1912.

Toledo Ohio A.A. Pawpski



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI.

Pierwotnie w 3-ch tomach; Poznań 1868 r. 10

Kto był Kraszewski.

"A czy znasz ty bracie młody
Te pokrewne twoje rody?"...

Dnia 10-go marca roku 1887-go telegramy rozniosły wieść o śmierci Kraszewskiego. Choć był człowiekiem sędziwym, bo 75 lat żywota przebył, choć przerwania nici tego żywota spodziewał się naród, bo i ciężka choroba i los trudny a pełen strasznych przejść obarczały sędziwe, pracowite barki zmarłego—jednakże na wieść o śmierci Kraszewskiego jęknął naród bólem wielkim, że oto zmarł mocarz niezrównany — mocarz talentu, mocarz ducha obywatelskiego i pracy niepospolitej, mocarz pióra, którem przez lat kilkadziesiąt życia swego wsączał, wszczepiał w naród zasady i idee zdrowia i siły nowego życia.

Bólem tedy jęknął naród po stracie człowieka wielkiej zasługi przez to, co za życia zrobił, i człowieka wielkiej miary, który mógł i pragnął jeszcze tworzyć dla dobra i pożytku narodu.

Józef Ignacy Kraszewski urodził się w Warszawie w dniu 2-m lipca r. 1812-go.

Był to rok niepospolity, rok wojen Napoleona na ziemi naszej i w Rosyi.

Konie, ludzie, armaty, orły—dniem i nocą
Płyną. Na niebie gorzą tu i owdzie łuny.
Ziemia drży, słychać—biją stronami pioruny.
Wojna! wojna! Nie było na Litwie kąta ziemi,
Gdzieby jej huk nie doszedł. Pomiędzy ciemnemi
Puszczami chłop, którego dziady i rodzice
Pomarli, nie wyjrzwszy za lasu granice;
Który innych na niebie nie rozumiał krzyków
Prócz wichrów, a na ziemi, prócz bestyi ryków,
Gości innych nie widział, oprócz spółleśników,
Teraz widzi: na niebie dziwna łuna pała
W puszczy łoskot—to kula od jakiegoś działa,
Zbłądziwszy z pola bitwy, dróg w lesie szukała,
Rwąc pnie i siekąc gałęzie...

Tak w pamiętnym roku 1812-ym było na Litwie, skąd się Jan Kraszewski z żoną, spodziewającą się potomka, sprowadza do bezpieczniejszej Warszawy.

Tym zbiegiem okoliczności Józef Ignacy Kraszewski urodził się w Warszawie, choć ojciec jego siedział na wiosce swojej w gubernii grodzieńskiej.

Dziecko, później chłopię, pięknie rosło pod opieką troskliwej matki, a gdy lata odpowiednie przyszły, oddano go do szkół w Białej podlaskiej, potem w Lublinie i w Świsłoczy. A od dziecka okazywał zdolności niemałe:

"marzył na przemiany o nauce, o sztuce i o sławie i miał już jakieś przeczucie powołania." Za pióro też często chwytał, by zlewać na papier, co się w duszy jego układało myślą o tem, co się dokoła niego działo lub czegoby pragnął.

A czasy to były dla narodu naszego niezwykłe. Po klęskach rozbioru Polski, po wojnach Napoleona, po utworzeniu przez Kongres Wiedeński dzisiejszego Królestwa Polskiego, co najlepsi w narodzie nie ustawali w myśleniu lub pracy, by podźwignąć kraj i siłę narodu w ciężkiem położeniu przywrócić.

Józef Ignacy Kraszewski, natura wrażliwa i rwąca się do pracy, do sławy, w przeczuciu powołania swego przejmował się wszystkiem, pilnie słuchał, uczył się a myślał, czego potrzeba, by się naród odrodził.

Potem wysłał ojciec Józefa do akademii w Wilnie. Tu wielu kolegów jego o materyalnych wygodach myślało, w głowie zaś Józefa wciąż się snuły marzenia, jak się ma stać pożytecznym narodowi swemu. Zaczął pisać drobne utwory, które się ogólnie podobały; to go zachęcało i szedł wciąż dalej na obranej drodze.

W owym czasie tak w narodzie naszym było, że po dworach i dworkach naszych kalendarz był jedyną książką do czytania, całą książkową mądrością ludzi. Chyba gdzie kto garnął się do czytania, do poznawania utworów ducha ludzkiego, to czytał utwory zagraniczne, przeważnie francuskie; czytano je chciwie, rozprawiano wiele, ale utworów swojskich było wtedy mało. Nie było tych utworów, któreby polskie życie w przystępny a ponętny sposób omawiały, wady tego życia okazywały i drogę do lepszego wskazywały. Pierwsze powieściowe utwory Józefa braki te odrazu poczęły zastępować i dlatego oczy wszystkich zwróciły się na młodego pisarza.

Pisał do najpoważniejszych czasopism polskich w Petersburgu, w Wilnie i Warszawie; pisał różne opowiadania, powieści obyczajowe, w których smagał zło, a podnosił dobro, i powieści społeczne.

Po rewolucyi roku 1830-go, a zwłaszcza w następnem dziesięcioleciu, życie umysłowe ogromnie się w Polsce ożywiło. Powstało kilka pism, wydawano książki, a Kraszewski zawsze był pośród pierwszych. Siedział wtedy jeszcze na roli, w Gródku; gospodarował, ale zawsze pisał, pobudzając ogół swemi pracami do myślenia.

Czas to był żywotny nietylko na polu pisarskiem. Wszędzie zabiegano około rozwinięcia przemysłu i postawienia na nowej stopie rolnictwa; rozprawiano i pisano dużo w sprawie włościańskiej. Kraszewski we wszystkich pracach przyjmował żywy udział, we wszystkich zabierał głos, a sprawie włościańskiej poświęcił nawet kilkanaście bardzo pięknych powieści, jak "Historya kołka w płocie," "Ładowa pieczara," "Ulana," "Ostap Bondarczuk," "Budnik," "Jaryna," "Latarnia czarnoksiężka" i wiele innych.

Sprawa włościańska w owym czasie była bardzo żywotną. Pisano o niej niemało. U nas w Królestwie nieraz w obszernych księgach, naprz. Krzysztopora, rozważano potrzebę zniesienia pańszczyzny i oczynszowania włościan. Ci i owi z pomiędzy społeczników ówczesnych wskazywali na szkodę narodową i niebezpieczeństwo nawet z powodu, że znakomita większość szlachty dla widoków sobkowskich nie czyniła tego, co z uwagi na dobro i siłę narodu trzeba było uczynić corychlej— pańszczyznę w jakibądź sposób znieść. Niestety, ten rozum społeczny i narodowy owładnął wówczas zaledwie jednostki.

Włościanin tedy był przymocowany do ziemi, zależał we wszystkiem od dziedzica, a więcej jeszcze od jego rządców i ekonomów. Na zachodzie Europy, po rewolucyi francuskiej już się to zmieniło; u nas stary obyczaj wszechwładnie panował chłop, jego żona, córka były własnością dworu i częstokroć korzystał on z tego w sposób nieludzki.

Wrażliwa dusza Kraszewskiego przeczuwala, że musi się to skończyć; rozumiał on, że skończyć się to powinno było raz, że co nieludzkie musi upaść, a powtóre, że położenie narodu naszego wymagało, by wszystkich podnieść do równości i obywatelstwa; czas było zaprzestać krzywd na większości narodu, i uczynić narodem działającym dla obrony i wzmocnienia siebie.

Gniewano się nieraz na Kraszewskiego że kurną chatę chłopską wprowadza do salonu pańskiego, że każe o doli chłopskiej czytać książki ciekawe, rozpalające, przedstawiające tego chłopa, jako "bryłę ziemną, w której częstokroć żywe złoto duszy, uczucia i serca tkwiło" i... ze stratą dla narodu marnowało się.

W powieści "Historya kołka w płocie" w przenośni wypowiedział to, co myślał.

Wśród ruin zniszczonego lasu wyrasta gdzieś z korzenia starego dębu młody dębczak zaniedbany; swoją naturą silną walczy o byt z chwastami i innemi drzewami, chcącymi go zagłuszyć i zniszczyć. Już znaczny ponad inne, wystrzeliwa coraz śmielszą koroną i szepce coś miłośnie z sąsiednią sośninką; zostaw mu tylko swobodę wzrostu a stanie się królem, podziwem gaju. Ale nie! Kiedy dębczak ukazał zaledwie swe silne i bujne kształty, ludziom właśnie nieopodal zawalił się płot i trzeba go było naprawić; ku temu wielce przydać się mogły młode łodygi, wyrastające na bezużytecznym zrębie. I tak dąbczak ów, uznany za wielce dogodny dla wygody właściciela płotu, padł pod siekierą i z domniemanego króla gaju, poszedł gnić, jako kołek w płocie.

Tak Kraszewski głosił potrzebę zrównania ludzi, wydobycie z poniżenia ludu, dla którego jeno była "niewola, praca i hańba." Tłomaczył, że w tym ludzie dębczaki są, co podziwem gaju—

kraju mogłyby być, a wyrywają je i na kołki w płotach używają.

Piękne, szlachetne charaktery ludu przedstawiał w swych powieściach, ażeby tem wstydzić tych, którzy je poniewierają Nie schlebia chłopu; wskazuje tylko na jego naturę, w gruncie uczciwą lub zachwaszczoną nieprawościami, tak hojną zewsząd sypanemi ręką.

"Nie śmiejcie się—pisał— z zepsucia w niższych klasach; wy je tu sami robicie."

"Dziwicie się wieśniakowi, że czasem zepsuty, popełni występek; dziwujcie się raczej jego cnocie. Czy ma on oświecenie? czy ma czas zastanowienia się nad sobą? czy ma obmyślany chleb na jutro? Ciężka, ciężka jego dola! A kto jej ulżyć się nie stara, ten wiele winien przed Bogiem i przed ludźmi Za zbrodnie wielu poddanych karaćby panów potrzeba, i Bóg sprawiedliwy wymierzy każdemu według zasług jego."

Wiele i bardzo pięknych, pobudzających do myślenia powieści, traktujących sprawę włościan pisał Kraszewski pomiędzy rokim 1856-ym a 1860-tym. Ciężkie krzywdy ludu stawił przed oczy swych czytelników, smagał krzywdzicieli, wołał o sprawiedliwość... Ale... oto przyjaciel i rówieśnik wielkiego pisarza Kajetan Kaszewski pisze, iż pomimo, że powieści te były chciwie czytane, jednak wołania ich były grochem na ścianę. I nie byłoby go co zbierać, gdyby... się już sama ściana nie przewalała...

Kraszewski ówczesną klasę wyższą wzywał do opamiętania w powieściach swoich, i w tym samym duchu przemawiał na zgromadzeniach obywateli ziemskich na Wołyniu, bo i sam nim jeszcze był podówczas. Niestety, szczery i mądry głos jego został tu przyjęty z oburzeniem; "na trzystu obradujących tylko dwa głosy oświadczyły się za nim: zięć Łoziński i Dunin. Nauka pisarza poszla w las, a dzieje poszły drogą Nemezis dziejowej."

Kraszewski po tym fakcie sprzedał zaraz majątek i opuścił towarzystwo wiejskie, a przeniósł się do Warszawy, gdzie objął stanowisko redaktora "Gazety Codziennej." Był to rok 1860-ty; w narodzie wszystko wrzało. Zanosiło się na wielkie wypadki. Jakoż zostały one wywołane, krew polała się na ulicach Warszawy. Przez Petersburg naczelnikiem rządu Królestwa mianowany został Wielopolski, człowiek żelaznej ręki nieugięty, za zasługę sobie poczytujący iść wbrew woli narodu, wbrew opinii. Surowemi zarządzaniami, więzieniem, branką w rekruta chciał wywołać postrach i posłuszeństwo, a wywołał rozpacz i zawziętość.

Kraszewski należał wówczas do ludzi umiarkowanych, którzy, jako Delegacya obywatelska, traktowali z władzami i zabiegali, by przywrócić spokój i samodzielność kraju. W "Gazecie Codziennej" radził on, pouczał, a czasem Wielopolskiemu doradzał, że... trzeba się liczyć z opinią społeczeństwa, iść

z nią, nie przeciw niej, w dodatku brutalnie.

Za to postarał się Wielopolski, że Kraszewskiemu rząd nakazał opuścić kraj. I wyjechał on z niego, udając się do Drezna, stolicy Saksonii; odtąd też aż do śmierci przebywał na obczyźnie marząc tylko o kraju swoim i pracując dla narodu.

W charakterze Kraszewskiego leżało pracować bez wytchnienia. Za młodu marzył, żeby choć ze dwieście książek napisać, a on przez życie swoje napisał około tysiąca tomów powieści i dzieł historycznych.

A nie były to pisma "z palca wyssane," lub z wyobraźni tylko zaczerpnięte. Dla wielu z nich, dla wszystkich niemal, musiał przeczytać mnóstwo ksiąg, starych dokumentów, musiał badać życie dworów i ludzi każdego panowania, każdej epoki, każdego wieku. Zanim napisał piękną powieść "Rzym za Nerona" sam pojechał do Rzymu i tam badał, wczytywał się w dzieje pierwszych chrześcian, prześladowania i męki, w obyczaje klas panujących upadającego i rozkładającego się już państwa rzymskiego.

Sławę jednak i zasługę wielką zyskał Kraszewski swemi dziełami, a zwłaszcza powieściami historycznemi, z dziejów naszego narodu. Temi pracami swemi wprost całe pokolenia uczył on historyi, zachęcał do poznawania jej, podnosił, co godne było czci, a potępiał co na potępienie zasługiwało, ażeby to samo umieli czynić czytający i tak się przygotowywali do działania z pożytkiem narodu.

W przepięknej powieści "Stara Baśń" dał wspaniały obraz owych zaczątków dziejowych narodu naszego, kiedy to kmiecie na wiecach swoich rządy kraju sprawowali; wodzów swoich obierali, wrogów narodu wypędzali, a moc jego mądrze gruntowali przez oddanie królowania swoim najlepszym, najuczciwszym—kmieciom, Piastowi. Ten czas prapolskiego kmiecego samorządu najbardziej widocznie przypadał do serca Kraszewskiego, bo cały swój talent i mistrzowstwo pisarskie wylał w "Starej Baśni," że aż arcydziełem została.

A w dalszych powieściach historycznych zawsze z boleścią wypowiadał, gdy musiał przedstawiać, jak rosnący w potęgę możnowładcy ujarzmiali stan kmiecy. W powieści "Kraków za Łokietka" z miłością przypominał czytelnikom, jak chłopi z pod Ojcowa dobrego a mądrego króla Łokietka chronili przed wrogami, jak mu kobiety wiejskie przynosiły żywność do jaskini Ojcowskiej, gdzie się schronił przed nieprzyjaciołmi swoimi i kraju.

A później w powieści "Król Chłopków" już potępieniem i nawet zemstą gotówby odpłacać możnowładcom za to, że wbrew woli szlachetnego przyjaciela ludu Kazimierza Wielkiego i z krzywdą kmieci ujarzmiali ich i w poddaństwo srogie, nieludzkie brali.

Niewiele jest historycznych powieści Kraszewskiego, w których

by jasnę, piękne malował barwy; w większości ich przedstawił ludzi i wypadki, jakiemi były; bolał zwłaszcza, gdy za Sasów rozlala się po kraju rozpusta u możnych a niedola wśród ludu. I jakby zamknął ten smutny obraz dziejów trzytomowem dziełem; "Polska w czasie trzech rozbiorów." Jakiem było życie ostatnich czasów, takim był koniec Rzeczypospolitej. W tem dziele swojem Kraszewski nie szczędził słów prawdy; zdrajców, którzy za podarunki w pieniądzach, pierścieniach i tabakierkach ozdobnych, bo nie kosztownych, lub za łaskę obcych, nazwał po imieniu: i król, i magnaci, i biskupi jak: Poniatowski, Kossakowski i Massalski otrzymali tu wspomnienia, na jakie za przedajność swoją i rozpustę zasłużyli.

*

* *

W roku 1879-ym w Krakowie odbyła się wspaniała uroczystość jubileuszu Kraszewskiego. Z całej Polski, z Ameryki, a nawet z Australii, przybyło do Krakowa 12 tysięcy gości, a 120-u delegatów składało Jubilatowi wieńce, hołdy i życzenia. Wszystkie warstwy społeczeństwa zjednoczyły się razem, aby wyrazić wdzięczność olbrzymowi pracy, który kilka pokoleń przyzwyczajał do czytania, który uczył szukać w książce stałego, niezbędnego towarzysza.

"Mnie chodziło o to—mówił—abym pismami swemi, przykładem, wołaniem, biciem w dzwon i t. d. poszerzył, rozruszał, zachęcił do działania i myślenia. Oto mój cel, moja sława—sława pobudziciela. Pragnę tylko, aby kiedyś powiedziano o mnie, żem się książkami memi przyczynił do obudzenia ruchu umysłowego za moich czasów."

I tego dokonał, choć wołania jego najczęściej odbijały się od duszy ogółu, jak groch rzucony na ścianę.

*

* *

Na jubileuszu swym w Krakowie spotkał się Kraszewski z chłopem, Maciejem Szarkiem—nie takim, jakiego znał z zarania swego życia — pańszczyźnianym niewolnym, hańbionym. Maciej Szarek ze wsi Brzegów w Galicyi, chłop z czasów pańszczyźnianych, ale już wolny i bodaj już nie ten dębczak, co mu jeno gnić w płocie, ale obywatel, który niemało przeczytał i niejedno sam zrobił, żeby moc w narodzie swym pomnożyć. Pisywał do gazet, układał piękne wiersze, któremi zagrzewał do miłości Ojczyzny i pracy dla niej.

Na jubileusz Kraszewskiego Szarek wydrukował do niego wiersz.

"Chocaż jestem chłopem, pługiem ziemię orzę,
Składam Ci życzenia, jak me serce może.
Ach, panie i ojcze nas prostaczków na wsi,
Z twych dzieł my poznali, czem przodkowie nasi
Byli na tej ziemi, która Polską zwana,
Dziś nam jest na części przez rozbiór stargana.
. . . .
Czem Cię mamy uczcić, ziomku nasz i panie?
Tylko dobrem sercem, bośmy w biednym stanie.
Kiedy Ameryka śle Ci uścisk bratni,
Włościanin polski nie śmie być ostatni.

Kraszewski zaprosił Szarka na swój jubileusz.

"Niech się Maciej przeciśnie —prosił go— przez szpaler do Sukiennic i stanie w bramie, żebym go widział, a zabiorę Was z sobą na trybunę, żeby wszyscy widzieli, że gość w sukmanie jest dla mnie najmilszym gościem, żeby pouczyć niektórych z naszej magnateryi, ażeby nie pogardzali włościaninem i nie odosobniali go od spraw krajowych i narodowych.

Ale Szarek nie został dopuszczony do Sukiennic. "Nasz Maciej — pisze o tem Bojko — miał już wtedy rozum i ambicyę; toż widząc, jak na uczcie możni otoczyli Jubilata, a chłopstwo musiało wartować zdaleka, odczuł to głęboko i napisał do komitetu jubileuszowego taki wiersz.

SZANOWNY KOMITECIE!

Wielki żal serca przejmuje nam na wsi,
Że nas w tyle zostawili starsi bracia nasi
Podczas uczty Kraszewskiego o nas zapomniano,
Widać, że o stan rolnika bynajmniej [nie dbano.
Pan Kraszewski w dziełach swoich nie [robi różnicy
Tak dla tego, co w surducie, jak i w płóciennicy,
Dla wszystkich ma jedno serce, co tylko polskiego
Tak do mieszczan, jak do szlachty i ludu polskiego,
Są nam chłopkom dobrze znane chęci [Kraszewskiego,
Pragnęliśmy uczcić ziomka, bo jest go- [dzien tego,
Lecz nas, włościan, nie puścili, żeśmy to prostacy;
Nie umiemy czytać, pisać — nie są my Polacy!
Taka u nas bratnia miłość — można ją pochwalić!
Gdzie pan, to pan, ale chłopek, do tego niema nic.
Zasię chłopu od tej sprawy, niechaj patrzy pługa
Jak go kiedy kraj powoła, tam jego usługa....
Oj, szanowny komitecie pana Kraszewskiego!
Zapóźno to chłopa bratać, gdy potrzeba jego,
Zawczasu chłopu dłoń podaj, a rzeknij mu: bracie!...

Maciej Szarek

*

* *

Jęknął naród boleścią, gdy wieko trumny zawarło zwłoki dzielnego, pracowitego, pobudzającego do myśli i czynów pisarza wielkiej miary.

Za Konopnicką mówiliśmy wtedy.

Kto cię z nas nie znał? Któ cię nie miłował?
Kto duchem twoim, jako chlebem nie żył?
. . . .
Ty, jak pelikan, upadłszy na gniazdo,
Głodne i słabe karmiłeś pisklęta,
A pierś twa była miłośnie rozdęta
I krwi świecąca rubinem—jak gwiazdą!

A zaś pojrzawszy na rzesze te ludu,
Co szły za tobą łaknące, ażeby
Słąwę twą słyszeć, zdobyłeś moc cudu
I rozmnożyłeś duchowe swe chleby.
. . . .
Jeszcze się złamków na przyszłość zostało
Dla tych, co rzesze powiodą po tobie.

Ty, jak czarodziej, budziłeś po drodze
Wrzenie mar wdzięcznych, co groby oplata.
Sadzałeś na koń pachołki i wodze,
A chłopa brałeś w ramiona, jak brata.

A tak zostanie to między żywymi
Miejsce—po tobie umarłym—nie wzięte.
I pokoleniom, co przejdą po ziemi,
Jak praojcowie—tak drogie a święte...

Przez lat 58, od zarania dni swoich aż do ostatniego tchnienia pracował ustawicznie i to coraz usilniej, tak, że po 10 i więcej książek do roku pisał. Pracował i cierpiał dla społeczeństwa swego.

W setną rocznicę urodzin tego męża niepospolitej dla narodu zasługi z liściem wawrzynu idźmy na grób jego na Skałce w Krakowie i cześć mu w duchu oddajmy.

M. Malinowski.

KSIĘGA I.

1771.

Stary dwór — stary dwór — kto pamięta to gniazdo orle, które się dawniej zwało szlacheckim dworem polskim, a z którego źli ludzie i złe duchy uczyniły nierządu gniazdo i plamę na białej szacie męczennicy?

W sen to przeszło, w ideał, w powieść, którą u komina stary dziaduś opowiada, a wnuczęta zasłuchane dumają, w duszy myśląc, że im może bajki prawi.

Przecież nie bajki jest jasna przeszłość, która w oczach naszych powoli konając, umarła.

I wieczny jej spoczynek w grobie, laurami i palmami obwieszonym — choćby go szatani i karły błotem obrzucać mieli.

Kto pamięta ów stary dwór i owych starych ludzi, co chodzili w żelazie, a karmili się chlebem razowym i nie pili nic, jeno wodę? A mieli oręże, które ludzi płatały na pół, i pokorę, co ich nad anioły wywyższała.

Wy — znacie tylko z przeszłości Polski jej grzechy i zmazy, a oczy wasze krecie nie mogą dopełnić jej wielkości.

I dziejopisarze wasi są malarzami brodawek na obliczu matki, a nie natchnionymi jej syny, co obraz odmłodzony, dziewiczy, noszą na piersi dziecięcej.

Kto zna tę jasną przeszłość naszą? Śmieją się szydersko, ukazując poszarpaną jej podszewkę — nie była ona nigdy szatą — a szata tkaną była z purpury i złota... z poświęcenia i cnoty.

Od najlepszych czasów — plemię bohaterów, co chodzili w żelazie i na wskroś zżeleźnieli, trwało aż do czasów najgorszych, dożyło do progu dni naszych.

W progu dopiero skonał ostatni, rozdarłszy sam pierś, której kule nie chciały. A pogrzebiono go szyderstwami i potwarzą.

Pasmo wielkich mężów od Bolesławów ciągnęło się do panowania niemieckiego, które spoiło naród na heloty i wydało go w ręce obce, nim się wytrzeźwił.

Nie było przerwy nigdy, aż do dni ostatnich, ale było zaćmienie oczów krecich, które nic widzieć nie chciały i nie mogły.

Zdało się, jakoby cnota zmalała, a żyła pokryta żałobą i zawstydzona — i w grobie żyje, aby z niego powstała.

Nie umarła też wieść o mężach z cnoty i stali, choć wnuki, jako dzieci Egiptu, do ojców wielkich przyznać się nie śmieją, patrząc na gmachy przez nich wzniesione, i zapierają się dziadowskiej wielkości, mówiąc: — To duchy wzniosły. Duchy olbrzymów siedzą u Bolesławowskiego stołu w pieczarze — i czekają słońca, aby zeń wyszły — na świat lepszy.

Patrzcie no, oto tam na dolinie, wśród pagórków i lasów otulony, posępny jak klasztor, krzyżami obłogosławiony, jak świątynia, śpi stary dwór szlachecki, co najdawniejsze dzieje pamięta.

Wzniósł on się na gruzach grodu i rozzieleniał sadami na wałach i po za wały; a dokoła przytulił do siebie sioła i wsie. i osady, aby im ojcowsko przewodził.

Inne to były czasy — tak — inne — aby zrozumieć je, Boga mieć w sercu potrzeba, nie ludzką rachubę. Tam wszystko było na cnotę obliczone, na wiarę, na poczciwość, na ludzi wielkich rozmiarów. Oddawała im ojczyzna w ręce drugich ludzi, bo wiedziała, że przycisną ich do serca, jako braci — i prawa mogło wówczas nie być, bo była cnota.

Stało ono wypisane w niebiosach, nie w księgach.

Gdy zabrakło cnoty, co spajała, budowa niezwiązana musiała runąć.

A nie prawa złe były — ale ludzie do nich nie dorośli. Maleli, aż z posłańców Bożych stali się kupcami potu ludzkiego.

Dokoła tylko stare drzewa szumią, stare góry się przysłuchują a młode potoki lecą, marząc o przyszłości.

W pośrodku dwór rozległ się szeroko, dostatnio i pańsko.

A jako po zakonie Bożym zbudowany, wzniósł sobie świątyń po prawicy, krzyż nad czołem i krzyż z lewicy, aby Boga pamiętał.

Cichy wieczór młodej, chłodnej, ale wypogodzonej wiosny zstępuje na ubłogosławione gniazdo z wonią świeżo poruszonej roli i rozmarzłej ziemi.

Wśród tej ciszy wieczoru słychać tylko jakby modlitewne głosy ludzi i zwierząt w jeden chór zlane, na chwałę Tego, który jest.

Długa ulica lip pogarbionych, rozpuszczających gałęzie szeroko, sunie się czarnemi słupy od lasu do dworu...

W ulicy to krzyż czarny, to św. Jan w kapliczce ukryty, to Matka Bolesna na słupie, to Chrystus w cierniowej koronie siedzący.

Zbliżasz się, jakby stacyjnym gościńcem, do kościoła.

Kościół-ci to ten dwór szlachecki, bo się w nim życiem modlono od kolebki do trumny, gotując dobrze umierać.

Idącemu tą ulicą musiało serce poważnieć, bo czuł, że się przybliżał do tego przybytku, w którym hodowały się orlęta, Bogu poświęcone.

Na pagórku, wśród szerokiego podwórca, za bramą z obrazem Matki Boskiej, stał ów dwór o kamiennych stopach z drewnianych bierwion, z dachem wysokim, niby szyszak na głowie.

A wszedłszy weń, naprzód spotkałeś sień, w którejby się i stu ludzi pomieścić mogło — i komin gościnny co ich ogrzewał.

Ale tu już stąpać potrzeba było cicho. Od progu poczynała się klauzura dworu i karność jego. Ludzie, którzy tu wchodzili, szli z mniszą pokorą, w milczeniu, choć z usty uśmiechniętemi i sercem rozradowanem.

Więcej siwych głów niż silnych bark, bo te w pole ciągnęły, a siwizna stała na straży z niewiastami u domowego ogniska.

Wnijdźmy więc od proga dalej a patrzmy.

Na prawo stołowa izba — ściany w płótna odziane, a z nich twarze patrzą marsowe, surowe, ascetów rycerzy. Na zbrojach krzyże, w ręku różańce.

Ta niewiasta włosiennicę nosiła wiek cały; owa lilia biała ślubowała się ubogim, więźniom i zapowietrzonym; ten młodzian padł od Tatara, ów poległ w Moskwie, inny od niemieckiej kuli; tego męża, na haku powiesiwszy Turcy, strzelali do konającego przez trzy dni.

Tamtego niewierny poganin ściął, bo za niego okupu nie mógł wziąć jakiego chciał, trzeci zmarł, gnijąc w murach niemieckiej turmy...

Patrząc na nich, czytasz dzieje rodziny ofiarnej i wiesz, czemu ona siedzi dziś we dworze drewnianym, a nie na senatorskich krzesłach, gdzie szczebiocą papugi.

Szereg to bohaterów męczenników, poemat to ofiar od Bolesławowskich czasów; w spadku wzięty obowiązek śmierci za ojczyznę. Ginęli wszyscy, a ostatni, by ich być godnym, tak zginąć pragnął, jak chcą żyć drudzy.

A nie byli to ludzie, o których szeroko piszą dzieje — wiedział o nich ledwie kronikarz domowy, co wieczne odpocznienie spisał dla kapelana, grabarz cmentarny, sąsiad o milę trochę — dalej nikt. Któżby się wówczas chlubił, że umiał umierać, gdy żyć daremnie wstyd było?

W domu cicho mówiono o bohaterach, ze wstydliwością, aby nie posądzono ich, że dla chwały ludzkiej, nie dla imienia Bożego, poumierali.

Szło w grób ciało, duch do niebios z palmą, a na ziemi błyszczały łzy rodziny tylko.

Od pomorskich walk za Bolesławów, od Łokietkowskich zapasów, jeden w drugiego ginęli syn po ojcu.

Trzy pokolenia na raz czekały dzwonu, wici, hasła, siedząc we dworze na Skale.

Skałą zwał się dwór Plutów.

Plutowie wyszli byli niegdyś z ziemi Wiskiej na Mazurach, tego rozsadnika, który szlacheckiemi członkami całą Polskę obsadzał — ale z dawna już zasiedzieli w Krakowskiem i tu dogorywali.

Chodziło to w żelazie dokąd mogło, a w żałobie po niem, gdy go nie stało. Ich powołaniem było walczyć i umierać za kraj; po to się rodzili.

Nie karmiono orłów słodyczami a ciszą, ale karmią twardą i cierpieniem ostrem, jak w Lacedemonie, a gdy dziecię rozumiało słowa, uczyło się pogrobowych legend dziadowskich.

Osnuwały one kolebkę i jak mleko lwicy przepajały dzieci. Nawet niewiasty ich, gdy zapłakać chciały, szły ze łzami tam, gdzieby je Bóg tylko widział, bo mięknąć nie było im wolno, aby synów nie zmiękczyć.

Byli to polscy rycerze zakonni, tacy, jako za prastarych czasów.

Trzy pokolenia żyły w Skale. Najstarszym był dziad Pluta... niegdyś dzielny pułkownik, który stękał, że umrzeć nie potrafi, a wstydził się oblicza ojców, iż był starcem. Miał lat osiemdziesiąt

i kilka; przyszedł na świat za owych to czasów, gdy Sobieskiego Pan Bóg posłał pokazać światu, jak to się biją dla imienia Jego — na to, aby ocaleni wyśmiewali ofiarę.

Stary był głową domu, a imię mu było Adam, jako ojcu rodzaju ludzkiego.

Choć do całego wieku niewiele mu zostawało, miał siłę hartowną niezardzewiałej stali. Tylko siwa, ogromna do pasa broda i łysa jak kość słoniowa czaszka, świadczyły, że wieku dożywał.

Gdy siedział pułkownik Adam, to mu się ramiona gięły i malał, ale gdy się podniósł a rozprostował, olbrzymem był jeszcze i gdy w ręku żelazo ścisnął — pękało.

Nie siły mu brakło, ale ochoty do życia.

Żonę postradał był dawno, a z syna żołnierza uczynić nie mógł. Za młodu jeszcze chłopczyna, dosiadłszy swawolnego konia, obaiłł się z nim z krótszą jedną nogą pozostał i chodził o kiju. Więc mu już przyszło, dziesięciu pokoleń rycerskich potomkowi, być hreczkosiejem i domatorem. A czuł to ojciec i on sam, iż w tem było znamię kary Bożej, jakoby mu rzekł Pan: Nie chcę was i waszej ofiary, a służyć wam sobie nie dam.

I na całe życie smutek osiadł na twarzy Jakóba.

Oblicze też Adama rzadko się uśmiechało, choć pogodą jaśniało zawsze.

Gdy go raz obcy spytał, wygnańca chwilowego, coby za jeden był — "Miles christianus sum" — odrzekł. W tem było wszystko.

Za ową salą, w której biesiad wstrzemięźliwości strzegły wspomnienia mężów wielkiej cnoty, była izba dziada. Okna jej wychodziły na ogród, przez drzew konary widać było kaplicę, tak, że gdy się jej drzwi otwarły, widział ołtarz i mszę, a gdy czasem chodzić nie mógł — bo go nogi naprzód opuściły (jako to zwykła w Polsce śmierć, brać ludzi od nóg poczynając, znać że za barki nie mogła) — słuchał mszy świętej z krzesła i klęcznika u okna. Zaglądał tu kościół, bo też to cela była rycerska, ta izba dziadowska.

Na stole przed nim zawsze dwie księgi: Pismo święte i Plutarch. Księgi pobożne i starożytne dzieje... W pośrodku stał krzyż, a na nim wisiał różaniec, który niegdyś bywał u pasa przy zbroi; różaniec z oliwek ogrójcowych....

W rogu anachorety łoże, skóra łosiowa, poduszka sianem wypchana i siennik nadziany słomą; nad łożem Chrystusa, palma,

ryngraf z Matką Boską, kawał zbroi z krzyżem, szabel dwie na krzyż i strzelba.

Naprzeciw łoża wizerunek kobiety w szacie czarnej, w kwefie białym, z książką, różańcem i kwiatem w dłoni.

Była to ta święta, co mu syna dała..., którą on kochał w grobie tyle, co za życia, która mu żyła zawsze, choć od lat wielu umarła. Była to jego "panna," tak ją zwał, z czystą bowiem dziewiczą duszą poszła na śmierć.

Dalej na ścianach obraz króla Jana III, wizerunek hetmański i święte obrazy.

Pod piecem kaflowym stała okryta ława, więcej nie było nic...

W oknie, otwartem ku wiosennemu powietrzu, siedział stary i dumał, księgę trzymał otwartą, a nie czytał, myśl go odbiegła a ręka silna się trzęsła, bo jej już silniejsza nad nią wola nie trzymała.

To było z jednej domu strony, z drugiej mieszkał syn i synowa i kobiety, tam się chroniło życie powszednie dworu, które gwarzyć musi i śmiać się musi.

Jakób, nie mogąc być żołnierzem, gospodarzył po żołniersku, ale też z sercem rycerskiem. Ilekroć na szablę a na konia spojrzał, to wzdychał, o kiju chodzić zmuszony, zmuszony siać i zbierać... a prowadzić żywot włodarski.

Gdy siedział, pan Jakób niemal tak wyglądał jak ojciec, tylko młodszy, posępniejszy. Truło go to życie ekonomskie, czuł dopust Boży w tem, co go bogaciło.

Dwie izby, pańska i jejmościna, stykały się z sobą. W drugiej stały małżeńskie łoża pod kotarą i krośna, a na stole pobożne księgi.

Obok jejmości, pod jej bokiem chowały się dziewczęta ubogie, dalej była izba sług, apteczka, śpiżarnia i czego potrzebuje dwór wiejski.

Jakób miał jednego tylko syna; tego już i dziad i on tak chowali, aby dług zapłacił za obu: za jednego, że umrzeć nie mógł na polu bitwy, za drugiego, że konia nie dosiadł.

Ale go chcieli mieć dojrzałym, silnym, niżby mu dali błogosławieństwo na bój — i czekali i poili i karmili szpikiem swym. Matka pobożnością, dziad Plutarchem, ojciec pracą i trudem, domownicy przodków przykładami.

Chłopię chował się w domu długo, ale wiedział ojciec, że młodemu ława szkolna, to pierwszy życia wzór i próba. Dali go wraz z ubogim chłopakiem sierotą do szkół, tylko patrząc, jak to rosło.

A rosło krzepko i bujno i gorące a niecierpliwe, ale posłuszne, karne, pobożne i zacne... dobra krew.

Rosło to na żołnierza chrześciańskiego, jak dziad — silne, krew z mlekiem na twarzy, w sercu ogień i żelazo.

Czasem dziad dawał mu do łamania podkowę i milczał, gdy ją skruszył bez zaczerwienienia a wysiłku; czasem ojciec dawał mu chłód i głód do przetrwania, słuchając, czy się nie poskarży — a gdy milczał, był rad, ale nie chwalił.

Czasem i pani matka postem morzyła lub pomęczyła modlitwą. I byliby go uściskami zdusili z miłości wielkiej, gdyby tę miłość pokazać mogli.

Po staremu kochanie nawet w ryzie szło, aby od niego człowiek do zbytku się nie rozpieścił. W sercu mieszkając, skryta miłość ta rosła i silniejszą jeszcze była.

Cała się z nich składała rodzina — daleka tylko jejmościna krewniaczka, sierota na wychowanie wzięta, kwitła także w tym cieniu.

Imię jej było Ewusia, lat poczynała szesnaście, a wychowano ją w bojaźni Bożej i niewinności duszy i pokoju serca, na niepewne losy, na życia próby — sierotkę.

Któręż dziewczę na polskim zagonie, gdy ją rodzinne słońce ozłoci, miłość wyhoduje, pokój osłania, pięknem nie jest?

Ewusia też była piękną, ale zaledwie o tem wiedziała. Jejmość zaręczała jej, że jest brzydką, dziaduś ją srodze musztrował, pan Jakób gderał, choć kochał. Tylko oczy i rumieniec młodego Karolka, gdy, powróciwszy ze szkół po dłuższem niewidzeniu, spojrzał na nią, mogłyby jej były coś powiedzieć, ale dziewczę się zlękło i nie zrozumiało.

Chowali się jak brat i siostra, nauczono ich żyć jak rodzeństwo, choć dobrze nikt nie wiedział, jakie ich pokrewieństwo łączyło i kto byli Ewusi rodzice, nawet jak się na dwór dostała i czy gdzie miała jeszcze rodzinę.

Ona sama nie pamiętała dzieciństwa, a przybrana jej matka unikała o tem rozmowy.

Ile razy Karol powracał do domu, coraz ją piękniejszą zastawał; naostatek zdała mu się ze wszyskich kobiet na świecie najpiękniejszą.

Ale o tem nie śmiałby był powiedzieć nikomu; ze strachu, aby się kto tego nie domyślił, nawet na nią nie patrzał, z bojaźni, ażeby usta nie wypowiedziały czego nie chciał, nie mówił do niej, z trwogi, ażeby nadto nie przylgnął, uciekał gdy ją zobaczył. Kiedy się przypadkiem zeszli, stali naprzeciw siebie jakby gniewni, a uchodzili co prędzej, drżący.

Taką była rodzina, ale w polskim dworze, stojącym gospodą, brama się nie zamykała. Kryto stół do wieczerzy, zostawiając zawsze miejsce wolne dla Bożego zesłańca; był zawsze kątek dla obcego, wszelakie też kalectwa szukały tu przytułku, a chore serca lekarstwa.

Więc gdzieżby dwór taki bez ewangelicznych gości mógł pozostać?

Było ich poddostatkiem w Skale. Nikt nigdy tej Bożej czeladzi nie dał poznać, że była na łasce, w gościnie. Każdy biedny zwał się tu po staremu panem bratem, a co więcej, znajdował braterskie przyjęcie.

Był tam tedy stary rotmistrz Poremba, co o kiju się włócząc, już tylko przeszłe życie opowiadać umiał, jak pacierz jednakowo zawsze, tak, że to, co im mówił, już wszyscy na pamięć umieli, przecież go ludzko, litościwie słuchali. Od lat piętnastu rotmistrz Poremba co wiosna wybierał się do krewnych na Ukrainę, a nigdy odjechać nie mógł — chociaż nie zrzekał się wyjazdu, owszem tem gorliwiej się gotował, im mniej było prawdopodobieństwa, że wyruszy. I temu coś już było w nogi wlazło, nie przypuszczał wszakże, iż to go śmierć pętała, aby łatwiej obalić.

Był i drugi, garbus stary z długiemi rękami i ogromną głową, którego kalectwo litość wzbudzało, a złostki i żarty jeszcze nędzniejszym czyniły. Gdzieby go trzymano z tym spiczastym językiem, gdyby nie tu? Zwał się on komornikiem Krzywaczyńskim, liczył lat sześćdziesiąt, i jak tamten jechał ciągle, tak ten zawsze się miał żenić.

Uciułał był trochę grosza, ale jeszcze więcej żółci, której panny gorzej się obawiały, niż jego garbu i szóstego krzyża.

Był naostatek gracyalista, wysłużony rządca, którego Bóg pokarał pijaństwem, zresztą najlepszy człek, ale nieuleczony bibuła. I tego więc przytulić było potrzeba, bo niktby go z tym nałogiem

nie trzymał. Jejmość go różnie leczyć próbowała od tej choroby, ale nic nie pomagało. Kubasiński wstrzymał się czasem jaki tydzień, ale go potem z karczmy przynoszono na rękach.

Po trzeźwemu był uśmiechnięty i najłagodniejszy z ludzi, ale gdy podpił, burdy wyprawiał straszne.

Była we dworze i stara panna, która lubiła kanarki i koty, jakby dowieść pragnęła, że spragnione jej serce największe przeciwności razem pomieścić może, panna Kunegunda, śpiewająca nawet teksty światowe z lepszych czasów, a w kościele intonująca godzinki. Miała ona recepty na wszystko, chadzała po wsi gderząc i lecząc, nudząc, ale wysługując się, jak siostra miłosierdzia. Kanusia czasem na jejmość gderała... a zawsze była ze wszystkiego niekontenta. Miała biedaczka przysłowie. — Otóż to jest!

Pomniejszego ludu, kryjącego się w oficynach, na folwarkach, we dworkach, wyliczyć trudno.

To też gdy w Wielki post, w Adwent, w Wigilię, w święta i niedziele dzwonek na modlitwę zawołał do pokoju obszernego przed garderobą, gdzie na ścianie wisiał obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, ledwie się ta ciżba domowników do progu pomieścić mogła. Jejmość sama z księgą w ręku klęczała na przodzie, dalej sam się dwór po starszeństwie układał.

A choć nie było nikogo z gości, w pospolite dnie do stołu nakrywano więcej niż na dwadzieścia osób i mało kiedy było miejsce puste, chyba gdy komornik bardzo zły nie przyszedł; naówczas mówiono, że go zęby bolą.

Dwór w Skale był jak klasztor, widział tu każdy, co mu o jakiej godzinie czynić przystało; karność była wielka, porządek przykładny, nikt go nie złamał przez lekceważenie.

Z panem Jakóbem żartować było niebezpiecznie, a ze starym pułkownikiem, kiedy dobry był, mówiący drżeli; gdy marsa nawił, słów brakło na ustach. Nie żeby tak surowym był, bo się nigdy nie gniewał i nie fukał, ale karał milczeniem. Kogo on nie widział, ten jakby już do dworu nie należał, nie miał tu co robić.

Jejmość też szanowano, jak anioła opiekuna, przez nią szły sprawy, prośby i instancye ona wiedziała, kiedy miłosierne słowo wyrzec do męża i ojca. Chodziła biało, uśmiechała się jasno, i zwano ją białą panią po wsiach, bo się była od straty córki a narodzin syna skazała na tę jasną żałobę. Czarna być miała, ale męża i ojca oczom i sercu folgować musiała, bo ich kolor ten zasmucał.

Tak wyglądał ów dwór, orle gniazdo stare, ale wejrzawszy weń, ujrzałeś więcej dziwów i cudów, niżby się zrazu po tem obliczu prostem spodziewać można. Nie było tu popisu z niczem; często najlepszego szukać głęboko i domyślać się musiano, bo się kryło. Tu i surowy post się chował, i modlitwa taiła, i dobrodziejstwa skrywały; życie szło pomiędzy niemi a Bogiem w tajemnicy.

Znał te serca może — jeden spowiednik, co patrząc w głębie ich, płakał z wesela.

Na tym dworze wychował się Karolek i przyszedł mu już czas może po ojcach wziąć szablę, na którą często poglądał pożądliwie. Dziaduś pokazywał mu ją na ścianie, ale trzeba było do niej i wzrostem i sercem dosięgnąć.

Szabla to była stara... z pokolenia w pokolenie przekazywana, prosta, szeroka, biała jak srebro. Był na niej z jednej strony promienisty krzyż, z drugiej — "Pro Deo et Patria" staremi głoskami. Rękojeść czarna, pochwa skórzana, żadnej ozdoby — za żaden skarby jej był Płuta nie oddał.

Zwała się Saracenka.

Wiedziano o niej, że była pod Płowcami i Grunwaldem, że cudem z rąk konających na polach bitwy zawsze ją ktoś ocalił, że powracała, gdy ją już za zginioną mieli, jakby z wyznaczenia Bożego, do rąk dziedziców. Szanowano ją jak relikwię.

Z tem imieniem Saracenki w najstarszych testamentach zapisaną była. Głucho mówiono, że przyniósł ją antenat, co służył na wojnach krzyżowych. Jeno potem napis i krzyż dodano, aby pogańskie żelazo ku służbie Bożej ochrzcić.

Karolek miał lat dwadzieścia, serce mu do szabli i do konia drgało niecierpliwie. Czemu go nie wyprawiono pobłogosławiwszy, któż to wie? Coś tam dziad z ojcem szeptali, naradzali się, a chłopak czekał... a pytać nie było wolno, a prosić!?... któżby śmiał!

Karolek na zabawkę dosiadał dzikiego konia, siłę miał dziadowską, barki Adama, zręczność niezmierną, serce ogniste, a naturę karną i oczy, co ciskały ogień i płomię, kąpały się też czasem we łzach mimowoli.

Serce mu w piersiach biło, jak młotem, ale milczeć umiał.

Złe przyszły czasy, nie dziw, że ojciec i dziad i matka jeszcze się wahali, komu i gdzie oddać dziecko.

Od czasu, jak na Batorych i Sobieskich tronie usiadły pludry niemieckie, sprofanowany ów tron stał się wszelkich bezeceństw stolicą. To, co nad krajem świecić miało, ssało go i wycieńczało.

Aż przyszło do tego, że osadzono na nim dworaka i Francuza, co malować umiał, a cierpieć i rządzić nie umiał.

Była to już ostatnia klęska i ostatnia plaga Boga, co lalkę upudrowaną dawała rycerskiemu narodowi za króla.

Białe te ręce żelaza tknąć nie umiały, a z miękkiego gacha nie mógł rycerz wyrosnąć. —

Więc ludzie poważni źle wróżyli, mówiąc pocichu: — Chyba Bóg!

Jedni go zwali Stolnikiem Litewskim, drudzy Soliterem, co ojczyzny wnętrzności wyparał. Królem uznawali go ci tylko, co w sercu ojczyzny nie mieli, którą on za spokój i zgodę miał sprzedać.

Gdy przyszedł ten czas upokorzenia i upadku, że ów Piast na drwiny posadzony był na stolicy — co było serc poczciwych, przeczuło, iż zbliża się uroczysta wieków godzina.

A choć weseliła się stolica, kraj przywdział żałobę. Ale owe stare orle gniazda wytępiły saskie łowy i pozmierała cnota bezpotomnie, a wielu ślepych i krótkowidzących ujęto strachem lub łaską.

I była Polska rozdzieloną przez dzieci własne, tak, iż w niebezpieczeństwa godzinie na jedno serce, co zaszło krwią, dziesięć uśpiły fortele i mamidła.

Nie mogła skrępowana macierz wstać cała, bo ją spoił i odebrał jej wprzód siłę ten, co jej chciał niecny gwałt zadać.

Wziął je naprzód tych, z których szli hetmanowie i kanclerze, owe ramiona i one głowy potężne, co jak słupy i sklepienia ojczyznę podpierały. W starych gniazdach legły się bękarty francuskie, co szczebiotały, bo ryknąć nie umiały, i tańcować się uczyły, nie umierać.

Na bezdzietnych gniazdach sadzano przybłędów, na stolice biskupie brano ludzi, co w Boga nie wierzyli, dwór stał się salą balową, sejm więzieniem z bagnetami u wrót, życie stypą pogrzebową.

Gdy po wsiach żelazna szlachta do kościoła zbiegła na sejmik, co był dawniej z rady i natchnienia Ducha Bożego — siekli się Kortezanie z Polaki starymi jak nieprzyjaciele i krwawili domy Boże.

Wreszcie poszedł głos jeden po dworach i po starych zamkach, na których rody dawne przetrwały: Dopókiż pić będziemy wstyd i niewolę w domu własnym, a dźwigać kajdany? Policzyły się stare szablice i dłonie silne i serca pobożne, i rzekli: — Któż obroni ojczyznę, jeśli nie my?

I tak zawiązała się ojczyzny obrona, pod hasłem i opieką Królowej nieba i ziemi a Polskie Korony.

Różnem szczęściem szło obrońcom, a widomie nieraz zwyciężało, bo była potrzeba próby, łez i cierpienia.

Warszawa z królem galantem nosiła, stroiła się i wdzięczyła; na polach żelazny i ludzie z krzyżem na piersi, poczęli ten bój, który więcej niż cały wiek miał trwać nieustannie.

Nieraz wśród skrzypków i uśmiechów, jak grom cichy przyszła wieść do granic straszna, z ust do ust podawali ją sobie w tańcu dworscy, i lica bladły i ręce drżały, oglądali się tchórzliwie naokół.

Na rubieży w obozie razowy chleb z popiołem; w stolicy jedzono ma cypany za obce pieniądze; tam brzmiała pieśń pobożna, tu niebożne trele, tam umierano od kuli, tu z ran miłosnych. Król kupował arcydzieła sztuki, a prochu żebrano u sąsiadów.

I coraz więcej twarzy się sromało, a kraj coraz to szerzej płonął i były chwile, że król się zadumywał, że dworcy bledli, że tchórze szeptali...

Ale walka szła w przewłokę, a z polskiemi sercami niestety! umrzeć naraz łatwo, długo wytrwać, chyba cudem. Gdy jedni przystępowali, odstępowali drudzy. Królował w istocie ambasador.

Król był, ale go nikt poczciwy zrozumieć nie mógł; młodość, czy los rzezańcem go na sercu uczyniły, bo rozum miał, a woli mu brakło, bo miłości brakło i kameleonem czynił go strach i grzeszność.

Miał on godziny skruchy i dnie grzechu — czem był w istocie, dotąd nikt nie wie, anioł chyba w dniu sądu przeważyć potrafi co więcej zaciąży...

Więc targali go jedni i drudzy, panował nad nim ten, co stał bliżej, i co go nie za cnotę trzymał, ale za wady i słabości jego.

Kiedy od granic przyszły słuchy o Krasińskich, o Pułaskich, król zadrżał, zapłakał (łzy miał łatwe). Tymczasem Sułtan zaopiekował się konfederatami.

Z różnem szło szczęściem przez lat kilka; z za granicy to dmuchano na ogień, by go rozżarzyć, to nalewano, by zgasić, a król drżał, bo mu to utrapienie nawet spokojnie zabawić się nie dawało.

Z powodzeń i klęsk tkane dzieje już kilku imionami jaśniały; znano w narodzie Pułaskich, Krasińskich, Branickiego, Kossakowskiego, Sawę, a młodzież niecierpliwsza przekradała się ku nim różnemi drogami. Szczęście służyło różnie.

Przyszło do tego, że coraz mnożyły się klęski, ludzie serca ze spuszczonemi głowy chodzili, jako w dniach żałoby — co począć! Powtarzano słowa ks. Marka, który był zwiastował zwycięstwo, a potem prorokował — kary; albowiem ujrzał, że rycerze chrześciańscy mieli w sercach pogańską ambicyę i szatańską zazdrość ku sobie i przeoblekali się w ludzi pospolitych.

W Skale milczano o wypadkach, zwłaszcza przed Karolem przed którym tajono, co się działo... Dziad i ojciec tak się zdawali ostygli, iż chłopak nie wiedział, co myśleli, ale zgadywał, gdzie serce ich było. Przed nim ledwo się kto odezwał i — uciął.

Było tak przecież, że na pierwszy odgłos o konfederacyi Adam i Jakób zeszli się u pułkownika nocą i zebrali co było grosza, potopili srebra, jejmość oddała stare klejnoty; razem to wszystko cicho a tajemnie posłano do Generalności.

Przed Karolem jednak dziad zakąsywał wargi, ojciec milczał — choć Karolek wszystko wiedział. Nie było dnia, żeby mu co do ucha nie przyniósł Poremba, Krzywaczyński, Kubasiński lub kto z dworaków. Wieści te, co z daleka na orlich skrzydłach leciały, były do podróży przybrane, strojne, błyszczące, cudowne; świetne a jasne; wielkimi w nich występowali rycerze Królowej polskiej, z barkami w skrzydłach, bohatersko.

Serce do nich gorzało — a Karol słuchając i nie mogąc sam bieżeć do nich — smutniał bardzo; wychował się w tem powietrzu starego dworu. — Czytywał dziadowi Plutarcha, wieczory długiemi słuchał opowiadań o pradziadach. — Gdy w sali jadalnej przeszedł pod wizerunkami tych, co poginęli z Saracenką w dłoni, mówili mu oni, co go czeka. Był ich nieodrodnym synem.

Gorzało w nim coraz mocniej, a ojciec i dziad milczeli.

Było to milczenie wielkie i święte, jako próba Boża nad człowiekiem, albowiem ojciec i dziad w ten sposób hartu duszy jego próbowali.

Ojciec go chciał dawno do pana Pułaskiego posłać, ale stary powstrzymał.

— Mospanie Jakóbie — rzekł — albo dojrzał już nasz Karolek to się swego obowiązku sam domyśli, albo jeszcze nadto młody, to go tam dawać zawczasu.

— Posłuszne dziecko — mówił pan Jakób, nie pójdzie bez zezwolenia.

— Acan tego nie wiesz, bo jesteś kulawy kaleka nieborak — odpowiedział pułkownik — nie byłeś w tem, jako ja. Czekałem ci, czekałem, żeby mnie jegomość wysłał, aż gdy dobrze na wojnę zawrzało, myślałem — to i mnie poślą, krew kipiała, nie posyłali. Wreszcie jednego dnia uchwyciłem konia i z domu rodziców uszedłem. Rodzic bo na rzeź dziecka nie da, byłaby to ofiara Abrahama. Jeśli Karol doścignął już do służenia ojczyźnie... pójdzie on sam! pójdzie! A tego ja chcę, aby ofiara była pełną, dobrowolną i aby ją Bóg błogosławił. Patrzę nań, nie podżegam, milczę, już tam w tem sercu wre... jeno Boga proś, aby mu się powiodło jak należy. —

Dał tedy pan Jakób pokój, ale pilniejsze niż kiedy mieli oko na młodego, który latał, zbierał wieści, smutniał, męczył się, aż wreszcie sobie rzekł:

— Nie wyprawiają mnie, no, to pójdę sam... przebaczą mi! Poremba z całego dworu o konfederacyi najlepiej był uwiadomiony; była to wielka przyjaźń między nim a Karolem.

Ale stary był trochę zdrajca. Bo co z synem gadał wieczorem na ławie pod gankiem, to nazajutrz rano ojcu odnosił — a ojciec milczał. Aż jednego rana rzekł panu Jakóbowi:

— Albom ślepy, lub już oto nadchodzi godzina, że nam Karolek zbieży.

Czekał odpowiedzi Poremba, nie otrzymał żadnej, pan Jakób głową pokiwawszy, wyszedł. Wtedy pomyślał sobie stary żołnierz:
— Nie chcą się przeciwić woli Bożej, niech się dzieje...

Chłopcu nie mówił ani tak, ani owak, chociaż z pewnych znaków miał za pewne, że Karolek już długo nie posiedzi w Skale.

Trudno było w tym karnym dworze, gdzie wszystko szło w ład i skład — przygotować tę ucieczkę — Karol sobie głowę łamał, sposobów szukał.

Starzy, z kątów zaczajeni, patrzyli, widzieli wszystko, a zdawało się, jakby nie domyślali się nic a nic.

— Ma być ofiara — powtarzał pułkownik — niechże będzie całą, własnowolną. Aby na wojnę pójść, cóż młodemu potrzeba!?

Konia miał Karolek, którego mu dziadek darował, a był szpak po tureckim stadniku, ognisty i łagodny, jak panienka, do swego pana przywiązany, jak dziecko; jadł z rąk, głos znał... latał jak ptak, chodził jakby oczy miał w nogach.

Siodło mu huzarskie sprawiła matka z wszelakim do niego przyborem; podróży bowiem inaczej, jak konno, nie odbywał Karol. Szablę starą ojciec mu był dał, składną, lekką, ale to nie Saracenka. Tę Plutowie zwykli byli uroczyście synom oddawać z błogosławieństwem, z obrzędem. Klękał młodzieniec, modlono się i dopiero szablę ową przypasywano. Ale trzeba było na tę cześć i zaufanie zasłużyć.

Karolowi już tak, jakby na Madejowem łożu; z dniem każdym rosła gorączka, ręce łamał, włosy rwał, dopóki sobie nie powiedział w ostatku:

— Pójdę! wszakci mi przebaczą!

Gdy raz to sobie postanowił w ciszy serca swojego, począł się zaraz ostrożnie gotować do drogi.

Nieopodal w okolicy Krakowa snuły się oddziały konfederatów, kręcili się i Rosyanie, i pan Branicki im pomocny, ale przedrzeć się przez nich z pomocą Bożą było można.

Nikomu swej myśli nie zeznał Karol, ale już w nim dojrzała, patrzył chwili. Gdy mu już przyszło ten kąt spokojny opuszczać, w niepewną walkę się rzucić, na chwilę się zawahał, potem poszedł, pomodlił się i znów do drogi gotował.

Na wszystko to oczy dziada i ojca patrzyły, w czystej twarzy chłopięcia, czytały, jak w zwierciedle — milczeli oba.

Była znów chwila, że ojciec uląkł się, serce mu zmiękło, chciał już powstrzymać, ale dziad nie dał.

— Jakóbie, słuchaj mnie Waszmość, nie godzi się — rzekł. — Jam życia nie dał, ty nie mogłeś, on ojczyźnie dług spłacić musi... aby na nas plamy nie było... Niechże płaci dobrą wolą...

Matce też popłynęły z oczów łzy, bo i ona o wszystkiem wiedziała; wstrzymaćby była pragnęła lub przynajmniej wyprawić bacząo — i ją przecież ukołysał dziad.

— Niewiasto a matko — odezwał się do płaczącej — kobiety spartańskie same na wojnę dzieci w zbroję opinały i mówiły im: — Wracaj zwycięzcą albo nie powróć mi lepiej. Tego ja od ciebie nie chcę, ale mu przeszkód nie stawiaj. Módl się i patrz, co Bóg uczyni.

Matka milczała, otarła łzy i była posłuszną, jak nawykła — ale w sercu?!

Karol sądził, że nikt nie wie o niczem, krył się z zamiarem swym, bojąc się, aby mu nie przeszkadzano. Miał tylko jednego powiernika, który go zdradzić nie mógł: tym był Staszek Kulik, chłopak od szkół jego towarzysz, przyjaciel, sługa i powiernik.

Za onym dworem pańskim ku wsi, stała chata stara, na poły w ziemię wpadła; mieszkał w niej niegdyś młynarz Kulik, co go było młyńskie skrzydło porwało i bez duszy o ziemię rzuciło. Żona jego, Kachna niegdyś dworsko służyła; mieli tylko jedno dziecię, tego bladego Staśka. Gdy to nieszczęście padło na chatę, Stasiek był małem chłopięciem — został sierotą. Wzięto go do posług panicza do dworu, z nim też Stasiek pojechał do szkoły i pomiędzy sierotą a paniczem zawiązała się przyjaźń taka, że Stachby był życie dał za Karola, a Karol w ogień rzucił za swojego służkę.

Rośli razem rówiennicy; Stasiek nawet nie pojmował, aby go kiedy mógł odstąpić, Karol, żeby się miał obejść bez niego.

Gdy przyszła stanowcza życia godzina, owa w ciszy osnuta wyprawa na wojenkę, nie mógł się też Karol obejść bez Stacha, jemu się jednemu zwierzył, a chłopiec pomyślawszy, rzekł:

— A no, toć pójdziemy razem!

Knuli tedy już spisek wspólnie, a szło oporem. Bez grosza się puścić nie było można, dla Staśka też konia i rynsztunku brakło.

Ale poczęły się dziać istne cuda. Jednego poranka dziaduś rzekł do wnuka:

— Czemu to Stach z tobą nie jeździ, gdy w pole z chartami ruszasz... pewnie konia niema...

A po chwili dodał:

— Konia mu ze stajni dać; pożyczanym sposobem na nic, bo go schlaszcze, zmarnuje; jak swojego mieć będzie, poszanuje lepiej. Jak ci się zda deresz, to wytrwałe konisko? hę? Gdyby tę szkapę sobie Staszek wziął? Tylko powiedz mu, niechże jej jak oka we łbie strzeże.

Aż w ręce pocałował dziada Karol, tak mu to przyszło w porę.

Niechże mu i siodło z masztarni dadzą, porządne, huzarskie, czarne z rzędzikiem surowcowym.... aby ci też wstydu nie robił... Oklep nie pojedzie, a raz wraz pożyczać...

Przywołano Staszka, przybiegł i plackiem do nóg upadł staremu, który dodał:

— Tylko mi deresza pilnuj, bo plagi! Koń gorący... Koń, mospanie, przyjaciel, a nie sługa — niewolnik, koń brat i druh.... dobra szkapa życie daje człowiekowi... rozumieć ją... ale kochać trzeba.

Tak tedy Stach naprzód dostał konia wcale niespodzianie.

Ale w drogę bez grosza nie było ani podobna, ani przystojna ruszać, a skąd go wziąć? Nie brakło na potrzeby Karolowi, obyczaj jednak był taki, że się z każdego grosza musiał rachować. Naprzód wziąć więcej nie było powodu, nużby się domyślili!

Matka wprawdzie w dzień narodzin Karola dała mu sto czerwonych złotych, które jak znieba spadły, a dając powiedziała:

— Nie wydawaj ich, schowaj, niech będą na wielki przypadek, abyś mógł dobry uczynek spełnić bez wiedzy naszej, gdy ci to serce powie.

Było tego dosyć na drogę, ale to macierzyńskie czerwone złote. Jak je po świecie rozproszyć — zawahał się Karol.

Byłże lepszy uczynek, jak pójść z niemi na wojnę? Tymczasem znów, nie wiedzieć jak się trafiło. że na tydzień przed wyprawą przyszedł Abraham, stary arendarz w Skale, do dworu i do stancyi Karola z pokłonem.

— Mam do jasnego panicza bardzo wielką prośbę — rzekł pokornie.

— Do mnie?

— A no, tak... tylko proszę mi nie odmawiać. Panicz wie, że mam maleńką córeczkę Ruchlę, która teraz dopiero piąty rok zaczyna. U nas taki zwyczaj, że się na posag wcześnie zbiera. Otóż mi się dla niej już trochę złota uciułało.

Karol słuchał, nie mogąc zrozumieć, o co idzie.

— Jasny panicz niechaj do siebie weźmie to złoto... a później mi odda... Za lat... dziesięć... Ja nie potrzebuję ani pisania, ani dokumentu... a z procentem to się obliczymy... niech to sobie leży u panicza, bo ja tak myślę, że to mi przyniesie szczęście. Żyd, zwyczajnie jak Żyd, jest zabobonny, otóż ja mam taki zabobon... żeby koniecznie to było w rękach u panicza.

Karol aż się zarumienił.

— Kusicielu — rzekł, śmiejąc się — lepiejbyś to oddał ojcu memu, albo matce... a mnie to na co?

— No, to jest żydowski zabobon — rzekł Abraham... Na co? albo to można wiedzieć, kiedy pieniądz potrzebny? To się może zdać.

Spojrzał Karol, zląkł się, czy go Żyd nie odgadł lub po judaszowsku nie próbował.

— Ale pieniędzy mi ojciec daje...

— To ja wiem... ale...

I położył zielony woreczek na stole Żyd a kłaniał się. Karol drżał jak liść, ów prosił a prosił.

W woreczku było złotem obrączkowem dukatów dwieście. Nic dziwnego, Abraham był bardzo bogaty.

Karol się wahał, obawiał naostatek uściskawszy Żyda, wziął; posądzał go, że się coś domyśla, ale był pewien, że nie zdradzi.

Nie wiedział, iż te czerwone złote tegoż ranka z rąk jego ojca wyszły.

Tak mu się wszystko dziwnie składało, jakby go sam Pan Bóg wyprawiał.

I on i Staszek już byli nawet dzień postanowili.... nadszedł on... wszystko stało w pogotowiu.

Dziesięć może razy tego dnia Karol do stajni zaglądał, szpak rżał zdrów raźny... serce mu biło, myśląc, jak go dosiędzie i poleci! oh! poleci!

Ale jakże tak pojechać bez błogosławieństwa, bez pożegnania?

I tęskno też było porzucić tu wszystkich i wszystko na długo... nie wiedząc, kiedy się powróci, a nawet czy powróci. Więc choć radością biło serce młode, chmura wisiała na czole. Chodził smętny, oglądając kąty wszystkie, jakby je żegnał.

Pod wieczór już zszedł do ogrodu.. wiosna była wczesna, na niektórych drzewach tryskały listki zielone, pod stopami szmaragdami słała się murawa, a w krzewach osłonione zakwitły pierwiosnki....

Pomiędzy drzewy zdala zaświeciła biała sukienka... ulicą szła Ewusia!

I tę mu dziwnie sam los nastręczał, aby ją Karol, jak brat, mógł pożegnać, sam na sam, bez świadków, swobodnie a rzewnie.

Zbliżywszy się, zadrżeli oboje, Karol chciał uciekać, a znalazł się o krok tylko... Ewusia w tej chwili zdała mu się tak piękną, jak może, nigdy jeszcze.

Miała białą sunkienkę i kapelusik prosty, słomiany z różową wstążką. Dwiema długiemi kosami spadały jej warkocze na białe ramiona. W niebieskich oczach śmiało się niebo; w ustach malutkich igrał dziecinny wdzięk niewysłowiony. W ręku niosła cały pęk kwiatów wiosennych... a Karol spostrzegł, że ręka ta drżała.

Gdy się zbliżyli i stanęli przeciw sobie... długo im wargi drżały, a słowa przemówić nie mogli. Karol powoli, sam nie wiedząc co czyni, wziął ją za tę rękę drżącą, której w życiu jeszcze nigdy tknąć nie śmiał.... dziewczę pobladło, on dostał głowy zawrotu. Przyłożył usta w milczeniu do ręki, oczy się ich spotkały.

—.A! panie Karolu! — szepnęło dziewczę.

— Ewusiu!... ja... ja ci tylko chciałem powiedzieć dwa słowa.

— A! to może co strasznego!

— Nie — nie... to żart...

— Czyżbyś żartował — ze mnie?

— O! niechże Bóg broni! nie z was! to tak! Wy nie wiecie... to sekret dla wszystkich, ja może za kilka dni wyjadę... może... otóż chciałem was pożegnać... tylko was! bo o tem nikt wiedzieć nie będzie.

— Jakto? jedziecie bez wiedzy państwa! potajemnie? a! to bardzo źle....

— Ale bądź spokojną... to nic złego, ręczę wam... później dowiecie się wszystkiego... Ja wam tylko na odjezdnem chciałem raz powiedzieć, że kocham was jak brat... i chciałem was spytać.

Wyrazy umarły na wargach, oczy je zastąpiły.

Dziewczę pobladło, jak marmur, a potem zaczerwieniło się jak wiśnia.

— Ja was kocham, bardzo was kocham, Ewusiu! tak jak nikogo w świecie kochać nie będę... ale wy? wy?...

— Ja, panie Karolu! o mój Boże.... ja pana kocham jak brata... — odrzekło dziewczę nieśmiało — ale doprawdy... strach mnie jakiś ogarnia...

— O! nie bój się! — zawołał Karol, ośmielając się — a powiedz mi, czy mnie tak zawsze kochać będziesz... czy nie zapomnisz o mnie? ...

— O! nigdy! nigdy! — odpowiedziała Ewa.

W tem miejscu rozmowy, jakby straszny grom, rozległ się głos matki:

— Cóż wy tu tak rozprawiacie?

Matka stała tuż, o krok, uśmiechnięta, ale z oczyma łzawemi może się też domyślała czegoś. Przybliżyła się do wychowanki.

Karol miał tylko czas dać jej znak, aby go nie zdradziła. Promienna chwila życia minęła, powoli szli napowrót ku domowi — nie śmiejąc już oczów podnieść na siebie.

Tymczasem Staszek biegł ze dworu do chatynki za ogrodem, do matusi, wdowy młynarzowej. On ją tylko jedną chciał pożegnać... na świecie nie miał więcej nikogo, a gdy zobaczył ją na progu, na sercu mdło mu się zrobiło... A! bodaj te wojny, tych ludzi!...

Matuś była blada i nędzna... chora, kaszląca, a nie miała na bożym świecie nikogo, krom jego jednego.

Podszedł ku niej, kręcąc w palcach słomkę, ze spuszczonemi oczyma.

— Matuś kochana, może ja z paniczem gdzie pojadę.!. coś mi się widzi, że on się wybiera, a juści mnie weźmie, bo choćby nie brał, to go nie opuszczę... Przyszedłem was pożegnać...

— A! panicz jedzie! dokądże? — spytała wdowa z trwogą.

— Albo to mnie wiedzieć — rzekł Stach, który, choć wychowany po szkolnemu, z matką mówił jak prostaczek. — Teraz po świecie straszne się rzeczy dzieją... kto wie dokąd... a no wojna!

— A! juścić nie na wojnę!

— Kto tam wiedzieć może!

Matka w milczeniu płakać zaczęła.

— Czy wiedzą o tem we dworze!?

— Ale nie, uchowaj Boże.

Stara zarzuciła mu ręce na szyję, w duszy myślała:

— Trzeba pójść matce oznajmić o tem, co się święci, i ona ma jego jednego....

Serce jej biło... płacząc., poszła wyjmować z węzełków co miała aby dać synowi, ale Stach nic przyjąć nie chciał.

— Wam się tu zda, a mnie panicz z głodu nie da zdychać!

Przyjął tylko, poklęknąwszy, medalik z Matką Boską Kalwaryjską.

Siedzieli długo z sobą, a coraz matka mu na szyję się rzucała i ściskała i płakała...

Potem Staszek zerwał się, padł do nóg, zapłakał i uciekł, bo musiał powracać do dworu.

Ledwie znikł za drzwiami, a stara płachtę zarzuciła na ramiona i leciała już do dworu. A stanąwszy w izbie kobiecej, kręciła się biedna, jak tu dostąpić do jejmości.

Wpadła do sypialni ukradkiem ulękła, drżąca i do nóg jejmości.

— Moja matko, moja dobrodziejko, straszne się tu rzeczy knują.. bodajżby nam panicz ze Staszkiem nie uciekli. Mój mi się przyszedł dziś, oto przed chwilą, żegnać. Juścić nie mogłam tego przenieść, żeby nie przyjść, a mojej dobrodziejce nie oznajmić.

Spojrzała jej w twarz, siedziała pani, wstrzymując płacz, nie śmiejąc zapłakać.

— Przywiduje ci się i twęmu Staszkowi, młynarzowa moja — rzekła powoli — Karol dla nas niema tajemnic—bądzcie spokojną..

— Pewnie? — spytała kobieta.

— Bądźcie spokojną — dodała pani Jakóbowa. — Bóg łaskaw, a co on poda do serca człowiekowi, i co się czyni z modlitwą i krzyżem... złe być nie może, nie sprowadzi nieszczęścia.

Potem łzy się puściły obu, pani już mówić nie mogła... rozeszły się przybite, smętne, ale w duszy spokojniejsze.

Karolek błądził po dworze, jak dusza czyścowa, wszystko mu teraz inaczej w oczach stawało... żegnał ludzi, miejsca, sprzęty, przecież nie uległ żalowi.

Do izby pułkownika, który modlił się siedząc w oknie, wszedł Poremba i chrząkając, stanął w progu. Nie była to jego godzina, wkradł się jakoś cicho i ostrożnie, pułkownik nań spojrzał, dokończył Zdrowaśki.

— Cóż tam, mój stary?

— Czołem pułkownikowi...

— Masz jaką potrzebę?

— Nie... tak — słóweczko.

— Bez ogródki, mój stary, co ci potrzeba, mów.

— Mnie nic, ale są święte obowiązki, nie darmo się wasz chleb je; trzeba, żebyście w czas wiedzieli, co się święci... Ot, boję się, żeby Karolek nie uszedł, kipi strasznie i coś bardzo do konia dziś latał...

— Hę? co? — zapytał stary — przyśniwa ci się.

— Lękam się, żeby to nie było prawdą.

— A ja nie, dziecko karne toby się tak nie wykradło — rzekł pułkownik.

— Ale w takiej sprawie?

— W jakie sprawie?

— Któż to z nas z domu nie uciekał na wojnę!

— Prawda — rzekł pułkownik —ale po co ma uciekać? Wie, że mu tego nie wzbronią, gdy przyjdzie czas.

— Ale, z pozwoleniem pułkownika, dziec ak, to mu się łeb pali... nie wytrzyma. Mam poszlaki przygotowań pewnych...

— O! o....

Pułkownik głową potrząsnął i zamikł.

— No, no, — rzekł po chwili — wola Boża, bądź spokojny, Poremba. Bóg zapłaci za twą przyjaźń, ale.. nie! Już ja ci powiadam — nie.

— Jakto nie? — odparł stary.

— A no mówię ci, nie?

— Nie, to nie! — kłaniając się, powtórzył Poremba.

— Wiecie tam co o sprzymierzeńcach króla? — przerwał pułkownik — gdzie się obracają?

— A no, wszędzie się tego snuje dosyć, dziś tu jutro tam.

Stary się zadumał.

Poremba stał u drzwi, chrząknął znów, by na siebie zwrócić uwagę.

— Spełniło się, co obowiązek kazał — rzekł — przepra zam pułkownika — więc pokłon i z powrotem.

— Dziękuję ci serdecznie — dodał dziadek — Bóg zapłać. Ja to chcę siedzę w kącie, widzę stąd wiele, ale niema nic, wierzaj mi, nic...

Gdy wyszedł Poremba, pułkownik znów się począł modlić i posmutniał.

— Jednak — myślał — z rodu naszego ostatni... ale tem większa ofiara. Co Bóg przyznaczył, niech się stanie... tylko go bez Saracenki nie puszczę...

A jak mu ją tu dać? Jak mu dać...

Zadzwonił, zmierzchało, wszedł chłopak ze świecami pod umbrelką w progu rzekł, jak to był obyczaj, gdy wnoszono światło, na pamiątkę Chrystusa, który światło przyniósł na ziemię:

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki...

— Gdzie panicz! Karolek?

— Jest pono w pokoju...

— To mi go tu poprosić...

Po chwili otwarły się drzwi i wszedł Karol blady, trochę zmieszany. Stary nań popatrzał.

— Gdzieżeś to waszeć bywał, com ja cię tak długo nie widział?

— Nie śmiałem dziadkowi przeszkadzać.

— Albo to ty nie wiesz moich godzin?

— Słuchaj no — dorzucił po chwili namysłu — a jam ciebie tu właśnie potrzebował.. Wszak to tu od ogrodu, jak się drzewa rozrosły, wilgoć się zakrada do mnie; trzebaby mi broń poczyścić i ol wą trochę potrzeć, bo już się plamki od rdzy pokazują...

— Rdza? tutaj? — spytał Karol.

— Tak, i co najgorzej — jeszcze mi gotowa do Saracenki się dobrać, bo tu wisi na ścianie, a w tej ścianie wilgoć.. już się boję o nią.

Karol pokraśniał, serce mu uderzyło, spojrzał, wisiała staruszka na swem miejscu.

— Ja to sobie myślałem — począł pułkownik — że może jużby ci ją powierzyć czas... ale mi tu na ścianie dziurę zrobi, oczy nawykły patrzeć.. Jakąż ty masz szablę?

— A starą, tę, co od dziada.

— E! kujawiaczkę! prawda! dobra, dobra, ale zawsze to nie Saracenka! nie! — dodał, zdejmując powoli relikwię — To mospanie, klejnot... nie wiem, ile pokoleń Plutów ją nosiło, nie jedna ją kropla krwi pogańskiej odżywiła... Tę szablę z życiem się chyba oddaje...

— Słuchaj , Karolu rzekł po namyśle... przynieś no mi tamtą kujawiaczkę... zobaczę... może i pohandlujemy... bo się tej rdzy boję...

Karol, jakby go rzuciło, poleciał, i w mgnieniu oka z ową swoją powrócił. S ary ją dobył, popatrzał, świsnął.

— Dobra, składna — rzekł — ale zawsze to nie Saracenka... utrzymana porządnie, czysto... lubię tak! No, no! to ci może pora i najdroższą.. pożyczyć...

Karolowi serce biło, mało się nie wyrwało z piersi, załamał dłonie i padł na kolana przed dziadem.

P łkownik zwolna podniósł do góry szablicę.

Łza mu padła na żelezce; ale ją starł prędko rękawem.

— Daj — ja ci sam pzypaszę...

Staremu rę e się trzęsły, ale spiął rapcie na Karolu.

— A teraz — rzekł, ręką trąc czoło stary — idź, Saracenkę odnieś, swoją mi tu powieś i nikomu o tem nic... rozumiesz, bom ci ją... pożyczył!

Co się działo chłopakiem, nikt nie wypowie... dla niego były to cuda... Szablę, szablę tę, o której marzył, dostał tego wieczora.. gdy o północy miał się puścić w drogę — nie byłże to cud prawdziwy?

Powracał rozmarzony do dworu, gdy dzwonek na wie zerzę wołający, dał się słyszeć...

Dziaduś rzadko lub prawie nigdy na wieczerzę nie chadzał, bo jej też nie jadał, już mu bowiem na sen szkodziła.

Bywały jednak, dnie, że się przywlókł dla gawędy, a wówczas przysuwano szerokie krzesło skórą obite i miejsca swojego ustępowała mu pani Jakóbowa, czasem pół kieliszka wina wypił i chlebem zakąsił. A była to wielka uczta dla wszystkich, gdy się stary pokazał, słuchano go pilnie, bo mówi o dawnych czasach... Miło było siwą jego brodę widzieć przy tym stole.

Otóż i tego dnia cudów, gdy zadzwoniono na wieczerzę, pułkownik też zadzwonił i kazał się do stołowej sali przeprowadzić.

Powoli już się tu cały dwór zbierał. Był i Bernardyn, kapelan i stary ubogi szlachcic podróżny, wołokita, co nigdy nie mijał Skały przyszedł z nim Poremba, zwlekli się garbus i Krzywaczyński i pan-

na Kunegunda, nadeszła wreszcie jejmość z Ewusią i pan Jakób o kiju, z ekonomem razem.

Stół był długi, skromnie zastawny. Nim zasiedli, stali wszyscy przy swych miejscach, a berbnardyn modlitwę odmawiał, chleb wieczorny błogosławiąc. Pułkownik zwykłe swe miejsce zajął w końcu stołu, dalej przy nim pan Jakób, Jakóbowa, za nią Ewusia, przy ojcu Karol, tuż rzędem mężczyźni i kobiety, każdy wedle wieku i znaczenia. Kapelan wedle reguły zakonu św. Franciszka, przez pokorę, zajął ostatnie miejsce od szarego końca.

Dzień to był, jakich mnogo w roku, nic uroczystego nie odznaczało go, przecież czuli wszyscy, że ta chwila jakąś stanowczą, ubłogosławioną była. Twarze oblekła powaga i smutek spokojny, chylący się pod dłonią Bożą, usta się otworzyć nie śmiały, długie milczenie trwało po modlitwie. Obcy tylko szlachcic, akomodując się, pierwszy począł mówić o konfederacyi i konfederatach. Sluchano go wśród ciszy, Poremba czasem słowo wrzucił, Bernardyn drugie... rozmowa nie szła.

Coś wionęło po wszystkich, jakby dziwnym duchem tęsknoty...

Gdybyś im w oczy popatrzył, to choć usta się śmiały, tu i owdzie łza powieki wilżyła, ale zakręciła się i wypłynąć nie śmiała... zgorzała w oku...

Usta drgały.

Ojciec spoglądał na syna, a obawiał się, ażeby jego zwroku nie dośledził, matka go jadła oczyma, bała się, żeby tego nie dostrzegł, niespokojnym wzrokiem mierzył go Poremba. Tylko dziad raźny, wesół, nalawszy kieliszek wina, odezwał się do przybyłego szlachcica:

— Mój Mospanie, a co? wypićby może za zdrowie i sukces panów konfederatów. Ale między nami... po cichu...

Bernardyn dodał po cichu:

— "Fiat! fiat!"

Szlachcic wstał, pokłonił się i duszkiem wychyliwszy, kieliszek na dłoń przechylił, na znak, że kropli nie zostawił.

— O temby dużo mówić nie trzeba — dodał pułkownik ani co się dzieje, ani gdzie, bo źli i głupi uszy mają, drudzy i języki długie... a wojna nie cierpi zbytniego paplania... Nie tyle zdradą, co płochością ludzie giną... Bogu ich polecić i — sza!

Obnoszono potrawy, mało kto je tknął, patrzali się wszyscy, udawali, że jedzą, tylko Poremba, Krzywaczyński, szlachcic po-

dróżny i bernardyn dotrzymali placu. Matka ledwie chleb złamała, w usta jej nie szło...

— Siedzimy coś jak mruki! — odezwał się pułkownik, choćby nie o konfederatach, byłoby o czem pogadać... Tak, nie potem...

— Ponieważem się tu do was zwlókł, wypiję jeszcze kroplę za wasze zdrowie i powodzenie.

Spojrzał zdala na Karola i ustami dotknął kieliszka.

Syn i synowa w rękę go pocałowali, zatem wieczerza zbliżyła się do końca. Staruszek posunął krzesłem, bernardyn wstał i począł modlitwę dziękczynną odmawiać... Wszyscy poszli ucałować rękę gospodyni, ścisnąć dłoń gospodarza. Gdy Karol przystąpił do matki, uczuł, jakby jej ręka drżała... mimowolnie schyliła się, dotknęła usty czoło jego.

Zwykle po krótkiej chwili rozchodzili się wszyscy.

Karol uczuł zbliżającą się godzinę uroczystą rozstania, na jak długo? nie wiedział. Może na życie całe! wzruszony, niespokojny, to na rodziców, to na dziada, to na Ewusię spoglądał.

Czuć było jeszcze we wszystkich dziwny smutek i tęskne jakieś usposobienie bolesne: twarze oblokła powaga uroczysta, czoła były posępne, cisza jakby anioł przeleciał, towarzyszyła w tej chwili.

Dobranoc szedł Karol oddawać każdemu z osobna, tym razem dziadek kazał mu się jeszcze odprowadzić do swego pokoju.

— Chodźże no waść ze mną! — rzekł.

A gdy wstąpili na próg komnaty i stary siadł w krześle, pułkownik popatrzał nań długo.

— Przypomniałem sobie — rzekł — że jeszcze ci się coś do Sąracenki należy... kto ją nosił, ten brał i ryngraf z Matką Boską... Zdejmże go sobie i powieś tymczasem nad łóżkiem.

To mówiąc, ścisnął go dziad za głowę, wskazał na ścianę i rzekł poważnie.

— Dobranoc, chłopcze — dobranoc.

A dopiero, gdy się za nim drzwi zamknęły, pułkownik, łzę otarłszy, krzyż pański za nim posłał.

Nie było to wszystko cudem? Karolowi w głowie się splątało, serce coraz biło mocniej...

Poszedł do matki, ale ta słowa wymówić nie mogła, aby się nie rozpłakać. Gdy ją w ręce całował, przycisnęła głowę do piersi, a

sama, gdy się drzwi zamknęły, poszła wprost do klęcznika. Z drugiego pokoju widać było z za uchylonych podwoi bladą twarz Ewusi... Karol skinął jej głową i ręką, i tak pożegnali się milczący.

Na ostatek wszedł do ojca; pan Jakób siedział jak przybity, z głową spuszczoną. Podniósł ją, gdy syn wszedł, na twarzy widać było smutek i troskę... podał rękę synowi wedle obyczaju i pocałował go, nic nie rzekłszy.

— Nie ma ojciec nic do rozkazania?

— Nic, dziecko moje, niech ci Bóg błogosławi we wszystkiem.

Odwrócił się.

— Dobranoc.

Teraz już Karol leciał do swojej izdebki, gdzie na niego miał oczekiwać Staszek. Maleńkie juki wcześnie porobione były, ale pochowane pod łóżka. Trzeba jednak było czekać, aż się wszystko uśpi we dworze, by konie po cichu wywieść ze stajni i niepostrzeżonym puścić się w drogę... a godziny wlokły się tak powolnie.

Pierwszy raz w życiu, puszczając się w świat, jakże bije serce młode! Nie jest to bicie na trwogę, ale niepokój siły, która po raz pierwszy niecierpliwa spróbować się pragnie.

Karolowi paliła się twarz, Staszek był smutny. Obraz matki, starej jego matuchny zapłakanej, stał mu przed oczyma; żal mu było spokojny kąt opuszczać, ale panicza za nieby nie porzucił.

Wszystko było gotowem.

Wyjrzeli oknem raz, czy nie pogasły światła we dworze; paliły się świece u starego pana, widać było blask od okien jejmości, na górze, w okienku u Ewusi, błyszczało jeszcze... w sieni dogasał ogień na wielkim kominie.

Wśród ciszy ze dworu starego słyszeli, jak zegar wybił jedenastą.

Karol męczył się z wyczekiwaniem i już chciał się w drogę wybierać, bo i suknie zmieniać musiał, gdy zastukało w sieni, drzwi niespodzianie skrzypnęły i wszedł, rozglądając się po izdebce, Poremba.

— Cóż to? jeszcze nie w łóżku? — zapytał.

— Rozbieram się właśnie — rzekł, rzucając na prześladowcę prawie dzikie wejrzenie Karol, ale czemuż wy nie śpicie?

— Ja? at! głowę mi nabechtał szlachcic, prawiąc o konfederactach, że się spać odechciało. Pomyślałem sobie, zajrzę, co też się tu u was dzieje, bom czegoś niespokojny...

— No? czegóż? o mnie? — opryskliwie spytał Karol.

— No, no, nie gniewajcie się — sza — no, nic, nic, paneńku — rzekł Poremba... at w starym czerepie lęgną się dziwolągi.

— Ale dajże mi spać — zawołał Karol.

— To też tylko dobrej nocy życzę... — Wyszedł wreszcie, Stach i Karol spojrzeli po sobie.

— Ten coś już zwąchał — zawołał gorąco Karol — idź ty mi za nim i patrz, czy się spać położy.

Minął dobry kwadrans, we dworze jeszcze ten i ów się kręcił... noc była choć ciepła, ale czarna i posępna, wiatr chwilami zawiewał nagle i znów po nim cisza, jakby co przeleciało i znikło — kiedy niekiedy z pośrodka ponurych chmur błyska gwiazdeczka i zgasła.

Nareszcie na podwórzu, we dworze, wszystko usnęło, światła z kolei po jednemu pogasły, tylko na górze u Ewusi ciągle jeszcze błyszczało. Karol, zrzuciwszy odzież codzienną, przywdział kurtę, buty, pas, pistolety, szablę Saracenkę przywdział z uczuciem dumy do boku, ryngraf pod szyję, ręce mu się trzęsły... Staszek i on wzięli juki i cicho na palcach wysunęli się ze dworu.

Przechodzą dziedziniec, obrócił Karol oczy na stary uśpiony dwór; zdało mu się — ale to było złudzenie, że z okna na górze cień jakiś się wysunął i ręka z chustką powiała... Nie! Któżby go mógł dojrzeć w tych ciemnościach?

W stajni, dziwna rzecz, konie zastali gotowe; nie wiedzieć kto je bez rozkazu posiodłał... to była zagadka.

Staszek, trochę po wiejsku przesądny, zląkł się. Złą to, czy dobrą było wróżbą?

Jeszcze kroków parę, a między tym światem cichym, któremu zegar wybija powolnie godziny, a nowym, dzikim, strasznym, nieznanym, stanie przepaść nieprzebyta...

Dosiadłszy szpaka, odwrócił się Karol ku dworowi.

— Żegnajcie mi! żegnajcie! — zawołał w duszy; niech błogosławieństwo Boże spoczywa nad wami, kochany dziadzie, rodzice i ty — gwiazdeczko moja! Niech nic spokoju waszego nie zakłóci!

Spiął konia ostrogami i nie odwracając już oczów ku czarnemu dworowi, śpiącemu w drzew kolebce, rzucił się boczną drogą, do-

brze znaną; dwa konie pokłusowały szybko, chrapiąc i parskając...

Wśród ciszy nocnej ucho starego wojaka, dziada Adama, pochwyciło tentent głuchy i znów w tę stronę krzyżem gonił za zbiegiem.

— Błogosławieństwo Abrahama i Jakóba...

Powtórzył ,łza srebrna spadła na siwą brodę.

KSIĘGA II.

Konfederaci

Są wielkie w dziejach godziny, przygotowane wiekami, rozciągające dłoń swą na wieki; czuje ludzkość, gdy nadchodzą, chociaż nie włada niemi i z pod ich jarzma wybić się nie może. Pchają one w przepaść, którą widzi upadający pod stopami, ale się już powstrzymać nie może.

W łonie lat tajemniczo gotuje się ta przyszłość i wystrzela jako liść roślinny nad ziemię, a rośnie w potężne drzewo.

Napróżno rozum ludzki chciałby życia wodze pochwycić — sądzi on o przebieżonej drodze, ale jej przygotować nie umie. Często na opak całkiem to, co przeznacza ku budowaniu, służy ku ruinie. Gdy klęskom zaradzić pragnie, tylko swą bezsilność wyprobowywa.

Ta walka wiedzy człowieka z jego losem, to fatalizm dziejowy, ciągnący się od lat tysiąców.

Nie mogąc złamać starożytnego Fatum, chrześciaństwo położyło na nim krzyż i stało się Opatrznością.

Myśmy słabi... w gruzach już widzi oko nasze jasno, co było przyczyną upadku, lecz gdy pokruszyć się miały, kto baczył?

Azali kiedy pomogły przestrogi proroków i głosy wołających, i rozumu przestrogi, i jęki tych, co przeczuwali upadek?

Ponad ziemskie walki... stoi na siedm pieczęci zawarta księga prawa Bożego... a nikt nie czytał w jej kartach, póki się nie spełniały wyroki.

Jak nad ciałem człowieka nagle tkniętego ręką Pana, który padł pośród drogi bez życia — staje gmin i patrzy, i rozprawia, kędy weń weszła śmierć i jako nań zstąpił piorun —, tak nad rozpadłym trupem narodu stoją wieki rozumu ludzi i żale ludzkie rozprawiając — dlaczego żyć nie mógł?

Ale życie narodu, jak żywot człowieka, tajemnicą jest.

To, czem żywot się posługuje, narzędzia jego są jawne dla oczów ludzi — ale duch, co w nich żywie i niemi rządzi — zagadką jest Bożą. Tylko wielkiej boleści potęgą i jasnowidzeniem proroczem odsłonić można błyskawicznie tajemnicę Bożą — ale odkrytą nawet, kto dojrzy, obejmie, wypowie?

I umierają narody jako ludzie, a śmierć ich płaczą wieki, nie pojmując jej, i kładą się do grobu narody uśpione, omdlałe a żywe, około których gmin rozprawia umarły, czy żyją?

Któż to powie — a kto kiedy zbada tajemnicę Bożą!

Taką tajemnicą był żywot Polski.

Pozostała majestatyczna przeszłość, tak niepojęta, jak niewysłowioną jest boleść teraźniejsza... zagadką.

Nad ciałem stoi tłum, jedni krzyczą i wołają: umarł! drudzy płaczą i szepczą: żyje!

Straszna godzina Bożych wyroków spełniła się na Polsce.

Nic dramatyczniejszego nad te chwile, przygotowujące walkę wiekową.

U progu ich, jakby ślepotą rażony, naród zabywa swych tradycyj, wiary swej, przestaje ufać w swą siłę, blednieje omdlewa, słania się w konwulsyjnych ruchach, szukając sił do potargania więzów — a słabnie.

Przybiegają ze wszech stron lekarze i szukają formuły zbawienia.

Każdy z nich jasno widzi przyczyny upadku, każdy je przecie inaczej określa, wreszcie znaleźli mędrkowie defekt organiczny i zawyrokowali: — Żyć nie mogła.

Dlaczegoż wieki z nim żyła? Czy on wzrósł? czy ona zmalała? Kaleką więc będąc, była potężną, silną, zwycięską, przez dziesięciowiekową przeszłość!?

Nie — aleście wy ślepi, ludzie rozumów i rachunków chłodnych, i nie zajrzeliście w tajniki żywota — niedostępne waszemu oku.

Wzięliście księgi z literą prawa i rzekliście, że w prawie tem tkwił zaród śmierci.

Dlaczegoż żyjąc nim, była potężną i świetną?

Widzieliście tylko to, co było napisane, co martwą było głoską hieroglifem — ale żywot Polski nie zawierał się cały w tem, co napisane było... a tradycye dopełniające wywietrzały i znikły.

Dotknął Bóg właśnie tem, że ten duch, co ożywiał prawo, co je poruszał... co stanowił istotę narodowego życia, zatracon został... Reszta jest niezrozumiała, bo stała się niepełną.

Ostatnim czynem starej Polski, w którym tradycya wciela się jeszcze i przychodzi do najostateczniejszego szczytu wielkości — jest Sobieskiego ofiara — dla nieprzyjaciela!!

Jest to ostatnia też epopeja nowszych dziejów... epopeja chrześciańska, heroiczna, na tle polityki egoizmów i materyalizmu.

Polska zamyka swój żywot rycerski a chrześciański... ofiarą — i jakby po tym wysiłku wyczerpała się cała, upada znękana i bezsilna.

Dziejopisarze w tym bohaterskim czynie zaparcia się widzą tylko szaleństwo — dowód, jak im cała przeszłość jest zakrytą i niepojętą.

Ale od chwili, gdy ręką Jana spełnił się ów najświetniejszy czyn poświęcenia, podjęty dla idei, na korzyść tych, co nazajutrz do rannych obrońców swoich u wrót Wiednia strzelali — ciemności ogarniają nieszczęsną Polskę. Poczyna się krzyż narodu, od dwóch panowań, które do reszty ścierają z jego czoła znamiona starego posłannictwa... Wszystko powszednieje, maleje, spada, karłowacieje. Co było wielkiem, przeradza się w dziwaczne, co było heroicznem, w dziecinne, jakiś paraliż odrętwia członki tej społeczności, idącej samopas.

Wodza nie ma, myśli nie ma, Bóg poskąpił posłannika, tłumacza, Mojżesza, któryby wiódł przez pustynie.

Stu uczonych geografów układa drogi — ale któż natchnienie wiedzą zastąpić potrafi?

A natchnienie zostaje przeklętem, ludzie wystygli zowią je chorobą, obłąkaniem.

Życiem chorobliwem, nie swojem już, nie cudzem, ale potwornie skoszlawionem, żyje Polska za dwóch Augustów, którzy ani języka, ani idei narodu poddanego sobie nie rozumieją.

Jest to niewola, w której aby żyć, swego żywota wyrzec się potrzeba. — Maleją ludzie, drobnieją pokolenia — ostatek spuścizny duchowej ulatuje.

Naród, co zgubił myśl przewodnią, szuka jej w pucharach i, znajduje w nich odżywienie serca i dłoni... ale nie ducha. Wśród biesiad palą się czoła — ale Bóg pomieszał umysły, oślepił, oczy szable krwawią bratnie piersi.

W łonie tego chaosu rośnie cudzoziemskim rozumem karmiony maleńki człowiek.

Jest to mąż, jakiego potrzebował Bóg na pokaranie narodu, piękny, uśmiechnięty — dobry a zepsuty i zgniły, bojaźliwy a spartańską cnotę ceniący tylko na starym włoskim obrazie. Żelazo go przestrasza, ale nie kradzież i rozpusta... byle w koronki była strojną i mówiła po francusku.

Stanisław woli być występnym, niż okazać się nieprzyzwoitym i niegrzecznym. Gdyby mu dawać przyszło takie charakterystyczne imienisko, jakie nosili Śmiały i Chrobry, stosowniejszego znaleźćby niepodobna nad — Stanisław Grzeczny.

Jest to mąż nowej epoki, który nie wierzy w nic, a ma na sobie tylko zeschłą skorupę Polaka, obwieszoną łachmanami błyszczącej cywilizacyi.

Kocha słowo, pismo, poezye, muzykę, malarstwo — ale się brzydzi czynem. Człek to malowanego życia, cały sztuczny, ze sztucznem uczuciem i rozumem, ale — jako automat Vaucansona w swym rodzaju, arcydzieło.

Ilekroć do czynu wzywa go dzwon wiecowy narodu — blednie i idzie szukać pociechy w kunszcie, który odtwarza fałszywe wizerunki życia. Fatalność, co tego wycieńczonego gacha na tron rzuciła — rozbudza naród; poczyna on się wysilać do życia — ale rozpusta dwóch panowań bezmyślnych — straca tradycyi, pchają na fałszywe drogi.

Słup ów ognisty, co wiódł naród przez wiekowe pustynie — zagasnął, każdy go chce zastąpić swoją latarenką... z latarniami idzie naród w dalszą drogę, w smutną drogę błędów. Lada wiatr gasi te latarnie... w wielu oleju zabrakło, zanim się w drogę puściły.

Rozpoczyna się tragedya od tego wyboru. Pierwsza to scena dramatu nieskończonego po dziś dzień.

Któż potrafi odmalować tę epokę i tego króla wzdychającego z hetmanem Ogińskim i hetmanową Branicką nad nieszczęściem ojczyzny?

Polska — wstaje nareszcie, porusza się — ale w ciemnościach nie wie, kędy ma iść, szuka u obcych światła, u obcych pomocy, pieniędzy u obcych i oręża; u obcego mędrca nowej praw księgi...

W niedodstatku tradycyi żąda od rozumu, aby jej formułę życia stworzył... rozum, jak Albert Wielki, smaży jej Homunculusa — bez duszy.

Im dalej, tem historya króla i narodu stają się niezrozumialszemi — jest w nich dwie twarze, które się sobie sprzeciwiają nieustannie. Zaledwie się wpatrzyłeś w jedną, już ci wykręciła się głowa i pokazała drugą swą stronę, która tak jest białą, jak tamta była murzyńską.

W każdym z tych Polaków skarlałych jest niemal dwóch ludzi, a niema — człowieka... jest jeden, dziecko przeszłości, który w zetknięciu się z jej duchem na chwilę odżywa i drugi, stworzonko teraźniejszości, bojąc się, aby ona go nie pożarła.

Książę Józef odsyła ordery stryjowi i dymisyę, a opuszcza szańce dla imienin faworyty.

Wiek to niezrozumiałych sprzeczności i uorganizowanego chaosu.

Nawet najszlachetniejsze charaktery, najjaśniejsze umysły mają chwilę zwątpienia, omdlenia i upadku, jak najsłabsi mają godziny podźwignienia i przejrzenia... Ale nic nie trwa... wszystko się kruszy... Dzień jeden nie jest przepowiednią drugiego, jest jego zaprzeczeniem.

Lat cztery, cztery wieki targa się naród w pętach... są to lata epopei i poświęceń. Poświęcenia te, poczęte jasnością wielką, spadają gdzieś, topiąc się jak meteory na trzęsawiskach i błocie, jak gwiazdy spadające, które lgną w zatęchłych kotlinach...

Po jasnych wstęgach bohaterstwa, czarne smugi niedołęstwa.

Shakesperowski dramat, w którym Hamlety ocierają się o Poloniusów... a krzyk boleści graniczy ze świstem ulicznego szyderstwa.

W chwili, gdy rozpoczynamy opowiadanie nasze (dramat wiekowy) — wysiłek ludzi, przysięgą związanych w Barze, już wyczerpywał się i zwiastował rychły ich upadek.

Pierwszem złowrogiem oznajmieniem jego była klęska Stołowicka.

Zwyciężonym był człowiek, który do ostatniej godziny zwlekał odwagę, nie śmiejąc wyrzec, po jakiej staje stronie.

Resztki barskich żołnierzy i francuskich dowódców (bo nam i na wodzów nie stało) biły się jeszcze bez nadziei wygranej.

Radzić trzeba było na obcej ziemi, bo w swojej kąta nie mieli bezpiecznego. Generalność nosiła się z Turcyi do Preszowa, do Cieszyna, do Białej, po węgierskich, szląskich i niemieckich potem grodach.

Wielka rozsypka narodowa już się poczynała, puszczali się wszyscy na żebraninę po Europie, po dworach, po gabinetach, po przedpokojach, ofiarując Polskę za małą cenę, jako rzecz, krtórą chce dłużnik od wierzyciela wykupić. Nikt nie chciał tego klejnotu, który blask swej idei utracił, dyament ten wydawał się szkłem przepalonem.

Na jasnej Górze w Częstochowie, w tem miejscu, co widziało cudowną obronę Kordeckiego, siedział jeszcze Kaźmierz Pułaski, ale on jeden może z całego zastępu miał tę wiarę, co Szweda krzyżem i modlitwą pobiła... I on nawet słabszym uwieść się dawał, i on znęcił się na porwanie króla — lalki z rąk Salderna w nadziei, że go konfederacya potrafi przerobić na prawdziwego pomazańca Bożego.

Wiedziano w istocie, że to był król, z którego każdy robił, co chciał, płakał i śmiał się, byle go kto o to pięknie poprosił.

Naówczas odegrał się ten tajemniczy dramat w stolicy porwania, uwięzienia, ocalenia...

Pomięte koronki odchuchawszy, król z uśmiechem zaręczał, że byłby, zawieziony do Częstochowy, nawrócił elokwencyą swą konfederatów, jak oni ręczyli, iżby byli przerobili króla.

W tej historycznej zagadce do dziś dnia jest ciemno... to pewna, że ona zwiastuje upadek związku, a posługuje wielce królowi.

Głucha przelatuje wieść, że część tej teatralnej historyi podrobioną była umyślnie, aby królowi wyzyskać oklaski i współczucie dlań obudzić.

Scenicznie to wygląda.

Tymczasem we Francyi, która już przysposobiła się być tą starszą siostrą Polski, jaką później została —zmienili się ludzie, potrzeby, kochanki i gorące współczucie dla biednego kraju. — Turcy także nie potrzebowali już posługiwać się barskimi rycerzami.

Rozbitki tułały się po Europie, nim dzwon ostateczną rozproszenia uderzył godzinę. Krasiński z Turcyi jechał do Waradynu, z Waradynu do Preszowa; Ogiński szukał spoczynku w Saksonii i wygodnego kąta u Niemców.

Ostatki konfederatów w walce z samemi sobą, stały patrząc nie w niebo, ale na ziemię.

Codzień rycerz ubywał, wódz odpadał, wygnaniec nowy się ziawiał, zwyciężony uchodził.

Brakło człowieka; najczystszego, Pułaskiego, złamała i zgniotła listopadowa komedya z królem, Krasińskiego spór z Potockim, Zarębę strach o wioski i dwór.

Zwolna sznury wojsk przemożnych sąsiadów wpajały się w martwiejące ciało rzeczypospolitej.

Takim był koniec 1771 roku i początek 1772, gdy długo wyczekując chwili pochwycenia za broń, Karol wreszcie nocą zbiegł z rodzicielskiego domu.

Dla niego dopóki stał w polu jeden żołnierz i trwał bój, była zwycięstwa nadzieja — młodem sercem nie liczył on wojsk, ale ufał w dobrą sprawę.

Noc była czarna, posępna, ale cicha... w powietrzu już zalatywało tchnienie wiosny... dwa konie leciały drogą, jakby przeciw losom biegły. W stronę ku Krakowu było najbliżej, ale gościńce przecięte... przedrzeć się trudno i niebezpiecznie... Umysł młody wabiła Częstochowa, Jasna Góra, z jasnym wodzem, chorągwią i nadzieją.

Tamby był chciał iść walczyć...ale jak się przedostać przez snujące się kupy żołdactwa, które po gościńcach plądrowały i chwytały, nie wiedział.

Pobożne dziecko sądziło w dobrej wierze, iż ten Bóg, co mu dał natchnienie, powinien go był sam zawieść na miejsce przeznaczenia jego.

Nie szukał więc przewodnika, było nim — serce wielkie.

Zdało się Karolowi, że byle wyszedł w pole, duch, co go natchnął, ręka niewidzialna ująć go miała i powieść na boje... konia nie wiódł sam, bo go już zwierzył tej dłoni —

Od tej chwili cwałował jakby snem ujęty.... był w gorączce, żył marzeniem, przed którem przelękła rzeczywistość cofnąć się musiała.

Nie wiedział jak długo biegli i w którą stronę od Skały gdy Stach przytomniejszy od swego pana, czując się zbłąkanym, przeląkł się o Karola. Kilkakroć starał się wykrzykiem cichym napróżno zwrócić jego uwagę. — Koń i jeździec cwałowali niepowstrzymani.

Wśród nocy ciemnej ledwie drożyny widać było. Karol, czy koń jego, wybierał zawsze najmniej dostępną, najdzikszą, jakby chciał uniknąć pogoni za sobą.

Wistocie, Karol podejrzewał, że podejrzliwy Poremba musiał czatować i mógł gonić, dopaść, doprowadzić: myśl sama krwią mu twarz oblewała, czoło sromem.

— Panie, panie! — odezwał się wreszcie Stach po długim biegu, zaczynając się rozpatrywać w okolicy — panie, wszak to my zajechaliśmy gdzieś pod Ojców ku Pieczarom... a nam trzeba było pono gdzieindziej...

W istocie wśród ciemności nocnych ukazujące się skały coraz wyższe, zwiastowały górzystą okolicę... Karol odwrócił się, nie wstrzymując konia, obejrzał nic nie widząc i westchnął.

— Gdzieindziej — rzekł — tak, może chciałem w inną stronę, ale Bóg nas, gdzie każe poprowadzi. Co się ma stać z Jego woli to się stanie.... Co mi tam... byłem na chorągiew swoją i braci mógł trafić! pierwszy lepszy wskaże nam, gdzie jej szukać.— Powiedz mi lepiej, czy daleko jeszcze do dnia... długo nas jeszcze ta ciemność oślepiać będzie?

Stach, wiejskie dziecko, przywykłe zegara dnia i nocy szukać na niebie, po gwiazdach i zorzach szukać godziny, popatrzył w niebo, o ile chmury i las dozwalały.

— E! chyba jeszcze do dnia daleko! — zawołał—po północy ledwie, konie okrutnie zhasane... Drugie kury jeszcze nie piały...

Tych słów domawiał, gdy konie się nagle żachnęły i głos zabrzmiał nad uchem.

— Stój! kto jedzie? Hasło?

— Hasło! hasła nie mamy — zawołał Karol z wybuchem radości: — Hasło! na co mi hasło!

— Zkądże jesteście? z jakiego oddziału?

— Z żadnego jeszcze... ale jutro będę należał do waszego, jeżeli wy należycie do konfederacyi — rzekł Karol. — Jadę się zaciągnąć. Prowadźcie mnie do obozu.

Niewidzialna ręka w ciemności schwyciła konia u pyska.

— Zobaczymy! — odezwał się głos — za mną! do obozu.

Przewodnik szedł spiesznie, konia z jeźdźcem wiodąc za sobą.

Niecierpliwe chłopię próżno mu zadawało pytanie, niewidzialny ów żołnierz milczał lub pomrukiwał coś niezrozumiale.

Chwilami zdawało mu się, że idąc, kończył jakąś rozpoczętą modlitwę.

Wszystko to cudem świeciło dla Karola.

— O mój Boże! — powtarzał.

Stach, trochę więcej strwożony, niespokojny, jechał za panem milczący.

Gdy się na pagórek nieco wdrapali, a jaśniejsze niebo ukazało, przewodnik malował się na nim barczysty, szerokich ramion, zbrony, z czapką, po której poznać było można konfederata... Nad barkami sterczała mu strzelba i lekkie drzewce z proporczykiem.

Lecz zaraz puścili się znów w gęstwinę czarną i ścieżyną wąską drapali się pomiędzy skałami, aż stanął niewidzialny strażnik i dał hasło:

— Jezus, Marya, Józef.

Na głos ten z lewej strony góry wysunęło się kilka milczących postaci czarnych, których rozeznać było niepodobna, i po chwili otoczyły Karola i Stacha. Nic słychać, nic widać nie było... czuli tylko, że końmi nie władli, bo je wiedziono dalej. Po chwili ktoś zbliżył się i rzekł:

— Z koni! do pułkownika!

Karol zeskoczył spiesznie, serce mu biło.

— To mój luzak, ten przy koniach zostanie — rzekł — ja za dwu idę.

Nie było więcej pytań, ni rozmowy; przed młodzianem szedł jeden, za nim w ślad drugi; ścieżka ich wiodła gdzieś w ciemności ku górze. Mówiono o obozie, ale nigdzie ani ogniska, ani śladu obozowiska dostrzedz nie było można.

Noc czarna, posępna zalegała dziką, pustą okolicę, zarosłą krzewami, obnażonemi jeszcze, zarzuconą obrywami wzgórz opoczystych... Gdzieniegdzie dojrzeli coś na kształt ścieżynki wąskiej pod wysoką skałą nagą, to znów wspinali się pomiędzy obrywy, parowami i spuszczali przez wąwozy, ponad któremi drzew skielety zwieszały gałęzie suche. Na tle nocy wszystko to olbrzymiało, przybierało kształty dziwne, wyrastało w widma i widziadła poczwarne. Niekiedy górą błysnął szmat nieba... to znów przez splecione gałęzie, jakby z za kraty, trochę jasności, a potem szare mroki, a wreszcie nieprzejrzane nocy przepaście.

Karolowi zdawało się, że stąpa po chmurach, że idzie ku niebu, że się spuszcza w otchłanie i że przestał należeć do świata powszedniego, a wkroczył w nieodganiony kraj cudów. Serce mu potężniało, tak właśnie pragnął on wnijść w nowe życie...

Przewodnik począł się spuszczać zwolna w dół, a Karol, podniósłszy głowę, nie dojrzał już nad sobą nieba szarego, ale jakby sklepienie czarne, ciemność jakąś nieprzebitą; owionęła go razem jakaś atmosfera podziemna... a w dalekiej głębi blade mignęło światełko.

Na niebie, czy na ziemi, rozpoznać było niepodobna.

W tej szyi, która się zwężała, wiodącej jakby do pieczary... spotkali nową straż... wymienili pocichu hasło.

Karol domyślił się wreszcie, że być musieli w jednej z tych pieczar okolic Ojcowa, o których słyszał nieraz, że się w nich, wedle podań, miał niegdyś ukrywać Łokietek... W nich to, opowiadały legendy... z dwunastu rycerzami u kamiennego stołu siedział Chrobry.

Czasem wilgotny powiew od wnętrza przeleciał, muskając mu twarz... czasem kropla z góry upadła, jak łza na rozgorączkowany policzek, gałązka jakby żywa trąciła, witając przechodnia. Światło w dali rosło, było to jakby gasnące ognisko.... przed którem przesuwały się zwolna czarne postacie.... niby cienie olbrzymie ludzi...

W słabym odbłysku tego ognia zarysowywać się zaczęły mokre ściany pieczary, ginące gdzieś w górze i połamane w ogromne bryły, jakby toporami duchów... Niby urągowisko i groźba, wisiał gdzieś obłam, który spać nie chciał, aby zawsze spadać się zdawał.

Ścieżyna stawała się szerszą, ludzie szli coraz prędzej i pewniejszemi kroki, oko Karola, ich wyprzedzało, serce biło... oswojony wzrok przebijał już ciemności i pochwycił obraz w istocie jakby z sennego wyrwany marzenia.

Tu u wnijścia podłoga była z ludzi, leżących pokotem... Kamienie to były zaklęte, czy znużeni żołnierze, oko z razu rozpoznać nie umiało. Przypominała się bajka o czarodziejsko w skałę obróconych rycerzach... Na nierównej tej, pogarbionej przestrzeni, gdzieniegdzie wystawała dłoń ściśnięta i groźna, podnosiła się zwolna głowa, którą sen schwycił czuwającą i zwiesił tylko, nie

złamał, jak uwiędzły kwiat na łodydze,.. Z pod dłoni rozsypane świeciły szable... jakby tylko co puszczone...

Ludzie to byli żywi... bo na szmer ruszyło się głów więcej, jakby z ziemi wyrastały, i w ciemnościach błysło kilka par oczów, jak wilcze ślepia jasnych i krwawych... Podniosły się milczące i opadły z westchnieniem.

Dalej, po za tym żywym wałem z ludzi, płonęło ognisko to żywszym blaskiem gałęzi, to dymem świecąc czerwonym... Jakiś wiatr podziemny przyciskał kłęby dymu do dołu, potem uwolnione dźwigały się i parły, uciekając gdzieś w głębie.

W lewo za tem żarzewiem, widać było pod skałą klęczącego starca. W ścianie wetknięty był krucyfiks czarny, na którym złocisty Chrystus połyskał.... w prawo, a w lewo stały dwie chorągwie, oparte o opokę... Na łamie złotej rozpięty Zbawiciel, na złotej lamie czarna Matka Boska z Częstochowy.

Starzec się modlił, przy nim w habicie bernardyńskim klęczał ksiądz z wygoloną głową i jak on, ręce miał wyciągnięte do Chrystusa.

Oba, odpowiadając sobie na przemiany i z cicha gorąco prosili Boga.

Twarz mnicha była żółta i sucha, a oko czarne i wpadłe... ręce jego zdawały się kośćmi bez skóry.

Starzec mógł mieć lat... któż zgadnie ile? Lata idą po ludziach, jak pługi po roli, na twardej zaledwie żelezce zedrze skorupę — miękką rozerwie do głębi — któż pozna, ile tam razy przeszedł pług Boży po twardem obliczu męża, co cierpieć umiał?

Był wzrostu tych, co w grobach leżą, a na których trumny trzeba było żłobić dęby kilkosetletnie; krzepki był i silny, a na karku wzbijała mu się dumnie głowa ostrzyżona nisko, z brodą obciętą krótko i spuścistemi wąsami.

Opięty był cały jakby suknią zakonną, szarą, wąską, rozprutą do końca po bokach, ujętą czarnym pasem skórzanym. Na szyi miał z grubych pacierzy różaniec czarny, a przy nim trupią głowę kościaną i medal i krzyż mosiężny, jak zwykli nosić mnichy.

Na lewej piersi u serca wyszyty był z sukna krzyż czerwony. Z pod szyi nie odpiął ryngrafu z Matką Boską Częstochowską.

U nóg jego na ziemi leżała czapka rogata z czerwonym wierzchem. Szablę na rapciach skórzanych miał u boku.

Ze złożonemi rękami żylastemi, z wielką pokorą i namaszczeniem, z podniesionem w górę czołem, modlił się gorąco i wzdychał — oczu nie odrywając od Ukrzyżowanego. Dalej nieco usłane widać było wcale nietknięte łoże żołnierskie. Mała książeczka pobożna, roztwarta na ziemi, tylko co snać była rzucona.

Usłyszawszy szmer i głosy za sobą, zwrócił się a skinął niecierpliwie, aby mu modlitwy nie przerywano. Żaden bo wówczas pobożny katolik nie przerwał służby Bożej dla sprawy ludzkiej.

Karol stał a patrzał, potem mu się same zgięły kolana i ukląkł, modląc się po cichu. Ale z krucyfiksu oko jego mimowolne pociągnięte szło na tego starca poważnego, który w blaskach ogniska chwilami promieniał, jak święty.

Z cieni dalekich głów kilka ciekawie wyjrzało... ale ich oczy tylko groźne i wąsy długie mignęły w dali i znikły.

Cisza była w pieczarze, tylko oddechy śpiących, jakby niewidzialnych duchów podziemnych stłumione jęki, odbijały się o uszy.. czuć było, że szły z piersi znużonych, zbolałych.

Starzec pochylił głowę, uderzył się trzykroć silnie w piersi i powstał powoli. Postać to była potężna, rycerska; czoło posępne, szerokie, ale spokojne, choć poorane, oczy jasne, usta łagodne, przecież nie śmiejące się zbytnio gwoli światu i ludziom.

— Oto, podróżny — rzekł głos z za Karola, który podniósł się z ziemi — wzięła go placówka w dolinie...

Stary patrzał długo.

— Kto? skąd? dokąd? — odezwał się spokojnie.

— Jestem Pluta ze Skały—jadę zaciągnąć się do konfederacyi.

Całą swą historyą w tych kilku prostych wyrazach zamknąwszy, chłopak pokłonił się rycersko.

— Ze Skały? to chyba wnuk pana Adama?

— A syn Jakóba... — dodał Karol.

— Cóż to tak późno, dziecko moje — zawołał pułkownik, ważąc słowa. — Czy ze zezwoleniem rodzica i jego radą?

— Późno w istocie — odpowiedział przybyły — ale bom właśnie czekał rozkazu rodzica... a nie doczekawszy się, poszedłem za głosem sumienia...

Stary przybliżył się i ręką ciężką położył mu na ramieniu, wpatrując się bliżej w twarz.

— O, dobra krwi stara, nasza! — zawołał — dobra krwi, coś tam to serce w piersi rozgrzała. Ależ, dziecko moje, w dni wesela

i nadziei przyjść ci było, a nie na dni ostatnie zwątpienia i rozpacznej walki! Jeżeliś nie ślubował....

— Ślubowałem w duszy mojej — przerwał żywo Karol — i nie złamię przysięgi.

Stary zamilkł, patrzył, w oczach mu pojaśniało...

— Dajże mi dłoń, daj — rzekł — tośmy towarzysze.

— Twoja niech mnie pobłogosławi jam prosty szeregowiec — odpowiedział Karol — a żem dach mój rodzinny opuścił bez błogosławieństwa, bez pożegnania, zastąpże mi starego dziada i rodzica...

Dwie drżące dłonie wyciągnęły się nad głową pochyloną Karola, a pułkownik milczał... lub może modlił się cicho... potem ręką prawą ujął dłoń Karola.

— Siądź i spocznij — odezwał się — pomówmy... Wszystko to dobrze, ale cóż myślisz z sobą? dokąd chciałeś się dostać? coś zamierzał?

— Myślałem tylko iść a bić się... chciałem tam być, gdzie serc i rąk brak może... a dziś, gdzie Bóg przyprowadził, zostanę.

— Dziecko moje... Bóg wielki... ja ci nic nie powiem... Bądź tą ofiarą, jaką być pragniesz, ale wiedz...

Tu się zatrzymał.

— Wiedz co poczynasz — dodał z namysłem. — Nie są to już świetne dni pierwsze konfederacyi; ani sławy, ani zwycięstwa nie spodziewam się dla nas. Myśmy straconym posterunkiem wielkiej armii przyszłości... Przyobleczeni w kir, o głodzie i chłodzie,.. bijemy się, bo cofnąć się nie godzi.... ale wybić się nie możemy... walczym tylko o mogiły... Szkoda mi cię, dziecko moje!

Starzec łzę otarł, jeszcze jego oczy mgłą zaszły.

— Ale — przerwał po chwili kończąc — źle mówię — żal mi myśli pomieszał. Któż wyroki Boże odgadnie? drogi jego niezbadane, ten wie, który z niebios patrzy, co z nas robaków uczyni... czy motyle jeszcze, czy kroplę gnoju...

— To też, ojcze — rzekł Karol — jam nie rachował ani na sławę, ani na zwycięstwo... poszedłem, bom pójść był powinien.

— Tak święcie czynisz — odparł pułkownik — ale gdy na ofiarę zabijają starego wołu, który już pługa nie pociągnie, mniej go żal... a tyś... w sile wieku!

— Jeśli rzeczy tak zrozpaczone — przerwał Karol — to wybyście raczej cofnąć się powinni. Stare głowy, w których żyje droga

dawnych czasów pamięć, potrzebniejsze nam są niż młode dłonie.

— Tak jest z nami — dodał — tyś wolny, bo nie przysiągłeś jeszcze... myśl i czyń wedle sumienia, albowiem stawszy się raz rycerzem Bożym, jak my, woli swej mieć nie będziesz...

— Jam już poprzysiągł w duszy... — zawołał Karol — a świadkiem miałem Boga... ślubowałem i nie cofnę się...

— Niech ci Bóg błogosławi, ja odciągać nie będę... — rzekł pułkownik.

Wiarę w Boga i siebie, to ognisko, przy którem grzaliśmy się wieki — zalano umyślnie... a głównie jego roznieśli na cztery wiatry.

Zamilkł, i była chwila smutnego rozmysłu dla starca, który ocierał oczy — a wesela dla Karola, w którem inaczej biło serce, bo się czuł jakby do nowego życia powołanym, wyświęconym zbroją i szablą na człowieka. Myśl wprawdzie wracała jeszcze po nad spokojny dwór w Skale, lecz zawstydzona uciekała od wspomnień dni szczęśliwych.

— Młodo, młodo wstępujesz do naszego zakonu — odezwał się pułkownik jeszcze. Biada tym, co go pojmują inaczej, a rachują się z nim po ludzku. Pójść jak na zabawkę z chartem w pole i wrócić pod strzechę, pocałowawszy rękę królewską i pokłoniwszy się, świętokradztwo i szyderstwo... Widzisz mnie,... mam lat sześćdziesiąt z okładem. Dwór, kędym się rodził, obrócili w perzynę, żonisko z żalu i tęsknoty zmarło, syna mi pod bokiem ubito... gdym blade czoło jego całował, a dusza mu z ust ulatywała... sam ranę dostałem... A jeszczem na posterunku...

I nie zejdę już z niego, chyba... ad patres...

— I ja przysięgam, że go nie opuszczę! — zawołał Karol.

Wymawiał te wyrazy, gdy się szmer zrobił u wnijścia, pułkownik stał niespokojny i parę kroków podszedł naprzód.

— Pewnie to Samocha powraca... — rzekł — ale co przynosi! Jeździł rozpatrywać się w okolicy... Od strony Krakowa włóczą się oddziały rosyjskie, a mnie właśnie chciałoby się do Tyńca..

W blasku ogniska ukazała się postać nowa, człek zdyszany, a mimo chłodu nocnego, ocierający pot z czoła.

Był to w istocie spodziewany Samocha, stary szlachcic, sługa a towarzysz nieoddzielny pułkownika Skiby, prawa jego ręka, choć dwóch ludzi mniej do siebie podobnych znaleźć było trudno. Stary pułkownik wyglądał na powstałego z grobu krzyżowca, Sam

cha zaś miał sobie właściwą postać oryginalną i fizyognomię, którą niełatwo było do czego porównać.

Człeczyna był mały, krępy, przysadzisty, do siedzenia w siodle stworzony, a oduczony od chodzenia po ziemi. Mimo małego wzrostu, kości snać miał grube, ręce żylaste i silne, łeb turzy, oczy w nim małe, wgłębione, ogniste. Twarzy ogorzałej towarzyszył wąs nieprzycinany, długi, spadający aż na piersi, biało-żółty.

O ile Skiba poważną, ten miał jakąś żartobliwą postać, niby obozowego trefnisia; uśmiechu z pod wąsa trudno było dopatrzeć, ale marszczki w koło ust i oczów go zdradzały. Cały obwieszony był świętościami, miał szkaplerze na piersi i różaniec przy zbroi i ryngraf ze św. Józefem, patronem dobrej śmierci, i krzyż wyszyty na lewym boku. Znać w życiu nieraz w opałach bywał, bo na czaszcze, na policzkach, na brodzie pełno było szram białych, sinych, czerwonych, głębokich; — pary palców mu u ręki prawej brakło, a na jedną nogę nieco nakuliwał.

Szpakowaty, czerwony, spalony, bystry i żywy był, choć stary.

Po półkowniku on rej wodził wszędzie, w rzeszy był jego adjutantem, powiernikiem, sługą.

On pierwszy poczynał pieśni i modlitwy w obozie i w potyczce; gdy głodno bywało, bawił a karmił żartami; w złym razie dodawał ochoty i humoru, szydząc z upadłych na duchu. Już mu wesołość tak weszła w naturę, że gdy raz posiekanego, na poły żywego niesiono, a krew zeń ciekła jak z beczki, jeszcze się do ludzi odezwał:

—Ot co juchy płynie darmo, gdyby tak z innego bożego stworzenia, byłaby przynajmniej kwaśna polewka...

O cudze życie tak mało dbał, jak o własne, tylko do pułkownika przywiązany był jak pies... Skiba go też kochał, choć się nieustannie sprzeczali.

Samocha wszedł, tarł czoło, stał, z twarzy znać było frasunek, choć go w sobie taił.

— Cóż ty tam przynosisz, Samocha?

— A no, pułkowniku, dobrego teraz na targu nie dostać — odparł, skrobiąc się po łysinie i wahając z nogi na nogę, stary rębacz... Zawalili nam drogę do Krakowa, do Tyńca, a choćby i w inną stronę, tak, że gdziem się potknął, albo nos w nos, albo po nich jeszcze świeżo śmierdziało. Mówię, że w Krakowie i okolicy ma być do piecciu tysiecy... Skad sie to bierze....

— No, dowiedziałeś się, w Tyńcu, w Lanckoronie, w Bobrku, w Częstochowie trzymają się nasi?

— Trzymają się, ale słabo... jest tam znowu tych rozumnych Francuzów siła, ale tamci przecie tłumem nas zaleją.

— Cóż, że ich siła wielka — zawołał pułkownik — że tego chłopstwa napędzą .. gdyby ich było i trzy i czterykroć tyle co nas co to znaczy?

— Tak cztery i pięć... to nic — szepnął Samocha, kręcąc głową — a jak dziesięć?

— Mnie bądź co bądź, do Tyńca się dostać potrzeba! — dodał Skiba.

— Ja to wiem, że musimy — rzekł Samocha — już nie inaczej, jak przebojem... A czasu tracić co... Musim się przekradać nocami, we dnie po lasach i błotach siedzieć, inaczej nas wytłuką do nogi. Tylko tu pod Ojcowem Rosyan jeszcze nie widać... ale jak nam tu w wąwozach drogę zaprą.. ciężko się przerzynać przyjdzie... Drogę opatrzyłem... poprowadzę... konie siodłać i póki ciemno ruszać trzeba....

— Więc nie zwłóczyć, ludzie się wywczasowali — rzekł Skiba — dać zaraz rozkaz do wymarszu... cicho, przez kułak zatrąbić... niech wiara wstaje... darmo spać dłużej! Na koń!

Zaczęto tedy obwoływać do koni.

W głębi pieczary na dany znak ten, pokotem leżący ludzki łom ruszył się, drgnął i zerwał na nogi, jakby z ziemi powyrastali. Roiło się czarnemi cieniami, które zdawały się z grobu wstawać milczące... Od krzyża na piersi dzień się poczynał...

Cisza, spokój, ład był wielki, mimo pośpiechu.

Garść ludzi Skiby nie była liczna, ale doborna, drab w draba silni, a jednym ożywieni duchem...

Pułkownik zwał ich braćmi, a byli niemi nietylko po miłości, ale i zakonie, który od początku konfederacyi do końca jej trzymali...

Gdy owa konfederacya Markowa rozprzęgała się drobnemi intrygami ludzkiemi, na pierwszej wysokości jej tylko Puławscy i Skiba utrzymać się potrafił.

Już wtedy wszystko ciągnęło w milczeniu na stanowisko... ale zwykłym trybem od pieśni porannej począć nie było można, bo przed nieprzyjacielem mogła ich zdradzić; po cichu każdy szeptał modlitwę.

Tymczasem na prędce wpośród pieczary wzniesiono ołtarzyk do mszy świętej.

Stary kamień, trochę mchu i zbroi złożyły się na stół ofiarny, na którym powiewała chorągiew z Matką Boską i Chrystusem. Dwóch starców przy szablach do mszy służyło. Na przodzie ukląkł Skiba z rękami do góry podniesionemi.

I stała się cisza wielka, że kapłana modlitwę słychać było, a że losy jutra... zakryte... każdy słuchał, jakby w życiu mszy ostatniej. W czasie Ewangelii starym obyczajem szczęknęły na pół podobywane szable, na znak gotowości do obrony wiary świętej.

Kilkunastu przystępowało do komunii, w końcu ksiądz od ołtarza dał błodgosławieństwo. Pochyliły się kornie głowy, uderzyły ręce w piersi, wszyscy wstali; chorążowie ujęli chorągwie, a nim ołtarz rozebrano, już w dolinie, okrytej mrokiem szarym poranku, hufiec się gromadził.

Kilku cichemi słowy rozporządzono pochód. Naprzód miała iść szpica, główny oddział pośrodku, z tyłu mała garść w odsłonie od napadu niespodzianego.

Wszystko było w pogotowiu do wymarszu, gdy Samocha, który miał iść z tyłu, głośno począł kląć i łajać w pieczarze... pułkownik oburzył się i pogniewał, sam rzucił się ku niemu., obawiając jakiego gwałtu.

Szło o zapomnianego owego szlachetkę, wziętego z papierami i proklamacyami królewskiemi, którego związawszy w kącie rzucono, nimby się jego losy rozstrzygnęły.

Na samem wychodnem poszedł do niego Samocha, chcąc go uwiązanego przy swym koniu prowadzić, ale,... nie znalazł. Pogryzione i stargane sznury leżały na ziemi, szlachcic wpadł jak w wodę. Szukano go wszędzie po kątach pieczary, ale jak tam było odkryć, jeśli uchodząc śmierci, zaszył się w jaką niedostępną kryjówkę. Samocha klął, Skiba się srożył.

— Bóg z nim — rzekł — niewielka strata... rzuć do licha, niema czasu do stracenia.

— Bogać niewielka strata... — wołał Samocha, targając czupryne — toć to nas obliczyło, podsłuchało... a jeżeli uszedł... nie pomoże nam pewnie.

Szukać było próżno... bolcć na niewiele się zdało, a gniewać się, jak Samocha, toż było darmo... przecie się gniewał na siebie, na sznury i że go prywatnie, nie pytając nikogo, summaryjnym sądem sam nie obwiesił odrazu.

Mruczał na pułkownika, gdy Skiba zniecierpliwiony, krzyknął:

— Milczeć! niech lepiej winny mi ujdzie, niżby niewinny miał być karany... lekce życia ludzkiego nie ważmy! Naprzód!

— Naprzód!

Stary milcząc dosiadł konia, wszyscy się przeżegnali, kapelan głośniej rozpoczął modlitwę, którą kończono po cichu:

"Panie Boże nasz, któremu wszelka cześć, pokłon i bojaźń należy... Królu nieba i ziemi, w którego ręku wszystkie królestwa..."

Ranek był smętny, powietrze chłodne, mroki jeszcze zalegały dolinę... górą wiatr pędził rozerwane obłoki po ołowianem niebie.. Same uszykowały się konie, ciężki chód ich zatętniał... zdałoby się zdala że to pochód duchów o świcie wracających do mogił cmentarnych.

Za szarego mroku pospieszać było potrzeba, aby przebyć część drogi najniebezpieczniejszą, niepostrzeżonym.

Karola postawiono na prośbę jego, nieopodal od chorągwi — serce mu rosło, gdy na nią spojrzał... Szli tak wolno w cichości, kiedy niekiedy koń parsknął, głos silniejszy przedarł milczenie, i znów tylko chrzęst żelaza a stąpanie koni.

Naraz o świtaniu stanęła straż przednia i przybiegł od niej jezdny do pułkownika. Stój! stój! rozległo się po szeregach.

— Co tam? — zapytał Skiba chłodno.

— Droga się zdaje zaparta.

— Przesłać ludzi, a wziąć języka...

Puściło się kilku, Samocha jeden z pierwszych, koń pod nim utknął, zły omen ale smagnąwszy go, poleciał.

— Zobaczycie — zawołał — że to ten zbieg szlachcic nawarzył nam piwa... Jeżeli dopadł Rosyan, łacno mu ich było na nas naprowadzić...

Dniało coraz jaśniej... w różne strony poszły zwiady, wyruszył na dereszu i Skiba nieco naprzód.

Nie potrzeba było jechać daleko, o kilkoro staj gościniec przerzynało obozowisko. Przy dogorywających ogniach biwaków, które za krzaków dymiły, widać było żołnierzy w gotowości na czatach..

Pułkownik nie przypuszczał, żeby to być mogła ułożona zasadzka, unikając daremnego krwi przelewu i o wątpliwe nie chcąc się kusić zwycięstwo, wolał wycofać się w inną drogę na prawo, sądząc, że tam wolne znajdzie przejście.

Oddział szedł cicho. Rosyanie, zaufani w sile, placówek nawet nie mieli, alarmu nie dano, niedosłyszawszy ciągnących.

Wnet na rozkaz pułkownika zwrócono w bok, choć ciasną i niewygodną w dwa konie przerzynając się drożyną, na wypadek walki niebezpieczną, gdyby nieprzyjaciel choć jedno działo miał z sobą.

Był to rodzaj wąwozu wśród zarośli, a w nim błoto zgęstniałe... ale próbować musiano drogi, aby ludzi oszczędzać. Szli przez pół godziny i przednia szpica znów stanęła. Po za wąwozem w lesie na polance, były ognie i obóz.

— Niema wątpliwości, żeśmy zdradzeni i otoczeni! —zawołał Samocha... Tego tu wczoraj nie było, znać po szarakach, że ledwie co nadciągnęli, znużeni... Teraz, wola Boża...

Skiba niezmarszczony, z wypogodzonem czołem namyślał się. Chodziło tylko w istocie o wybór nieprzyjaciela i pozycyi najwygodniejszej do rozpaczliwej walki.

Wtem od tylnej straży przyszedł jeździec, oznajmiając, że i od ojcowskiej doliny zabierają tył Rosyanie.

Nie było więc wątpliwości, iż garść ta wyszpiegowaną i zdradzoną została; nieprzyjaciel opasywał ją w przeważnej liczbie, w miejscu do obrony nadzwyczaj niewygodnem, bo zewsząd otoczony lasami i wzgórzami.

Położenie było rozpaczliwe, ale ludzie nie ulękli i wszyscy, przeżegnawszy się, czekali zbici w jedno spójne ciało.

Drgnęła warga Skibie, oko się zapaliło, ręką wskazał naprzód.

— Bracia! kiedyśmy odkryci — rzekł — czemu pieśni nie zanucić, serca rozgrzeje...

Samocha w tej chwili już intonował ją; dolina nagle rozległa się śpiewem uroczystym...

Ten kościelny hymn o mroku na tych pustkowiach, przy chorągwi z ukrzyżowanym... ci rycerze nieruchomi w siodłach, starzec przodkujący im... przedstawiali jakby obraz innego wieku... Pieśń nastroiła serca do Boga, łzy połyskiwały na powiekach, Karol zdawał się siłą jakąś porwany od ziemi... na barkach rosły mu skrzydła

Jeszcze pierwsza strofa brzmiała, gdy szmer się zrobił, od przedniej straży wiedziono parlamentarza rosyjskiego z chustką białą, zieloną gałęzią i papierem w ręku.

Na papierze stało dobrą polszczyzną, że pułkownik Morozów wzywał konfederatów do zdania się na łaskę... gdyż inaczej oddział w koło otoczony, w pień będzie wycięty...

Skibie czytając, krwią nabiegły oczy, z konia spojrzał na żołdaka.

— Powiedz temu, kto cię przysłał — odezwał się — że żołnierze padają, ale się nie poddają. Co Bóg da!

— Zatrzymać parlamentarza! obejrzał nas! — krzyczał Samocha.

— Hej! hej! liczonych i nieliczonych śmierć bierze — odparł pułkownik... puścić go...

Cicho pieśń zabrzmiała dalej znów, oddział począł się posuwać ściśnięty, szable obnażały się, pistolety dobywano z olstr... konie zdawały się bliską czuć bitwę, bo chrapały niecierpliwie, a ten, to ów, rzucił się w bok jakby przelękły.

— Naprzód! — wołał, wskazując ręką Skiba.

Oddział, stojący naprzeciw, może był najliczniejszy, ale po wyjściu z wąwozów, miejsce do walki dogodniejszem się zdało....

— Wiara! w imię Maryi! Ławą! Razem! przy sztandarze! Naprzód! Wolno! Szablą sobie trzeba drogę wyrąbać...

Jak mur, szara, niema, milcząca, wyciągnęła się przed niemi kolumna rosyjska, czekając znaku do strzału...

Oddział stępo, potem szedł kłusem... potem na pułkownika rozkaz, ostrogami spięto konie, z kopyta... Cała kolumna, jak kłąb jeden z wrzawą rzuciła się naprzód, wołając Jezus, Marya! dym ją cały owionął, kule świsnęły...

Nieprzyjaciele, widząc ich następujących, przerażeni zuchwalstwem, nim się z bronią na nowo przygotowali, już mieli ich na karku, złamały się szeregi... Chorągiew z krzyżem i Chrystusem onieśmielała wielu...

Konfederaci odrazu wbili się w tę kupę bezładnie pomieszaną, ale trzymającą się stanowiska i wrzeszczącą dziko, aby sobie dodać serca.

Znaleźli się naraz otoczeni, ściśnięci, obsypani niezbyt szkodliwym, ale gęstym ogniem i tłoczącym się tłumem.

— Naprzód — wołał pułkownik — za sztandarem!

Szablami potrzeba sobie było tę drogę torować, ale szło oporem, tak gęstemi szeregi zalegał pole nieprzyjaciel. Tu i owdzie zsunął się z konia wojak i jakby tonął, padając... złamał się szyk, szczerba w nim, i wnet ściśnięci, szli przebojem dalej.

A pieśń nad głowami brzmiała, przerywana wykrzykiem śmierć zwiastującym, a sztandar powiewał górą, choć od kul podziurawiony.

Jedna z nich przebiła bok Chrystusa...

Z bladych z zimnych w początku, twarze rozpromieniły się, ludzie urośli, siła ich zolbrzymiała... żelazca błyskały nad głowami, oblane krwią, nieustannie podnosząc się i spadając.

Był to bój rozpaczliwy, bohaterski, bez nadziei, ale tak straszny, że przed zajadłością jego żołdak się cofał, jakby nie ludzi, ale niezwalczone istoty, wybrańców Bożych miał przed sobą.

W gwarze tym i dymie już nic widać nie było, tylko w jedną kupę zbite, rwące się ciała ludzi, których rozpoznać, ani policzyć nie było można.

Pierwszy raz Karol upił się szałem boju... usta mu się śmiały, śpiewał, drżał, bił a siekł... nic nie wiedząc co czyni, czując tylko, że był szczęśliwym. Uśpiona krew pradziadów odżyła w nim, zbudzona okrzykiem bojowym... wspaniałością walki gorączkowej, rozwścieczonej. Zdawało mu się, że światby był rozbił piersiami, a czoło promieniało takim zapałem, że ludzie się przed nim wylękli, cofali...

Któż powie, jak to długo trwało? Niebo się zaczerwieniło, z zapasów chmur wyjrzało słońce, oni szli, szli, coraz mniejszą garścią po trupach, ludzi, koniach, które wbijali do ziemi.

Za nimi wreszcie została piechota... rzucając się, to odskakując i obsypując kul gradem.

Przerznęli się, ale mimo ran, strat, znużenia, chwili nie było do spoczynku, nie zwalniano biegu, iść musiano, ostrzeliwając się.

Trzecia część walecznych legła na placu, więcej niż drugie tyle było rannych, co się jeszcze wlekli...

Karol poczuł jakiś ciepły pot, płynący mu po piersiach... chwycił się ręką... Czy ze znużenia zrobiło mu się słabo? zaćmiło w oczah, pochylił się na siodle... Świat i bitwa, i wschodzące słońce zamgliły się... znikły... w uchu tylko huczały okrzyki i wrzawa... a po nad nie.

— Jezus, Marya!

Na szpaku krwią obryzganym, Staszek sam ranny lekko podtrzymywał omdlałego pana i lecieli tak, dalej a dalej... aż strzały ustały, gwar przycichł, dzień jasny, łagodny, wiosenny roztaczał blaski swe nad ich głowami.

Stànęli na polance rany obwiązywać, koniom się dać wysapać, zmarłych opłakać... no i policzyć.

Skiba ukląkł i gorącą modlitwą Bogu dziękował za garść walecznych, ocaloną choć w części.

Karolowi kula zorała pierś młodą, ale postrzał nie był śmiertelny; przesunął się po niej, czerwoną wstęgą ją znacząc... jakby ręka niewidzialna wstrzymała kulę, by dalej nie poszła.

W gorączce drgał chłopak, jakby ciągle jeszcze walczył, śpiewał, śmiał się, ściskał... aż szał ten w końcu w głęboki sen ołowiany i odrętwienie się zmienił...

KSIĘGA III.

Częstochowa.

Dzień był wiosenny, nielitościwie piękny i spokojny po nad tą ziemią, której niebiosa urągały lazurem, ptacy pieśniami, powietrze wonią młodości i świeżości; dzień był tak rozpaczliwie i niepojęcie jasny, cichy i błogi, jak bywa czasem na cmentarzu w czasie pogrzebu, aby ludziom przypomniał ich znikomość, a Bożą nieśmiertelność.

I w tym roku rozwijały się drzewa, przyleciało ptastwo, rozkwitły na mogiłach kwiaty, a w stolicy Saldern miotał obelgi na nieposłusznych i uległych sobie, na wszystkich...

Oprócz kilku głów, co nie ugięły się do ostatka, iluż to ich całowało ręce króla, brało ordery i urzędy! Iluż, jak Zaremba, chroniąc majątki, oddało honor, sprzedało sumienie?

Zniszczenie, wytępienie — wielka jedna mogiła na karcie dziejowej nie byłaby tak straszną, jak to zdeptanie narodu...

W Warszawie bale po balach następowały, król się cieszył znacznem uspokojeniem kraju.

O karto żałobna dziejów, któż cię — napisać potrafi? Z palmą dla jednych, z piętnem hańby wiekuistej dla drugich... stać musi historyk i znaczyć zbrodniarzy i płakać nad ofiarami.

Sprawa poczęta w Barze dogorywała, wojska trzech mocarstw zwolna, cicho, posuwały się w głąb kraju. Reszty pułków Królowej, reszty krzyżowych rycerzy poddawały się przemagającym siłom; rozbrojeni szli płakać na zgliszcza domowe, albo na wieczne wygnanie, lub do trumien.

Cichy wieczór tej wiosny wiał niewymowną świężością, rosa

spadała na trawy i kwiaty, wiatr z lekka falami zbóż kołysał, a kłosy kwitnące wonią miodową przepełniały powietrze. Nad tą biedną równiną — zawsze smętną, jak pobojowisko, zasianą krzyżami czarnemi po rozdrożach, jak cmentarz... zachodziło słońce ciepłe... jakby nie nasze, pożyczone gdzieś z gorętszego nieba.

W gaju sosnowym, który gdzieniegdzie miała brzoza, a podszywała leszczyna, nad małą drożyną wiejską, stała chata leśniczego, nędzna lepianka stara, na pół w ziemię zapadła; dach na niej mchem obrosły, ogródek ledwie obrzucony płotem, ubóstwo sięgające nędzy. Bogactwo jej stanowił las, zieleń, cisza w koło, swoboda pustyni.

Z po za drzew w dali na skraju, jak sięgało oko, widać było górę, a na niej mury i wysoką wieżycę.

Była to jasna Góra, a twierdza ta... zwała się Częstochową... Słynne imię, wielkie imię... gdzie Bóg zwyciężał niegdyś.

Przez okno otwarte chaty, wprost wyjrzawszy, wzrok padał na tę latarnię, jakby strażniczą u brzegu morza.

Na widok jej kłoniły się głowy pielgrzymów, biły serca jak w Kampanii rzymskiej, gdy na widnokręgu ukaże się kopuła św. Piotra.

I teraz okienko stało otworem, a w oknie pochylona, blada twarz, młoda, tęskna... patrzała ku Częstochowie.

A słońce zachodzące oświecało świat, nucąc promieniami swemi złocisty hymn wieczoru.

W chacie leśnika ubogo było, ubogo; czarne ściany mchem otkane, ławy wysiedziane, piec czarny, siwy staruszek w połatanej siermiężce domowej, w zgrzebnej koszuli kobieta i dziewczątko kilkoletnie, ciekawe, w kąciku za piecem.

Wśród izby rozstasowało się kilku ludzi; starzec z długim wąsem srebrnym i krótko ostrzyżoną głową, posępny, pochylony, ze świeżemi ledwie zaschłemi blizny, kilku żołnierzy przy nim na ziemi, a na ławie, u okna, młody ów chłopak blady. Wszyscy w milczeniu zdawali się ino czekać ciemniejszego wieczoru... byli w pogotowiu do drogi.

Z resztą oddziału niedobitków swych z Tyńca, przedzierał się do Częstochowy pułkownik Skiba, i wyleczony nieco z rany młodością Karol, i pocięty Samocha i kilku żołnierzy, co się ani w niewolę, ani do grobu dostać nie mogli.

Szli na jasną Górę... bo tam jeszcze siedział pierwszy i ostatni z konfederatów, Pułaski.

Trzech ich miał synów starosta Warecki, wszystkich trzech wziął z sobą z domu i poprowadził ojczyźnie, mówiąc w duszy: Daję ci wszystko, co mam — siebie i dzieci.

Podkomorstwo koronne, starostwo Wareckie, Pułaż, Kostry, Grabów, Deraźnię... życie własne, imię poczciwe — to nic — wiodę ci dzieci jedyne....

Poszli wszyscy, ale starosta Warecki mógłże bronić ojczyzny, kiedy za młodu u trybunałów bronił JMK ks. Czartoryskich? Jeden z palestry wyszły szlachetka miałże dostąpić czci, sławy zbawcy i bohatera...?

Na to głowy konfederacyi pozwolić nie mogły, krzywo na ten ród rycerski patrzano... nie należał do uprzywilejowanych zbawców ojczyzny.

Pułascy się bili, rada konfederacyi deliberowała, a w końcu odsądzono Pułaskich od prawa przelewania krwi i bronienia ojczyzny... bo to służyło od wieków Potockim, Lubomirskim, Krasińskim.

Stary Józef Pułaski, wydany Turkom, zamknięty do więzienia, ze zgryzoty przeklinając niegodne dzieci tej ojczyzny, której bronił — zmarł na obcej ziemi — zaprzedan niewiernym przez swoich.

Synowie... poszli ginąć po jednemu...

Patrząc na ich bohaterstwo, drudzy szli do domu, bo im sprostać nie mogli.

Ostatni, Kazimierz, trzymał się na Jasnej Górze... w Warszawie mówili ludzie rozsądni — Szaleniec! w ciszy wiejskiej wzdychali ludzie poczciwi a słabi.

Kazimierz stał do końca na posterunku.

Do tej chorągwi z N. Panną ciągnęły wierne niedobitki.

Wieczór powoli, jakby nie śmiejąc dnia pięknego pokryć cieniem, zsuwał się na ziemię, pokropioną rosą chłodną. Promień ostatni zachodzących już blasków wdzierał się do chaty, oświetlając twarz bladą i smętną młodego chłopaka.

Skiba w ręku przesuwał różaniec, a głowę miał spuszczoną i twarz posępną, znać mu już życie ciążyło.

Wszystko milczało — cóż było mówić, z ust lała się rozpacz krwawa a głowy od niej szalały?

Wtem na ścieżce, okryty kurzawą, ukazał się żebrak stary, z siwą do pasa brodą.

Okryty był zszarzaną siermięgą, podpasany sznurem, szedł pieszo z kijem w ręku, z torbą próżną na plecach, ale spojrzawszy mu na twarz, poznał każdy, że to nie był dziad, co żebrze i życie po drogach rozrzuca.

Pod łachmanem żebraczym świecił w nim majestat królewski... twarz była straszna i groźna, jakimś wyrazem niedoli i rezygnacyi. Nieokryta czaszka wznosiła się jak kopuła świątyni nad tą budową człowieczą, już na poły zburzoną, a jeszcze wielką i poważną.

Siwych dwoje brwi rozrosłych, krzaczastych pokrywały oczy czarne, żarzące się dziwnie, mówiące, potęgą wzroku pociągające człowieka.

Na licu ogorzałym fałdy powyrzynały łzy, marszczki wyżłobiła boleść; żyły, jak siatką, lice pokryły, snać krwi w nich płynęło więcej, niż wstrzymać mogły, bo wzbierały węzłami na skroni i wychudłych policzkach. Resztę twarzy, jakby umyślnie, kryły siwe włosy obfite, potargany wąs i broda.

Szedł, nie patrząc, nagle się oparł na kiju, stanął przeciw drzwi chaty i podniósł głowę i oczy. Przez otwarte drzwi widać było Skibę, odmawiającego różaniec, leżących kupkę żołnierzy, a dalej w oknie twarz zadumaną młodzieńca. Żebrak czytał w tym obrazie i nie wchodząc do ubogiej chaty, naprzeciw niej osunął się na ziemię pod starą sosną... Na kolanach oparł ręce, na dłoniach położył czoło, spuścił głowę, modlił się, czy płakał...

Ludzie postrzegli go, a ubogi leśniczy poszedł z bochenka chleba czerstwego odkroić kromkę, bo nie mógł przepuścić ubogiego mimo chaty, aby z nim nie podzielił się choć okruchem daru Bożego. — Dar to był... suchy, spleśniały, gorzki, ale ostatkiem łamał się biedny, pokornie go przyniósł ubogiemu, cicho położył przed nim.

Żebrak podniósł głowę i wziął chleb.

— Niech Bóg zapłaci — szepnął cicho — jam nie głodny, ale dar to Boży...

Odłamał kruszynę i włożył ją w usta.

— Dzielę się z tobą...

Pobłogosławił resztę...

— Weźmij to, rzekł... dobry człecze, Opatrzność ci przymnoży, boś był posłuszny rozkazom Bożym.

Leśniczy się pokłonił... wtem Skiba podniósł oczy i zobaczył także żebraka.

Obaczywszy go... zdrętwiał na chwilę... potem się nagle zerwał, przestraszony, poruszony i pobiegł ku niemu.

Dwaj ludzie ci długo patrzyli na siebie oko w oko, żaden słowa powiedzieć nie mógł, czy nie śmiał. — Na twarzy przybysza nie zmienił się wyraz spokoju, pułkownik walczył z sobą, kilka razy usta chciał otworzyć, zadrgały mu, nie powiedział słowa, wyciągnął ręce — niemy. — Żebrak nie podał mu dłoni... ani okazał uczucia. —

— Ojcze! ty żeś to! ojcze! — zawołał nareszcie Skiba, prawie chcąc paść na kolana, tak się ku niemu pochylił.

Nic nie mówiąc, żebrak głową potrząsał—jakby nierad i gniewny.

Pułkownik odstąpił smutny. —

— Zkądże to Pan Bóg prowadzi? — zapytał.

— Mnie? — odrzekł przybysz — mnie zdaleka! zdaleka! całe życie wędrówką.

— To jest jego głos! to on! — zawołał Skiba.

Żebrak ruszał ramionami i trząsł głową.

— Człowiecze — rzekł — jeżeliś mnie poznał, po co pytasz a kusisz?... jeśli mnie nie znasz, na co ci imię moje? A może ja idę z ordynansem Bożym, nie za sprawą własną?... ze słowem z nieba i nie wolno mi co innego rzec, tylko to, z czem mnie posłano? ani znać innego człowieka prócz tego, do którego ide?

Wszak widzisz łachmany żebraka... snać jestem dziś nędzarzem i wędrowcem... nic więcej.. A czem byłem, to Bóg wie, który czyni małemi narzędziami sprawy wielkie i kruszy ludzkie potęgi w proch, a bohaterów w kał przemienia... ze świętych czyni zgorszenie, a z najpodlejszych zbudowanie. Dlaczego porzuciłeś modlitwę i wstałeś, i przyszedłeś kusić i badać człowieka... jakbyś był tym, co go ma wydać wrogom??

— O! gorzkież słowa wasze! — zawołał, korząc się, pułkownik

— ale od was przyjmę w pokorze. Winienem. Przecież grzech mój zrodziła miłość i cześć, a przebaczony mi być może.

Żebrak popatrzył ku słońcu zachodzącemu.

— Idźcie — rzekł — a gotujcie się w drogę, albowiem godzina uderzy wkrótce. A któż wie, czy nie w jedną idziemy wszyscy?

— Więc i wy... do Częstochowy? — szepnął pułkownik.—

— Co to... wy? odparł surowo żebrak... co, wy? Ażali wie kto, com jest? żebrak i sługa Boży.. Kto widzi mie sce święte i nie dąży do niego, jakby minął źródło czyste w upał i nie zaczerpnął.—

Pułkownik stał jeszcze... wzruszony... wres cie gdy ten, odwróciwszy się, zami kł, poszedł do chaty i nakazał sposobić się do drogi.

Przystęp do twierdzy, mimo, że obce siły opodal nieco jej były odsunęły się — w kilku szturmach odparte, nie zawsze był łatwym. Nieprzyjaciel bacznie śledził okolicę, a kogokolwiek posądzono o szpiegostwo lub poselstwo od kraju do konfederatów, nielitościwie karany był śmiercią na szubienicy, bez sądu. —

Musiała więc garść owa niedobitków o mroku szarym do twierdzy się podkradać, z której właśnie Pułaski wysunął się z oddziałłem, zostawiając na swem miejscu Radzimińskiego.

Leśniczy, który znał dobrze okolicę i wszystkie wnijścia twierdzy i drożyny bezpieczne, miał poprowadzić konfederatów. Już się był wybrał, wdziawszy torbę borsuczą i kij ująwszy, gdy na progu ukazał się Skiba, a żebrak, który siedział posępny, rzekł mu:

— Nie bierzcie żadnych przewodników, wola nas Boża sama wieść będzie... Ja pójdę i zajdę, bo tam dziś jeszcze muszę być, wy za mną...

Po niebie się rozglądnąwszy, rzekł. — A zatem w drogę w imię Ojca i Syna...

Skiba ze wszystkiemi swymi co byli w chacie, wyszli smutni i milczący, dosiedli koni... Żebrak już przodem szedł drogą, popatrzał, a gdy wszystko zobaczył gotowem, przeżegnał i ująwszy kij w milczeniu, ale raźno iść zaczął. —

Noc nadciągała szybko — drogi po pagórkach krzyżowały się gęste, przecież nie zawahał się przewodnik, szedł śmiało, krokiem pewnym, jak gdyby go gwiazda wiodła... Niosła go taka siła, iż konie wyciągnioną stępią ledwie za nim podążyć mogły... nikt słowa rzec nie śmiał. Za żebrakiem już jechał sam pułkownik, obawiając się snać, aby kto z ludzi nie obarczał starca pytaniami, dalej Karol, Samocha i reszta żołnierza.

Na pagórek wyszedłszy, gdy już czarna noc się stała, a w przepaścistych głębiach niebios gwiazdy tylko świeciły, przodem na drodze dał się słyszeć tentent jazdy. Skiba, jako żołnierz, poznał, że szedł oddział znaczny z kilkuset koni złożony, śpiesznym krokiem w kierunku twierdzy. Obawiając się, by to nie była nieprzyjacielska kolumna, Skiba przystanął, milczący nasłuchując...

Poczuwszy to żebrak, wstrzymał się także, sparł na kiju i twarzą ku niemu odwrócił... Pułkownik pytać go jednak nie śmiał.

— Człowiecze stary, którego Bóg tysiąc razy od śmierci ocalił— odezwał się przewodnik — pytam cię, dlaczegoś małego serca i wiary? Oto czytam jak w książce w myśli twej, iż ci tam tętni nieprzyjaciel... a szczęk i wrzawa, którą ty słyszysz i ja słyszę... znana mi jest i wiadoma... Ten to powraca, do któregom jest posłany, wraca posłuszny rozkazom... krok w krok za nim i my do twierdzy podążym...

Rzekł i począł iść żywo... Skiba z głową spuszczoną jechał posłuszny.

— Kto jest ten dziwny człowiek? — spytał po cichu Karol, dosłyszawszy jego mowę.

— Dowiesz się później — odparł cicho pułkownik — nie pora pytać i nie wolno tłumaczyć... jedźmy, są rzeczy niezbadane... i cudowne... nawet tam, gdzie Bóg twarz swą odwracać się zdaje.

Wciąż tedy, poprzedzani tętnem koni niewidzialnego oddziału, który szedł przed nimi, zbliżali się ku Jasnej Górze.

Wysoka wieża i mury twierdzy coraz wyraźniej, olbrzymiejąc, malowały się na niebie... Na wieży w szczycie błyskało światełko, jakby gwiazda nad koroną Matki Boskiej... drugie jaśniało na ścianie kaplicy... zresztą mury były czarne i puste. U podnóża ich miasteczko opuszczone, domy porozwalane, kominy sterczące na pogorzeliskach, ziemia poryta kulami., poprzerywana rowami... wygasłe ogniska, stosy gruzów i popiołów... pokryte nocą stanowiły obraz straszliwego smutku i majestatu zarazem. — Czuć było, że o tę opokę obiły się sztormy wściekłe, że ta ziemia przesiąkła była krwią ludzką i poryta grobami.

Pomimo trudności pochodu, które z każdą chwilą się pomnażały, przewodnik szedł coraz żywiej, coraz bardziej zdając się zgorączkowany i gnany pośpiechem niewysłowionym... Ten szał, z jakim pędził, dawał mu jasno widzenie dziwne drogi, którą w po-

śród gruzów i zawad wynajdywał instynktowo, na chwilę się nie wstrzymując w biegu. —

Tylko co za ostatnim jeźdźcem orszaku, który ich poprzedzał, miały się zamykać wrota twierdzy, gdy u nich stanął żebrak i wychyliwszy się w podwórzec, na którym właśnie oddział konnicy z siodła się zbierał, otoczony ciekawą załogą — zawołał głosem wielkim, który hen rozległ się wśród pustych murów i ciszy:

— Kazimierzu, w imię Boga Wszechmogącego, staw się do mnie!

Po tym głosie milczenie było grobowe... wszystkich dreszcz jakiś przeszedł, usłyszawszy te słowa, aż z głębi podwórca wybiegł mężczyzna średniego wzrostu, w sile wieku, zbudowany krzepko, w ubiorze wojskowej starszyzny, z huzarska oblamowanym suto srebrnemi galonami.

Poznać było wodza po rozkazującem obliczu...

Latarnia, w bramie stojąca, rzucała nań pas światła... Twarz była nacechowana wyrazem energii, surowa, ale pociągająca urokiem natchnienia i zapału... Rysy jej na pierwszy rzut oka zdawały się pospolitemi — ale tyle życia tryskało z oczów ruchomych, z warg koralowych nieco dumnie odętych, z fałdów czoła — iż każdy w nim czuł człowieka wybranego do sterowania i przykładu...

Jak obłąkany biegł dowódca, wołając:

— Czyj to głos? kto mnie woła?

A postrzegłszy żebraka, stojącego w bramie — na pierwszy rzut oka, jakby oczom nie wierząc cofnął się potem podniósł ręce i chciał poklęknąć, ale groźny ruch starca wzbronił mu tego. Oniemiały stał.

— Jestem żebrak... ubogi... ale ubogiego Bóg śle... Oto zemną żołnierzy garść, niedobitków, szukających przytułku... rozkażcie ich przyjąć.

Pułaski, gdyż on to był tylko co z konia zsiadł, stał jeszcze zdumiały, a starzec już szedł, modląc się głośno z głową odkrytą.

— Do Matki Boskiej... Królowej nieba i ziemi... do kaplicy! do stóp Jej... prowadź żebraka.

Kilku słowami szybko rzuconemi, rozporządziwszy, aby przybyłych przyjęto i pomieszczono, Pułaski rzucił wszystko i widocznie wzruszony głęboko, prowadził starca, który odmawiał:

Sub tuum praesidium...

Tak weszli z modlitwą w krużganki, a choć pułkownik był tu w

znajomem sobie dobrze miejscu, jego zdawał się wieść żebrak.., natchniony...

Na drodze spotkali dwóch księży Paulinów, którym słowo tylko szepnął Pułaski... Znalazł się kapłan zaraz i dwóch braciszków, niosących świece, z którymi razem żebrak z widoczną niecierpliwością wzrastającą, biegł niemal ku kościołowi.

A gdy weszli naprzód do pustej, szerokiej świątyni... przykląkł tylko przed jej ołtarzem... i wyciągnąwszy ręce, szedł do kaplicy Matki Boskiej.

Cicho tu było i pusto... ale lampy gorzały wśród hebanowych cieniów tego przybytku... Z mroków nocy, w połysku bladym gdzie niegdzie widniały vota srebrne, zbladłe lica starych wizerunków i kosztowne na ścianach ofiary. Obraz był zasłoniony, jak zwykle, nikt jeszcze nie zdążył go odkryć, a z podziwieniem księży, gdy żebrak wszedłszy, rzucił się przed nim na kolana, a potem krzyżem na ziemię... podniósłszy oczy, ujrzeli oblicze cudotworne odsłonięte... korony obrazu i szaty złociste świeciły tysiącem iskier, jakby godowo przybrane.

Za żebrakiem padł na kolana Pułaski, i przybyli w ich ślady, pędzeni pobożnością i jakiemś uczuciem niepokoju, Skiba i Karol.

Ta garść pobożnych, wśród nocy modląca się ze łkaniem prawie, i jęk dobywający się z piersi żebraka, który bił się oburącz a płakał i wołał miłosierdzia... do łez pobudziły nawet dwóch zdumionych zrazu tylko braciszków....

Przybyły to rzucał się krzyżem i płakał, to podnosił ręce, wyciągając do obrazu, a znać było, że litości nie dla siebie błagał.

Długa chwila minęła na modlitwie... pełnej skarg i błagań... Wszyscy czekali, ażeby starzec powstał, on jeszcze modlił się, ale jakby promieniem z nieba uspokojony nieco... Nareszcie podniósł blade lice, zlane łzami, drgające bólem przecierpianym — uderzył czołem o posadzkę, ręką w piersi, która jęknęła, i powstał. W milczeniu ujął rękę Pułaskiego, szli razem.

Gdy w korytarzu stanęli, skinął tylko.

— Do waszej celi... — rzekł — a nie będzie świadkiem między nami, tylko ten Bóg, który mnie do ciebie posłał...

Jakkolwiek nadzwyczajną starzec obudzał we wszystkich ciekawość, snać rozkaz jego był dla Kazimierza świętym, gdyż od-

prawiwszy gości i poleciwszy ich księżom, sam poprowadził go do generalskiej celi, którą zajmował.

Obszerniejsza od nich, z dwóch złożona izb sklepionych, była wszakże prostą i prawie ubogą... Trocha wytworniejszej broni i książek na stole, chorągwie, bębny i rycerskie sprzęty część jej zajmowały. Łóżko zakonne, skórą okryte, stało pod krucyfiksem, od dawna nietykane.

Gdy drzwi się za niemi zamknęły, Pułaski dłużej wytrwać nie mogąc, jak stał, tak pokląkł przed starcem i ręce wyciągnął ku niemu.

— Ojcze mój! — zawołał — co mi przynosisz? pozwól, niech ucałuję dłonie twoje...

— Ani klękać przed człowiekiem, ani się czcić godzi grzeszną istotę... — surowo odparł starzec. — Człowiek to kielich gliniany, w który Bóg czasem nalewa napój żywota... ale gdy się wypróżni, jest kawałkiem gliny... I jam taki... Posyła mnie Bóg, mówi do ducha mego, sługą jestem Pańskim.

— Teraz — dodał — przybyłem do ciebie, Kazimierzu, boś ty jeden pozostał czysty z tego hufca pobłogosławionych, którzy krzyż Pański na krzyże bałwochwalcze zamienili i w błocie się potarzali. Przybyłem nie ze słowem pociechy — nie z posłannictwem cudu, ale z gromem Bożym, który w pokorze przyjąć trzeba.

— Ale jakżeś się wybawił z rąk nieprzyjaciela? jak się tu dostałeś? — spytał Pułaski. — Wiedzieliśmy, że was osadzono na pokucie w Horodyszczach, pod czujną strażą...

— Nie pytaj; sam nie wiem, jakem wyszedł, ani jakem się tu dostał. Wiodła mnie tu siła, co może wszystko, dla której trudnem nic nie jest.

A nie jestem już czem byłem... ani prorokiem, ani błogosławionym od Pana, w którego on ręce dawał cuda na chwałę swoją. Wziąłem grzechy wasze na barki moje i zgniotły mnie... i w proch obróciły...

Dni przebyłem straszne... noce przebolałem w mękach niewysłowionych, dał mi Pan widzieć przyszłość, a nie dozwolił dla niej wybłagać litości.

To rzekł i głowę spuścił na piersi a płakał... Pułaski zakrył oczy, bo i znich dobywały się łzy.

— Jednej nocy — mówił starzec natchniony, podnosząc czoło

— porwany byłem od ducha, abym tu szedł z rozkazem do was..' Nie wiem już sam, jak szedłem i czy ciało moje jest ze mną lub w niewoli pozostało... Ale oto mnie widzisz przed sobą, posłańca tych wyroków, co się nie zmienią.

Nie wolno nam płakać i narzekać nie wolno, i burzyć się nie wolno, a cierpieć tylko wolno i nakazano...

— Ojcze! — zakrzyknął Pułaski, łamiąc ręce — dlaczegóż naród nasz... czyż tak wielkie są grzechy jego?

— Nie pytaj Boga, dla czego czyni, bo bluźnić będziesz, zuchwały człowiecze — odparł starzec — któż kiedy zbadał drogi Boże? Wieszże ty, na co krew i łzy są potrzebne i co z nich uczyni ten, co cuda czyni?

Przyszedłem z tem do ciebie, abym ci zwiastował tułactwo, i boleść, i śmierć...

Słuchaj człowiecze — a nie bantuj się duchem... Rozkazano ci przezemnie złożyć oręż i iść na wygnanie, nie godzi się, aby, gdy wyrok padł Boży, człek przeciw niemu walczył, święte miejsce oddając na zniszczenie.

Na Jasnej Górze długie jeszcze pokolenia, włosiennicą i żałobą i popiołem okryte, modlić się będą.

Przystało, aby to miejsce nietkniętem zostało dla przyszłości.

A więc weźmiesz w pokorze brzemię twe i pójdziesz z niem w świat... Bóg ci da życie czyste i niepokalane, i zgon.

To mówiąc, porwał go starzec za głowę schyloną i całując, płakał rzewnie nad nim, a Pułaski ściskał mu kolana.

— Przeszły, przeszły dni nadziei i miłosierdzia.

Ojca twojego skazali na śmierć więzienną u niewiernych... a było to szczęściem dlań, bo oczy jego nie widziały końca...

Ujrzał Bóg, iż nie byliśmy warci życia i odjął je nam na długo, aż się go dopracujemy nędzą potępieńców na ziemi.

— O ojcze mó, przerwał znów Pułaski — nie odsłanaj mi tej straszliwej przyszłośc — wszakżeś nam lepszą zwiastował i obiecywał prędko...

— Prędko? a wiesz ty, co u Boga prędko? — zapytał starzec — a wiesz ty, że grzechy wasze uczyniły mnie z proroka kłamcą... Z wami razem upokorzył mnie Bóg, ukazał mi to, co się stać mogło, aleśmy warci nie byli.

Starzec mówił i łzy strumieniami dwoma płynęły mu po twarzy

z oczów rozognionych, a dźwięk głosu jego był przerażający i surowy... Bolał, ale potęga wielka zmuszała go wieszczyć te przyszłości męczarnie, które on wszystkie w sercu za naród duchem przecierpiał.

Pułaski słuchał znękany...

— Słuchaj! słuchaj mnie — mówił starzec — dziś... potrzeba, ażebyś natychmiast zdał to miejsce święte... albowiem nie dopuści Bóg, aby mu co złego uczynili, i napełni ich grozą i strachem.

Dziśiejszej nocy jeszcze masz wynijść stąd i iść w świat, gdzie oczy poniosą. Nad tobą Bóg!

Idź wybrańcze na tułactwo!

— Wybrańcze... — powtórzył Pułaski z boleścią.

— Ale niech cię pycha nie podnosi, choć wybranym jesteś, bo razem z niemi pójdą też na tułactwo i najostatniejsze pomyje narodu, abyście nie mogli pochlubić się, żeście synami Bożymi... A będą was uczyć tej pokory zbytnicy, którzy wezmą tułactwo, aby je sponiewierali i zwalali.

Jakby złamany wysiłkiem, domawiając słów, żebrak pochylił się i padł w stojące za nim krzesło... a chwilę pozostał milczący z zamkniętemi oczyma, jakby duchem odpoczywał i otrzeźwiał się. Pułaski stał przed nim, nie śmiejąc rzucić pytania.

— Duch mocen, ale ciało słabe... — rzekł zmienionym głosem starzec.—Oto dwa dni, oprócz chleba spleśniałego, nie miałem nic w ustach... a nim powrócę do celi mojej, nie wolno mi też tknąć nic, oprócz chleba i wody... Przynieś mi czarnego chleba i podaj kubek wody czystej, abym się orzeźwił.

— Nic więcej? — spytał Kazimierz.

— Nic — odpowiedział żebrak — nakarmię ciało, aby mnie odniosło tam, gdziem być powinien, a gdy rozświta, odprawię ofiarę przed ołtarzem Matki Zbawiciela i pokrzepiony pójdę dalej.

— Nie spoczniecie w klasztorze?

— Ani godziny, ani chwili nad tę, która mi jest dana. Przyszedłem ci oznajmić wolę Bożą i być świadkiem, że ją wykonasz... a potem, pobłogosławiwszy cię, synu mój, jako błogosławiłem ojcu twemu, pójdę...

— Raczże mi powtórzyć, co czynić mam — odezwał się Pułaski, który zarazem przyniósł dzban wody i chleba i podał je starcowi.

Żebrak pobłogosławił je i wziął, a począł mówić spokojniej, ale stanowczo... jakby wydawał rozkaz nieodwołalny:

— Jest do dnia dosyć czasu... aby się do drogi przysposobić... o północy siędziesz na koń... sam lub z tymi, których wybierzesz... i którym Bóg myśl towarzyszenia ci natchnie.

— Jakto? przed rankiem? przed mszą twoją, mój ojcze?

— Przed północą... — powtórzył starzec — ja klęknę do modlitwy, ty wyjdziesz, abyś zaraz gotował się do drogi. Bez pożegnania i ludzi... jako zbieg wyjdziesz wpierwospy. Pobłogosławię cię, w imieniu tego, który rozkazuje ci wynijść z miejsca świętego. Zatem jedna cegła z tych murów wypaść nie powinna... przez cię... Idź, spełnij rozkaz!

Pułaski, załamawszy ręce, stał i wahał się, zdawał się chcieć prosić i modlić, aby mu wolno było dłużej choć kilka godzin tu pozostać. Tę myśl jego jakby odgadnąwszy żebrak, zawołał:

— Jeśli lekceważyć będziesz rozkazy, naówczas na własne barki weźmiesz winę swą i jej skutki, opuści cię opieka Tego, który czuwał nad wami... Zważ, co czynisz, wybieraj...

Zegar klasztorny bił dziesiątą godzinę, starzec, ujrzawszy na ścianie krzyż i obraz, nic już nie mówiąc, kląkł na modlitwę.

— Pułaski stał jeszcze, stał, w ostatku skłonił głowę przybity i pocichu wyszedł z celi.

W korytarzu, nieco opodal ode drzwi, stało kilku ze starszyzny, oczekujących na rozkazy dowódcy; po chmurnem czole poznali wszyscy, że przychodził z czemś ciężkiem i niepomyślnem...

— Mam świętego pielgrzyma w celi mojej — przeto drzwi jej są dla wszystkich zamknięte. Rozkazy wydane na jutro, stoją w swej sile, nam z panem Radzimińskim przyjdzie się pójść naradzić... pójdziemy do Refektarza... u drzwi moich niech kto stanie na straży, aby spokoju świętemu mężowi nie przerywano.

Natychmiast Radzimiński wziął światło, a pan Kazimierz milczący skinął mu, aby szedł za nim.

Reszta oczekujących rozeszła się po swych celach... przeczucia jakieś smutne nikomu o snie i pomyśleć nie dozwoliły.

Powrót nagły Pułaskiego, który dniem wprzódy w kilkaset koni był wyciągnął na dłuższą wyprawę i niespodzianie powró-

cił, dawał najobojętniejszym do myślenia. Wiele też mówiła posępna twarz jego, która nigdy kłamać nie umiała.

Skiba znalazł tu starych towarzyszów broni, którzy się doń zbiegli, słuchać opowiadań o losach Krakowa, Tyńca, Bobrka i Lanckorony. Szczególniej wypadki w Tyńcu, potem wieści od Generalności, posłuchy o jej losach zajmowały załogę częstochowską, wyglądającą odsieczy, żywiącą jeszcze lepsze na przyszłość nadzieje... gdy już, niestety — nie było żadnych.

Skiba i Karol opowiadać musieli garstce ciekawych rozczarowujące nowiny swej niedoli; ale samo ich wytrwanie i przybycie tych niedobitków jakiejś dodawało otuchy tym, co się łudzić chcieli.

W ostateczności wszystko się zmienia w nadzieję.

Pułaski wszedł z Radzimińskim, zaufanym swym, do pustego Refektarza. Radzimiński, który go nie odstępował nigdy, był prawą jego ręką, on po nim brał komendę. Pułaski mu ufał, był to żołnierz mówiący niewiele, ale żelaznej woli i charakteru.

Odsunęli się od drzwi, aby ich nie podsłuchano, Kazimierz począł od serdecznego uścisku... milczącego, ale pełnego wzruszenia.

Radzimiński zadrżał, uścisk ten nic dobrego nie wróżył.

— Słuchaj, przyjacielu — rzekł głosem zmienionym — z niewymownym żalem dzielę się z tobą rozkazem z góry, któremu nawykłem być posłusznym... przychodzi mi on przez usta człowieka, którego jak świętego czczę... Muszę spełnić ordynans.

— Co za rozkaz? — podchwycił Radzimiński — żywy i gorączka — może poddać Częstochowę — nie! to nie może być! Będziemy jej, jak Kordecki, bronili do ostatka... wyginiemy do nogi, a gruzy jej nas przysypią.

— Słuchaj cierpliwie — ze smutkiem odparł Pułaski. — Częstochowa nielada jest twierdzą i nie samą twierdzą tylko, którą na łup ruinie dać można. Barski zameczek czem był innem. Berdyczów wszakże poszanować przyszło dla Matki Boskiej, cóż dopiero to miejsce, które do milionów, do całej Polski należy... Tak jest, przyjacielu... Częstochowę oddać musimy. Gdyby była iskierka nadziei, że się utrzymamy, że ocalim... lecz napróżno się łudzić. My z tysiącem zostaliśmy jedni, jedyni... garść... odrobina... święte mury te obroniły nas od zagłady... Ja... ja mu-

szę was porzucić! muszę odejść, dla wszystkich przebaczenie łatwe...

Westchnął Pułaski.

— Wiem, że załoga cała, gdy ja wyjdę, znajdzie łaskę, ucieszą się, że ostatnich Barskich żołnierzy zmienią w pospolitych ludzi...

— A cóż z wami? — spytał Radzimiński — cóż wy myślicie?

— Ze mną — co da Bóg! nie wiem! pójdę gdzie poniosą oczy.

I począł znów ściskać starego druha, który, jakkolwiek żołnierz zahartowany, człek twardy, zrazu nadąsawszy się, łzy ocierał.

— Za godzinę mnie tu nie będzie — dodał Pułaski. — Muszę z ciemnej nocy korzystać. Uchodzę...

— A! weźże i mnie ze sobą....

— Radzimiński, nie żądaj tego, błagam cię, tobie jednemu powierzyć mogę towarzyszów broni, bolesny obowiązek poddania się tak, aby ani życia, ani czci nie stracili... Proście, starajcie się, aby przynajmniej twierdzę wojsku królewskiemu, nie komu innemu poddać dozwolono.

Bracie — dodał tęskno — Bóg wielki, życie cudów pełne... kto wie?

— Któż pójdzie z wami? — spytał niespokojniy towarzysz.

— Zdaje mi się, że Rogowskiego tylko wezmę, a do usług Bohdanka... Gdzie mnie losy zaniosą, nie wiem... ukrainiec mi może rodzinną dumkę na obczyznie zanuci i łez dobędzie, gdy pierś zduszą... Ani słowa nikomu — dodał — idzie o głowę moją, o cześć moją!... ani słowa! Dajcie mi pióra i papieru... napiszę do towarzyszów słowo pożegnania... ty jutro tu je... przeczytasz... gdy mnie już nie będzie.

Radzimiński powlókł się spełnić rozkaz, nawykły będąc do ślepego posłuszeństwa; Pułaski został sam. Wzrok jego padł na wielki krucyfiks, wiszący na ścianie, kolana ugiął, złożył ręce.

— Prowadź mnie, Boże — rzekł w duchu — na śmierć, na nędzę...

Powracający Radzimiński zastał go jeszcze na klęczkach; ale siadł zaraz pisać, nie mówiąc słowa, kazawszy tylko przywołać Bohdanka, którego wierności był pewien.

Za chwilę stawił się wyrostek, dziecko stepu, z tą fizyognomią, co piękną być umie, choć nie jest, co się wdzięczy jakimś ser-

decznym urokiem, oczyma łzawemi, usty malinowemi, a w piersi dziecięcej ma męstwo starca...

Bohdan był chłopakiem ledwo wyszłym z chłopięctwa, ale silnie po kozacku zbudowanym, zwinnym i zręcznym. Oczy miał niebieskie, jasne, czoło wysokie, podgolone, a na twarzy ten spryt ukraińca, co się kryje pod dobrodusznością wesołą.

— Co bat'ku każecie?

— Naprzód milczeć jak ryba, a spełnić, co powiem... pod utratą łba... Do stajni bez latarni... iść, konia mego,, swego i Rogowskiego okulbaczyć, tak, żeby nikt o tem nie wiedział... w troki dam węzełek... za godzinę powinno być wszystko gotowe... ty jedziesz ze mną...

— Słucham...

— Za godzinę, gdy ludzie się pośpią, wyprowadzisz konie, słomą im obwiązawszy kopyta.

Posłuszne kozaczę nie śmiało pytać o więcej.

— Konie, choć po ciemku, obmacać dobrze, podkowy, siodła, popręgi,, aby nic nie brakło... Radzimiński da klucz od furtki, zwanej wycieczką, konie tam za nią czekać mają. Idź i spraw się...

Kozaczek popatrzył żywemi oczyma, jakby chciał z pana piersi prawdę wyjeść, zawrócił się i poszedł na palcach...

Ale od drzwi jeszcze spytał.

— Na ile dni koszul, ojcze?

— Na całe życie! — surowo odparł Pułaski — rozumiesz... koni mi nie obciążać... koszula się znajdzie na ciało, póki dusza w niem... ruszaj...

Bohdanek zatrzymał się, usta mu drgnęły, ale zmilczał... pan nie był rozmowny.

Ciężkież to było pożegnanie z towarzyszami doli i niedoli — najcięższe z tą nadzieją, donoszoną do dni ostatnich... Naraz wszystko trzeba było porzucić i iść... w ciemną, nieznaną przyszłość.

Ale tej twarzy i duszy obcą była słabość, co sił pozbawia, im boleść stała się większą, tem energia do pokonania jej rosła.

Gdy się ten dramat serdeczny odgrywał w tajemnicy dla wszystkich, w celi dowódcy modlił się i spoczywał pielgrzym.

a u drzwi jej poziewał chodząc, niby na straży postawiony, konfederat...

Skibie leżało na sercu, aby tego starca... mógł ucałować ręce... przemówić doń serdecznie... byli dawni znajomi... Rozgadawszy się i upłakawszy ze swymi, wyszedł cichaczem w korytarz, domyślając się, gdzie szukać żebraka potrzeba... Pokazano mu celę Pułaskiego, ale w progu jej żołnierz aparł mu drogę.

— Komenda, panie pułkowniku, nie wolno nikomu...

Skiba się zafrasował, myśląc, co pocznie, gdy wewnątrz głos się ozwał donośny.

— Puszczaj!

Korzystając z pozwolenia, wszedł co prędzej... na środku izby stał żebrak ów z wyciągnionemi rękami i nie dając się pochylić do swej dłoni Skibie, pochwycił go w ramiona.

— Nie korz się przed zlepkiem, korz się przed Bogiem — jam nie ten, co byłem... nie natchniony duchem prorok... ale zdruzgotany obłamek człowieka... z wypłakanemi oczyma. **Fuimus? fuimus?** a za pokoleń naszych już to, co było, nie powróci. Cóż ty stary robaku? powiedz mi skąd? dokąd?... Ja coś wiem i nic nie wiem... widzę jak przez mgłę i niepomnę...

— O moich losach co tam prawić — odparł Skiba — tu bym chciał śmierć znaleźć...

Starzec pokiwał głową.

— Oj, duszo harda! duszo harda! jakże to was Bóg chłostać musi, aby pokory nauczyćł... Więc wam koniecznie zwycięstw, albo bohaterskiej śmierci potrzeba... a cierpieć, a siedzieć z głową posypaną popiołem — nie łaska?? Więcbyście dla dumki waszej w perzynę gotowi miejsce święte obrócić?

— Mamyż broń złożyć? Czyż taka dyspozycya Boża?

— Dyspozycya zawsze jedna — pokora i posłuszeństwo...

Zatrzymał się...

— No, to ci powiem, stary a wierny żołnierzu chorągwi Matki Boskiej... powiem ci... Tak... kazano się poddać... upokorzyć. Poszaleliśmy swobodą, popiliśmy się swawolą — nie chciało się króla, nie szanowało prawa, nie uznawało w chamie człowieka... więc oko za oko, ząb za ząb weźmie mściwy Bóg Izraela. "I wyciągnę rękę moją na nie, i uczynię ziemię spustoszoną i opuszczoną od puszczy Deblatha... po wszech mieszkańcach ich... a doznają, żem ja Pan..." (Ezechiel 6). Tak, synu, kara

się dopiero poczyna. Jam przyszedł z rozkazem Pańskim, abyście rozpoczynali pokutę...

Skibie wargi drżały, oczy się zaczerwieniły, bo płakać nie mógł już, a w piersi gotowało mu się i wrzało, ale nie wybuchnął...

— Cóż nam czynić'? — spytał po żołniersku.

— Żyć i pokutować włosiennicą okrytym...

— A dla mnie, ojcze, przykazanie jakie? — zapytał Skiba, ja nie mam domu, ani dzieci, ani majątku, nic, prócz życia ciężaru...

— Ulituje się pan — odpowiedział żebrak — ulituje... on sam natchnie, ja nie wiem, ja dla was nie mam rozkazu...

Skiba ręce załamał.

— O, ojcze mój święty — zawołał — niechże ja stary pień spruchniały... burza go lada dzień obali... klasztor mi da przytułek, a suknia mnisza spokój... ale ze mną jest chłopak, jak róża rozkwitły, czysty, poczciwy, który przysiągł sobie nie wracać do domu... Święte dziecko, dobre dziecko... pokochałem go, jak własne... co z nim pocznę, mój ojcze, powiedz?..

— Nie widzę go — rzekł powoli starzec — jak mu imię?

Karol — Karol Płuta...

— Ten, który jechał przy boku twoim... Niech idzie, przywiedź mi go tu... dam i jemu szkaplerze z błogosławieństwem... ale nie rychlej, aż tu przyjdzie Pułaski... Pomodlę się na intencyę waszą...

— Więc żadnej pociechy? żadnej nadziei?

— Synu... Bóg zawsze ma pociechy, Bóg zawsze chowa nadzieję. Ale czyśmy zasłużyli na nie? Wyście może lepsi od innych, ale dla dziesięciu sprawiedliwych Sodoma i Gomora nie będzie ocaloną... Wierzyliśmy więcej w Turka, więcej w Wołoszyny zdradne, we Francuzy płoche, w Rakuszan... niż w Boga i cnotę... Bóg karze...

— Cóż czynić?

— Modlić się, pracować.

— Długo?

— Starcze! przyszłości się nie mierzy ludzkiem życiem... Świętokradzca, kto ją chce odsłaniać, gdy niema woli Bożej...

— A! nie dla siebie... nie — rzekł z zapałem Skiba.

— A wola Pańska? a wyroki Jego? wy byście je złamać chcieli?... nie... stanie się, co przeznaczył — amen. " I będzie ziemia

Egipska pustynią i spustoszeniem, a poznają, żem Pan, za to. żeś mówił: — Moja jest ręka i jam ją uczynił... I dam ziemię Egipską pustą w pośrodku miast zburzonych i będą puste... czterdzieści lat, a Egipcyany rozproszę między narody i rozwieję je po ziemiach" (Ezechiel 29).

Mówiąc to, gdy kończył, zapłakał, puściły się łzy Skibie i tak w milczeniu owi starce stojąc, łykali łzy, a nie mówiąc słowa, poili się boleścią.

Wtem zapukano do drzwi, w progu ukazał się Kazimierz Pułaski, którego na pierwszy rzut oka ciężko było poznać, bo i twarz przez tę godzinę zmieniła mu się pod naciskiem troski — i strój był przywdział niezwykły.

Ubierał się zwykle p. Pułaski po huzarsku, a jak to było w obyczaju dla dowódców nie szczędząc galonów, guzów i sznurów; teraz włożył prostą szaraczkową taratatkę, a w ręku miał granatową czapkę z siwym barankiem... Twarz była czarna i posępna. Ujrzawszy go żebrak, szepnął Skibie:

— Idź po swego chłopca, nie trzeba czasu tracić.

— Po kogo? — spytał, dosłyszawszy, Kazimierz.

— Daj ci Bóg poczciwego towarzysza, którego potrzeba wziąć stąd, bo się przydać może... Nie znasz go ani z imienia, ani z nazwiska; ale oto ten zań ręczy i prosi za nim.

— Modlę się — dodał Skiba.

— Każecie, wezmę — rzekł łagodnie przybyły — ale ojcze, ojcze! na tę drogę nędzy i tęsknoty... a! daj mi krzyż swój i błogosławieństwo... błogosławieństwo Abrahama i Jakóba, któreby ulżyło bólu, a pomagało dźwigać ciężar... Zlituj się słabości ludzkiej.

Właśnie gdy to mówił, starzec z pod sukni dobył kilka par szkaplerzy i żegnając je drżącą dłonią, modlił się.

— Jedne z nich są dla ciebie, te dla twych towarzyszów. Zawieś je i noś na sobie... będą ci bronią i puklerzem... Jeśli z piersi twych znikną... nie lękaj się, ale przygotuj umrzeć po chrześciańsku... będzie to bowiem oznajmieniem rychłego końca. Bóg da ci to hasło, gdy powołać zechce... A teraz nie marudźcie, czas wam w drogę... w imię Ojca i Syna...

I na schylonego włożył szkaplerze... Pułaski rozpiął suknię, aby je na piersi uwiesić i pocałował w rękę starca.

Prawie w tejże chwili Skiba przyprowadził Karola, na którego ciekawie się oczy wszystkich zwróciły. Stał blady i pomieszany przed Pułaskim... Żebrak długo nań patrzał, a powoli badając go, wyjaśniała mu się twarz, bo poczuł, że czystą, dziewiczą i szlachetną istotę miał przed sobą... jeszcze w zetknięciu ze światem niepokalaną.

— Słuchaj, dziecko — odezwał się. — Bić się już dłużej teraz wzbroniono, taki jest ordynans Boży. Chcesz iść z panem Pułaskim? nie żal ci rodziny, domu... kraju?

— A! żal mi, mój ojcze... ałem poprzysiągł poświęcić się.... pójdę, gdzie jej użytecznym być mogę...

— Jakże w rozproszeniu, na tułactwie służyć będziesz tej ojczyźnie umiłowanej, powiedz mi?

— Nauczcie mnie...

— Służ jej cnotą twą. W domu, synu, myśmy między swoimi na gnieździe, drzwi zaparte... Bóg tylko widzi i sądzi, ale jak wychodząc za wieś chłopek bierze odzież czystą, aby sądzono z niej o zamożności chaty, tak i my musimy iść odziani poczciwością, aby z nas o Polsce wnoszono, a nie powiedziano o niej — jest legowiskiem niepoczciwych. Dziecko moje, pomnij te słowa, bo wielu ich nie poczuje w sercu, a sromem nas okryją...

To mówiąc, włożył mu na szyję poświęcone szkaplerze...

Kilku jeźdźców wyszło furtą wycieczki z klasztoru i milcząc, puścili się drogą ku granicy.

A gdy przyszło rozstać się z Polską i przekroczyć ostatnią rubież jej... dopiero wstrzymali konie wszyscy... a odwróciwszy twarze ku wschodowi, klękli się modlić.., żegnając w duszy wszystko, wszystko, co rzucali za sobą.

KSIĘGA IV.

Tułactwo.

Któż zliczy, ile rodzajów tułaczów i tułactw, zrodziła ta godzina; ilu wędrowców opuszczało kraj, jak szczury wynoszą się z okrętu, co ma spłonąć, jak ptacy z gniazda na drzewie, które ma wicher obalić.

Była w tem jakaś mistyczna siła... niepojęta.

Począwszy od króla, który śnił o abdykacyi i chciał umierać pod włoskiem niebem, spokojnie — począwszy od tego nieszczęśliwego króla, marzącego o Włoszech, uciekali lub pragnęli uciec wszyscy od grożącego kataklizmu.

Stary życia porządek runął, zwichnęły się osie jego, nowego stworzyć nikt nie miał mocy, na to się składają wieki.

Ostatnie dnie dogorywającej konfederacyi były także włóczęgą: z Turcyi na Waradyn szedł Krasiński do Węgier, gonił go zwaśniony z nim Potocki, kłócono się w Preszowie za radziwiłłowskim stołem, pijąc tokaj, potem wygnana generalność biegła do Cieszyna i Białej, potem jękami tylko znaczyła drogę wygnania z Braunau, Augsburga, Lindawy.

W Wiedniu Pac i Jabłonowski napróżno modlili się do Kaunitza, próżno inni biegli do Drezna szukać nadziei u królewicza, który poślubiwszy Polkę, już miał czas dla niej zobojętnieć i o jej ojczyźnie zapomnieć. Garnęli się tu ci, co w słabej Saksonii dla słabszej jeszcze Polski wyglądali posiłku.

Pełno było tych dyplomatów improwizowanych na dworze Ludwika, u wrót Porty, ba! nawet w pokojach Fryderyka, choć ten przynajmniej nie obiecywał nic, a co mógł, zagarniał pod siebie. — Było to królestwo w dorobku...

Zawczasu poczęły się te bieganiny po świecie, gnała losu rę-

ka niewidzialna po rozdrożach, za morza, gdzie wprzódy imię i stopa Polaka nie postała.

Kościuszko sposobił się do wielkich przeznaczeń pod bokiem Washingtona, marząc w ogródku w West Point o Polsce wśród krzaków bzu, przypominających wiosnę naszą.

Beniowski konfederat dla miłości swobody zabiegł pod biegun północny, o nieznanych marząc światach, o wyrąbanych królestwach i podbojach, które mu może powieści Dzierżanowskiego w bujnej wyobraźni zasadziły.

Niezbłagane dzieje niedoli pisał wciąż palec Boży na coraz czarniejszych kartach...

Radziwiłł przejednał się i powrócił, nawałęsawszy się po świecie, po drogach, które wysypywał złotem, zdumiewając tą milionową nędzę; wrócił Ogiński, przebolawszy w Królewcu i Dreznie i Włoszech przegranę Stołowicką i utracone toaletowe przybory. Wrócili inni, cichaczem jednając się z królem, który tak był grzeczny dla wszystkich i tak wymowny, że nawracać umiał nawet najupartszych.

Wracali możni, tułali się ubodzy.

Słodził się on gorzki chleb tułactwa temi nadziejami z obłoków, którym każdy dzień kłam zadawał, a każde je odradzało jutro.

Polska reprezentowaną była w Europie przez bohaterów i samozwańców, przez najwybrańszych i najostateczniejszych. Nie brak jej było nawet istot zagadkowych i tajemniczych, którzy w epoce niewiary szli w imię mętnych religijnych idei...

Razem prawie z Pułaskim wyszedł z Częstochowy ów Frank, co Mojżesza miał przejednać z Chrystusem... kupił do siebie tłumy, sypał złotem... siał przed adeptami niezrozumiałą naukę, roznosząc ją po świecie z piętnem tajemnicy, pod godłem Polski.

Któż zliczy!

To pierwsze tułactwo polskie było jeszcze pełnem nadziei; nikt nie rozwiązywał sakiew podróżnych i nie siadał do pracy; czekano cudownego jutra... Tułactwo to nie miało jeszcze tej nędzy i goryczy, jakie się czuć dały następnym — nigdzie nie

odmawiano przytułku, wszędzie zmuszano się do współczucia, nie okazywano obawy, a gościnność była, jeśli nie serdeczną, to głośną i pokaźną.

Było to w drugiej połowie sierpnia 1777 roku.

Na rozkołysanych falach Oceanu Atlantyckiego, zgubiony wśród niezmiernych przestrzeni, sam jeden na całym widnokręgu — biegł ku brzegom Nowego Świata statek francuski "La belle Louise."

Wieczór się zbliżał, powietrze duszne było i gorące, słońce piekło jak ogniem, na umysłach i ciałach ciężąc ołowiem, chociaż chwilami zrywał się wiatr silny, lecz parny i rozpłomieniony, dodawał żaru, nie chłodził.

Majtkowie ściągali żagle powoli. Mimo, że niebo jasne było jeszcze i wypogodzone szeroko, ale dla doświadczonych oczów marynarzy zwiastowała się już burza, nadejść mająca nocą... kilka smug ciemniejszych, kilka kłębiastych obłoków rozściełało się w dali na jaskrawem niebie zachodu.

Ptastwo morskie niespokojnie latało dokoła okrętu nisko, a dwa rekiny, oddawna płynące w ślad za piękną Ludwiką, wychylały niekiedy głowy nad zburzone fale, jakby upatrywały rychło im krucha łupina okrętowa — ofiary wyrzuci.

Z rachunku kapitana statku Leclerc, starego morskiego wilka — jak go zwali podwładni — i z licznych, niewątpliwych oznak zwiastujących dla żeglarzy zbliżanie się do lądu, wnosić już było można, iż statek wkrótce swej dwumiesięcznej dokona podróży.

Szczęśliwie dosyć przebył on niebezpieczną żeglugę, ale tu, u kresu, gromadziły się trudności i niebezpieczeństwa.

Dokoła tych brzegów, po za któremi wrzała walka zajadła pomiędzy krajem, który swą niezawisłość ogłosił, a starym jego panem, co mu jej odmawiał — krążyły niepoliczone statki Anglii, dumnej ze swej niezachwianej dotąd przewagi na morzu, broniące przystępu, szczególniej okrętom płynącym z Francyi, wiozącym pomoc, otuchę, nadzieję...

Wszystko, co tu zmierzało, podejrzewano o współczucie dla buntu, a posiłkowanie niepodległych kolonistów.

Łatwiej było przepłynąć ocean, niż uniknąć na wodach Ame-

ryki spotkania z korsarskiemi statkami i flotą Wielkiej Brytanii, która niosła na flagach swych sławę niezwyciężonej.

Burza widocznie nadciągająca i owo przeczucie statków krążących u wybrzeży — chmurą powlekały czoło kapitana pięknej Ludwiki, który z ogorzałą twarzą swą, posępną, milczącą, pokazywał się z kolei wszędzie, gdzie coś wykonać było potrzeba. To się przyglądał mglistej dali w stronie, od której ziemię ujrzeć się spodziewał; to patrzał po wodach oceanu, rozkołysanych już i wzdętych. Dano rozkaz zwijania żagli, gdyż nocą niepodobna było zbliżać się do lądu.

Noc tę burzą kazała przebyć jeszcze na rozkołysanych falach, walcząc ze zburzoną głębią... a potem pozostawało jeszcze potłuczonym może szczątkom zdążyć do przystani, ściganym przez angielskie kule.

Nie dziw, że wobec takiej przyszłości groźnej kapitan był ponury i zadumany.

Na pokładzie statku siedziało w milczeniu posępnem kilku ludzi. — Byli to podróżni już znużeni długiem morza kołysaniem, oczy ich pożądliwie wyglądały ziemi, ziemi nieznanej, ziemi swobody — dla wielu z nich tylko ojczyzny złota, gdzie człowiek mógł się sprzedać korzystnie.

I tu, jak wszędzie, sprawa wolności ciągnęła ku sobie najczystszych bohaterów i tych, co na świecie nawet honoru już do stracenia nie mieli.

Wypowiedział wielki wieszcz wieków (Dante), tę jedną z najsroższych boleści tułactwa, iż szlachetne serca brzemię jego na współ nosić muszą obok społeczeństwa wyrzutków. Iść potrzeba z pokorą tą drogą skutym ze zbrodnią i podłością, często dla większej jeszcze ofiary.

Na jednego, młodzieńczym zapałem popchniętego Lafayetta, iluż tam było startych na miazgę, życiem obrukanych niedobitków swawoli, szumowin i śmiecia!

I ten okręt, płynący ku Ameryce, wiózł jej w swem łonie zwykły kontyngens bohaterstwa i nikczemności. Na pokładzie w jednym kącie siedzieli smutnie i poważnie ludzie, umiejący życie dźwigać godnie, w drugim kręcili się niespokojnie ci, którym pilno było tylko wyjść cało, a przehandlować się drogo.

Statek prawdopodobnie miał doścignąć lądu pomiędzy Ka-

roliną północną a nowym Jersey, a tu właśnie koło ujścia Delawary kręciły się obficie angielskie rozbójniki.

Ściśnięci w gromadkę, pół siedząc, pół leżąc na zwojach lin okrętowych i rzuconych płaszczach, gwarzyli cicho polscy tułacze, to znów długiem milczeniem wypoczywali.

Byli to Kazimierz Pułaski, Karol Pluta i Maciej Gogowski.

Pierwszy z nich teraz się zdawał złamanym i przybitym więcej, niż w ciągu całej podróży, w której sam drugich znużenie krzepił, zniechęcenie rozpraszał, nadzieje podtrzymywał.

Na tym statku, co ich niósł, czuł się jeszcze prawie w Europie, jakby w jakimś domu szczątku; za dzień, za dwa miał już stopą dotknąć nieznanego świata, ziemi wolności.

Wszystkie odpędzane tęsknice po kraju rodzonym, po przeszłości ze świateł i cieni utkanej, cisnęły się ku niemu, obsiadały piersi, zawisły na czole, przygniatały myśl znękaną.

Niekiedy rzadki gość na męskiej powiece, łza, zakręciła się w oku i nikła spalona. Usta czasem nieprzytomne, machinalnie poczęły jakby modlitwę, a myśl nadbiegła i ołtarz ów obaliła. Uśmiechało się lice i oblekało żałobą, krew napływała i uciekała od serca, jakby zapowiadająca się burza już i niem miotała.

Co też przeżył ów złomek człowieka od tej godziny, gdy wyszedł z ojcem i braćmi do Baru?? Upokorzenie, niechęci i waśnie, potwarze i ohydę. Ojciec zmarł, dobity niemi, bracia życie oddali, on jeden, gdy miał się pogrzebać żywcem w gruzach twierdzy... rozkaz z góry wytrącił mu miecz i wskazał tułactwo.

W stolicy Saskiej zobaczył znów, powitał i pożegnał, niegdyś ukochaną Franusię Krasińską, tylu nadziejami szczęśliwą, ateraz tak biedną...

Potem wałęsał się bez celu, do Turcyi, aby być świadkiem i uczestnikiem klęski; aby uciekać z hańbą i gniewem od murów Sylistryi, przeżyć kilka dni jaśniejszych w Adryanopolu i Rodosto, przedrzymać miesiące w Stambule. — To był tylko nocleg w gospodzie.

Wspomnienia tego kilkoletniego, a kilkowiekowem zdającego się tułactwa — oblegały biednego żołnierza. A nad nie wszystkie żywiej przypomniała się Ukraina i Podole, lata młode, ma-

tka, co go w progu nowego życia błogosławiła, ojciec i wieczory pod lipami, na których klekotały bociany przyjaciele, i to szare niebo północy, ze zgrzebnych domowych płócien utkane.

Przychodziły łzy po jednej na każdy ból, a odprawiał je napowrót do serca, aby z niego nie wychodziły.

Obok niego siedzieli towarzysze przybici, wymęczeni swym smutkiem, podróżą i tęsknotą długą.

Karol usiłował utaić w sobie uczucia, które nim miotały, choć z duszy odzywała mu się ta pieśń nie pozbyta wspomnień, do szału i rozpaczy rozgorączkowująca człowieka.

Rogowski nie wiele tam zostawił prócz grobów, a i jemu po wąsach płynęły łzy, które przeklinając, odpędzał.

Gdy odpoczywali w stolicy saskiej, ojciec, dowiedziawszy się z listu o jego pobycie, przybiegł sam, chcąc go z sobą zabrać do Skały; ale próżne były pokusy i namowy.

Ojciec prosił, przekonywał, na końcu uległ. Prosił drugich, aby za niego mówili do upartego dziecka; Pułaski sam skłaniał go do powrotu, ale milczący Karol stał przy swojem, że mu towarzyszyć będzie.

Tęsknił po dziadzie, po matce, ojcu i po Ewusi, o której nie śmiał wspominać, ale tęsknota potęgowała w nim żądzę ofiary.

Iść na tułactwo dobrowolne, zdawało mu się z razu tak pięknem, jak Radziwiłłom, Ogińskim, Pacom, Potockim, którzy wszakże jeszcze piękniejszem wkrótce uznali powrócić do łask królewskich i do domu.

Dalecy krewni Plutów, Mniewscy, bawiący naówczas w Dreznie, bo Drezno od czasów Saskich było dla wielu pierwszym popasem tułactwa, dla innych pierwszym i ostatnim, zacna pani Moszyńska, inni ziomkowie używali wszelkich możliwych perswazyi, aby go skłonić do powrotu, ale wybłagał u ojca, że mu pozwolił dzielić Pułaskiego losy.

Nad brzegami Elby rozstali się z ojcem, który powrócił do Skały, a syn poszedł bić się pod Sylistryą, patrzeć na morze w Rodosto, tęsknić, błąkając się nad najpiękniejszemi w świecie wybrzeżami Carogrodu, aż dopóki rozbudzony nagle Pułaski nie zawołał:

— Jedźmy do Ameryki.!

— Do Ameryki! — myśl tę z zapałem młodości pochwycił Karol.

Teraz siedział i on z ciężarem na duszy, ale z dumą zarazem, że dotrwał na stanowisku, i jednem westchnieniem żegnał ojczyznę, drugiem witał ziemię boju i trudu.

Promienisto wydawał mu się ten kraj tytanicznych zapasów, homerowych bojów i spartańską cnotą odzianych, jak zbroją, bohaterów.

Wśród tego milczenia i smutnych myśli wieczora, niekiedy słówkiem odezwał się który z nich o Polsce. Po licach przebiegł jakby promień światła, potem jakby chmura ciemna i znów milczenie.

— Któżby to był mi powiedział, gdym chłopięciem biegał po polach w Raduczu, że mnie wiatry i miłość ku wam zagnają kiedyś aż do Antypodów! Rzekło się wprawdzie w Częstochowie — mówił Rogowski — że choćby do Antypodów za wami, ale dali pan, nie myślałem wówczas, ażeby się to sprawdzić miało.—

— Hej! hej! ktoby mi był śmiał przeczyć — odparł Pułaski — że na murach Jasnogórskich życia nie położę, miałbym go za oszczercę,... ale losy człowieka, to wiekuista zagadka. Bóg kazał inaczej — nie myślmy o tem — stało się. Karol westchnął i on pomyślał.

— Gdym wyjeżdżał do Tyńca lub Częstochowy, któżby zgadł, że się na ocean Atlantycki zabłąkam?

— Dziś, jeśli mi kogo żal, to tego dziecka Ukrainy, Bohdanka mojego — mówił Pułaski — trzebać mu było, wyrwawszy się cało z rąk tłuszczy tureckiej pod Sylistryą, przepłynąwszy większą część drogi, dać się pożreć rekinowi pod San Domingo... biedne, poczciwe chłopię...

— Ale bo i sam sobie winien, do trzykroć!... — przerwał Rogowski — com go naprzestrzegał, żeby nie dokazywał z tem pływaniem. Dobrze to u nas, gdzie największa ryba sum, ale tu... te dyabelskie monstra, toby wołu zjadły na śniadanie, nietylko takie drobne stworzenie, jak Bohdanek... Ale on byle wodę zobaczył, jak ryba, jak amfibia, zaraz mu się zachciewało pływać.

— Dajże mu już pokój nieborakowi — odparł smutnie Pułaski — niech mu Bóg da odpoczynek... dziecko było i służka ser-

deczny. Mój Boże, jak to piosnki śpiewało! Nie jestem zabobonny — dodał — ale mam to sobie za niedobrą wróżbę, że swoją miłość dla mnie życiem przypłacił.

Rogowski westchnął.

— E! generale — rzekł po chwili — kto tam wie, co lepiej, czy ginąć od rekina, który gładko schrusta, czy od kuli angielskiej, co gotowa, na dwa podzieliwszy dania, naprzód zrobić kaleką, a w końcu nieboszczykiem.

— Zapewne — oadparł Pułaski — kiedy zginąć raz potrzeba. To też mi to wszystko jedno, co Bóg przeznaczy, ale bym już co rychlej pragnął na ląd wysiąść i bić się, a coś robić. Ta długa bezczynność i kontemplacya wód morskich... rano, w południe i na wieczór, zmordowały mnie... Gładka powierzchnia tej szyby nudzi, niecierpliwi... obmierzłe morze... Fala ruchawa niby, bałamutna, a zawsze toż samo... i człowiek przeciw niej nic nie może....

— Nie trzebaby jednak kłócić się z nią i mówić jej nieprzyjemności przed burzą — odezwał się Rogowski — na noc podobno zbierze się na dobrą przeprawę. Niedarmo kapitan Leclerc chodzi nasępiony jak mruk, nawet nie poświstuje, a płótno ściągają zewsząd. Uważałem to nieraz, że gdy tylko te szmaty poczną wałkować... już coś złego... grozi.

— Zbiera się na burzę, to pewna — dorzucił Karol — chmury pędzą, choć jeszcze daleko, wiatr dmie coraz gwałtowniej i nierówno, jakby się gniewał... zły znak. Okręt, jak łupina, skacze po falach.

Zamilkli. Karol na wspomnienie Bohdanka, westchnął po swoim Staszku... Nie wiedział nawet, co się z nim teraz działo. Musiał go zostawić w Częstochowie, ale chłopię wierne, dognało go później w Dreznie, towarzyszyło wszędzie i dopiero w Paryżu, przestraszone długą morską podróżą, wahać się poczęło...

Karol, widząc go smutnym, sam się postarał zostawić go we Francyi... Staszek miał wrócić do Skały... wahał się jednak...

Głos kapitana Leclerc, komenderującego, mieszał się z szumem wichru, pluskiem fal coraz rosnących, ogromnych, spienionych, z chrzęstem masztów i drzewa w samych wnętrznościach

statku. Majtkowie zwijali się żywo, mrok zapadał, burza nadciągała widocznie...

Niekiedy w dali błyskawica, jak wstęga złota, przerżnęła czarne obłoki i piorun przeleciał, jak wąż w przepaście... to znów cichło, milczenie groźne dawało słyszeć nowy ryk nadchodzącej burzy, która rosła, wzmagała się, wyła i ustawała, jakby sił do nowych szałów nabrać potrzebowała...

Milczenie naówczas straszniejszem było od szumów i wycia...

Wśród nadchodzącej wrzawy.. z pod pokładu dobył się nagle na wierzch człowiek szpakowaty, ospowaty, niemiłej, choć usiłującej przymilić się twarzy, małych oczek krecich, rysów ruchawych poliszynela, suchy, żylasty... Oparł się łokciami o deski, wystawił głowę zaspaną, obejrzał dokoła, a obaczywszy chmury i poczuwszy wicher, który go opoliczkował, wyskoczył niespokojny na podłogę.

Był to Gaskończyk, kapitan Girod, płynący jako towar do Ameryki, typ oryginalny człowieka na sprzedaż... który tak wysokie miał, a przynajmniej okazywał o sobie wyobrażenie, iż mu się zdało, że byle dotknął stopą ziemi nowego lądu, a zagadać raczył do Washingtona, Amerykanie go złotem obsypią i na rękach nosić będą... pod palankinem...

Girod roił o świetnej przyszłości. Ale burza w pobliżu lądu, a jeszcze nocą, przeraziła go niepomału, począł się obawiać o drogą swą osobę, zachmurzył i pobiegł do zasępionego Leclerca.

— Kapitanie! czy jest niebezpieczeństwo? na miły Bóg, czy jest niebezpieczeństwo?

Francuz, nic nie odpowiadając nawet, ręką rzucił w powietrzu zniecierpliwiony, pozbywając się natręta.

— Burza, burza nadchodzi widocznie, ja się znam na tem, jak na innych sprawach... wy to wiecie! A właśnie jesteśmy nieopodal od brzegów, nuż nas rzuci o skały lub osadzi na mieliźnie.

O mało nie dodał: Caesarem vehis ejusque fortunam; ale Leclerc odpędził go gniewny, rozkazując mu niegrzecznie iść do stu tysięcy dyabłów. Naówczas przerażony Girod, czując w niebezpieczeńsytwie niepohamowaną potrzebę wygadania się, obrócił się do garstki Polaków.

Można sobie wystawić, jak ta samochwalcza awanturnika postać wstrętną była dla Pułaskiego; rad się jej pozbywał, aby jak najmniej o tę żywą antithezę ocierać.

Ale Girod umiał być natrętnym aż do głuchoty i ślepoty dobrowolnej. — Dopadł do nich, łamiąc ręce:

— To bałwan ten kapitan, on nas wszystkich pogubić może! Co panowie myślicie? To nie są żarty! Leclerc mruk ani się odezwie, prawdziwy rekin morski, czuję grożące niebezpieczeństwo...

Wszyscy milczeli.

— Śliczna rzecz! przepłynąć ocean, nadławić się morską chorobą, a na brzegu dać nurka! Gdybym był wiedział, co się stanie... byłbym został w San Domingo... poczekał na inny statek...

Z nim ani pogadać, ani mu poradzić.! Żeglowałem nie po jednem morzu... pod noc w burzę... nad brzegami...

Gdy Gaskończyk tak narzekał, maszty coraz mocniej trzaskały, gięte od wichru, burza rosła, statek obnażony z płótna, rzucany falami, kołysał się, przechylał, skakał po pełnem morzu, na łaskę wiatru i wody oddany.

Miotało nim już tak, że ludzie na pokładzie, choć nawykli do tych skoków, musieli się oburącz trzymać lin i drzewa, aby ich fala i wiatr nie zniosły. Bałwany, coraz groźniejsze, przeskakiwały statek, porywając z sobą, co spotkały; Gaskończyk schronił się pod ławę, klnąc i płacząc; nikt na niego nie zważał.

Noc stawała się co chwila czarniejszą, przepaścistszą, zstąpiła z chmurami gęstemi, zdając się niebo przechylać tak, iż nad masztami zawisło. Nakoniec lunął deszcz ulewny, a raczej strumienie wody rzuciły się z obłoków rozerwanych, pioruny bić zaczęły, a błyskawice nieustannie oślepiać.

Na pokładzie cisza była uroczysta, ludzie zmaleli, tulili się, jak robaczki po okrętu szczelinach. Każdy z nich zajmował swe miejsce milczący, z okiem wlepionem w linę, w maszt, w pompę, gdzie stał i co mu oddano do straży. Kapitan, jak wrosły do desek, niemy, obojętny, zimny, patrzał na ten szał żywiołów, nie nowy dlań, z zimną krwią, z chłodną powagą starego marynarza... który nie jeden orkan przebył na Chińskich i Japońskich wodach.

Burza, choć gwałtowna, nie była wszakże tą trąbą porywającą i druzgocącą wszystko, z której cudem chyba statek wyjść może cało. Kładła ona okręt, rzucała go w przepaści, miotała

nim w górę, ale walczyć z nią mógł rozum, męstwo i doświadczenie człowieka.

— I ta burza u brzegów to także nie najlepsza dla nas przepowiednia — rzekł Pułaski.

— Ktoby powiedział — szepnął Rogowski — że, jak mi Bóg miły, kochany wódz wierzysz w te banialuki... Co ma za związek burza amerykańska z naszym losem?

Ot to bieda — dodał — że zasnąć będzie trudno, bo hałasuje dyablo i z łóżka wyrzucić może... a ta noc wyda się, jak czterysta lat długą... Czeluści czarne... chmurzyska gdyby całuny...

Girod jęczał i klął na przemiany... modlił się nawet pocichu, na wszelki przypadek, gdyby gdzie jaki Pan Bóg się znalazł, choć w pogodę zwykł był chlubić się ateuszowstwem... Niekiedy głowę podniósł, w niebiosach szukając nadziei, to znów chował ją ze strachu...

Wściekły wicher okręt pędził, miotał nim, jak dziecinną zabawką... Były chwile, że statek pochylony zdawał się wywracać i tonąć, to znów wzlatywał, odbity na grzbiecie fal i wyskakiwał w powietrze... i wpadał w przepaście...

Szerokie błyskawice wszystko się zdawały zapalać dokoła, ale w ich blasku nie widać było nic, oprócz piętrzących się fal i białej piany, która je obrębiała. Niekiedy otwierała się, jakby paszcza ogromna, spieniona i zdawała chcieć pożreć statek... oblewała pokład, przelatywała przezeń i biegła dalej...

— Zważcie, proszę — rzekł, przysuwając się Girod — co za los mój! już miałem zapewnione szczęście, bylem się tylko na ląd dostał... a tu... sądny dzień... to nie obejdzie się bez katastrofy. Jeszczem takiej burzy na morzu nie widział.

— A ta, co nas chwyciła u Antyllów? — spytał Rogowski.

— Tamta! to była zabawka w porównaniu do tej piekielnej nocy...

— Prawda — dodał Pułaski po polsku — że to noc jarząbkowa — wszakże tak, panie Macieju?... u nas się tak tę błyskawiczne nocy nazywają...

— Ale wiem, jarząbkowemi lub Eliaszowemi...

— Na Rusi — dodał z westchnieniem Pułaski.

Girodowi w biedzie gęba się nie zamykała, ale nikt go nie słuchał.

— To już fatalność jakaś — wołał — służyłem Fryderykowi Wielkiemu i tam mi dyabeł przeszkodził do generalskich szlifów, choć stary Fryc poznał się na mnie i cenił; służyłem potem w austryackich dragonach i stamtąd mnie intrygą wypchnięto, gdym już pewny był awansu... **cap de dieu?** żałuję teraz, żem nie dostał się, jak chciałem, do Petersburga... jest to kraj dziewiczy, potrzebują ludzi, jak ja... do wszystkiego zdolnych... byliby mnie obsypali... a morza nie było do przebycia.

Gaskon mówił sam dla siebie, burza głuszyła jego paplanie.

Karol, nie mogąc wysiedzieć bezczynnie, poszedł się kapitanowi ofiarować do jakiej roboty... i otrzymał zlecenie dozorowania ludzi przy pompie na dnie.

Burza zawsze jeszcze zdawała się zwiększać i rosnąć.

Pułaski niezmrużonem okiem patrzał na migocące błyski i bijące pioruny, płonęło od nich powietrze... oślepiały chwilami... Uderzający grom w bliskości wyrywał źrenice, a ciemność nieprzebita, otchłanna, długo nic rozpoznać nie dawała.

Świat się palił wśród potopowej ulewy, a mimo grozy tego widoku, był on wspaniałym i wielkim. Światłości i cienie składały się na obraz, jakiego wyobraźnia stworzyć nie może, coraz różny, coraz groźniejszy. Błyskawic światło, odbite w falach i rozprysłych kroplach, jakby iskier tysiącem obsypywało statek.

— Majestatyczny widok daje nam ocean na pożegnanie — odezwał się cicho Pułaski — ale co za upokarzające położenie człowieka, który wobec śmierci nie może walczyć, z założonemi rękami czekać musi losu swojego — bezwładny! Wolę burzę wojenną... hufce, tłumy, kule, strzały... sam jestem z szablą w ręku... tu spowity, jak dziecko.

— To też Karol, poczciwy chłopak, nie mogąc walczyć z piorunami i burzą — odezwał się Maciej — poszedł podobno do pomp, byle się komu sprzeciwić, a coś robić.

— O! zacneż to młode stworzenie — dodał Pułaski... a jak mi go żal, że dla mnie i zemną idzie na stracone imię... Ale na pociechę, żebyż się już dostać do konia, obozu, roboty...

— Tak, tak przerwał Maciej — byle nie na dno morza, do tych zębatych rekinów... ciągle za okrętem płynęły, czując co nas czeka... podwieczorku im się chciało...

Okręt hecę wyprawia, jakiej nie bywało...

W tej chwili trzask silniejszy się rozległ i oślepiający błysk oczy im zakrył — ogień strumieniem przeleciał po jednym z mniejszych masztów i strzaskawszy słup, upadł na pokład okrętu...

Szczęściem nie zapalił go, a majtkowie rzucili się natychmiast, aby szkodzie zaradzić. W chwili trwogi Girod wyleciał z pod ławy, wołając:

— Giniemy! giniemy!...

— Milczże waść! — ofuknął Pułaski. — Gdzie siła Boża z ludzką słabością idzie w zapasy, tam i o łasce Bożej pamiętać potrzeba....

Po chwili krótkotrwałego przerażenia, już resztki masztu ściągano; nikt rażonym nie został, a strata łatwo się zapaśnym masztem wynagrodzić dała.

Piorun ten zdawał się być zwiastunem końca burzy... błyskawice stawały się rzadszemi, wicher opadał powoli, deszcz lał tylko rzęsisty.

Nad głowami ich chmury się rozbijały, dzieliły, niebo gdzieniegdzie przeglądało jaśniejsze, a choć wicher jeszcze straconą odzyskiwał siłę, koniec tych szałów jego przewidywać było można. Okręt z walki wyszedł zwycięsko... Głos kapitana znów się dał słyszeć, majtkowie śmielej zwijali się po pokładzie; na horyzoncie dalekim, jakby linią czarną, odcięło się morze od niebios jaśniejszych.

Francuz, obejrzawszy się, ośmielony całkiem z pod ławy się dobył, i weselszy, raźniejszy, zbliżył się do Pułaskiego z uśmiechem zwycięzkim na ustach. Statek rzucał się jeszcze, ale fale już nie były tak rozhukane, głębie nie roztwierały się głodne... kołysał się na wierzchach bałwanów, a rzadko większy z nich zaglądał przez ściany do wnętrza...

— Mojej to szczęśliwej gwieździe i przestrodze, którą w porę dałem kapitanowi, przypisać potrzeba, żeśmy jako tako wyszli z tego dyabelskiego tańca! — rzekł Girod do Rogowskiego.

— Ale czy nie zawcześnie się cieszycie? — odparł z przekorą p. Maciej. — Kapitan mi powiedział, że wybrzeża około Delawary okryte są statkami angielskiemi, tam nas może dopiero czeka ostatnia rozprawa. Jeżeli nas złapią... nie ma wątpliwości, że pójdziemy albo na dno morza, lub na pontony, na których

życie gorsze podobno, niż tu na statku, przy śmierdzącej wodzie, starej słoninie i robaczliwych sucharach...

— Kapitan ma od tego głowę — rzekł Francuz.

— Dlatego też się frasuje, że mu tu i najlepsza nie pomoże — dodał umyślnie Rogowski, aby się pozbyć natręta...

Poszedł więc Gaskon skwaszony.

Teraz cichło już i łagodniało morze, fale jeszcze szeroko były rozkołysane, ale niebiosa już się widocznie rozpogadzały.

Przez podartych chmur reszty, które doganiały starsze towarzyszki swoje... gwiazdki ciekawie ku morzu patrzały. Obłoczki coraz lżejsze, rozczochrane, zmęczone, odlatywały w stronę, w którą burza na ocean się zwaliła....

Wzięto położenie statku i obrachowano gdzie się znajdował, a Leclerc przekonał się, że był daleko bliżej lądu niż się spodziewał. Było już dobrze z północy, wiatr upadając znacznie, dozwalał nieco rozpiąć żagli, można było rachować, że ze dniem pokaże się ziemia...

Kapitan, który już niejedną podróż po wodach tych odbywał i znał dobrze wybrzeże, u którego bezpiecznych portów było mało, rachował na to, że burza, co piękną Ludwikę pędziła, musiała też i angielskie statki oddalić od brzegów; nimby więc na stanowiska czas powrócić miały, trzeba było pospieszać, aby bezpiecznie zawinąć.

Jak tylko nieco uspokojone dozwoliło powietrze, rozwinięto żagle, zaczęto je pomnażać stopniowo i nagie liny statku okryły się powoli rozpiętemi skrzydły. Załoga była doświadczona, ludzie zwinni i ochotni, okręt posłuszny, i choć miotające nim fale przerzynać musiał, wiatr mając ukośny, pospieszał znów ku brzegom Ameryki.

Nad świtaniem, gdy wszelkie minęło niebezpieczeństwo, podróżni znużeni do kajut i hamaków na spoczynek się porozchodzili, tylko polscy wygnańcy bez snu na oczach, pozostali na pokładzie, poobwijani w burki i płaszcze, zobojętnieli na sen i spoczynek.

Karol spracowany, oblany potem, wrócił od pomp i padł przy

swoich na pokład... Jakaś tęsknota niezmierna, jakby przeczucie złych losów, opanowała umysły — rozmowa, nawet o domu, się nie kleiła.

Tak na wpół drzemiących, półsennych i rozmarzonych smutnie zastał poranek, który na wypogodzonem niebie zabłysnął. Morze poruszało się jeszcze zagniewane i wzdęte, ale nic nie groziło już pięknej Ludwice, oprócz angielskich statków. Cała osłoniona białemi żaglami, od góry do dołu, strojna, wesoła, pędziła ku nowemu światu.

Uroczyste było milczenie, gdy z wierzchołka kosza na maszcie, porucznik statku zawołał:

— Ziemia!!

Okrzyk ten, powtórzony w mgnieniu oka stem ust, zalektryzował wszystkich... porwali się podróżni zewsząd, pobudzili, zbiegli patrzeć... a Pułaski, starym obyczajem, jak zawsze w przeddzień ważnej godziny, pokląkł na pokładzie, zdjął czapkę z głowy i sparty na kolanie... począł pocichu: "Kto się w opiekę..."

Karol i Rogowski poszli za jego przykładem, reszta czeredy, zbieranej po świecie, patrzała urągliwie na tę ich jawną pobożność.

Wielu z nich może miało jeszcze w sercu religijne uczucie, ale odwagi do okazania go — nie miało... inni postradali ją, a nie zyskali nic za nią, prócz dziwacznych zabobonów.

Ziemi tej zapowiedzianej, dla oczów nieprzywykłych do jej szukania — nie było... na widnokręgu.

Coś w dali, jakby pas sinych chmurek, leżących na morzu, szarzało. Ale z każdą chwilą ta mgła stawała się wyraźniejszą, dobitniejszych nabierała kształtów.

Tak... był to nareszcie świat nowy. Serca się ścisnęły. Co Bóg da na tym nowym świecie, dolę czy niedolę... śmierć, czy zwycięstwo?

— Fiat voluntas Tua! — zawołał głośno Pułaski.

KSIĘGA V.

Ameryka.

Od chwili, gdy się oddalone brzegi Nowego Jersey ukazały i coraz wydatniejszemi stawały nawet dla niewprawnych oczów, cały dzień prawie w niecierpliwem wypatrywaniu lądu upłynął. Ale to, co teraz widzieli i rozpoznawali podróżni, jakże ubogim wydawało się przy snach ich i marzeniach o olbrzymich górach, dziewiczych lasach, majestatycznej naturze świata nowego.

Wszyscy spodziewali się wspaniały ujrzeć krajobraz rozmiarów wielkich, a oczy i perspektywy ukazywały im nagie ławy piasczyste... brzegi puste i płowe, ledwie znaczne, gdzieś w głębi nieco podnioślejsze wzgórza Neverill i górującą nad niemi, mało widoczną Mitchill...

Smutne to było pustkowie, spalone, bez życia i wdzięku.

— Coś mi ta Ameryka wcale na złotodajną ziemię, płynącą mlekiem i miodem, nie wygląda... — mruczał Giro.

Pułaski wpatrywał się obojętnie. Cóż mu było po piękności Ameryki!!

Leclerc bacznie rozglądał się po morzu szukając żagli angielskich, ale na szczęście Ludwiki, burza wistocie porozpędzała je daleko, można więc było bezpiecznie do brzegów się dostać.

W oczekiwaniu rychłego wylądowania, zbierał każdy co miał, wszyscy niecierpliwi, spragnieni siedzieli już na powiązanych tłomokach, nie schodząc z pokładu. Ziemia w miarę ich żądań, niekiedy odsuwać się zdawała, patrzali na nią, dosięgnąć nie mogli, brzeg wydawał się bliskim, oko rozeznawało coraz lepiej dymiące w rozdołach ogniska... daleko w głębiach czerniejące lasy...

Ale spustoszenie wojną objawiało się w opuszczonych prawie wybrzeżach.

Słońce już zachodziło jaskrawo, gdy nareszcie statek, znalazłszy sternika i łódkę przewodną, doprowadzony został do ujścia Delawary. Zjawiły się barki i czółna do przewiezienia podróżnych, spieszących do upragnionego lądu.

Od nich dowiedzieli się, że angielskich statków na teraz nie było w pobliżu. Maleńka osada, z kilku na prędce skleconych szałasów i lepianek złożona, przy której wylądowali, wyglądała ubogo, nędznie, ze swemi chatkami, ogołoconemi z zieloności, na wydmie piasczystej, zasianej drobnemi kamykami, któremi brzegi wyścielało morze...

Znać było, że mieszkańcy nie byli pewni swych siedzib, że nie mieli czasu, ani ochoty aby je ozdabiać i utrwalać. Cała okrążająca okolica dosyć płaska, smutna i jednostajna, zwiększała wrażenie przykre wylądowujących... Girod mimowolnie porównywał piaski i moczary do nagich brzegów południowej Francyi około Cette i Montpellier.

Już od swoich przewoźników dowiedzieli się podróżni, że wojska Washingtona i obóz jego w głębi kraju, o mil jakie dwadzieścia od miejsca tego się znajdowały... trzeba było nieznanym krajem, zawichrzonym, z przewodnikami niepewnymi do nich się przedzierać.

Pierwsze twarze mieszkańców nowej ziemi, mowa ich, obejście się jak różne od spotykanych dotąd na stałym lądzie Europy, zwiastowały istotnie świat... nowy...

Mogło się zdawać podróżnym, że nie na drugą półkulę — ale w inne prastare wieki się cofnęli.

Coś szorstkiego, dzikiego patrzyło z oczów, wiało z ust tych ludzi twardych, milczących, obojętnych na pozór, zamkniętych w sobie, energicznych i nie garnących się wcale do przybyszów, na których nawet bez ciekawości młodzieńczej spoglądali.

Trudno było wybadać ich usposobienia, bo ciężko dobyć i słowo, żaden entuzyazm nie objawił się na zewnątrz, ledwie we wzroku ostrym lub szyderskim myśl się jakaś niezrozumiała zdradzała.

Gaskończyk, ujmujący gdy tego widział potrzebę, napróżno próbował ująć ich, zaćmić wymową, poruszyć dowcipem, obałamucić samochwalstwem, nikt na niego zważać i mówić z nim nie chciał.

Można było wnosić z tego milczenia i zamknięcia się, że ludzie ci należeli do licznych w początku dosyć, stronników przejednania i powrotu pod angielskie rządy z pewnemi ustępstwy z ich strony... ale minęły już były te chwile, gdy Washington miał z niemi do walczenia i przyjaciół tych Anglii nie w tej warstwie narodu szukać było potrzeba...

Ostatnie wypadki 1777 roku zaczynały coraz widoczniej szalę zwycięstwa przechylać na stronę dobrej sprawy. Nie było wielkich i stanowczych korzyści, ale ogólny tok rzeczy wskazywał, że walka wypadnie pomyślnie dla niepodległych stanów. Geniuszowi i niezmiernej wytrwałości Washingtona winna była Ameryka to zwycięstwo, zrazu prawie do wiary niepodobne, gdyby nie pycha Anglii, nadzwyczajna opieszałość i nieudolność jej wodzów, jak Have i Burgoyne.

Pierwszy z nich już czasu wojny zyskał był sobie sławę najnieudolniejszego wodza, jakiego kiedykolwiek zapamiętały dzieje.

Ufna w swe siły olbrzymie, w potęgę floty niezwyciężonej, w posiłki, które w tej chwili spodziewała się ściągnąć z Kanady, we współczucie "przyjaciół porządku i spokoju" zrazu dosyć licznych, a odradzających się po każdej klęsce Washingtona; ufna w nieład i niedostatek armii nieregularnej, rekrutowanej mozolnie, na krótko i nieprawnej, często pozbawionej amunicyi i najpierwszych potrzeb do życia — Anglia jeszcze walczyła, pewna zwycięstwa, nie szczędząc ofiar... Odzyskanie kolonii zdawało się niewątpliwem, ale było kwestyą czasu... nikt jeszcze nie przypuszczał, że mogło też być i kwestyą roli Francyi... jej przymierza lub obojętności.

Ale wśród samej wojny, od czasu ogłoszenia niepodległości, sprawa ta, z początku niby domowa kłótnia familijna, przybrała wcale niespodziewane rozmiary, zolbrzymiała, rozrosła się. Opinia publiczna Europy z zapałem młodzieńczym wzięła ją w opiekę.

Podwoił się tęn zapał szlachetny we wszystkich, gdy, jako przedstawiciel Ameryki, przybył do Europy ów staruszek, idealny samouk, geniusz nieszlifowany, śmiały, dzielny a szorstki

nieco, coś wieśniaczego mający w sobie, i tę oryginalność, co pociąga ludy, fantazyą rządzące się, jak Francya. Mówimy o Franklinie, owym wyrobniku w szarej kapocie, poważnym jak król, a prawdomownym jak kapłan. Był on dla Francyi takiem zjawiskiem, jak dla Rzymian ów wieśniak naddunajski.

Szczęśliwym narodom Bóg daje w porę takich przedstawicieli, co nawet słabościom ludu i wieku są sympatyczne.

To, co było istotnie wielkiem w Franklinie i co w nim było tylko oryginalnem a prostaczem, równie się przyczyniało do uwielbiania go. Życia jego surowość, mowy niewykwintność, moralność jasna i prawa, naostatek i ów — piorun, niebu wyrwany! Tak w porę, aby z nim zjawić się we Francyi.

Był czysty, zacny, spokojny, nie wynoszący się z niczem... prawdziwy; prawdę zaś i ci szanują i cenią, którzy sami się na nią zdobyć nie mogą.

Naówczas to Francya arystokratyczna, pańska ale postępowa, pełna entuzyazmu, dała Ameryce z łona swego Lafayett'a, dwudziestoletniego zapaleńca, świeżo ożenionego ze śliczną hr. de Noaille, bogatego, wykształconego swobodnego.

Czyn ten pojedyńczego, ale wydatnego człowieka, rozgłoszony szeroko, jak wiele innych okoliczności pomyślnych, dźwigał sprawę Ameryki. Sama Anglia czuła się sparaliżowana w walce, upokorzona nią.

Po ogłoszeniach Burgoyn'a, które przypominały często odezwy posłów rosyjskich w Polsce, dyktowane przeciw konfederatom — nastąpiły ciche próby zgody. Washington nie odrzucając ich zrazu, poznawszy ich warunki — odepchnął.

Postanowiono walczyć. Anglicy zwyciężali, Kongres i Washingtona zniósł klęski, nie dając się zastraszyć niemi. Niezmordowana praca, wola niezłomna wielkiego męża wkrótce się też wynagradzać zaczęły, ale drogo okupywano małe powodzenia.

Takie było położenie wojsk angielskich w Stanach Zjednoczonych w tym roku. Posuwały się one w głąb kraju, mozolnie torując sobie drogi wśród pustyń, zawałów, rozlewów, poniszczonych dróg, ogłodzonych obszarów, przez nędze i bezludzie. Dezercya w najemnem wojsku się zwiększała, partyzanci zuchwali

chwytali generałów angielskich we własnych ich namiotach, z pośrodka wojsk. Zaciągnięte pod sztandary Anglii plemiona dzikie, łupiły własnych sprzymierzeńców obozy, indyjskie posiłki obracały się przeciw wspólnikom; zniechęcenie, znużenie, niepowodzenia nużyły.

W miarę, jak wojska W. Brytanii słabły, Washington zwolna wzrastał w siły i najmniejsze zwycięstwo przyczyniło mu obrońców, jednało umysły; sporzyło ochotnika.

Europa też niemało go dostarczała. Z Francyi szczególniej napływ był tak wielki, ale tak różny, że już Lafayette, z trudnością mógł być przyjętym w szeregi jej obrońców. — Musiał się ofiarować jako żołnierz, prosty ochotnik, ze służbą o własnym koszcie.

Ameryka pragnęła sobie samej zawdzięczać wolność swoją. Na kilku takich, jak Lafayette, La Roche du Termois, Du Portail i Duplessis Mauduit — iluż przypływało Gaskonów, jak Girod, awanturników głodnych, którym powierzać dowództwa sama ostrożność nie dopuszczała.

Usposobienie więc Washingtona, wodzów i Kongresu dla nowych przybyszów, w chwili, gdy Pułaski z towarzyszami wylądowywał u ujścia Delawary, wcale im nie było przyjaznem; lękano się raczej tych posiłków, niż ich pożądano. Nowy świat czuł, że uwłaczającem dlań było szukać dowódzców u obcych.

W tak nieprzyjaznej chwili garstka naszych wędrowców, wyszukawszy środki dostania się do obozu, puściła się ku Wilmingtown przez nieznany, dziwny i zdumionym oczom z nową naturą przedstawiający się świat nowy.

Po pustynnych piaszczystych, spalonych wybrzeżach zwolna zapuścili się w tajemnicze głębiny kraju... Przebywszy wydmy suche nadmorskie i słone jeziorka, przybierały one coraz wyrazistszą fizyognomię.

Tu czuli się otoczeni naturą inną, potężną, wykwitającą kształty nieznanymi, z siłą młodzieńczą, której skarlała i ostygła Europa nie mogła dać wyobrażenia.

Droga, wiodąca do Wilmingtown, wkrótce wprowadziła ich

w mokre rzek zbiegowiska, jeziora i moczary, gęsto cyprysami zarosłe... Nie płoszony zwierz dziki, zrywał się z pod nóg przechodniów; nad głowami ulatywało zdumione ptactwo, pomalowane we wszystkie tęczy kolory... Ukazywały się nareszcie wybujałe, poplątane lasy, pierwsi mieszkańcy tej ziemi, pnące się ku niebu śmiało, oczepione wieńcami roślin, okryte więzami wina dzikiego, z czołami strojnemi w wonne ogromnych kwiatów bukiety... U nóg ich gnijące cedrów olbrzymich kłody, rozmiarem swym pisały dzieje wieków, które przeżyły... Wszystko tu było podziwem i zachwytem, choć często i kraj własny się przypomniał niespodzianie...

Nieraz podróżni stanęli, wpatrując się, rozpoznając klony, jodły i sosny, rodzone siostrzyce tych, za któremi tęsknili na drugiej półkuli.

Karol szczególniej z młodzieńczą żywością podziwiał, cieszył się, unosił; dla niego był to kraj snów i powieści, nagle różdżką czarodziejską stworzony. — Ta cisza lasów, te cienie czarne ich wnętrzów, w które rzadko złoty promień słońca wsuwał się pręgą jasną, te poczepiane girlandy lijanów, kwiaty jaskrawe na drzewach niebotycznych, woń, którą poiło powietrze — składały się w istocie na dziwne jakby marzenie.

Ale podróż miała tyle trudności, co uroków: trzeba się było przedzierać przez nieprzebyte gąszcze, kolcami dzikich yuk najeżone, przez grzązkie zalewy, kłody obalone burzami, siedliska wężów i knieje, z których gałęzi patrzyły ślepia zaczajonych żbików i kotów... Mało tu było śladów człowieka, który z tych obszarów niezmiernych, cząstkę ledwie mógł opanować. Gdzieniegdzie przejście Indyan, pochody wojsk, zostawiły po sobie zgliszcza osad, okopcone pale, yuki i splądrowane plantacye, na których już chwasty bujały.

Kilka dni przedzierając się przez wilgotne zarośla cyprysów, przez zastępy puszcz ciemne, brzegiem rzek, które przerzynały kraj ten siecią gęstą — zbliżyli się wreszcie ku północnej części Delawary, wznioślejszej, dzikszej, skalistszej.

Tu, pomiędzy dwiema rzekami Christianą i Brandywin, w pięknem położeniu, na wzgórzu, ukazał się Wilmingtown, a pod tą, naówczas niezbyt rozległą mieściną, rozłożony obóz Washingtona.

———

Gdy przewodnik wskazał im nareszcie ten cel podróży, było to rankiem pochmurnym i dżdżystym; znużenie i słota osmutniały nietylko krajobraz ten wdzięczny w dni jasne, ale i ludzi... i dusze.

Pod miasteczkiem, ledwie na to nazwanie zasługującem, licho i niepozornie przedstawiał się wojskowym Europejczykom obóz ten wolnych ochotników. Rogowski, jak zwykł był wszystko do Polski porównywać, tak i amerykańskie obozowisko znajdował podobnem do lichej mazowieckiej wioski.

Z po za naprędce usypanych wałów na trzebieży widać było znaczną przestrzeń, zajętą gęsto plecionymi z chrustu szałasami, do nędznych w istocie chat podobnymi.... Ponad tem niebo chmurne, szaruga, ziemia od deszczów przesiąkła, błotnista, dodawały widokowi smętnego wyrazu.

Śmiały się tylko wzgórza lesiste i szumnie bieżące wody dwóch rzek, stanowiących ramy obozu.

Pierwsi też rycerze niepodległości, których spotkali na placówce, nie byli podobni do tych bohaterów, których sobie wyobraźnia stwarzała.

Ludzie ci, acz silnej budowy, wynędzniali, wychudli, znękani, poodziewani w suknie odarte, w odzież różną, w lichem obuwiu, odznaczali się tylko uzbrojeniem fantazyjnem, ale obfitem. Każdy z nich dźwigał, co mógł, a przybierał się, jak chciał.

Na straży obozu zatrzymał ich drab ogromny, smętny i gniewny. Dowiedziawszy się kto byli i że wprost przybyli z Francyi, zamruczał dosyć głośno:

— Dosyć już mamy tych przybłędów. Czy oni tam myślą, że nam tak bardzo cudzych rąk i głów potrzeba? Napatrzyliśmy się już tutaj na tych rycerzy wolności, co naprzód nam sięgają do kieszeni, a gdy przyjdzie się bić, leżą po rowach...

Przywitani tą niegrzeczną apostrofą, szczęściem nie bardzo ją zrozumieli, oprócz Gaskona, który także wlókł się za nimi, a lepiej niż oni umiał po angielsku...

Ten ją sobie przetłómaczył i zastosował... Pułaski mało co pochwycił, a przybrawszy wcześnie, choć z niemałym wysiłkiem., krew zimną, której zwykle miewał mało — postanowił milczeć, nie rozprawiać i nie wywnętrzać się, tylko z tymi, do których wiózł listy: z Washingtonem i Lafayettem.

Mimo więc trudności, zwłok, łajań i sporów, wywołanych niezręcznością Francuza, który wszędzie czynnym być musiał, odprawiono o nich wiadomość do głównej kwatery, a tymczasem czekali na ulewnej słocie...

Pułaski widział się zmuszonym napisać list do Lafayetta i przesłać go przez najętego posłańca. Potem obwinął się w burkę i rzuciwszy w błoto pod wałem, pozostał tak, gotów na to, co los zdarzy.

Nierychło potem, Francuz, przyszły adjutant przyszłego generała, gdyż Lafayette nie miał jeszcze swej nominacyi od Kongresu, przybiegł zabrać podróżnych, zgłodniałych i zmęczonych. W grzeczniejszym posłańcu znać było nadsekwańskie dziecię pieszczonej cywilizacyi, nawykłe do pewnych form i zastępujące niemi, co może brakło w sercu. Po humorze i obejściu, zdradzającem zafrasowanie, ocukrowane wykwintniejszym obyczajem, łatwo się domyślił Pułaski, że nie był tu on i jego towarzysze bardzo pożądanymi gośćmi.

Ale Lafayette nadto był wielkim panem i przyzwoitym człowiekiem, aby, choć skłopotany, grubiańską mógł dać odprawę przybyłym z listami z drugiej półkuli.

Przez obóz, pełen strug błota, cały zastawiony szałasami, środkiem wozów i koni, które na deszczu stać musiały, dobili się podróżni do nieco schludniej urządzonego szałasu, w którym Lafayette zamieszkiwał. Choć w miasteczku znalazłby był może schronienie wygodniejsze, ochotnik dobrowolnie podzielał losy żołnierza.

Ale chcąc walczyć za sprawę amerykańską, potrzeba było przejąć i obyczaje republikanów, surowość i prostotę Washingtona. Lafayette na pół jeszcze został Paryżaninem, zbyt był nawykł do życia salonów, do ich wykwintu i wygód, by nieco sobie więcej nad innych nie pozwolił.

Namiot jego chruściany, lepiej od innych zabezpieczony był od ulewy; i nie brakło mu sprzętów, czyniących życie to znośnem. — Wśród ciasnej tej klatki ujrzeli wychodzącego przeciw sobie pięknego młodzieńca, z jasnem obliczem, twarzą uśmiech-

niętą, rysy szlachetnemi i obudzającemi uszanowanie. W fizyognomii samej znać było potomka rodu, który odwykł od bojów i niewygód, a kwitł w cieniu zwierciadlanych ścian i złoconych gzemsów.

Postać jego była ujmująca poetycznym urokiem — z ideami demokratycznemi łączył on najwykwintniejsze formy francuskiego towarzystwa...

Mimo munduru z grubego sukna, bez żadnych ozdób, bo taką odzieżą i Washington się odznaczał, łatwo w nim było poznać przybysza z innych światów, pieszczone dziecię wielkiego domu.

Odwaga rycerska malowała się na jego czole, słodycz i łagodność patrzała z oczów; obok szorstkich ludzi Ameryki, nieustannie drażnionych walką i nie umiejących panować nad sobą, spokój jego natury dawał w nim czuć jakąś wyższość.

Pułaski, który o nim już wiele we Francyi od p. de Noailles słyszał — przeczuł odrazu szlachetną naturę jego; z nim było mu nierównie łatwo się zrozumieć, niż z tymi, których dotychczas spotykał.

Mimo uprzejmości, z jaką go Lafayette powitał, obłoczek zafrasowania z czoła jego nie schodził. Usiłując co rychlej to pierwsze usunąć wrażenie, dobył Pułaski list żony Lafayetta i podał mu go w milczeniu.

Listy pp. de Noailles, S. Priest, Franklina, towarzyszyły tej najlepszej ze wszystkich rekomendacyi.

— Pozwól mi pan, bym nie sam przemawiał za sobą — rzekł po chwili — te listy o mnie powiedzą...

Lafayette rzucił okiem na koperty i radośnie wykrzyknął, rozrywając pieczęcie:

— Od żony mojej!

Pismo to tak go zajęło na chwilę, iż zdawał się całkiem o przybyłych zapominać; pożarł je, nie odrywając oczów; skończywszy dopiero spojrzał uważniej na Pułaskiego, uprzejmie podając mu rękę...

— A! drogi hrabio (wszyscy Polacy w listach polecających z Francyi z temi tytułami byli przedstawieni), w jakże nieszczęśliwą przybywasz chwilę!

— Dlaczego? spytał Pułaski.

— Siadajcie panowie naprzód, kto gdzie może, odezwał się

grzecznie, robiąc miejsce Lafayette — zaraz wam wytłumaczę. Ja sam, jadąc tu, inne miałem wcale wyobrażenie o usposobieniu Ameryki dla cudzoziemców. W obozie i Kongresie panują przeciwko nam jak najdziksze uprzedzenia. Są one poniekąd usprawiedliwione, można je przezwyciężyć, ale walczyć z niemi potrzeba. Jak dla siebie je musiałem przełamywać, tak dla was chętnie podejmę tę pracę, ale nie pochlebiajmy sobie — przyjęcie do szeregów nie jest łatwem... W początkach chwytano kto przybył, dziś daleko są trudniejsi — powtarzam, nie bez powodów, bo nieraz zostali zawiedzeni...

— Mam listy Franklina i Deana do Washingtona, odparł Pułaski.

— I lepiej niż listy macie imię znane zaszczytne, (rzekł, na liście żony opierając się, Lafayette), ale to wszystko nie jest jeszcze dostatecznem... Washington zależy od Kongresu, a Kongres jest cudzoziemcom nieprzychylny. Ja sam, panowie moi — i baron Kalb, mój towarzysz, jesteśmy dotąd prostymi ochotnikami, cierpianymi przez szlachetnego Washingtona.

Ale — zrobimy co się tylko da uczynić — dodał — dacie mi listy wasze, ja je sam przedstawię i oszczędzę może przykrych przejść wstępnych.

To mówiąc, rozweselony nieco, zajął się przyjęciem obmokłych gości. —

— Jak widzicie, panowie moi, szałas przyszłego generała rzeczypospolitej nie wiele więcej wart nad żołnierską budę... przyjmijcie w nim taką gościnność, na jaką się ja zdobyć mogę... wszyscy jesteśmy żołnierze...

Zapomniawszy wkrótce o kłopotach położenia, zaczęli mówić o Francyi, o którą Lafayette żywo wypytywał, o Paryżu, o nowinach z Europy, o znajomych i rodzinie. Opowiadania szły nieprzerwanym ciągiem, jedne po drugich się rozwijając.

Pułaski i Lafayette wprędce się zbliżyli, poznali, ocenili, przypadli sobie do serca.

Towarzysze Pułaskiego z baronem Kalb przeszli tymczasem do sąsiedniego szałasu, w którym mieścić się mieli, a Lafayette wstrzymał konfederata, nie mogąc się z nim nagadać. Rozmowa rosła w serdeczność.

— Kochany hrabio — rzekł w końcu ochotnik francuski do

polskiego rozbitka — powiedzcie sobie naprzód, że to nie jest druga ziemi półkula, ale druga i inna ziemia.

Ta społeczność złożona z okruchów różnych warstw ludności starego naszego świata, zahartowana walką z naturą, potrzebą starczenia sobie, pracą, dojrzała w surowych ideach religijnych, które tu dziwne a rozrosłe, jak puszcz tych drzewa, przybrały rozmiary — z gruntu jest inną niż nasza. Ma ona cnoty, jakie miała Sparta i Rzym republikański, a wady wieków dzikich i barbarzyńskich, po części w zetknięciu się z Indyanami i Murzynami nabrane. Człowiek tu łagodnym stać się nie mógł, bo musi nieustannie czuwać, bronić się, walczyć... równie ze zwierzętami, jak i z dziczą.

W spokoju i zbytku stara Europa rozłożyła się na klasy, na warstwy, na przerozmaite kółka ludzi — tu jest już jeden człowiek znów, bo losy i potrzeby życia zrównały wszystkich...

Znajdziecie tu starą szlachtę anglosaksońską, hiszpańską, francuską, powróconą do stanu natury... za stołami kupieckiemi, z siekierami plantatorów i wczoraj zbogaconych parobków, rozsiadających się obok z demokratyczną dumą, która jest nie mniejszą od arystokratycznej. Ale ta przesadna duma wyrabia uczucie godności ludzkiej, zasługi pracy... choć podporą jej jest — niestety, często pieniądz.

— Do tego wszystkiego byliśmy nieco przygotowani i to nas dziwić nie może, przerwał Pułaski.

— Tak — kończył Lafayette — i ja też jasną stronę tej nowej społeczności i narodu widziałem wprzódy, niżelim tu przybył — ale ciemne — które muszą być wszędzie (bośmy ludźmi) — ciemne, wyznaję, były mi obce... domyśleć się ich było niepodobna.: są rażące. Wybaczyć je i poszanować nawet należy — są to nieuchronne, odwrotne strony medalu.

Do nich zaliczam, w chwili gdy przybywacie, rażący wstręt do cudzoziemców i ich obyczaju, niechęć przeciw nim i odrazę. W miarę, jak się silniejszymi poczuwają Amerykanie, chcieliby się okazać wyższymi od naszego starego świata... Marzą, że tu stworzą lepszy.

Mnie było niełatwo i wam przyjdzie z ciężkością pomieścić się między niemi...

Lafayette ścisnął w milczeniu rękę Pułaskiego, i po chwili pożegnał go, z listami i papierami udając się w sprawie przybyłych do Washingtona.

Deszcz lał ciągle, widok obozu, ludzi, zapełniających go, nie były powabne i rzeczywistość daleko odchodziła od wymarzonych w podróży obrazów. Żołnierz amerykański mężny, natchniony często duchem wielkim, wyglądał zbliska prawie odrażająco. Brakło mu zupełnie nęcącej powierzchowności; wielu z nich okrywały łachmany, zamiast obuwia rodzaj kurpiów i indyjskich mokasynów, na twarzach dobitnie malowało się zniechęcenie i znużenie... Zła pora, niedostatek jadła, niewygody obozowe osmucały twarze i zaostrzały wejrzenia.

Nowi przybysze gdziekolwiek się ukazali, za każdym prawie razem witani byli niechętnemi słowy, pogardliwemi wykrzyki i szyderstwy — krwawiło się serce.

Karol stał znękany, w płomieniach gniewu... wrzący, żałował, że się naraził na tę męczarnię nieprzewidywaną.

Tak upłynął smutnie dzień pierwszy; późno w noc powrócił Lafayette od wodza naczelnego, zajrzał do szałasu podróżnych, życzył dobrej nocy, ale się wymówił, że z powodu ważniejszych kwestyi sprawy ich jeszcze u Washingtona zagaić nie mógł. Skłopotany był widocznie i smutny.

Nazajutrz niebo się wyjaśniło, bo rzadkie są w tym klimacie trzy dni bez słonecznego uśmiechu, ale nastąpił upał nagły, skwar niezdrowy wśród nizin, ulewą przesiąkłych... Obóz niemal cały pokrył się łachmanami, porozwieszanemi na szałasach... rozrzuconemi na wałach i palisadach i to mu jeszcze nędzniejszą nadawało powierzchowność.

Bohaterstwo miało tu tak spartańskiego ubóstwa oblicze, tak prozaiczną tchnęło nędzą, że przybyli z zapałem wielkim mogli się tem rozczarować.

W dniu tym znów nic się stanowczego uczynić nie dało; wódz naczelny zawsze był jeszcze zajęty, wyjeżdżał na oglądanie okolicy... kazano.. czekać... Chwile to były nad wyraz ciężkie, a im bardziej oczekiwanie się dłużyło, tem nieznośniejszem się stawało...

Z szałasów nawet trudno było się wydobyć cudzoziemcom, aby nie obudzać niechęci, nie narażać na obelgi, nie robić sobie nieprzyjaciół.

Garstka tylko emigrantów francuskich, gościnniejsza, sympatyczniejsza, spragniona nowin, otaczała przybyłych. Tak dzień minął cały, wieczór znów nic nie przyniósł nowego, Lafayette prosił o cierpliwość... okoliczności ją nakazywały.

Pułaski, choć się czasem gorzko uśmiechał, najmniej tracił ducha; domowe doświadczenia nauczyły go cierpieć.

Gdyby co rozweselić mogło w tak przykrem położeniu, to postawa rozpaczliwa Gaskona, który przybywszy z najświetniejszemi nadziejami, po dwudziestu czterech godzinach doszedł do najkomiczniejszej rozpaczy. Ani jego papiery, ani wymowa, ani zuchwalstwo nie wyjednały mu nawet kąta w obozie. Znalazł ledwie u któregoś z litościwych ziomków przytułek, za zamiast szlifów generalskich, marzonych zawcześnie, miał w perspektywie powrót przez zburzony ocean do ojczystej pustki i biedy... klął też i przedrwiwał bosych republikanów, nie szczędząc ich wcale, wyśmiewając łachmany, ubóstwo, barbarzyństwo, nieład, szałasy, obóz, taktykę.

— A! *Cap de Dieu* — krzyczał, chwytając się za głowę — z Europy, w oddaleniu wszystko się wydaje prześlicznie; rosną na bohaterów chłopy za oceanem... a to garstka condotierów bez butów, bez chleba, bez pieniędzy i bez broni! Póki mego życia, już się złapać nie dam... i nie daruję sobie, żem się pięknym opisom dał wziąć na wędkę...

Wojsko... saperllotte? które żyje kukurydzą, patatami pieczonemi, ciepłą wodą z moczonemi korzonkami i liśćmi — a pieprzu więcej spożywa niż mięsa!...

Nie ustawał w swych narzekaniach, których już i słuchać nie chciano.

Trzeciego dnia, zniecierpliwiony wreszcie Pułaski, w szałasie zamkniętym wytrwać nie mógł, pod wieczór wymknął się niepostrzeżony, żeby na sąsiednich wzgórzach, po za obozem, odetchnąć lżejszem powietrzem i nieco się rozpatrzeć w okolicy... Niespokojna natura usiedzieć mu nie dawała, rwał się do pracy.

Wieczór zdawał się zapowiadać pogodę, w obozie nieco raźniej wyglądało po nadejściu wołów i amunicyi. Nadciągnęli ocho-

tnicy, ruch panował wszędzie, o Anglikach pewniejsze nadeszły wiadomości, sposobiono wię widocznie do stoczenia z nimi bitwy... konni posłańcy krzyżowali się po ścieżkach.

Kazimierz wyszedł na szańce, a potem za miasto i ku niezbyt odległej rzece...

Okolica, pusta i dzika, była dość piękną. Z dawnych, okrywających ją lasów pozostały gdzieniegdzie pnie cedrów i dębów sterczące bezładnie, lub ocalony olbrzym puszczy osamotnioną głowę podnosił nad tym cmentarzem swej braci. Na gałęziach i obalonych kłodach czepiały się już bujnie rozrastające rośliny nieznane, pełne sił, szerokolistne, jaskrawe, wytryskujące wszędzie, gdziekolwiek znalazły piędź ziemi wolnej. Nawet spróchniałe kłody drzew rozkwitły cudownemi kielichy... Liście tych cudownych roślin, ich postawa, bujność dziwić musiały mieszkańca północy, nawykłego do tych istot wątłych, które pół roku śpią pod śniegami, a p ł walczą z chłodem i mrokiem. Powietrze też, przesiąkłe wonią odurzającą, czuć było odmienie... lało ono w piersi potęgę odmładzającą, a w mózg upojenie jakieś i szały...

Zaledwie przeszedł z siekierą po trzebieży robotnik... rzekłbyś, że za jego stopami odzyskiwała roślinność swe prawa, ścierała zniszczenia ślady, walczyła z nim zwycięsko. Drobnym tu, słabym wydawał się pan natury, wobec potęg dziewiczego świata. Rozpatrując się w tych nowych dla siebie widokach, Pułaski siadł na pniu ściętego drzewa, a myśl jego poleciała za ocean, na ukraińskie stepy. Zagrała jej tęskna pieśń od mogił wiekowych... utonął w snach przeszłości.

Gdy tak spoczywał i marzył, postrzegł przed sobą powoli nadchodzącego i jakby rozglądającego położenie mężczyznę wysokiego, barczystego, ubranego bardzo skromnie, z perspektywą i laską w ręku... Wyglądał on na zamożnego kolonistę, co własnemi rękami pracował około plantacyi — ale twarz poważna, myśląca, piękna, zwiastowała w nim i duszę szlachetną i rozum niepowszedni.

Szara suknia prostego kroju, nieco dawnej formy, nie dozwalała domyśleć się wojskowego.

Spojrzawszy na Pułaskiego, uderzony znać obcą zupełnie postacią, zdradzającą cudzoziemca, i bolesnym wyrazem twarzy, stanął przed nim i powitał go uprzejmie.

— Niewątpliwie — rzekł, przystępując — przybywacie z Europy — nieprawdaż? — Co tu robicie za obozem?

— Zgadliście — odpowiedział Pułaski — jestem tu świeżym przybyszem... wyszedłem, korzystając z jaśniejszego nieba, aby się rozpatrzeć w kraju mi nowym i nieznanym. Jestem tu całkiem obcy, przybywam od stron dalekich, z północy...

— Do jakiejże należycie narodowości?

— Jestem Polak — rzekł Pułaski.

— Przybywacie tu sami?

— We trzech...

— Dawno?

— Przedwczoraj,

— Mówiliście już zapewne z kim? Macie tu znajomych?

— Nic. Byłem u Lafayetta, któremu list przywiozłem od żony, mam także pisma Franklina i Deana do Washingtona.

Spojrzeli na siebie... znów było milczenie krótkie.

— A! widzieliście czcigodnego Benjamina naszego? — spytał przybyły.

— Wiele razy...

— I nie odradzał wam... podróży do Ameryki?

— Nie, owszem. Przybyłem do Francyi z Turcyi z tem postanowieniem. Franklin mnie od niego nie odwodził.

— A przecież, przecież — przerwał nieznajomy — powinien był zrozumieć, na co was naraża... Przyznam się wam, iż szanując, żałuję waszego poświęcenia... boję się, żeby nie było daremnem W tej chwili nie wiele tu sobie obiecywać możecie. Ameryka chce i musi o własnych siłach się podźwignąć, honoru zdobycia swobody nie powinna dzielić z nikim, jest ona zazdrosną. Cudzoziemców mamy tu już wielu... zanadto... W naszym żołnierzu budzą oni niechęć, sieją zazdrość i nieufność, są żywiołem ciężko dającym się połączyć z nami.

— Jużem to wszystko słyszał od Lafayetta i trochę widział własnemi oczyma — rzekł Pułsaski — nie łudzę się też wcale.

— Któż wy jesteście? — odezwał się nieznajomy.

— Kto jestem? — z pewną ironią smutną a poważną odpowiedział Pułaski — kto ja jestem? Moje nazwisko samo byłoby wystarczającą odpowiedzią w Europie... tu musiałbym wam mó-

wić wiele i nie dowiedzielibyście się z tego, kto jestem... Byłem wodzem, dziś mi być dosyć — żołnierzem.

Milcząc, uchylił nieco kapelusza z poszanowaniem nieznajomy, widać w nim było wzruszenie.

— Kto jestem! — mówił dalej — dziś biednym tylko rozbitkiem, dziś dosyć, że jestem człowiekiem... bez plamy, a z brzemieniem na ramionach. Miałożby to w Ameryce nie starczyć?

Amerykanin skłonił głowę.

— A, panie — rzekł — różne są wymagania czasu i okoliczności — nie jątrzcie się jeszcze przeciwko nam przedwcześnie... Wszystko się może dać ułożyć.

Potem, zwracając rozmowę, odezwał się spokojnie:

— Widzieliście więc starego Bena?

— Tak jest, widywałem go często w Passy, mówiliśmy z nim długo o mojej i waszej ojczyźnie, Franklin nie tak gościnną malował mi Amerykę, jak ją znajduję.

— Ale i ja też, przebaczcie — przerwał nieznany mąż — maluję wam tylko szczerze, otwarcie położenie nasze. Przyjęcie do wojska nie należy nawet od wodza, sam podlega Kongresowi i jest mu posłusznym; Kongres wogóle jest nieufnym i źle usposobionym dla cudzoziemców. Mówił wam pewnie Lafayette, jak jego przyjęto.

— Tak jest, wspomniał mi o tem — rzekł Pułaski — ależ mnie także nie idzie o żaden stopień, ani o pieniądze... dopóki choćby na suchar mnie stanie...

Amerykanin zamilkł i zwolna przysiadł na kłodzie blisko leżącej, podparł się na rękach, patrzał, poważnie zamyślony.

— Darujcie mi, że was może trudzę rozmową — dodał po przerwie — dla nas, Amerykanów, pożytecznem wielce jest dowiedzieć się, jak żołnierz europejski widzi nasz kraj i sądzi... nasze wojsko... obóz... ludzi.

— Trudno to — odrzekł Pułaski nieco ostygły — zdać sprawę z wrażenia, które się odbiło od powierzchni, głębiej sięgnąć nie mogąc. Gdybym miał szczerze powiedzieć wam co myślę... możeby to niezbyt było dla was pochlebnem i miłem. Wojsko, obozy nie zbudowały mnie. Nawet my, cośmy też w wojsku nowozaciężnem, ochotniczem służyli — ja, com lat kilka podobnemu oddziałowi dowodził — nawykłem do większego porządku,

ładu, jednostajności... bodaj nawet ubioru, który wdraża do karności i równości obozowej. To, co widzę, wygląda mi na pospolite ruszenie, na partyzantów, nie na wojsko i pułki szykowane Ale — rozumiem i to... że mi się nie godzi sądzić o kraju tak nowym, miarą innych go mierząc... Każdy naród ma swe obyczaje, własności, cóż dopiero tu... na drugim świecie! Tu tysiąc zapewne nieznanych mi okoliczności składały się na nadanie wojsku tak niekorzystnego pozoru... Wyglądają żołnierze wasi na żebraków.

— Zgadliście dobrze — uśmiechając się, odpowiedział Amerykanin — często biją się bardzo dobrze, ale przyznaję, że nie zawadziłyby nam ład, surowość większa i porządek. Nie zapominajcie, że to jest ochotnik, wojsko co trzy miesiące rekrutowane na nowo — proszone — że to są coraz świeże zaciągi, które każda klęska i niepowodzenie rozprasza... my musimy uczyć się i bić, i zwyciężać... Nie chce rzeczpospolita mieć regularnego żołnierza, coby się stał żołdakiem.

— Tak właśnie było u nas — rzekł Pułaski — ta obawa nas zgubiła... W kraju do rdzeni republikańskim, gdzie niema się co obawiać ambicyi wodza, niema się też co lękać żołnierza... Wojsko regularne, wyćwiczone, jest potrzebne.

— I ja także sądzę — odpowiedział Amerykanin — ale to są primicye swobody — myśmy do niej doszli, a jeszcze jej nie zdobyli... wszystko nas przeraża... Myślę, że wodzowie pragnęliby inaczej urządzić armię, ale Kongres się może obawia, aby z Fabiusa nie wyrósł mu jaki Cezar... jaki Cromwel...

— Z tego, co o przyjacielu Franklina z niego wnosić mogłem — odpowiedział Pułaski — nie sądzę, by kto mógł Washingtona o samolubne posądzić widoki, jest to mąż prawy.

— Bądź co bądź — przerwał nagle nieznajomy — Kongres ma słuszność, on powinien się lękać nawet, gdy niema się czego obawiać — to jego powinność... Stoi na straży, a choćby nieprzyjaciela nie było, warta z placu zejść nie może.

W tem miejscu przerwana została rozmowa niespodziewanem ukazaniem się Lafayett'a, który od obozu jechał, szukając właśnie Pułaskiego, a zobaczywszy go, szybko się przybliżył.

Nie spostrzegł on zaraz jego towarzysza, zakrytego gałęźmi i krzakami, ale w chwili, gdy nadjeżdżał i zsiadłszy, podawał

rękę Pułaskiemu, wychyliła się ku niemu poważna postać nieznajomego.

Na ustach Lafayett'a ukazał się uśmiech wesoły, powitał naprzód Amerykanina, potem tego, za którym gonił.

— Widzę — rzekł — żeście mi oszczędzili formalności zapoznawania, której właśnie miałem dopełnić.

— Kto to taki? — zapytał cicho Pułaski.

— Jakto? czyżbyście nie wiedzieli?

— Nic nie wiem, spotkanie było przypadkowe.

— To wódz! to Washington — zawołał Lafayette, a w tej chwili Amerykanin z pełną uprzejmości prostotą i wyrazem przyjacielskim dłoń do Polaka wyciągnął...

— Proszę mi darować, panie generale — odezwał się Pułaski — moją żołnierską gburowatość, rubaszność i może zbytnią otwartość; prawdziwie nie wiedziałem, kogo miałem szczęście spotkać.

Wódz potrząsnął ręką...

— Ale tak jest lepiej — rzekł — znajomość nigdy się korzystniej dla mnie zrobić nie mogła. Poznałem was takim, jakim jesteście dla wszystkich... a możebyście innemi nieco byli dla owego Washingtona, który jest niczem więcej, jak chwilowo odpowiedzialnym za wszystko złe, jakie kraj spotyka. Cenię was już wielce z pierwszej rozmowy i cofam, com o Amerykanach powiedział. Takich ludzi, jak wy, potrzebujemy, pragniemy... nie wiem waszego nazwiska...

— Panie generale — przerwał Lafayette, właśnie wam miałem hrabiego Pułaskiego przedstawić. Pisze za nim do was gorąco Franklin, dodam od siebie, że w Europie imię jego słynne jest.

— Wierzcie mi — rzekł Washington — będziemy się starali aby dla was Ameryka nie była niegościnną ziemią... Jutro napiszę do Kongresu, i mianuję was...

— Piechotą, czy konnicą dowodzić chcecie? — dodał.

— Dowodzić! — rzekł Pułaski — ale ja chcę tylko bić się, nie dowodzić.

— Z rozmowy waszej widzę, żeście starym, wytrawnym dowódzcą, musimy z waszego doświadczenia korzystać. Więc piechota, czy konnica?

— Ha! — odparł, uśmiechając się pan Kazimierz — to pytanie, które Polakowi tylko w Ameryce zadanem być może. My

nie znaliśmy piechoty, prócz najemnej, wzrośliśmy na koniach, jesteśmy od kolebki jeźdźcami... Bóg nas stworzył z nogą w strzemieniu.

— Właśnie my jazdy mamy najmniej — rzekł Washington — wy ją nam stworzycie...

— No! — zakończył weselej — bądźmy dobrymi przyjaciółmi, niech was nie zraża, com mówił o niechęci dla cudzoziemców... Bywają różni. Cóż dopiero dowódzca!

Tak mówiąc, wstał wódz i powoli, rozmawiając, poszli ku obozowi a szałasowi, mało co nad inne pokaźniejszemu, Washingtona.

W taki sposób, po owem szczęśliwem spotkaniu, los Pułaskiego i jego towarzyszów został rozstrzygnięty i łatwiej, i prędzej, niż on sam i Lafayette mógł się spodziewać; listy Franklina wiele też do tego pomogły.

Lafayette, jakeśmy mówili, dotąd także oczekiwał na potwierdzenie nominacyi swej przez Kongres w Filadelfii.

Ten początek, na pozór pomyślny, gdyż reszta przybyszów z pięknej Ludwiki została odprawiona z niczem, a Girod ledwie wielkiemi narzekaniami wyrobił sobie mały datek na podróż— nie łudził wcale Pułaskiego, który z powierzchownego przypatrzenia się ludziom już mógł przeczuwać, co go tu czekało.

Nigdzie o zazdrość nie trudno i na niechętnych nie zbywa. Charakter energiczny, mało się hamować w wybuchach umiejący Pułaskiego, przywyknienie do wojskowej karności, którą za jeden z głównych powodzenia warunków uważał, wcześnie musiały mu przysposobić nieprzyjaciół. Dość było wreszcie, że przybysz, człek nowy, otrzymał dowództwo. Opierał się on na życzliwości Washingtona, którą pozyskał odrazu, umiał ją zachować i zbliżeniem się doń zjednać ufność i szacunek.

Washington cenił w nim nietylko męstwo, ale nieubłaganą służbie surowość i pojęcia karności, które przynosił.

Amerykańscy ochotnicy, dzielni duchem, bitni w ogniu, swobody tej, za którą walczyli, wymagali dla siebie wszędzie, nawet

tam, gdzie się jej żądać nie godziło, a dać nie było wolno — w obozie, w pochodzie, w szyku.

Rozprzężenie było wielkie i jemu też większą część klęsk poniesionych przypisywać należało. Washington czuł to, ale nie wszystko mógł wykonać, czego pragnął.

Właśnie w chwili, gdy generał Read odmówił przyjęcia dowództwa nad jazdą, która się z dwóch pułków zbieraniny awanturniczej składała, przybywał Pułaski i na objęcie tej brygady został naznaczonym. Rogowski i Karol mieli się przy nim pomieścić.

Pluta już znów szczęśliwy był ze wszystkiego, nie tak chmurną wydawała mu się teraz Ameryka, roił zwycięstwa i wawrzyny. Jasnym, cudnym wydawał się teraz świat nowy, pełnym niespodzianych zjawisk i wdzięku; znajdował go przy dziewiczej dzikości jego majestatycznym, wspaniałym...

Pułaski przy tem sercu młodzieńczem, pełnem poezyi i miłości, otwartem dla wszystkiego, co szlachetne i piękne, rozgrzewał się, lepsze swe przypominając lata... Takim i on wyjechał był z rodzicielskiego domu.

W czasie długiej podróży Karol zbliżył się do niego, stosunek ich był prawie braterski, z odcieniem starszeństwa. W sercu Karola poznanie lepsze, poufalsze Pułaskiego zrodziło nietylko miłość, ale uwielbienie, pełne zapału. Przywiązaniem tem był szczęśliwy...

Zapał Karola zwrócił Pułaskiego ku majestatycznym pięknościom natury nowego świata, a choć prozaiczniejszy Rogowski zżymał ramiona,i na te uniesienia, oni we dwóch w dziewiczych borach Pensylwanii stawali często podziwiać i rozkoszować się omszonemi dęby, cedrami, tulipanowemi drzewy, tysiącem zjawisk niespodziewanych a wdzięcznych... okwitłych i wonnych, lub dziwacznych i dzikich...

Młodzieńcze to serce i wyobraźnia żywa Karola jasnym promieniem ozłacały szare dnie życia. Znosił on wszystko wesoło: niewygody, głód, komary i utrapienone muchy, które Amerykanie nazwali Hesskiemi, utrzymując, że je z sobą najemne pułki Hessów przywiozły na zjadanie obywateli kolonii...

U brzegów Delawary i Brandywine, gdy w moczarach posłyszeli nocą głuszące żab krzekoty, siedzieli razem do dnia, marząc

o błotach i stawach, w których pieśni ich wieczornej w kraju się przysłuchiwali.

Karol wszystkie świetne ptaki, wszystkie drobne, latające świecidełka, kwiaty, wonią siejąc dokoła... myślą posyłał do Skały, na wianki, do klatek Ewusi.

Myślał często o domu, lękał się o swoich — ale się modlił i spodziewał, że u Boga wyprosi, by się nic nie zmieniło, ni nie ubyło do jego powrotu.

Wyobraźnia oraz wyraziściej teraz malowała mu stary dwór w Skale i wiedział, co się tam o jakiej działo godzinie, żył z niemi sercem i duszą.

— Teraz poszli się modlić — teraz siadają do stołu... kapelan błogosławi, dziaduś powoli sunie ze swego pokoju, słychać laskę ojca, stukającą o podłogę, i szelest sukienki...

Ale z tej umiłowanej Skały od pożegnania z ojcem nie było słuchu, ni wieści... listy naówczas szły, jakby łaską... ciężko i powolnie, a ileż razy ginęły!

Nim jeszcze spodziewane potwierdzenie Kongresu nadeszło, przybysze mieli czas rozpatrzeć się w kraju i obozie. Niespodziewany obrót wojny zmusił Washingtona opuścić okolicę pod Wilmingtown i pospieszać przeciwko generałowi Howe, który zdawa- się zagrażać Filadelfii, stolicy Kongresu.

Dowódzca ten, tak wogóle nieszczęśliwy w swych obrotach strategicznych, tym razem miał jakąś pomyślniejszą natchnienia godzinę. Stał on z siłami swojemi u brzegów Delawary, gdy w końcu lipca, nagle opuściwszy New York i ujście rzeki Hudson, gdzie wojska jego były rozłożone, rzucił się w stronę z początku niewiadomą, tak, że obrotu jego celu odgadnąć było trudno.

Chwilowe powodzenie wojsk generała Burgoyne zachęciło go do śmielszego próbowania szczęścia. Sądząc się dość silnym, by działać stanowczo, umyślił napaść niespodzianie na samo ognisko potęgi Amerykanów.

Zabrawszy z sobą kilkadziesiąt batalionów wojsk europejskich i nieco ochotnika amerykańskiego, rozłożył je, zostawiwszy około N. Yorku kilka tysięcy pod generałem Clintow, a drugie tyle

w Rhode-Island. Siły te miały utrzymywać na wodzy Amerykanów; resztę zabrał na okręty Howe i odpłynął...

Długo, mimo najtroskliwszych śledzeń, tajemnicą był dla Washingtona cel tej nagłej wyprawy, a w wojnie tajemnica każda jest niebezpieczeństwem. Zapóźno może mu doniesiono o przeznaczeniu wojsk angielskich; nie tracąc więc chwili, potrzeba było zwijać obóz i posuwać się forsownym marszem w głąb Pensylwanii.

Ochotnicy polscy, chociaż jeszcze urzędownie nie zaciągnięci pod sztandary rzeczypospolitej, zarówno z Lafayettem, towarzyszyli pochodowi. Skosztowali pierwszy raz trudów i niebezpieczeństw przepraw wśród tych puszcz, błot i gąszczy, ciągnąc przez moczary w porze dżdżystej, krajem, który tysiące strumieni i trzęsawisk przerzynają.

Tak wojska przebyły Shuykill, oprócz wielu pomniejszych.

.Obóz znużonych pochodem śpiesznym Amerykanów rozsiadł się nad mokremi brzegami Brandywine. Po prawej jego stronie cała sieć strumieni wezbranych deszczami, biegła uchodząc do rzeki; z przeciwnego brzegu niecpodal rozłożyli się byli Anglicy, widocznie zagrażając Filadelfii.

Howe dnia 25 sierpnia wylądowawszy w zatoce Chesapeake, przebrnął tylko rzekę Ch--stianę i stał na Brandywine, obrawszy na ten raz dosyć korzystne stanowisko.

Zaledwie się przeciwko sobie znaleźli, Washington niecierpliwy zażądał bitwy...

Z obu stron się do niej przygotowywano.

Rankiem dnia 11 września huk dział zapowiedział starcie...

Jeszcze raz wielki wódz, a nadewszystko wielki mąż, niezłamany niczem, miał doznać upokorzenia i klęski i ochotnikom polskim, dostało się poczynać od niepowodzenia.

Plan Anglików, zasadzający się na fałszywym ataku z jednej, a oskrzydleniu Amerykanów z drugiej strony, powiódł się im zupełnie...

Całe ich siły rozdzielone były na dwa silne oddziały, prawem skrzydłem dowodził generał Knyphausen. Ten miał przejść Brandywine, ściągnąć na siebie główne siły, gdy lewe skrzydło angielskie Cornwallisa, okrążywszy sieć ową strumie-

ni i bagien nadrzecznych dalszą drogą —tył i prawe Amerykanów skrzydło najść i otoczyć miało.

Przebrnięcie strumieni i moczarów nie było trudnem, wojska regularne, posłuszne i karne, powodowały się lepiej niż podwładni Washingtona, którzy jego rozkazów nie spełniali ściśle.

Dzień to był nieszczęśliwy dla wodza, bolesny dla żołnierzy, a dla tych, co po raz pierwszy dobyli oręża nad wszelki wyraz przykrzejszy. Anglicy wykonali, co zamierzali.

W pierwszym napadzie żołnierz republikański przebił się zwycięzko, ale się oparł o żołdactwo jak mur stojące — złamać go a pokonać nie mógł... Stracił potem wiarę w siebie i przytomność.

Przełamawszy na pierwszem uderzeniu Knyphausena, ochotnicy wytrwać nie potrafili, Cornwallis tymczasem groził zajęciem tyłów i opasywać zaczynał z prawej strony.

Gdy Washington, chcąc nie dopuścić przejścia Brandywine Knyphausenowi, skupił przeciwko niemu całe siły swoje, brygady Stephensa, Sterlinga, Sullivana — nie zdołały same stawić czoła Cornwallisowi — oddział jego, wyparłszy je, groził opasaniem....

Bitwa, po krótkiej chwili początkowego powodzenia, do którego niezmierny zapał ochotników, Lafayett'a i Pułaskiego się przyczynił — widocznie zagrażała klęską wielką. Musiano plan już niewykonalny zmienić i cofać się ręką obronną, aby uniknąć zabierającego tył Cornwallisa.

Dywizya generała Waine dłużej też przeciw przeważnym siłom Knyphausen'a wytrwać nie mogła.

Bój ten, w którym nadzwyczajnie rozpaczliwego męstwa dowody dawali wszyscy — trwał do nocy od świtu...Ochotnicy z zielonemi gałęźmi na kapeluszach, z okrzykami lecieli na murowane szeregi Anglików, dokazywali cudów chwilowo, ale się rozbijali w końcu o te wyćwiczone, chłodne i posłuszne szeregi.

Ani przybycie spóźnione generała Griena, ani męstwo żołnierza, ani zimna krew Washingtona, nie zdołały zapobiedz klęsce. —Dzień ten w kronice Nowego Świata żałobną pozostał pamiątką.

Pułaski, rozpromieniony, przeżegnawszy się przed bojem, starym obyczajem, w ryngrafie z M. Boską, w konfederatce, rzucił

się razem z konnicą na nieprzyjaciela, szczęśliwy, jakby mu wyrosły skrzydła... Karol i Rogowski nie odstępowali go na krok... Saracenka zbroczyła się krwią angielską, której podobno dotąd w długiem życiu nie kosztowała jeszcze.

Rogowski w spotkaniu z chmurą czerwonych dragonów dostał raz przez głowę szablą, która mu skórę przecięła na czaszce, ale za to — utrzymywał, że zuchwałego dragona trupem położył.

Lafayette, podobny do anioła boju, wybrał się na potyczkę świetnie, strojno, jak na królewskie pokoje, usta mu się uśmiechały...

W mieszany w szyki razem z żołnierzami około południa ranny był w nogę, ale chustką ją tylko obwiązawszy, nie dał się odwieść z pola i walczył do nocy.

Trzeba było w końcu ustąpić z placu i nie dając się rozpierzchnąć niedobitkom, uchodzić.

Washington zniósł tę klęskę nową ze stoicyzmem filozofa, a raczej z energią człowieka, który ufa w swą siłę.

Nic nie uszło jego oka, ani zachwiało krwią chłodną. Patrzał na harce ochotników z uśmiechem, na cofanie się wojsk z boleścią, ale na marmurowej jego twarzy pod koniec dnia nie widać było ani zniechęcenia, ani ducha upadku.

— Uczymy się zwyciężać! — rzekł wieczorem do Lafayette'a — ale drogo płacimy lekcye nasze.

Pułaski wręcz przypisywał przegranę brakowi karności i wprawy w żołnierzu, który bił się dobrze, ale w obrotach był nierażny i nie tak posłuszny komendzie, jak należało.

Ze szczerotą żołnierską, powtórzył przy dowódzcach Washingtonowi, iż wojsko potrzebuje surowszego w kluby ujęcia.

To jedno już wyznanie źle dlań uprzedziło ludzi nawykłych do rozprzężenia.

Właśnie, gdy wrażenie tych słów było najżywsze, bo je po obozie powtarzano, przyszły oczekiwane potwierdzenia od Kongresu i Pułaskiemu oddano nad jazdą dowództwo.

Owa tak szumnie ochrzczona brygada Pułaskiego była zbieraną drużyną awanturników, podzieloną na dwa pułki, liczące

razem około czterystu koni; regiment dragonii i tak zwanej rajtaryi.

Dragonami dowodził pułkownik Molens, człek odważny, ale samowolny, opryskliwy, gwałtowny i nienawidzący cudzoziemców, z czem się głośno przy każdej sposobności odzywał. Pomiędzy oficerami byli Francuzi, Włosi, niemieckie zbiegi z pułków angielskich, ludzie nieokreślonego pochodzenia.

Wszystko to o posłuszeństwie i rygorze słuchać nawet nie chciało. Zadanie Pułaskiego było prawie nie do wykonania, bo wśród wojny i pochodów zaprowadzenie karności między ludźmi, co się za lepszych od niego uważali — rozbijało się o niepokonane trudności. Oficerowie, żołnierze, cała ta czereda, związana wspólnym interesem, stawiła się przeciw niemu mężniej, niż przeciw nieprzyjacielowi. Nawykli do bezkarności, nie znając charakteru Pułaskiego, rachowali niepłonnie, iż go swojem postępowaniem zmuszą do zrzeczenia się dowództwa. Skryty, milczący opór, ciche szyderstwa, przechwałki, znosić musiał co chwila Pułaski schnął, bladł, usta zacinał, ażeby nie wybuchnąć, w końcu parę razy gwałtownie się uniósł, dając poznać, że sobie przewodzić nie dozwoli, ale niepodobna było codziennie odwoływać się do wodza i na nieposłusznych składać sądy. Musiał znosić. Niezupełna znajomość języka utrudniała położenie.

Po klęsce pod Brandywine wojska Washingtona cofnęły się w kierunku Chester. Filadelfia była stracona. Znów musieli przebywać rzeki, przebrnąć napowrót Shuykill i opierając się nadchodzącym Anglikom, przedzierać przez błota, lasy i dzikie pustynie.

Główne siły angielskie gromadziły się około Germanstown; Kongres wcześnie przeniósł się do Lancastre. Opuszczoną stolicę zajął był Cornwallis, który zmuszony został rozdzielić swe siły. Część wojsk wysłał na zdobywanie małych twierdz, przecinających komunikacyę, między Filadelfią a niższą Delawarą i flotą u ujścia stojącą, która dostarczała zapasów.

Wkrótce po wycofaniu się z nieszczęśliwego spotkania, Pułaski pociągnął razem z Washingtonem na Germanstown. Wódz, rachując na uszczuplone Anglików siły, chciał co rychlej powetować klęskę.

Po ciężkim marszu stanęli dniem jesiennym pod Germanstown.

Ranek był dżdżysty, mgła gęsta później nie dopuszczała się lepiej rozpatrzeć w położeniu Anglików. Wszakże niecierpliwe wojska się starły.

Jak wprzódy, tak i teraz, pierwszy napad powiódł się Amerykanom, generał Conway z prawem skrzydłem, w którem był i Pułaski ze swoją brygadą i celnymi strzelcami — porzuciwszy Anglików — wparł się do środka ich obozu, przypierającego do miasteczka.

Pułaski na czele swej jazdy, dając przykład męstwa, przelcciał nawskroś obozowisko angielskie, rąbiąc tak zaciekle, że struga kwi z pałasza jego lała mu się w rękaw munduru. Nic to wszakże nie pomogło, znów pojedyńcze świetne czyny nie rozstrzygnęły walki... nieszczęśliwej, jak pierwsza.

W budynku, na kształt blockhauzu obwarowanym na prędce, pułkownik Musgrave, zasadziwszy się z piechotą, oparł się kilku szturmom dzielnym ogniem. Washington rachował na to, że Cornwallis powstrzyma oddział, na odsiecz wysłany, i nie da mu w czas pospieszyć; stało się inaczej, posiłki,- przebiwszy się, nadciągnęły i Amerykanów przemagającą siłą wyparto. Poniósłszy znaczną w ludziach stratę, znów cofać się musiano...

Washington przeszedł rzekę Perkiomi i w porządku zajął stanowisko między wodami Shuykill i Shippah.

Po tych porażkach, które z bliska po sobie nastąpiły, tylko wytrwałość Washingtona i zaufanie w nim Kongresu utrzymać zdołało ducha. Zniechęcone żołnierstwo, zniszczen mieszkańcy szemrać poczynali, domagając się pokoju i zgody. Dezercya w szeregach dotkliwie czuć się dawała.

Wkrótce po bitwie pod Germanstown, generał Burgoyne został osadzony przez wojsko amerykańskie pod Saratogą, zmuszony był kapitulować i poddać się.

Zwycięstwo to płaciło z lichwą dwa niepowodzenia poprzednie. Gates podźwignął Washingtona.

Współcześnie prawie Francya podpisała traktat przymierza z rzecząpospolitą, obiecując czynną pomoc Stanom Zjednoczonym, których sprawa już od tej chwili za wygraną uważać się mogła.

KSIĘGA VI.

Trenton-Savannah.

Było to w przededniu wigilii Bożego Narodzenia (1777 r.), tego narodowego święta, o którem żaden Polak u brzegu Delawary nie zapomina.

Pierwsza gwiazda, co się tego wieczora na niebie ukaże, przypomni każdemu młode lata, błogie lata... bo dla nas, im głębiej w przeszłość, tem jaśniej. Pułaski ze swoim oddziałem stał naówczas w stolicy N. Jersey, w Trenton, małem miasteczku u ujścia Sapping do Delawary, w jednej z najpiękniejszych okolic tej części kraju. Miasto wyrosłe z ziemi, jak drzewa i miasta na tym nowym świecie rosnąć umieją — w oczach — niewielkiem było podówczas, ale to obozowisko człowieka, w półkole pagórkami, okrytemi wspaniałym lasem otoczone, oblane dwóch rzek wspaniałemi wody — przedstawiało obraz wielkiego wdzięku młodzieńczego.

Już miasteczko żyło nowem życiem zaszczepionem z Europy — a o sto kroków za niem szumiały odwieczne cedrów lasy, lasy jodeł, wiązów i topoli kanadyjskich, podszyte akacyami, powiązane sznurami lijanów i wonnych latorośli, zbite jakby do walki z siekierą, która im trzebieżą groziła... Nieraz jeleń, wybiegłszy z tych cieni, stawał nad doliną... patrzał zdziwiony i biegł znów kryć się w ostępy....

To zbliżenie dwóch światów, dziewiczej natury i żywota społecznego, ta cisza pustyni, może nawet klimat, po części przypominały tułaczom Polskę...

Trentończycy mówili im, że czasem zimą Sapping, się lodem okrywał, że brzegów Delawary kry się czepiały, że śnieg tu leżał po dni kilka.

W wycieczkach swych myśliwskich Pułaski spotykał zwierzynę nawet jakby europejską: sarny, wilki, zające... chociaż złoty bażant, zaszumiawszy w gałęziach, to marzenie o domu przerywał. Pomiędzy cedrami czarna jodła mówiła o naszych ogrodach i lasach.

Trenton od Pensylwanii dzielił tylko most, rzucony przez rzekę, amerykański most owych czasów, budowa z ogromnych kloców drzewa, chwiejąca się, zdająca się stać cudem, pełna szczerb, a mimo to przeszło tysiąc stóp szerokie przeskakująca wody.

Pułaski ze swym oddziałem miał częste polecenia czynienia wycieczek do Pensylvanii; rzucał się niespodzianie w okolice Filadelfii, ogładzał je, porywał transporty, niepokoił straże i podrażniwszy nieprzyjaciela, uchodził napowrót do swego schronienia. Te partyzanckie wycieczki bawiły jego, rozrywały Karola, ale upokarzały nieco, gdyż nie dozwalały żadnym głośniejszym odznaczyć się czynem. Wszystko w nich, jak one, było drobnych rozmiarów.

Leże zimowe w Trenton miało też na celu wprowadzenie karności w te pułki, z których dowódzca chciał zrobić dobrych żołnierzy; ale ciężko przychodziło łamać się z nieokiełznanem przywyknieniem do swobody.

Zresztą to życie na czatach nie ciężyło Pułaskiemu, który odradzał się, siadłszy na koń, uśmiechał się gdy nieprzyjaciela zobaczył, w spoczynku tylko będąc smutnym i zgryźliwym... Karol także dzielił jego usposobienia, i byłoby im tu dobrze, gdyby prócz siebie mieli choć jedną duszę przyjazną. Tymczasem wiemy jaką niechęcią, zazdrością szpetną i małą, stało ku nim wszystko, co ich otaczało. Oprócz służbowych, innych stosunków z komendą nie mieli, żyli z sobą.

Jedyną pociechą w dniu spoczynku były wzgórza i lasy okoliczne, polowania na ptactwo i jelenie; a choć się na nich czasem i z grzechotnikiem spotkać było można, nie obawiano się go więcej od obozowych towarzyszów.

Nadchodzące dnie świąteczne, u Anglików także obchodzone z wielką uroczystością, Karolowi poddały myśl sprawienia polskiej willi Pułaskiemu. Nosił on się z nią dość długo, dumał, rozpytywał, wreszcie uznawszy możność, postanowił tę niespodziankę

kę doprowadzić do skutku. Może i jemu samemu przypomnienie to dla stęsknionego było potrzebne serca.

Tail się w początkach z tem, jak je zwał, dziecińswem, ale naostatek musiał się zwierzyć Maciejowi, bo bez jego pomocy wykonać się to nie dawało.

— Panie Macieju — rzekł do niego, wszedłszy — mam do was prośbę; gdybyście mi trochę pomódz chcieli, zrobilibyśmy coś, spodziewam się, miłego generałowi.

— Z duszy, serca, wszak wiesz, że ja dla niego dałbym się w kawałki posiekać — tylko mów.

— Jutro wigilia Bożego Narodzenia.

— Prawda! wigilia! mój Boże, u nas to wielkie święto — ale jak się tu do niej przybrać?

— Ja wszystko urządzę, mam już zamówione i ryby morskie z Delawary, jaja żółwie... przyprawy, Murzyn nasz ugotuje, ja mu rozpowiem, o ile potrafię, o szafranie i innych sosach. Będzie to piąte przez dziesiąte, ale zjemy na sianie, po polsku i przy gwiazdach... kraj się nam przypomni.

— A! niech ci Bóg płaci! myśl złota... Ale, skądże ty opłatka weźmiesz? — zawołał Rogowski, załamując ręce — tu w Trenton, ani księdza katolickiego, ani nic podobnego do opłatków nie ma. A bez opłatka znów, co to będzie za wilia! nie ma wilii bez niego, to darmo! Opłatek się piecze...

— Wiem nawet, jak się piecze — rzekł Karol — bom nieraz widział u nas, jak kapelan piekł opłatki — ale przyboru nie mam. To bieda wistocie... bo opłatka nie wiem, czy dostanę.

— A cóż po rybie z szafranem, jeśli nie będzie opłatka! — dodał Rogowski.

Napróżno łamali głowy.

Zgodzono się wszakże, bądź co bądź, zastawić wieczerzę z ryb, na sianie, a w kącie snop polski...

Snop! miły Boże... skąd tu nawet było wziąć w Ameryce ów snop polskiego zboża. Gdzie te, co rosną na naszych łanach: żyto, pszenica, jęczmień, owies, wszystko aż do lnu i tatarki, bo w snopie na wilię nic nie powinno braknąć!

A im tego wszystkiego potrzeba było, by polską macierz przypominało jej dzieciom.

Karol, do spisku wciągnąwszy Rogowskiego, latał jak opętany, posyłając starego Murzyna, gniewając się na jego omyłki, ale na włos nie chcąc ustąpić ze swego planu.

Rogowski nie brał nic na siebie, oprócz, że miał utrzymywać w niewiadomości do ostatniej godziny Pułaskiego i odciągać go, gdyby przedwcześnie do wielkiej izby na dole chciał zaglądać.

Karol zresztą wszystko wziął na barki swoje. Zdawało mu się, że to przypomnienie ziemi rodzinnej, religijnego obrzędu, dnia, w którym w Polsce z jej zboża upieczonym opłatkiem cały lud się łamie, jak na owych Agapach katakumbowych... wleje pociechę w smutną duszę wodza.

Dom, w którym stali razem, był dosyć obszerny, ale prosty. Na piętrze mieścił się Pułaski we dwóch pokojach, z których jeden był sypialnią, a drugi służył do przyjęcia i pracy. Jadalny dzielił je od dwóch izb, w których mieszkali po żołniersku, prawie bez sprzętów, dwaj towarzysze nieodstępni, Karol i Rogowski.

Obszerna izba na dole służyła na skład rzeczy, pomieszczenie przybywających posłańców i różne nieprzewidziane wypadki. Raz nawet była więzieniem dla wziętych w niewolę Anglików, dopóki ich nie wymieniono.

W tej izbie oczyszczonej, wyświeżonej naprędce, przybranej, Karol urządzić miał swą tajemniczą wieczerzę. Murzyn stary, osiwiały, słynny ze swej sztuki kucharskiej, równie przynajmniej, jak ze swej słabości do rumu — służył za jedynego wykonawcę. Obietnica rumu i sowitej nagrody czyniła go nader usłużnym i uprzejmym. Młody gospodarz pragnął, aby żadnego przyboru, który polską wilię odznacza — nie brakło.

Jedną z najnieubłagańszych trudności był niedostatek, jaki naówczas cierpieli; zapasy z Europy wyczerpały się, bo musieli często żyć o własnym koszcie. Karol, co miał, oddał towarzyszom Pułaski, co mógł, to w pułki wkładał, a płaca nie dochodziła... Były dnie, trudno uwierzyć temu — prawie bez chleba... żyło się o miłosierdziu Bożem i cnocie rycerskiej.

Rogowski ani śmiał się spytać, skąd się wezmą pieniądze na ucztę... wiedział bowiem, że ich nie było u nikogo.

Karol miał od ojca dany zegarek złoty z łańcuchem, długo oszczędzał go, wahał się, żałował... ale dla wodza ukochanego możnaż było poskąpić ofiary? Poszedł i sprzedał go po cichu... Z tego grosza miała się wilia odprawić.

Szło tylko o opłatek...

Wszystko się dawało albo czemś zastąpić lub ominąć — niedostatek opłatka... był niewynagrodzony.

On właśnie jest znaniem wilii, on jeden starczyłby za wszystko... on mógł być wilią całą, bez niego wieczerza na sianie... tą uroczystą ucztą naszą nazwać się nie mogła.

Już Karol rozmyślał o upieczeniu opłatka, gdy chodząc na zwiady, dowiedział się, że w niedalekiej osadzie, która była jakby przedmieściem Trenton, zwanej Lamberton, za rzeką Sapping, mieszkał ksiądz Francuz, który tam w kapliczce, urządzonej w pokoju, mszę dla szczupłej liczby katolików odprawiał.

Nie potrzebowano się taić zbytecznie z katolicyzmem, ale w czasach wojny, w chwilach rozdraźnienia, wśród większości protestanckiej, fanatycznej, nie chciano się na szyderstwa jej narażać.

Karol siadł na koń, aby dobiedz do Lamberton do księdza... Już był minął ostatnie domki osadników i miał się puścić za rzekę, gdy na drodze zjechał się z obcym, widocznie podróżującym, nieznajomym mężczyzną. Był to człowiek młody jeszcze... z podziwieniem Karol spostrzegł na nim, po amerykańsku zrobioną, ale polską taratatkę... Rysy jego nie piękne, ale miłe, łagodne i ożywione, miały w sobie coś tak polskiego, że Karol uderzony i strojem, i twarzą, machinalnie konia powstrzymał. Przybywający do Trenton od Pensylwanii był wzrostu niewielkiego, krzepkiej budowy, twarzy oryginalnością uderzającej... Była w niej energia, siła i wielka dobroć, i wielki smutek... coś obudzającego sympatyę i zaufanie.

Podróżny wpatrywał się też w Karola, którego rysy piękne nosiły także wybitny charakter polski. Stali tak na gościńcu chwilę, naprzeciw siebie — niepewni.

Przybywający siedział na koniu objuczonym i miał z sobą prze-

wodnika. Wszystkich już w okolicy Trenton znał Karol, ten widocznie był gościem z daleka.

Oba mieli pytanie na ustach... Po mundurze poznawszy wojskowego, podróżny wreszcie, przyłożywszy rękę do czapeczki, odezwał się po angielsku.

— Czy znajdę w Trenton brygadyera Pułaskiego? Pan pewnie należysz do jego oddziału, lękam się, by nie był na wyprawie jakiej?

Karol mówił już nieźle po angielsku, po wymowie pytającego poznał w nim cudzoziemca, to go utwierdziło w przekonaniu, że Polakiem być musiał.

Serce mu uderzyło do tego człowieka, sam nie wiedział, jak wyrwało mu się słowo polskie.

— A! Polak! brat! — zawołał ochoczo podróżny. I oba, nie pytając więcej, skoczyli z koni, aby się uściskać... jak bracia rodzeni po długiem rozstaniu...

— Co za szczęście! — zawołał Karol.

— Jadę od granic Kanady — rzekł przybywający — umyślnie tu do was, do Pułaskiego, którego poznać pragnąłem... Nazywam się Tadeusz Kościuszko...

— O słyszeliśmy już o was, nawet nimeśmy tu przybyli, w Tulonie. Jakże generał rad wam będzie, Bóg nam zesłał we wilię najpożądańszego z gości... Ja jestem adjútantem Pułaskiego, nazywam się Karol Pluta.

— A! nie wiesz — przerwał rozrzewniony Kościuszko — co to jest, po długim poście posłyszeć mowę swoją, zobaczyć brata!... Łza pokazała mu się na oczach.

Spotkanie najdroższego przyjaciela nie uczyniłoby w kraju na nich obu takiego wrażenia, jak tu zetknięcie się niespodziane dwóch nieznajomych, ale krwią i duchem braci... Stali i drżąc, ściskali dłonie, nie mogąc się napatrzeć sobie.

— Co za szkoda, że ja was zaraz do Pułaskiego zaprowadzić nie mogę — rzekł Karol — ale mam sprawę pilną muszę dojechać do Lamberon... za pół godziny spodziewam się być z powrotem. Jedźcie wprost stąd... a z placu każde dziecię dom Pułaskiego wam pokaże, bo go tu znają i imię nawet wymawiać się nauczyli.

— I szanować go! — dodał żegnając się Kościuszko.

— A któżby, poznawszy go, nie szanował, nie kochał, nie wielbił! — zawołał Karol.

— No! w drogę, w drogę i co najrychlej z powrotem! — rzekł Kościuszko.

— O! pospieszę pewnie, bo przybycie wasze dla nas, to uroczystość, jakiejśmy nie mieli!

— A! a dla mnie! widzicie, żem przybył umyślnie, aby swoich zobaczyć, język nasz, tę najsłodszą sercu muzykę usłyszeć...

Każdego wyrazu dźwięk śpiewa mi w duszy pieśnią młodości i nadziei... Ale dość! dość, na koń i w drogę...

Karol piorunem popędził do księdza po opłatki.

Tak owa wilia Bożego Narodzenia stała się podwójnie dniem uroczystym... Pułaski był szczęśliwy z przybycia ziomka, którego nie wiedział, jak ugaszczać i przyjmować.

Został mu ten stary, szlachetny nałóg nasz polski, co z sercem dom i dłoń otwiera coby krwi utoczył gościowi, byle go jak króla uszanować i dowieść, że mu się nic nie skąpi. Ale przy niedostatku żołnierskim jak tu było okazać tę tradycyjną serdeczność?

Zasępił się biedny Pułaski.

Całą resztę dnia tego spędzili jakby w gorączce, mówiąc o kraju, o dziejach konfederacyi, o starych i nowych domowych sprawach.

— Słuchaj, mój Rogowski — rzekł Kazimierz wieczorem, odwiódłszy go na stronę — nasz święty ojcowski obyczaj gościa pobożnie przyjmować... a jeszcze taki gość! nasz! Polak! Musimy bracie, wystąpić... ale jak? Sprzedaj co chcesz, zastaw, pożycz..., a trzeba, żeby widział, żeśmy mu radzi.

Rogowski tylko co się z projektowaną wilią nie wygadał, ale sobie języka zakąsił.

— Panie generale — rzekł — proszę być spokojnym, ja z Karolem obmyślimy środki, a —jakoś to będzie. Tylko co się tyczy jutra... to post i wilia...

— Wilia! a prawda — rzekł smutnie Pułaski...

— Więc jutro.... to się jakoś przekołacze, a na Boże Narodzenie ja za lusztyk ręczę... dodał Rogowski... Zastawim się, a postawim po szlachecku!

Cała noc niemal zeszła na gawędzie, przerywanej i wiązanej na nowo. Rozchodzono się i, pożegnawszy, wracano znów| Zastawiono wieczerzę, ale mało kto ją tknął, poiło i karmiło żywe słowo. Mówili o Polsce, nagadać się nie mogli. Każdy z sakwy podróżnych pamiątek dobywał, co miał najdroższego, wszystko swoje tak się wydawało zajmującem.

Karol, który powrócił rychło, więcej się przysłuchiwał niż mówił.

Każdy z nich był z innego kąta szerokiej ziemi polskiej rodem, ale uczucia i wspomnienia ich łączyły. Kościuszko Litwin, z Brzeskiego, długo żył w Warszawie i na Mazurach, znał dwór, króla, Czartoryskich i wielu owego wieku ludzi, od których z goryczą w sercu uszedł dobrowolnie. Pułaskiemu śniło się zawsze Podole i Ukraina, trochę kozacza, nieco szlachecka.

Rogowski rodzinę miał w Wielkiej Polsce i Kujawach rozproszoną; Karola ojcowizna była w Krakowskiem. Oni razem przedstawiali niemal cały obszar ziem rzeczypospolitej, która się teraz rozpadała, a szczepiono jej starannie niechęć bratnią, żeby się bujno rozrosła.

Ludzie ci ze czterech kończyn Polski, jakby się w jednej kołysali kolebce — obyczajem, językiem, podaniami, duchem się zrastali.

———

Późno w noc, gdy już nareszcie szli na spoczynek, Rogowski pochwycić mógł Karola...

— Bracie, dobrodzieju! — zawołał — teraz dopiero tryumf cię czeka, gdy wystąpisz z wilią! Generał sam mnie prosił, zaklinał, ażeby skąd wziąć, to wziąć, a przyjęcie gościowi sprawić świetne... Ale... powiedzże, skąd ty grosza dostałeś?

Karol się zarumienił..

— No — miałem tam coś — rzekł... to moja rzecz ... dosyć, że nie zabraknie, tylko czyście nie wyśpiewali już o wilii?

— Uchowaj Boże — nic a nic..

— No, to dobrze.

— Ale czy będzie dobrze?

— O ile z Murzynem, zamiast Mazura, polską wilię można zgotować — odpowiedział Karol, ruszając ramionami. — Co za szkoda, że człowiek nic się nie domyśla, co go czeka! Gdybym

był w Skale lepiej się kuchni przypatrywał i przeczytał sekreta z książki matczynej!

— No, jadło tam, jak jadło! zawołał Rogowski, byle przez gardło przelazło — ale cóż z opłatkiem?

— W tem, jak wiecie, była trudność największa — po cichu rzekł Karol — a przecież i to, co nieprzyzwyciężonem się zdawało, zwyciężyłem! Wiecie, że jeździłem do Lamberton, szukając księdza Francuza. Ledwiem tam o niego dopytał, ale oznajmiwszy mu się jako Polak i katolik, zostałem dobrze przyjęty. — Przyznał mi się, że był kapłanem i mszę świętą odprawiał. Człowiek to w średnim wieku, poważny, surowy, ale darujcie mi co powiem, do naszego księdza niepodobny... Pocałowałem go w rękę z radości, przypominając sobie, jak w Skale sługiwałem do Mszy św. w owej komeżce z niebieskiemi wstążkami, która mnie czyniła szczęśliwym i dumnym. — Po krótkim wstępie powiedziałem mu, o co go prosić przybyłem; ale mnie nie zrozumiał wcale, obruszył się strasznie i począł łajać, sądząc, że niepoświęconej hostyi do jakiegoś zabobonnego żądam obrządku. Ledwiem mu zdołał wytłómaczyć, że to jest u nas przez duchownych uznanym zabytkiem prastarych czasów, zrozumiał mnie nie rychło, gdym już prawie łzy miał na oczach, ulitował się w ostatku i tknięty moją wymową, skłonił się dać mi parę opłatków! A! z jakąż pochwyciłem je radością!

— Masz tedy szczęśliwcze — opłatki! krzyknął Rogowski w uniesieniu. — A! będziemy się więc po polsku łamali opłatkiem... Mój Boże! komuż to łez nie wyciśnie!... Kto nie czuje nic... ten... — dodał, bijąc pięścią o stół — ten... psa nie wart! A teraz — sza!

— Majorze... na Boga! tajemnica!

— Zmilczę, dochowam jej! ale zlituj się wystąp jak należy. Jeśli pieniędzy zabraknie... mam jeszcze łańcuszek złoty... zastawimy go lub sprzedamy.

— Niepotrzeba... przerwał Karol... Wy tylko skłońcie generała i gościa, żeby z obiadem, wedle zwyczaju narodowego i religijnego do gwiazd poczekali...

— To moja rzecz i nie będzie trudno — odparł Rogowski. — Gość nasz, zdaje mi się, nieco filozof — ale go też katolicka matka karmiła.

— Ale poczciwy człowiek, zgodzi się na wszystko!

Nazajutrz rano dzień po nocy chłodnej wstał dziwnie pogodny i ciepły, a choć pora nie zupełnie przypominała nasz grudzień i było raczej wiosenno jakoś niż zimowo, data 24 mówiła o wilii; przywodziła na myśl wszystkie Adamy i Ewy pozostałe w kraju, i dawne polowania na ponowę śnieżną, i próby szczęścia... i zjazdy rodzinne, i ów stół długi, do którego w tym dniu zasiadło kilka pokoleń, a dziaduś siwy szedł z opłatkiem od najstarszego do najmłodszego, błogosławiąc, całując, płacząc po tych, co do wilii zasiedli — z aniołami u Bożego stołu.

Wspomnienia te trochę ochmurzały czoła — ale wstawszy, zeszli się wszyscy, prócz Karola... na górę, i już się rozejść nie mogli.

Bliższe poznanie Kościuszki przywiązywało doń Pułaskiego; dwe te dusze bratnie rozumiały się dobrze, łączyła je miłość kraju gorąca, choć w wyobrażeniach nie zawsze się zgadzali.

Pułaski znał tylko Polskę szlachecką i czując potrzebę reform, opierał je wszystkie na tradycyi; Kościuszko był synem XVIII wieku, ale razem dzieckiem Polski; chciał ją odbudować według pojęć epoki.

— Mój panie Tadeuszu — spytał po długiej rozmowie Pułaski — jakeśmy, my konfederaci, wyszli z kraju... to już wiecie; ale powiedzcież mi, jak się to stało, że wy opuściliście Polskę... Co było powodem?

Kościuszko spuścił oczy, zdawał się nieco zmieszany.

— Ja — rzekł po chwili, rumieniąc się — przyszedłem tu z myślą nabycia wprawy wojennej, nauki.

Po dłuższej rozmowie, Pułaski rozrzewniony wstał i natchniony proroczo, ręce położył na jego ramionach...

— Marek wydał wyrok... ja tu kości położę...

— Bóg tylko wie jeden przyszłość — przerwał Kościuszko. — Samiście opowiadali mi, że ks. Marek w początkach wróżył zwycięstwa... a na ostatku... same klęski...

— Tak! ale wiesz, co mi powiedział w Częstochowie... Słowa są wielkie, dziwne, a dusza, z której wyszły, święta... Gdym mu przypominał pierwsze jego proroctwa, rzekł mi: — Tak! prorokowałem zwycięstwa... ale wy grzechami swemi zadaliście kłam proroctwu i miłosierdzie złamaliście Boże — bogdaj wasze cnoty uczyniły mnie jeszcze raz kłamcą i odwróciły pomstę!

Kościuszko słuchał milczący.

— Ja wrócę — rzekł po chwili — tak. — Śni mi się Polska, wiem, że mnie angielska kula nie weźmie... Tu się wojny uczę...

— Tak — dodał Pułaski — nauczyć się tu można wiele i tego, co robić potrzeba, jak oni robią, i tego, czego, jak oni, czynić nie należy. Wojsko ich lichsze jest od naszego... ale gdzie u nas takich znajdziemy mężów, jak Washington, Franklin, Jefferson! My jesteśmy mężniejsi może, mamy starego rycerstwa tradycyę, u nas szlachcic rodzi się żołnierzem, bawi w ułana, nie umiejąc chodzić, a jeździ konno wprzód niż się czytać nauczy. W rodzinach naszych jest karność, która się z młodzieżą łatwo przenosi do regimentu, gdy dowódzca chce być ojcem, miłością i powagą — ale gdzież u nas ta ich żelazna wytrwałość, ta wiara w siebie niezłomna w klęskach, chęć ofiary we wszystkich... naostatek...

— Naostatek — dorzucił Kościuszko — gdzie u nas ta jedność w narodzie, jaka jest tu? W Polsce mamy jeszcze panów, szlachtę, mieszczan, Żydów, lud, wszystko poodosobniane, podzielone. Mieszczaństwo ledwie z pieluch się rozplątuje, niedorosłe i zbiedzone; przesądów tysiące... ludzie różnych rodzajów, a nie ma dotąd — człowieka...

— Po części macie słuszność — rzekł Pułaski — ale wina tego, jak i zasługi przeszłości ciężą na — szlachcie; w niej było i jest życie narodu... którem się ona podzielić nie chciała, a obowiązków swych w końcu nie spełniła... Sam jestem szlachcic, wysoko cenię powołanie, które nam dał Bóg, ale wiem i to, że szlachcic godzien tego imienia, winien pamiętać, iż jest z ramienia Bożego wysadzonym przewodnikiem, starszyzną, która ma wieść do pracy, do wszystkiego, co poczciwe i szlachetne. Szlachcic opój, niezdara, kłótnik; pan sybaryta a rozpustnik — to klęska i zguba narodu. Powtarzam wam, demagogiem nie jestem, nie będę — za starym na to — po chrześciańsku widzę we wszystkich braci, po polsku w szlachcie zakon rycerzy... Nie stanie szlachty! nie stanie narodu!

— A! panie generale! — przerwał żywo Kościuszko — jam ci też kawał szlachcica... ale czuję, że nam już dosyć tego szlachectwa, i przywilejów i wyłączności... równości potrzeba... podnieść lud...

— Równości — zawołał Pułaski. — Zapewne, ale gdzież ona

jest, mospanie?... i w niebie między aniołami są przecie archanioły i cherubiny — szlachcice....

Trzeba wieków, aby naród zlał się w taką masę; stworzeniśmy nierówno... Szlachta winna, ale ona być musi i spełniać, co na nią włożono...

— Tak było niegdyś — odparł Kościuszko — dziś już tak nie jest i jutro nie będzie. W Polsce też potrzeba społeczność całą zlać i połączyć — połączyć się obyczajami, życiem. — Cóż dziś Polska? to garść wybranych, a nam trzeba mas, tysiąców, milionów, nam ludu potrzeba... Lud jeszcze się u nas nawet nie narodził, jest czerń tylko.

— He! he! — zawołał Pułaski — to są te wasze nowe idee... Masy po staroświecku, gdy ich zapotrzebujemy, powinny pójść na zawołanie... ale potrzeba je cnotą, miłością, zaufaniem sobie zjednać, obudzić w nich wiarę i umieć prowadzić. A któż poprowadzi, jeśli nie szlachcic?

— Kochany generale — rzekł, ściskając go, Kościuszko — powtarzam wam, ani Franklin, ani Washington, ani Jefferson. nie poszczycą się podobno szlacheckiemi klejnotami... a oni...

Pułaski zamilkł.

— Inny kraj, inny obyczaj! — dorzucił po chwili.

— Krajowi naszemu też obyczaj zmienić potrzeba — dodał Kościuszko.

Tak uczeń Russa i wielbiciel Franklina, przyjaciel Jeffersona, rozprawiał z konfederatem barskim, w którym tlał duch dawny i żyły tradycye.

Niestety! one tradycye były to szaty naddziadów za przestronne na skarlałe wnuki; do instytucyj patryarchalnych trzeba było i ludzi patryachalnych, a w ich miejsce stanęły zgniłe niedobitki i plewa...

Gdzieniegdzie po nad te znikczemniałe tłumy podnosiły się głowy, charaktery, geniusze nawet — ale nie miały dosyć woli i siły.

Ten rozstęp między instytucyami dawnej Polski a ludźmi, co w nich chodzili, od początku XVII wieku coraz widoczniejszym się stawał; nikt nie dorósł do ideału praw dawnej rzeczypospolitej, a w ręku zepsutych ludzi, ten gmach, co poprzedził tyle budowli, później kleconych, wielkością i pięknością swą — runąć musiał...

Klonowicza i Wacława Potockiego czytać potrzeba, aby wiedzieć, co prawy Polak rozumiał jako szlachectwo...

Rogowski wypełnił zlecenie, namówił z łatwością Pułaskiego i Kościuszkę, aby się z obiadem do gwiazd wstrzymali i zmienili go obyczajem polskim na wieczerzę. Oba poklasnęli tej myśli. — Dzień zszedł szybko, poszli oglądać okolicę nad brzegi Delawary, potem wrócili, nic nie zobaczywszy, bo nad nią stojąc, mówili o Wiśle i Bugu. Nastręczała się też sposobność mówienia obszernego i o Ameryce; Kościuszko przybywał od armii północnej; rozpowiadał o niej, o generale Gates, o Washingtonie, mówiono o Francyi, wyglądając od niej posiłków.

Nareszcie przyszedł wieczór; na wypogodzonem niebie pokazał się krzyż południa.... coraz ciemniejszy szafir okrywać się począł tysiącem iskier, jakby na ucztę zapalonych... Karol już tylko oczekiwał na ukazanie się gwiazd — był w gotowości.

Serce mu biło, jak swawolnemu studentowi, który zamierza spłatać figla... wbiegł do ogródka, po którym się przechadzali i uśmiechając się, rzekł do Pułaskiego:

— Panie generale, wieczerza na stole!

— A! wieczerza! tak!... — podchwycił gospodarz — żartuj zdrów! co mi to za wieczerza w Ameryce! Nie polska to nasza owa wilia braterska, uczta święta, ale... co Bóg dał, chodźmy...

Ująwszy pod rękę Kościuszkę, zmierzał na górę, gdy Karol wskazał mu drzwi na dole.

— To tu — rzekł.

— Tu? — spytał Pułaski — cóż to jest?

— Tak nam wypadło — odpowiedział Karol...

Wtem drzwi Murzyn, kryjąc się za niemi, otworzył.

Salka przedstawiała widok niezwyczajny i niespodziany. Naga izba ubrała się świątecznie, ściany jej zawieszone były zielonemi gałęźmi cedrów, jodły i cisów, stół świecił rzęsisto... okryty białym obrusem, pod którym siana domyślać się było można. W kącie stał ogromny snop zboża, jeśli nie gatunkiem jego, to formą przypominający nasze godło pracy rolniczej.

Stary Murzyn w czerwonej koszuli stał u drzwi, pokazując

resztę białych zębów... Na talerzach świeciła migdałowa polewka z ryżem i rodzenkami, o którą pono było najłatwiej.

Pułaski, jak olśniony, stanął w progu i zobaczył naprzód na talerzu opłatki; odwrócił się do Karola i ze łzami prawie porwał go za szyję, całując.

— Poczciwy, kochany przyjacielu... — zawołał rozrzewniony — chyba twe złote serce dokazać tego mogło.

Drżącą ręką chwycił opłatek Pułaski i podał go pierwszemu Kościuszce....

— Gdy w Polsce rozłamiesz go kiedyś z braćmi, przypomnij mnie i Trenton — rzekł cicho.

Czy łza nie stoczyła się nań i nie poświęciła — nie wiem.

Milczący, poważni jak kapłani, uroczyście jak w świątyni, z myślą do Boga wzniesioną, do ludzkości... łamali się tułacze chlebem życia... a myśl ich i serca biegły tam, gdzie do nich także biły piersi stęsknione rodziny, braci... przyjaciół.

Tadeusz otarł łzę, przypomniały mu się — Moraczewszczyzna, Siechnowicze...

— Dawno — rzekł — dawno nie kosztowałem takiej rozkoszy, to godło Chrystusa spoiło nas, jak rodzinę. Ze wszystkich polskich obrzędów i uczt to najpiękniejsza, to najuroczystsza, to najwięcej mówiąca do duszy.

— Bo też to dzień narodzenia Tego — rzekł Pułaski — który skruszył kajdany świata.

Łamali się opłatkiem, patrząc niedowierzająco, na tę dawno niewidzianą kraju pamiątkę....

Z rozweselonem czołem zasiedli do stołu. Niestety! Murzyn barszczu z uszkami zrobić nie umiał... zastępowała go polewka.

Inne potrawy, jeśli nie miały smaku naszych, przypominały je przynajmniej z pozoru, Murzyn ów (przezwany Mandarynem), czego nie mógł dobrze wyrozumieć, w to kładł jaknajwięcej pieprzu, który w jego przekonaniu zdolnym był zastąpić wszystko i omamić podniebienie. Ryby wszakże z szafranem, po żydowsku z patatami i smażone z kapustą palmową wybornie się udały.

Dobyto parę butelek; nie było to owo Hungaricum... Cracoviae educatum, ale stare Malaga, Xeres i wina krajowe... Po kilku kieliszkach rozmowa się ożywiła i z toru smętnego prze-

szła w ową wesołość polską, co nikogo nie kąsa, a każdego zabawić umie.

Chwilami jeszcze zadumał się z nich który, ale spieszył posłać dumę za morza... Sypnęły się anegdoty przywiezione z Polski, w które ona obfitowała po wsze czasy, co to je z taką serdecznością, zawiesisto, z miną, akcentem, deklamacyą właściwą, tradycyonalną opowiadać umiano.

Dziś — niema już tych gawędziarzy z profesyi, którzy choćby sto razy powtarzali jedno, zawsze słuchano ich mile; co gdy weszli do izby, już się wszystkie rozchmurzały oblicza; co mieli koncept na wszelką przygodę, komplement w każdym wypadku, a w potrzebie i toast do kielicha i ucinek gładkim wierszem na imieniny.

Pułaski nie był wesół, ale Rogowski w tem celował, a jako exkondfederat, miał anegdot obfite zapasy. On to ożywiał towarzystwo i wziął na siebie utrzymywanie dobrego humoru. Dokazał tego, że pod koniec uczty twarze i serca się śmiały.

Mandaryn tymczasem biegał z coraz nowemi półmiskami, a zakończył deserem obfitym, rad, że nareszcie sam do jadła i obiecanego rumu dopadnie.

Biesiadnicy pozostali długo w noc przy tym stole, pito niewiele, powoli, ale mówiono dużo.

Późno już ktoś przypomniał obyczaj wilii naszej, wyciągania z pod obrusa siana; miało to podobno znaczenie, iż kto najdłuższą trawę wysunął, u tego najpiękniejszy len miał obrodzić.

— Ciągnijmy więc — dodał, śmiejąc się, Pułaski — i będziemy sobie z tych roślin nowego świata prorokowali o żniwie.

W tem sianie z nad Delawary i Sapping były, prawdę rzekłszy, przeróżne rośliny, nie wszystkie do trawiastej rodziny należące. Każdy rękę włożył pod obrus, a co pochwycił, wyciągnął i podniósł do góry.

Pułaskiemu dostał się kwiat jakiś nieznany, zeschły już, na którego łodydze para tylko listków zieleńszych została.

Rogowski dobył kiść jakąś bardzo długą, w którą się mniejszych dużo wplątało; na końcu jej grono nasionek bardzo przypominało prozaiczną naszą hreczkę.

Karol wyciągnął łodygę zieloną, niemal świeżą, z kwiatami jeszcze niezupełnie zwiędłemi, nakształt dzwońców.

A pan Tadeusz zdziwił się, znajdując — uciętą młodą gałązkę o liściach laurowych.

Śmieli się wszyscy, niewielkie do tego przywiązując znaczenie, a pan Pułaski rzekł:

— Wam laury, panie Tadeuszu! daj Bóg, byś je zbierał! Mnie się dostało coś zeschłego, czarnego jak ja... i bez życia... taką może pamięć zostawię po sobie. Karolowi jego kwiaty obiecują, że będzie rozkwitał i dzwonił, a dalej pan Rogowski... ty masz czyste i jasne proroctwo, że jeszcze hreczkę siać będziesz na swoim zagonie.

— Ale ba! — zawołał Rogowski — co o tem, to mi się nie śni!

— Mnie też o wyprorokowanym mi końcu... zeschłą gałęzią myśleć się nie chce... przynajmniej dopóki mam szkaplerz ks. Marka na piersiach...

Karol zamyślił się nad swoją Campanullą... pobiegł sercem do Skały... tam obchodzono jej imieniny... a on nie mógł nawet cichem ją rozbudzić życzeniem...

Ale ufał, wierzył, że tam kiedyś z Saracenką powróci, że ona go tam czekać będzie, stała, wierna, niezmieniona. Niestety! Znał świat tylko ze swego poczciwego serca... w które się jeszcze zęby czasu nie wpiły...

Pili zdrowia.

A w ostatku owo polskie, owo stare... owo nasze... kochajmy się!

Bez tego symbolicznego kielicha miłości i zgody nie było nigdy w Polsce uczty żadnej.

Niech mi kto pokaże na świecie naród, któryby myśl tak świętą, tak wielką zamknął w dwu słowach, bez których nie było biesiady, nie było przyjęcia...

Coś w tem większego jest nad rozpasanie ducha, bo pragnienie świętości, harmonii, braterstwa na ziemi...

Czyśmy się kochali? Bóg osądzi, ale żeśmy kochać pragnęli, uważali za obowiązek, żeśmy na szatandarze tradycyi zapisali to godło, które w sobie mieści całą naukę nową... to przecie coś znaczy... Nie czcze, nie czcze to było słowo!

Wstali wszyscy.

Jeszcze raz ścisnęły się dłonie, ucałowały usta, po tych polskich agapach; każdy poszedł do pościeli nie zasnąć, ale myślą polecieć ku domowi...

Pułaskiemu przed oczyma stał wizerunek bladej, smutnej, z wypłakanemi oczyma a usty uśmiechniętemi do świata, Franusi... w królewiczowski płaszcz, jak w całun, opiętej.

Kościuszce ukazała się twarzyczka księżnej Lubomirskiej, uśmiechająca się smutnie i błagająca litości.

Karolowi białe ząbki wyszczerzyła, w różowe oplecione usteczka, jego... bohdanka, siostrzyczka.

Pan Maciej Rogowski westchnął też do owej pięknej francuzicy w Rodosto, która serdecznie się spłakawszy po nim... poszła za jakiegoś Greka.

Wierni kochankowie opłakiwali swych miłości zawód i zdradę... żaden przecie na ukochaną nie rzucił przekleństwa.

Z piersi ich rwały się życzenia:

— Niech będzie szczęśliwą!

Karol... nie domyślał się, ani przeczuwał, że i on może mógł powiedzieć z nimi:

— Niech będzie szczęśliwą! — nie miałby siły dodać: — Choć nie ze mną.

Mandaryn spał znużony z wypróżnioną flaszką rumu na piersiach... Ta go nie zawiodła.

Pułaski żył tylko walką i pracą. Karol zrazu się nią ożywił, ale oswoiwszy się z krajem i położeniem, zatęsknił do domu, do tego wszystkiego, co za oceanem zostawił...

Pułaski upajał się sprawą wolności, wprowadziając ład i porządek w nieustannych waśniach z podwładnymi. Niezwykły do hamowania się, gwałtowny, porywczy, gdy mu krew do głowy buchnęła — zawsze jednym sposobem usiłował pokonać opór, żelazną wolą i charakterem. W końcu, struty pasowaniem się z tą uorganizowaną niechęcią, doprowadzony do ostateczności, zmuszony był prosić o uwolnienie od służby.

Rogowski wysłany został z listem do Washingtona, stojącego w Valley-Forge.

Wszyscy dowódzcy, którzy byli świadkami trudów i męstwa Pułaskiego, Wayne, przyjazny mu osobiście, przyznawali głośno, że strata takiego generała, pełnego energii i żołnierza niezmiernej odwagi, była niepowetowaną, ale Pułaski cofnąć prośby swej nie chciał. Washington, ścisły postrzegacz prawa, nie

mógł znów odwołać niesprawiedliwego wyroku w zajściu z ofirem o samowolę, wydanego przeciw Pułaskiemu.

Stanęło więc na tem, że aby Pułaskiego nie stracić, dozwolono mu samemu oddział ochotników zebrać i sformować. W marcu (1778), zdawszy dowództwo dawne, udał się Pułaski do Valley-Forge, a na przedstawienie Washingtona, Kongres podane zatwierdził warunki.

To nowe zajęcie odżywiło starego konfederata, który natychmiast wziął się do formowania legionu jazdy i piechoty. Jazda miała mu przypominać polskich ułanów, dano im piki i chorągiewki z kolorami narodowemi; Rogowski i Karol, rzuciwszy bez żalu niechętną sobie drużynę rozwałęsanych i rozpasanych rajtarów, poszli za wodzem.

Oddział ten z niemniej różnorodnych żywiołów był złożony, wchodzili doń nawet zbiegowie z angielskiego wojska, ale na wszystkich wkładano warunek ślepego posłuszeństwa, przyjmując. Pułaski nieubłaganym był w przestrzeganiu karności wojskowej.

Wiosna 1778 r. nie polepszyła położenia Washingtona i wojsk amerykańskich. Stan był zawsze ten sam, brak najpierwszych potrzeb życia, trudy do znoszenia wielkie, pochody nużące, wyczerpywały najdzielniejszych. Washington, jako wódz, miał nieprzyjaciół, usiłujących go obalić, podkopujących u Kongresu, czerniących niepokalany jego charakter... ale znosił to wszystko z wielką prawdziwie duszy potęgą.

Co chwila oczekiwano stanowczego ogłoszenia się Francyi za sprawą Ameryki; na sam odgłos o tem Anglia gotową była do ustępstw w obawie zupełnej kraju utraty. Stronnictwo pokoju i przejednania potajemnie usiłowano obalić Washingtona — ale Kongres pojmował swe obowiązki i uwieść się nie dał. Traktat z Francyą został nareszcie podpisany, Kongres go ratyfikował. Anglia odwołała posła z Paryża... otucha weszła do serc, ale wojna się zapowiadała długa i ciężka.

Mimo świetnych nadziei, wojska ogłodzone, wycieńczone, okazywały zniechęcenie. Wysyłane oddziały wszędzie kraj znajdowały spustoszonym przez Anglików; obie strony paliły zboża i plantacye, niszczyły magazyny i marły z głodu.

Anglicy, chociaż lepiej zaopatrzeni, bo im flota dostarczała

żywności, musieli jednak w końcu po dziewięciomięsięcznem zajęciu Filadelfii opuścić ją i zmienić dalsze plany działań wojennych.

Przeszedłszy w czerwcu Delaware, udali się do Allen-Town, zagrażając razem Brunświkowi i Monmouth. Washington w ślad za nimi opuścił Valley-Forge i pociągnął, zawsze marząc o stoczeniu walnej bitwy... Zdało mu się, że korzystniejszą ona być może dla żołnierza, niż wyczekiwanie o głodzie. Część dowódzców odradzała mu jednak, nie chcąc losów kraju stawić na niepewne szczęście dnia jednego.

Wojna między Anglią a Francyą, jak to przewidzieć było można, rozpoczęła się starciem na morzu. Ochotnicy nasi dzielili losy wojsk amerykańskich i ich przykre położenie, żyjąc już nadzieją pomocy Francyi. Tu lepiej zdawały się składać okoliczności, flota admirała d'Estaing, przeznaczona do Ameryki, wypłynęła z Tulonu, nim admirał Byron gotów był w ślad za nią podążyć. Składała się ona z kilkunastu okrętów liniowych i czterech fregat. Burze i cisze przez trzy miesiące opóźniły jej przybycie.

W obawie napaści Anglików, d'Estaing nie chciał sił rozdzielać, cała więc ta flota płynęła razem i powoli. W nocy zwijano żagle i zatrzymywano się, gdzie mrok pochwycił. Byron był jeszcze daleko.

W czerwcu stanął admirał francuski u ujścia Delawary, potem popłynął za admirałem Howe, który z flotą swą schronił się w zatoce N. Yorku. Można sobie wystawić radość i otuchę, jaką przyniósł poseł Gerard, stając przed Kongresem jako zwiastun pomocy Francyi...

Anglia na morzu rozwijała całą swą potęgę, wypowiedziawszy wojnę, zajęła posiadłości Francyi, wyspy św. Piotra i Miguelon, inna część flotylli z N. Yorku puściła się, wioząc wojsko na brzegi N. Jersey. D'Estaing pragnął bitwy, ale burze i wichry przeciwne nie dopuściły do walki i odwlokły jej roztrzygnięcie.

Kapitan Ferguson, wylądowawszy w Egg Harbourg, popalił statki amerykańskie, zniszczył magazyny, splądrował sąsiednie warzelnie soli.

Właśnie, w czasie tego napadu, Pułaski stał z ochotnikami świeżo zaciążnymi, niedaleko Egg Harbourg. Anglicy oznajmili Fer-

gusonowi o tym oddziale słabym i odosobnionym... Napaść nocna o mało się nie stała przyczyną klęski strasznej, a dla Pułaskiego sromu, któregoby był nie przeżył.

Szczęściem Francuz Armand, oficer oddziału, zwietrzył wcześnie napad Anglików, a męstwo osobiste Pułaskiego, który jak lew rzucił się na nieprzyjaciela nie spodziewającego się oporu — ocaliło ludzi i honor oddziału.

Wojna ta nieustannych napaści, wylądowań niespodzianych, nocnych wycieczek, podejść, a nadewszystko zniszczenia, pełna z obu stron okrucieństw i mordów — ciągnęła się dalej ze wzrastającą zajadłością.

Cudownie ocalony oddział Pułaskiego, przeznaczony był do armii Lincolna, który, wzmocniwszy się po stratach poniesionych nowemi zaciągami w południowej Karolinie, szedł przeciwko generałowi Prevost.

W pochodzie przez zniszczoną tę prowincyę, którą i Prevost napadał, Pułaski dowiedział się o zagrożonem przez Anglików Charlestown. Dowodził w tej twierdzy przyjaciel jego, generał Mustrie, a milicya Rutledge. Choć nie powołany i bez rozkazu, umyślił się on przedrzeć i przybyć im w odsiecz.

Piękny ten kraj, który przebywali ochotnicy nasi, nosił na sobie ślady najokrutniejszego spustoszenia. Mimo to, lasy otaczające Charlestown, uśmiechały się całym wdziękiem wiosny południa, wonią gardenii i calwii, świeżą zielonością dębów swych i klonów.... W opuszczonych ogrodach kwitły drzewa pomarańczowe i róże okryte wieńcami... Gdzieniegdzie wśród tej zieleni opustoszały domek zawalony był trupami, które padły ofiarą wywołanej rzezi i okrucieństwa zbuntowanychu Murzynów. Czarni, poniszczywszy plantacye po odejściu Anglików, musieli uciekać w lasy, a wielu z nich, zabranych w niewolę, poszło na wyspy Antylskie. Większa część plantacyi i ferm stała zgliszczami i pustką, okropne przedstawiając widoki... Stosy trupów gniły, poszarpane przez zwierzęta dzikie.

Przebywszy lasy, okalające Charlestown, Pułaski dosięgnął twierdzy, której bronili jego przyjaciele. Twierdza główna na Sullivans Island i fort Moultrie naprędce z palów yukki zbudowane, zatrzymały go chwilę, bo ich tu serdecznie przyjmowano. Pułaski, korzystając ze zręczności, ułożył był zasadzkę na Anglików, ale ta przez nieostrożność jednego z oficerów się nie powiodła.

Zabawiwszy tu krótko, szedł dalej oddział dla połączenia się z Lincolnem, przez równie zniszczone okolice.

Toż samo, co spotkali w Karolinie, Anglicy zrobili w Virginii, James, River, gdzie opanowawszy miast kilka, zrabowali je, w perzynę obrócili i uciekli do N. Yorku.

Walka była gorąca — często twierdze i pozycye co kilka dni przechodziły z rąk do rąk, jak Stoney Point — stanowczych jednak następstw te utarczki i wycieczki nie miały.

Oprócz Murzynów, Anglicy użyli także plemion indyjskich przeciw Amerykanom; okrucieństwa tych mściwych tłuszczy stawały się groźnemi, musiano i ich ścigać, odstraszać, a po ucieczce palić i niweczyć ich osady, aby choć grozą powstrzymać na wodzy tego nowego nieprzyjaciela.

D'Estaing, szukając na morzu Anglików, spotkał się wreszcie po wycieczce ku Antyllom i zdobyciu wyspy Ś. Wincentego i Granady z admirałem Byron, ale bój ten nie był rozstrzygającym, acz dla Francuzów dość pomyślnym. Popłynął potem do S. Domingo. Chociaż instrukcye przepisywały mu powrót do Europy, z własnego natchnienia widząc położenie południowych prowincyi, postanowił przyjść im w pomoc.

Armia generała Lincolna, w której się znajdował Pułaski, przeznaczona została do odzyskania twierdzy Savannah w Georgii, którą od ośmiu miesięcy opanowawszy, trzymali Anglicy.

D'Estaing chciał przyczynić się do jej zdobycia. Wypłynąwszy z Cap Francais z dwudziestu okrętami i ośmiu fregatami, na wybrzeżach Georgii napadł na kilka statków angielskich. Z pod Charlestown dano znać Lincolnowi o zbliżeniu się floty francuskiej; pospieszył więc zebrać barki większe i czółna lekkie dla ułatwienia wylądowania Francuzom.

Savannah położoną jest na południowym brzegu rzeki tego nazwiska, na dość wysokiem wzgórzu piaszczystem. Wzgórza podobne (buffs) i piaski otaczają miasto w prostokąt zbudowane, ciągnące się po nad rzeką.

W tym czasie i znacznie później osada składała się z samych drewnianych budowli, opasanych wałami. Twierdza nawet i

jej palisady zbudowane były w większej części z palów yukk, dębów i cedrów, gdyż cegłę musiano sprowadziać z daleka.

Niziny zalane wodą i moczary, na których ryż uprawiano, dzieliły miasto od morza. Od lądu na równinach czarne lasy iglaste opasywały okolicę, smętne trzęsawiska, pokryte cyprysami, wyżej gąszcze liściastych zarośli splecionych, powiązanych lijanami, obfitujących w cuda południowej roślinności... w cedry, dęby, wiązy, klony, magnolie, dzikie pomarańcze, laury i palmy.

Wśród tej okolicy na pół smętnej, wpół rozzielenionej, legły wojska amerykańskie, otaczające twierdzę. Przyszły one tu w lecie wśród nieznośnych upałów, gdy skwar w dolinie piaszczystej był nie do wytrwania, a trzęsawiska ziały po nocach febrami i gorączką.

Kraj dokoła był wyniszczony, plantacye stratowane, ogrody powycinane, pola zbite... ledwie gdzieniegdzie dzikim owocem lub ocalałym patatem, zasianym na przeżywienie Murzynów, odżywić się było można.

Na stronie zachodniej piaszczystego wzgórza znajdowała się twierdza, zajęta przez Anglików.

Dnia 15 sierpnia Lincoln i posiłki francuskie przyciągnęły do stóp fortec.... W twierdzy dowodził Prevost; na owe czasy była ona dosyć silną. Czując się zagrożonym; miał czas dowodzący wysłać rozkaz, aby rozproszone po Georgii siły angielskie spiesznie się zgromadziły, wzmocnić usiłował pozycyę, spędził Murzynów, sypał szańce i poprawiał blokhauzy.

Zbiegów z plantacyi i Indyan, gotowych do posiłkowania Anglikom, zebrało się naprędce do czterech tysięcy, załoga wynosiła, ze trzy, tak, że razem siedm tysięcy mając ku obronie Prevost. liczebnie silniejszym był od wojsk amerykańskich i francuskich,

W pierwszych dniach, gdy nie był jeszcze całkiem osaczony, Prevost, przybyłym parlamentarzom, wzywającym go do poddania się, nie odpowiedział stanowczo, prosił o dwadzieścia cztery do namysłu godziny.

Tymczasem resztę ludzi rozproszonych zdołał do Savanny wprowadzić.

Po upływie rozejmu oświadczył otwarcie, iż poddać się nie myśli i bronić będzie do ostatka.

Musiano więc, przeciwko oczekiwaniu, rozpocząć formalnie oblężenie i podkopy.

We wrześniu, pracując na skwarze, Amerykanie posunęli się o trzysta kroków od szańców angielskich....

Pierwszych dni października (3) rozpoczęto bombardowanie, które trwało dni pięć bez ustanku i miasto obróciło w perzynę, ale Anglicy trzymali się w twierdzy uparcie...

D'Estaing, który się zrazu spodziewal, że oblężenie trwać nie będzie długo, lękając się w powrocie burz jesiennych, gdy i okręta jego stały nieosłonione na morzu, i spóźniona pora zagrażała — naglił o gwałtowniejsze kroki.

Choć więc podkopy ukończone nie były, a wyłomu w murach nie zrobiono żadnego, admirał żądał szturmu.

Lincoln się wahał, inni dowódzcy oddziałów nie byli mu przeciwni, Pułaski z natury swej gorącej, będący za pośpiechem i działaniem stanowczem — sądził także, iż śmiały napad mógł się powieść.

Po upartem bombardowaniu, które zniszczyło miasto, domyślać się było można, że straty i szkody osłabiły odwagę oblężonych i nadwyrężyły mury; niespodziany więc szturm mógł ją dać w ręce Amerykanom.

Napróżno Lincoln chciał jeszcze przeciągnąć oblężenie do ukończenia podkopów i min, któremi część murów wysadzić się spodziewał. D'Estaing był niecierpliwy, pomoc Francyi i jej sztandar ważył na szali... Naówczas jeszcze Francya była tą sługą Bożą, której dzieje godziło się nazwać Gesta Dei per Francos.

Pierwszego października, gdy się jeszcze ważyły rzeczy, a zdania co do szturmu były podzielone, wieczorem wszedł Pułaski do namiotu, w którym Rogowski i Karol spoczywali po całodziennym trudzie... W obozie panowały gorączki, umierali ochotnicy, smutne jakieś przeczucia zdawały się wisieć nad wojskiem znużonem, mimo wesołości ochoczej, niewyczerpanej, hałaśliwej, którą brzmiał sąsiedni kampament francuski. Pułaski, wszedł-

szy, jakby roztargniony, usiadł, nie mówiąc słowa. Karol i Rogowski, którzy, znając go dobrze, z twarzy czytali uczucia, spostrzegli w nim jakąś zmianę, był smutny.

Nie śmiano go pytać, bo w tem usposobieniu wolał milczeć, sądzono, że jakaś przekora w służbie, o którą było nietrudno, zniecierpliwić go musiała.

Karol musiał wyjść dla dopilnowania nocnych przygotowań jazdy. Rogowski sam został z wodzem. Siedział tak długo, dając tylko znaki życia, nareszcie wstał, podszedł i nieśmiało się odezwał:

— Coś nam pan generał nieswój, miałożby co zajść niepomyślnego?

— Nie ma nic — rzekł Pułaski. — Cóż być może, o czembyś nie wiedział.

— Trudno się domyślać, ale to widzę, że coś panu kochanemu jest.

Pułaski wstał i kładąc rękę na ramieniu Rogowskiego, jak był zwykł, szepnął cicho.

— Pamiętasz ty proroctwo księdza Marka?

— Nie wiem które.

— Gdy mi z błogosławieństwem dawał szkaplerze?

Rogowski spojrzał przerażony.

— A cóż się stało?

— Wczoraj musiał mi się sznurek przetrzeć i szkaplerze... no — gdzieś przepadły... Szukałem ich sam, drudzy także... jak niema, tak nie ma. Rozumiesz ty, co to znaczy?

— Ale co znów ma znaczyć — odpowiedział Rogowski — co ma znaczyć! Szkaplerze się znajdą...

— Nie znajdą się — zawołał Pułaski weselej z rodzajem rezygnacyi męskiej — niech się wola Boża stanie. Dzisiaj się u kapelana Francuza wyspowiadałem i na duszy jestem spokojny... Niech się dzieje, co Bóg przeznaczył. Życia mi nie żal — dodał powoli — nie doczekam nic lepszego dla Polski, boli mnie tylko, że was tu tak samych porzucę... otoczonych tą niechętną gawiedzią... Słuchaj, Rogowski, ty sobie jeszcze dasz radę, ale ten biedny Karol.... Pamiętaj, w złym razie, garnijcie się do Kościuszki — on was z tej otchłani wyratuje... Otchłań to w istocie, mnie tu życie obrzydło... tłum... ochotnicy ci... wojsko bez Boga...

rycerze bez wiary... żołnierz rozpasany... Murzyni, Indyanie, Anglicy... z całej kuli ziemskiej zbierane włóczęgi. Jeżeli mnie nie stanie — dodał — nie macie co tu dłużej robić, szkoda was, wracajcie do domu; lepiej siać hreczkę na swoim zagonie, dośćby wam tej włóczęgi.

Rogowski milczał długo.

— Co to o tem mówić, panie generale — dodał w końcu — na co te myśli przypuszczać; jeżeli powrócimy, to razem.

— Kto? ja? ów mniemany królobójca? — uśmiechając się i ruszając ramionami, rzekł generał — dosyć mnie tam spotwarzono! Dla mnie miejsca w Polsce niema... ladajaki ciur bryzgnie mi w oczy owem królobójstwem... to... Nie! nie! czuję, że mi w tym gorącym piasku amerykańskim kości położyć przyjdzie, a zgubione szkaplerze, to niebios przestroga.... Więcem też gotów.

— Szkaplerze! ale ja ich mam dwa — zawołał Rogowski, rozrywając mundur z piersi. — Generale na miłość Bożą, podzielmy się.

Zlekka go ręką odtrącił Pułaski.

— Nigdy w świecie! — rzekł stanowczo — nie chcę, nie mogę cię pozbawić tych tarczy niebieskich... one na piersiach twoich zawieszone zostały i z piersią twoją się zrosły... Nademną — wola Boża.... nieprzełamana.

Rogowskiemu aż się łza zakręciła, udawał, że nie wierzył w szkaplerze, ale mimowolnie uczyniło to na nim wrażenie.

— No, jeśli ginąć, to ginąć... — zawołał — bo ja generała nie odstąpię...

Pułaski go uściskał.

— Uspokój się — rzekł — nikt wyroków niebios nie zmieni. Co ma się stać — musi, nie mówmy o tem... Pamiętaj, że ci Karola powierzam i com ci radził i radzę....

Na tem przerwała się rozmowa, gdyż Karol wszedł z raportem od ułanów... a Pułaski, przybrawszy weselszą twarz, nie dał po sobie poznać, co w sercu nosił.

Pan Maciej był zasępiony.

Następnych dni zaczęło się bombardowanie od lądu i rzeki. Francuzi, spragnieni boju, rzucali się na twierdzę z tą porywczo-

ścią narodowi swemu właściwą, która ich prawdziwymi czyni bohaterami. Lenfant, oficer francuski, kilka razy podkradał się pod palisady drewniane twierdzy, mimo gęstych strzałów, usiłując ją podpalić. Zajmowały się, ale prędko gasły, bo drzewo było stare i przegniłe.

W twierdzy, choć znaku osłabienia nie dawali Anglicy, zbiegowie mówili, że znacznie stracono na duchu.

Ta wiadomość przyczyniła się, zarówno z niecierpliwością d'Estainga, do zdecydowania szturmu... Francuzi byli najpewniejsi zwycięstwa.

Wieczorem dnia 8 października Pułaski wrócił wesół do namiotu z rady wojennej. Oddawna pierwszy raz uśmiechnął się ochoczo do Karola, który stał zasępiony i całując go, spytał:

— Cóż ty, mój drogi Karolku, jakoś osowiało wyglądasz? Czy ci serce nie skacze? nic nie przeczuwasz? nie wiesz?

Karol spojrzał nań zdziwiony, Rogowski także.

— No, to ci powiem na ucho! Jutro jak świt... przypuszczamy szturm, gotuj się więc, bo postanowiłem jutro lub nigdy Francuzom pokazać, co Polacy umieją i popisać się po szlachecku. Już też tego leżenia pod tą psią budą, bo to nie twierdza... dosyć.

— Jakto? wyłomu nie czekając? — spytał Rogowski.

— Wyrąbiemy go pałaszami naszemi — zawołał Pułaski. — Ho! jeszczeby ci się zachciało otwartej bramy do miasta! obejdzie się.

Pan Maciej miał drugie pytanie na ustach, ale się powstrzymał. Karolowi uderzyło serce do boju.

— Wolę, że raz skończymy — zawołał — to obozowanie wśród gorączek i trupów, w tym ścisku, najsilniejszego złamie... bić się, to bić..

— Ale nie z murem — rzekł Rogowski — bo muru głową nie przebijesz...

— No — to głowę o mur roztrzaskasz — dodał Pułaski — zawsze dobrze...

O świcie szturm... na godzinę przededniem ma być wszystko w gotowości.

Noc była dosyć pogodna, nie myślano już o spoczynku, siedli we trzech u namiotu i zadumali się wszyscy. Przed nimi cel ów boju stał na jasnym niebie fort czarny, groźny, milczący...

Dołem paliły się ognie obozowe... W ciszy nocnej słychać było tylko głuchą wrzawę francuskiego wojska u biwaków i szum wezbranej, rzeki, a niekiedy krzyk piskliwy ptactwa wodnego, które wielkiemi stadami z moczarów na rzekę przelatywało. Pułaski, pomilczawszy, zaczął się modlić, Rogowski jął się krzątać około wyekwipowania, Karol chodził i gotował się też na jutro.

Na spoczynek, który ich miał nieco pokrzepić, zostało ledwie godzin parę, legli tak nierozebrani, aby ruszyć za daniem pierwszego znaku.

Wśród najgłębszej ciszy, noc była jeszcze, gdy obóz już powoli poruszać się zaczął. Rozkazy wydawano półgłosem... ognie umyślnie pogaszono, siodłano konie omackiem... regimenta szykowały się w milczeniu posępnem... dowódzcy objeżdżali oddziały.

Sam Lincoln kilka razy przesunął się konno, aby obejrzeć, czy wszystko jest w pogotowiu, największą bowiem wagę przywiązywano do tego szturmu, który miał być stanowczym...

Brało się na brzask, gdy cichy rozkaz ruszania, jak szmer przeleciał szeregi. Pułaskiemu przywiedziono konia, miał siadać, gdy nastręczył się Rogowski, uścisnęli się milczący, rozrzewnieni oba. Karol już był na siodle, generał podał mu rękę, uścisnął ją, zadrżały dłonie, ale słowa do siebie nie powiedzieli.

Chwila przed bitwą jest zawsze godziną uroczystą... W milczeniu ruszyły wojska powoli; niewielka stosunkowo przestrzeń dzieliła je od fortec. Do przypuszczenia ataku obrano część jego, która się zdawała najsłabszą, bastyon zwany Ebenezer na Spring Hill.

Mrok gęsty okrywał okolice, gdy pierwsze działa zagrzmiały, a twierdza, jakby czuwała i była przygotowaną, natychmiast zażywnym ogniem odpowiedziała.

Z gorączką wielką pułki amerykańskie i francuskie rzuciły się przeciwko murom i palisadom; spodziewano się obiedz Anglików nieprzygotowanych, ale czy skutkiem zdrady, czy ostrożności, nieprzyjaciel okazał się gotowym do odporu.

Na czele Francuzów, z męstwem godnem swego narodu, szedł sam admirał d'Estaing, amerykańscy generałowie, nie dając się

ubiedz współzawodnikom, z zapałem wpadli na bastyon. Zdawało się, że temu uraganowi ludzi nic oprzeć się nie zdoła.

Wschodzący poranek oświetlił bitwę zaciętą, okrutną, z obu stron rozżartą jakiemś uczuciem plemiennej nienawiści. Francuskie oddziały miotały się jak burza i po trupach rwały na mury i wały, ale za każdym razem ogień Anglików z wielką stratą ich odpychał, a trupy nowe świadczyły o męstwie, z jakiem szli nieustraszeni...

Pułaski czekał rozkazów, dotąd nie był jeszcze w boju, i już go to niecierpliwiło, gryzł wąsy.

Dzień się robił, gdy zżymnąwszy się z gniewem, spiął konia i pobiegł sam do Lincolna.

W tej chwili prawie z twierdzy, jak chmura nawalna, wysypali się Anglicy, czyniąc zuchwałą wycieczkę.

Chcieli oni słabnący widocznie atak odeprzeć stanowczo wstępnym bojem i czerwony zastęp potoczył się po piaszczystej dolinie.

— Generale — zawołał, podbiegając, Pułaski, który z oka twierdzy nie spuszczał. — To chwila albo żadna, do śmiałego, decydującego kroku! Widzisz lukę otwartą pomiędzy temi dwiema bateryami... to droga, którą ja z moim oddziałem wpadnę pomiędzy twierdzę a Anglików i odetnę ich od niej. Któż wie, może mi się udać nawet wpaść do miasta! do twierdzy! Już raz dziś na okopach nieprzyjacielskich powiewała francuska chorągiew. Sam ją widziałem, ale te siarczyste Francuziki zdobyć umieją, utrzymać nie potrafią.

Lincolna, który był bardzo sposępniał, gorąca mowa Pułaskiego odżywiła.

— Wycieczka to niebezpieczna — rzekł — możesz wszystkich ludzi stracić... baterye we dwa ognie cię wezmą, Anglicy się zwrócą na was....

— Padnę, jak piorun... — zawołał, podnosząc szablę, Pułaski — rozkazuj, pozwól... a twierdza nasza!

— Czyń, jak chcesz... niech Bóg błogosławi — ale...

Reszty już nie słyszał Pułaski, dał koniowi ostrogę i popędził do oddziału. Stanął przed frontem jego z szablą obnażoną, ognisty, natchniony, jakby już opromieniony tryumfem.

— Bracia! — zawołał — za mną... idziemy w ogień, ale my zdobędziemy twierdzę... za mną! komu honor miły!

Oddział, z którym szedł Pułaski, składał się cały z dwóchset koni, ale w istocie bardzo dobrego ochotnika. Oficerowie, jak Pluta, Rogowski, Armand Francuz, przyjaciel Pułaskiego i przybyły później Jerzmanowski, wszyscy się odznaczali odwagą i krwią zimną w boju...

Widok walki rozpoczętej bez nich, godzina bezczynności podnieciła i w żołnierzu męstwo do najwyższego stopnia. Zazdrościli Francuzom ich nieustraszonej odwagi i nie raz, ale po dwakroć zatkniętego na okopach sztandaru.

Gdy głos Pułaskiego dał się słyszeć, cały oddział, jednym duchem natchniony, jako mąż jeden rzucił się wskazaną drogą. Wódz leciał przodem ....

Ale drogą nazwać nie godziło się przesmyku, którym się puścili... była to wąska luka wśród okopów, rowów, zawalona trupami, zryta kulami, przez którą przedzierać się było potrzeba. Oddział szczupły jazdy georgijskiej rzucił się za Pułaskim w tropy.

Zrozumieli wszyscy, widząc Anglików wycieczkę, że myślą Pułaskiego było po za niemi wedrzeć się do twierdzy i miasta.

Są chwile w życiu i boju, które spotęgowują człowieka; czuje on w sobie naówczas siłę niezłomną, piersią by gruchotał mury, szablą płatał olbrzymy, tchemby obalał szeregi.

Rozum nim już nie kieruje, głowa się pali, serce bije, szał ogarnia — a śmierć niknie z oczów, jak gdyby męstwo dawało nieśmiertelność.

Z taką wściekłością i żądzą, w szalonym pędzie cwałem rzucili się ochotnicy ku twierdzy — oddział toczył się ściśnięty, zbity, na czele z podniesioną szablą Pułaski, tuż obok, osłaniając go, Pluta i Rogowski. Chwila tego prądu niepohamowanego była niestety, krótką. Z bastyonu zagrzmiały działa, ostatni jeźdźcy wparli się na poprzedzających, cisnąc i prąc jakby na żelazną zaporę... bo pierwszy szereg został wstrzymany nagle... Pułki zmieszały się w jeden kłąb, w jedną nieforemną masę, ludzie i konie... trupy i żywi.

Na przedzie kolumny wódz leżał obalony z koniem... a wkoło mrowie Anglików...

Rogowski, który go nie opuścił, i Karol, oba odcinali się już napastnikom pod kul gradem.

Pułaski, oparty na łokciu, wskazywał jeszcze jedną ręką twier-

dzę, gdy drugą cisnął pierś, z której buchała krew. Nogę miał urwaną od działowej kuli.

Rogowski schylał się, aby go podźwignąć, gdy karabinowa kula z okopów zryła mu czaszkę i obaliła z konia, zbroczonego obok wodza. Wstrzymany w ciasnem przejściu oddział, dogodnym był celem wystrzałów, kule sypały się gęsto, niektórzy z ochotników tył podali, mała garść skupiła się około Pułaskiego, który głosem osłabłym wołał jeszcze:

— Forward!

Ale już zewsząd ustępowały wojska pod ogniem fortec, Francuzi nawet z rannym kilkakroć admirałem d'Estaing cofać się zaczynali.

Karol z Jerzmanowskim, Armandem i kilku ludźmi, porwawszy rannego śmiertelnie Pułaskiego i bezprzytomnego Rogowskiego, pod zasłoną pozostałej kupki, która ich otoczyła... zwrócili się nazad ku obozowi...

Pochód to był żałobny ludzi bezprzytomnych, zgniecionych, idących machinalnie... gdzie ich już wiódł tylko instynkt zachowawczy. W milczeniu rzucali po sobie obłąkanemi oczyma; gniew, znękanie, żal walczyły w ich piersiach ~ sobą.

Pułaski dogorywał... doniesiono go żywym jeszcze do namiotu i złożono na tem łożu, z którego już nie miał powstać. Chwilami omdlewał całkiem, to zrywał się, chwytał za piersi, rękę podnosił i niezrozumiałemi wyrazy zdawał się jeszcze chcieć zagrzewać do walki.

Najbliżsi nawet już słów jego zrozumieć nie mogli... wkrótce też siły opuszczać go zaczęły, myśl plątać dziwnie... widocznem było konanie ciężkie człowieka, który ma jeszcze w sobie całą życia potęgę i nie chce poddać się śmierci.... ale ciało poszarpane stygło, krew ubiegała.

Resztka mocy przeszła w gorączkę i marzenie... jakby senne...

Dwa ciała zbroczone leżały obok siebie tam, gdzie przed chwilą, razem gotowali się do bitwy Pułaski i Rogowski... Karol, klęcząc u łoża wodza, trzymał drżącą dłoń i starał się ostatnie zrozumieć rozkazy.....

Ale dziwnie się one mieszały, wylatując z ust niedokończone... bez związku... Była w nich Polska, wspomnienia i imiona drogich

osób... myśli niepochwycone, obrazy jednem słowem napiętnowane... przerywane modlitwą i oburzeniem, żalem i miłością.

Francuski chirurg, wezwany do rannego, przyszedł tylko, aby wszelką odebrać nadzieję.

Pierś była strzaskana, noga — została na pobojowisku, krew nie przestawała upływać.

Resztka już tylko życia błyskała chwilami, otwierały się konwulsyjnie powieki nad oczyma, coraz bardziej zamglonemi, ściskały się ręce niespokojnie... aż po tych wybuchach gorączkowych, pasującej się ze zgonem duszy, nadeszło odrętwienie śmierci, ciało stygło... oddech ustał... żółta bladość, okrywająca twarz, oznajmiła Karolowi, że wódz jego, brat, przyjaciel, opiekun — nie żył.

Takim był zgon tego człowieka, któremu przeznaczenie dało najszlachetniejszą duszę na to tylko, by cierpiała niewdzięczność od swoich, potwarze... a potem bóle i tułactwa.

Gdy Rogowski, ranny ciężko kulą, która mu z czaszki skórę zdarła, po kilku godzinach nieprzytomności przyszedł znów do zmysłów — po twarzach Karola i otaczających go towarzyszów poznał, że ukochany wódz już nie żył.

Żałoba oblokła ich wszystkich... czuli się bez niego sierotami; bez niego Ameryka, wojna, sława, przyszłość świetna nic ich nie obchodziła. Rogowski płakał, jak dziecko, Karol stał, jak posąg, zmartwiały i znękany.

Żal powszechny w całym obozie ulżył może ich strapieniu przekonaniem, że umiano ocenić wielkiego męża. Lincoln, Wayne, Washington ciężko byli dotknięci stratą człowieka, którego energia za pułk często starczyła, podwajała męstwo w żołnierzu, obudzała współzawodnictwo, była bodźcem i przykładem...

Do smutku powszechnego przyczyniało się też niepowodzenie tego szturmu, który na wielkie naraził ich straty. D'Estaing, sam ranny, nie doliczył się siedmiuset ludzi, czterechset padło z wojsk Lincoln'a. W kilka dni potem admirał, zmuszony odpłynąć, począł czynić przygotowania do powrotu i Amerykanie ustąpili z pod Savanny.

Od dnia tego, w którym ciało bohatera złożyć musiano w amer-

rykańskich piaskach na brzegach Savanny, Rogowski i Karol myśleli tylko o powrocie. Pierwszego rana czyniła na długo niezdolnym do boju, drugi tłómaczył się sam przed sobą, że wraca, spełniając rozkaz Pułaskiego i dla opieki nad rannym.... W początkach jednak, nie śmiejąc się przyznać do myśli wspólnej... czekali pierwszej zręczności, aby się wzajem wybadać. Rogowskiemu łatwiej było począć, mówił o ranie, o potrzebie spoczynku, o tęsknocie do kraju; Pluta nadspodziewanie mu zawtórował zgodnie, a gdy raz spostrzegli, iż jednego pragną, wykonanie przyspieszono.

Pluta w imieniu obu udał się do Lincolna. Próżno zachęcał ich do pozostania, obiecując im złote góry... Karol składał się raną Macieja i niepodobieństwem opuszczenia go. Podali się więc razem o uwolnienie. Szło tylko o to, ażeby nadejść mogło, nimby flota admirała d'Estaing odpłynęła. Dla pośpiechu Pluta sam, z jednym przewodnikiem, puszczami i błotami przedarł się do głównej kwatery Washingtona.... On mu pierwszy przyniósł smutne wieści o klęsce pod Savannah i Pułaskiego zgonie... prawdziwie bohaterskim.

Chociaż i Washington i Kościuszko, którego Karol tam znalazł, starali się ich powstrzymać — postanowienie było niezłomne; odebrali uwolnienia i Pluta, pożegnawszy przyjaznych sobie, odprowadzony przez Kościuszkę, pospieszał dniem i nocą, ażeby stanąć na czas dla zabrania się na okręt francuski... Mieli oni obietnicę admirała d'Estaing, iż przy jego boku podróż do Europy odbyć będą mogli.

Dnia dwudziestego ósmego października byli już na pokładzie statku, który wiatr pędził od nowego świata napowrót do starej Europy, do Polski.

Tak dla Karola Pluty skończyła się pierwsza epoka jego życia.

Powracał z siłami młodości, w pełni życia, przecierpiawszy wiele, zahartowany, a w sercu tak świeży, młody, dziewiczy, jak był wyjechał ze Skały — wracał ze wszystkiemi swemi marzeniami, spotęgowanemi rycerskiemi przygody, które mu się jak sen piękny wydawały.

Błogosławieństwo matki, opieka Boża, wśród tego świata pełnego zepsucia, płochości, zgorszeń, wszystkiego, co palne materyały młodości podżegać może — zachowały go nieświadomym złego, głuchym na nie, obojętnym na to, co z poezyą duszy jego nie dźwięczało zgodnie i harmonijnie....

Gdy stopą dotknął tego pokładu, po nad którym powiewała bandera Francyi, zdawało mu się, że za chwilę już... będzie w ojczyźnie... rosła niecierpliwość, żądza widzenia swoich, przyciśnięcia do piersi stęsknionej rodziny... krewnych, przyjaciół... znajomych i nieznajomych a braci. Przed oczyma bez ustanku przesuwały się dziecinne, młodociane wspomnienia, obrazy tej Skały, którą był pewien tak zastać, jak ją owego pamiętnego odjechał wieczora.

Te ciężkie lata tułactwa zdawały mu się godziną jedną.

Nie przypuszczał nawet, ażeby nieubłagany czas wykruszył co z tego marzenia... zniszczył tę cudną całość rodzinnego dworu... Nic go nie przygotowywało do zawodu.... serce nie przeczuwało... myśl roiła tylko radość powrotu i serdeczne, rozrzewnione przyjęcie!

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

CZĘSC DRUGA.

KSIĘGA VII.

Powrót.

W Karola duszy malował się smętny dwór w Skale, nie przypuszczał tylko, aźeby wypadki coś z tej całości, z gromadki tej oderwać, odmienić w niej miały...

Tam dla niego zawsze dziaduś siedział w swojem krześle, ojciec się z laską przechadzał, matka modliła i Ewusia ku niemu patrzała okienkiem.

Spodziewał się, jeśli nie szczęścia tam, bo gdzież ono mogło być — to przynajmniej wytchnienia, spoczynku. Myślał nieraz o tem, jak im przy wieczornym kominku Pułaskiego i swoje przygody opowiadać będzie.

Wracał chciwy i spragniony powietrza domowego, pełen marzeń młodych...

Po drodze, ani na swe listy odpowiedzi, ani twarzy znajomej, ani znaku życia nie pochwycił....

Dziwny traf zdawał się usuwać z tej drogi wszystkich i wszystko, coby mu wieść, pociechę przynieść mogło.

Spieszył się tem więcej, tem goręcej, że głucha cisza ta podwajała w nim niecierpliwość ogiądania ukochanych... a myślą leciał przed siebie... malował sobie obraz powrotu, usta mu się śmiały, oczy zachodziły łzą.

Biegł już tak w końcu, że nawykły do trudu, do pochodów, do wypraw awanturniczych i wojennych wycieczek, czuł się jednak złamanym... Może nie tyle tą nagłą podróżą bez odpoczynku, co burzą i nawałnością, rozbijającą mu piersi....

Tęsknota i niepokój rosły z każdą chwilą. Z razu rozpytywał nieznajomych, chwytał się ludzi, których twarze mu coś przypominały.... łakomy wieści, wzywał ją — potem, nie otrzymawszy, nic, nie dowiedziawszy się o swoich... biegł już co prędzej, nie badając nikogo.

Była noc wiosenna, ale piękniejsza nad tę młodą jeszcze i nierozkwitłą, w której Skałę opuścił. Lasy obchodziły wesele kwiatów i woni, czeremchy uginały się białemi kity ku ziemi, brzozy zdawały się schylać, aby balsamem zapachów zrosić rodzicielki łono... na polach rozścielały się szyte złotem kobierce, łąki zasiane pasy różnobarwnemi ubierały się każda inaczej, wszystko razem składało się na uroczysty poranek roku, który mówił wonią swą, przepełniającą powietrze, o młodości, o szczęściu....

Wszystko wyglądało godowo, pięknie, a po amerykańskich puszczach i stepach tak skromnie, miło a swojo. Karol naglił, a pędził konie, chciał już dojechać choć nocą i rozmodlony u progu błogosławionego doczekać brzasku szczęśliwego dnia powrotu... Wystawiał sobie, jak dziaduś wyjdzie może w ganek od ogrodu i jak niespodzianie on padnie przed nim na kolana...

Drogi były mu dobrze znane, nie zapomniał nic, witał się z drzewami, z krzyżami pochylonemi od starości, z każdym omszonym kamieniem, który zasnął u gościńca przed wieki.

I dziwił się sobie, że mimo lat tylu, tak dobrze wszystko pamiętał, i cieszył się, że tu się tak nic nie zmieniło. Zerwany na chwilę pomiędzy nim a światem tym związek serdeczny na nowo ich łączył... Uroczyste było powitanie — z ulicy starej ujrzał już w dali dwór w Skale... Świeciło się w nim jeszcze, ale nie tak jakoś, jak bywało we dnie powszednie; blaski lały się z okien wszystkich, jasno było we drzwiach nawet.

Może kto zdradził powrót Karola i czekano go na progu, jak marnotrawnego syna z powitalną ucztą.!?...

Może... gubił się w domysłach. — Znając owo ciche a jedno-

stajne życie w Skale, trudno było odgadnąć znaczenie tych spóźnionych świateł nocnych... tego rzęsistego blasku... Karol się zadumał... serce mu bić zaczęło żywiej, konie się wlokły powoli znużone, wyskoczył z wozu, nie mogąc wytrzymać i — poszedł.

Jeszcze nigdy nie biegł tak w życiu, a tak się nie czuł lekkim..

W dziedzińcu... gwarno było i tłumno... pełno i ludzi i koni... Przez okna szeroko roztwarte, z za przezroczystych firanek blask bije i słychać muzykę wesołą, a śmiechy, jak ptaszki, wylatują na ciemne podwórze...

Co to było... nie śmiał już spytać nikogo, jak stał w podróżnej, zawalanej, opylonej odzieży... tak postąpił niepoznany i niepostrzeżony do progu.

Sień zastał sług i ludu pełną... w niej stągwie z piwem dla czeladzi, która je wychylała kuflami, śmiejąc się i swarząc...

Ani jednej znajomej twarzy, ani domowych, ani sługi... świat jakiś nowy, inny... cudzy.

Karol rozglądał się, strwożył, poczuwszy się obcym i wśród tej wrzawy i hałasu stanął zmartwiały na progu.

Wszystko, co go otaczało, inne było, niż przed laty... Młode twarze, inna mowa... wesele jakieś szalone... osłupiały sparł się o ścianę, poglądając w koło zdumiony... w głowie mu się plątało, nie śmiał jeszcze, jak widmo z grobu wstające, wnijść i nagle im się ukazać w pośród tej jakieś uczty, która dla niego była zgotowaną.

Kiedy niekiedy — przez ramy drzwi otwartych przesuwały się przed nim pary strojne... lica rozjaśnione... usta w perłowych uśmiechach, głowy w zielonych wiankach.

Ale gdzież starzy! gdzie swoi? — gdzie dziaduś, gdzie ojciec i matka, czemu nie widać nikogo?... sami obcy... sami przybysze.

Drżał już, dopiero tu przy dźwięku tej muzyki ochoczej, blady przestrach i zgroza rzeczywistości ścisnęły mu serce...

Stał tak wryty, niemy, drętwiejący, gdy krzyk go rozbudził, poczuł rękę zimną, która chwyciła dłoń jego, rękę drżącą, starą, kościstą... a głos bojaźliwy obił się o jego uszy.

— Karol... to Karol! z tamtego świata... O Boże... Czy mnie oczy mylą!

Mimo lat, które go przygniotły, przychodzień poznał w tym człowieku, który się doń zbliżył, rotmistrza Porembę... Ostatni, co go przed laty w Skale pożegnał, dziwnem zrządzeniem pierwszy witał tułacza... w progu — niegdyś rodzicielskiego domu.

I przez chwilę, mierząc się oczyma, milczeli... ale dłoń rotmistrza coraz mocniej drżała... a ciągnęła.

— Chodź! na Boga! chodź pan! chodź niepostrzeżony... idźmy stąd....

— Dokąd? po co? — zapytał Karol — ja muszę...

— Pan musisz naprzód pójść za mną... chodź na miłość Bożą, a dowiesz się, dlaczego.

Wśród tego tłoku nikt na nich nie zważał, przecisnęli się przez tłum ciekawych, który się u drzwi gromadził... Karol nie wiedział już jak szedł, zimny pot oblewał mu skronie, strach serce ogarmniał... a jednak jeszcze tłómaczył sobie natarczywość Poremby, jego łzawe oczy tem, że starych... nie godziło się tak nagłem ukazaniem się przerazić...

Znać listów jego nie poodbierali i nikt się powrotu nie spodziewał.

Tak znaleźli się, przecisnąwszy, w dziedzińcu, i milcząc szli, mijając wozy gwarne gości, aż do ciemniej oficyny, stojącej na uboczu w czarnych drzewach. Tu słowiki tylko nuciły pustkom...

Rotmistrz Poremba nie poprowadził go do dawnego swojego mieszkania, ale do malutkiej narożnej izdebki, dawniej niezamieszkałego składu starych sprzętów... Teraz z jednego do drugiego a coraz lichszego spychany mieszkania... tu się znać dostał stary rezydent, sprzęt złamany, nimby go wyrzucono na podwórze lub wywieziono na cmentarz...

Po świeżych woniach nocy majowej wiała z tego kąta stęchlizna nędzy, starości i śmierci... Całym sprzętem dworzanina na łasce gracyalisty... było łóżko pokryte wełnianą kołdrą starganą i pusta niezamknięta skrzynia... nie było jej po co zamykać... Na stołku drewnianym stał dzbanek, w kącie oparta o mur, wyszczerbiona misa... Na stole mały łojowy ogarek zapalił Po-

remba.... potem jedyne siedzenie starłszy połą, w milczeniu podsunął je Karolowi.

Stali, patrzyli na siebie łzy połykając i ust nie śmiejąc otworzyć. Ten pytać się obawiał, ów nie chciał począć opowiadania... płakał tylko i coraz łzę ocierał...

Nie był to już dawny ów rotmistrz, wesół, wygadany, rubaszny rezydent, najedzony i swobodny... pewien, że go zawsze powitają uśmiechem... ale okruch człowieka o głodzie oczekującego śmierci.... lękający się, aby go na śmiecie nie wyrzucono dla lokajskiej fantazyi.

Gdy Karola zobaczył i poznał, stał w sieni w szarej kapocie ze sługami zmieszany... czyhając, by dostać może z nimi razem szklankę kwaśnego piwa...

— Na Boga, kochany rotmistrzu! — zawołał wreszcie Karol — ocierając pot z czoła, a może łzę z oka — dlaczego mnie wstrzymałeś? po coś mnie tu przyprowadził? Co się tam dzieje? jaka to uczta? co to za ludzie?

— Pan więc nic a nic nie wiesz? — grobowo, powoli — spoglądając nań z obawą, zapytał Poremba. — Jakto? pan... nic nie wiesz?

— Ależ ja powracam z drugiego świata! — rzekł Karol — ja się spieszyłem, pędziłem, leciałem... nikogom nie widział, nie mówiłem z nikim... nie wiem nic...

— Nic? — zawołał rotmistrz, łamiąc ręce — on nic nie wie?! Głowa mu ciężko na piersi opadła.

— Ale mówże, co się stało? — krzyczał przerażony Karol.

Na to pytanie długie tylko milczenie grobowe złowrogo mu odpowiedziało... Stary dworak, przyjaciel rodziny i domu... powoli zsunął się na podłogę, ukląkł, zasłonił oczy, płakał i modlił się, ręce złożywszy... Była to wskazówka dla Karola, że i on powinien był rozpocząć od modlitwy za umarłych, że śmierć — przeszła tędy.

Ozwał się w nim wszakże w chwili grozy żołnierz, nawykły liczyć się z mogiłą... zbliżył się i rzekł:

— Rotmistrzu, druhu stary, jam wojak, jak i ty... nie oszczędzaj mnie, nie dziel tej goryczy na krople, jeśli ją mam wypić

— podaj całą... Zabijże mnie! mniejsza o życie... Mów! kogo mi z nich zabraknie?

— Wszystkich!! wszystkich — ponuro, sucho, wstając odparł Poremba — słyszysz mnie pan i rozumiesz... wszystkich... Tak, nie ma tu nikogo z tych, których zostawiłeś... śmierć kosiła i dokosiła zagona do szczętu...? A kto żyw został, tego, jak mnie, trudno poznać....

— Dziad? — spytał Karol.

— Dziad, ojciec, matka... — mówił rotmistrz — wszyscy poszli tam, skąd nikt nie powraca... na cmentarz! Dziad i matka żyli najdłużej... Matka zasnęła ostatnia, płakała, na was czekając... nie doczekawszy... umarła...

Karol stał długo milczący...

— A ona? — spytał nieśmiało, cicho, prawie wyrzucając sobie, że czynił to pytanie — a ona... Ewa?

— Ewa! Ewa! — odpowiedział rotmistrz, podnosząc na niego oczy posępne — zwyczajnie Ewa... panie,... Poszła za mąż, za dalekiego krewniaka waszego, dla imienia... za pana Wacława Plutę...Wy byliście dla nas już umarli... Myśleli wszyscy, głoszono u nas za najpewniejsze, iż okręt, co was wiózł do Ameryki, rozbił się gdzieś w czasie burzy pod San Domingo... i że tylko pan Pułaski się uratował... Oni się modlili... i poumierali...

Karol sparł głowę na dłoniach i zapłakał...

— A! trzeba mi było umrzeć raczej tam, niż na ten cmentarz powracać... — rzekł w duchu.

Cios był za silny, za gwałtowny, by go zabił, obalił tylko na chwilę i odurzył, życie wróciło... ale rażone tym paraliżem powolnym serca, co niszczy, nęka, rozchodzi się po człowieku, jak trucizna, i codzień mu odejmuje potrosze siły, po resztce wiary...

———

— Wszyscy poumierali! Ewa poszła za mąż... — snuło się po głowie Karola... — W progu ojcowizny nie było go komu powitać... ostatni niedobitek śmierci, obcy człek podał dłoń widmu, niewcześnie wyszłego z grobu...

Nie było po co wracać do tańcującego dworu.

Karol milczał, milczał i rotmistrz, bo powiedział już wszystko...

— Cóż to za uczta? co za tany?—spytał Karol, z boleścią, słuchając dolatującej go muzyki tanecznej a sercem witając starego znajomego słowika, co w tych samych śpiewał krzakach... jak przed laty.

— U nas, u nas to teraz rzecz zwyczajna... codzienna! — odparł rotmistrz z goryczą... bawim się! bawim. Pan Wacław bawić się lubi... Pani Wacławowa nauczyła się do męża stosować... Dla niej to może zagłusza głos grobów... Może potrzebuje oszaleć trochę, aby zapomnieć, że nie jest tak szczęśliwą, jak się spodziewała.

Z goryczą Karol, podstąpiwszy do okna, uśmiechnął się, patrząc na światła rzęsiste... przez które cieniami przesuwały mu się strojne, tańczące pary... jak przejrzyste duchy...

— Otóż co mnie czekało! — zawołał, rękami tuląc czoło rozpalone. Swawola! A! przyszedłem niepotrzebnie, opłakany, pogrzebiony, pochowany, natrętny. Na ojcowiznie, gdziem lata przeżył dziecinne, miejsca dla mnie nie ma... grób tylko na cmentarzu! Po co wstawać z umarłych!!!

Domyślił się Karol tego, czego mu rotmistrz nie śmiał dopowiedzieć...

Tak, na cmentarzu w Skale stał wistocie postawiony przez matkę grobowiec, z imieniem Karola, z pamiątką drogiego syna. z prośbą o modlitwę za duszę rozbitka, którego ocean pochłonął...

W tym grobie — w istocie dziś leżał pogrzebiony duch Karola... pocóż ciało wracało do życia?

— Co tu począć? co tu radzić? — mruczał rotmistrz Poremba, chodząc po izdebce cichej... O mój Boże! Dobrze, że choć ten żyje... że plemię poczciwe nie wyginęło do szczętu. Czegoż ja się głupi durzę i szaleję. Toć Bogu za to dziękować.

Karol zapytał po chwili..:

— Powiedz mi... więc Ewa... Ewa dobrowolnie poszła za niego... za tego Wacława... ona?

— Alboż... co? — spytał Poremba zdumiony, który nic się nie zdawał domyślać...

— Ale ja ją kochałem... a oną... ona...

— Ona kochała pana Wacława... to pewna... — przerwał rotmistrz... — Jejmość się nasza do ostatka przeciwiła temu, jakby miała złe przeczucia... ale w końcu, gdy panna Ewelina le-

żała u nóg jej, aby ją wydano za Wacława... musiało się stać iak chciała....

I ma — dodał rotmistrz — czego sobie życzyła...

Starego, zdrętwiałego rotmistrza gorycz w tej chwili poić się zdawała i rozmarzać... chodził wielkiemi krokami po izdebce, tłukąc się po niej jak w klatce... lice mu płonęło, łzy ciekły z oczów, mówił coraz żywiej i goręcej:

— O! nie będę ci już taił... bo się nie godzi i nie potrzeba...bo to jest przez samego Boga wyznaczona uroczysta chwila... przybyłeś pan nie na groby tylko... grób rzecz święta... a po za nim nadzieja... ale na urągowisko grobom.

Dawnoż to przysypaliśmy ostatnią garścią piasku naszą dobrodziejkę? Ledwie kilkanaście upłynęło miesięcy, jak pobożną panią ludzie tam niezbożni wpędzili... aby waszego nie doczekała powrotu, a już szaleje i weseli się dwór, który być powinien w żałobie do dziś po nieboszczce...

Alboś pan nie znał waszego krewniaka Wacława, albo też znałeś go mało. Nie bardzo się tu on pokazywać łubił za waszych czasów, bo nie miał co robić... Dopiero im chętka przyszła wśliznąć się tu... później, gdy sobie rozgłosem o śmierci waszej drogę utorowali... wozili gazetki i listy, aż was zabili nareszcie... Pole tedy stało puste... przyjechali siać, aby zbierać. Ojciec pierwszy za tą wieścią poszedł na tamten świat, zabity, milczący... położył głowę, nie narzekając, aby drugim serca nie odejmować. Dziad jeszcze stał na kresach, modląc się, głuchy, zmartwiały... ale i on na ostatek zachwiał się... Jednego ranka długo się nie budził, nie wołał; aż weszliśmy zobaczyć, co się dzieje, znaleźliśmy go... jak myślicie?

Klęczącym, ze złożonemi rękami przed obrazem Matki Boskiej, głowa tylko zsunęła mu się na stare dłonie i tak usnął na modlitwie.

Została tedy jedna matka z wypłakanemi oczyma... łzy jej wzrok odjęły, oślepła... Wodziła ją panna Ewelina... na nią spłynęła wszystka miłość i wszelkie nadzieje...

Zjawił się w porę pstry ptaszek z warszawskich klatek, ze słodkim swym śpiewem... w klatkach dużo pono pierza zostawił, ale szczebiotania się nauczył za to.

Łatwo mu przyszło opanować serca kobiece, piękny, dowcipny, wesoły, zręczny pochlebca, w sercu kobiety nigdy być pró-

żno nie może, ledwie żal nieco przytępiony, przychodzi pragnienie... Stara jejmość, choć ślepa, nie chciała pana Wacława... czuła w nim marnotrawcę, bezdusznego a chytrego szaleńca... ale cóż! dziecko chciało, dziecko opanował! Płakała, do nóg padała, o jedyne szczęście prosząc... a już dziś ona wie, jaka ją dola czeka. Niedługo potrzeba było czekać odczarowania, przyszło niemal nazajutrz po ślubie... A teraz... dorzucił rotmistrz rozpaczliwie... nic... Skała już nie wasza i Ewa nie wasza...

Mówił, Karol go już nie słuchał... gorzało w nim i paliło się.

Obudził się żołnierz, nawykły do walki... mimo zaklęć rotmistrza przerażonego, który go chciał powstrzymać, poszedł z płomieniem w oczach wprost do dworu...

Przez tłum służby, ściśnięty u drzwi od sieni otwartych i zaglądający ciekawie, przebił się podróżny, którego nikt nie poznawał, ale nikt wstrzymywać nie śmiał. Choć w sukni odartej, miał rycerską i pańską postawę, w chodzie tym czuć było, że po ojców stąpał ziemi. W tym przybyszu, idącym tak śmiało, rozpychającym ludzi, zdradzało coś, że miał prawo stanąć na tym progu i wykrzykiem bólu przerwać tę oszalałą wesołość. — Wesele! wesele to na grobach nieporosłych.

Rozstąpił się tłum przed dziwną ową postacią... Karol szedł rozpychał ludzi, a przekroczywszy próg sali... założył ręce na piersi... skrzyżował je... uśmiechając się — stanął. —

Pośrodkiem sali szedł polski taniec, nie ów, co poważnie, powoli zimną jeszcze rozpoczyna zabawę, ledwie nie uroczystym marszem... niby powracających z boju rycerzy... ale może ostatni, pijany, końcowy... mężczyzni z kielichami w dłoni, kobiety w rumieńcach znużenia i rozmarzenia pół omdlałe a drżące... W ustach mężczyzn okrzyki, ręce, w których szarpie się bijąca krew, ledwie utrzymają drobne tanecznic dłonie... polski wije się jak wąż po sali i zawraca i idzie i skończyć nie chce i nie umie się już pomieścić w ciasnych ścianach dworu... Zachciewa mu się wybiedz drzwiami, obszedłszy komnatę, wyskoczyć bodaj oknem

do ogrodu, zabrać muzykę i ruszyć hej... w świat... parami... powitać noc majową pod cieniem drzew rozwoniałych, lub brzaski poranku i brylantowe łzy rosy na kwiatach...

Tak szedł długim wężem ów polski....

Gdy pierwsza para już się do progu zbliżyła, gdy niecierpliwy tancerz wołał — Z drogi! na natręta, aby dalej ruszyć z tanem w świat... gdy goniący go tancerze cisną się i kupią.... niespodziewaną wstrzymani zaporą... — milczenie straszne jak śmierć wionęło po ucztujących... stanęli wryci....

Na przedzie szła gospodyni domu z uśmiechem na ustach, a łzą w oku, starościna Ewelina z panem szambelanem Parysem; za nią gospodarz, piękny jak Antinous, mrużył oczkami do wojewodziny Potockiej... dalej był tłum niepośledni, wszystko wielmożne i jasne, urodzone wysoko, gdzieniegdzie na piersiach błyszczała wstęga i gwiazda... a we wszystkich oczach radość i ochota... Hu! ha!

Niebieskie, łzawe oczy Eweliny podniosły się do góry, utkwiły w twarzy nieznanej a znajomej.... zaszły mgłą, krzyk się dał słyszeć... mdły, słaby.... gospodyni schyliła się na ramię tancerza swego... posłoniła... pobladła jak trup... i upadła....

Wszystkich oczy strzeliły razem na to widmo...

Na progu stał Karol z założonemi na piersiach rękami i śmiał się dziko i szydersko....

Jeszcze raz krzyk ostry, urwany jakby z piersi konającego rozległ się i przerwał muzykę... Ustały skrzypki, gwar i szmery... milczenie... potem szept cichy... a w progu wciąż stoi to widmo blade i patrzy a patrzy dziko.

— Któż to jest? co to znaczy!? wołają... Gospodarz wyrwał się od wojewodziny przelękłej, przypadł gniewny, rozwścieczony.

— Co to za włóczęga? — zawołał, podnosząc pięść — kto go tu wpuścił? cóż za jeden...!? Służba! precz mi z nim!

— Cicho! Ja ci powiem chyba precz... precz, przybłędo z cudzego gniazda — odkrzyknął Karol z dumą i gniewem... — Jestem Karol Płuta... dom to mój, jestem na ojcowskim progu... a ty!?

To mówiąc, tyłem się do fircyka odwrócił i już nań nie patrzał, pokłonił się oblegającym go dokoła, którzy się z uszanowaniem rozstępowali.

— Jestem Karol Pluta! — powtórzył donośnym głosem...

Tych wyrazów dosyć było...

Tak się zakończył ów do zbytku wesoły wieczór w Skale, w rocznicę ślubu starosty... Ewelina, otarłszy oczy, długo słowa wyrzec nie mogła... Goście przerażeni, poczęli się śpiesznie wysuwać, wołając o konie.., pijana służba biegła do powozów.... kto mógł uchodził przed widmem i domem, który ono nawiedziło.

W godzinę potem dwór był pusty... w dziedzińcu tylko na brzask śpiewały głośniej jeszcze słowiki... Ewelina leżała chora... Wacław miotał się po pokoju... a na stołku w oficynie z głową w dłoniach siedział Karol sam zadumany... pół żywy...

W progu stał rotmistrz i płakał, a drzemał razem...

Wstał nareszcie ranek złocisty... oprzytomnieli z nim ludzie... chora zwlekła się z pościeli do kolebki dziecka.

Starosta głęboko rozmyślał; nie był to człowiek, któregoby jedno uderzenie w piersi dobiło, pierś miał stalową, a serce... dawno umarłe...

Pojmował on, że w podobnych okolicznościach byłby prawie tak samo sobie postąpił, ale Amerykanina miał za nadto dobrze wychowanego człowieka.., by się do położenia zastosować nie umiał... rachował na jego rycerskiego ducha i wspaniałomyślność żołnierską, iż się da lada czem zaspokoić i odprawić... Na ostatek Wacław domyślał się czegoś w jego sercu dla Ewusi, bo w dawnem mieszkaniu Karola widział jej cyfry na oknie i ścianach... nie rozpaczał więc wcale, poszedł na palcach do żony... Ewa była blada, drżąca, strwożona...

— Słuchaj starościno — rzekł z uśmiechem — ja wiem, że on się kochał w tobie... Cóż mi tam!! Teraz pani jedna możesz go ugłaskać i ułagodzić, tego lwa amerykańskiego, aby nas, wyrzuciwszy stąd precz, z torbami nie puścił.... Ja zamknę oczy, uszy, wszystko od pani zależy... bądź czułą, bądź bardzo czułą... wspomnienia młodości są drogie...

Wskazał na kolebkę dziecięcia.

— Przyszłość twojego dziecka może dziś zależy od słodkiego uśmiechu, od czułego ściśnienia ręki... — dodał — a co do mnie... proszę być pewną, że tego za złe nie wezmę...

Kobieta spojrzała na niego, wzdrygnęła się milcząca i pochyliła ku dziecięciu. Starosta śmiał się, ruszając ramionami; był dobrej, Stanisławowskiej szkoły...

— Rozumiesz mnie pani — mruknął — będę ślepym i głuchym... Bądź co bądź, Skały mu oddać nie możemy... bo nie mamy już nic prócz tej... odłużonej Skały... Słyszysz pani?

Ewelina zdawała się nic nie widzieć i nie słyszeć, płakała nad losem dziecięcia, nad nikczemnością tego człowieka, który po chwili, ruszywszy ramionami pogardliwie, rzucił drzwiami i wyszedł.

Wacław, jak i Karol, był dziecięcem wieku... ale nie rodzili się bliźniętami... Były to dwa sprzeczne duchy na jednych wykołysane rękach, aby pamięć braterskiej nienawiści Abla i Kaina nie wygasała na ziemi.

Karol przedstawiał w sobie, co odradzający się wiek miał męstwa i szlachetności; Wacław, co konająca epoka miała zgnilizny, egoizmu i niewiary. W Karolu wszystko było prawdą, serce otworem; w Wacławie wszystko udaniem, pychą, dowcipem, szyderstwem w piersi zamkniętej a pustej. Karol dałby był życie za miłość świętą, dla przekonań, za ludzi... Wacław wszystkichby chętnie poświęcił sobie, wydrwiwał tych nawet, których niby kochał, bo mu na coś byli potrzebni, pogańsko powtarzając: Carpe diem.

Ale Karol był szorstki, niemal dziki, często milczący i niezbadany, gdy Wacław, zawsze słodki, serdeczny, miły, wciskający się gwałtem do serca, smaczny, jak ocukrowana trucizna, i pozornie otwarty.

Pod powierzchownością Antinousa krył się charakter Nerona, nawykłego uśmiechem zbywać najtrudniejsze życia zadania... bo wiedział, że chytrością i podstępem je złamie. Zręczny, zabiegliwy... myślał o sobie, sprowadzał wszystko do własnego interesu, świat dlań był w nim — reszta zdawała mu się stworzoną na służbę u pieszczonego Wacia.

Oczarował on zrazu Ewelinę — chociaż serce matki go przeczuło... Woń jakaś zdradzała węża, wzdrygała się, ilekroć się do

niej przybliżał... Potem na chwilę umiał ją rozbroić. ale instynkt wracał i ostrzegał, że pod tą maską kryła się poczwara.

Wacław, jak większa część ludzi tego wieku, lubił żyć, a na ołtarzu życia rozpasanego świat, ludzi, żonę, wiarę, poczciwość by był spalił.

Miał wszystkie namiętności, a żadnego hamulca, oprócz pewnego poszanowania form świata...

Ewelina go pokochała, olśnił ją dowcipem, pięknością, oczarował słowy, oszukał pozorami namiętnej miłości... ale złudzenie jej trwało krótko... Zaledwie odeszli od ołtarza.... poznała go... przestraszyła się... odrętwiała... Prosiła Boga, aby to było omyłką, ale z każdym dniem spadały z niego obsłony... żywy dla obcych... dla niej coraz zimniejszym stawał się trupem..

Ocuciła się jednego dnia w objęciach potwora, którego lękała się tylko, bo kochać go nie mogła.... bo wzgarda wstąpiła w serce... ale musiała być posłuszną i iść okuta łańcuchem, bo była matką.

Pomiędzy nią a nim miłość zgasła prędko, został z jednej strony strach i obrzydzenie, z drugiej obojętność szyderska...

Wacławowi też nie szło bynajmniej o żonę, ani o dziecię... tylko o Skałę....

W sercu Karola stara miłość wstała wskrzeszona... rozbudziła się raczej, bo nigdy kochać jej nie przestał. Obraz jej poszedł z nim i powrócił. — Ze łzawych oczów Eweliny wyczytał, że nie była szczęśliwą... a pragnął, aby choć ona jedna wzięła dziedzictwo szczęścia po umarłych...

Gdy Wacław uprzejmy, serdeczny, uniżony aż do spodlenia, przyszedł wyciągając dłoń, tuląc go do serca, prosząc o przebaczenie, widział w nim już nie przywłaszczyciela, ale męża tej, którą pragnął widzieć spokojną i szczęśliwą...

Chwilami nawet Wacław mu się wydawał miłym, obałamucał go szczerością udaną... to, co o nim mówił rotmistrz, gotów był posądzić o przesadę... Skwaszony, biedny starzec wszystko mógł widzieć czarno...

Karol chciał być omamionym i mamić się dawał... pragnął,

by ofiar tyle na coś się przecież przydało, a do nowych był gotowym....

Poremba, patrząc na ich stosunek, na nagłe ułagodzenie Karola—osłupiał, nie rozumiał nic — lecz po cóż miał już usta otwierać? Poszedł do swej izdebki, siadł i powiedział sobie, że się już światu na nic nie przyda.

We dworze obchodzono uroczyście powrót amerykańskiego bohatera, towarzysza Pułaskiego... i Lafayetta. Wacław wysilał się na przyjęcia, na okazy czułości, na pochlebstwa, sądząc, że niemi kupi prostodusznego żołnierza. Ewelina szła jak ofiara, gdzie kazano, milcząca i zrezygnowana... oczy jej patrzały niekiedy na Karola z jakiemś politowaniem... usta nie śmiały się odezwać. Nie umiała kłamać, a prawda była tak gorzką... i los dziecka... i przyszłość cała... i groźby męża... milczeć kazały..

Drugiego, czy trzeciego dnia Karol już mówił w duchu do siebie:

— Po co mi ta ziemia? na co to mienie? dlaczego mam im pokój zakłócać? Czyż cmentarz i groby nie pozostaną mojemi na zawsze? któż mi tam płakać i modlić się zabroni?

Milczał wszakże Karol... Wacław go podbić usiłował, ale się jeszcze lękał; z obu stron badano się wzajemnie, ostrożnie....

Starosta wiedział jedno, iż mu się w życiu nigdy nie zdarzyło być odepchniętym, jeśli kogo pozyskać sobie postanowił...

Któż wie, co myślała Ewa? chodziła jak nieprzytomna, była nieszczęśliwa, ale patrzała w kolebkę, z której się uśmiechała nadzieja... na Karola z boleścią, na Wacława ze strachem... Obawiała się wszystkiego odeń bo wiedziała, że go największa podłość nie ustraszy.

Wacław niepoczciwie rachował, że w dwojgu dawnych kochankach odezwie się miłość ich dziecinna, a on na niej skorzysta...

Ustępował więc z drogi, uśmiechając się szydersko, udając, że nic nie widzi, a pragnąc napróżno dopatrzeć się czegoś. Życzył serdecznie prawie, aby go zdradzono, bo przez to stałby się panem żony i zawadzającego krewniaka.

Ale ta rachuba, na nikczemnem pojęciu namiętności oparta, zawiodła go. Inaczej sobie wyobrażał Karola, człowiekiem słabym i do siebie podobnym, inaczej Ewę, próżną, namiętną i płochym niewiastom wielkiego świata równą.

Tylko przyjacielskiemi objawy uczuć dla Karola, który takiej

chytrości przypuścić nie umiał, całkiem go potrafił uwieść i rozbroić. Karol miał go już za stworzenie poczciwe, ale słabe... Strona ohydna tego charakteru pozostała dlań zakrytą.

Napróżno czasem rotmistrz wieczorami, pocichu (bo się lękał podsłuchania) usiłował Karola objaśnić, uczynić ostrożniejszym i zerwać z jego oczów zasłonę; tułacz ściskał go, dziękował mu i uśmiechając się — zamykał rozmowę.

— Kochany Porembo! nie mam ci tego za złe, iż tak czarno widzisz wszystko i tak surowo sądzisz o ludziach... byłeś i jesteś nieszczęśliwym. Lecz wierzaj mi... ludzie złymi bywają, lecz nie są; nikt nie może być zepsutym ostatecznie, ani cnotliwym idealnie... słabi jesteśmy.

— Gdybyż tylko słabi, mości dobrodzieju! — wzdychał rotmistrz... — dajmy już temu pokój, pan jesteś za uczciwy, abyś ten brud zrozumiał... ja tylko mówię z obowiązku, boć strzeżonego Pan Bóg strzeże.

I tak się zwykle rozmowy ich kończyły.

Przyjmowano Karola uroczyście. Wacław nie rozumiał serdeczności objawionej inaczej, tylko biesiadą, kielichem, przy tłumie świadków, w gwarze pijanym... Na urodziny więc Karola, które jakoś wkrótce przypadły, sproszono gości z najdalszego sąsiedztwa... ile ich dwór mógł pomieścić. Wacław spodziewał się pod wpływem rozczulenia, jakie miała wywołać biesiada huczna, przy pomocy zręcznych przyjaciół swych wymódz na Karolu zrzeczenie się spadku po rodzicach. Nie domyślał się, że Karol już był w duszy postanowił odstąpić Skałę.

Orle jego oko, zajrzawszy w głąb żywota tych dwojga na pozór szczęśliwych małżonków, przeczuwało co najmniej prędką majątkową ruinę, czuło despotyzm mężowski, który w każdej chwili mógł Ewę zmusić do ofiar... chciał więc swych praw wyrzec się na dziecię... aby majątek ocalić. — Tego nie przewidywał Wacław.... ani się mógł opierać.

Aż do tego dnia, pomimo zabiegów nader zręcznych starosty, który żonę z Karolem zbliżyć pragnął, samych ich zostawiał, zmuszał niejako do długich rozmów, a Ewę burczał za jej obojętność i niezręczność, Karol się do niej poufalej nie zbliżył.

Był nadto czystym, szlachetnym, kochał zbyt szczerze i święcie, aby szukał kradzionego, upadającego szczęścia.

Najczęściej, zszedłszy się z sobą, poglądali, przemówili kilka słów obojętnych i rozbiegali umyślnie, unikając dłuższej rozmowy. Ewa nie śmiała i nie mogła mówić, bo musiałaby kłamać, on — nie umiał ani być chłodnym, ani udawać obojętności długo. Samo ułożenie postaci już go wiele kosztowało, a usta utrzymać na wodzy... było mu tak trudno.

Dnie Karolowi upływały na wędrówkach po tym dworze, w którym ślady dziada, ojca, matki pozacierało lekceważenie; Karol odgrzebywał z pod gruzów tę Pompeję młodości i napawał się goryczą, myśląc o drogich zmarłych swoich.

Wacław próżno do jego serca kołatał, budził w nim politowanie tylko, byli z sobą grzecznie a zimno, ale nie otwarła się pierś tułacza dla tego szczebiotliwego stworzenia innych wyobrażeń i świata. Z Porembą, tylko chadzali na długich gawędach, rotmistrz płakiwał, starość dała mu temperament łzawy, Karol wzdychał. Rzadko usposobienie weselsze rozjaśniło im lica.

Niektórzy starzy przyjaciele rodziny, na wieść o powrocie Karola zbiegli się do Skały... im także boleśnie było widzieć to miejsce, gdzie niegdyś owo orle gniazdo leżało, obrócone na klatkę wróbli rozpustnych.

Na wielką ową uroczystość urodzin Karola, mimo odpraszań jego i wymówek, wezwano całe sąsiedztwo, dalsi goście w wigilią już zjeżdżać się zaczęli....

Wacław głównie rachował na pośrednictwo krewnego swego, pana kasztelana... człeka wytartego w świecie, z gębą wyparzoną a uczciwością prawniczą, która umie zawsze obrócić sprawę wszelką, jak wypada z interesu — a potem łataną zgodę zalać kieliszkiem, toastem i zapieczętować uściskami... Kasztelan uchodził za sławnego pojednawcę. Potrzeba było kończyć co rychlej, aby wpływ starych przyjaciół rodziny Karola nie podziałał nań i nie zmusił go do upomnienia się o Skałę... Na Ewę też jak najsilniej nalegał mąż, aby dawnego swego miłośnika ujęła i zaklęła na przyszłość swego dziecięcia, by ich nie gubił.

Najwięcej zawsze jeszcze licząc na żonę, sam ją prawie rzucając w objęcia Karola, zmusił do ostatniej rozmowy... Wprowadził do ogrodu, odstąpił samych i zmieszanych rzucił w tem

miejscu właśnie, gdzie niegdyś matka swem przybyciem przerwała wyznanie Karola. Oboje stali pomieszani i milczący. Karol ze zwykłą sobie powagą rycerza przywiązywał do tych wspomnień prawie religijne poszanowanie; były to czyste i święte uczucia... przypominał sobie czas, miejsce wzruszyło go, że ich tu los po latach tylu w tak różnem położeniu — sprowadził znowu. Ewa oczy miała łzawe, a była, jak zawsze, onym posągiem milczenia, co duszę kryje w marmurze...

— O mój Boże! — zawołał nareszcie Karol pod wrażeniem przypomnień — jakże losy nasze zmieniły się dziwnie od tych lat, kiedyśmy tu w tem miejscu się żegnali? Przypominasz pani sobie?

— Pamiętam — odpowiedziała cicho Ewa — ten wieczór, gdyś mi pan tu oznajmił, że wyjeżdżasz.

— Od tego wieczoru — mówił Karol wzruszony — Bóg świadek, w sercu mojem nic się nie zmieniło, nazbierało się tylko goryczy — piołuny porosły na grobach.

— A! gdybym przynajmniej was — dodał — którą dziś siostrą nazwać tylko mogę, widział szczęśliwą...?

Ewa na niego oczy podniosła, w oczach tych stały łzy, to była odpowiedź cała... Obejrzała się potem bojaźliwie... jakby się podsłuchaną być lękała.

— Jestem szczęśliwą... — wyrzekła z łkaniem w głosie... niedosłyszanym prawie cichym szmerem — jestem szczęśliwą... mam dziecię, mam nadzieję...

— Tak, masz, siostro, przyszłość — dodał Karol — nie chcę się wiązać niczem, ani gospodarstwem, ani mieniem... ani zbytniem przywiązaniem do zagona i roli... do miejsc, w którychbym miękł i rozłzawiać się musiał... Pobyt w Skale byłby mi niezdrowym... — kończył, spoglądając na Ewę, która drżała... — dlatego proszę cię, siostro, oświadcz odemnie mężowi... iż Skalę odstąpię dla waszego dziecięcia... da mi tylko tyle, bym nie umarł z głodu... co zechce i jak mu będzie dogodniej... Tu... w Skale, nazbytby mi się krwawiło serce, wyżyćbym nie potrafił...

Powiedział to, jakby ich o łaskę prosił. Ewa zrozumiała dobrze, iż czyniąc wielką ofiarę, nie chciał nawet okazać, że ją zrobił, wzięła go za rękę i z uczuciem, z przejęciem, ze łzami schyliła się, aby te rycerskie ucałować dłonie, upokorzona szlachetnością jego...

Jakże małym wydawał się jej Wacław przy tym człowieku!

Chwila to była straszna dla wojaka, co przeciw kulom szedł śmiało... gdy uczuł usta jej dotykające ręki i dwie łzy gorące, które na nią upadły. Zmieszał się, nogi pod nim zadrgały, chciał upaść przed nią na kolana, pochwycić ją, uścisnąć... uciec... ale męska poczciwa dusza zwyciężyła straszną pokusę... Pochylił się tylko drżący, pocałował ją w rękę i odskoczył, oczy zakrywając dłońmi.

Nie widział nic, świat mu zaszedł ciemnością... największą ofiarę spełnił, odepchnął ją w chwili, gdy życie byłby dał za ten uścisk, który mu się błagająco... narzucał.

Poczciwy rycerz starych czasów szanował małżeństwo, czystość istoty, którą ukochał, jej spokój — chciał sam z tej próby ognia wynijść białym i nieskalanym...

— Ewo, siostro — rzekł poważnie — bądź szczęśliwą... dotrwamy oboje w próbie życia... do końca... jak poczciwe dzieci tego świętego gniazda powinny. Wiem, co ty cierpisz... ty czujesz, co ja mam w piersi... Bóg sprawiedliwy. Jeśli ci kiedy dłoń przyjaciela stanie się potrzebną... ozwij się do mnie... przybędę... to jedno, o co cię proszę... W chwili ciężkiej, od której niech Bóg cię uchowa... masz brata.., co życie da za ciebie... Jeśli ty lub dziecię twoje zapotrzebujecie obrońcy — przeciw komukolwiekbądź... macie go i mieć będziecie we mnie...

— A teraz — rzekł — chodźmy....

Ewa spojrzała nań z za łez, szczęśliwsza....

— A! tyś wielki! — rzekła po cichu, jam ciebie była niegodną.

Za krzakami stojący Wacław ruszył ramionami....

Przyszli tak już z przerwaną rozmową pod ganek dworu...

Tu, siedząc za stołem z butelkami węgrzyna, przygotował się kasztelan na uwikłanie i skonwinkowanie Karola swą wymową, sofizmatami, argumentami... ani on, ani Wacław nie wiedzieli, nie domyślali się, że owo wielkie zadanie samo w sercu poczciwego człowieka już się ofiarą rozwiązało.

Stary wyga, kasztelan, spostrzegł odrazu, iż miał do czynienia nie z pospolitym człowiekiem, na któregoby lada jakie starczyły

sidła... Od dwóch słów poczuł, iż to mur nie do przebicia, jeśli się sam dobrowolnie nie otworzy.

Wacław w ogrodzie nie dosłyszał nic... przypatrzył się tylko niemej scenie między Ewą a bratem; zostawiwszy więc Karola w rękach pana kasztelana, pobiegł za żoną, aby się co rychlej dowiedzieć, co zrobiła.... Ale Ewa poruszona do głębi, odepchnęła go zimnem milczeniem. Chlubić się tem łatwem zwycięstwem znajdowała ohydnem; obudziło się w niéj uczucie szlachetne... wahała się, czy może przyjąć ofiarę Karola... Ona teraz chciała iść spróbować ubóstwa, pracy — skosztować tego szczęścia dumnego, jakie daje dobrowolnie poświęcenie...

Mąż, widząc ją smutną, nie mogąc wymódz na niej słowa, nagniewał się, ruszył ramionami i wychodząc plunął, rzucając jej wzgardliwe połajanie...

Tymczasem Wacław po swojemu osaczał nieprzyjaciela, zastawiał sidła, gromadził swoich adherentów, zabiegał... a Karol, który to wszystko widział, śmiał się w duszy. Głaskano go jak dzikie zwierzę, którego gniew był straszny... patrzano mu w oczy, chwytano wyrazy, aby z nich coś wnioskować... gubiono się w domysłach, Karol milczał.

Pomiędzy przybyłemi gośćmi jedno z pocześniejszych miejsc teraz zajmował w Skale dawny pokorny w niej rezydent, garbus ów, komornik Krzywaczyński, którego dziwne losu zrządzenie nagle po wyjeździe Karola dźwignęło z ubóstwa i wyniosło na dostojeństwo jakiegoś podkomorzego...

Krzywaczyński, który poróżniwszy się z całą swoją rodziną, jadł łaskawy chleb Plutów, nieustannie i tu waśniąc się ze wszystkimi... starając się, a nie mogąc ożenić... otrzymał wcale niespodzianie znaczne dobra po siostrze, zmarłej bezdzietnie.

Ta zmiana szczęśliwa losu niewieleby może odmieniła człowieka, gdyby wkrótce potem przeszło sześćdziesiątletni garbus nie nie ożenił się....

Szczęśliwe pożycie domowe, majątek, z nim zawsze idąca względność i szacunek ludzi, którzy wprzódy nielitościwie się z nim obchodzili, o tyle wpłynęły na podkomorzego, iż złośliwość i dowcip uczyniły znośnemi... Otwarto się w nim długo zamknięte serce... Pamięć pobytu w domu Plutów była mu drogą, a wdzięcz-

ność dla rodziny nieograniczoną... ale wzgarda dla Wacława i niechęć dla niego równie silną... Z tą się bynajmniej nie taił.

Nie bywał on nigdy w Skale; zaproszony wszakże, przyjechał dla Karola... Chciał on w początku ściągnąć go do siebie, ofiarował mu dom swój, majątek, usługi... ale żołnierz z serdecznem podziękowaniem odrzucił wszystko....

Podkomorzy przyjechał, aby, jak mówił, dopilnować sprawy...

— To człowiek szlachetny, jak mało — mówił głośno — a ma do czynienia z łotrem... nie dam go pokrzywdzić, bo się tam gotuje jakieś łajdactwo... Jeśli złe nieuniknione, bo to człek zręczny i ma po sobie całą zgraję pieczeniarzy... no, to im przynajmniej prawdą w oczy plunę, abym na sumieniu nie miał, żem puścił grabież i krzywdę milczeniem...

Z takiem postanowieniem przybył garbus do Skały milczący, zimny, ale straszny. Wszyscy, nawet kasztelan, języka niepowstrzymanego obawiali się... to też sadzono go na pierwszem miejscu, a skakano niezmiernie, aby sobie pozyskać. Ale to były próżne zabiegi, bo Krzywaczyńskiego pochlebstwa niecierpliwiły, nie jednały... spluwał, gdy mu grzeczności prawiono, przypominając sobie te czasy, gdy ubogi odpychany był i wyśmiewany nielitościwie. Teraz on czuł się w obowiązku nielitowania nad nikim...

Zobaczywszy powracającego z ogrodu Karola, podkomorzy wstał zaraz, pilno mu było rozmówić się z nim poufnie, wziął go pod rękę i napowrót wprowadził w cienistą ulicę...

— Dobrodzieju mój — rzekł — bądź ze mną szczerym, jako żem starym sługą domu waszego.... Staję uzbrojonyna obronę waszą, choćby do szabel przyjść miało... Powiedzcie mi... co zamierzacie... kto tu pan? co ma być dalej? Juściż odbierzecie Skałę?

Niema dziwu, że rodzina, mając was za umarłego, oddała majątek temu przybłędzie, urwisowi, z pozwoleniem... którego dla imienia za dziecko przybrano... a który, między nami mówiąc, już część cudzej fortuny przemachał... ależ pan jesteś prawym dziedzicem... pozostaje im tylko związać manatki i ruszyć sobie w świat szczęśliwie...

— Kochany podkomorzy — odpowiedział, uśmiechając się Karol — raczcie mnie cierpliwie posłuchać... ja się na to z mojego stanowiska zapatruję inaczej. Wstępując do konfederatów, uczyniłem ślub... Jestto jakby ślub zakonny, który zrywa wszystkie

węzły ziemskie... Bóg je sam zresztą wolą swoją potargał... Postawiła mi matka grobowiec na cmentarzu i ja się też za cywilnie umarłego uważam... Zatem nie dziedziczę, nie chcę nic...

— Alebyś chyba oszalał — zawołał rozpaczliwie podkomorzy — to fantazya dzika i dla kogo... dla tego, z pozwoleniem, trutnia, który jutro to przepuści!

— Majątek oddam dziecięciu Ewy! — rzekł Karol.

Podkomorzy spojrzał nań.

— Czekaj pan, nie spiesz się, namyśl — odpowiedział — młody jesteś, ożenić się możesz i powinieneś... fortuna dziadowska, rzecz święta, rzucać się jéj nie godzi... to fideikomis, a nie dorobkiewiczowskie mienie...

— Moja fortuna — odparł Karol zimno — to ta szabla saracenka, którą mi dziad oddał... tej nie odstąpię nikomu.

Co się tyczy Skały, kochany, stary przyjacielu, rzecz postanowiona... a ja jestem uparty...

Podkomorzy za rękę go chwycił gwałtownie.

— Panie Karolu... zlituj się! tak się nie godzi...

— Oddaję dziecku, nie Wacławowi...

— Wszystko to jedno, jeżeli Skała nie będzie waszą, człowiek ten wychowa następcę na obraz i podobieństwo swoje... A tobie, tobie, dziedzicowi prawemu, iść w świat o kiju...

— O szabli — przerwał, uśmiechając się Karol — to rzecz nieuchronna, niezmienna, postanowiona.

Krzywaczyński ręce załamał...

— Żebyż tego byli warci! — mruknął — ale mówże, co, jak... myślisz... jużci o żebraninie, na rezydencyę nie pójdziesz!... Jabym ci własnego odstąpił domu.

— Znajdę kąt... — odparł Karol. — Rodzice oddali Skałę im, niech ona przy ich dziecięciu zostanie, pogrobową wolę szanuję. Bóg chciał widocznie, bym niczem związanym nie był... Dadzą mi co... zechcą, co można, abym skromnie miał z czego wyżyć... pójdę, zaszyję się gdzieś w kąt, w lasy, będę czekał chwil lepszych.

Podkomorzy westchnął.

— Zaklinam cię — rzekł — namyśl się... abyś potem nie żałował... to farmazon!

— Ale nie jemu wszakże oddaję Skałę, tylko synowi Ewy... — rzekł Karol — a to, kochany podkomorzy, tak jakby się już stało, nieodwołane postanowienie. O to was tylko proszę, jeśli

można — widzę, że kasztelana wysadził Wacław do traktowania ze mną tej sprawy — oszczędźcie mi przykrej gadaniny, bądźcie moim pośrednikiem pełnomocnym... Nie wymagajcie od nich wiele... co można... bylebym miał za co wziąć dzierżawę gdzieś, żeby pod cudzym dachem nie mieszkać... Spuszczam się na was zupełnie...

— Wolałbym, żebyście do tego kogo innego wybrali — rzekł podkomorzy — nie wiem, jak wykrztuszę to zrzeczenie przeciw przekonaniu... Gdyby mieli kroplę wstydu, tegoby ani wymagali, ani przyjęli...

— Kochany podkomorzy, stało się, a od ciebie teraz zależy wytargować dla mnie, chleba, choćby suchego kawałek...

Ścisnął go za rękę.

— Jeśli ty się nie podejmiesz... będzie gorzej — dodał.

— A juściż muszę, niema rady... — odpowiedział Krzywaczyński — ale wolałbym Żydowi w piecu palić, niż z nimi do czynienia mieć w tej sprawie.

Nazajutrz obchodzono świetnie imieniny Karola, ale jego czoło dnia tego chmurniejsze było, niż poprzednich... Niecierpliwiła go ta uczta, goście, tłum ciekawy, użyty wreszcie środek ten pozyskania sobie serca, uwłaczający temu, którego miał ująć. Uśmiechał się gorzko z tego sposobu, ad captandam benevolentiam (z celem pozyskania dobrodziejstw) wymyślonego. Przy obiedzie, posadzony koło Ewy, siedział, jak widmo nieme, bo patrzył na tych, których mu tu brakło, na cienie dziada, matki, ojca i dawnej swej Ewusi z rumieńcem na twarzy i włosami zaplecionemi na ramionach. Napróżno Wacław wesołość się wysilał, podsycać się ją starał mnogiemi kielichami, prosił gości, aby nie dali zadumywać się solenizanwi... im więcej oni szaleli, tem Karol posępniejszy był, bardziej ponury, czarniejszy.

Pod koniec obiadu wszyscy doń przyszli z kielichami...

— Zdrowie! zdrowie! niech żyje nasz amerykański bohater, przyjaciel Pułaskiego... zdrowie pana Karola...!

— Nie! — zagrzmiał, powstając, silnym głosem wyzwany — nie, panowie... Dziś wesołość jest zbrodnią, kielich trucizną, uczta każda stypą! myśmy w żałobie...

Cisza, jak mak siał, długa, ciężka przeszła po tym kielichu.

Wacław był zawstydzony, uczta przerwana, gorączkowa wesołość płochych ludzi obumarła... Starzy otarli łzy, wszyscy usiedli w milczeniu, Krzywaczyński za kolano go uścisnął.

— Z przeproszeniem dostojnego naszego rycerza — rzekł, powoli podnosząc się, a raczej kielich do góry wzniósłszy, bo sam ze swoim garbem ledwie nad stół wychodził — za pozwoleniem, ja, mimo protestacyi, wnoszę jeszcze jeden toast... nasz uroczysty, wielki, zamykający każdą ucztę przypomnieniem obowiązku:

Kochajmy się!

Tak... ale kochajmy się miłością pobożną dzieci... złóżmy na ołtarzu niesnaski, swary, miłości własne, urazy... bądźmy braćmi!

A wreszcie — weselej zakończył podkomorzy — kochajmy się, choćby dlatego, że któż nas kochać będzie, jeśli sami się tego nie podejmiemy....

Poklaśnięto toastowi i tak prędzej, niż rachowano, skończyła się biesiada.

Krotochwilni goście Wacława poczuli, że konfederat z tego poważnego, godnego tonu, jakim przemówił, sprowadzić nie zdołają. Starosta, któremu się nie powiodło, widocznie był chmurny, obawiał się...

Nie rozmarszczył się, aż nazajutrz dopiero, gdy Krzywaczyński, dawszy ten dzień rozmysłom, poszedł do kasztelana i objawił mu, że jest upoważniony do poufnego naradzenia się z nim o układy i odstąpienie Skały.

Kasztelan, który nie wiedział, jak zagaić interesa, porwał się i uściskał garbusa, oświadczając gotowość i zgodę na wszystko... Krzywaczyński, zręcznie bardzo wystawiwszy wielkość ofiary, żądał od przeciwnej strony warunków. Kasztelan chciał wybadać wprzód, co też oni żądać mogą. Z przebiegłością dwóch starych lisów, obsypując się grzecznościami, potnieli do południa, nie mogąc nic wyssać z siebie. Wacław zaglądał zdala, nie mieszając się, bo mu kasztelan zakazał.

Przyszło nareszcie do tego, że podkomorzy oświadczył, iż Karol Skałę odstępuje synowi pani Wacławowej. Napróżno kasztelan przedstawić się starał, iż to uwłaczało staroście, starościnie, że krzyżowało ich interesa... Krzywaczyński dołożył verbum

nobile (słowo szlacheckie,) iż inaczej być nie może. Przeszli następnie do oznaczenia sumy odstępnego, a tu znowu oświadczył uroczyście umocowny, iż ta gotówka natychmiast przy sporządzeniu aktu zapłaconą być musi. Drugi ten orzech do zgryzienia ciężki, gdy się nie dał zgnieść, ni odrzucić —przystano i na to.

Garbus rzekł na ostatku: — Sądząc z tego, jak pan kasztelan ostro stajesz w obronie swego krewnego, możnaby myśleć, że istotnie obrabiamy tu interes sporny... Interesu zaś nie ma żadnego, czynimy ofiarę dobrowolną, warunki nasze przyjmiecie — dobrze, nie? jak wola... Dlatego to przypominam — dodał — iż o odstępne targować się nie myślę wcale... dacie je, przyjmiemy, nie możecie, zostaniemy przy Skale...

Tak zastraszony pan kasztelan, uściskał znów podkomorzego, począł od przedstawienia mu nader ciężkich czasów, prosił o wyrozumiałość... zmiękczał... ale wreszcie, gdy suma wcale nie przesadzona, stu tysięcy złotych, wyrzeczoną została... choć mruczał, przystać na nią musiał.

Zgodzono się na wszystko... znaleźli krewni kredyt dla jaknajśpieszniejszego spłacenia Karolowi... i formalny akt ustępstwa na syna starosty podpisanym został. Tułacz wymówił tylko dla siebie portrety familijne, kilka pamiątek po dziadusiu, ojcu i matce, trochę koni ze stadniny, trochę rupieci starych, pordzewiałych od łez i potu... misiurek i zbroi.

Wacław pozbywał się tego niepotrzebnego mu sprzętu, z uśmiechem człowieka, który lepszą cząstkę przy sobie zatrzymuje... oddawał wszystko chętnie, byle Skała przy nim została.

Gdy tak ułożyło się wszystko, Karol oświadczył, iż wyjedzie natychmiast; Krzywaczyński prawie u nóg mu leżąc, wymógł, że u niego wziął dzierżawę majątek na Wołyniu, w Łuckim powiecie, w którym on od czasu, jak go po siostrze odziedziczył — nie był ni razu. Karol, ułożywszy się z nim, pragnął co najrychlej oddalić się z tych miejsc, zerwać ze wspomnieniami, rozpocząć życie czynne, surowe... pragnął pożegnać Ewę i nie patrzeć dłużej na uśmiechniętego Wacława...

Starosta był do ostatka grzeczny, ale od podpisania aktu miewał pewną minkę szyderską, protektorską... która żołnierzowi nie smakowała.

Nie śmiejąc ani sobie, ani kasztelanowi przypisywać tak szczęśliwego końca wypadków, nie będąc pewnym, czy to był winien żonie, nie umiejąc sobie wytłómaczyć Karola, Wacław radby się go był już pozbyć z domu. Powinszowania dobrych przyjaciół, dziwiących się, iż tak cudownie wyrwać mu się udało z niebezpieczeństwa, napełniały go jakąś goryczą i niecierpliwiły. — Był prawie upokorzony.

Nadeszła wigilia wyjazdu.

Karol wszedł do rotmistrza Poręby, który wzdychał, drepcząc po swej izdebce.

— No, stary druhu — rzekł — a cóż się nie domyślasz nic? widzę, że ani się zabierasz pakować! Może ci brak sił, ochoty i determinacyi, aby siąść na wóz i jechać ze mną do Sarnowa?

Rotmistrz rozczulony przypadł mu do kolan.

— A! mój ty dobry, anielski Karolku — pozwól mi się tak nazwać na ten raz... czyż tybyś chciał wziąć sobie na kark takiego niedołęgę... a wyrwać mnie z tego.... piekła?

— Widzisz, po to przychodzę, abym cię gwałtem stąd porwał...

— A! Bóg-że ci zapłać! — ręce do nieba podnosząc, zawołał Poremba i zalewając się łzami — dobroczyńcą jesteś... a ja ci... długo już ciężarem nie będę...

Po tej radości wybuchu stanął rotmistrz zadumany...

— Jadę, jadę — rzekł wpół sam do siebie — chociaż... tyle się tu lat przebyło! człek wrosnął... ciężko się wyrwać... ale z wami! na kraj świata!

I znów za kolana uścisnął Karola. — Widać było, że walczył z sobą, chwytał swe ubogie łachmany stare, poczynał pakować i znów porzucał. Przypomniał sobie, że buty były u szewca, że mu ktoś winien dwa złote... a doma go niema... drapał się w głowę. Karol uśmiechając się, ofiarował nowe buty i spłatę za wierzyciela.

— Ale bo to... widzisz panie — mówił rotmistrz — tuby już należało stare kości położyć... a ja wam będę ciężarem. Gdzie mi już jaka nadzieja zaświta!! co mi po kilku dniach swobodniejszych, kiedy je rdza tęsknoty jeść będzie....

Przewidując te walki, Karol nie odszedł, dopóki stanowczo go nie skłonił do wyboru.

— Kochany rotmistrzu — dokończył — kiedy ja mogę opuścić Skałe, powinieneś i ty to, choćby dla mnie uczynić, aby mi

mniej tęskno było... będziemy ją sobie w Sarnowie wzajem przypominali.

Wieczorem przyszło pożegnać Wacława. Odwiódł go Karol na stronę, przybierając postawę surową a poważną.

— Kochany kuzynie — rzekł — pochlebiam sobie, żeście mnie już trochę poznali. Sposobność mieliście ku temu. — Mam do was prośbę jedną... Oddaję wam Ewę w opiekę... starajcie się, by była szczęśliwą... jestem jej bratem, zastępuję rodziców i rodzinę całą...Prawa czuwania nad jej losem nie wyrzekłem się i nie wyrzekę.... Pomnijcie... że mogę was kiedyś spytać o rachunek.

Starosta zmieszał się i oburzył nieco.

— Ale skądże wątpliwość o jej szczęściu, a o mojem przywiązaniu powzięliście? — zapytał.

— Nie wątpię dotąd ani o jednem, ani o drugiem... spełniam tylko obowiązek, prosząc, byście czuwali nad sobą i nad nią...

— Masz mnie więc za potrzebującego nauki moralnej, kochany kuzynie? — szydersko spytał Wacław.

— Zdaje mi się, że każdemu z nas się ona przydać może...

Wacław, nie wiedząc już jak z tego wynijść, w żart musiał obrócić surową naukę i przełknął ją, udając, że nie rozumie.

Karol poszedł do Ewy.

— Jutro jadę — rzekł do niej głośno — żegnam was, kochana siostro, mówię tylko do widzenia... Wyście mi zostali jedną z rodziny i najdroższą... czuwać będę nad tobą i nad tą kolebką... serce moje poczuje zdaleka, jeśli tu będę potrzebny...

Wziął jej rękę drżącą i pocałował z uszanowaniem.

Ewa, wzruszona także, schyliła się do kolebki, wyjęła z niej małego Tadzia i milcząc, podała go Karolowi...

— Pobłogosław!

— W imię wszystkich naszych... dziada, ojca, matki... zmarłych, a żyjących w niebiesiech, błogosławię go, niech rośnie na pociechę twoją, na sławę imienia, na służbę kraju....

Pocałował dziecię w czoło...

Skłonił się i wyszedł szybko...

Krótką noc czerwcową przemarzył, chodząc upiorem po dworze i starym ogrodzie... nabierał sił, poi się wspomnieniemi..

O brzasku już konie były gotowe, wozy zaprzężone, po żołniersku, na oznaczoną godzinę... tylko rotmistrz jeszcze wahał się, oczekując na te szczęśliwe buty, z któremi mu się rozstać żal było. Wszyscy dziecinniejemy na starość. — Karol z suchem okiem usiadł na szpaka, który mu jego pierwszego konia przypominał... karawana potoczyła się drogą w milczeniu. —

Na opakowanym wozie, oglądając się jeszcze na dwór, siedział rotmistrz Poremba, ocierał łzy i trochę się może gniewał na Karola, że go stąd gwałtem niemal porywał.

Droga prowadziła wedle kościoła i cmentarza... dzwoniono właśnie na mszę ranną, zamówioną umyślnie, żałobną...

Zdziwił się Karol, gdy wszedłszy na cmentarz, postrzegł na nim Ewę, która go wyprzedziła i modliła się u grobowca matki... był jej wdzięcznym za tę odwagę i dowód przyjaźni. Razem milczący weszli do otwartego kościołka... Ksiądz wyszedł w czarnym ornacie... Odprawił mszę za duszę wszystkich drogich umarłych, Ewa płakała... Karol kamieniał z żalu... Teraz tak mu się zdawało trudnem, strasznem opuścić osieroconą Skałę, zostawiając w niej biedną kobietę na pastwę człowieka bez sumienia!.. Widać było, jak to rozstanie i ją przejmowało trwogą...

Wyszli nareszcie... razem... obeszli groby, klękając na każdej mogile, a Karol znalazł i swój pomnik, który mu postawiła matka.

— Nie zrzucajcie go — rzekł, prosząc — niech on tu czeka na mnie.

Obszedł tę marmurową, strzaskaną kolumnę, przeczytał napis, popatrzył na szablę i godła wojskowe, wyryte na niej, łza mu się zakręciła w oku... Ewa szlochała...

— Nie żegnam was, nie żegnam — odezwał się, zmagając na siły, Karol — wrócę tu pewnie, kiedy? jak? to Bóg wie... ale powrócę... zachowajcie mi pamięć dobrą i nauczcie Tadzia, aby i on choć trochę mnie kochał....

Ewa rzuciła mu się na szyję.... on uścisnął jej rękę, koń rżał... trzeba było jechać — w świat!

Majętność Sarnów, którą był Karol zadzierżawił od Krzywaczyńskiego, należała do tych zapadłych kątów Polesi wołyńskich,

w których naówczas nikt prawie żyć i mieszkać nie chciał... tak trudno tu było starczyć sobie i zaludnić pustynię, pozbawioną niemal wszelkich żywszych stosunków z resztą kraju. Ale miała ona urok wielki dla skołatanego ,jak Karol, człowieka: — puszcze te przypominały mu Amerykę; lasy, błota, piaski, cisza... Kraj dziewiczy wyzywał do pracy... Mało jeszcze szlachty mieszkało wówczas na poleskich majątkach, które po większej części należały do rozległych dóbr i fortun książęcych.

Były to majętności rozległe, prawie całe lasami porosłe, z mało jeszcze wydartemi polami; rolnictwo ledwo starczyło na potrzeby miejscowe, dochód główny po staremu stanowiły barcie, osypy, wyroby lasów i wypalanie potażów... Grunt też na pagórkach uprawnych nie był żyzny, a niziny urodzajniejsze co wiosna prawie podtapiało. Siano, jarzyny na łęgach, egipskiemi wywdzięczały się urodzajami, ale rzadkiego roku nie zabrały ich świętojańskie wody.

Wieśniak był raczej rękodzielnikiem niż rolnym gospodarzem, nawykł do korzystania z boru, wyrabiał koła, płozy, bednarzył, siedział za krosnami, robiąc płótno i sukna. Życie szło wolno, opieszale, trochę dziko... ale wygodnie i niegłodno. Często na rozległości tysiąców włók, okrytych sosnami i dęby niebotycznemi, przerzniętych rzekami spławnemi i mnóstwem strumieni leśnych, nie było więcej nad jedną wielką, starożytną osadę, przy pogańskiem jeszcze drzemiącą horodyszczu... Gdzieniegdzie tylko u brzegów puszcz, świeższe kolonie mazurów, do wyrobu klepki, belek i wypalania potażów ściągnięte, zwolna trzebiły niedostępne gęstwiny....

Zwierza było więcej niż ludzi. Łosie czasem zapędziły się pod wioski... a wilki zimą chodziły stadami; borsuk i ryś pstry nie był osobliwością... Wieśniak nawet miał tu łowy królewskie, bo tak znał ostępy, jamy, gniazda i łożyska niedźwiedzie, i lisie chody i cietrzewie toki, iż sobie szedł do boru, jak do śpiżarni.

A chciało mu się nową postawić chatę, dobierał sobie takiego drzewa, jakiego nie widywano i w Gdańsku. Obalonej sosny, jak zwierzęcia zdechłego, niktby nawet i na opał nie ruszył.

Tak wyglądał ów Sarnów, wydzierżawiony tanio przez Karola, bo podkomorzy nic prawie z niego nie miewał, prócz suszonych grzybów i marynowanych rydzów.

Było to niegdyś zamczysko, ale z niego wały pozostały, a wśród

nich mieścił się teraz dwór odwieczny, drewniany, pono jakieś myśliwskie schronienie dawnych panów Sanguszków, w ostatniem wieku opuszczony i podupadły.

Gospodarstwo nie lepiéj od domostwa wyglądało... wszystko było zaniedbane, bezpańskie... Gdy z wiekowego zaspania przyszło się ludziom otrząsnąć pod czynniejszym kierunkiem żołnierskiej dłoni, zrazu się zafrasowali i wylękli..

Sądzili, że te nowości ich pogubią, tłumaczyli mu się, iż u nich, od ojców, praojców, zawsze tak bywało... On im wmawiał łagodnie, że dawniej wszędzie było inaczej, a teraz musiało się na lepsze odmienić... Trudno było wyrwać ich z tego życia, wlokącego się żółwio, jednostajnie i nędznie. Karol wszakże postanowił być odrodzicielem tej pustyni, czynnność jego pobudziła nowe i niespodziane prądy dokoła.

Kraj był dziewiczy, pełen bogactw nietkniętych, brakło mu człowieka myśli i pracy... Drzemało to wieki, a ze snu przebudzić nie łatwo, często klęsk potrzeba, ażeby wstrząsłszy do głębi, życie tchnęły w obumarłe ciało.

Żołnierz wszakże jest najlepszym pionerem a rolnikiem, gdy chwilowo złożywszy oręż na sochę go zamieni — potrzeba zajęcia, karności, do której nawykł, wdrożenie do pracy ciężkiej, tworzą zeń doskonałego gospodarza. Karol wprędce przełamał niechęci, pozyskał serca ludzi i począł przetwarzać Sarnów...

Ale zamknął się w nim i zasklepił oddzieliwszy od ludzi i świata. Wiódł życie prawdziwie samotnicze, które starał się nieco na sposób i wzór dawnego w Skale urządzić.... Powtarzał tu wszystko, co mógł naśladować ze starego gniazda...

Poubierał odnowiony dwór w przywiezione sprzęty stare; ustroił sobie pokój jeden jakby dziadowski i zrobił zeń komnatę dziadów, bo tu zawiesił wizerunki zabrane w Skale... Miał też kaplicę naprzeciw okna i ogród stary z lipami....

Wieczorem łudził się niejakiem podobieństwem do ogrodu w Skale, tylko tu rzeka szeroka Słucz, oblewała wały starego zamczyska i opasywała sady. Po za nią widać było sine mury lasów, któremi świat się ten kończył... Karol mógł tu o wszystkiem zapomnieć, nigdy klasztor żaden ciszą uroczystszą nie odgrodził się od reszty ludzi.

Na jedno tylko nastawiał ucha niecierpliwie pustelnik, czy gdzie nie szczęknie szabla... czy nie zawołają ochotnika.

Ale to były lata wielkich przygotowań, przełomu, wewnętrznej pracy ku lepszej, jak się zdawało, przyszłości — spływały one niby wróżąc jasną na niebie jutrzenkę.

W Polsce stan ducha a umysłów zwiastował odrodzenie... Rośli ludzie i charaktery, gorzała we wszystkich żądza podźwignięcia się z upadku i upokorzenia. Lepsza też przyszłość zdawała się zwiastować wszędzie, a serce poczciwe nad przygotowaniem jej pracowały.

Ale ta praca około przyszłości łatwą nie była...

W tych to latach rozpoczęło się powolne przetwarzanie starej Polski wśród najmniej sprzyjających mu warunków. Z konfederacyą Barską runęła bezpowrotnie Polska szlachecka, rycerska, poetyczna, wyjątkowe nieodżałowanego wdzięku i powagi zjawisko, które już istnieć nie mogło o białym dniu nowych dziejów, wśród całkiem zmienionego świata... Rycerz stary zadumany, zakuty w zbroję, ani się opatrzył, jak go towarzysze opuścili, jak się sam jeden pozostał... na mogile, z której wyżyny spoglądał jeszcze ku przeszłości.

Istnienie tej szlacheckiej rzeczypospolitej, której Pułascy byli ostatniemi uosobieniem — stawało się niemożliwe.

Stare formy życia opierały się próżno temu prawu odrodzenia, przeszłość kruszyła się, pękała, gmach rysował, nie pomagały podpory, trzeba było z ruin wznosić nowy.

Nieunikniona walka wewnętrzna przypadła nieszczęśliwie na chwilę właśnie, gdy Polska całych sił potrzebowała do oparcia się z zewnątrz zagrażającemu niebezpieczeństwu. W tem przesileniu wewnętrznem jątrzyły się umysły. Ojcowie stawali przeciwko dzieciom, bracia przeciw sobie... kolebki przeciw grobom. Jak w każdej walce, zajadłość boju pchała na krańce. Z jednej strony występowały średniowieczne upiory, trzymające się ślepo trumny zbutwiałej — z drugiej roznamiętnieni utopiści, tracący ziemię z pod nóg i pamięć położenia.

Gdyby nie boleść, którą ta epoka napawa, jakże zajmującym byłby obraz lat, które dzielą sejm Ponińskiego od czteroletniego sejmu!! Ta walka organiczna, co za śliczna dziejów karta!!

Naród zwyciężony, upadły — podnosi się, dźwiga i z obliczem krwią jeszcze i błotem obryzganem poczyna pracę odrodzenia.

Wszystko, co w nim pozostało poczciwego, szuka trudu, pragnie ofiary... bada drogi, znajduje je instynktem lub mylnemi się obłąkiwa, sądząc, że wiodą do celu. Nie zbywa też na poświęceniach, na heroizmach, nawet najtrudniejszych dla charakteru narodowego, bo powolnych — codziennych, nieocenionych i niedostrzeżonych. Szlachta poczuwa się już osamotnioną i wyciąga chętną dłoń do reszty narodu... gdzieniegdzie ślepi krzyczą ze strachu o kieszenie, miłość własna upomina się przywilejów, ale przywódcy idą dalej, a prąd wieku łódź ich niesie...

Wśród tego zamętu król pozostaje zawsze, czem był od początku; istotą obudzającą litość swą słabością, miotaną, gdzie wiatr powieje, niepewną nigdy, co począć, rzucającą się na wsze strony, usiłującą przejednać wszystko, a nie zaspokajającą — nikogo. Straszny dramat tego wdowiego życia dokonywa się pod nieubłaganym losu naciskiem.

W chwilach pokoju król rośnie na Augusta, na Ludwika, na złotego monarchę złocistego wieku literatury — w godzinach zawikłań spada na Sardanapala teatralnego, szychowego, bez uczucia godności, bez odwagi i siły do ofiary.

I żyć nie umie i umrzeć nie chce.

Karol poglądał na to zdala wzrokiem starzejącego się filozofa... Życie dlań nie miało uroku, było obowiązkiem, zadaniem do spełnienia, tęsknotą. Na progu straciwszy wszystko żywe, karmił się wspomnieniami, żył w świecie umarłych.

Z szerszego widnokręgu rzadko dochodziły go wieści, które przyjmował obojętnie....

Od Skały rzadko też przyszła wiadomość — czasem chyba Krzywaczyński coś zagadkowego napisał, jakby martwić nie chciał, a pocieszyć nie miał czem...

Stał się tedy z musu, z powinności, z niemożności zrobienia czem innem — rolnikiem. A oddawszy się roli, trudowi koło niej i życiu prostemu, na którego utrzymanie ledwie tyle potrzebował co parobek, nie wiedząc sam jak, wprędce przysporzył majętności i znalazł się prawie bogatym z tego grosza, który był wniósł, odrzekając się ojcowizny.

Grosz ten, pobłogosławiony z niebios, rósł jakby czarodziejsko w rękach...

W chwili, gdy się czteroletni sejm rozpoczynał, Karol, nie myśląc wcale o zbogaceniu się, najmniej troszcząc się o to, ostał niemal z musu, na usilne prośby Krzywaczyńskiego, który majątku chciał się pozbyć — dziedzicem Sarnowa. Majętność ta, dzięki jego staraniom, z najlichszej stała się kwitnącą; ludność wzrosła, założono na trzebieżach parę nowych folwarków, pokopano rowy, osuszono łąki, uporządkowano lasy — dwór wyglądał weselej, stado i konie liczyły się do najpiękniejszych na Wołyniu, który przecie obfitował w stadniny.

Karol, zamknięty, zawsze trwał w postanowieniu unikania ludzi, świata i awarcia jakichkolwiek stosunków, mogących związać przyszłość; chciał być wolnym na każde zawołanie.

W tem oczekiwaniu czegoś nieokreślonego trwał nieporuszony, nie dając się ani powołać do urzędu, ani zmusić, jak wielu chciało — do ożenienia — patrząc na Saracenkę wiszącą na ścianie, odpowiadał z uśmiechem: — To żona moja, innej mieć nie będę — tej przysiągłem...

Chociaż podkomorzy Krzywaczyński w każdym liście swoim coś o Skale donieść czuł się w obowiązku, starodawnym sposobem umiał tak pisać, że nigdy go dobrze zrozumieć nie było można... Z tych enigmatycznych wyrażeń domyślać się tylko godziło, że nie było się czem pocieszać. Wacław dojadał majątku żony, opuszczając nieszczęśliwą z dziecięciem na wsi, nie troszcząc się wcale o wychowanie chłopca, a sam dokazując po Warszawie. Przybywał tylko czasem, gdy już nigdzie nie mogąc pieniędzy pożyczyć, miał nadzieję wymódz je od żony. Ewa opuszczona nie skarżyła się, nie dawała znaku życia, a cała oddała się wychowaniu dziecięcia. Karol, będąc szczegółowiej uwiadomio-

ny o tem, kilka razy przez ręce podkomorzego przesłał dla Tadzia pamiątki, które mu do nauki posłużyć mogły; ale wprost ani pisać, ani zgłaszać się nie śmiał.

Tak bohater nasz starzał się powoli — ale starość spodziewawana, oczekiwana, opóźniała się; liczył lata, a nie czuł ich i nie widział na sobie; czerstwe siły, młodość serca, życie ostre, mimo pracy, utrzymywały go niezmienionym. Nie pragnął on tego życia, bo się już po niem niewiele spodziewał, a życie, twardo go się jąwszy, trzymało. W tej pustyni lata upływały jak miesiące, dnie jak chwile, z niepochwyconą szybkością. Dzień do dnia był podobny, różnicy między niemi dostrzedz było trudno i pamięcią się w nich połapać.

W sercu i na twarzy Karol pozostał niemal młodzieńcem takim, jak ze Skały wyruszył, ale też nie szukał przygód, wzruszeń, wypadków i nie szafował uczuciami... Sam on dziwił się, widząc starzejących, gdy w sobie czuł, że zestarzeć nie mógł. Umysł też zachował świeżość dawną, a serce całą żywość lat pierwszych.

Już prawie dziesiątek lat dobiegał od przybycia jego do Sarnowa. Dzień był jakoś jesienny, pochmurny, smętny... Szeroki krajobraz poleski przybrał barwy ponure, oprócz jaskrawo-zieleniejących pól na zimę zasianych, wszystko było szare, zżółkłe, obumarłe...

To usypianie natury, przed którem cywilizowana społeczność ucieka i kryje się w murach miast, na wsi jest jakby — strasznem momento mori, odśpiewywanem człowiekowi, aby o śmierci nie zapominał. Najsilniejsza dusza wzdryga się na ten obraz opustoszenia i nicości.

Niebo, okryte tumanami bez barwy, ziemia spłowiała, łodygami suchemi najeżona, drzewa jak szkielety obnażone... wody zastygłe — błoto zgęsłe... brak stworzeń wszelkich... stada kruków i dzikiego zwierza, obejmujące panowanie na tym mogilniku szarym — oddech do smutku, do rozpaczy prawie. Słońce ledwie się rzadko ukaże, noce nieskończone — często dzień cały jest tylko mrokiem jakimś, w którym za mgłami fantastyczne obrazy śmierci migają.

Takiego to dnia jesieni, gdy około trzeciej z południa zmierzchać zaczynało, a wiatr ciężki napędzał obłoki, wlokąc je nisko opadłe nad ziemią, Karol zsiadał właśnie z konia przed dworem., wróciwszy z przejażdżki gospodarskiej, gdy za sobą we wrotach ujrzał kogoś, co mu się dziwnym wydał żebrakiem...

Stojący w ganku właśnie, okulawiały nieco, dla jednej nogi nabrzękłej, rotmistrz Poremba, który wyszedł na spotkanie Karola, spojrzawszy na tę wlokącą się postać, ruszył ramionami i wąsami niespokojnie. Był już biedak podejrzliwy bardzo na starość.

— Hm! co to za indywiduum? co to może być? — mruknął pod nosem.

Karol i on stali wyczekując, a podróżny coraz żywiej idąc, zbliżył się do samego ganku

Oryginalny jego strój i postać mogły w istocie obudzić nieufność rotmistrza, wyglądał bowiem, jakby z innego przybywał świata. Pod spodem miał na sobie podartą i zmiętą odzież krojem cudzoziemskim, wcale do podróży niewygodną, fraczek, spodeńki do kolan, pończochy, trzewiki i skórzane kamasze. Na to klimat go snać zmusił wdziać prostą, szarą, chłopską, kupioną gdzieś na drodze przechodzoną siermięgę, w ręku tr. .nał kij. Twarz przychodnia nie była stara, ale zbladła, zwiędła, znękana... a oczy jakby obłąkane... Wyraz boleści ją przejmował.

Popatrzał na stojących i lice mu się zaczęło rozjaśniać.

— A! panie! panie, czyż to pan mnie nie poznaje? — zawołał, zrzucając kapelusz i wyciągając ręce...

Karola głos ten dopiero ocucił.

— Staszek! na Boga! tyżeś to? — krzyknął, rzuciając się ku niemu.

— A! to ja, kochany paniczu, to ja! — i padł mu do nóg na wschodkach biedny włóczęga, którego tak złamała nędza i tułactwo....

— Zkądże? jak?

Chciał opowiedzieć biedak, ale z radości wielkiej, przykląkłszy, słaby już będąc... zatoczył się i obalił... Karol pośpieszył, chwytając go w silne ramiona...

— Chodźże, chodź!

Zbiegli się ludzie dworscy, zaniesiono Staszka na łóżko wygodne, jakby owego syna marnotrawnego, powracającego do ro-

dzicielskiego domu. U rodziców pewnie czulszemby sercem nie mógł być przyjęty... biedny człowiek...

Los Staszka był losem, wielu podobnych jemu tułaczów, co na tę wędrówkę nie wzięli z sobą wielkiej potęgi ducha i zasobów serdecznych...

Gdy Karol z Paryża miał już odpłynąć do Ameryki, Stachowi zabrakło jakoś odwagi, ochoty, sam pan nie doradzał mu tak dalekiej podróży... Został więc w Paryżu zrazu pod opieką kilku panów polskich, do których dworów, jeszcze licznych, chętnie go przyjmowano. Zmienił tak panów kilku, aż to służebnictwo mu się sprzykrzyło... Grosza był uzbierał trochę, myślał, że we Francyi, wydającej mu się jakoś wesołą i łatwą do życia, wśród ludzi na pozór życzliwych i gościnnych — osiedli się.

Czarne też oczy ładnej dziewczyny przytrzymały go nad Sekwaną... Dziewczę to było istną Paryżanką, żywą, dowcipną, zręczną, wygadaną, a bez... serca, choć z tak szczęśliwym temperamentem, że gdy chciała płakać, mogła na zawołanie. Był to dar, którego jej wiele zazdrościło rówieśnic... Urodziła się na komedyantkę... To też Staszka uwikłała tak, iż się dla niej wyuczył po francusku, przebrał po francusku i gotów był zostać Francuzem. Kazała mu się z sobą ożenić — choć była ubogą i miała familię. — Stach bez namysłu poszedł do ołtarza.

Był to tylko prolog dramatu.

Założyli mały sklepik na przedmieściu św. Antoniego, handelek szedł wcale nieźle, ale jejmość się stroiła nadto... a dziecię pól i wsi tęsknić zaczęło i blednąć w tych murach, w tym niezrozumiałym szumie!.. Kraj, który zrazu nie wydawał mu się obcym, co chwila mniej stawał się swoim... brakło mu zrazu rzeczy niewielu, potem — wszystkiego. Tak to zawsze na cudzej ziemi: na chwilę człek do niej przystaje, potem otwierają mu się oczy, serce i wszystko go od macochy odpycha... Pierwsze dnie łatwe, ale gorzkie — ostatnie.

Po miodowych miesiącach, latach młodszych, które ozłacała miłość, umiejętnie podsycana przez Paryżankę — nastąpiła rzeczywistość naga, biedna, przykra.

Staszek z kochanka przeszed powoli na wyrobnika, dziewczę

z czułej małżonki na swarliwą gosposię, która dniem i nocą nie dawała pokoju, a potrzebowała się kłócić z temperamentu i zwyczaju. Życie ze słodkiego marzenia stało się męczarnią — krótkie też powodzenie początkowe przebrało się; klęski i niedostatek poszły za niem. Pierwsza mała strata otworzyła drzwi... ruina nie potrzebowała długiego czasu. Im Staszek wysilał się bardziej na powetowanie, tem szybciej szedł do zguby.

Z przekupnia trzeba było pójść na prostego parobka. Młoda żona zaczęła mu się bezwstydnie bałamucić z innymi, on kochał ją i płakał biedaczysko... Gdy jej wyrzucał niewiarę, zakrzyczała go, zatupała nogami, w końcu rozszlochała się, omdlała, a Staszek sobie gburowstwo swoje wyrzucał. Wieczorem jejmość śmiała się z tej prostoty. Istne piekło rozgościło się w domu...

Jednego roku potem, w ślad po sobie dwoje dziatek, któremi się Stach cieszył, umarły ze szkarlatyny, zostali sami — matka się upamiętała i płakała, on na nowo mocniej się do niej przywiązywał. Nędza się zwiększała, żona schła i wreszcie poszła za dziatkami do grobu... Nie była ona złą, ale płochą uczyniło ją wychowanie i przykłady....

Staszek, zostawszy sam, coraz bardziej stęskniony, złamany, pożałował kraju i postanowił powrócić. Jednego dnia opuścił Paryż bez grosza, o kiju i powlókł się do domu.

O żebranym niemal chlebie przeszedłszy Europę, dobił się tak do Skały, ale tu zastał pustynię... Ani twarzy znajomej, ani człowieka życzliwego. Matka dawno poszła na mogiłki, chatę nawet młynarzową rozebrano... Staszek siadł koło rumowisk pieca, który pozostał na wygonie, i kilka dni tam przepłakał.

Chciał zamieszkać na wsi, nie było przylgnąć do kogo... wziął więc kij znów i postanowił dowlec się do swego panicza, z posiłkiem otrzymanym od podkomorzego.

Tego rozbitka nawet ciepłe serce Karola odżywić nie mogło. Był to tułacz, co straciwszy ojczyznę, nabył tylko nieuleczalnej tęsknoty i nigdzie się już przyswoić, nigdzie osiedzieć nie mógł. Serce ciągnęło go raz tam, gdzie cierpiał, to znów gdzie był szczęśliwy. Obyczajem stał się obcy ziemi swojej, język sobie złamał, nie mówił żadnym poczciwie, a prawdę rzekłszy — skosztowawszy wiele, do niczego nie był zdolny. Z tego niepokoju życia wyniósł potrzebę ruchu i zmiany, która mu w niczem długo wytr-

wać nie dawała... To, czego dziś najgoręcej pragnął, jutro stawało się wstrętliwem i nieznośnem.

I tam, skąd przyszedł, i tu, gdzie powrócił, ludzie jego, on ludzi zrozumieć nie mógł.

Jakby choroba jakaś jadła nieszczęśliwego, wszędzie mu domieszywając jadu i trucizny.

Młody jeszcze czuł się starcem, przeżywszy wiele, w nic nie ufał... słowem była to resztka człowieka, którego chyba trud, surowy mus, powaga zwierzchnia wyleczyćby mogły.

Nie rychło nawet zdrowe powietrze Sarnowa i cisza pustyń siły mu przywrócić potrafiły. Karol zajmował się nim jak przyjacielem, czuł bowiem, że część przynajmniej losów nieszczęśliwego miał na swem sumieniu. Wziął się więc troskliwie do trudnego zadania leczenia tej chorej duszy.

Otóż na jakich zajęciach płynęło to życie w Sarnowie; rozmowa z rotmistrzem zestarzałym, zdziecinniałym niemal, ze Staszkiem, który był obałamucony i zwichnięty, gospodarka, książki, las, łowy, lud prosty....

Po wyczekiwaniach długich, posłyszał Karol — o podróży Stanisława Augusta do Kaniowa. — Potem otworzył się jakby w nagrodę ów sejm wiekopomny, a razem z nim serce Karola otwarło się nadziei, radości... Chciał rzucić sochę, wejść do wojska... posłyszał o Kościuszce, że porzuciwszy Amerykę, miał wstąpić do wojsk polskich...

Pragnął go zobaczyć... ale dziwnie składały się okoliczności iż goniąc za nim, nie mógł się z nim spotkać nigdzie. Napisał wreszcie i otrzymał odpowiedź, która zamiast zachęcać go, aby wstąpił do wojska, radziła mu to na później odroczyć... List był smutny, jakby rozczarowany i więcej spodziewający się od jutra. Karol więc pozostał na wsi.

KSIĘGA VII.

1794.

Wielkie nadzieje 1791 roku już w następnym zabite zostały. Karol, który, pomimo listu Kościuszki, wybierał się już przyłączyć do partyi ukraińskiej, usłyszał o cofaniu się jej nagłem pod Warszawę... Biło mu serce żalem na wieść o bitwie pod Zielińcami, na świetne zwycięstwo pod Dubienką; koń i rynsztunek był gotowym. Następne wypadki zmusiły go do wyczekiwania, chwilowa przemoc oburzała. Zrozumiał dobrze, iż Kościuszko, opuszczający służbę, długo bezczynnym nie mógł pozostać; wychodził on z szeregów, którym hetmaniła Targowica, aby się do innych zaciągnąć.

Nowa konfederacya nie mogła złudzić nikogo i sama się już łudzić przestała.

Zamęt ów, panowanie ludzi bez czoła i sumienia, podejrzanych lub oszalałych, mogłoż trwać długo?

— To się musi przesilić! — szeptano. — Kara Boża ustąpi przed miłosierdziem Jego...

Karol zrazu mówił, jak inni, czekał ze wszystkimi zmiany; naostatek dłużej już wytrwać nie mógł.

Coraz gorsze wieści wprawiły go w rozpacz prawię, domyślał się pod niemi innej prawdy nad tę, którą znał i widział, chciał się przekonać zbliska.

Człowiek ten, zamknięty długo w ciszy lasów, zgięty nad zagonem, obudził się jednego ranka z gwałtownem pragnieniem wybieżenia w świat

---

Rotmistrz Poremba, który już włóczył się tylko o kiju ze swej izdebki do jadalni, a czasem na ławkę w ganku, zdziwił się, gdy

mu przy wieczerzy zapowiedział Karol niespodzianie, że wyjechać będzie musiał...

Wyjechać! w głowie się pomieścić nie mogło staremu, bo Karol niekiedy do kościoła, rzadziej do miasteczka, a ledwie w rok raz w sąsiedztwo mógł się wybrać, dalej zaś od lat kilkunastu nie wyjrzał nigdy, ani okazał chęci wydobycia się na poleskie lasy i błota.

Zrazu Poremba nic nie zrozumiał, myślał, że to będzie kilkogodzinna wycieczka i zapytał:

— Wszakże pan na noc powróci?

Karol się uśmiechnął.

— Nie wiem ani kiedy, ani jak wrócę — rzekł.

— Więc, dokąd? — niespokojnie przerwał Poremba — dokądże?

— Ba! — rzekł gospodarz — szczerze ci powiem, że ściśle wziąwszy, nie wiem nawet dokąd jadę...

Rotmistrz patrzał nań, nie rozumiał, ale mocno był zafrasowany...

— Pojmiesz mnie łatwo, kochany rotmistrzu — odezwał się, gdy zostali sami,

Strasznie, strasznie dotąd spełniają się nam przepowiednie księdza Marka... ale może też Bóg da się nareszcie przebłagać cierpieniem.

Jadę, mój rotmistrzu — po język, jak mówiono niegdyś. Czuję, że jeszcze mógłbym się na coś przydać... alem już na krańcu siły i niecierpliwszy jestem, bo długo czekać nie mogę. Dość wyczekiwałem i dożyłem zawodów....

— Ale mój dobrodzieju — odpowiedział rotmistrz, załamując ręce — gdyby tak trochę dawniej — nie mówię... świtało coś, a dziś...!

Karol się uśmiechnął.

— To prawda — rzekł — ale ty wiesz, że naszą wiarą odwieczną było — im gorzej, tem lepiej.

Stach, który próbował już leśniczowstwa, ekonomstwa, rzemiosła, handlu... zażądał towarzyszyć Karolowi.... Ten odmówić mu nie śmiał, jak się nie odmawia choremu, któremu już nic za szkodzić nie może.

Droga instynktowo wiodła Karola ku staremu gniazdu, ku Skale i Krakowu... zdawało mu się, raz wyjeżdżając, że dla niego innej niema.

Bystre Karola oko, które dawno nie patrzało na kraj, tylko z cichego poleskiego kąta, gdzie nic nie dochodziło prócz niezrozumiałych jęków, postrzegło w całej nagości położenia.

Nie można się było łudzić — chwila była zwiastująca wysiłek rozpaczliwy... Karol nareszcie przywlókł się do Skały... konie stanęły u bramy cmentarzowej, poszedł pomodlić się na groby... Spojrzał stąd na dwór, na ogród, targnęło go tam serce... jechać, czy nie?

— Po co? — odpowiedział sobie w duchu — nie! byłoby to słabością, dziś mniej, niż kiedy słabym się być godzi.

Stach błagał go oczyma, ruszał z niecierpliwości ramionami... Karol kazał zwrócić do Krakowa...

Na każdym kroku spotykali wspomnienia — to Staszek się wzdrygnął i westchnął — to Karol spojrzał i łza zakręciła mu się w oku.... Gdzie były te czasy, kiedy się tu uwijało z koniem, i strzelbą a myślą wesołą!

Nie śmieli nic mówić do siebie, ale tak się dobrze rozumieli...

Nade drogą stało karczmisko stare u granicy skalskich dóbr, gospoda zajezdna nasza, jakich dziś już w zapadłych kątach chyba szukać potrzeba... Rzadko do niej wprawdzie szlachcic zajeżdżał ongi, bo miał zawsze albo we dworze krewniaka, lub na probostwie chętną gościnę u księdza... trafiało się przecie, że mu się nowego kontusza brać nie chciało, lub że był w sporze i waśni z krewnymi, czasem się więc wóz i do gospody zatoczyć musiał.

Było miejsca dosyć, dla szlachcica, dla wieśniaka, na bryki furmańskie, a choćby na cały oddział kawaleryi. Żyd naturalnie gospodarzył tu, szynkował, cierpiał, aby na życie zarobić; cięższej doli nad tę, w czasach gdy szlachta była rozhukana, pojąć trudno.

Gospoda stara była, jak świat... podpierano ją, przestawiano częściami, przesypywano ściany, dosiosywano słupy, ale wyglądała zawsze, jak przed wieki, gdy może była obrad gminy i schadzek ludu stolicą... Szeroka, ogromna, z wysokim dachem, na pół

w słupach i galeryi, w środku istna arka Noego. Koń żydowski z biedką, fura ze szkapami chłopskiemi, osiodłany podjezdek szlachecki, bachmat z siodłem paradnem, krowa gospodyni, kozy gospodarza, gęsi, kaczki, bachory i pieszczone cielę, filozofujące w zagrodzie, mieściło się tu wszystko, nie licząc wróbli, który seciny gnieździły się w dachu i jaskółek, oblepiających rzędem poddasze. Gospoda taka była sama sobie całym maleńkim światem, musiała podróżnemu dostarczyć wszystko, począwszy od napoju i jadła, aż do osi i koła, ćwieka i młota, wreszcie politycznych i handlowych wiadomości. Była ona w dodatku przeprzęgiem owej tajemniczej poczty żydowskiej, która kraj wszerz i wzdłuż przerzynała we wszystkich kierunkach. Życia tu czasem więcej bywało, niż we dworze, a w posuchę posyłano go zaczerpnąć do arendarza, bo na tym przesmyku każdy coś fałszu i coś prawdy, przejeżdżając, zostawił.

Nie chciał zajeżdżać do dworu Karol, ale konie zmęczone zmusiły go tu wypocząć, same one wiozły w otwarte wrota. Karol pamiętał, że tu żył i zmarł ów poczciwy Abraham, który w chwili odjazdu jego, udając kapitalistę, przyniósł na drogę macierzyńskie dukaty. Teraz starego już dawno nie było na świecie, syn niemłody także, nastąpiwszy po nim, gospodarzył, bo karczmy, jak królestwa z laski Bożej, szły z pokolenia w pokolenie, dziedzictwem. Pan miał prawo elekcyi, ale go rzadko używał.,.

Młodszy Abraham był wykapany ojciec nieboszczyk, z rozumu i z serca podobny doń, jak dwie krople wody. Człek milczący, smętny, noszący swą dolę, jak przystało Izraelowi, z pokorą... szanując niezłomną wolę Bożą.

Z Karolem nie widzieli się już kilka lat dziesiątków, nie dziw, że gdy wszedł do izby, w której dosyć było ludu — nie chcąc się dać poznać, — Abraham pokłonił mu się zrazu jarmułką, jak obcemu.

Ale skłoniwszy się i zmierzywszy go oczyma, stanął wryty i wpatrywał się. — Pomyślał. — Chyba znajomy — odpowiedział sobie — nie może być, i odszedł. Wrócił i przyglądał się jeszcze, odchodził, niecierpliwił się, że coś w tej twarzy wyczytał, a nie był swego pewny... Miałżeby to być pan Karol? Ale gdzieżby on znowu w starem swojem dziedzictwie do Żyda i karczmy zajechał?

Spytał po cichu Stacha — kto jedzie? Stach potrząsł głową

i ruszył ramionami, nie odpowiadając nic, bo takie miał rozkazy... Żyd powrócił do Karola, był niespokojny.

— Z przeproszeniem jasnego pana — zaczął.

Wtem nagle w oczach mu się rozjaśniło i chwyciwszy go za kolana, krzyknął.

— A! tyś nasz panicz!!

Karol mu podał rękę.

— Cicho — rzekł — nie panicz, nie pan, ale stary przyjaciel... Jakżeś to mię poznał, jak?

— Albo ja wiem! serce mi uderzyło. Przypomnieliście mi starego pana.

Abraham powiódł go do bokówki, do izby paradnej, gdzie stały w szafie księgi zakonu, gdzie w dnie świąteczne rodzina zasiadała około stołu przy siedmioramiennym świeczniku. Tu nie było jeszcze dosyć pięknego i dobrego miejsca dla tak wielkiego gościa, nic godnego przyjęcia dawnego dziedzica... dzień powszedni! Ani szczupaka szabasowego, ani pieczonej gęsi, ani bułki świeżej. Cóż robić! na znak gospodarza, stara Abrahamowa i młode pokolenie, po przywitaniu serdecznem zajęło się kuchnią...

Karol smutny był, lecz dziwnie wzruszony, on, co nie miał tu rodziny, w tych biednych ludziach znajdował serca wspomnieniom wierne a życzliwe....

Spytał naprzód o Ewę... Abraham potrząsnął smutnie głową.

— Święta to pani — rzekł — ale też nieszczęśliwa! Siedzi tu opuszczona z dzieckiem, czasem się musi o kawałek chleba zatroszczyć... gdy jemu... pasztety w Warszawie jeść trzeba!....

Żyd z ohydą się wzdrygnął, ręką rzucił i zamilkł.

Długo potem mówili po cichu... naprzód o wszystkiem, co się działo w Skale, potem o sąsiadach, o obcych, a naostatek... o kraju. Żyd obejrzał się dokoła ostrożnie, byli sami, wyszedł jeszcze za drzwi, niby za interesem do żony, obejrzał wszędzie, czy kogo na podsłuchach nie ma, kazał chłopcu pilnować i wrócił z posępnem, tajemniczem obliczem.

— Co pan się masz zapierać przedemną — rzekł — ja wiem, dokąd pan jechać musi... tam, gdzie teraz wszyscy jadą... do Saksonii, do Drezna...

Kiwnął głową.

— Nie potrzebuje się pan taić przedemną... ja tam też byłem od kogoś posyłany do pana Potockiego... do pana Kościuszka!

Ostatnie imię wymówił po cichu, przymrużył oczy i dodał na ucho.:

— Ja wiem wszystko!!

— Ale ja, daję ci słowo, dotąd nic nie wiem — rzekł Pluta — jadę za tem umyślnie, aby dostać języka... Czułem tylko sercem z daleka, że coś robić się musi.

Żyd za kolana go znów pochwycił, oko mu się rozjaśniło.

— Jeśli tak, to dobrze pan trafił — odezwał się — ja nie wiem wszystkiego.... ale... wiem o wszystkiem... Co ja mam mówić! — dodał — pan to już wiesz!

— Więc się coś czyni? — spytał Karol z zapałem, chwytając Żyda za ramiona... Mów mi, wskaż! gdzie!?

— Ale cicho — przestrzegł Żyd — cicho! tu ściany uszy mają, a ludzie długie języki... Jedno panu powiem, niech pan jedzie do Saksonii, do Drezna...

Rada Abrahama zdawała się zdrową, wiedział on oprócz tego, że Krakowianie zjeżdżali się potajemnie do Pińczowa, że generał Wodzicki był jednym z najczynniejszych i że po Galicyi krążyły tajemnicze postacie, zbierające wiadomości o położeniu wojsk i t. p.

Na tych naradach zmierzchać zaczęło, Karol nie był jeszcze pewnym, jak ma postąpić i do kogo się udać. Noc zbliżająca się dała Abrahamowi powód do zatrzymania go gwałtem w gospodzie. Trudno też było ruszyć bez Stacha, a ten, korzystając z popasu, poleciał do wioski, nie spytawszy nawet o pozwolenie. Nie miał już tu nikogo, chciał jednak zobaczyć ziemię, drzewa, płoty, chaty... te miejsca.., gdzie dziecięciem płakiwał. Dziś te łzy jakże mu się zdawały słodkiemi....

Rozmowa z Żydem przeciągnęła się do późna, a rozmysły z sobą noc całą. Brało się na brzask, gdy konie stanęły przed gospodą. Karol myślał jeszcze, co pocznie, wreszcie postanowił jechać do Saskiej stolicy.

Podróże naówczas nie były ani łatwe, ani miłe, ani pospieszne. Kto, jak Karol, jechał z sercem bijącem, temu się wlokło śmiertelnie. Koń zakulał, rozkuł się, bryka popsuła, drogę zmylono, błoto opóźniało, w kraju nieznanym co chwila pytać było trzeba. Wiekiem się też wydało dobijanie do Drezna.

Dawne z krajem polskim stosunki od śmierci Augusta III już były zerwane na pozór, ale nałóg pozostał, przyzwyczajenie ciągnęło, jakaś wiara niezasłużona w tę dynastyę przywiązywała do niej, chciano w niej widzieć przyszłych królów nowej Polski. Nigdy też w Dreznie na Polakach nie zbywało.

Jeszcze to miasto naówczas nie było, tem, czem w ostatnich czasach napływ cudzoziemców je stworzył. Kupiło się ono całe nemal około zamku elektorskiego, który ze swą wieżycą i kościołem panował stosunkowo w nie wielkiej kupce okazalszych domostw. Po za dwa rynki, Stary i Nowy, ulica Zamkowa i kilka szerszych, zabudowanych kamienicami, dalej już tylko drobne domki i obszerne ciągnęły się ogrody. To, co dziś wcielono do miasta, dobrze opodal za niem było odsunięte.

Schludnie to wyglądało, jak dzisiaj, ale raczej królewską rezydencyą niż stolicą państwa nazwać się mogło... Część znaczną ludności składali jeszcze Serbowie, na przedmieściach mówiono po wendyjsku... dziś już tam śladu nie ma tych dawnych Drezna mieszkańców.

W gospodzie na zamkowej ulicy, nieopodal od bramy Jerzego, która nazywała się polską gospodą i miała jeszcze wywieszonego orła białego, zatrzymał się wreszcie Karol, znużony i niecierpliwy. Zeskoczywszy z bryki, wchodził już na próg jej, gdy się minął z mężczyzną, obwiniętym chustką, w czapce nasuniętej na oczy, którego nie mógł poznać, bo twarzy prawie nie dosstrzegł. Ten zwrócił się nagle ku niemu i chwycił go za rękę.

— Miły Boże! Tyś Pluta? nieprawdaż?

Już miał Karol wyrzec imię Kościuszki głośno, gdy ten, położywszy palce na ustach i zmarszczywszy czoło, rzekł mu:

— Nie mów mego nazwiska! Szukają mnie, w tej chwili uciekać muszę... Uciekam do Lipska, gdzie mniej będę na oku...

— Kiedy?

— Natychmiast...

— Generale, na miłość Bożą! — jam umyślnie do was tu przybył z drugiego końca świata... muszę z tobą mówić...

— Chodź ze mną, ja tu pozostać nie mogę — odparł Kościuszko, uchodząc szybko.

Ledwie mając czas, konie i rzeczy swe porzuciwszy, nakazać Staszkowi około nich pilność, Pluta musiał już iść za generałem, który się niecierpliwił... pospieszyli oba pieszo za bramę Jerzego pod kościół, ku staremu, naówczas jedynemu na Elbie mostowi.

Wiatr, acz już wiosenny, ale mroźny, smagał ich po twarzach... Elba kry niosła... pusto i cicho było na wybrzeżu

---

— Panie generale — chciał rozpocząć Pluta, ale Kościuszko mu przerwał nagle:

— Skąd mogłeś wiedzieć, że mnie tu znajdziesz?

— Dowiedziałem się o tem przypadkiem — odpowiedział Karol — mogę powiedzić, żem się tego więcej domyślał niż był pewnym. Jechałem, czując, że się coś gotować musi... oto wam przywożę ręce silne jeszcze... grosza, ile go mam... sił, na jakie stanie... i życia, ile mi Bóg przeznaczył... Bierzcie i rozporządzajcie.

Kościuszko go uścisnął.

— Znać człowieka, co był w szkole Washingtona! — zawołał — a! zmuszeni podobno będziemy — dodał — ruszyć się, czy w porę, Bóg to wie; mojem zdaniem, zawcześnie, ale dłużej czekać niepodobna, wytrwać nie można. Ja dłużej tu w Dreźnie zostać nie mogę, czekają na mnie w Lipsku... Tam więc przybyć musisz... Zgłosisz się do mnie do gospody pod Murzynkiem, mało znanego kąta... gdzie i ja, i nasi będą... tam pogadamy dłużej... Nie mam chwili do stracenia... Przybywaj więc... Ja most przejdę pieszo, a na Nowem Mieście konie na mnie czekają.

Tak ledwie przybywszy do Drezna, tegoż samego dnia pod wieczór ruszył Karol do Lipska.

Umieściwszy się w pierwszej lepszej gospodzie Karol pobiegł na wyznaczone mu miejsce pod Murzynkiem. Była to w istocie dziura czarna wśród najbrudniejszego domostw steku; ale gospodarzem domu był Żyd z Polski, a u niego wszyscy jak u siebie, spokojnie wchodzili i wychodzili pewni, że ich nie zdradzi.

Nocą już wszedł Pluta do izby licho oświetlonej, w której, otoczonego kilku nieznajomymi sobie ludźmi, zastał generała.

Żwawa już toczyła się rozmowa...

Z niej dopiero dowiedział się Karol, że tym razem nie szlachta, nie pospolite ruszenie, nie konfederacya, ale samo wojsko z ludem i mieszczaństwem rozpoczynać miało.

Zdaniem Kościuszki, naród nie był jeszcze należycie przygotowany do ogólnego powstania, ale niecierpliwość zrozpaczonych wojsk, które rozpuszczać nakazano, gorączka niektórych — nagliły.

Postanowiono rozpocząć od opanowania Krakowa, do którego plan jeszcze w listopadzie roku przeszłego był osnuty przez Wodzickiego, lecz do skutku, mimo usilnych jego starań, przyjść nie mógł. Wznawiano teraz pomysł i spodziewano się łatwo wyprzeć nieliczną załogę.

— Słyszałeś, cośmy mówili, wiesz jak rzeczy stoją — rzekł Kościuszko do Pluty, gdy Prozor, Dmóchowski i inni towarzysze narady się porozchodzili. — Nie mamy czasu do stracenia; nie byłem zdania, aby tak rączo i pospiesznie przystąpić do wielkiego dzieła, chciałem więcej zasobów, lepszego przygotowania umysłów, ale żołnierz nie wytrzyma... Lada dzień gdzieś coś samo wybuchnąć może. Ofiarowałeś mi się z przysługą, przyjmuję. Pojedziesz odemnie do Słomińskiego, do Kopcia. Nie sądź, ażebyś małą lub łatwą miał przed sobą drogę.

Pluta chciał coś odpowiedzieć, żal mu było opuszczać Kościuszkę, przedzierać się znów posłańcem, ale rozkaz wodza... Zamilkł.

Kościuszko postrzegł smutek na jego czole.

— Co ci jest? — spytał.

— Generale — otwarcie rzekł Pluta — ruszę dziś jeszcze, jeśli rozkażesz, ale wyznaję, że wolałbym milszy obowiązek dzielenia z tobą niebezpieczeństwa...

Kochany towarzyszu — odezwał się Kościuszko — wszędziebyś mi się przydał, to pewna.... ale ja tu do roboty znajdę prędzej ludzi, a tam do tej niebezpiecznej misyi nie mam nikogo...

— Będę ci posłusznym, a że chwile drogie, jutro więc dodnia wyruszę z Lipska.

Noc już była późna, rozstali się dwaj towarzysze, ledwie mając czas kilku słowy przypomnieć sobie amerykańskie przygody.

Leniwo przychodziła wiosna, chociaż ją już w powiewie powietrza czuć było, drzewa stały jeszcze jakby głuche na ciepłejsze słońca promienie... a kwiatek, gdzieniegdzie wychyliwszy główkę z ziemi, mdlał, zmrożony rosą poranka... Bociany już były przyleciały i wychudłe, u ciepłych krynic szukały pożywienia; jaskółki kręciły się w obłokach, skowronek świętej Agnieszki dzwonił na wielką uroczystość zmartwychwstania — a ziemia stała wciąż jeszcze na pół odziana kożuchem lodu i szronów, obnażając się powoli... Sen zimy jeszcze ją trzymał w powiciu.

Ranki też były zimowe a zimne, choć dnie czasem ciepłe, a w południe przypiekało. — Wszystko zwiastowało, że nagle potem, jak za odkryciem zasłony... pękną wezbrane liście i młodą szatą okryją się lasy zaspane....

Na Rusi, w chłodnych puszczach, w których splecione gąszcz niełatwo ciepłe wciskają promienie — jeszcze było głucho — ale w umysłach drżało przeczucie innej wiosny. Zwiastowała się ona wszędzie, choć pochwycić nie było podobna, jak i czem... Coś o niej mówiło.

Ktoś w wydrążonej osi, wracając z Gdańska, przywiózł wielkopolską gazetę; gdzieindziej przekradła się wieść z pątnikiem, idącym do miejsc świętych; inny przywiózł ją w zaciśniętych ustach... Gotujące się powstanie w Polsce na całym obszarze jej dawnym... rozpłomieniało wszystkich.

Brygada Słomińskiego, do której wysłany był Karol, rozlokowana w pośród wojsk rosyjskich w Kijowskiem, już była osaczoną. Sam Słomiński zdawał się ujętym.

Wśród tego straconego już dla kraju żołnierza, który posępnie oczekiwał rozbrojenia, był przecie człowiek mężnego serca, który widział możność ratowania siebie i braci. —Człowiekiem tym był Kopeć.

Kopeć był mężnym, energicznym, upartym w wykonaniu raz

powziętej myśli, ale w potrzebie stawał się skrytym, a z pozoru wcale nie obudzał podejrzeń, tak wyglądał potulnie.

W chwili gdy po zapadłych lasach polesia Kijowskiego z rozkazu Kopcia pieczono chleby, suszono je, przysposobiano prowianty i w zakątkach gotowano się już do wypraw', prz'był Karol po raz pierwszy, aby do niej przynaglić. Przyjazd jego, jako obywatela miejscowego, nie zwrócił uwagi, chociaż podróż po kraju łatwą, ani bezpieczną nie była. Pluta wszakże uniknął szczęśliwie niebezpieczeństwa, stawił się w porze, ordynans oddał i powrócił do Sarnowa, aby wyekwipowawszy się po żołniersku, stanąć pod chorągwią. Z nią razem miał się później dostać do Kościuszki. W kilka dni, pożegnawszy majora, który narzekał na opuchłe nogi, a płakał, że na koń już siąść nie może, Pluta pośpieszył znów w okolice Uszomierza.

Podróżując po większej części nocami — nad rankiem dnia jednego wczesnej wiosny, przypominającej mu pierwszą wyprawę, przybył Karol już po raz drugi do Kopcia.

Przyśpieszył ten powrót, odebrawszy przez zaufanego kupca wiadomość z Krakowa i żądanie jak największego pośpiechu.

Kopeć stał umyślnie z główną kwaterą swoją we wsi odległej od traktów, otoczonej zewsząd głuchemi bory, tu bowiem mniej był na oku.

)Rzuciwszy brykę z końmi w żydowskiej gospodzie, pieszo pobiegł Karol do Brygadyera.

Ale w kwaterze były pustki; znalazł wszystko jakby do wymarszu gotowe, ludzi zajętych ostatecznemi przygotowaniami do drogi... Kopcia samego nie było. Nikt mu zrazu powiedzieć nie chciał, czy nie ımiał, gdzieby go szukać potrzeba.

Dopiero w godzinę dobrą nadbiegł adjutant i szepnął mu, że go z sobą zabierze.... ale tak, jakby tylko na polowanie. Wzięli więc z sobą strzelby i pieszo z psem poszli powoli ku błotom...

Dopiero, gdy się dobrze od wsi oddalili, młody człowiek odwrócił się do Karola.

— Kochany panie — rzekł — nie dziwuj się, śmiesznej może ostrożności naszej. Musimy czuwać... Tutaj ani wieśniaka, ani

Żyda pewnym być nie można... Kopeć jest stąd o milę na potaszowych górach... Tu u skraju lasu znajdziemy w gęstwinie parę osiodłanych koni, które stoją zawsze na potrzebę, dosiądziemy ich i dostaniemy się do niego.

W istocie około chaty, a raczej budy leśniczej, do której doszli manowcami, w szałasie z gałęzi, u żłobu z płótna na żerdziach spartego, stały konie z siodłami. Adjutant ruszył przodem ścieżyną, wskazując drogę wcale niewygodną, miejscami ledwie znaczną, pozawalaną kłodami, porzniętą brodami i strumykami bez mostków... Niema to, jak owe lasy Polesia, gdy się skryć potrzeba... jedni tylko Poleszucy wytropić tu potrafią, obcy się zbłąkać musi i strach go ogarnie. Lasy to jeszcze dziewicze, gdzie Pan Bóg gospodarzy, a ludzie mu psują.

Wkrótce z za pni wyniosłych drzew ukazała się zieleniejąca już łączka, a na niej tabor ludzi i koni, góry worów i kotłów, beczułek i koszów, sprzętu wszelkiego i zapasów.

Były to owe tajemne magazyny Kopcia, który sam pośród nich się uwijał, obliczając, ile żołnierz udźwignąć może bez zbytniego obciążenia. W kubłach potaszowych wysuszone chleby tłuczono i pakowano w wory, rozdzielano sól, przelewano gorzałkę, ładowano regimentowe bryki i stosy siekier, motyk i drągów sposobiono na pochód, którego niebezpieczeństwa przewidzieć można było, ale trudno odgadnąć, czem się one zwyciężyć dadzą.

Wśród tych przyborów dorywczych, partyzanckich, Brygadyer sam się krzątał, rozporządzając wszystkiem, chodził z cicha, mustrując ludzi, wydając rozkazy. Wojsko, które się tak mozolnie przerzynać miało, nie mogło za sobą ciągnąć wozów i taborów, jak najwięcej kłaść musiano na żołnierza.

Ujrzawszy przybywającego Karola, Kopeć podbiegł ku niemu.

— A no, co nam przynosicie? — spytał.

— Naprzód siebie, ale to niewiele warto — rzekł Pluta — potem wieści nie dobre. Prawdę rzekłszy, należy dziś lub jutro wymaszerować koniecznie, później już być może niepodobieństwem kroku uczynić...

Kopeć ręką wskazał na wozy i przygotowania.

— Jesteśmy też w gotowości, choćby na dziś, gdyby brygada tylko równie była gotową do połączenia się z nami za Uszomierzem

— Nie dosyć tego, com powiedział — dodał Karol — idą już pono wojska, aby was i oddział cały pochwycić.

— A nie wiecie, którędy? — spytał Kopeć.

— Na trakt od Żytomierza ku Uszomierzowi idący.

— No! na to damy rady! — odparł Brygadyer, uśmiechając się.

Odwiódł Plutę na stronę.

— Jest chorych ludzi kilkudziesięciu, broni połamanej dosyć, rupieci niezdatnych do zbytku... naładujemy niemi conajwięcej wozów i puścimy tabor tą drogą, którą ja właśnie iść nie myślę... Obałamucić się muszą. Co wy na to?

— Słucham i podziwiam przytomność umysłu — rzekł Karol.

— Gdyby nam Pan Bóg jeszcze dał jakiego zaprzedańca... — dodał Kopeć — co dziś lub jutro nieochybnie nastąpić musi... dopełniłbym reszty obmyślanego stratagematu... który mi chodzi po głowie. Puszczę bąka, że mamy zamiar na Żytomierz uderzyć...

To mówiąc, Brygadyer wydał rozkazy ostatnie dla taboru, wysłał ludzi do rozsypanej brygady, i nie okazując najmniejszego niepokoju, dosiadł konia, by razem z Karolem do kwatery powrócić. Przewidział dobrze, iż użytym fortelem drogę sobie z pośrodka nieprzyjaciół otworzy.

Tegoż wieczora, jak przewidywał, Kopeć wykonał część swego planu; powiodło mu się w tem niespodzianie. Siedzieli w jego kwaterze wiejskiej przy misie krupniku z pół-gęską, gdy oznajmiono bogatego kupca z Żytomierza... pragnącego panu Brygadyerowi się pokłonić.

Żyd ten znany był ze swych stosunków pokątnych.

Kopeć uradował się wielce przybyciem człowieka, którego znał, co zacz, ale chciał na ten raz przyjąć, jakby się jego roli nie domyślał. Poproszono natychmiast Zinberga do izby, Brygadyer kazał nawet podać stołek, ale Żyd, mimo nalegań, usiąść nie chciał, stanął przy drzwiach z ręką jedną za pasem, drugą głaszcząc brodę; niespokojnie rzucał oczyma po kątach, nie wiedział, jak będzie przyjęty....

— Zkądże to kupiec jedzie? — spytał Kopeć.

— Jadę... jadę... z Łabunia... bo ja tu u pp. Nowowiejskich las kupuję... A cóż tu u jaśnie pana słychać?

— Ale ba! u nas tu nie jedno słychać, o czem nie trzeba gadać! — rzekł Kopeć.

— Jakto, przedemną! dlaczego?

— Przed waćpanem... ba! ba! i waćpan zdradzić gotowyś, choćby ze strachu.

O u nas, panie Zinberg... słychać różne rzeczy! —począł Brygadyer umyślnie — lada dzień się kopniemy wprost do pana z wizytą, do Żytomierza... miasto dobyć fraszka.

— A! a! co pan żartuje— zawołał Żyd, łamiąc ręce — to nie może być!

Żyd był tak jakoś skłopotany, zaniepokojony, że nie mogąc na razie przyjść do słowa, westchnął tylko.

— Nu — rzekł po chwili — panowie w tych rzeczach macie więcej rozumu odemnie — ja się na tem nie rozumiem... ale mnieby się zdawało, że to niebezpieczna sprawa.

— Na wojnie niema nic bezpiecznego — odparł Kopeć— gdzie drwa rąbią, tam trzaski padają.

— No — a potem? co dalej? — zapytał Żyd.

Kopeć udawał dla większego prawdopodobieństwa nieco podchmielonego. Zinberg najzupełniej mu uwierzył, widać było po jego twarzy strapienie wielkie i zakłopotanie. Rozmowa nie szła, piekło już kupca odejść co rychlej z tą podchwyconą wiadomością — lękał się tylko podejrzenia. Postał więc jeszcze chwilę, pogawędził o rzeczach obojętnych, potem pożegnał i kopnął co żywo do karczmy. Nie mógł sam natychmiast nocą wyjechać, boby się domyślano czegoś z pośpiechu, wyprawił więc małą karteczkę po żydowsku napisaną do syna i oklep powiozła ją poczta pantoflowa do Żytomierza.

———

Teraz już niemal wszystko było w gotowości do wymarszu... Chociaż nazajutrz dopiero o południu wyjść miano, nikt się wszakże spać nie kładł tej nocy, każdy miał najwięcej do roboty na ostatku.

W cichości, z twarzami posępnemi, około południa zebrali się wszyscy do pochodu przy kwaterze Kopcia.

Droga, którą iść mieli ku Uszomierzowi, w razie napadu nie była bezpieczną, wiodła ona przez zwykłe, wązkie groble, moczary, trzęsawice i gęstwiny. Jedno maleńkie działko polowe mogło wstrzymać i zdziesiątkować.

Szli tak milczący, modląc się, kto mógł a umiał... Żołnierze przykryli głowy, gwarzyli po cichu... Karola mimowolnie oblegały wspomnienia.

— Miły Boże! — odezwał się do Kopcia — co się to z tym mężem stało, który nam błogosławił!

— Z kim? — spytał Kopeć.

— Z księdzem Markiem.

— Chcesz mówić zapewne z księdzem Odelgiewiczem? — spytał, uśmiechając się Brygadyer.

— Nie wiem jego nazwiska.

— Otóż to rzecz szczególna — przerwał Kopeć — że trafem mamy go na naszej drodze....

— Jakto? żyje? jest tu? — podchwycił Pluta...

— Właśnie mieszka w Uszomierzu...

— A my na Uszomierz idziemy! — zawołał Pluta — prawdziwe zrządzenie Boże... on mi błogosławił, gdym szedł do Ameryki....

— I gdyby nie spóźniona pora, mógłby nam pobłogosławić znowu, ale my około drugiej z północy przez Uszomierz przechodzić będziemy — dodał Kopeć, rozpatrując się po niebie i zegarku....

— Brygadyerze, co wy zrobicie, ja nie wiem, ale ja widzieć go muszę....

Kopeć się zamyślił chwilę.

— Aleśmy nie bezbożnicy przecie... — rzekł — jeśli pan masz spokój starcowi zakłócić, toć wszyscy go poprosimy, niech i nam pobłogosławi...

Oddział, mający miejscowych przewodników, znających dobrze kraj, nad rankiem w istocie, przedarłszy się przez lasy, ujrzał nad brzegiem Uszy rozłożoną mieścinę. Ciemnawo było jeszcze, księżyc zapadał za czarne bory... Osada stara, na pół z gliny i chrustu sklecona, na pół z drzewa, taka, jakie w głębi tych krajów

opisywał Herodot jeszcze, spała przytulona do ziemi... snem porannym, ledwie gdzie w chacie na doświtkę zapalono łuczywa. Kolumna wojska w cichości poczęła przeciągać długą, błotnistą ulicą, wiodącą do rynku, ostawionego trochę pokaźniejszemi domostwy.

Zdala widać było niski klasztorek i wieżyczkę kościoła, rysującą się ciemno na niebie jasnem.

Karol, opowiedziawszy się Kopciowi, spiął konia i poleciał przodem.

Wziął tylko z sobą jednego Staszka, któremu dał konia u furty potrzymać, a sam, przeżegnawszy się, zadzwonił zlekka.

Zdumiał się wszakże, gdy spodziewając się czekać, ujrzał natychmiast otwierające się drzwi, jakby niewidzialną odparte dłonią... Wszedł i w mroku ujrzał na progu braciszka w czarnym habicie, który, zamknąwszy, już go do klasztoru, nie pytając nawet, wyprzedzał.

— Mój ojcze — odezwał się Pluta zdziwiony, wstrzymując się — ja... pragnąłbym widzieć się z X. Markiem...

— To też was do niego prowadzę... — odpowiedział braciszek.

— A... jakże wiecie? — przebąknął Karol, stając.

— O. Marek chory, oddawna już nie wstaje z łóżka, ale godzin temu kilka, gdy się do chóru zbierano, przysłał po mnie i powiedział mi, żebym u furty pilnował, że tu ktoś do niego przyjdzie.. Rozkazał, abym was do jego celi natychmiast prowadził.

Karola strach przejął, ale razem jakaś otucha.

— Chory!?... — spytał cicho.

— Chory, nie wstaje — dodał braciszek — ale duchem mocny. Już musiał posłyszeć dzwonek u furty, bo po całych nocach modli się, spać nie mogąc, chodźmy...

Pluta słowa już przemówić nie mógł, a przewodnik prowadził ciasnym korytarzykiem klasztorku, pokląkłszy przed krucyfiksem, u którego stóp lampa się paliła. Ciemne krużganki, ciszą nocną obwiane, osłonione mrokiem, wydawały się posępnie, jak groby. Gdzieniegdzie ze ściany wyglądała na czarnem tle blada twarz obrazu, a światło zachodzącego księżyca pasem białym wdzierało się do wnętrza.

U małych drzwiczek celi stanęli, braciszek zapukał z lekka... głos odpowiedział ze środka:

— W Imię Boże!

Karol wszedł i stanął przy progu.

Celka była szczupła, nizka, uboga... z jednem okienkiem za kratą... Na tapczanie, okrytym płaskim siennikiem, spoczywał w habicie mąż z siwą brodą, z obnażoną głową, ręce z różańcem złożone trzymał na piersi. Stopy nagie, nieruchome, trupio i bezwładnie wyglądały, wyciągnięte z pod wązkiej szarej kołderki sukiennej. Podobniejszy był do bladych zwłok, niż do żywego człowieka, oczy miał powiekami osłonięte, usta wpadłe. Obok niego w głowach na klęczniku stał krucyfiks, wisiał obraz Matki Boskiej, a pod nim paliła się lampka. Niżej leżała głowa trupia i książka. W kącie dzbanek z wodą i misa, prosty stołek i stół od siekiery ciosany, wiejski, w pośrodku.

Gdy Karol wszedł, zakonnik powoli, spokojnie podniósł nań powieki i w milczeniu długo mu się przypatrywał... nie okazując najmniejszego zadziwienia.

— Ojcze mój — ośmielił się nareszcie odezwać Płuta... przebacz mi, że chorego nocną porą budzę i niepokoję....

Zakonnik wpił w niego długie wejrzenie.

— A, to ty! z Częstochowy! ty, coś tam był z poczciwym Kazimierzem moim...

Zamilkł, a potem dodał:

— Jam już nie ten, którym był... nie to naczynie, w które Bóg wlał ducha swego, a wylał zeń, bo go nie było godnem... próżne dziś skorupy, śmierć się opóźnia... ale Bóg tak chce, bym odpokutował... wola Jego... Alem nie duży, nie wstanę już o swej sile... a nim wyjdę, pomodlić się muszę, by wezwać Ducha Świętego... boć sam nędzny jestem i niemy... a nie wiem, cobym wam powiedział. Rękę mi dajcie...

Karol podbiegł co prędzej do łoża... Złamany wiekiem mąż dźwignął się z trudnością; zdawało się, że w tym wysiłku kości się pogruchoczą, tak się powolnie zginały... podniósł się wreszcie i gdy padł u klęcznika, głowę na nim składając, ujrzał Karol dyscyplinę, która zsunęła się na ziemię.

Modlił się tak, zatopiony w Bogu, długo, Karol poklęknął u drzwi...

Gdy zwolna podniósł głowę, okiem pełnem łez spojrzał na Ka-

rola, jakby znów wzywał jego pomocy, gdyż o swej sile wstać nie mógł. Przystąpili razem z braciszkiem, który oczekiwał u drzwi przymkniętych w korytarzu.

— Weźcie mnie pod ręce obie — rzekł — tak się powlokę przy pomocy waszej... dojdę jeszcze i na łoże moje powrócę...

Raz jeszcze poklął i modlił się przed krucifiksem w korytaru.

Brzask dnia wiosennego różowił niebo na wschodzie, gdy ponad mur opasujący cmentarz klasztorny wszedłszy po wschodach z towarzyszami, zjawił się starzec siwobrody... wojsko stało szeregami do koła rynku, odkryły się głowy... anioł ciszy przeleciał..

Ks. Marek zdawał się modlić, patrzał zdrętwiały na tę garść ludzi i płakał... Gdyby jaśniejszy był dzień, widzieliby wszyscy dwa strumienie łez długie, które na białą spływały mu brodę....

Cisza... wśród której tylko szczebiot budzących się w drzewach ptasząt słychać było, cisza trwała długo jeszcze. Zdawało się, że z ust zamarłych słowo wyjść nie może.

Pochylił się, padł na kolana, i mur go zakrył przed ich oczyma.

Żołnierze pozsiadali z koni, przejęci, wzruszeni, i obróciwszy się w stronę kościoła, modlili się pocichu...

Starca milczącego, z którego już słowa dobyć nie było można, odprowadzono do celi... szedł ledwie, tak go ta krótka chwila złamała. Trąbka dała się słyszeć w rynku...

— Na koń!!

I oddział w milczeniu skierował się dalej w lasy

Brygada Kopcia istnym cudem przebiła się przez wołyńską ziemię, to wyślizgając nieprzyjacielowi, to zuchwale nastawiając mu czoła, omijając go, napadając niespodzianie, uchodząc nocami, manowcami, gościńcami, na których się jej nie spodziewano.

Przeprawa przez Słucz w okolicach Korca, pod Ostrogiem przez Annopol... u Kozina, godne są, by je w dziejach naszych zapisano. Kopeć winien był niezmiernej przytomności umysłu i energii swej, że się prawie bez straty dobił z brygadą do Bugu, wzmocniony kilku zabranemi oddziałami po drodze.

Od owych dni przeprawy z Kopciem aż do klęski Maciejowickiej, Pluta targał się po obozach, to z szablą w dłoni, to z roz-

kazami biegając po Krakowskiem, do Warszawy, w Poznańskie. Gdzie było potrzeba bezwarunkowego poświęcenia, posługiwano się nim, gdzie groziło niebezpieczeństwo, ofiarował się i napraszał. Kościuszko chciał mu dać dowództwo, nie przyjął.

Poczciwe jego serce bolało teraz więcej, niż inne, bo bystre oko głębiej od innych widziało....

Pod Maciejowicami Karol ranny w pierś, legł martwym, nieprzytomnym na pobojowsku.

Karol po długiem milczeniu, ocucił się jękiem... Dokoła noc była, w dali gdzieś świeciły ognie i migały cienie, rżały konie wiatr wył... Pod nim, przy nim, pole usłane było trupami... kulami, kawałami ciał poszarpanych. Już cisza i spokój sądu Bożego się rozpościerała, nad zabitymi przez rozdarte chmury patrzały gwiazdy wiekuiste.

Karol poczuł w sobie życie i z boleścią obudził się do niego. Po cożyć było? Czy ocalić resztki żywota, czy położyć się trupem z trupami na dobrowolne skonanie... Ale krew z ran zaskrzepłych uchodzić przestała, życie wracało... usta spalone pragnęły napoju... westchnął i myślał, że skona... ręką ran dotknął... i uczuł siłę... Chłód nocy go rozbudzał, wiatr smagający obnażonego rzeźwił... zdawał się nakazywać... Wstań i żyj.!..

Z północy ogniska gasnąć poczęły... Karol sprobował zwlec się, był cały we krwi, bezsilnym — ale na nogach się trzymał... spróbował iść... padł i powstał... skurczone członki ożyły... gorączka zastępowała siłę... czołgając się z trupa na trupa... włokąc na rękach... namacał rzucony płaszcz żołnierski, który mu dawała Opatrzność, chcąca ocalić...

Narzucił tę odzież... podparł się kolbą złamanego karabina... mógł iść....

Nad pobojowiskiem kruki latały już stadami, na wsi psy przerażone wyły dziko...

Tuż był las i krzaki podruzgotane... kulami, Karol dobił się do brzegu zarośli... ale i tu jeszcze ziemia cała była usłana zwłokami ludzkiemi — każda gałąź osłaniała trupa.

Instynkt zbawczy bezmyślnie wiódł go w las coraz głębiej... czuł, że gdy nadchodzący dzień zastanie go zdala od pobojowiska, bezpieczniejszym będzie. I szedł, czołgał się, wlókł, padał, spoczywał, konał, odżywał... Po głowie, jakby żelazną ściśniętej obręczą, myśli przelatywały czarne... złote... szare... ze skarbnicy

całego życia... Ameryka... Bar, Pułaski, Kościuszko... Skała... Ewa... wiosna młodości i wieczór powrotu... Sarnów... i ks. Marek...

Nad rankiem już, ujrzał w lesie daleko porozpalane ognie...

Przyczołgał się bliżej....

Tabor to był smutny jakiś, wygnańczy; starcy, kobiety, dzieci otaczali milcząc gasnące ognisk popioły... W około leżał ubogi sprzęt ocalony, tuliły się owieczki i bydło wychudłe, siedziały psy z sierścią najeżoną, kiedy niekiedy jęk żałobny wyrwał się z piersi lub dziecię zapłakało boleśnie... a śpiew matki uśpić je próbował...

Była to ludność Oronnego, którą płomienie w lasy wygnały... Oni także stracili ojcowiznę, stare chaty, w których umierali dziadowie i porodziły się niemowlęta... płakali..

Przypomniał sobie Karol, że wioskę oni sami spalili przed bitwą. Mógłże się zbliżyć żołnierz ranny do rozżalonych wieśniaków.. opłakujących popioły?...

Zawahał się... ale śmierć przestała mu być straszną... a pragnął, pragnął choćby kropli wody... Spijał ją z liści wilgotnych, leżących na ziemi, z małych kałużek po lesie... a pragnienie zwiększało się coraz... Chciał zresztą ludzi, choćby w nich miał znaleźć nieprzyjaciół....

Powstał więc i wszedł w krąg tych starców, niewiast, dzieci, siedzących ze spuszczonemi głowami, z pół snem na oczach... Nikt nie spojrzał nań nawet. Przesunął się i padł przy ogniu, tracąc przytomność....

Sił mu nie stało, tylko do tej mety.

KSIĘGA IX.

W Kraju i na obczyźnie.

Uratowawszy życie, które mu było ciężarem, Karol staraniem naprzód wieśniaków, co się nad nim ulitowali, potem okolicznych obywateli, pod ich opieką, z domu do domu przewożony, zdołał się nareszcie, okryty ranami, przekraść do Warszawy, ztamtąd zaś, osłabły jeszcze, ledwie żyw, na prostym wózku wieśniaczym, sam jeden, bo Stach mu gdzieś z oczów zginął pod Maciejowicami — kazał się wieść w Krakowskie. Chciał tam umierać przynajmniej, gdzie się urodził, gdzie już gotowy stał nań czekając grobowiec... Nie wiedział ani o Ewie, ani o mężu jej i dziecięcia losach, nie myślał zakłócać im spokoju... pragnął się tylko dostać do tego kąta... gdzieś, do chaty, choćby do karczmy poczciwego Abrahama, któryby mu nie odmówił przytułku i tapczana do skonania.

Droga to była... długa i ciężka, pełna niebezpieczeństw, co chwila się odnawiających. W tym stanie ducha opuszczenie, samotność, nędza... podwajały chorobę, wprawiały w nieustającą gorączkę. Mózg zamieszkiwały mary wyobraźni, wspomnienia bolesne... dnie stawały się co chwila zrywać nić życia... a jednak serce biło i śmierć nie przychodziła.

Do Sarnowa już dla samego oddalenia i prześladowania niepodobna było myśleć się dostać, wedle wszelkiego podobieństwa, majętność albo już była zasekwestrowaną, lub ją to wprędce czekało. Nie było innego przytułku dla Karola nad ten rodzinny kąt, który nie był już jego... lub przyjacielski dom podkomorzego Krzywaczyńskiego. Ciągnął się więc tak słaby, ranny, smutny, na łasce Bożej, z jednym wieśniakiem woźnicą, który okrywszy go płaszczem i słomą, wiózł jakby nieżywy ładunek... Nie mo-

gąc siedzieć, Karol leżał, zdawszy losy na Opatrzność, która mogła go każdej godziny oddać w ręce nieprzyjaciół — albo cudownie ocalić... Dzięki baczności człowieka, który znał dobrze drogi boczne i manowce, a wiózł go nocami i rankami — na gościńcach nie spotkali nikogo i w kilka dni przywlekli się do Skały... Wóz wprost w otwartą gospodę się zatoczył.

Gdy na ręku wieśniaka sparty, niepodobny do siebie, zbladły okrutną krwi utratą, zestarzały nieszczęściem, przybity męczarnią podróży — ukazał się Abrahamowi w progu... Żyd załamał ręce i rozpłakał się... Nie dając mu chwili pozostać w pierwszej izbie, pełnej ludu i gwaru, gospodarz poprowadził go do alkierza, a tu usadowiwszy, załamał ręce i milcząc, patrzał na biednego...

— Mój dobry panie! także ci to wracać tu przyszło — po raz drugi!

— Co Bóg dał, przyjmuję z ręki Jego — rzekł Karol, odzyskując nieco siły — chciałbym... spocząć tylko u ciebie i... dostać się do podkomorzego....

— Do podkomorzego! — powtórzył Żyd, trzęsąc głową smutnie... jego już od kilku miesięcy nie ma na świecie... a jejmość.. pan jej nie znasz...

— Jakto?! umarł!?

— Umarł... — dodał Abraham — ale dlaczegoż pan nie chcesz do dworu? U mnie... a! z sercabym ugościł was... ależ to gospoda na trakcie... Włóczą się marudery, ani wygody, ani spokoju... Ale czemuż nie do dworu? — powtórzył Żyd natarczywie.

— Bo nie mogę... nie mogę.! — odparł Karol posępnie... — na łasce tego człowieka być — nie chcę...

— Jakiego człowieka! — zawołał Abraham... — chyba pan nic nie wiesz?! Nasza pani od roku jest wdową... Ona was tak oglądać pragnie, tak wspomina... posyłała po was, dowiadywała się napróżno. Jej jedyna nadzieja w was... Ona potrzebuje waszej opieki... ona oczy wypatrzyła za wami....

Karol zdziwiony podniósł głowę.

— Byćże to może?

— A! panie! tak jest! dla niej to będzie szczęście...

Pluta nic już nie odpowiedział, pomyślał tylko, że dziwnie składały się losy jego...

Wieczór był późny, gdy o kuli, o kiju, w sukni odartej, zsza-

rzanej, upadły na duchu, wszedł powoli Karol na próg wdowiego domu...

Dwór sam był do niepoznania zmieniony i fantazyą właściciela, który go chciał upiękniać i ruiną, co go w pustkę obróciła. Ta mieszanina jakiejś niesmacznej wytworności, która czasu nie miała się rozpostrzeć, i opustoszenia, co się tak szybko czuć daje na dziele ręki ludzkiej — uderzała boleśnie.

Jeszcze nie skończono restauracyi i złoceń, sztukateryj i tynkowanych kolumn, a już z pod opadłych gipsów skielety żeber... wyglądały....

Wdowa zajmowała część ledwie dworu, którego połowa pokojów jeszcze rusztowań nierozebranych pełna i na pół porozrywanych posadzek, stała z pozamykanemi okiennicami, nieopalona, niemieszkalna... Kupy gruzu, kawały drzewa, stosy słomy... porastała pleśń wilgotna...

Z tłumu sług nadto licznego, został stary kredencerz zgarbiony i dwie niedołężne kobiety.

Ubogo, więcej niż ubogo, nędznie było w Skale, a Abraham wzdychając, szeptał na ucho, że i tu jeszcze długi spokojnie zasnąć nie dawały. Pan starosta, do końca życia pełniąc sumiennie zadanie swoje, usiłował dojeść i zmarnować grosza ostatek, aby po nim nic nikomu nie zostało.

Na wieść o przybyciu Karola wybiegła... raczej wywlokła się biedna kobieta, w sukni czarnej, wynędzniała, zestarzała, zgięta, z piersią wklęsłą, z włosem siwiejącym prawie... Za rękę trzymała wyrostka... bladego i wystraszonego, jak ona... Chłopię tuliło się bojaźliwie do macierzy, na widok tego żebraka, kaleki... co je niegdyś w kolebce pobłogosławił.

Z twarzy tych dwóch istot, z tła tego obrazu wyczytać było można całą historyę nieszczęśliwego domu...

Z twarzy chłopięcia roztropnej, ożywionej, ale znękanej patrzała żywa ciekawość i ogień z chorobliwie ognistych strzelał oczów. Samotność, sieroctwo... straszne młodości piastunki!

Wdowa żywo ręce obie wyciągnęła do Karola...

— O mój Boże! jakżem modliła się, by was odzyskać i zobaczyć! ale takżem się to ja was widzieć spodziewała?!

— Chwalmy Boga, nawet gdy krzyże zsyła — odparł Karol — jeszcze to szczęście, siostro, że się widzimy... jam wstał z umarłych na... pobojowisku Maciejowickiem, a jeśli żyję, to cudem...

— A! bądź-że pozdrowiony w tym domu, w twoim domu — zawołała, płacząc wdowa. — Wierz mi, iż jesteś dla mnie jakby zesłańcem Bożym, najmilszym gościem, nie gościem! bracie... ale panem...

Łzy mieli w oczach oboje... Tadzio nieśmiało, powoli przybliżył się do Karola... tyle nasłuchał się o nim, ale tak zupełnie inaczej go sobie wyobrażał!

Szczęściem jakiemś, poszanowany był wypadkami od restauratorów pokój pułkownika, dziadowski, z widokiem na kaplicę.. Przez pustą salę ścieżka wśród łomów wiodła do niego... Karol wybrał go dla siebie. Przypomniało mu się ostatnie pożegnanie z dziadem i oddawanie Saracenki.

Karol stracił ją był razem z przytomnością i czuciem pod Maciejowicami. Gdy ze snu, który już ostatnim być sądził, przebudził się i zwlec usiłował z pośrodka trupów, napróżno szabli, lub choćby jej szczątka, szukał dokoła siebie. Opłakał tę stratę i przybył do Warszawy...

Jednego ranka, gdy przed podróżą chciał sobie kupić ubogą odzież cieplejszą, wprowadzono do niego przekupnia. Miał on z sobą mnóstwo łachmanów i rupieci, lasek, a nawet szabli... Jakież było zdziwienie Karola, gdy w obłoconej, brudnej i niepoczesnej broni, rzuconej na ziemię, dostrzegł swój skarb... Saracenkę! Myślał z razu, że go myliły oczy, dobył główni... znalazł na nim napis... z bijącem sercem trzymał ją w rękach... wlepiwszy wejrzenie... przekupień sądząc z milczenia, że nie przypadła do smaku, zachwalać począł, a nie odbierając odpowiedzi, pospieszył się z zażądaniem niskiej ceny...

Jakim sposobem szabla ta z rąk jakiegoś obozowego ciury dostała się aż do Warszawy, jakim trafem właśnie do niego przyniesioną została? Karol nie pojmował.

Jak ostatnią relikwię przeszłości przycisnął ją do serca i ukrytą przywiózł do Skały.

Tu — w pokoju dziadowskim, po latach tylu, po tylu przygodach... znalazł w ścianie wbity ten sam ćwiek, na którym niegdyś szabla przy łóżku pułkownika wisiała. Ludzie się do mogił pokładli, zardzewiały kawałek żelaza tkwił na swojem miejscu w ścianie...

Po kilku tygodniach wypoczynku Karol nieco odżył Skałą. Było to teraz schronienie ciche, smętne, ubogie, ale dla niego jedyne może, co duszę leczyło silą zaczerpniętą w przeszłości...

Los Ewy i jej syna, którym się teraz czuł istotnie potrzebnym, przywiązywał go też do życia.

Dziecię było nad wiek swój roztropne, pełne gorączkowej ciekawości do nauki, dojrzewające, jakby owoc na słońcu, co jeszcze nie doszedł miary, a już się rumieni i złoci.

Z twarzy był podóbnym do matki, ale podobieństwo nie rysy stanowiły, raczej wyraz jakiś niepochwycony ust i oczów...

A matka! — owo dziewczę anielskie, jakże okrutnie, przedwcześnie zwarzona była i zwiędła. Zawiedziona w sercu, stęskniona, wylękła, biedna kobieta umiała teraz tylko modlić się i płakać. Pozostał jej jeden Bóg w niebie, a na ziemi nikt, prócz dorastającego Tadzia, którego sama wychowała, wypielęgnowała, wyuczyła. Była mu ojcem, matką, nauczycielem i niańką, przyjacielem i mentorem.

Z choroby, z pracy, czy z niedoli, Ewa przeszła w stan nieustającej trwogi, i gdy nie miała czego się lękać, wyobraźnia tworzyła sobie obawy... weszły one w potrzebę tej duszy drżącej... Łzy i postrach wyczerpały jej życie i trzymały przy nim... gorączka była jej siłą. Karol musiał sam na duchu się dźwignąć, zmężnieć i ukrzepić, ażeby tę biedną kobietę przywołać do życia i odkarmić odwagą. Pomiędzy nim a nią — z dawnego stosunku, z tej miłości czułej, którą on żył tak długo — pozostało przywiązanie braterskie, gorące — ale poszanowania pełne...

Karol kochał ją nieszczęśliwą z siwiejącym włosem, może silniej, niż gdy mu się zjawiła w aureoli pukli złocistych — ale miłość tę krył w sobie głęboko i przed samym sobą. Nie godziło mu się o nią upomnieć u wdowy, dla tej resztki życia, której czuł w sobie zbyt mało, by z niego mógł uczynić ofiarę komu innemu, prócz matki jedynej.

Niebezpiecznie było wzywać z miasta lekarza. Kraków zajmowali Niemcy. Abraham podjął się sprowadzić zręcznego felczera z Pińczowa, za którego uczciwość zaręczał. Staruszek ten, nie budząc podejrzeń, mógł przybyć do Skały, gdyż go tam często na wieś bierano, a doświadczonym był w leczeniu ran, na których nigdy w Polsce nie zbywało.

Sam Karol z amerykańskiej jeszcze wyprawy wyniósł doświadczenie, które się teraz bardzo przydało...

Wprędce też, z pomocą staruszka, przy troskliwości Ewy... kaleka się dźwignął i odżył po trosze.

Rany się goiły i zabliźniały szybko. Zmuszony żyć a męstwem zasilać, Karol wymógł na sobie pozór zdrowia i życia, chwilami wszakże wracało żnękanie i cierpienie aż do łez... Tadzio często, zastawszy go samego w pokoju dziada, nie mógł zrozumieć, dlaczego stryjcio miał uśmiech na ustach i razem łzy na powiekach.. Matka mu też tego wytłómaczyć nie umiała, choć lepiej stan ten rozumiała nad innych..

Część znaczniejszą dnia Tadeusz spędzał z Karolem... Ewa się modliła, on czytał z nim, chodził, uczył go jeździć konno, bawił się i przywiązał się do niego, jak do własnego dziecka... Tadzio go kochał, jak ojca..

Wszystko się powoli stracone odzyskiwało; za zgubioną Saracenką przybył i Staszek. Instynkt go przyprowadził do Skały, bo o losie Karola nie wiedział...

Z Sarnowa nie było żadnej wieści, Karol ani mógł, ani chciał tam powracać, listy nie dochodziły, kogoś wysłać potrzeba było... Abraham, opatrzywszy się w paszport, podjął się jechać na Wołyń. Wiózł on z sobą listy do Żytomierza, do umocowanego prawnika, naglące o sprzedaż majątku, z którego choć część chciał Karol ocalić, jeśli nie dla siebie, to dla wdowy i Tadzia. Słyszał, że byli ludzie, którzy się rozbiegli po wszechświecie szukając pomocy; przebąkiwano, że Francya poda dłoń bratnią, że gdzieś nad Sekwaną zbiorą się polscy żołnierze... Głuche te wieści ożywiły Karola, kręcił wąsa i mruczał po cichu...

— Pójdę jeszcze!

Napróżno Ewa, czasem usłyszawszy podobną mowę, usiłowała go przekonać, że młodsi pójdą go zastąpić... Karol, nie spierając się, milkł... ale widać było, że stał przy swojem.

Ile razy się z tem odezwał, Tadzio mu szeptał na ucho, prostując się:

— Pójdziemy razem, stryjaszku, bo ja samego nie puszczę!

Wyjechał Żyd i długo nie było go widać z powrotem... listów z poczty ani się było można spodziewać.

Brakło więc wiadomości o losach posłańca i podróży celu; gdy nareszcie jednego szabasowego wieczora dano znać do dworu, że Abraham powrócił, ale ponieważ gwiazdy już były na niebie, wdział naprzód obrzędowy strój i pobożnie stanął do modlitwy.

Nazajutrz więc dopiero odebrał Karol listy i pieniądze. — Sarnów został sprzedany jednemu z sąsiadów, ani źle, ani dobrze; kupiec całą sumę dał gotówką, o co właśnie chodziło. Nie chciał się podjąć Abraham przewiezienia jej, wziął tylko część, resztę zaś przesłano przez Warszawę. Pamiątki miano później, gdy się kraj uspokoi, wyprawić do Skały....

Rotmistrz Poremba, zgryzłszy się straszliwemi wieściami położył się, powtarzając — trzeba umierać, niema po co żyć — i w istocie umarł.

W ten sposób Karol był uratowany, mógł do czasu pozostać w Skale, nie stając się ciężarem wdowie, owszem spiesząc dla niej z pomocą. Odetchnął swobodniej, pilniejsze długi natychmiast popłacone zostały; Tadzio dostał konia, siodło i książki do nauki,

Czuł to Karol, że przynosząc im trochę grosza i pracę swoją mógł wyratować Ewę i Tadziowi przyszłość zapewnić...

Karol nie pojmował, aby mógł ocalony, spokojnie sobie orać ten zagon, ekonomować i siedzieć u komina.

Jak tylko przyszedł do zdrowia, nasłuchiwał, co się działo, był jak na czatach nieustannych...

Każdy odgłos, plotka niedorzeczna, wypadek jakiś, co mógł Europą wstrząsnąć... drażniły go, nie dawały usnąć spokojnie...

Tak upływały dnie w Skale, Karol, przyszedłszy do zdrowia, już prawie obył się z myślą zostania piastunem Tadeusza, jego opiekunem, przyjacielem, nauczycielem.

Wszystkie nadzieje złożył on w nim, a Tadeusz dał im świetnie się rozwinąć; było to natura szlachetna, gorąca. Wychowanie kobiece, wcześniej, prędzej dało się otworzyć duszy, jak się kwiat od ciepłego otwiera oddechu... Tadeusz nad wiek rozwinięty, dojrzały w towarzystwie stryja, czerpał te niezbędne wskazówki

do znajomości świata i ludzi, bez których młodość rzadko gorzkich unika zawodów. Oba byli z sobą w stosunku prawie braterskim, gdyż Karol zbliżyć go do siebie usiłował, zwracając do zupełnej otwartości i poufałości — a Tadeusz skłonnym był serdecznie pokochać stryja... Teraz stał on się dla niego wyrocznią..

Kilka miesięcy, przebytych z nim, z chłopięcia wydobyły mężczyznę...

Gdy wychowanie to moralne Tadeusza zaprzątało wyłącznie prawie Karola, jednego wieczora przyniósł Abraham tajemniczy list, niepodpisany, wręczony mu z poleceniem, aby go natychmiast odniósł do dworu i oddał samemu Płucie. Szczęściem Tadzio się był oddalił chwilowo, a Karol Żyda odprawił i zakazał mu o tem wspominać, tak że list pozostał tajemnicą. Wzywano go w nim, aby natychmiast dla pilnej sprawy do Krakowa przybywał. W karteczce wskazano mu, iż żebrak we Floryańskiej bramie stojący, z krucyfiksem na szyi, przy oddaniu mu jałmużny — w imię Floryana... powie, gdzie się stawić należy...

Chociaż pismo było bez podpisu, Karol, pełen zaufania, nie zawahał się nawet z wyjazdem. Szło mu tylko o to, aby się w domu celu jego nie domyślano...

Jednej nie tracąc chwili, rozgrzany tą myślą, że się coś przygotowywa, i że on potrzebnym tam być może... Karol wszedł do pokoju Ewy, oznajmiając jej, iż kontrakt dostawę zboża zmusza go pospieszać do Krakowa. Dosyć niezręcznie naplątał jako nieuniknionych konieczności wyjazdu, zbyt gorąco brał do serca zbożowy interes, ażeby podejrzeń siostry i młodego chłopca nie obudził... nigdy go jeszcze tak ożywionym nie widzieli... ale nie śmieli posądzić o udanie... Ewa prosiła tylko, aby się nazbyt interesem tak małej wagi nie gryzł i nie martwił.

Tadeusz przeczuł bardziej, niż zgadł, jakąś tajemnicę, lecz badać nie śmiał, przykro mu się tylko zrobiło, że stryj nie miał w nim dosyć zaufania, aby mu ją powierzyć.

Karol, nie zdradziwszy się, pożegnał co prędzej wdowę, ucałował Tadzia, powierzając mu dom i gospodarstwo, i tysiące pilnych wskazując zajęć, rankiem kazał zaprządz konie i co rychlej pospieszył do starej stolicy....

Było to jakoś pierwszych dni stycznia 1796 roku: Karol, nie doczekawszy się święta Trzech Króli, biegł do Krakowa, już nówczas będącego w ręku Austryaków. Potrzeba było nadzwyczajnych ostrożności, ażeby oczów nie zwracać na siebie.

Mrokiem posępnego dnia zimowego wjeżdżając we Floryańską bramę, Karol spostrzegł dziadka, spartego na kiju, z krzyżem mosiężnym na piersi, pochylił się do niego z sanek, dając mu jałmużnę w imię św. Floryana... i odebrał wzamian w uścisku ręki karteczkę. Konie, zaledwie zwolniwszy kroku, ruszyły na rozkaz dalej... zajechano do gospody, która oddawna służyła Skale. Dziedzictwem u nas szły tak wszelkie stosunki. Tu dopiero Karol wyczytał na kartce adres domu pani L.... i termin na tenże wieczór oznaczony... Ledwie czas przebrać się było i przebiedz uliczkami bocznemi do owej w rynku kamienicy.

Serce mu biło, gdy wszedłszy do niewielkiej sklepionej izby od podwórza, wskazanej przez milczącą sługę starą, znalazł tam już zgromadzonych znanych sobie: Leszczyńskiego (gospodarza domu), Grzymałę, Raciborowskiego, Nowowiejskiego i kilku innych obywateli. Na boku rozmawiał przystojny, arystokratycznych rysów twarzy, fizyognomii wyrazistej mężczyzna średniego wieku z Waleryanem Dzieduszyckim. Zapoznano go z Karolem, zowiąc Janem Riedel... a choć łacno było odgadnąć, że imię to ukrywało jakąś znakomitość zbyt głośną... Pluta udał, że się nic nie domyśla... Twarz ta nie była mu obcą... ale do niej pewnego imienia przywiązać nie umiał.

Riedel samem obejściem się z Dzieduszyckim zdradzał swe incognito, czuć w nim było wielkiego pana... słuchano go z uszanowaniem, zdawał się być wysłany tu umyślnie i stanowił oś, około której obrady się obracały.

Wszyscy, aż do tego bezimiennego gościa, który Riedlem nazywał się tylko dlatego, iż się jakoś przecie nazywać było potrzeba — przywitali starego żołnierza. Wszedłszy na gorącą rozmowę, Karol, zaledwie przywitawszy zebranych, cofnął się, nie chcąc jej przerywać. Ale co chwila otwierały się drzwi po nim ktoś nowy wsuwał się... szeptano po cichu, czekając zagajenia ogólnego rozpraw...

Nie rychło po cząstkowych obradach ścisnęło się kółko przy panu Riedlu i Dzieduszyckim; pan Waleryan głos podniósł pierwszy. Czuć w nim było wzruszenie wielkie.

— Panowie a współobywatele — rzekł — przynosimy wam wieści dobre. Oswobodzony naród francuski chce nam podać dłoń pomocną; Rzeczpospolita przyrzeka zająć się losem naszym czynniej i śmielej, niż niegdyś Francya Ludwików...

Wtem Riedel przerwał żywo, głos zabierając:

— Dyrektoryat teraźniejszy, stojący na czele rządów we Francyi, sprzyja nam... posłowie rzeczypospolitej, agenci jej w Wenecyi, w Konstantynopolu, w Berlinie troszczą się i opiekują losem naszych rodaków, uważając ich jakby za dzieci Francyi. Ich pośrednictwu winniśmy zawiązek wkrótce urosnąć obiecującego legionu na Wołoszczyznie. Konstanty Sytammaty, choć nie jest urzędownie umocowany ku temu... daje nam niewątpliwe współczucia znaki...

Narada trwała do późna.

Powracając z tej wycieczki do Krakowa, Karol spotkał na drodze już konno naprzeciw wybiegłego Tadzia, który się o niego niepokoił... i codzień po kilka razy puszczał gościńcem ku Krakowu... W ganku powitała go radośnie Ewa... Z wejrzeń syna i matki czytał obawę... zdawało się, iż się go już z powrotem nie spodziewali... Patrzono mu w oczy badająco, trwożliwie — ale Karol o wszystkiem zamilczeć musiał.

Pobożne to kłamstwo wszakże, człowiekowi nienawykłemu doń, nawet wobec Ewy i Tadeusza powieść się nie mogło... czuli oni, że ich zwodził, że coś w sobie ukrywał i że im lada chwila wymknąć się może.

Ewa płakała, w obawie stracenia ostatniego opiekuna swego dziecięcia, drżała, aby się jej ten odzyskany tak cudownie przyjaciel nie wyśliznął i nie poniósł ostatka życia na niepewne losy... Tadzio myślał tylko o tem, ażeby towarzyszyć stryjowi... gryzł się upokorzony tem, że go jeszcze za dziecko uważano, że nic nie wiedział. W duszy poprzysiągł on sobie, jeśli Karol wyjdzie, pójść za nim... choć na koniec świata...

Nie zwierzał się z tem matce, choć oczy jej, nawykłe badać syna, do głębi w jego duszy czytały... Podwójnym więc niepokojem i obawą drżało biedne jej serce sieroce... i płakała a modliła się, modliła a płakała, aby Bóg od niej ten cios odwrócić raczył.

Jakkolwiek zaprzątniony już przygotowaniem do wyprawy dalekiej, do której tylko czekał skinienia, Karol dojrzał, co się działo z Ewą i jej synem... spostrzegł niepokój, przeczuł łatwo, co zrodzić go mogło...

Przekonywał się codzień, iż tak ich rzucić, nie rzekłszy słowa — nie może.

Z każdym dniem wyjazd zdawał się bliższym, potrzeba było serce otworzyć, walkę stoczyć... i nie wykradając się, jak niegdyś, wyruszyć, matkę powierzając synowi, syna matce...

Dotąd przedmiotu tego nie tykali, choć wszystkim on stał nieustannie na myśli... nareszcie jednego wieczora wszedł Karol do pokoju wdowy i znalazłszy ją we łzach przy klęczniku, wzruszoną, zbolałą, na siłach upadłą... uczuł, że godzina ciężkich wyznań wybiła.

— Kochana siostro — rzekł — nie śmiem badać tajemnicy łez twoich, ona do ciebie i do Boga należy... któż dziś zresztą z najtwardszem sercem nie płacze? ale gdy patrzę na nie, pytam się mimowolnie siebie, czybym ich ofiarą jaką otrzeć nie mógł? powiedz mi, wyznaj, bądź szczerą...

Ewa, ocierając łzy, usiadła przy nim, objęła jego rękę i przycisnęła do ust...

— Mój bracie, mój przyjacielu — rzekła — wiem, że nie poskąpiłbyś ofiary... ale nie śmiem za wiele wymagać od ciebie... Łzy moje, to owoc całego nieszczęśliwego życia... wspomnień, zawodów... możeby jednak oschły, gdybym o Tadeusza, jego przyszłość... o ten dom spokojną być mogła, który, ty z pustki uczyniłeś znośnym... który żyje i opiera się na tobie. Ale czasy są jak przed burzą... cisza przerażająca...! w niej serce czyta trwogę, samo jutro się zdaje przepaścią...

Nikt mi nic nie mówił, przecież odgadłam ja wiele... coś się gotuje, uczynisz że ty ofiarę dla sieroty i wdowy, byś resztę życia dla nich poświęcił? Wówczas źródło tych łez wyschnie i ja odżyć jeszcze potrafię... marzę, iż wyjeżdżasz, uciekasz od nas, porzucisz nas samych... Uspokój mnie, proszę cię... błagam...

Karol głowę spuszczoną na piersi podniósł, w męzkiem oku jego, które zwrócił na biedną kobietę, błyskała jakby łzy spalonej resztka...

— Zmuszasz mnie — rzekł powoli — do ciężkich i bolesnych

wyznań, siostro droga... ja kłamać nie umiem i wszystko... wszystko ci dziś powiedzieć muszę, choćbym cię miał zasmucić. Tak jest, siostro kochana... pójdę.

Spojrzał na Ewę, która chustką twarz zakrywszy tłumiła łkanie i jęk...

— A! nielitościwy bracie! — zawołała, rzucając rękę na dłoń jego — więc chcesz, byśmy tu bez ciebie marnie zginęli! Życie moje, to już dogasające płomię... lecz Tadeusz... ja go znam, jeśli ty pójdziesz, nic go nie wstrzyma.

I Ewa znów łkać poczęła...

Powoli zsunęła się na kolana przed nim, głowę złożyła na jego rękach i łkając, wołała:

— Ulituj się nademną! ulituj... mój bracie... jam tak biedna! te życia resztki mi daruj...

— A! gdyby to było w mej mocy! — zawołał poruszony — siostro... nie potrzebowałabyś modlić się tak przedemną i w rozpacz mnie wprawiać. Ale tyś kobieta i czujesz, co cześć! Nie każ mi być wiarołomcą...

Ewa podniosła się powoli, załamała ręce, stanęła boleści pełna i na pół skamieniała.

— Karolu... ocal mi syna! a Bóg mi ciebie ocali... Wymodlę twój powrót u Niego! ty, wstrzymaj to dziecię, rozkaż mu... Ulituj się nad — matką.

— Zrobię, co każesz — odpowiedział Karol — nigdy też nie namawiałem Tadeusza na wyjście... anibym na nie pozwolił. — Jest za młodym, jest tobie potrzebnym... wątpię, ażeby się ośmielił... Mówił co?

— Nic mi nie mówił, alem w oczach jego czytała — zawołała Ewa — powtarza ciągle, żeś ty dla niego przykładem... Jak ty, gotów jest ujść nocą z rodzicielskiego domu... pamięta o tem, że w jego wieku odbyłeś swą pierwszą wyprawę... Karolu! bracie, zaklinam cię, powstrzymaj go, zwiąż przysięgą... ja umrę, jeśli go stracę... w życiu nie miałam pociechy, prócz tego dziecięcia, byłoby to próbą ciężką, nad siły, zlituj się...

— Nie lękaj się, nie lękaj — rzekł Karol — całując drżące jej ręce... Tadeusz musi mi być posłusznym...

— A ty! — spytała Ewa... — a ty! nie dasz-że się skruszyć.

— Biedna kusicielko! — szepnął stary ze łzą w oku — nie opieraj się przeznaczeniu... zostaw mnie losom moim! — Ja pój-

dę, ja muszę, użyteczny, czy nie, na stanowisko, któremum ślubował.

— Znikniesz mi znów, opiekunie mój, a Skałę zostawisz pustkowiem...

Karol westchnął, obawiał się już zmięknąć, ścisnął jej rękę i wybiegł milczący.

Nazajutrz potrzeba się było z Tadziem rozprawić — czuł Pluta, że mu to nie przyjdzie łatwo. Stawiał się na jego miejscu i nie wiedział, czyby był głosu matki, czy stryja posłuchał.

Właśnie go zastał młody chłopak zadumanego.

— A! stryjaszku! — zawołał — łapię cię na uczynku... coś się święci, a mnie, jako młodemu dudkowi, nic nawet wiedzieć nie wolno.

Karol go do piersi przycisnął i rzekł:

— Słuchajże, tym razem będę z tobą mówił poważnie, jak z dorosłym mężczyzną, złóż gorączkę na chwilę, jeśli możesz... i przyjmij słowo moje do serca.

Cobyś o mnie powiedział, chłopcze, gdyby się co robiło, do czegobym ja ze starem mojem doświadczeniem żołnierskiem był potrzebny... gdyby mnie wołano... a ja nie stanął!?

— Jakto! nie stanął! to nie może być! — wybuchnął Tadeusz — nie nazywałbyś się Plutą i nie byłbyś sobą!

— Dobrze mówisz — potwierdził Karol — to nie może być!

— Więc się coś robi! — spytał z iskrzącemi oczyma młody chłopak, rzucając się na stryja — mów, co się robi!

— Tak, przysposabia się — odparł Karol.

— I ty pójdziesz? — podchwycił Tadeusz.

— Naturalnie, pójdę...

— A ja! a ja! — krzyknął — pójdę?...

— A ty — zostaniesz — rzekł zimno Pluta.

— Nie! jeśli ty pójdziesz, i ja pójdę... na to ci przy...

— Stój! nie rwij mi się, póki nie dokończę... bo ja tobie przysięgam, że ty się stąd nie ruszysz...

Tadeuszowi zaiskrzyły się oczy, usta zaciął, płomień gniewu buchnął wejrzeniem.

— Nie rozumiem — zawołał — mam te lata, w których ty bez zezwolenia rodziców wyszedłeś z domu... mam serce, czuję się silnym... W domu nie zostanę...

— Zostaniesz... — zimno powtórzył Karol.

— Jakaż siła mnie wstrzymać może?... — gwałtownie przerwał Tadzio, prawie do gniewu rozdrażniony.

— Obowiązek względem matki.

— Siadaj i słuchaj spokojnie — dodał Pluta. — Nie potrzebuję cię ostrzegać, że to, co ci mówię, jest tajemnicą.

Legiony ze starych żołnierzy formują się za granicą pod opieką Francyi.

Na tych, co pozostaną tu, leżą inne obowiązki. Nie wolno nikomu rwać się naprzód, każdy powinien czynić, co mu nakazują... i iść na stanowisko sobie wyznaczone.

Tadeusz patrzał mu w oczy, jakby chciał z nich wyczytać, czy to, co mówi, jest prawdą...

— Więc mi wyjść nie wolno? — zapytał.

— Musisz spełnić rozkazy... i pozostać w miejscu...

— Tak! z założonemi rękami! — zawołał Tadeusz...

— Zostawiam ciebie pod rozkazami starszyzny województwa, która rozporządzi, co masz do czynienia — dodał Karol powoli. — Zgłosisz się do Leszczyńskiego i Grzymały, jeśli oni cię pierwsi nie wezwą... ale z nazwiskami, mój Tadziu! pamiętaj... ostrożnie! Rachuję na twą dojrzałość.

Tadzia to nieco ułagodziło... przyszedł stryja uścisnąć.

— O mój dobry, kochany opiekunie — zawołał — na jakąż ty mnie wystawiasz próbę!

— Żadna to sztuka porwać się samopas i zrobić to, co człowiekowi do smaku i do serca przypada... prawdziwe poświęcenie jest ciche, wytrwałe, nie szuka ono zaspokojenia fantazyi, ale karnie i posłuszne stawi się pod rozkazy starszyzny. Ja także do starszyzny należę, i nie jako stryj, ale jako naczelnik, rozkazuję, ci trwać na tem stanowisku... daję ci słowo na to... uroczyste, że gdy czas przyjdzie, wstrzymywać cię nie będę....

KSIĘGA X.

We Włoszech.

Jednego dnia letniego 1796 roku, odebrawszy nareszcie oddawna wyczekiwaną wiadomość, iż legiony we Włoszech przychodzą skutku do pod wodzą Henryka Dąbrowskiego, jednego z tych, których wsławiła kampanie 1794, Karol, nic nie mówiąc nikomu, przysposobił się do wyjazdu. Ewa i syn jej, uspokojeni nie co przeciągnięciem wyprawy, nie domyślali się wcale, że znów miał ruszyć w pole... Spóźniona nieco doszła go wieść, gdy już mnóstwo innych z różnych stron Polski pospieszało, przedzierając się z największemi niebezpieczeństwy do Francyi... zwycięzkiej i groźnej nieprzyjaciołom...

Kto wie czy ten wyjazd ze Skały, z męską rozwagą, z zimną krwią i poświęceniem serdecznem podjęty, nie kosztował Karola więcej, niż pierwsze jego ciche wykradzenie się, pelne świetnych nadziei.

Szedł teraz wielekroć zawiedziony, znękany, obowiązkowi posłuszny, lepiej znając trudności tego zadania, o które już tyle rozbiło się poświęceń... prawie pewien, że na ten próg już nie wróci!

Nie chciał on im i sobie pożegnaniami krwawić serca, utaił boleść, skłamał uśmiech, aby nie obudzić podejrzeń, dał Ewie dobranoc, jak codzień, pozwolił Tadeuszowi długo w noc siedzieć na gawędce u siebie, nie zdradził się niczem... nie widać było przygotowań do drogi, a jednak o świcie, gdy wszyscy jeszcze spali, zdjął Saracenkę z gwoździa i pieszo się wyśliznął za dwór do gospody Abrahama, gdzie na niego już zamówione konie czekały...

Nazajutrz rano nie domyślano się ucieczki, bo Karol przebąknął, że może wyjdzie na polowanie, czekano go cierpliwie z wie-

czerzą... i gdy już noc była, strwożony Tadeusz wbiegł do jego mieszkania. Spojrzał na ścianę, nie było Saracenki...na stole dwa listy leżały: do Ewy jeden, do Tadeusza drugi, przypominający mu obowiązki...

Smutny, jak grób, stał się znów dwór w Skale....

Któż zliczy tych lat ofiary i kto je oceni?

Często bez grosza, o głodzie, żebraczo, z niecierpliwością, trawiącą, jak gorączka, szedł dobrowolny tułacz... A wpośród idących pielgrzymio na ten głos wdowi, iluż niosło z sobą nadzieję, jak wielu zwątpienie i rozpacz.

Pustoszały ławy szkolne, nikli gospodarze ze dworów, słudzy... starzy żołnierze, co już walczyli, biegli, aby walczyć jeszcze, ci, co nie dorośli do broni, chwytali ją, aby dowieść, że dźwigać już byli godni.

Ochłonąwszy z dni szału i upojenia, Francya wracała do normalnego żywota, zatrzymując zasady i idee, które ukrzepić ją miały; wyrastali z ludu wodzowie zwycięzcy, z ziemi wychodzić się zdawały owe tłumy bose, głodne, ale niezwyciężone, walczące z zapałem, przed którym wszystko pierzchało ...

We Włoszech objawiał się światu ów geniusz wodza, który tak potężnie wpłynąć na jego losy — dwudziestosiedmioletni Bonaparte.

Dziecię rewolucyi wiodło jej zastępy zwycięzkie, dokazując cudów, urok jego imienia rósł z każdą chwilą z każdem piorunnem zwycięstwem, na czole zamyślonem palec Boży już mu wypisał przyszłość całą — wielkość, bohaterstwo, pychę, upadek, męczeństwo...

Z nim razem walczyli już w armii włoskiej Polacy: Sułkowski, towarzysz jego szkolny z Brienne, Strzałkowski i zawcześnie zgasły Puchała... Nieznanych sobie Polaków Włosi witali bratersko: Gli uomini liberi sono fratelli?

Pluta, przedarłszy się do Saksonii, znalazł tam już kilku ziomków, jak on, dążących do Włoch na odgłos legionów; ponad nimi unosiło się imię Henryka Dąbrowskiego... Wszystko, co żyło z rozbitków, leciało w nadziei, że z niemi do kraju powróci. Z Drezna do Paryża, przez Niemcy rozdrażnione przeciwko Francyi, droga była niebezpieczną, posądzano każdego o szpiegostwo, chwytano podejrzanych z paszportami niemieckimi, pod różnemi pozory biedni żołnierze przekradać się musieli, jak złoczyńcy.

Tak naówczas Tremo, podróżując dla sprawy legionów, które jego żarliwość stworzyła w myśl powszechną, musiał się przezywać Rejmontem i nieraz lokajską przywdziać liberyę; tak Ogiński zmieniał nazwiska, mianując się Dzieduszyckim, Riedel'em i nie wiem wielu imionami pożyczanemi, starając się przekształcić twarz, którą listy gończe po Galicyi ścigały Wśród owego zaprzątnienia wojną, niebezpieczeństwy przy dosyć jeszcze dobrodusznej policyi, którą lada czem ująć było można i lada pozorem .. z twarzy ich baczniejsze oko mogło odrazu wyczytać, czem byli... Paszport poświęcenia mieli w oczach i na licu; nie jedząc, nie pijąc, nie śpiąc, nie czując chłodu, nie słysząc wrzawy, co ich otaczała, szli niezmordowani, lekceważąc wszystko w tem rozgorzeniu namiętności, które nic czuć nie daje nad wielki cel... u drogi końca.

Razem z innymi pod panowaniem uczucia, którem ożywał, szedł Karol Pluta — w gronie dobrych towarzyszów, wczoraj poznanych, jutro już przyjaciół serdecznych, tak wielka miłość wszystkie spajała serca. W drodze... dzielono się groszem, wspierano wzajemnie, ratowano, napędzano wstrzymanych ubóstwem, obalonych chorobą, byle więcej rąk przynieść tej legii, która zdawała się już w ich oczach zastępem wybawicieli...

A była to kupka rozbitków, których nie państwa, nie rządy, ale kilku poczciwców, jak de la Roche, jak Bonneau, jak Caillard, Stammaty i Verninac, wspierali.

Rzeczpospolita francuska tymczasem z każdym dniem stawała się rozumniejszą i chłodniejszą — wstydziła się jeszcze otwarcie ruszyć ramionami, nie śmiała pozywających ją o spełnienie obietnic odprawić z niczem — i przybytek ów rąk domagających się broni słała do Włoch, na linię bojową...

Dla niej było to... chair à canon tylko... dobrodusznie

rzucająca się w ręce, jak baran na ofiarę... pozbywano się bohaterów, ułatwiając im zgon bohaterski.

Gdy po raz pierwszy przedstawili się młodemu wodzowi wojsk Rzeczypospolitej starzy dowódzcy polscy, generałowie: Dąbrowski i Wojcztyński, przyszły Cezar przyjął ich, siedząc, w sposób dosyć lekceważący... zapytał jakie stopnie zajmowali w wojsku Kościuszki i za generała-łejtnanta ofiarował w legiach stopień kapitana Dąbrowskiemu, a za generał-majora Wojczyńskiemu porucznikostwo. Trzeba było to znieść z pokorą i lepszego dobić się szacunku. Jakoż Bonaparte, zapewne lepiej uświadomiony, oświadczył się później z tem współczuciem dla Polski, które miał dla niej, ilekroć mu ono do czego posługiwać mogło: mówił o heroicznych synach tego narodu... i zgodził się, aby szli boso i o głodzie walczyć na chwałę francuskiego oręża...

Potrzeba było tysiąc przewalczyć trudności i znieść zwłoki nieuchronne, zwolna przez Niemcy posuwając się ku brzegom Renu... w ostatku Karol znalazł się na ziemi wolnej i pospieszył do Paryża.

Pluta przybył w dosyć licznem towarzystwie, ale dwóch z niego znużonych zachorowało śmiertelnie... inni, ledwie się dowlokłszy, rozproszyli... Został więc sam z nieodproszonym Stachem, którego wlec musiał za sobą, bo mu się ze łzami w oczach prosił i modlił do Francyi, wczoraj przeklętej, dziś pożądanej. Dolegające rany stare zmusiły Plutę wstrzymać się dla wypoczynku w Paryżu, jeszcze po uwolnieniu z jarzma terroryzmu, szalejącego i bawiącego się przy odgłosie tryumfów wojsk rzeczypospolitej!

W kilka dni po przyjeździe do stolicy, Stach, który poszedł odwiedzić krewnych swej pierwszej żony, powrócił w dobrym humorze... prawdę rzekłszy, aż do zbytku wesołym; wyprosił się zaraz powtórnie i znów i jeszcze... znikł, aż na ostatku zwlókł się z dosyć żałosną miną, przyznając, że nie czuje się dosyć silnym, aby nową i ciężką przedsiębrać kampanię, ale że myśli zostać w Paryżu i... ledwie wykrztusił biedny! ożenić się raz jeszcze, próbując szczęścia!

Karol, nie mogąc parsknąć śmiechem, ruszył ramionami i spojrzał na Stacha z politowaniem.

Nieszczęśliwa ofiara stała, błagająco patrząc na dawnego swojego pana... Karol nie chciał mu nic mówić, wiedział, że odradzając podrażni, a ulitował się w duszy słabej istocie, czepiającej się resztek szczęścia, zawieszonego na nici pajączej... nad przepaścią...

— Idź z Bogiem — dodał w końcu.

Stach przypadł mu do kolan, spowiadając się ze wszystkiego. Ta nowa była kuzynką Babety i bardzo, bardzo do niej podobną... ale daleko milszą i lepszą... znał ją i lubił dziecięciem... ofiarowała mu się sama...

Stary, skołatany włóczęga, jeszcze raz próbował, kusił losy... Rozstali się.

Dnie biegły dość szybko dla Karola; dowiedział się on od Ogińskiego, że legie już się formowały, Włochy przyjęły je w służbę swoją, dozwolono im kolory i oznaki narodowe zachować... naostatek, że Dąbrowski uskarżał się na brak oficerów.

Bonapartego gwiazda (już ją upatrzono w niebiosach), geniusz (już weń wierzono na ziemi), szczęście naostatek (którem się zasłaniała zazdrość), zdawały się torować drogę legiom naszym przez rozbitą Austryę... Młody wódz szedł, niemal dzień każdy znacząc tryumfem, rzeczpospolite rosły pod jego stopami... cispadańska, transpadańska... zdawały się zapowiadać coraz nowe, na które się dzielić miała Europa. Szczęśliwe walki z dowódcami najsłynniejszymi, z arcy-księciem Karolem, na nowo rozpoczęte, z tryumfy nowymi, otwierały głąb Austryi zwycięzkim orłom rzeczypospolitej.

Na odgłos nadziei, którą wieść olbrzymiła, Karol leciał, rzuciwszy chorych i opóźnionych — do Mantui... Szczęśliwym trafem ułatwiono mu przejazd do armii z oficerem francuskim, wiozącym depesze do Dyrektoryatu... do główno-dowodzącego. Tak bez spoczynku lecąc, z zimy zachodu przerzucony został na ciepłą wiosnę południa... Na jednym Alp stoku leżały jeszcze śniegi, wiało mrozem, na drugim kwitło młodością, nadzieją, zielenią; odetchnął tem powietrzem piersią całą i poczuł się także

odmłodzonym. Zapomniał o ranach i znużeniu... Ale dostawszy się do Mantui, Płuta nie znalazł już tam Dąbrowskiego: w dniu 6 kwietnia 1797 roku, odebrawszy rozkaz wyjścia do Palma-Nuova... cały legion wyruszył... całe siły polskie miały się tam zgromadzić.

W Mantui już kilku przypóźnionych ze łzami w oczach a żarem w słowie mówiło mu pocichu, iż wyjście to nagłe nic innego nie znaczyło, tylko przyjęcie planu generała Dąbrowskiego przez Bonapartego...

Starano się miarkować uniesienia, lecz radość była nie do opisania, zapał dochodził do szału... Nie było chwili do stracenia, z Mantui w ślad za legią puścił się Karol do Palma Nuova i dogonił nazajutrz o jeden marsz tylko oddalonego szefa Dembowskiego.

Natychmiast zameldował mu się stary żołnierz ochotnikiem, chociaż nieznany osobiście, miał za sobą towarzystwo broni Pułaskiego i Kościuszki. Szef i wszyscy przyjęli go otwartemi rękami, ale zostawiono pomieszczenie go w kadrach generałowi Dąbrowskiemu.

Płuta nie żądał nic więcej, tylko, by jako grenadyer mógł towarzyszyć oddziałom i wesoło poszedł naprzód... Rozgrzało mu się serce od bicia serc tylu jedną myślą złączonych...

Widok jaki naówczas przedstawiały legiony, zachwycającym był dla serca polskiego, ale smutnym dla oczów, któreby bohaterów w innym stanie oglądać pragnęły. Wprawdzie, wojska rzeczypospolitej francuskiej o niewiele może lepiej wyglądały — lecz Polacy nędzni byli, wybledli i odarci. Karolowi mimowolnie przypomniała się Ameryka i pierwszy obóz żołnierzy nowego świata pod Wilmingtown. Ale ta nędza była tak wesoła, ci wiarusy tak ochoczo śpiewali mimo głodu!

Chociaż część legii zdobyła się na mundury, już je trudy wojenne poszarpały, reszta, z wojskowa odziana, fantastycznie, napróżno starała się o jednostajną fizyognomię, broń ochotników i stan ich dojść do tego ideału nie dozwalały. Przy wielu mundurach brakło obuwia, zastępowały je płótno, sznury, kawałki skóry i szczątki trzewików. Nie lepiej było z bielizną, którą przy

pierwszym strumieniu prano, a suszono na grzbiecie. Dodajmy, że tak ubrany, a raczej oszarpany żołnierz, często bywał bez chleba, prawie zawsze bez mięsa, rzadko miał czystą wodę za napój... a w większej części utrzymywał się o własnym, z domu przyniesionym groszu, gdyż na żołd długo czekać i smutnie się go upominać było potrzeba.

W kilku kociołkach, zawieszonych nad ogniskiem z suchych gałęzi winnych, warzył się ów sławny, tradycyjny żołnierski rosół z zęba od brony... ale wesołe śpiewy i żarty towarzyszyły kuchni anachoretów.

Czasem w rozmowie ozwał się głos nowy, potoczyło się słowo... obudził ktoś z drugiego grona i dwóch przyjaciół, krewnych, rzucało się sobie w ramiona: — Ty tu? — ty tu? mój Boże! Skąd? jak?

I płakano, i ściskano się... a głodu zapominano.

W pochodzie do Mantui, wiarą w to, że legiony przez Węgry do Galicyi wkroczyć mają, ustaliła się powszechna, każda chwila ją wzmacniała, radość powszechna, zaraźliwa, ożywiła wszystkich, od prostego ciury do starszyzny. Wierzono w Dąbrowskiego wpływ, a on pierwszy osnuł ten plan, przyjęty przez Bonapartego.

Około małej mieściny Palma-Nuova, w najpiękniejszy dzień włoskiej wiosny już skwarnej, pod pogodnem niebem, przy słońcu rozpromienionem i jasnem — blisko pięć tysięcy wychodźców dobrowolnych ściskało się, winszowało sobie, śpiewało i płakało.

Wyglądano tylko wieści ostatecznej, stanowczej, od kwatery głównej armii, która była w Karyntyi. Bonaparte znajdował się pomiędzy Sant-Veit i Friesach. Nikt naówczas nie przewidywał, że młody wódz, niemal przerażony swem szczęściem i łatwemi tryumfy, podpisał już ów pięciodniowy rozejm, który był wstępem do mającego się zawrzeć pokoju... pokoju z Austryą, który w zarodzie wszystkich niszczył nadzieje.

Nazajutrz po tym dniu radosnego rozłożenia obozu pod Palma-Nuova, gdy wszyscy spodziewali się rozkazu do wymarszu i posuwania się w głąb kraju, — Bonaparte punkta wstępne pokoju podpisywał w Leoben.

Karol, zrazu niedowierzający, wreszcie dał się upoić tej radości, która go otaczała dokoła; nadzieja jest zaraźliwą, jak wszystkie uczucia.

Z chłodniejszą przyszedł rozwagą, zawiedziony, więc nieufny, bronił się marzeniom z obawy nowego zawodu, ale mógłże się oprzeć chórowi tych serc tysiąca, bijących na nutę jedną? uśmiechom jaśniejącym weselem... szałowi, który opanowywał tłumy i rósł, spotęgowywał się z każdą chwilą?

Tchnienie młodości i wiary owiało go znów, jak gdy na siwym leciał do konfederatów...

Nadzieja łączyła wszystkich, podawali sobie ręce, wrzało, krzyczało, śmiało się, wyśpiewywało obozowisko, dzieląc się nędzną strawą, przyprawną... weselem serdecznem... Tłuczono śpleśniałe suchary, spajano buty poszarpane.. zawiązywano rany świeże... i cieszono się jednem... Idziemy, idziemy do Polski...

W starej katedrze miasteczka kilku posiwiałych barszczan uklękło się modlić przepojonych weselem, prosząc Boga, by odwrócił od nich nowy kielich goryczy...

Kościół był odwieczny, mroczny, ciemny w południe, milczący... z dala od obozu i miasteczka dochodził doń gwar wesołego ludzkiego mrowia, co się u stóp wzgórza rozlożyło...

Jedna lampa paliła się przed starym giottowskim obrazem N. Panny z twarzą smętną i litościwą... przypominającą Częstochowską Bogarodzicę...

U stóp ołtarza na klęczkach, po dwóch stronach, modliło się dwóch żołnierzy, z siwiejącemi głowami...

Modlitwa ich szła do tej Matki Miłosierdzia, do której od dzieciństwa zwracać się byli nawykli... Nie dla siebie i nie za siebie słali prośby do Orędowniczki; u ołtarza przytomnym, jak we śnie, był kraj, młodość, dom, rodzina żywych i umarłych... I modlitwa ona serdeczna tężała na wargach, a myśl leciała na szare pola nasze i... płakała u mogił dziadowskich... To znów wracała szeptem cichym i snuła się nicią złotą ku niebiosom...

W kościele nie było nikogo, pusto i smutno... klęczeli tak długo... aż wstał jeden i drugi, spojrzeli na siebie... podali sobie dło-

nie, choć nieznani... Oba mieli wiek prawie jeden i twarz spracowaną trudem długim, którą mrok kościoła okrył bladością, a smutkiem wspomnienia modlitewne...

I wyszli tak na próg, nie mówiąc nic... aż gdy stanęli na jakimś głazie grobowym za kruchtą, spojrzeli sobie w oczy znów...

— Bracie — odezwał się jeden — Bóg widzi, myśmy się już gdzieś widzieli na świecie, nie obcy jesteśmy sobie... tyś...

— Jestem Karol Pluta — rzekł drugi — niegdyś konfederat barski, potem towarzysz Pułaskiego w Ameryce...

— O mój Boże, tyś Pluta — przerwał drugi — ja jestem Darewski... i ja w barskiej byłem potrzebie... ale mogliżeśmy się poznać? tyle lat!...

— I tyle strat i tyle żałoby... — dodał Karol — a no dziś! wskazał ręką na obóz pod miasteczkiem, który z góry, jak na dłoni, widać było... a no dziś... świecą nadzieje!

Darewski spojrzał nań i ręką zamiast ku obozowi, zwrócił do posępnego wnętrza kościoła.

— Tam — rzekł — a nie tu... przyjacielu a towarzyszu — szepnął, biorąc go pod rękę i zwolna ciągnąc napowrót do obozu... — nam sobie dwom tylko powiedzieć to wolno, bo serca nie odbierzemy, mówiąc prawdę... Nie łudźmy się, ale ufajmy Bogu...

Trzeba było legii, aby przeciw śmierci zaprotestowały, lecz zginą tysiące, zmarnieją poświęcenia, dorobimy się tylko łachmana sławy może, której nam nadzieje zaprzeczą... mogiły pod Włoch niebem z cyprysami...

Darewski westchnął.

— Mój Boże! — odezwał się Karol — są to myśli i uczucia, z któremi ja szedłem także, wyznam wam jednak, że od Mantui ogarnięty powszechnym szałem, sam sobie wyrzucać począłem niedowiarstwo moje. Widok obozu uniósł mnie, o smutku kazał zapomnieć... nakarmił...

— Należała się wam — odrzekł Darewski — ta nagroda, choć chwilowa... Bliżej byłem ludzi i okoliczności, co stworzyły legiony, od was, którzy dopiero przybywacie, głębiej zajrzałem w tajemnicę tego związku... Nie łudźmy się, legie zostały nam dozwolone, są tolerowane, dobijają się i dobiją szacunku... lecz...

— Rzeczpospolita francuska wyrzekła uroczyście — przerwał Karol — iż pomoc jest winna.

— Tak — zawołał Darewski — powiedziała to w chwili gorą-

czki, z której powoli ostyga... im szczęśliwszą będzie, im świetniej tryumfującą, tem my mniej na nią liczyć możemy... Powodzenie uczyni ją bojaźliwą, zwycięstwa zrobią ostrożną, wyczerpanie się zmusi do egoizmu... Już dziś rzeczpospolita daleko odeszła od tego kresu, na którym stojąc, świat odrodzić obiecywała... Któż przewidzi czem skończy?

Jesteśmy w ręku Francyi narzędziem, postrachem, groźbą i pozostaniemy długo tylko... narzędziem.

Smutnie pospuszczali głowy.

— Przyszliśmy jednak oba — rzekł Karol..

— I oba dotrwamy, bo tu idzie w przekonaniu mojem — dołożył Darewski — o sławę dawną oręża polskiego, o rozgłos imienia, o życia naszego świadectwo. Manifestujemy się, jak niegdyś po Grodach, ażeby przedawnienia nie dopuścić.

Słońce zniżało się, gdy tak powolnie rozmawiają, zbliżać się zaczęli ku obozowi. Karol stanął i patrzał...

— A! nie jest-że to — rzekł — widok, któryby najzimniejszego mógł rozgrzać człowieka? tych kilka tysięcy ludzi, co porzucili wszystko i poszli tułać się. Pomiędzy nimi od dziecka do starca, od bogacza do nędzarza... masz wszystkich... najsłynniejsze imiona i ci, co żadnych nie mają, nasze poczciwe Maćki obok Sułkowskich, Wielhorskich, Potockich... wszystka nędza nasza...

Rozmowa zeszła na obu przygody z Kościuszkowskiej wojny, na towarzyszów, losy i wypadki krajowe...

Zdala coraz głośniejsza dolatywała ich wrzawa obozu.

Darewski, nim doń doszli, krzyżem w powietrzu go pobłogosławił.

— Dajże Panie Boże — odezwał się — aby, jeśli nie radość dzisiejsza, to zgoda i miłość, jaką żyjemy jeszcze... trwały i krzepiły się... Dla moich starych oczów już zarody tego, co w każdym człowieku siedzieć musi, a co nieszczęście rozwija — zarody waśni i nieufności... są niestety —aż nadto widoczne... Dąbrowski ma nieprzyjaciół, znajdzie ich każdy, co stopień otrzyma, co się odznaczy i wypłynie. Lada niepowodzenie i klęska... poczniemy bój z samymi sobą... quod Deus avertat!

— O! ja tak źle nie wróżę! — odezwał się Karol...

— A jabym własną mą wróżbę rad odmodlić — kończył Darewski — a nie mogę... Dławi mnie ta nieunikniona przyszłość. Mo-

żeż być inaczej z naszemi sercami, przepojonemi goryczą taką, narażonemi na tak ciężkie próby.

Tak zeszli pośród ognisk i żołnierzy, którzy siwe wąsy witali po wojskowemu... Wiara śpiewała jeszcze, a już kilka niespokojnych, smętniejszych twarzy starszyzny przesuwało się, jakby z przeczuciem jakiegoś odczarowania i zawodu...

Po tej rozmowie, bardziej niż kiedy, postanowił trwać w swej myśli Karol, ażeby o żadną rangę i stopień nie dobijać się w wojsku, pozostając w niem prostym ochotnikiem a żołnierzem. Zdawało mu się, iż powinien dla przykładu drugich i dla własnego sumienia wstąpić do legii, jako szeregowy... służyć o własnym koszcie i nie cisnąć się tam, gdzie był może brak zdolnych oficerów, ale nie zbywało na roszczących sobie do dowództwa prawa.

Darewski ,wracając z tej przechadzki, zaprowadził go i przedstawił Dąbrowskiemu, jako towarzysza Pułaskiego i Kościuszki. — Generał słyszał już o jego przybyciu, wiedział o przeszłości, spotykali się też kilkakroć przed bitwą Maciejowicką, gdy Płuta wysyłany był z rózkazami po kraju...

Przyjazd Karola, którego witał uprzejmie, stawił wszakże Dąbrowskiego w położeniu dosyć przykrem; zasługi starego żołnierza, stopień, jaki zajmował, zmuszały niemal do odpowiedniego im umieszczenia w legionach... a wyższe stanowiska już wszystkie były poobsadzane... Z twarzy zakłopotanej łatwo było wyczytać, iż nie wiedział jeszcze, co pocznie z przybyszem pożądanym, a — jak mu się zdawało — do zaspokojenia trudnym.

Prędko jednak Płuta wywiódł go z tego frasunku, oświadczając na wstępie, że przybywa z prośbą, aby mógł służyć, jako prosty grenadyer... ochotnik o koszcie własnym... Lice Dąbrowskiego rozjaśniło się, odetchnął wolniej i serdeczniej jeszcze uściskał poczciwego Płutę.

Dla przyzwoitości tylko spróbował się nieco jego postanowieniu sprzeciwić, lecz niezmiernie łatwo uległ stanowczemu oświadczeniu konfederata, iż żadnego stopnia nie przyjmie.

Darewski nazwał to żartobliwie dumą, Karol tłumaczył się ślubem uczynionym, Dąbrowski milczał, lecz znać było, że mu wielki ciężar z bark spadał. Codziennie biedny miał z tyla miłoś

ści własnych do walczenia, żadnej nie mogąc zaspokoić, wszystkim zmuszony się narazić! Jakże drogim wydawał mu się ten człowiek, który z niej dobrowolną czynił ofiarę!

Pogłoska o starym konfederacie, który stawał w szeregu grenadyerów, rozeszła się po obozie i dała naturalnie powód do rozlicznych tłumaczeń. Większość widziała w tem pewną dumę, jakby wyrzut gorzki tym, co się tak ubiegali za szlifami; jakby naukę daną młodszym, aby nie zapominali o celu i zadaniu tej falangi wybawczej!

Karol, w prostocie ducha, wcale nie miał zamiaru narażenia się towarzyszom, nie domyślał się, dla czego koso nań nieco spoglądano; zyskiwał w ten sposób swobodę, odpowiadając sam za siebie tylko i w legionach pozostając, jak był starym barskim konfederatem.

Nagle wśród tego wesela złowrogo smutne ukazują się twarze, chmurne czoła, milczące usta, ludzie jakby z politowaniem patrzący i rezygnacyą, na szczęśliwych. Ale nikt jeszcze nie śmie wyrzec słowa, co — resztę nadziei ma odebrać.

Cicho tylko starszyzna osłupiała szepce między sobą: — Bonaparte zawarł pokój z Austryą.

Jeszcze nie dają jej wiary, ale na ucho podawana wiadomość szerzy się i odbiera wesele, maluje się w obliczach, odgaduje z oczów... Gdzieniegdzie w kupki zebrani gwarzą o niej tajemniczo oficerowie... domyślają się żołnierze... śpiewy ustają powoli... Zamieszanie i niepokój się szerzy, rośnie, wzmaga. Oficerowie biegną do dowodzącego, żołnierze wstrzymują oficerów i badają, gdzieniegdzie słychać przekleństwa i wykrzyki, i znów martwa po nich cisza...

Kwatera generała jak w oblężeniu, wchodzą do niej i wybiegają, on sam jeszcze niepewny, zaledwie się głucho o pokoju dowiedział, stoi blady, nie rozumie spełna, co to znaczyć może... Na pytania natarczywe odpowiada ruszeniem ramion i półsłowami... po tylu zwycięstwach to powstrzymanie się na pół drogi?... nikt sobie wytłómaczyć go nie umie.

Po obozie leci już druga wiadomość, potwierdzająca pierwszą, że wojska cofać się zaczęły z posiadłości Austryi.

Po wczorajszem weselu... zamęt, tem straszniejszy, tem gwałtowniejszy, iż wprost żarzące płomię zalano... Wrzawa szumi, rozpacz, gniew, przekleństwa... legioniści rzucają broń... padają bezsilni na ziemię...

I pod noc cisza grobowa... złowroga, zalega hałaśliwe wczora obozowisko. Straszna rzeczywistość zajrzała w oczy zrozpaczonym...

Już późno ktoś z kwatery generała przyniósł wieść, że Dąbrowski wybierał się do Bonapartego, stojącego w Graetzu, dla rozmówienia o dalszych legionów losach... inni przyszli, potwierdzając ją, że go odjeżdżającego widzieli.

Tak przeszła noc, a ranek oświecił blade i smutne twarze. Z dnia na dzień zmieniło się obozowisko, nadewszystko żołnierz był nie do poznania, odjęto mu siłę, ochotę, zapał, biorąc nadzieję... leżał znękany i osłabły na ziemi. Razem z innymi Karol także leżał pod murem, ze spuszczoną głową na piersi, on może mniej czuł to przejście z zapału do rozpaczy, bo nie poślubił przesadzonych nadziei... ale boleść towarzyszów w nim się odbiła.

Milczący spoczywał tak, gdy nad sobą głos usłyszał.

— Niech będzie pochwalony!

Siwe wąsy Darewskiego zobaczył, podnosząc oczy.

— Na wieki! — rzekł — jak się macie?

Popatrzyli na siebie milczący chwilę.

— A co — szepnął Darewski — aż nadto prędko ziściła się przepowiednia moja... Wiecie?

— Słyszałem...

— Pokój zawarty... Idziemy uśmierzać Włochy i fundować nowe rzeczypospolite, które wprędce przedzierzgną się w tyleż królestw... Co wy na to?

— Wola Boża...!

— Dąbrowski pojechał do Graetzu! żołnierz upadł na duchu...

Potrzęśli głowami, podali sobie dłonie...

— A iść potrzeba — dodał stary Darewski — iść potrzeba... Usque ad finem (wytrwać do końca).

Wieczorem już ani o pokoju, ani o odwrocie wojsk najmniejszej nie było wątpliwości... a słaba, słaba nadzieja, ażeby Dąbrowski przywiózł dla legii pociechę...

Ci, co uparcie trzymali się wymarzonych nadziei, w dni kilka rzucić je przed rzeczywistością musieli, na dziś wszystko było stracone, przyszłość znowu wracała mroczna, niepewna, smutna, jak była.

Mimo szemrań pojedyńczych... legia w milczeniu zwinęła się posłuszna i za rozkazem naczelnego wodza, zaczęła się ku Trewizie posuwać.

Ale ten pochód nowy jakże się wielce różnił od owego weselnego z Mantui do Palma Nuova! twarze, i serca, i postawy i myśli były inne. W szeregach, idąc, wzdychano i szemrano...

Jeśli kilku starszyzny znów weselszemi twarzami dodawało ochoty, żołnierz prawie wszystek szedł smutny, przybity, bezmyślny. W chwili walki rozpacz rozbudzała męstwo, a raczej wściekłość, ale boju tego nikt nie rozumiał, nie pragnął, czuł każdy, że on do niczego nie prowadził... Zwątpienie było straszne ogólne.

Rozdrażniony Michał Ogiński, gdy mu w Paryżu Karol de la Croix podszeptywał, aby w Galicyi zrobiono powstanie, obiecując głucho poparcie rzeczypospolitej — odparł z gniewem, iż Francya myśli tylko o własnych korzyściach, o wyzyskaniu niedoli dla siebie... Toż samo powtarzało się w obozie przy kotłach co chwila...

— Francyi przydatna — szemrali żołnierze...

Ale tym naszym, którzy nie mieli dokąd powrócić, bo ich dom był zaparty, nie pozostawało nic prócz rozpaczliwej walki bez celu i szukania śmierci w szeregach, do których się zaciągnęli.

Szli też z uczuciem obojętności i wzgardy niemal, gdzie im iść wskazano.

A nie oszczędzano ich wcale.

Najtrudniejsze do spełnienia prace na ich część zrzucono... zwykle słano Polaków na uśmierzenie zbuntowanych miasteczek, na zburzone kupy zbrojnego ludu, na robienie wyłomów, aby niemi bezpieczniej szedł potem żołnierz francuski...

W dyrektoryacie, w radach starszyzny uśmiechano się ze złudzeń marzycieli... ale podkarmiano je ciągle...

Bonaparte, widząc na twarzy Dąbrowskiego trwogę, zwątpienie, boleść, odprawił go ogólnemi wyrazy, że należy mieć cierpli-

wość, wytrwanie, że wielkie dzieła nie dokonywają się w dniach niewielu, że gdy sprzyjające nadejdą okoliczności, Francya i t. d. i t. d.

Dzieje legionów są świetną zaprawdę kartą dla polskiego oręża, ale jak bolesną dla serca polskiego... Niedołęstwo nasze polityczne posuwa się tu aż do ślepoty... heroizm żołnierza nie rozgrzesza dobroduszności wodzów.

Giną tysiące, gromadzą się nowe; nadzieje ulatują, rodzą się z nich młode... ufności nie ma końca, a Rzeczpospolita zwycięzka, oddając sprawiedliwość męstwu... nagradza je — oklaskiem...

Ta jedna karta, obóz pod Palma-Nuova, jest zmniejszonym obrazem całych dziejów legii naszych — jeden dzień nadziei przecinający długi szereg dni rozpaczy. — Wysiłki ciągną się lat kilka, wycieńczają i żywią, opór nasz równa się obojętności, Francyi.

Tę drogę poświęceń daremnych wyściełamy całą grobami mężnych żołnierzy — zapłaconych gałązką wawrzynu i — zapomnieniem.

Już po zawodzie, doznanym przez zawarcie traktatu w Leoben przybywają nowe siły, Białowiejski prowadzi tysiąc ludzi, legie organizują się na nowo...

Obok idei stworzenia siły zbrojnej polskiej za granicą, rodzi się druga dopełniająca ją, wskrzeszenia sejmu i władzy prawodawczej. Myśl tę kilka poczciwych serc a zapalonych głów przyjmuje z uniesieniem...

Myśl ta odżywia zamarłe legionów życie, nadaje im nowe znaczenie, nie będą osamotnione na łasce obcych.

Wybicki, Barss, Prozor, Wojczyński, Kochanowski... zelektryzowani tą myślą, poruszają się, dzielą pracą, biegną.

Ale tu powtarza się właściwe naszym losom rozwiązanie... narady odbywały się głośno, powiernikami byli niemal chłopcy uliczni, zaufanie nasze nie znało granic... wieść o wysłańcach do Polski wyprzedza ich... na granicy czekają zaczajone straże... a osnute plany wpadają w zastawione sidła...

A falanga przyszłych wybawicieli wysługuje się tymczasem

Francyi, idzie gdzie najtwardsze węzły bojem i krwią rozwiązywać potrzeba.

Dzisiaj uspokajają Reggio, jutro do Bolonii ich gnają, dalej do Mestre, do Wenecyi, bo i Wenecya się burzy sił resztkami. Biją się i przypominają codzień: — Myślcie o nas! a za każdym razem uczą ich cierpliwości, zagrzewają do wytrwania... Bonaparte ma ważniejsze do spełnienia dzieła — czekajcie!

Los wszystkich był Karola losem; pochód nużący, walka bez myśli i celu, dziś rany, jutro szpital, i znów wyprawa i nieustanna włóczęga. Walka ze zburzonym ludem, z umysłami, z wydzierającą się obcemu panowaniu i narzucanej wolności Italią... Ani chwili spokoju, ani godziny osłody, ani kropli pociechy.

Z monotonią buletynów wojskowych powtarzają się te dzieje zawsze jedne — głód, chłód, nędza, rany, śmierć... i godzina czasem wieczorem u ogniska cichej rozmowy o kraju, lub piosnka, co serce odżywi...

Rok upłynął od tego błysku nadziei pod Palma-Nuova.

W życiu naszego tułacza nic się nie zmieniło; przybyło mu nie dobrze zagojonych ran kilka... Był to teraz żołnierz twardy, milczący, zahartowany, na którego ustach uśmiech zjawiał się rzadko, słowo z nich płynęło trudno — ale do boju szedł chłodny, nieustraszony, z odwagą niedorównaną, z okiem i instynktem starego wiarusa, co jasno widziały tam, gdzie drudzy nic dojrzeć nie mogli.

Z tylu bitew tak różnych wyniósł on to doświadczenie, które się nabywa tylko lat i krwi kosztem, przeczucie położenia, co samo nie wiedząc czemu, z oznak niedostrzeżonych ludziom nowym wie, jaki los dzień czeka poczęty i czem ma zamknąć się walka.

Z tego milczącego, stwardniałego wiarusa trudno było dobyć słowo, ale dowódzcy i żołnierze nawykli byli nań patrzeć i czytać na jego twarzy. Jeśli tępo szedł a ostro patrzył, sprawa się wróżyła trudną, jeśli chyżo pędził, pewne było zwycięstwo, jeśli na rozkaz wodza oglądał się, jakby z powątpiewaniem, radząc

mu się rozmyśleć — najstarsi nawet, najwytrawniejsi: Dąbrowski, Kniażewicz, Kosiński, Wielhorski, nie pytając go, spoglądali nań, gdzie stał w szeregu, jako żołnierz prosty, a twarz jego była i im nieraz radą i przestrogą... Współtowarzysze otaczali go tą czcią cichą, która przystała cnocie skromnej.

Twarz ta, która wszystkich zwracała oczy, czarna była, spalona, wczesnemi poorana zmarszczkami, stara, z czołem dawno obnażonem z włosów; — przecież gorzała jakimś ogniem młodości, który życie czyste zachował w nim cudownie.

Lacedemońska życia prostota dawała mu siłę niezmierną, wytrzymał łatwiej niż drudzy dzień bez posiłku, kilka nocy bez snu i spoczynku, rzadko skosztował wina, często samą wodą pragnienie koił, głód chlebem suchym.

Potęga ducha łatwem czyniła nad ciałem zwycięstwo; dziwili mu się jedni, obawiali drudzy, młodzież starała się mu sprostać.

Różnił się wiele Karol od ludzi tej epoki i otoczenia swojego. Wszyscy niemal, od żołnierza do wodza, byli to ludzie poświęcenia bezbrzeżnego, zacności wielkiej, ale prostoty, naiwności, łatwowierności niemal dziecinnej. Ze smutków do wesela, od nadziei do rozpaczy przejście dla nich było tak łatwem... iż niejeden dzień, piosnką zaczęty, jękiem się zamykał.

Było w nich to, co się spotyka w każdym żołnierzu, niosącym co dzień życie na ofiarę — łaknienie rozrywki, rozbujanie serdeczne, ochota do szałów chwilowych, wynagradzających upojeniem ciężkie żywota powszechnego trudy.

Dnie też te pochodów, po za któremi nic widać nie było, oprócz długiego szeregu podobnych im dni bez końca... kończyły się często hulanką, butelką, wrzawą, lub temi lekkiemi miłostki wędrownemi, z których zeschły kwiatek i tęskne wspomnienie unosił wiarus w tornistrze do domu lub grobu. Karol pędził wieczory z nimi, ale milczący jak posąg Komandora, sparty gdzieś na stole, nieruchomy, podziwiając wesołe zabawy...

Raził go ten duch, który powoli owiewał szeregi, wynarodawiający nas z obyczajów powagi pełnych... Milczeniem... smutkiem, surowością swoją protestował wiarus przeciw młodzieży, która francuziała.

Nie mówiąc słowa, stawał im przed oczyma jak wyrzut, jak wcielona wymówka, jak przypomnienie starych dziejów, do których należał.

Ale mógłże inaczej ich nawracać, jak postawą i czynem?

Czasem znów litość go brała, uśmiechał się swawoli niewinnej, mówiąc w duszy: — Godziż się im mieć za złe, że wigilię ofiary obchodzą piosnką i weselem?

KSIĘGA XI.

W Rzymie.

W rok po zawarciu pokoju w Leoben, legia na rozkaz wodza zbierała się w Rimini; — przeznaczeniem jej było zająć starą stolicę świata, nieśmiertelny gród, ku któremu tylu polskich wędrowało pielgrzymów — Rzym. Dziwne przeznaczenie tej, jakby wichrem i burzą miotanej garści ludzi...

Łatwo pojąć, z jakiemi uczuciami szły szeregi tułaczów tam, kędy od dzieciństwa myśl nawykła była, jako do stolicy chrześcijańskiego świata, do grobu apostołów — ad limina apostolorum (do progów apostolskich). Pobożni synowie apostolskiej metropolii zmieniali się w posłuszną Francyi załogę. Domyślać się też można, czego polskiemu żołnierzowi powierzono gród Piotrowy. Pomiędzy wojskiem Rzeczypospolitej, które wychował Voltaire i encyklopedyści, a polską legią, wykołysaną pieśniami kantyczkowemi, dla której kościelne tradycye stały się narodowemi — była przepaść, choć teraz pod jednemi walczyli chorągwiami.

Polski żołnierz milcząco znosił lekceważenie Kościoła i papieztwa, ale go one bolały i przekonań swych, a wyssanych z mlekiem podań, nie zaprzedał. Jego Rzym łączył z Europą, bratał z cywilizacyą...

We Francyi despotyzm monarchii Ludwików, ożeniony z Kościołem, sam Kościół i wiarę uczynił obojętną i obrzydłą — w Polsce swoboda stała na religijnych podstawach, miłowano Chrystusa, jako wybawiciela, szanowano Kościół, jako rząd Chrystusowy. Dla Francyi Mesyasz był tym, z którego łaski panowali Burboni z Bastylią.

Różnica też wielka dawała się czuć w pochodzie wojsk wśród

zburzonej ludności, w zbliżaniu się do miejsc świętych i kościołów. Gdzie Francuzi stawiali konie, Polacy padali na kolana.

Włosi, których uczucie gorące, religijne, oburzało lekceważenie świętości, patrzyli na modlących się polskich żołnierzy, na klęczącą starszyznę przed obrazem N. Panny, nie rozumiejąc, jak te pobożne dzieci Północy mogły się sprzymierzyć z trzpiotowatymi republikanami, uznającymi tylko Bóstwo rozumu.

Uroczysty to był dzień, gdy część legii przybyła do Loretu. Spoczywały tu stare zdobycze obrońców chrześciaństwa, złożone w ofierze przed ołtarzem Bogarodzicy: chorągiew turecka z pod Wiednia i miecz Sobieskiego. Te relikwie dawne, chwały i potęgi oddano polskiej legii, poniosła je jako zdobycz nową.

W kościele kapłan, Polak, zanucił to błagalne —"Święty Boże," którego nuta wycisnęła łzy, przypominając niedzielne dnie w wiejskich naszych modrzewiowych kościołkach.

Był to jeden z rozrzewniających epizodów pochodu; drugim stała się troska Dąbrowskiego i Kniażewicza, aby kupka naszych żołnierzy nie po żebraczemu i w łachmanach ukazała się raz pierwszy w stolicy świata....

Sami wodzowie musieli przebiegać szeregi, wybierając odartych, bosych a nadto butnych, i rozsyłając ich do innych kompanii.

Ubóstwo naszego żołnierza jakże nie jednemu stało się bolesnem, chciało się biedakowi do Rzymu... a boso... boso wejść było nie wolno! Pożyczano butów, zszywano i czyszczono wytarte mundury... szło o honor narodowy... dzielono się groszem.

Widok tej troski mógł prawdziwie łzy wycisnąć — z jak smutnem obliczem biedni nieporatowani, spuściwszy głowę szli wyłączeni z tej falangi, która stanąć miała na Kapitolu!!

Ale nareszcie mundury poczyszczono, obuwie się znalazło, broń połyskiwała i twarze jaśniały; żołnierz z drżeniem serca myślał, że stanie w Rzymie!

3 maja, Kniażewicz na czele legii przestąpił progi grodu, z ruin wiekowych złożone i trzema kolumnami zaciągnął wartę na Kapitolu!!

O dziwne losy nasze! Wzrok żołnierza szukał kopuły Św. Piotra i zdał mu się snem widok jej powtarzał, by uczuć jawę — Rzym!

— Jesteśmy w Rzymie! — szeptali, potrącając się w szeregach Nadwiślańcy...

Kniażewiczowi wyznaczono kwaterę niedaleko Kapitolu, w Ara Coeli... Tuż przed niemi były wszystkie wielkości Rzymu pamiątki... Kapitol... Skała Tarpejska... Forum, łuki tryumfalne Cezarów i milczące olbrzymie Coloseum...

Poważnie na tę bohaterstwami i męczeństwem uświęconą ziemię wstąpili polscy żołnierze, a lud rzymski, patrząc na ich przejętą modlitwę, przez nich się jednał z Francyą.

Rzym dla Polaka... był jakby ojczyzny odłamkiem, nieznany, był mu pamiętnym, dzieje jego karmiły go w młodości, wiara płynąca stąd wypełniała życie...

Na ciemnej małej uliczce "delle Beleghe Oscure" zapomniany w pośród tysiąca bazylik i katedr, otworzył się ubogi kościołek polski dla swych dzieci... Oddano im klucze św. Stanisława...

Na sam dzień Stanisława obchodzono narodowe święto, we własnym kościele... smutne wspomnienia niosło one z sobą... trudno łzy powstrzymać było.

Dotąd jedyną legii zdobyczą była chorągiew Sobieskiego w Lorecie i szpitalny kościołek w Rzymie. — Na progu jego wśród tłumu znaleźli się razem Darewski i Pluta, podali sobie ręce... milcząco spojrzeli tylko w oczy tęskne... a gdy po suplikacyach wyszli razem w ciasną uliczkę, siedemdziesięcioletni starzec stłumionym głosem rzekł do Karola:

— Toć pewno pierwsza i ostatnia zdobycz nasza — szpital a kościół! Opatrzność zdaje się nam powiadać, co nas czeka — żywot na miłosierdziu szpitalnem, nadzieja jeno w modlitwie...

Gdy Karol twardo a wytrwale poszedłszy raz dzielić legii losy, znosił je nie szemrząc, nie dziwując się, nie narzekając i nie śmiejąc myślą sięgnąć w przyszłość, Darewski starszy, rozczarowany a może wiekiem osłabły, choć walczył jak lew... był zawsze wszystkich nieszczęść Kassandrą. — Nie miał on powiernika, któremuby chętniej się z dolegliwych swych przewidywań zwierzał, nad Karola — przychodził do niego wygadać się z tem, co przed innymi, dla nierozczarowywania ich, zamilczał.

Pobyt w Rzymie, będący chwilą wypoczynku, zarazem się stał, a przynajmniej groził być niebezpieczną dla legionów próbą.

Umysły znękane, serca zawiedzione, zgorzałe cierpieniem i życiem tułaczem, wylewały się z żółcią, z podejrzeniami, z nieufnością nawet przeciw samym sobie.

Legie pocichu zaczęły się rozdzierać na partye, na przyjaznych i niechętnych dowódzcom, żołnierz szemrał, odarty i głodny, przypisując winę swej nędzy starszyźnie. Groźne twarze, milczące, jeszcze spotykał Dąbrowski i grono jego przyjaciół... po cichu mnożono niechęć ku niemu, gotowano jakiś opór chorobliwy... Powody... łatwo się znalazły do zarzutów, do gniewów... Znaleźli się tacy, co je podżegali... a w spoczynku nie zajęte umysły wrzały coraz wyraźniej..

Przybycie z kraju Turskiego, Władysława Jabłonowskiego i kilku innych, dolało oliwy do ognia, zwiększyło szemranie groźniejsze nasiona spisków... Wielu znów oburzało postępowanie Francuzów, którego niejako wspólnikami stawali się Polacy... zmuszeni patrzeć na nie milcząco...

Nadużycia zwycięzców były w istocie wielkie, odzierano pałace, zabierano dzieła sztuki, w upojeniu tryumfów nie poszanowano własności prywatnej, ani publicznej. — Zażalenia były bolesne... ale skargi nie mogły wyjść za mury Rzymu... Dla ludzi innych wieków i obyczaju widok ten stawał się dotkliwym... Żołnierz poglądał na wyrywane z kościołów obrazy, na ogałacane domy, z jakąś trwogą i powątpiewaniem...

Jednego wieczora, wedle obyczaju swego, przyszedł Darewski do Pluty z wiadomościami, był posępny i przygnębiony...

— Weszliśmy tu — rzekł — nie jak nam przystało, nie jako obrońcy i opiekunowie, ale z rabusiami razem, Pan Bóg pobłogosławić nie może. Źle też idzie nam wszystko, żołnierz znękany, zwątpiały... zniechęcony... po kompaniach podpisują jakieś protestacye... przybyli tu coś knują... chcą Dąbrowskiego obalić jedni... drudzy pewnie jego miejsce zająć, nie wiedzą, że w nim legię jej zabiją... twarze posępne... przyszłość groźna...

— Szanowny towarzyszu, nadto wszystko widzicie czarno...— odparł Karol.

— Bom stary... — rzekł Darewski — jasne dla mnie tylko błyskawice, co sprowadzają pioruny... Trudna walka z losami...

Chcąc zapobiedz próżnowaniu a spiskom, uchwalono żołnie-

rza nająć na żniwa w rzymskiej Kampanii. Ale wiedząż oni, co to powietrze zdradliwe tej pustyni??

Darewski ,przyniosłszy tę wiadomostke. westchnął i powlókł się dalej.

Sprawdziła się ona wprędce i w sposób najnieszczęśliwszy, gdyż następstwa jej były nad wszelkie przewidzenie smutne.

Chciano zaradzić spiskom i zniechęceniu, dając za lekarstwo pracę... nie przewidziano, że to był wyrok śmierci dla większej części skazanych na te pozornie wesołe żniwa w Kampanii...

Wśród zagniłych od wieków błot Pontyjskich dojrzewały pola bujnemi okryte urodzajami, możnaż było przypuścić, aby kraj dla rośliny żyzny, tak miał być dla człowieka śmiertelnym...?

Żołnierzowi na wspomnienie sierpa i kosy radowało się serce... każdy z nich był rolnikiem, złote łany mówiły mu o Polsce.

Ale w tej pustyni, jakby przeklętej za stare zbrodnie, które ją splugawiły... wszystko ma prawo żyć, buja wszystko, oprócz człowieka... Ziemia ta, przesycona trupami, przejęta zgnilizną.. tchnie śmiercią i mści się nią na ludziach, co ją bezcześcili... Pasterz stąd ucieka, podróżny z trwogą przelatuje, obszary milczące... nikt nie śmie nocy tu przebyć, aby nie tchnął zatrutem powietrzem... tylko czarne bawoły chmurne łby swe z traw podnoszą, jakby czuły, że tu królują same...

Kto podał zgubną radę, aby nieopatrznego żołnierza naszego nawykłego bezbronnie oddychać zdrowem lasów i pól naszych powietrzem — wysłać na to cmentarzysko pozłacane kłosami] Nie wiadomo, ale rada została przyjęta, a żołnierz, stając się wieśniakiem, rolnikiem, radował się...

Radość to była krótka wszakże. — Poszli — nie śmiano obliczać nawet, ilu ich ze żniwa powróciło.

Był jeden dzień wesołości i pracy i jeden wieczór spoczynku przy ogniskach... pieśni domowych... każdy sobie, kładąc się na snopach, przypomniał jakąś piosenkę, gadkę... coś z młodości, coś od strzechy... Słońce krwawo zaszło na wyiskrzonem niebie...

Opar, jak mgła sina, podniósł się ponad rozpaloną ziemią... we mgłach leciał mór i końcem szat przesunął po śpiących wygnańcach. Snem twardym uśpieni czuli, jak kamień na piersi, jak o-

bręcz żelazną na głowie, a z tych, co wczoraj legli z pieśnią... ilu wstało z jękiem!!

Malarya w niewielu dniach położyła trupem kilkuset, inni wynędzniali, rozbiegli się powoli konać po szpitalach...

To znów obraz straszny, tragiczny, z tego pasma czarnych przygód.

Po śpiewach i weselu... po krótkim szale wspomnień — pusto w Kampanii znów... a wśród snopów użętych, żółte trupów leżą twarze...

Wspomnienia tych lat zdają się, jakby zmyśleniem poetycznem — a są zmniejszoną rzeczywistością — bo któż obliczy pojedyńczych ludzi przygody i próby powszednie, które wstydliwe okryło milczenie na wieki!

Każdy dzień smętną przynosił niespodziankę...

Jednego z nich legia wybiegła za mury na przyjęcie nowych gości...

Gości strasznych, jak te lata pokuty... Ludzie to byli zczernieli od słońca, z ranami poobwiązywanemi łachmanami z bliznami ledwie zakrzepłemi od łańcuchów na rękach, nogach i szyi... kilku kaleków, kilku starców, kilka żywotów na włosku, w ludziach od febry i głodu wyżółkłych.

U bram Rzymu, na grobowej apijskiej drodze, spotkali się żołnierze z tą garścią... i nieznajome dłonie ścisnęły się braterstwem cierpienia...

Byli to nieszczęśliwi, co z legii na Wołoszech, przez Stambuł, wybiegli co najprędzej połączyć się z nowemi legionami... Dąbrowskiego.

Pierwsza lepsza łupina okrętowa, która ich przewieźć tu mogła, zdała się im dobrą... poniosły ich żagle jakiegoś statku, który na morzu Śródziemnem już algierscy korsarze schwytali.

Polacy dostali się w niewolę.

Pierwszą wieść o ich losie przyniósł list francuskiego konsula z Algieru.

Potrzeba było nieszczęśliwych wykupić. Do kraju ani się o to odwołać było można, ani on mógł dać ten grosz jałmużny. Obowiązek pomocy braterskiej spadł na tych, co sami boso i o gło-

dzie tułali się po Włoszech... Otworzyliły się biedne sakiewski legionistów w Rzymie i Mantui, każdy oddał grosz ostatni... i tą jałmużną odkupiono braci nieznanych...

Na chwilę jakaż to radość dla nędzarzy tych posłyszeć mowę, zobaczyć twarze, poczuć ciepły uścisk dłoni bratniej... ale z drogi apijskiej na Ara Coeli... miały czas pochmurnieć twarze...

Poświęceń takich bez liku...

Żołnierz marniał na tych rzymskich ruinach, pożerany tęsknotą... dnie były długie... próżnowanie wzmagało boleści... kilku zdatnych poświęciło się na karmienie ducha... gdy ciało także zaledwie o czem wyżyć miało. Myśl tę oświaty powziął Godebski! wykonali ją Wybicki, on, Paszkowski i Kamiński... Zbierano pieśni, opowiadania, dzieje, podania domowe... Wśród tych koszarów, poprzerabianych z pałaców i klasztorów, które same z łaźni i amfiteatrów, z bazylik i cyrków powstały, na garści słomy, oparty o mury, które cezarów pamiętały, Maciek uczył się czytać i śpiewać o ojczyznie. Ale jak niewielu z tych, co tu lepiej poznali domowe dzieje, zaniosło je do chaty nad Wisłę i Bug?... Setny może....

Nie brak i krwawych dramatów... i powieści prawie bajecznych... Do tych należy historya Zabłockiego, do której i Karol Pluta był wmieszany, chociaż on i Darewski na uboczu stać chcieli i z ludźmi innej epoki nieraźno im żyć było. Żyli z sobą.

Do poufałego otoczenia generała Dąbrowskiego należał Zabłocki. — Był to żołnierz dobry, człek poczciwy, ale natura oprys kliwa, gwałtowna, butna i nieco tchem wieku popsuta... Wyniósłszy z kraju wiarę, jak drudzy, posiał ją po gościńcach, Francuzi zarazili go niedowiarstwem, które dla wielu wydawało się jakąś ducha i umysłu potęgą. Dla Zabłockiego wszystko było przesądem, ale raz poszedłszy tą niebezpieczną drogą, wyzwolił się aż do zbytku z tego, co drugich zobowiązywało... Żył lekkomyślnie, a miał zwyczaj ze sceptycyzmem popisywać się szydersko... Uchodziło mu to, słuchano go i w łatwą wbijał się dumę ze swego zuchowatowstwa... Przestawszy szanować idee, łatwo

było ludźmi pomiatać. Zabłocki miał nieprzyjaciół bez liku... ale ufny był w swój stopień i przyjaźń Dąbrowskiego.

Jednego wieczoru, gdy dwaj starzy Barszczanie siedzieli u Karola na Vico Oscuro, gwarząc o dawnych dziejach, wpadł niespodzianie Szumlański, na miłego Boga zaklinając Plutę, aby za świadka poszedł służyć do pojedynku między Haumanem a Zabłockim.

Karol się obruszył zrazu.

— Dajcie mi pokój ze swemi waśniami i pojedynkami — zawołał — wszystko to nie na czasie... Zgorszenie to i lekkomyślność!

Szumlański tłumaczyć się począł. Rzecz się miała, jak następuje: Codziennie prawie starszyzna wojskowa wieczorami zbierała się u Dąbrowskiego, rozprawiano, grano w bilard, wchodzili i wychodzili oficerowie; było to ognisko, u którego każdy się chciał rozgrzać nieco. Tu pierwsze przybywały wiadomości z Francyi, tu najczęstsze z Polski wieści.

Zabłocki i Hauman, niebardzo sobie przyjaźni, znaleźli się losem gry sami jedni u bilardu... Hauman miał z sobą Grabowskiego i Szumlańskiego. Przymówki poszły o fraszkę, usposobienie je zaostrzyło. Hauman był prędki, Zabłocki butny a dumny, na jakieś słówko Haumana, Zabłocki zmilczeć mu kazał, jako przed starszym. Hauman się roześmiał szydersko, Zabłocki obruszył i drzwi pokazał.

— Łatwo to stopniem się zasłonić — prysnął pierwszy — aby uniknąć pojedynku, którego się boi... Pamiętamy przecie, jak to było w Mantui...

W Mantui zarzucano, nie wiadomo czy słusznie, Zabłockiemu, że wyzwany, nie stanął.

Teraz chwycił za słowo... Hauman powtórzył wyzwanie, przyjął je Zabłocki... Tegoż wieczora mieli się bić w Villa Borghese...

Karol odmówił świadkiem być braterskiego tego boju, ale po namyśle skłonił się pójść, w nadziei, że ich opamięta i przejedna...

Szumlański pędził, wózek jego stał przed kamienicą, Pluta pożegnał Darewskiego, pojechali.

Słońce zachodziło jakoś krwawo i ukośnemi promieniami dziwnie oświecało uliczki i ogrody, któremi do Villi spieszyli. W powietrzu była cisza... ale oddechu brakło, parna atmosfera ciężyła,

nad grodem, a w dali nad górami zwijały się czarne i sine chmur kłęby...

Gdy stanęli na miejscu, już nadchodząca burza w dali zaczynała warczeć piorunami i leciała wprost na Rzym, wyciągając ramiona... Musiano pospieszać z pojedynkiem. Karol z powagą starego żołnierza stanął rozjemcą, ale go nie słuchano... Zabłocki bił się w piersi i rzucał obrazą honoru, niepowetowaną tylko krwią. Hauman słowa odwołać nie chciał.

Haumanowi przypadł strzał pierwszy.

Nim broń nabito, burza już prawie była nad głowami; Zabłocki, udając wielkiego zucha, śmiał się i nie w porę wyzywał pioruny Boże w sposób szyderski...

Odmierzono kroki, przeciwnicy stanęli na swych miejscach, strzelano na komendę... Hauman wypalił Zabłocki, zachwiał się, chwycił za piersi i padł krwią oblany, kula trafiła w samo serce...

Ze zgrozą uciekł Płuta z Villa Borghese; oburzony tym widokiem mordu, któremu zapobiedz nie mógł, poprzedzonego wstrętliwą lekkomyślnością Zabłockiego w tej uroczystej chwili. Pobiegł wśród strumieni deszczu, bicia piorunów i wichru, który niósł po ulicach dachówki, do swojej kwatery, aby się tam zamknąć ze smutkiem, którego doznał.

Nazajutrz rano wszedł do niego Darewski.

— Wiesz o Zabłockiego losie — rzekł — boś tam był, ale znaszże resztę historyi?

— Jaką resztę? — spytał Karol...

— W chwili tego pojedynku burza szalała nad Rzymem... piorun uderzył w dom, który zajmował Zabłocki, strzaskał i spalił łóżko jego.

Wypadek ten przeraził i głębokie uczynił na wszystkich wrażenie.

Z powodu stosunków Zabłockiego, unikając gniewu i prześladowania, Hauman i Szumlański musieli legion opuścić i zaciągnęli się do wojsk francuskich, które szły właśnie na egipską wyprawę... Jeden z nich tylko, i to dziwnym znów wypadkiem, do kraju powrócił.

Szumlański, wzięty w jednej potyczce w niewolę, dostał się jakiemuś możnemu panu i okuty, pędzany był z innymi do roboty. W czasie jednej z tych wycieczek w pole, spotkał w drodze Turka, którego twarz zdawała mu się, jakby gdzieś dawniej wi-

dzianą i znajomą... Turek także przypatrywał się ciekawie Szumlańskiemu i na traf przemówił do niego po polsku... Był on niegdyś w Puławach u książąt Czartoryskich czybukczybaszą; od fajek i tytuniu uciuławszy grosza, powrócił do kraju... Poznawszy w Szumlańskim Polaka, ulitował mu się, rozpytał go i prośbę od niego o wykup przesłać do Polski zobowiązał.

Doszła ona rąk ks. Sapiehy, którego staraniem wykupiony niewolnik, otrzymawszy pieniężny zasiłek na drogę, przybył do gościnnych progów Puławskich... Tu zamieszkał, później znalazł przytułek i spokojnie życia dokonał.

Jeden to z tych epizodów tysiąca, które historyę tej epoki składają.

Pobyt w Rzymie, tak dla duszy polskiej wymowny ruinami i bazylikami swemi, zatruty był wszakże ciągłą, a powracającą troską, powrotu do kraju? Dla nich to było celem jedynym, dla Francyi uprzykrzonym zawrotem nudnej piosenki, na którą jednostajnie odpowiadano, wzywając do cierpliwości... Zwlekano, tymczasem śmierć dziesiątkowała, wojna kładła na pokosach...

Gdziekolwiek wybuchło powstanie ludu, bunt pospólstwa... słano Polaków... szli posłuszni, bili się, płacząc nieraz, i nieraz skostniały im ręce na widok krzyżów i ołtarzy, które przeciw nim, zamiast broni i dział stawiono.

Naówczas w piersi chrześcijanina toczyła się walka między religią a posłuszeństwem, wiarą a chorągwią... i bój był poświęceniem nadludzkiem... bo nad trupami płakali.

Tak Karol, z innymi wysłany na Frosinone, na placu bitwy spotkał się z mnichem, który z krzyżem i szablą lud prowadził, przypomniał mu się ks. Marek, oręż wypadł z ręki, a Włoch go obciął okrutnie...

Poszli na Terracina... tu, gdy zdobyto miasteczko, gdy legion wpadł z oddziałem francuskim razem... znaleźli wśród ulicy wystawiony ołtarz... kapłan przed nim kończył mszę świętą i podnosił kielich niekrwawej ofiary nad głowy ludu, gdy go szable i bagnety wojsk rzeczypospolitej rozniosły... jak męczennika...

Każdy z tych widoków zakrwawiał serce polskie i wskazywał biednym, że szukali ojczyzny u tych, co ją odbierali drugim, a

nikomu nie dali — po każdej z tych bitew, żołnierz był smutny i wzdychał, patrząc na poległych, jak na braci po duchu i wierze...

Każda też utarczka sypała obok Włochów mogiły Polaków, którzy ginęli z rozpaczy... bili się wściekle i w rodzaj obłąkania wpadali. — Straciły legiony mnogich żołnierzy pod Frosinone i Terraciną... tu Karol także obok Podolskiego i Wisłoucha walcząc, gdy się na mnicha z krzyżem zapatrzył — został ranny silnie... ale nie śmiał się nawet pomścić na tym, co go okaleczył,.. tak upokorzony był rolą nieszczęśliwą, którą legionom grać kazano.

W grudniu tegoż roku, walcząc z wojskami rzeczypospolitej, Polacy okryli się sławą pod skalistemi obrywami Civita Castellana...

Może po raz pierwszy uznano głośno udział legionów w walce i należną im część w odniesionem zwycięstwie.

Tych dni straszliwych zapasów dziś jeszcze bez wzruszenia przypomnieć niepodobna... krwawe boje, mogiły, nadzieje, zawody — oto historya tych lat, które tylko sławę i zeschłą gałęź wawrzynu przyniosły, opłaconą drogo.

Już się godziło było przekonać, że legionów rachuby omylone zostaną — tracono wiarę we Francyę.

W nagrodę krwi i poświęcenia, zdobyte w neapolitańskiej wojnie sztandary, Kniażewicz, młody Dąbrowski, Drzewiecki i Kosecki mieli polecenie odwieść dyrektoryatowi do Paryża...

Tej czci i uznania zazdroszczono im w wojsku.

Gdy wpośród owacyj i okrzyków wspomniano cicho, trwożliwie — o Polsce, mężowie stanu zmarszczyli brwi, wzruszyli ramionami i skarżyli się na to nieznośne natręctwo Polaków, którym nigdy niczego nie dosyć. Jednakże przez litość półgębkiem szeptano o wojnie prawdopodobnej przeciwko Austryi... i pozwolono wróżyć, że z niej może coś być...

Tymczasem wysługiwać się było potrzeba dalej, a rzeczpospolita nie gardziła ochotnikami — tylu ich ginęło!

Spodziewana z Austryą wojna wybuchnęła nareszcie, w legiony wstąpił duch nowy.

Pod Legnano, w przeddzień bitwy, na biwakach odpoczywał chwilowo Karol, gdy do niego przyszedł stary Darewski. Twarz starca tego dnia jakaś była rozjaśniona i weselsza niż zwykle...

— A no, towarzyszu broni — rzekł mu, wyciągając dłoń namuloną i ściskając krzepko podaną rękę — przyszedłem się też z tobą pożegnać...

— Alboż odchodzicie? dokąd? wszak się nie wątpliwie na gorącą walkę zabiera? — spytał Karol.

— Co ma znaczyć! — po swojemu, zasiadając na siodle, zawołał Darewski — jużci, żem nie żaden chłystek, żebym sobie życie odbierał, ale — est modus in rebus. (jest sposób na wszystko).

— No! ja jestem spokojny — rzekł Karol — rzecz pewna i doświadczona, kto śmierci szuka, tego ona nie bierze.

— Obgadali Kostuchę! — roześmiał się Darewski — ona ma serce.

— Nie tak czarny dyabeł, jak go malują.

— Jeśli powrócisz do kraju, a zajrzysz kiedy na Ruś — dodał — pokłoń się tam od mojej mogiły krewnym Weryhom, ilu ich tam jest... i powiedz, żem wstydu nie robił... Poznasz łatwo Weryhów-Darewskich, czy Darowskich, jeden w drugiego chłopy, jak dęby, ręce silne, jak łapy niedźwiedzie, a i w głowie niezgorzej i języka w gębie nie zapomną...

Karol uśmiechnął się, brał to wszystko za fantazyę starca... Darewski bowiem był wesół jak rzadko i długo jeszcze baraszkował tak, a gdy już nocą odchodził, zamiast podać rękę, objął Karola, pocałował i stary krzyżyk mosiężny oddał mu na pamiątkę.

Było to przeczucie zgonu, czy naprawdę myśl szukania go wśród bitwy. Mężny starzec, przeszło siedemdziesiątletni, rzucił się nazajutrz na czele swych legionistów przeciw kolumnie nieprzyjacielskiej z zapałem dwudziestoletniego młodzieńca... i zginął...

Karol wśród bitwy przyszedł, gdzie spoczywało czoło jego z ręką na piersi ściśniętą, i pocałował blade rycerza czoło...

———

Był to dzień dramatów... Komu nieznane imię grenadyera — filozofa, poety, Cypryana Godebskiego? W tej bitwie i on się znajdował. Godebscy od wieków gnieździli się w Pińszczyznie,

miał tam Cypryan rodzonego brata, porwała i jego tęsknota do boju... Porzucił więc jednego dnia spokojny dworek swój w sosnowym borku i ukochane doliny nad Prypecią, wziął i on torbę tułacza, przedzierając się do Włoch, do legionów, aby walczyć obok brata.

Cypryan o przybywającym nie wiedział... ten z miasta do miasta gonił za polskim legionem, przerzynał się przez nieprzyjacielskie straże, wymykał, przyłączył do oddziałów i tak dostał się dopiero pod Legnano... ale w chwili, gdy już wrzała bitwa...

Wskazano mu pułk Cypryana, który szèdł właśnie przeciwko nieprzyjacielowi. W niecierpliwości uściskania brata, tułacz nowy popędził za nim... zobaczył go już, Cypryan go poznał, zatrzymał się zdziwiony, przelękły, po nad głowami ich grad kul przelatywał.

Godebscy biegną ku sobie... jeszcze chwila, a padną w swoje objęcia... zbliżają się ze łzami w oczach, zapominając... boju... W tem kula działowa w oczach Cypryana rozdziera biednego przybysza i trupem go kładzie.

Jestli co tragiczniejszego nad te dzieje?

Pod Magnano... u Werony, pada waleczny Rymkiewicz na placu... przeszyty dwoma postrzałami... kona uśmiechając się i ściskając dłoń przyjaciela.

Zamknięto polski legion w murach Mantui, rozpoczęła się pamiętna owa obrona heroiczna tej twierdzy, którą natychmiast wojska austryackie odcięły i osaczyły.

Wielhorski, Aksamitowski, Jakubowski, bronili jej.

W chwili właśnie, gdy Dąbrowski marzył znów o wdarciu się przez Austryę do Galicyi, jakby na przekór jego i wszystkich nadziejom, zamknięto ich w tych murach...

Jest jakiś mistycyzm i fatalność nawet w datach tych dziejów zapomnianych.

Znów w dniu 3 maja 1799 roku weszli Polacy do Rzymu... szczątki ludzi w łachmanach odzieży.

Tym razem nie mógł już Dąbrowski wybrać z szeregów lepiej odzianych, aby ich wiecznemu miastu pokazać przystojniej, bo nie było jednego całego munduru, jednego obuwia ludzkiego w batalionach... Szli odarci, w bohaterskich oszarpanych sukniach, kurzawą i błotem okryci, ogorzali, wychudli... a widok ich obudzał litość nawet w nielitościwych.

Dwa dni przesiedzieli tylko na ruinach, zszywając cierpliwie odzież... za którą obiecano im nową w Peruggi... Wyszli na tę wyprawę nowego rodzaju, aby się przeodziać do boju...

Dąbrowski ze swymi cudów dokazywał pod Cortoną... ludzie rośli w obliczu niebezpieczeństw na olbrzymów.

Tu major Kamiński, idąc do zdobycia wrót zabarykadowanych kulą ugodzony został w nogę... Choć okulawiały, czując upływającą krew, nie wstrzymał się, spieszył tylko prędzej, póki sił. Wtem druga kula drugą mu nogę strzaskała — padł, ale upadły wlókł się jeszcze na rękach ku wrotom, które zdobyć było potrzeba, przypełznął do nich, podniósł dłoń krzepnącą i skonał.

W każdym z tych świetnych bojów, które składają karty dziejowe Rzeczypospolitej francuskiej, w zwycięzkich jej pochodach wszystkich, droga krew polska obficie się leje...

Mamyż opisywać te wyprawy, bitwy, pochody, których obraz znajdzie się sto razy skreślony piórem apologistów, często z umyślnem, czasem mimowolnem zapomnieniem naszego w nich udziału.

Nie są to dzieje nasze.

Pod Trebbią padają nowe ofiary, najnieszczęśliwsi idą w niewolę, gorszą nad śmierć; sam Dąbrowski, ranny, dwa razy opasany przez nieprzyjaciół i prawie ujęty, przywiązaniu współtowarzyszów broni winien ocalenie.

Na placu tym już głośno a sławnie rozlega się imię mężnego Chłopickiego.

Smutne a świetne boje, które ostatek nadziei odbierają... Nieprzyjaciel liczniej szy, sypie coraz nowe zastępy, zwycięstwa okupują się stosami trupów... a nie wiodą do niczego, prócz sławy!... Pod Trebbią samą... ginie z legii półtora tysiąca ludzi... tysiąc trupów, pół tyle rannych.

W kwietniu rozpoczyna się oblężenie Mantui, której załoga z Francuzów, Włochów, Szwajcarów i drugiej legii polskiej złożona, trzyma się prawie do końca lipca przeciwko przeważnym siłom nieprzyjaciela...

Jakby przewidując los, który spotkać może polskiego żołnierza, Wielhorski prosi, by mu w polu otwartem walczyć dozwolono i odbiera pochlebną, ale odmowną odpowiedź...

Ćwierć roku w murach twierdzy, której obronić nie mogą męstwem swem, walczą legioniści z nieudolnością wodza, z głodem, niedostatkiem i przewidywaniem ciężkiego losu...

Chwilowe niechęci, które zrodziło cierpienie, ustają i płoną w rosnącym zapale bojowym... Cała załoga stęka i narzeka na głód i niedostatek... Polacy się nie skarżą, jedyni jedni nie uchodzą z szeregów...

Kiedy się czyta pełne prostoty opowiadanie Godebskiego o tem trzymiesięcznem więzieniu... łzy na oczach stają.

Z tą nieszczęśliwą kampanią ostatnie rozwiały się nadzieje...

Z polskich legionów zostały szczątki mizerne, Wielhorski i Kosiński poszli do niewoli na forteczne lochy i kajdany, żołnierz pochwycony z niemi, a Aksamitowski, który z dwustu innymi miał odwieść legion do Francyi, półtora sta ledwie ludzi, rannych, w łachmanach, wlokących życia ostatek, przyprowadził — do Lyonu.

Zastęp ten zmniejszał się, topniał, ginął...

Karol, przebywszy z Dąbrowskim krwawe dni pod Trebbią, z resztkami starych towarzyszów łączył się, stając do boju pod Novi.

Tu znów rannym był, ale nawykły do tych pocałowań kul, związał nogę i nie chciał pójść na łóżko szpitalne...

W sierpniu z pierwszym batalionem przybył znużony do Genui... Od śmierci Darewskiego stał się on bardziej milczącym, posępniejszym niż kiedy, szedł wprawdzie i bił się walecznie, ale wszystko to, co się wkoło niego działo mało się go zdawało obchodzić... Milczący, skinieniem głowy ledwie na pytania odpowiadał...

Skwar letni, pochód milczący, wyczerpały jego siły, oczy już nie chciały patrzeć na ten cudny amfiteatr gór, otaczających Superbę... znalazłszy trochę cienia pod murem, rzucił tłomoczek swój upadł, składając na nim głowę, nimby im wyznaczono kwatery.

Słońce sierpniowe piekło, pragnienie piersi paliło, bezsenność zamykała powieki, znużenie odbierało siłę nawet duchowi, budząc tylko żądzę spoczynku, choćby w śmierci.

Karol w tej chwili czuł się zobojętniałym na wszystko, wyczerpanym, zdało mu się, że dalej już pójść nie potrafi, że się z tego bruku, na którym legł, nie podniesie...

Wśród włoskiej wrzawy ulicznej, ryku osłów, niosących transporta, wisku złośliwych mułów, idących z bagażami, kłótni ludzi, bijących się z sobą i nieposłusznemi zwierzęty — stary żołnierz, śniąc o przeszłości, usypiał prawie pod ścianą... która go od piekących osłaniała promieni. Po nad nim milczące wznosiły się w starej swej chwale pałace i piętrzące kamienice, z których okien niekiedy wyglądała ostrożnie w białym rąbku, ciekawa twarz niewieścia, i spłoszona wzrokiem, uciekała...

W ciasnych uliczkach pnących się wschodkami do góry, jak cienie przemykały się postacie uchodzących przed wojskami mieszkańców...

Ulice już zalegało wojsko, od strony cienia rzucano węzełki i znużone kości na ziemię... nie jeden jęk rannego dał się słyszeć w pośród wrzawy, ale i nie jeden śmiech wesoły... bo młodości nie trzeba więcej nad trochę cienia i jedno spojrzenie niewieście.

Zdala te czarne oczy pałające, choć iskrzyły się dumą i nienawiścią, zdawały się palić innem uczuciem...

Żołnierz, co nie jadł od dwóch dni, posyłał dłonią całusy do góry... i śmiał się, widząc odpowiadające im pięści białe Genuenek...

Gdy tak upadłszy, drzemie Karol na twardym bruku, szmer jakiś posłyszał nad sobą, mimowolnie ociężałe podniosły się powieki... Zdziwiony zobaczył tuż, o krok stojącą postać młodzieńczą, świeżą, uśmiechniętą... strojem i twarzą, jakby z Polski wykradzioną...

Było to chłopię w czarnej węgierce, w ponsowej czapeczce, z rodzącym się wąsikiem na śmiejącej się wardze... Patrzało na Karola, wlepiwszy weń wzrok, niepewne, drżące, zdziwione, z

usty otwartemi, przez które wyraz jeszcze wyrwać się nie śmiał... Z wyciągniętemi już rękami stałą; nie mogąc jeszcze wykrzyknąć, głos mu zamierał na wargach.

Nagle osłabły Karol porwał się, jakby go cudowna siła rzuciła.

— Tadzio! — zawołał — ty! tutaj! dziecko moje... Ty? a! byćże to może?

— A! stryj! — krzyknął, rzucając się ku niemu młody chłopiec — ja zaraz was poznałem...

Karol ściskał go, zbladły i strwożony.

— Dziecko moje... cóż się stało? Mógłżeś ty... opuścić matkę... O Boże!

Nie umiał dokończyć pytania, bo się już domyślał odpowiedzi.

— Matkę! — rzekł smutnie Tadeusz z cicha — stryju! ja już nie mam matki...

— Ewa nie żyje! — załamując ręce, bijąc się w czoło, odparł Karol i pochylił się na mur nie mogąc powiedzieć więcej.

Tadeusz stał, i jemu się łza w oku kręciła.

— Pisałem o tem do was... — rzekł w końcu — znać, żeście chyba listu mojego nie otrzymali... pisałem i o tem, że się do was do legionów dostać muszę... Czekałem odpowiedzi... niecierpliwość rosła... musiałem pójść... Spełniłem najgorętsze serca pragnienie. Stryju mój! ja przy tobie, pod twojem okiem walczyć będę....

Karol podniósł się milczący ściskał go i całował, żołnierze powstawali, przyglądając się im... Ten chłopak przynosił im woń kraju, cisnęli się do niego, chwytali suknie, drżeli, łzy kręciły się w oczach. Jeden drugiemu szeptał.:

— Z Polski przybywa!

Stary grenadyer zwolna wskazał mu na odartych, wynędzniałych towarzyszów... Znużeni, wyżółkli od trudów i chorób, rycerze ci wyglądali, jakby świeżo wyszli ze szpitala. Widok ich losu w istocie nie miał w sobie nic nęcącego... ale z pod tej nędzy patrzało zahartowane męstwo, wzgarda niebezpieczeństwa, trudu, śmierci...

— Zdala — odezwał się Karol — inaczej ci się pewnie bohaterskie te legie wydawać i śnić musiały, patrz na tę rzeczywistość i powiedz mi, czy się o nią młode twe nie rozbiją zapały! Wytrwasz-

że ty tu, gdzie my zahartowani padamy? Nie jest to wojsko wytworne, wypieszczone, które stoi, czeka, a w danej chwili, przy odgłosie trąb i biciu w kotły, na heroiczny bój się rzuca... myśmy żołnierze nocy i dnia, lata i zimy, z kolei pracujący bagnetem i rydlem... bez odzieży, bez magazynów, otoczeni krajem, w którem zasnąć bez nadzwyczajnej ostrożności nie możemy i studnie spotykamy zatrute... Bijemy się, nie jedząc po dni kilka, niepłatni, wysyłani tam, gdzie drogę trupami wyścielać potrzeba... Tadeuszu mój, tyś za młody i za słaby na nasze ciężkie życie.

— Ja! za młody! za słaby! — przerwał gwałtownie młody chłopak, prostując się — ale... mój stryju! ja mam więcej niż wy, bo młodość, która jest siłą niepokonaną... ja się niczego w świecie nie lękam, prócz, żebym nie zgnił w bezczynności. Byliście młodsi odemnie, wychodząc do konfederacyi... nie! nie! ja tu już jestem i — zostanę...

— Czekaj... zachowaj się... tu nie dla ciebie miejsce...

Chłopak potrząsnął głową.

Żadnym z argumentów, użytych na pokonanie Tadeusza, nie było sposobu go powstrzymać, z całą gorączką młodości nie dawał mówić z sobą nie pozwalał się sprzeciwić, słuchać nie chciał.

Zaskoczony przez tego niespodzianego przybysza, Karol musiał się natychmiast udać do generała Dąbrowskiego, prosząc go o krótkie kilkodniowe uwolnienie od służby, aby miał czas obmyślić pomieszczenie Tadeusza i wyekwipowanie.. Sam także potrzebował przy nim wypocząć, gdyż stare rany ze znużenia i osłabienia drogą się pootwierały.

Karol dostał żądany urlop, dopókiby legion kwaterował w Genui i okolicy.

Nie potrwało to jednak długo, bo stanowiska nieustannie się zmieniały. Karol po ojcowsku zajął się wojskową wyprawą chłopca, który przybył z zapasem dostatecznym dla siebie i stryja z domu. Sprowadziła go Opatrzność, gdyż w tej służbie miesiącami żyło się bez żołdu, a starszyzna niemal cała o domowym groszu. Na składki, na pożyczki tym, którzy codzień ginęli i dług z sobą na drugi świat nieśli, wyczerpywały się prędko węzełki, Karol oddawna był na sucharze żołnierskim... Nikt o tem nawet

nie wiedział, gdyż przywykły do najprostszego życia, surowszym był dla siebie niż dla drugich.

Przybycie Tadeusza, życie wspólne, uratowało Karola od wycieńczenia i choroby. Młody chłopak wygód wyłącznych nie przyjmował, zmuszał stryja do podzielenia ich z sobą i odżywił starego, pielęgnując go z synowską miłością...

Przez tych dni kilka, wypocząwszy na oglądaniu miasta, opłakującego dawną wielkość swoją, okolic cudnie pięknych, a ludności nieco zdziczałej i niechętnej, spędziwszy wieczory na pogadankach, na znak dany ruszyli....

Przybycie wychowańca, syna tej kobiety, którą jedyną w życiu kochał Karol — wstrząsnęło całą jego duszą... Jak rany ciała, otwarły się zasklepione serca rany — lecz nie czas było myśleć o sobie i opłakiwać przeszłości. Tadeusz, przybywszy niebezpieczeństw tyle, by się dostać do upragnionej Italii, rwał się do wojska... trzeba było czuwać nad jego zapałem młodzieńczym.

Wojna była morderczą, położenie wojsk niezbyt szczęśliwe, trudy niezmierne; wszystko to razem zmuszało starego wojaka być niańką troskliwą. Nie odpuszczając od boku swojego Tadeusza, musiał go uczyć, powstrzymywać, bronić, osłaniać.

Chłopak wprędce stał się ulubieńcem batalionu; młodość jego, zapał, dusza świeża, serce szlachetne, otwierały mu ramiona towarzyszów.

Ale jemu ledwie nie ciężyły te pieszczoty, prawie się czuł niemi obrażonym, chcąc co najprędzej dosłużyć się równości u towarzyszów broni... Rwał się też w każdem spotkaniu, jak szalony, tą zuchwałością młodzieńczą, która nie zna i nie rozumie niebezpieczeństwa... Karol dumny nim był, ale truchlał o niego.

W istocie Tadeusz zasługiwał na miłość stryja i przyjaźń żołnierzy; chłopię to było, jakby stworzone na te czasy walk, hartowne, milczące, jak Karol, ale nieugięte.

W pierwszej małej utarczce forpoczt, Tadeusz został draśnięty przez dragona.. od okrutnego cięcia, szabla Karola, Saracenka, go uchroniła.

A! jakże szczęśliwym był z tej rany! Nie poszedł do ambulansów i został w szeregach...

Nocą Karol siedział nad nim, chociaż najmniejszego nie było niebezpieczeństwa... staremu macierzyńskie łzy kręciły się na powiekach.

Poczęte dzieje legionów ciągnęły się tak jednym wybitnym torem — ciągłe straty w szeregach zastępowali jeńcy z pułków austryackich, przybysze, ochotnicy z kraju, a stracone nadzieje odradzały się z każdą wyprawą, na nowo grzebane.

W drugiej bitwie pod Novi (1799 r. 24 Października) legie straciły wiele mężnego żołnierza. Sam Dąbrowski ocalenie swe winien był Schillerowi.

Pod namiotem, w obozie, chwile wolne poświęcał czytaniu, miał tego dnia na piersi tom jeden trzydziestoletniej wojny. W chwili, gdy cięciem szabli obcinał lont, którym kanonier austryacki miał działo podpalić, wymierzone na nasze szeregi, kula karabinowa trafiła go w piersi i utkwiła w owym tomie Schillerowskiej historyi.

Trudy były w istocie takie, jakiemi je Karol Tadeuszowi przedstawiał: pochody nużące, bezsenne, w porze chłodnej i słotnej, w kraju ogołoconym, bez odzieży, bez zapasów... Karol je teraz wszakże znosił łatwiej, bo młode chłopię, stojące u jego boku, żywiło go swą młodością i zapałem. Legiony były w ruchu nieustannym, co dzień prawie w innem miejscu walczyć zmuszone lub przedzierać się przez góry i wąwozy... stać na morderczym ogniu nieruchomie lub rąbać do upadłego...

Nieraz jednego dnia opłakiwano stratę człowieka (Jabłonowski), a nazajutrz obchodzono odbicie z niewoli i podziwiano męztwo.

W jednej z tych utarczek zginął sławny swojego czasu, nieszczęśliwy a wytrwały i nieustraszony żołnierz, Strzałkowski.

Wie to każdy z tych, co w ogniu bywali, jak różne są losy żołnierza, jeden, narażając się, wychodzi zawsze cało, drugiego ściga przeznaczenie dziwaczne, tnąc zawsze po głowie, innego po nogach lub w piersi mierząc mu nieustannie. Strzałkowski, służąc w wojsku polskiem, później w legionach od ich zawiązku, był tak nieszczęśliwy, że byle wyszedł na plac, zawsze z raną powracał. Miał na sobie blizn tyle, w ilu był bitwach i potyczkach... Naresz-

cie śmierć, długo się z nim drażniąc, wzięła nieustraszonego żołnierza...

Nz ostatek, po morderczej tej kampanii, legiony, których nie oszczędzano i które się same nie oszczędzały, narażając wszędzie, gdzie największe groziło niebezpieczeństwo — zdziesiątkowane zostały i przerzedzone straszliwie.

Połowa polskiego żołnierza padła, reszta od chorób i ran ginęła powoli, liczba się codzień zmniejszała.

Jazdy nie było już nad sto wychudłych koni i zbiedzonych ludzi. Po lazaretach i zapaśnych kwaterach, karmieni pół-chlebem i połowiczną strawą, umierali z nędzy... musiano pomyśleć o nowej reorganizacyi, którą wojna wprędce zdezorganizować znów miała.

Razem z innymi wysłał Karola i Tadeusza do Marsylii, gdzie polskie legiony z resztek i posiłków skupić się miały, łachmany swe zmienić na odzież i uzbroić.

Ale niedługo trwał potrzebny ten wypoczynek — wojna się rozpoczynała... legion spieszył, by w niej uczestniczyć. Część jego na stanowiskach nawet pozostała. Położenie wojsk francuskich równie było rozpaczliwe i trudne, dzieliły one niedostatek posiłkowych pułków, ich trudy i głód... Honor sztandaru wymagał wytrwania, dodawał siły. Każde niepowodzenie, zamiast pokonać, drażniło i zapał zwiększało; musiano poniesione wetować straty.

Legiony, poślubiwszy sprawę honoru Francyi, dotrwały jej wierne do końca.

Z tysiąców ochotnika naszego, ledwie po walkach ostatnich we wszystkich oddziałach liczono ośmiuset rozpierzchłych ludzi. W lazarecie umierał każdy prawie, kto się do niego dostał... ale Marengo jasno wypisało się na kartach dziejów Francyi.

Dnia 3 Października 1800 roku przybył Dąbrowski do Medyolanu, gdzie stały oba bataliony i ściągały się resztki legij naszych. Marsylska z Wielhorskim podążyła tu także.

Całość przedstawiała się świetniej niż kiedy, bo ją przynajmniej odziano, uzbroiono i cześć żołdu wypłacono. Wpośród szeregów.

skupionych na nowo, żołnierz stary, wypróbowany, stał obok pałającego zapałem ochotnika nowego. Starszyznę zdatną wyrobiły boje i doświadczenie, ta najlepsza szkoła żołnierza.

Przypływ jeńców polskich i zbiegów z wojsk austryackich, ochotnika z różnych części kraju, był tak wielki, iż zastęp znów podniósł się do pięciu tysięcy ludzi.

Chwila wypoczynku dozwalała odetchnąć i nabrać sił nowych, ale przewidywano, że to jest tylko rozejm, a walka nieskończoną. Obie strony nieprzebłagane zajadle się mierzyły mściwemi oczyma.

Najdzielniejsze serca i dłonie stały w szeregach z niewyczerpanym nigdy zapasem nadziei.

Tym ogniem ożywionych znajdujemy ich w walce pod Peschierą...

Karol i Tadeusz szli obok siebie w pierwszym batalionie, stając pod Sermione naprzeciw nieprzyjacielskich okopów, oparci o wybrzeże tego cudnego jeziora Garda, którego ciche wody stały się także teatrem wojny. Codzień prawie następowały utarczki... odnawiały się niespodzianie co godzina. W spotkaniu pod Peschierą, gdzie męztwa dokazali Polacy, Plutowie oba walczyli razem z Grabińskim i Chłopickim. Męztwo ich liczniejszego nieprzyjaciela zmusiło do odwrotu od twierdzy. Dnia tego odcięto Sermione od Peschiery... Austryacy napróżno zuchwałą wycieczką próbowali odzyskać utraconą pozycyę, cofnąć się znów musieli. Ale nikt prawie z tego zajadłego boju nie wyszedł cało i walka była tem rozpaczliwsza, że siły nierówne. Stary konfederat i młody ochotnik wynieśli rany. Tadeusz ocalił życie stryjowi... Karol ochronił go kilkakroć, wyrąbując ze środka nieprzyjacielskich kolumn, w które się zuchwale zapuścił...

Każdy niemal dzień tego oblężenia dostarczyłby treści do obrazu. Polacy, składający większą część sił francuskich, bili się mężnie, a znosili w przykrej porze roku trudy oblężnicze z wytrwałością, podziwu godną. Około Sermione dzień i noc bez odetchnienia trwał bój zacięty... musiano po stopie ziemię zdobywać, posuwać się, ściskać twierdzę, stać w ogniu, kopać pod strzałami, odpychać wycieczki, a bez ustanku być gotowym...Często pośród dnia, na gradzie kul, znużony żołnierz, padłszy na chwilę, usypiał, a śmierć przychodziła mu tak we śnie... błogosławiona i spokojna...

Ale wśród niebezpieczeństwa tego i czujności, gorączkowy obudzał się zapał, ta nieustanność boju przywiązywała do niego, nie

dając sercu zastygnąć. Żołnierz rósł w prawdziwego bohatera, nie takiego może, jakim go malują dzieje greckie i rzymskie, ale jakim stworzyły go napoleońskie wojny krwawe...

Z pod Peschiery legia poszła po zawieszeniu broni, zawartem w Trewizie (16 stycznia 1801 roku), strzedz Mantui, na lewym brzegu Mincio.

Stare chorągwie jej poszarpane były kulami w kawałki, musiano jej dać orły nowe...

Po zawarciu pokoju w Lunewilu (26 stycznia 1801), Dąbrowski wrócił do Medyolanu, inne bataliony rozesłano na stanowisko po Włoszech... Naddunajska legia Kniażewicza weszła także do Włoch. Z nią razem siły te poważny stanowiły zarodek armi do piętnastu tysięcy ludzi.

KSIĘGA XII.

San Domingo.

Pierwszemu konsulowi biedni tułacze stali się naprzykrzonem świadectwem niespełnionych obietnic... Od pierwszej chwili, gdy niemal pogardliwie, ale szczery jeszcze w swej obojętności młody generał, przyjmował Dąbrowskiego i Wojczyńskiego — do dni konsulatu, cesarstwa, aż do wygnania św. Heleny — nie zmieniły się jego przekonania, Bonaparte nigdy nie chciał Polski... ale często chciał mieć Polaków żołnierzy, a wyuczywszy się polityki... zbywał ich obietnicami... do których najmniejszej nie przywiązywał wagi.

W chwili, gdy już swą gwiazdę widział wschodzącą, naprzykrzonymi mu byli ci wierzyciele, chciał się ich pozbyć.

Wojsko to ożywiał stary, niepokonany duch republikański; sympatya Francyi dla nich była zaporą do zbliżenia się ku monarchicznej Europie, chwilowo pożądanego.

W ciszy osnuty plan wykonał się tajemniczo i energicznie.

Jednego dnia, niby na prośbę i niby w nagrodę za świetne czyny, ostatki legionów zaszczycono wcieleniem do wojsk rzeczypospolitej francuskiej.

Główny oddział otrzymał nowe nazwanie — sto trzynastej półbrygady.

W początkach radość zaślepionych była wielka — ale krótka... Myśleli, że rzeczpospolita poślubiała w ten sposób uroczyście ich sprawę. — Porównanie z żołnierzem Francyi było polepszeniem ich losu.

Niestety — była to przewrotnie obrana droga do zniszczenia zastępu tego nieszczęśliwych tułaczów.

Karol przyjął wiadomość o tem podejrzliwie i smutno; trzymała go zwątpiałego tylko nadzieja powrotu do ojczyzny, a los młodego

wychowańca nadto obchodził, aby z nim na nowe nieprzewidziane miał się narazić przygody.

Gdy resztkom ogłoszono dziennym rozkazem łaskawe wcielenie ich do wojsk francuskich — Pluta się zawahał...

— Słuchaj — rzekł wieczorem do Tadeusza... — tu już o nas mowy niema i rychło nie będzie. Mnie tu, czy tam kończyć.. jedno, ale twoim obowiązkiem powracać do Skały... Pracując, czekać na mnie będziesz, a Bóg może zwlec się dozwoli.

— Tak! a wy? przerwał gorąco Tadeusz... a wy myślicie dalej iść i walczyć?

— Powiedźże mi, do czegobym ja się zdał, gdybym szablę porzucił?

— Mój stryju! mój ojcze! przerwał uparty chłopak — póki ty, póty ja... nie opuszczę cię, przysięgam, pójdziemy razem...

— A jeśli nas gdzie wyślą daleko?

— Tém lepiej! wszak ty dobrowolnie byłeś w Ameryce...

Karol ruszył ramionami.

— Ja — rzekł — o! to co innego! ty powracać musisz... Kto wie, może mnie śmierć nie zechce, walka złamie, kalectwo zmusi szukać przytułku, dachu potrzebować będę...Ty mi tam izdebkę po Porembie przygotujesz w Skale... Jedź i czekaj...

Tadeusz ściskał go, nic nie mówiąc.

— Powrócimy razem — rzekł po chwili. — Słuchaj, uparty stryju, albo ty powracasz ze mną, albo ja z tobą idę — masz z dwojga do wyboru... Jest jeszcze i trzecie, na co nie zezwolisz może... to żebyś ty powrócił chaty naszej pilnować...

— Ale ba! zapewne! — obruszył się Karol — o tem mi nie mów.

— A ja od swego nie ustąpię — zawołał Tadeusz...

— Do jutra, pomyślimy, bo i ja ustępować nie chcę... Nazwałeś mnie upartym, jestem nim w istocie...

Na tem dnia tego skończyła się rozmowa.

Karola nic już nie obowiązywało iść z tymi rozbitkami... oprócz obawy powrotu do pustego domu, prócz tęsknicy, która mu Skałę straszną czyniła.

Dla Tadeusza obawiał się losów wojny, dalekiej może, których przewidzieć niepodobna, ran, niewoli... sterania. Dla siebie potrzebując trudu, lękał się go dla wychowańca.

Jak to pogodzić z sobą?

Nazajutrz Tadeusz stawił się z płomienistemi oczyma, ale nim Karol począł rozmowę, oświadczył, że wybrał sobie stanowczo zawód wojskowy, że za mało nabył w nim doświadczenia we Włoszech, porzucić go nie chce, nie może, i błagał, aby mógł pozostać.

Mówiąc to, kląkł przed Karolem, złożył ręce, modlił się; oprzeć mu się nie było podobna... Stary milczał posępny i poważny, uścisnął go w końcu.

— Dziecko moje — odezwał się — bo cię tem imieniem miłość moja dla ciebie nazywać pozwala... uczyń, o co proszę... powróć! Ja wróciwszy, zdechłbym z tęsknicy w tej ruinie... tobie tam uśmiecha się przyszłość. — Dla mnie Skałę zaludniają upiory, co resztę krwiby wyssały... ja zostanę...

— I ja z tobą... — stanowczo wykrzyknął Tadeusz, uderzając się w piersi — ja z tobą — nie mówmy już o tem, rzecz skończona.

W milczeniu podali sobie dłonie.

Obu wpisano do 113 pół-brygady.

Los tak przekształconej legii był już postanowiony... ale dla wszystkich jeszcze tajemnicą okryty. Domyślano się go tylko... mówiono różnie, z zagadkowego milczenia wnosić już było łatwo, że coś zagrażać musiało.

Nie zrozumiano nawet w początku, co znaczył rozkaz, natychmiast po wcieleniu ogłoszony, udania się do Livorno. Niektórzy już podszeptywali, że w porcie czekały okręty... ale z jakiem przeznaczeniem?

Karol najlepiej zrozumiał, że się legionu polskiego pozbywano.. że go gdzieś zepchną daleko — ale dla niego tu, czy tam było obojętnem. Tadeusz cieszył się, mówiąc: — Im dalej, ten lepiej.

Jemu uśmiechało się niebezpieczeństwo, pociągało go, wabiło. na wzmiankę o nim podnosił głowę, rósł, oko mu się paliło, nozdrza rozdymały.

W rozkazie dziennym dalsze przeznaczenie brygady nie było wymienione... Tulon, Marsylia lub inne... miejsce, które wskazać miano. Niepewność ta kryła coś złowrogiego...

Marząc a zgadując, spiesznym marszem przybyli do Livorno.

Tu zaraz na wstępie dowiedzieli się, że w porcie stała korweta wojenna i statki przewozowe, które eskortować miała.

Mówiono, że wojsko przechodziło pod zarząd ministeryum marynarki i kolonij — co samo oznaczało, że ich tam odprawić miano.

Ale dokąd? myśl błąkała się strwożona...Ci, co się tak cieszyli wcieleniem, chodzili przelękli, na wszystkich twarzach był wyraz boleści i niepokoju...

Z Ankony przybył objąć zwierzchni zarząd i dowództwo Francuz Bernard, który nie miał ani współczucia dla Polski, ani najmniejszej znajomości narodu.

Pierwsze jego kroki i obejście się dowodziły mało pojętnego służbistę, bez czucia i wychowania.

Zaledwie wszedłszy do Livorno, oddział zrozumiał po środkach ostrożności, jakie przeciwko niemu rozwinięto, iż dostał się prawie do niewoli. Widocznem było, że się obawiano ze strony Polaków oporu, a to samo rodziło domysły, iż ich jakiś los straszliwy, groźny oczekiwał.

W nielitościwem tem, grubiańskiem obejściu się z gośćmi Francyi, co za nią krew przelewali — było coś oburzającego. Nieprzyjaciel nieinaczej postępował by z jeńcem wojennym.

Trwoga i zgroza wzrastały.

Dokoła rozstawione wojska francuskie otaczały 113 pół-brygadę, którą spiesznie rozbrojono i spieszniej jeszcze rozkazano jej wsiadać na okręty. Pośpiech jakiś gorączkowy, nieufny, towarzyszył tym przygotowaniom gwałtownym; w powietrzu czuć było postrach.

Mieszkańcy Livorno współczuciem i miłosierdziem otaczali wygnańców... domyślano się ich losu.

Warty, czaty... karabiny stały dokoła.

Z pomiędzy starszyzny wojskowej już ktoś pocichu szepnął o San Domingo... wyraz ten, z ust do ust podawany, krążył po wojsku... Niektórzy wiedzieli, że San Domingo znaczyło — śmierć — klimat zabójczy, walka zajadła, wygnanie na drugi koniec świata...

W istocie dzikiem to było a okrutnem. Pierwszy konsul inaugurował swe rządy tem rzuceniem na śmierć ludzi, którzy mu zawadzali.

Karol nawet przestraszył się i chciał wycofać sam, byle Tadeusza ocalić, ale chłopak oburzył się i zaklął·

— Za nic w świecie! ja! Miałbym się ulęknąć niebezpieczeństwa, śmierci, morza, klimatu i głupiej jakiejś gorączki? — Nigdy! Idźmy!

Gdy się dowiedziano pewniej o przeznaczeniu 113 pół-brygady, powieści o nieszczęśliwych losach wojk, wysłanych tam pod wodzą jenerała Leclerc, bujno krążyć zaczęły. Opowiadano o walce ze zbuntowanymi murzynami, jak o straszliwej tragedyi, której koniec wątpliwym być nie mógł... Choroby, niedostatek, przewaga tłumów, ich zajadłość, czyniły zwycięztwo niepodobnem.

Jasnem było, dlaczego pierwszy konsul Polaków słał pod ten klimat dla nich groźny... idea cezaryzmu, tronu, dynastyi, była już w powietrzu; — tą grzecznością dla głów ukoronowanych wkupywał się wcześnie w ich grono, dawał porękę okiełznania republikanów.

Francya, stargana wysiłkiem i cierpieniem, zbyt była bezsilną, by za Polską odezwać się miała... milczała, a słowo jej cóżby naówczas znaczyło?

Wygnańcy patrzyli oniemieli na statki, w porcie stojące... liche, kupieckie, stare, potłuczone okręty przewozić ich miały. Marynarze potrząsali głowami, gdyż kilka z nich widocznie dłuższej podróży wytrzymać nie mogło. Jeden jeszcze przechylony zatykano pakułami, oblewano smołą naprędce. Majtkowie śmieli się z tej pogruchotanej łupiny, którą pierwszy wiatr silny mógł potrzaskać na kawały. Odkryte boki tej ruiny świeciły szczerbami, zielonemi porosty, grubą warstwą morskich pasorzytów, które sobie na niej mieszkanie obrały...

Niektórzy oficerowie, szczególnie Kastus, którego kompania na ten statek zabierać się miała, starali się zwrócić uwagę Bernarda, ale ten ruszył ramionami, uśmiechnął się i ofuknął:

— Nie mam innego — rzekł.

Z twarzy czytać było można inną odpowiedź..

— Rozbije się! tem lepiej! mniej was będzie...

Na nalegania u jenerała Rivaud przebąknie to tylko, że te statki nie przewiozą ich daleko, że przygotowane są inne.

Obejście się Bernarda, umyślnie zapewne wybranego do tej egzekucyi, było oburzające, ale legion niegdyś polski składał się z rozbrojonych jeńców, których lekceważono.

Bernard, któremu polskie nazwiska ciężko wymawiać przychodziło, zaraz w pierwszych dniach wniósł z cynizmem republikańskim, ażeby je potłomaczyć na francuskie i pochrzcić ten tłum bezimienny na nowo. Śmiech i oburzenie ledwie go od tego kroku powstrzymać mogły.

Kilku oficerów chciało wyjść za miasto... warty miały rozkazy, nie wypuszczono ich... powrócili oburzeni.

Dnia czternastego czerwca (1802 r.) Livorno przybrało niezwyczajną fizyognomię, ulice pełne były ludu, na którego twarzach litość się malowała, wojska francuskie stały pod bronią, wyciągnięte szpalerami aż do portu. Na główniejszych placach działa nabite, kanonierowie z zapalonemi lontami.

W razie najmniejszego oporu wydany był rozkaz nieoszczędzania nikogo i wymordowania zbuntowanych.

Ale w tych nieszczęśliwych złamana była energia, przygaszone chwilowo uczucie — szli martwi, milczący skazańcy na śmierć z pokorą ofiary znużonej a bez silnej... Nie mieli broni.. zdarto im mundury, wyglądali na tych więźniów portowych, na złoczyńców, których wiozą, aby im kulę przykuć do nogi.

Dzień chmurny był i parny, na horyzoncie szybko się zbierała burza groźna — kapitanowie statków nawet radzi byli odwlec wypłynięcie, odezwano się do jenerała Rivaud... który nie pozwolił zwlec ani chwili... pilno mu było widzieć ich już na morzu...

Pomimo burzy, statki ruszyły.

Za portem już o groblę biły olbrzymie bałwany, fala podnosiła się, wicher miotał... czarne obłoki ściągały się, jakby kruki na pobojowisko... flotylla wypłynęła...

Żegnaj włoska ziemio! Ile tam oczów ku lądowi się zwróciło z pożegnaniem, ku niebu z wyrzutem...

Grobla, wybrzeże, ulice jeszcze były pełne ludu, który ich żegnał, jak się żegna idących na śmierć... okrzykiem i łzami!

Zaledwie statki z portu wyszły nie bez trudności na pełne morze, wiatr w mgnieniu oka rozegnał je daleko... pochyliły się i kładąc na falach... nikły rozproszone.

Z lądu Livornianie oburzeni, z włoską goraczką i niecierpliwo-

ścią klęli tych, co na zgubę wysyłali bezlitośnie... znali się oni z wichrem i burzą...

Przepowiednie ziściły się w pełni — dwa tylko statki, które szły na ostatku, cudem napowrót potrafiły się wcisnąć do portu — reszta... stała się igrzyskiem burzy...

Trzy w kanale Piombino, około Elby, miotane prądem i wichrem, walczyły co chwila, zagrożone rozbiciem się o skały... Grecka owa łupina, na którą dwie kompanie wsadzono — pod San Vincenzo przodem ciśnięta o skałę zgruchotaną została. Ze stu ośmdziesięciu ludzi trzecia ledwie część ocalała. Z oficerów jeden kapitan Kastus winien był żonie, że życie unieść potrafił. Odważna włoszka, obeznana z morzem, widząc niebezpieczeństwo, wcześnie chwyciła deskę i, podtrzymując męża, z nim razem na ląd wyrzuconą została.

Rozbitki z tego statku schronili się do Livorno, a mieszkańcy, oburzeni przeciw jenerałowi Rivaud, dowodzącemu w porcie, który zmusił flotyllę do wypłynięcia wśród burzy — okazali tem żywszą dla Polaków życzliwość, aby mu wzgardę i niechęć okazać.

Z czego się to czasem ludzka litość składa!

Biednych tułaczów rozdzielili pomiędzy siebie, zbierali składki, opatrzyli ich we wszystko.

Inne statki, zapędzone burzą ku brzegom Sardynii, walcząc z wichrem, dopiero czwartego dnia zebrały się na wybrzeżach Hiszpanii, około wysp Balearskich...

Niebo się nareszcie wypogadzało... okręty ściągały się wszystkie powoli.

Tadeusz tę pierwszą próbę żeglugi wytrzymał dzielnie, nie opuszczając pokładu, z dziecinną prawie ciekawością wpatrując się w dramat burzy — Karolowi przypomniała tę, która ich, zbliżających się do lądu w Ameryce, odegnała od brzegów.

U przylądka Gates zerwała się druga nawałność; wiatr zachodni gwałtowny znów flotylę rozproszył, pędząc ku brzegom Afryki — właśnie w chwili, gdy się do Gibraltaru zbliżała.

Jednego statku zabrakło, stracono go z oczów.

Nareszcie dnia 27 czerwca, czarująca, położona nad zatoką, ze swemi murami staremi i maurytańskiemi gmachami, ukazała się Malaga... statki do portu zawinęły.

W chwili, gdy, znużeni dwiema wytrzymanemi burzami uczuli się żołnierze na spokojniejszych portu wodach — rozjaśniły się nieco chmurne oblicza... Dla wielu jednak ta ciężka próba kilkodniowa była ostateczną — czuli, że dalej nie pójdą.

Nienawykli do morza, schorowani, wszyscy się chciwie na ląd rzucali... tu im dłuższy obiecywano wypoczynek, a że dowódzcy już się nie obawiali oporu i ucieczki, wolno się było żołnierzom rozpierzchnąć po mieście.

Dla tych może tylko, którzy wzrok poili widokiem neapolitańskiego krateru, owej lazurowej czary wśród gór zieleni ukrytej, lub znali genueński amfiteatr willi, piętrzących się na wyżynach u portu — Malaga mogła się wydać mniej piękną... Oku nienawykłemu do południowych wybrzeży morza — musiała być czarującą.

Żołnierze powitali w niej, jakby jeszcze Włoch wspomnienie — choć ziemia i mury już inne, wschodnie nosiły na sobie cechy. Maurów panowanie na twierdzy, gmachach, domostwach wyryte znać było... Skaliste wyniosłości, na których stoi Gibraltaro, w głąb uciekająca rajska dolina, porr ożywiony statków, flag i ludu mnóstwem, wieżyce kościołów i klasztorów... wrzawa portowa — rozweseliły twarze... wróciły do życia...

Karol z Tadeuszem, wysiadłszy na ląd, wraz z innymi towarzyszami udali się na los szczęścia do starego miasta, szukając sobie gospody. — Młodemu te piętrzące się, pnące do góry uliczki, przypominały Genuę, w której stryja odszukał, gdzie nowe rozpoczął życie. Ale Malaga z domostwy o krytych balkonach, z fantastycznemi budowy, poczepianemi do boków gór, jak gniazda jaskółcze, jeszcze się mu wydawała piękniejszą.

Wchodzili właśnie na stare miasto, gdy najmniej spodziewany widok obu ich wstrzymał... Stanęli wszyscy, ukazując sobie zjawisko, które zdawało się im upiorem!

Naprzeciw nim szedł szybkim krokiem mężczyzna stary, którego żywy ów pochód zasapał i znużył widocznie; ubrany w stary strój polski, z konfederatką na głowie i karabelą u boku, oglądał się niespokojnie, spieszył wyraźnie, a spojrzawszy na twarze tylko, poznał, a raczej domyślił się Polaków i wołał już zdala:

— Czołem, panowie czołem. Witam was... witam... jako reprezentant Rzeczypospolitej.

Zdumieni żołnierze nie wiedzieli, co odpowiedzieć.

— Jam tu ustanowiony przez króla Mości Stanisława Augusta... konsulem w Maladze... i urząd mój dotychczas sprawuję, a sprawować nie przestanę, gdyż nieprawe władze odwołać mnie prawa nie mają

Było w tem coś tak niezwyczajnego, tak dziwnego, iż Karol i inni stali, słuchali i nie wiedzieli, czy się uśmiechać, posądzalił że biedny starzec może nie zupełnie był przytomny.

Starzec zbliżył się, serdecznie witając przybywających — tyle lat języka swego nie słyszał!

— Kochanych ziomków a współobywateli —rzekł — pragnąłem i czuję moim obowiązkiem przyjąć i ugościć... ale licho nadało... żem się was ani spodziewał... któż mógł przewidzić? Gospodyni wyjechała do krewnych na Vegę (dolinę) i wszystko pozamykała... ani od piwnicy, ani od kuchni, mości dobrodzieju, klucza... w domu nawet porządniejsze pokoje do reprezentacyi przeznaczone... zamknięte... moja tylko szczupła izdebka.

— Ale, szanowny panie — przerwał Karol — gdyby nawet były klucze, nas tu tylu, żebyście wszystkich przyjąć nie mogli, a wybór trudny...

— Co acan dobrodziej myślisz, iż konsul polski ma tak szczupłe mieszkanie? — nie braknie mi apartamentów. Gdyby nie ta niegodziwa klucznica, która pojechała na Vegę!

Zdarzył się też na dobitkę w Grenadzie odpust, służba jako to są ludzie pobożni ci Hiszpanie — do nogi mi wywędrowali, ledwie kuchta jeden pozostał. Nie myślcie państwo, że ja tu źle Rzeczpospolitą reprezentuję... Jest wszystko... ekwipaż, konie, służba, liberye... piwnica, ale się to porozłaziło... Lato! lato! odpusty... oktawa Ś. Jana...

Stary mówił żywo, usiłując wyrazom swym nadać cechę prawdy, ale sam strój dowodził, niestety, że ten konsul, którego kontusz i żupan paradny cały się rozpadał, musiał na dnie powszednie chodzić w płótnie, a nie miał pono nikogo, oprócz chłopca do posługi.

Tak było wistocie; Paprocki dosiadywał w Maladze, jak żołnierz zapomniany na straconym posterunku. Z pracy biednych rąk starych się utrzymywał.

Obraz ten zdaje się wymysłem... przecież jest historycznym, prawdziwym.

Starzec żył tu jak już od lat kilkunastu, w największem ubóstwie, w nędzy prawie. Z kraju dawno go grosz nie dochodził, powoli sprzedawał wszystko, aż do ostatniej karabeli, bez której obejść się nie mógł; pożyczał, zarabiał, pisząc ukradkiem, ale nie zszedł z tego stanowiska, na którem mu interesów Rzeczypospolitej strzedz polecono.

Miesiąc cały stała tu 113 pół-brygada... Konsul odżył z niemi, pędząc dnie wpośród ludzi, z których wielu znał rodziny... Był on sam z krakowskiego, na pograniczu Śląska, nie obcą mu była Plutów rodzina i innych wiele. Dopóki Polacy pozostali w Maladze, codzień w paradnym polskim stroju asystował im... ale, na nieszczęście, owa klucznica i służba — nie powracali.

Mowy już o nich potem nie było. Ci, co odwiedzali Paprockiego, znajdowali go w ciasnej izdebce, zawsze w początku zajętego wyszukaniem kluczów od paradnych pokojów, które się nigdy nie znajdowały...

Uczynny konsul miał ochotę ciekawszych ze starszyzny powieźć na mulach dla zwiedzenia o dziesięć tylko mil odległej ztąd Grenady, pokazać im owe sławne budowli maurytańskich szczątki — ale z dnia na dzień oczekiwała flotylla przyjaznego wiatru... potrzebnego do przebycia cieśniny... a spodziewając się go nie wolno było nikomu po za obręb miasta się oddalać...

Nareszcie dnia 25 lipca zawiał ów wiatr pożądany — nie wszystkim! — który miał ich od Europy odegnać...

Żagle się wzdęły, wyciągnięto kotwicę... barki powiozły ostatnich... żegnano Europę...

Staruszek długo stał sam jeden na grobli, a ze statków powiewano chustkami... aż wreszcie wszystko znikło za łzami.

Dzień był pogodny a jasny tak, że stojący na pokładzie widzieli dobrze Gibraltar i Algesiras z jednej, Ceutę z drugiej strony na zamglonym brzegu Afryki.

Z pomyślnym wiatrem dopłynęli tak do Kadyksu, gdzie na nich inne okręta czekały, przez konsulat francuski przygotowane. Tu jeszcze kilku z półbrygady zabrakło odwagi i sił do dalszej podróży — pozostali sami jedni w obcej stronie... znękani i chorzy...

Po kilku dniach wypoczynku 12 sierpnia flotylla wyszła pod żaglami z pomyślnym wiatrem.

Wkrótce lądy zniknęły z oczów. Dla tych, co pierwszy raz byli na pełnem morzu, widok przedstawiał się majestatyczny, cudowny.. niezmierzone przestrzenie wód i niebo.

Między Maderą a wyspami Kanaryjskiemi, dotykając Palmy, niosły ich wiatry dalej a dalej. Dni kilka przeszło szczęśliwie i dosyć wesoło... zapomniano nieco troski... ale niewygody podróży już się uczuć dawały. Skwar pierwszy dokuczać zaczął.

Na jeden dzień wszystko się rozweseliło — owym obrzędem chrztu podzwrotnikowego, od którego tylko Karol był wolnym.

Wieczór skończył się rumem, śpiewem i rozmową... Pogoda służyła, sterowano ku Antyllom i zdawało się, że podróż potrwa niedługo.

Ale w miarę posuwania się dalszego upał, zwłaszcza dla ludzi północy, coraz nieznośniejszym się stawał. — Pokłady statków, rozpalone od słońca — gorzały — wewnątrz panował zaduch śmiertelny.

W tem, gdy już na dnie liczono resztę żeglugi, dnia 20 sierpnia wypogodziło się niebo dziwnie jasno, przybrało barwę ołowianą, wiatr nagle opadać zaczął, żagle zwisły, morze jak szyba szklana wygładzone, stało się nieruchomem niebios zwierciadłem...

Marynarze jedni zrozumieli, co im zagrażało — calme plat — cisza morska, trupia, straszliwa cisza.

Ktokolwiek stał tak uwięziony rozpaczliwie wśród niezmiernych przestrzeni — dnie, tygodnie, miesiące, w oczekiwaniu najlżejszego powiewu, z rozpalonej otchłani, w której odetchnąć czem nie było — wie, jak okropną groźbą jest ta grobowa cisza śmierci.

Najgwałtowniejsza burza mniej jest w istocie straszną — a żadna w świecie nie może trwać tyle, co cisza... która czasem uwięzionych trzyma miesiące pod groźbą śmierci głodowej. Burza może rozbić, wyrzucić na skały lub mielizny, człowiek z nią walczy, ma coś do czynienia dla obrony swej — nadzieję, ruch... życie... tu skamieniały zgon powolny...

Nikt na ratunek przybyć nie może... bo wszystko stoi spętane, lądy daleko... potrzeba czekać miłosierdzia losu i konać powoli.

Statki, jakkolwiek w żywność i wodę zaopatrzone, nie mogły przewidywać tej klęski i czasu straty — sucharów i wody mogło zabraknąć, woda już się od upałów psuła, stawała mulastą, cuchną

cą, zieloną, robactwa pełną... oczyścić jej nie było podobna. Ledwie po kwarcie na całodzienną potrzebę człowieka jej dawano, a skwar był piekielny, a cisza i cisza... bez nadziei.

Na pokładach statków rozciągnięci chorzeli i umierali ludziska; spuszczano ich w morskie głębiny, a stado rekinów czatowało na pastwę... Otaczały one nieustannie flotyllę, podnosząc łby i wietrząc zdobycz...

Mimo tak widocznego niebezpieczeństwa, niepodobna było nawet grozą śmierci powstrzymać ludzi od kąpieli; rzucali się mimo zakazu w fale, zrozpaczeni cierpieniem. Jednych chwytał kurcz i tonęli, nim szalupy mogły na ratunek pośpieszyć, drugich chwytały rekiny. Skwar i znużenie były tak straszne, że od kąpieli nikt nie mógł się powstrzymać, woda nęciła... Musiano ludzi stawić na statkach i strzelać dla odpędzenia rekinów... a bronić przynajmniej, aby się nad kilka sążni nie oddalano.

Od 20 sierpnia do 1 września trwała ta niewola — odwaga się wyczerpywała; codzień spodziewano się powiewu, dzień po dniu upływał jednostajny... Nareszcie porankiem przeleciał powiew pożądany, podniosły się płótna obwisłe, głosy radośne zabrzmiały zewsząd... Wiatr! wiatr!

Zamarłe na wodzie statki zadrgały, zakołysały się... zwierciadło zmarszczyło — morze, jakby przebudzone, poruszać się zaczęło. — Wiatr! Flotylla z okrzykiem ruszyła się — ku Antyllom!

Już tego dnia spotykać zaczęto okręty kupieckie, z któremi witano się wołaniem, pytaniami, znakami — dostawano od nich wieści, sprawdzano morskie rachunki...

Żeglowano dzień i noc, starając się nagrodzić czas stracony — kapitan statku zapowiadał z uśmiechem zwycięzkim blizkie ukazanie się lądu.

Byli już na wysokości Antyllów, wody morskie powoli przybierały odmienną, z powietrza zalatywała jakby woń ziemi i zieleni... fale od dalekich lądów przynosiły ziele, które żeglarze zowią malowniczo winogronami morskiemi... Polacy zwali je morską jemiołą... Chwytano pasma te, witając jak zwiastunów końca podróży... same czepiały się boków statku... kiedy niekiedy orzeł — Frega-

ta, z szeroko rozpostartemi skrzydły, ukazywał się w powietrzu, spieszale żeglując... a zmordowany, zuchwale na maszty opadał.

Wreszcie dnia 10 października.. ozwało się zewsząd ochocze:

— Ziemia! ziemia! Ludzie cisnęli się ku przodom statków, na mury ich, aby pożądany ląd zobaczyć.

Jak mgła, z morza występowały Haiti — San Domingo, ze swemi pasmami gór, dzielącemi ją na czworo, zielona, kwitnąca zdradliwie, piękna jak kosz zatrutego kwiecia.

Co chwila bliżej krążąc, ku zatoce Mancenillów, rozpoznawano kraj prawdziwie uroczo uśmiechnięty, okryty cały roślinnością bogatą, drzewy pnącemi się aż pod same gór szczyty... palmami...

Ale całe dwa dni jeszcze opływano wyspę, aż statki dosięgły zatoki Cap Franais i tu zarzuciły kotwice.

W czasie podróży rozmowy toczyły się ciągle o dziejach tych kolonij; w Maladze i Kadyksie zaopatrzono się w kilka książek i gazety.

Nikomu też nie były obce wypadki tej wojny z czarnymi, którzy się dobijali — należnej im swobody.

Polacy, w imieniu Francyi, szli ich zakuwać w kajdany.

Imiona Toussaint; Louverture, Dessalin'a powtarzano, wiążąc do nich krążące o charakterze wodzów wieści.

Wszyscy wiedzieli, że walczyć będą ze zbuntowaną dziczą, a nie mogło pochlebiać żołnierzowi, iż w pomoc mu dodać miano psy zażarte.

Francuzi wszakże tłumaczyli tę wojnę szczepieniem cywilizacyi na oceanie Atlantyckim.

Dla generała Leclerc, który z garścią już straszliwie zdziesiątkowanych wojsk opierał się tłumom — w sam czas nadchodziły posiłki. — Z dwudziestu tysięcy jego żołnierza nie została już ani połowa.

Część wprawdzie czarnej ludności przejednaną była uległą, ale i tej trudno było zawierzyć, co chwila należało się obawiać zdrady i rzezi...

Każda godzina zwiększała niebezpieczeństwo, każde zwycięztwo zbuntowanych odbierało sprzymierzeńców, którzy się z nimi łączyli.

Dobiwszy się do przystani, napróżno żołnierze znużeni spoglądali na ten ląd tak uroczo zieleniejący przed ich oczyma — wysiąść im nie pozwolono. Dowódzcy tylko popłynęli do jenerała Leclerc, lud został w skwarze na pokładach. W kilka godzin za powrotem starszyzny dowiedziano się, iż pół-brygada miała być rozdzielona i natychmiast rozwieziona na przeznaczone jej stanowiska.

Pierwszy batalion, do którego oba należeli Plutowie, sam jeden wysiąść miał w Cap Francais, inne płynęły natychmiast do Mole St. Nicolas i Port-au-Prince. Statki zerwały się z kotwic; chorowani od morza, znękani drogą i upałami, skazani musieli wyruszyć... Żegnali się i płakali niektórzy. Wielu z nich już się w życiu nigdy widzieć z sobą nie miało.

W Cap Francais głównym oddziałem Murzynów dowodził Clairvaux...

Zaledwie żołnierze mieli czas dotknąć stopą ziemi, orzeźwić się owocem, świeżą wodą, pokarmem — nim sen i wypoczynek sił dodały, w osiemnaście godzin po wylądowaniu iść trzeba było w pochód przeciwko zbuntowanym.

Niedaleko za palmowym lasem, w gąszczach, u stóp gór stał oddział powstańców. Wieczór zapadał, gdy wymaszerowano.

Oddział składał się z samych prawie Murzynów, wiernych Francyi (jak utrzymywano), i z Polaków.

Ale twarze tych przejednanych i posłusznych nic znamionowały nic dobrego; milczący, spoglądali dziko, a niekiedy uśmiech szyderski obnażał białe zęby, jakby na kannibalów ucztę zaostrzone... Błysk oczów, posępne twarze, obudzały mimowolną obawę.

Polscy żołnierze, otoczeni tą zgrają daleko liczniejszą, nie mogli ukryć pewnego niepokoju. Zdawało się wszakże, iż Leclerc, nie będąc pewnym ich wierności, nie byłby wydał na łup świeżo nadeszłych posiłków.

Całym oddziałem dowodził czarny, który znał kraj i kryjówki swych braci.

Za miastem i twierdzą weszli zaraz w lasy i zarośla, gąszcze, które wśród nocy pochód czyniły niebezpiecznym. Wiedziano, iż zbuntowanych oddział był niedaleko skupiony — nie wysłano przecie straży dla przekonania się, gdzie stali i dostania języka...

Pochód ten, któremu wśród nocy czarnej tylko gwiazdy przyświecały, trwał w milczeniu godzin kilka.

Nagle... dał się słyszeć okrzyk wielki, rozlegający się daleko, powtórzony przez gór echa... dziki... i straszny... wojsko stanęło... powtórzył się raz i drugi z coraz nową siłą, a Murzyni odpowiedzieli nań jeszcze dzikszym i gwałtowniejszym.

Powstało zamieszanie jakieś, szeregi łamać się poczęły i ściskać...

Clairvaux i jego żołnierze parli się naprzód...

Gdy oficerowie skupiali bataliony i gotowali się już do boju... niepostrzeżenie prawie znaleźli się sami... część wojsk murzyńska, na ten głos bratni, sypnęła się niepohamowanym pędem ku swoim. Czy rzecz była umówioną, czy mimowolną — Polacy ujrzeli się nagle opuszczeni i w położeniu najniebezpieczniejszem:

Całe szeregi i kompanie czarnych nikły, tonąc w zaroślach, uciekały ku swoim... o zdradzie wątpić nie było można.

Rozpacz, ale dodająca odwagi i energii, opanowała tych ludzi, którzy ratować się nie widzieli prawie sposobu. Po za ścianą lasów, w głębinach okrytych nocą, wrzawa rosła, potężniała, stawał się jakimś chórem radości, powitania i zemsty a boju razem.

Cała okolica zdawała się wrzaskom wtórować...

W położeniu tem, bądź co bądź, należało drogo okupić życie... i bronić się do ostatniego... Wśród ciemności stanęli w ścieśnionej kolumnie... oficerowie po krótkiej naradzie zakomenderowali do odwrotu.

W tej samej chwili, z tyłu, z boków, ćma czarnych nagle wypadła z gąszczy, rzuciła się gwałtownie na oddział... Dano ognia i pierwszy ten nacisk odparto...

Noc coraz czarniejsza, powietrze duszne, wyziew lasów odurzający — kraj nieznany, tłumy, które z tyłu nalegały, nie dozwalały długich namysłów... iść trzeba było i bić się.

W tem położeniu nikt przytomności nie stracił, ramię do ramienia, jak jeden mąż, zrosła się kolumna i ruszyła krokiem żywym a pewnym.

O kilkanaście minut drogi była opustoszona osada i opuszczony kościołek.

Dowódzca batalionu, Wedziński, przypomniał sobie tę budowę i spiesznie ku niej zmierzał... Tłum Murzynów słychać było w chrzęszczących gałęziach, następujący, jak stado żarłoczne. Niekiedy oczy błysły i strzał obalił człowieka.

Nareszcie czarne gęstwiny przerzedzać się zaczęły... palmy stały samotne... dzicy powstrzymali się chwilę, batalion przyspieszał kroku... w dali ciemniał już ów kościołek, do którego się schronić miano.

Gdy na skraju lasu pogoń wstrzymała się dla sformowania — a połączenie powstańców z tymi, którzy byli pod dowództwem Clairvaux... acz może przewidziane i ułożone, nie obeszło się bez narad, Wodziński miał czas dopaść kościołka i usiłował się w nim zabarykadować.

Z okien w mgnieniu porobiono strzelnice, a u drzwi zarzuconych deskami stanęli najdzielniejsi...

Nim się to dokonało, tłum Murzynów, wypadłszy z lasu, biegł, stanął w polu, zdawał ustawiać się i naradzać... i począł widocznie dokoła kościołek osaczać... Ujść tej sile oblegających nie było sposobu...

W chwili, gdy się już walka rozpoczynać miała, na niebie świtało brzaskiem... płowe światełko poranka oblewało okolicę.

Przez okna widać było czerń powoli zdala okrążającą kościół, rozbiegłą szeroko... znoszono gałęzie, aby budowę otoczyć płomieniem.

Z lasów coraz nowe wysuwały się kolumny do szturmu, śmielsi z tyłu kościoła, czepiając się murów jego, gałęzi otaczających drzew, rękami wpijając w kamień, drapali się ku oknom.

Kiedy niekiedy śmiech i wrzask, którym sobie dodawali serca, rozległ się szeroko. Ale niemal straszniejsze nadeń było następujące po nim milczenie.

Wodziński postrzegł zaraz, że to chwilowe schronienie, które mu się zdawało jedyną ucieczką, na długie utrzymanie się przeciw tej tłuszczy posłużyć nie mogło i musiało stać się dla nich płomienistym stosem. Dzicy, mimo liczby, następowali nieśmiało... była nadzieja, że choć część oddziału przebojem wyjść potrafi.

Tu głód, płomień, wyczerpanie amunicyi, zmusiłyby do poddania... rzeź byłaby niewątpliwą... rzeź i męczarnie pełne zwierzęcego okrucieństwa.

Wszyscy godzili się na to, aby iść dalej i ginąć w walce i polu...

Wyłamano więc znów wrota zaparte, pierwsza garść wybiegła gotowa dać ognia, za nią batalion wysypał się cały, sformował w kwadrat... stanął... Ciżba Murzynów, postrzegłszy wycieczkę,

jak mrowie opasywała ją, krzycząc, podnosząc w górę pałki i strzelając luźnie...

Ale kule ich leciały daleko i mało która kogo dosięgła.

Iść trzeba było — bądź co bądź... Dano znak do marszu... ruszyli wolnym krokiem w porządku, odstrzeliwając się dopiero w chwili, gdy czarni nadbiegli blizko... Za każdym z tych strzałów padali gęsto napastnicy, odskakiwał tłum... i po trupach powracał z podwojoną zajadłością...

Zimna krew Wodzińskiego i przytomność żołnierza uratowała tę garść walecznych... Szli niepowstrzymani.

Gdy w szeregach kula trafiła którego, dźwigano go, podtrzymując, dopóki nie skonał.

Kiedy niekiedy po za kolumną zostawał leżący trup... a Murzyni, jak mrowie, rzucali się nań, ciało rozrywając w kawałki, głowę odciętą wznosząc na kijach...

Widok był dla obytych z wojną nawet, przerażający grozą... kilku rannych jęczało, prosząc by ich dobito... milczenie panowało w szeregach... przerywane tylko nabijaniem broni i strzałami...

Dzicz szła... mieniając się... po za tą straconą kolumną płynęła, jak czarny strumień z gór zielonych...

W tym boju wytrwałym posuwał się zastęp znękanych już, lecz rozgorączkowanych żołnierzy przez godzin kilka, przez kilka wieków. W pochodzie uczono się obrony...

Wystrzał rozpraszał dzikich, chwila ta dozwalała broń nabić na nowo...

Tak ścigany ciągle Wodziński, gdy się już obawiać począł wyczerpania amunicyi i ogień zmniejszyć musiał, ukazała się jak wybawienie... twierdza Jeantot pod Francais.

Odetchnęli lżej wszyscy, ocalenie choć części stawało się możliżliwem.

Czarni przypuścili zewsząc szturm gwałtowny, z tym wrzaskiem piekielnym, który dla nich jest też bronią... ale dano ognia i odepchnięto ich znowu...

Z twierdzy już ujrzano kompanię broniącą się rozpaczliwie dziczy... i część załogi pospieszała na odsiecz...

Widok żołnierzy, obawa dział... nie dozwoliły czarnym odrazu posunąć się gwałtowniej... Wodziński w chwili, gdy jego żołnierze padali ze znużenia, dostał się do bram twierdzy...

Strata tej nocy i dnia w zabitych i rannych — wynosiła stu kilkudziesięciu ludzi...

Takie było powitanie polskich rozbitków na San Domingo.

Od pół tej drogi — w pośrodku kolumny idący Tadeusz, sam w rękę lewą ranny kulą — podtrzymywał Karola, któremu postrzał kość stopy u lewej nogi roztrzaskał. Oba wlekli się milczący, z zaciętemi usty, poglądając na siebie... Młody żołnierz mało czuł ranę swoją, przewiązawszy ją silnie chustką — stary, przez miłość dla niego, starając się ból ukryć, szedł, choć mu oczy mgłą zachodziły, choć słaniał się i padał, na nogę prawie stąpić nie mogąc... podpierał się strzelbą... Jeszcze godzina, a byłby padł na drodze i Tadeusz z nim, bo opuścić go nie chciał...

W Jeantot, ledwie przestąpiwszy próg bramy... Karol się zachwiał i pod murem padł bezsilny.

Zaniesiono go do szpitala... Tadeusz także był ranny...

Oddział schronił się cały... gdy czarni, którym żal było pastwy, co się im wymknęła — ośmieleni zapewne przez tych, którzy się z nimi połączyli, a znali dobrze słabość przytułku i szczupłość sił francuskich — całemi masami rzucili się ku twierdzy.

Znów ten wrzask dziki, okrzyk wojenny, podobny do wycia drapieżnego zwierza... rozległ się w dolinie... ale mu wystrzały z dział odpowiedziały...

Zostawiając Karola w rękach chirurga, Tadeusz z przewiązaną ledwie raną wybiegł na okopy... czuł, że tam wszyscy byli potrzebni... Gorączka boju go objęła, serce biło... zwycięztwo otrzymane egzaltowało... Karol nie mógł się temu sprzeciwić, a może obrachował, by nieuchronne odjęcie stopy odbyło się w niebytności Tadeusza... Pragnął żyć choć kaleką, aby nad nim czuwać jeszcze, a jeśli można, ocalić go.

Clairvaux, który przed niewielu godzinami wyszedł z tej twierdzy, a znał każdy jej zakątek, wszystkie słabe strony — pewien był prawie zdobycia — dlatego, nie dając załodze czasu przygotowania się ku obronie, opasał ją natychmiast.

Murzyni byli w przemagającej liczbie, ale napaść ich nieporządna mogła być odepchniętą... Spychani, rażeni strzałami, darli się

na okopy, trupy staczały się w fosy, a po ciałach ich pięli się drudzy... ale zajadłość słabła powoli.

Chociaż strzały kładły napastników, a liczba ich zawsze rosła... mniej śmiało biegli... Napaść jednak mogła być groźną przez liczbę samą, gdy Wodziński, który ledwie schronił się w mury, przedsięwziął śmiałą wycieczkę.

Polacy rzucili się z nieustraszonem męztwem w chwili, gdy czarni najmniej się tego spodziewali; oddział ich, morderczy siejąc ogień, odrazu rzucił popłoch na tłumy.

Poparto ich ogniem działowym... czerń stanęła... widać było tę chwilę przełomu, która stanowi o losie walki... Nagle cała ta chmura rozkołysana rzuciła się w tył, zaczęła cofać i odpędzona, w największym nieładzie i popłochu pierzchnęła.

Cała równina pod twierdzą Jeantot przedstawiała wkrótce widok straszny, masy trupów czarnych... nagromadzonych kupami... rannych, którzy się wlekli, pełzając ku lasom... lub w wysileniach zgonu — konali.

Noc poczęła zapadać na ten obraz boju, który, choć skończył się zwycięztwem, dawał tylko wytchnienie...

Gdy Tadeusz powrócił do łoża stryja, nadstawiając obrzękłą rękę chirurgowi, aby mu ją opatrzył... Karol zbladły wyciągnął mu dłoń i uśmiechnął się, oczyma rany jego szukając.

Zapomniał o swojej, ale Tadeusz ujrzał nogę objętą w leszczoty i bandaże... przy której stopy już brakło.

Karol jeśli miał żyć — został kaleką...

W losach ludzi to, co się im okrutną zdaje być karą, częstokroć jest ocaleniem — któż wie, czy te rany Plutów, otrzymane prawie na samym wstępie, nie ocaliły im życia?

Lazaret — choroba, były przynajmniej nicjaką obroną od wpływów zabójczego klimatu, skwarów i chorób, które się z nich wyradzały.

W szpitalach tych nieco spokoju i starania trochę znaleźć było można. Ale na łóżkach, które nigdy próżno nie stały, co dzień ktoś w oczach ich konał. — Gorączka rozszerzała się straszliwie, tak, że unikając zarazy, oba ranni wynieść się musieli do gospody w Cap Francais.

Śmiertelność przybierała groźne znamiona moru — najsilniejsi, najzdrowsi padali niespodzianie pastwą żółtej gorączki i nie doczekawszy drugiej doby... w okrutnych męczarniach konali. Rzadko kto trzy dni cierpiał, choroba była piorunująca: niszczyła i zabijała w oczach... Człowiek zdrów wczoraj, bladł, padał, rozkładał się, wypalał... konał, nim z pomocą nadbieżono. Najmniejsza nieostrożność zabijała, największe ostrożności nie mogły ochronić.

Polacy szczególniej usposobieni byli do schwycenia zarazy — przejście nagłe do gorętszego klimatu, znużenie, praca, głód, pragnienie — wystawiały ich na niebezpieczeństwo... zdawali się pastwą wybraną moru, ofiarą jego najmilszą. Najmłodsi, najsilniejsi, najpewniejsi siebie... często wśród śpiewu i zabawy, uczuwszy głowę ciężką, bledli, żółkli... wlekli się do szpitala i marli w boleściach... jak niegdyś na tej samej wyspie, z tej samej choroby, towarzysze wyprawy Kolumba.

Miesiąc nie upłynął, a z tysiąca ludzi batalionu Wodzińskiego zostało — ośmdziesięciu.

Samo wrażenie, jakie wywierała śmierć, przyczyniało się do szerzenia klęski, nikt nie był pewien dnia... przebudzenia po śnie nocy... jutra... Dreszcz i gorączka porywały śpiącego, o świcie był już nad grobem... Żaden znak nie poprzedzał tego piorunu, nic go nie zwiastowało i nic ustrzedz nie mogło. Jak czarny kir postrach grozą oblókł pozostałych rozbitków — wszyscy czekali już tylko śmierci...

W takim stanie znajdowali się ci, którzy w Cap Francais wylądowali, nie lepiej szczęściło się dwom innym batalionom. Drugiemu dowodził starszy Bolesta.

Część jego zostawiono na załodze w Mole St. Nicolas, na stanowisku ważnem, bo środkowem, panującem posiadłościom francuskim. Reszta przyłączoną została tak samo, jak pierwszy batalion, do czarnej dywizyi generała Dessalines. Wyprawiono ich z pośpiechem wielkim na Gonayves.

Zdrada wszędzie już zarówno była uknuta i w ciszy przygotowana, powstańscy w zmowie z Murzynami posłusznymi, czekali tylko sposobności połączenia się. Bandy ich umyślnie uchodziły,

unikając walki, a Dessalines udawał, że je coraz głębiej w kraj ścigał przez lasy, rzeki i wąwozy. Na pozór okrutnik ten zdawał się najszczerzej pragnąć uspokojenia, działał energicznie, oswabadzając ze zbuntowanych część północną posiadłości od Mole St. Nicolas do St. Marc. Ale cały pochód był zdradliwą rachubą — liczył, kiedy ma się połączyć ze swoimi i wypowiedzieć posłuszeństwo.

Gdy wojska połączone przyszły do St. Marc, tejże nocy Dessalines, obawiając się być wydanym, uszedł pospiesznie że wszystkimi prawie Murzynami do powstańców pod dowództwem Christoph'a i młodego Louvertura.

W pośpiechu, przez nieostrożność, czy nie dowierzając, lub wreszcie dla jakiejś rachuby dziwnej, zostawił za sobą oddział jeden, ze czterechset Murzynów złożony...

Załoga była tak słaba, położenie rozpaczliwe, iż gdyby ci czterechset zdradzili, czego się co chwila spodziewać było można—ostatki wojsk padłyby ofiarą.

Na radzie wojennej wypadł na nich okrutny wyrok śmierci.

Generał Fressinet kazał ich otoczyć i wymordować do jednego. Nieszczęśliwy oddział Bolesty użytym był do tego katowskiego dzieła.

Jest może coś straszniejszego nad zgubę własną — to konieczność okrucieństwa, gdy serce mówi za miłosierdziem, a wzdryga się od krwi przelewu.

Polacy, zmuszeni do tego morderstwa... czuli się upokorzonymi i oburzonymi razem...

Po tej rzezi okrutnej okrwawionych żołnierzy przewieziono do Port-au-Prince.

Walka bez nadziei wygranej dla oręża francuskiego, w sprawie interesów, nie idei... nie rozgrzewała serca, była sromotną.

W Port-au-Prince gorączka miała się pomścić za morderstwo... z tysiąca... stu zaledwie zostało... sam Bolesta zmarł z niej w Leoganne.

Wyrok, wydany na legion, spełniał febris flava.

Trzeci, najmniejszy oddział, z ludzi sześciuset, w tenże sposób stracił większą część żołnierza—mór, szerzący się po wyspie, nie oszczędził go.

Z trzech tysięcy siedmiuset tułaczów, żywych zostało się — trzystu... z półtorasta oficerów — czterdziestu...

Sto trzynasta pół-brygada rozbita... wcieloną została do innych pułków francuskich...

W mnogich z powstańcami potyczkach brani w niewolę Polacy padali ofiarą dzikiego okrucieństwa. Żywych, ująwszy w drewniane deski, piłowano na wolnym ogniu, obcinano, nie odbierając życia... brano ich w początku za Francuzów...

Ale Murzyni nawet, dowiedziawszy się o losie polskich żołnierzy, ulitowali się później nad nimi, czując, że ich do tej walki zmuszono. — Wypuszczano na wolność jeńców, ze słowem współczucia — z poszanowaniem ich niedoli. Wszyscy spółcześni poświadczają ten fakt — który się nam dziwnym nie zdaje.

W szpitalu, w Cap Francais, leżał Karol, później w lichym domu miasteczka... Szczęśliwe Opatrzności zrządzenie obu ich cudownie ocaliło od gorączki, która codzień nowe porywała ofiary. Tadeusz winien to był opiece starego, doświadczeńszego człowieka...

Rana ciężka powoli się zabliźniać zaczęła, Tadeusz także nie władnął dobrze lewą ręką, nosił ją na temblaku... ale lekarz zapewnił, że w niej siłę odzyska...

Oba smutni, przerażeni towarzyszów losem, wyglądali już tylko możności powrócenia do Europy —, Karol, nawet mimo powolniejszego zabliźniania się rany, nie chciał czekać na wyleczenie jej zupełne pod klimatem tak srogim dla ludzi północy. Pierwszy statek kupiecki, o którym w Port-au-Prince zasłyszano, mając zawinąć do Cap Francais, nastręczył im zręczność powrotu, któremu Leclerc nie mógł się sprzeciwić. Sam on wkrótce powracać miał na takim statku do Francyi, ale w trumnie.

Pod jesień więc, w najniebezpieczniejszą chwilę żeglugi na Atlantyku, obaj ranni nasi wsiedli na pokład statku Marya, dążącego do portu Bulońskiego. Wiózł on ładunek dziwny — kilku dogorywających ludzi, kilka wdów, trupa do grobu rodziny i niedobitków walki... której upadek przewidywano.

Żeglugę przerywaną burzami, niewygodną, długą, zniesiono cierpliwie w milczeniu — wracała ich Europie!

Na statek z nimi siadła i żółta febra, która wśród podróży zabrała swoje ofiary, co przed nią uciekać chciały.

A gdy znękani długą, nieskończoną żeglugą — wątpili już nawet, czy ocaleni być mogą... ukazał się gościnny brzeg Francyi.

Nazajutrz statek przybijał do portu w Boulogne...

Dzieje tułactwa, rozproszonego po Maciejowicach — czyż na tem się skończyły?

Po całym Bożym świecie szli rozproszeni witani — kamieniem, szyderstwem, obojętnością i pogardą... spychani nędzą w pustynie.

Wysiadając w Boulogne, na dwóch mieli dwie niedogojone rany i jednego dukata w złocie; tyle ile było potrzeba, aby położyć się na twardem łóżku w gospodzie i myśleć, jak dożyć powrotu do domu.

Ale zaraz w porcie chłopię odarte dobyło z nich wyznanie, że byli Polacy...

— Polacy! Polacy! — powtórzył serdeczny ulicznik, chwytają węzełki —chodźcie za mną, ja was zaprowadzę do gospody, której właściciel zna waszego... Kościuszkę... posłuchajcie mnie, nie pożałujecie... pójdziemy pod Złotą kotwicę, a pod nią są serca złote...

Chłopiec nalegał, nie mieli nic do wyboru, poszli za nim.

U progu już córka gospodarza, miluchne dziewczę z uśmiechem na ustach różowych, plasnęło w ręce, gdy chłopiec, który ich poprzedzał, oznajmił, że idą Polacy... Zobaczywszy kalekę o kuli i zbladłą twarz młodego Tadeusza, przybiegło [illegible]jąc i zapraszając... Podała ramię starszemu, młodemu u[illegible] wejrzenie orzeźwiające...

— Polacy! — powtarzała z radością — o! jakże ojciec rad wam b[illegible]ie, on tak kocha Polaków... on znał Kościuszkę! wielkiego v[illegible]ego Kościuszkę... ale zkądże jedziecie?

— Z San Domingo!

— A! z tak daleka! z drugiego świata, gdzie tylu poginęło naszych!

— I naszych, moja panienko, wielu tam grób znalazło...

Westchnęło dziewczę, łza zakręciła się w oku.

— Jakże to dobrze! jak szczęśliwie, że Pietrek was tu do nas przyprowadził... Nigdzie, pewnieby nigdzie lepiej wam nie było, jak pod Złotą kotwicą, u starego Merlina... Wszakżem wam już mówiła, że ojciec znał Kościuszkę, który jest teraz w Paryżu...

— Kościuszko! w Paryżu! — zawołał Karol — a! cóż to za szczęście!

Wtem nadbiegł i sam gospodarz, któremu już Pietrek z tryumfem doniósł, że mu przyprowadził Polaków... Zabierał się ich całować i ściskać... a spojrzawszy... zapłakał...

Za nim pospieszyła żona, okrągła kobiecina, łamiąc ręce na widok kuli i wynędznienia swych gości. Wszyscy razem rozbierali tłomoczki, chcieli pomagać na wschodki... cisnęli się, witali...

Było to serdeczne tego poczciwego ludu przyjęcie, który psują darmo od wieków mędrkowie, a popsuć dotąd nie mogą.

— Zacni moi, kochani ludzie — odezwał się Karol wzruszony do głębi — niech wam Bóg ten dowód współczucia dla nas nagrodzi... tak dawnośmy się z niem nie spotkali!

Lecz nim stąpimy na próg wasz gościnny, musimy wam wyznać szczerze... na nas dwóch, opędziwszy drogę i statek — mamy jednego dukata... Nim nam zasiłek nadejdzie, dużo czasu upłynąć może...

Stary Merlin, żona, córka z oburzeniem zakrzyknęli:

— O mój Boże! za kogóż to nas macie! co mówicie! chodźcie tylko, chodźcie... podzielimy się z wami czem mamy, nie zabraknie ani chleba, ani grosza...

Przyjęcie było domowe, rodzinne, poufałe, a troskliwości pełne, tak, iż skołatanym podróżą, w której, ludzie kwaśnieją, a serca zasychają — wydało się Bożym darem i opieką.

Piękna twarzyczka Marietty rozjaśniała jeszcze uśmiechem, weselem, wdziękiem ubogą, ale schludną gospodę. Po statku rajem im była.

Nadużyć takiej gościny serdecznej zdawało się Karolowi grzechem, tegoż dnia napisał do Kościuszki, a nazajutrz list drugi wyprawiono do Skały...

Na odpowiedź z Fontainebleu kilka dni dosyć było, ale z domu mogli jej czekać miesiące.

Tymczasem dach poczciwego Merlina przytulił ich pod Złotą Kotwicą.

W tydzień nadeszła odpowiedź Kościuszki i pieniądze na podróż do Paryża. Generał żądał od Karola, aby przybył choć na chwilę — chciał z ust jego dowiedzieć się o losach legionu, o którym dziwne a straszne krążyły wieści.

Merlin, żona jego i córka posmutnieli, gdy im oznajmił Karol, że do Paryża jechać muszą; na twarzach ich malował się żal prawdziwy, szczery, bo w krótkim przeciągu czasu przywiązali się do smutnych gości. Marietta patrzała przez łezki na Tadeusza i wzdychała. Merlin ściskał Karola i gniewał się trochę na wielkiego Kościuszkę, że ich tak prędko mu odbierał.

— Mogliście posiedzieć tu, a spocząć do cieplejszych dni... — szeptał markotny.

Nic jednak nie pomogło, trzeba się było rozstać z poczciwą rodziną... Przeprowadzili ich wszyscy do dyliżansu, Marietta zapłakała, ściskając rękę Tadeusza, i długo ku nim wiewały białe ich chustki.

Podróż była powolną, bo ją Karol dla niedogojonej rany z wypoczynkami odbywać musiał. Przybyli wreszcie do Paryża, a Karol, co stolicę widział za rzeczypospolitej, zdumiał się zmianie nie miasta, ale ludu, który je napełniał.

Wszystko, co wielką rewolucyę przypominać mogło, już było znikło, a owe wrzące tłumy sansculotów, owe zdziczałe tricoteusy, zastąpił tłum dobroduszny, który z zapałem sypał oklaski wojsku, wodzom i konsulowi.

Na czole Bonapartego już niewidzialna jaśniała cesarska korona... Francya uspokojona, do karności wojskowej nałamana, drżała z radości — i strachu.

O swobodzie ludów mówić już było nie w modzie, rozprawiano o sławie, tryumfach i laurach.

W chwili ich przybycia Francya była pod wrażeniem śmierci księcia d'Enghien i zgonu generała Pichegru. Europa czuła już tę dłoń, która jej wnętrzności krwawo rozedrzeć miała.

Zaledwie przenocowawszy w Paryżu, oba z Tadeuszem pośpieszyli do Fontainebleu.

W małej mieścinie, wśród lasów i zieleni, wpośród ciszy prawie wiejskiej, w domku ubogim znaleźli wodza...

Karol, spojrzawszy nań, od łez prawie wstrzymać się nie mógł..

Inny był to człowiek od tego, którego spotkał raz pierwszy w Trenton, inny, niż przed Maciejowicami.

Nie wiek, nie lata—cierpienia go złamały. Smutny, z twarzą pociemniałą, z oczyma jakby przygasłemi, wyszedł na ich spotkanie i uściskał w uroczystem jakiemś milczeniu.

Wprowadził ich za sobą do małej izdebki.

W kącie jej stało jakby obozowe łóżeczko, z historyczną ową poduszką skórzaną i wyszarpaną kołderką wełnianą.

Nad niem wisiała, świeżo oddana mu przez Dąbrowskiego, Sobieskiego szabla — jeszcze we Włoszech odarta z klejnotów, co ją zdobiły; dalej rzędem kilka profilów, nakreślonych ołówkiem ręką Kościuszki, wspomnienia różnych lat życia, niebieska wstążka od krzyża Cyncynata, który zawiesił u obrazu Matki Boskiej w Dołholisce na Podlasiu, portret Jeffersona z rysunku Kościuszki sztychowany przez Sokolnickiego, wizerunek Washingtona i Franklina... W mniejszych ramkach sylwetki kobiece i zeschłe kwiaty...

U okna widać było tokarnię. Na stoliczku kilka książek, papier i ołówki.

Przez okno wyglądał ogródek, kwiatków wiosennych pełen, a gałęzie krzewów cisnęły się ze swą wonią aż do stolika...

Wierny swym przekonaniom, Kościuszko, mimo nęcących ofiar, mimo błagania przyjaciół, z prostoty i surowości życia republikańskiego wyjść nie chciał. Jak niegdyś w obozie żył barszczem i kaszą żołnierską, a sypiał na garści słomy z tą poduszką skórzaną, tak i tu nie chciał nic mieć, coby go zmiękczyć mogło, a na duszę podziałać — odwodząc od spartańskiej prostoty.

Ale smutniejszą nad izdebkę ubogą była twarz wodza, nosząca ślady przebolałych losów.

Gdy usiedli, spojrzał na Karola nogę.

— Dobiłeś się spoczynku — rzekł — Pan Bóg ci odjął nogę, żebyś przecie odpoczął — ale iluż was ztamtąd choć bez nóg powróci?

— Ilu? — odparł Karol — ze czterech niespełna tysięcy — może kilku, kilkunastu.. gorączką zabrała jednych, Murzyni drugich dobili.

Długo mówili o Polsce, o jej przyszłych losach, o cesarzu Pawle, dla którego Kościuszko miał szacunek i wdzięczność.

Karol i Tadeusz opowiadali mu potem o 113 pół-brygady losach na San Domingo, a Kościuszko oburzał się i płakał na to umyślne zatracenie garści ludzi, których winą było przywiązanie do ojczyzny.

Po cichu potem, oglądając się z obawą, rzekł Karolowi:

— Wiecie, pierwszy konsul i o mnie pomyślał — przypomniał sobie, że żyję... chciano mnie czemś zrobić, do czegoś wciągnąć, nastraszyć — zużyć.

Ale ja tu nie zostanę długo — dodał — pojadę z Zeltnerami do wolnej ich ojczyzny ubogiej, do Szwajcaryi. Dadzą mi przytułek ludzie poczciwi.

Widzisz — mówił ciągle zniżonym głosem — ja tu się już nawet głośniej przemówić boję... otoczony jestem niedobrymi ludźmi, strach i groza panują, wszystko ulegać musi...

Cały tak dzień na rozmowie i przechadzce po lesie Fontainebleu przebywszy z Kościuszką, wrócili do Paryża, obiecując sobie częściej go w czasie pobytu nawiedzać...

Pomimo chęci jak najprędszego dostania się do kraju, czekać musieli w Paryżu, aż im posiłki nadejdą. Oba z Tadeuszem milcząco włóczyli się powoli, przyglądając zgoła nowemu miastu, nowemu ludowi, nowej epoce.

Raz, gdy tak powracali z za Sekwany, na Nowym Moście, owym historycznym pomniku z czasów, z których zostało się stolicy niewiele pamiątek, Karol, stąpając o kuli, postrzegł u słupa mostu siedzącego człowieka, wyglądającego na żebraka... Przy nim siedział pudel, bardzo misternie wystrzyżony... Przed obu wystawiona tabliczka drewniana oznajmiała przechodniom, iż artysta, oczekujący praktyki, podejmował się psiej toalety, strzyżenia, obcinania uszu i ogonów. Chcąc zbiedzonemu, a może głodnemu artyście rzucić grosz, Karol się przybliżył, ubogi podniósł oczy i załamawszy ręce, krzyknął po polsku.

— O Jezu miły! panicz! pan Karol... — W wynędzniałej twarzy ledwie Pluta poznał Stacha. Ten patrzał na nogę i kulę.

— Bez nogi! — powtarzał z rozpaczą... — ustrzelili mu nogę! Mój pan! mój pan!

— A tyż, biedny Stachu — zszedłeś na most i strzyżenie pudlów? Gdzież dom, żona, gospodarstwo?

Stach podniósł nań oczy zmęczone.

— Żona! niech już pan o babach nie mówi! poprzysięgłem, że do śmierci nienawidzieć je będę.

Opuściła mnie po roku pożycia — to nic jeszcze — ale z kim, proszę pana, z kim? z podłym kuglarzem, który noże połykał. Ale prawda, że też chyba taki człowiek mógł ją przełknąć. Przed ślubem była jak baranek... a potem... potem! co się z niej zrobiło? myślałem że oszaleję...

To mówiąc Stach, wstawał i zabierał się z całym magazynem i pudlem pójść za dawnym panem.

— Panie mój drogi — zawołał — pan do domu powraca? prawda?

— Pojadę — odparł Karol...

— A! ojcze mój, dobrodzieju, zabierzże mnie z sobą, będę świnie pasł. Paryż mi siadł tu — kością... — i całował go po rękach...

— Dobrze... Ale w Skale zatęsknisz za Paryżem...

— O! nie! co, nic to nie! o jedną tylko łaskę proszę, pozwól mi mojego pudla Bretona... wziąć z sobą... Jeden on mnie kocha na ziemi...

Po kilku tygodniach oczekiwania nadeszły listy z Krakowa do Tadeusza. Prawnik, któremu powierzył interesa, przysyłał pieniądze, winszował powrotu... nic nie wspominając o Skale i domu.

Udali się raz jeszcze z pożegnaniem do Fontainebleau... Kościuszko błogosławił wracającym. — Czy ja kiedy tę ziemię jeszcze zobaczę i tem powietrzem odetchnę?

I łzy im się kręciły w oczach.

Nazajutrz spiesznie ruszyli w podróż, a że droga wiodła ich na Drezno, znów spoczęli dzień w tej polskiej gospodzie, której żaden polski prawie tułacz nie minął. Kościuszko, Kołłątaj, Potocki, Niemcewicz, Wybicki, Ogiński... wszyscy się oparli o nieuniknione Drezno. Tu pod Złotym Aniołem, chlubiącym się wspomnieniem Schillera, Eliasz Tremo namówił Dąbrowskiego do

przyjęcia dowództwa nad legionami. Wspomnień pełno było na każdym kroku. Elba wydawała się Wisły siostrzycą.

Nie zatrzymując się, biegli do Skały... spoczywać...

I znów wiosennego poranka dwaj tułacze znaleźli się w cichej lipowej ulicy... Oba zażądali wysiąść i iść pieszo... jak pobożni pielgrzymi, z cichą na ustach modlitwą.

Cisza była w ulicy, cieniem okrytej i zarosłej, omszone figury kamienne stały na dawnych swych miejscach, ptaszki świegotały w starych lip konarach... ale na drodze rosły trawy i chwasty...

Z pomiędzy gałęzi nie można jeszcze było dostrzedz dworu... wtem rozbiegły się lipy, z których kilka wiatr obalił, i otworem spojrzeli na stare gniazdo swoje...

Stanęli przerażeni.

Dworu nie było — sterczały z niego okopcone kominy, porozwalane ściany i gruzów kupy... Pożar przeszedł i stara siedziba z dymem i popiołem znikła...

Tadeusz łamał ręce... i dla niego była to kolebka pełna pamiątek... każda piędź ziemi nosiła wspomnienie.

— Bóg dał — Bóg wziął — rzekł nareszcie Karol z powagą, kładąc mu rękę na ramieniu — Wola Jego błogosławiona! Dach i przytułek znajdziemy, a pamiątki serce zachowa.

Szli już, nie spiesząc, milczący...

Zbliżywszy się, dopiero dostrzegli opustoszenie, zaniedbanie tego niegdyś tak ożywionego kątka.

Dworu trzymała się ścian resztka... do pół obrosła chwastami zielem; kilka drzew osmolonych, czarnych, jak skielety nad niemi sterczało. Podwórzec rozgrodzony, zarosły, w nieładzie dzikie zajęły gąszcze.

Parę chudych koni spętanych pasło się tu, jak na rozłogu... chora jakaś krówka, przywiązana do drzewa, gryzła trawę...

Ni znaku życia, ni żywej duszy... tylko to ptactwo, które słyszeli świegocące w lipach — unosiło się i tu szczebiocąc, jak nad grobami cmętarzów.

CZĘŚĆ TRZECIA.

KSIĘGA XIII.

Twarze się mienią.

Gdy starej rzeczypospolitej nie stało, rozbiła się i społeczność Polska w drzazgi, rozleciała w okruchy; z jej szczątków tworzyły się próchna, a z próchna rosły nowe postacie.

Na dole najmniej uczuł wieśniak, że mu ojczyzny zabrakło, bo ojcowizny nie miał, jeno pożyczaną — a choć on nie gospodarzył w Polsce — i był w niej gdyby gościem najemnym — kochał przecież nałogiem to, z czem się wiekami zżył, wiekuistą biedę swoją i dwór stary, z którym wiele dzielił losów, i tych panów, których buta wesoła czasem mu serce rozweseliła a czasem smuciła, i kościół, do którego na odpust chadzał i króla swojego, o którym zdala zasłyszał, że był koronowanym szlachcicem. Gdy król, pan, szlachcic znikać a mienić się poczęli, westchnął nawet wieśniak, jak się wzdycha, idąc za obojętnym pogrzebem—bo trumna wszelka ma smutek w sobie. Ale w chacie, na polu, w pracy, nawet w nabożeństwie mało mu się zmieniło...

W zapłatę za wiele smutku przyszło trochę spokoju, wojny przycichły, wrzawy ustały. Sejmikom było dosyć — cisza zaległa kraj...-ale też i spać mu się chciało, był zmęczony...

Inaczej w szlacheckim dworze i dworku — tu pan stał się podwładnym, wielkiej rozrosłej bucie wiekowej dzień strasznego sądu żelazną położył tamę.

Panowanie dawne ograniczyć się musiało w ciasnem kółku własnej wioski.

Po karnawale XVIII. w. popielec XIX! Zaprządz się potrzeba było do pracy twardej, do której ani ręce, ani głowa nie były spo- sobne.

Zagrzały się serca raz i drugi obietnicami Napoleona. Po pruskiej pustce polskiej, w której cicho było jak w grobie i jak w grobie zimno, przyszło Księstwo Warszawskie...

A serca wciąż biły — nadzieją, nadzieja wiała zewsząd, byle wiatr, ludzie czekali bawiąc się z założonemi rękami, mówiąc pocichu wiele, robiąc głośno a mało...

Polacy wymierali powoli... Zostało trochę poobcinanych Kościuszkowskich żołnierzy, trochę ogłuchłych konfederatów, trochę zblakłych kontuszów, chodzących modlić się na groby i trochę matek świętych a bezdzietnych.

Z onej szlachty panującej, co na sejmach szumiała, nie było już nikogo...

Nowe pokolenia zrodziły się, wypiastowane wspomnieniami, żalami, nadziejami — ale już zesłabłe...

W górze nie zmieniło się nic. Ci, co nawykli byli do europejskiego świata, weszli weń z prawami obywatelstwa, nie stracili nic. Szambelanowie króla zostali łatwo podkomorzymi, generałowie rzeczypospolitej przywdzieli inne mundury... hrabiowie pojechali do Wiednia, zkąd były rodem ich hrabstwa, książęta do Włoch, bo tam księztwa rosną dziko jak pomarańczowe drzewa, baronowie do Prus... a ci, którym tytułów na wychodnem zabrakło, jak kapeluszów przy wyjściu z reduty — aby się od tłumu wyróżnić i nie wynijść z gołą głową, pobrali tytuły z grzecznych kopert królewskich... kancelarye nie śniły o tem, że obcięte ćwiartki ich miały starczyć za patenta...

Tam też w górze nie płakano bardzo, choć wzdychano z początku, nowi panowie kraju byli starzy znajomi... a na łzy nie ma czasu... bo się trzeba bawić i śmiać się. W Wiedniu zaręczano, że tytuły poszanują i nowe dodadzą, w Prusach wpajano chlubę należenia do tak wielkiego narodu, który po całym świecie w tłumokach mydło i kulturę roznosił!!

Zresztą arystokracya całego świata jest, była i będzie niby jedną wielką rodziną... mówi, jednym, swoim językiem, ma swój

obyczaj powszechny... choruje na jedne słabości. Niewielu zamknęło się w pałacach po wioskach, z jeremiaszową boleścią w sercu — to byli wybrani — ojcowie narodu, ci zmarli na kurulskich krzesłach swoich... ale tych policzyć można.

Tymczasem wkoło wszystko się zmieniło powoli — klasztor zarysował się i runął, kościół opustoszał i zubożał, mnich modląc się skonał, miasta się popaliły, dwór okrył słomą, pałace opadły z marmurów... na polu tylko zieleniały potem podlane kłosy i śpiewały w krzewach słowiki, dopóki ich do Niemiec nie powywożono...

Na zgliszczach spalonego dworu w Skale po powrocie rozbitków zbudowano naprzód naprędce dworek, w którymby się przytulić i burzy resztę przetrwać było można, a siedząc u komina, gwarzyć o star ch wspomnieniach.

Karol, rgany na siłach, wrócił tu z pokojem duszy, ale z tym, co zwiastuje w starości zbliżanie się ku krainie wiekuistego spoczynku. Tadeusz przybiegł z namiętną radością oglądania — ojczyzny... Dla Karola był to już tylko cmentarz złudzeń i nadziei. — Tadeusz, co się z niej wyrwał w świat młodziuchnym, dziecięciem prawie, dopiero teraz słodyczy domu, wsi, mienia i gospodarzenia wedle fantazyi obiecywał sobie używać.

Oba znaleźli naówczas w Polsce ten pokój martwy, jakim śpi mąż, co po walce długiej rzucił się na ziemię.

Dla Karola Polska była pustką — dla Tadzia ogrodem, rajem... Widział cudniejsze strony, czary klimatów szczęśliwych, a przecież tu mu było najmilej — tu łzawo się czuł szczęśliwym... tu był — dom! Ten smętny krajobraz, opasany lasami, stokroć mu się wydawał cudniejszym nad wspomnienia Włch drugiego świata.

Jedną z pierwszych wycieczek Karola były odwiedziny cmentarza — poszedł obejrzeć ten swój grób stary, do którego żyw powracał...

Zastał go opuszczonym, zarosłym, potrzaskanym... Klimat niszczący okrył go wczesną pleśnią, wyżarł kamienie, pościerał napisy... Toż samo się stało z rodziców i dziada grobami.

Żywa pamięć o nich, miłość dla nich dziwnie odbijała od grobowców potrzaskanych... cienie żyły... mogiły poumierały.

— Trzeba to wszystko poodnawiać — rzekł Karol — naprzód tamte, a mój na ostatku. Szczęściem, mam gotowy przytułek, aż nadto na kości moje wspaniały... dziśbym ja nie chciał, a tybyś nie mógł takiego postawić... Ale — przez posłuszeństwo synowskie trzeba się w tej trumnie położyć...

Powrócili do domu, było się krzątać koło czego, bo wszystko, jak groby, leżało w ruinach.

Jeśli się co zmieniło w Polsce, to nie starodawna gościnność nasza.

Można sobie wystawić, jak tych rozbitków, o których chodziły już mnogie legendy — przyjęto serdecznie.

Choć w okolicy Skały nie było z dawnych przyjaciół nikogo, ale nowi znali przybylców z powieści, kochali na wiarę — po dworach z pokolenia w pokolenie przechowały się o nich wspomnienia... więc kto żyw, cisnął się zobaczyć...Nieznani byli przyjaciółmi gotowymi... Wszystko, co żyło, przybiegło witać ocalonych rozbitków.

W kilka lat po powrocie do Skały barski żołnierz i legionista siedział milczący, osłabły, sparaliżowany, pół żywy w krześle u komina... rzadko się słowem odzywając do ludzi — rozmawiał tylko tęskny z duchami przeszłości.

Wcale inaczej było z Tadziem, który przyniósł z sobą cały zapas niezużytej młodości. Nawykły do czynnego życia, jął się żywo dźwigać z ruiny i co padło, podnosić.

Ledwie się otrząsłszy z kłopotów, pomyślał o postawieniu nowego dworu w Skale... Karol chciałby był mieć go takim, jak był ów stary dworzec dziadowski... ale i gruzy już ziemia pojadła.

Tadzio tyle pięknych rzeczy widział za granicą — jakże tu było nie zamarzyć, by sobie cacko gniazdko wystawić?

I przychodził do starego, przybranego ojca z coraz nowemi projektami parku, willi, pałacyku... a Karol, popatrzywszy nań, posłuchawszy, całował w czoło, ściskał milczący, nie mówił nic lub czasem: — Rób, jak ci do smaku!

W planie był tam i pokój dla starego, zaciszny, z kominem, od słonka... Na tę utopię Karol potrząsł głową, szepcząc niedosłyszanym głosem: Czy mnie to tego potrzeba... albo ja tu długo z wami!

Jakoż sprawdziły się przeczucia. Barszczanin siadł jednego dnia wieczorem, zadumał się, zapłakał, a nazajutrz rano uczuł się słabym i z łóżka już nie powstał. Było mu źle, ciężko... w uszach tętniała śmierć... Tadzio płakał.

— Dajże tym łzom pokój — ozwał się, cisnąc rękę jego Karol — nie męzka rzecz kwilić... nie polska zazdrościć tym, co umierają. Duch mój zostanie przy tobie... a kiedyś zejdziemy się tam... gdzie wszyscy na wieki się schodzą...

Mężnie dogorywał żołnierz, patrząc przez okno otwarte na zielony świat Boży... Ołowiany sen padł wreszcie na czaszkę i oczy mu zamknął na wieki. Zmarł tak uśmiechnięty, z głową spuszczoną na piersi, z błogim wyrazem na wyżółkłem licu...

Przy nadzwyczajnym tłoku ludu odbył się pogrzeb wspaniały — odprowadzono zwłoki do starego już, czekaniem zniszczonego grobu, jak do domu, który go zamknął na wieczny spoczynek.

Tadeusz opłakał pustkę... posmutniał, uczuł się boleśnie samotnym... przemęczył się parę miesięcy na wsi, aż go przyjaciele prawie gwałtem wyciągnęli dla rozerwania się do Warszawy...

Tadeusz był w kwiecie wieku, młody jeszcze, choć już świetnemi wspomnieniami okryty, życiem wykształcony i niezmiernie wszystkim sympatyczny. Nowe stosunki nieznacznie pociągnęły go w świat nowy. Tadeusz stał się pożądanym w najpierwszych domach stolicy, które sercami były jeszcze polskie, choć usty, formą już kosmopolityczne i francuskie.

Napoleońska epoka w całej niemal Europie, a u nas więcej niż gdzieindziej, wpływ obyczaju i języka Francyi rozpowszechniała. Wszystko, co się zwało dobrze wychowanem, tchnęło francuszczyzną, mówiło wyłącznie prawie tym językiem, używało go, jak rodzinnego. Tadeusz mówił nim, jak Francuz, w salonie więc ówczesnym znalazł się, jak w domu.

Zaraz po przybyciu do Warszawy, zaledwie parę lepszych mając znajomości, obcy jeszcze, pochwycony został i wciągnięty w „wir

zabaw i rozrywek, które u nas, nawet w najboleśniejszych epokach, bywały zawsze potrzebą jakąś, pragnieniem, a często dochodziły do szału.

Wyrzucamy nieraz nędzarzom, że się upijają wódką, my także upijaliśmy się nieraz tańcem, swawolą, szałem...

Stosunek jakiś dawny, łączący rodziny węzłem, który u nas szanowany był dawniej święcie — zbliżył Tadzia do domu Wojewodzica...

Wojewodzic, nomina sunt odiosa, był człowiekiem największego świata, ale obcował i z małym, w tradycyach domu było utrzymanie popularności. Rodzina zresztą z ojca w syna utrzymywała się w stosunkach jak najświetniejszych, z najpierwszemi i najbardziej wpływowemi domy i osobistościami w kraju i za granicą. Wojewodzic sam był jak najlepiej widzianym w Petersburgu, w Wiedniu, w Berlinie, w Paryżu, co mu nie przeszkadzało być gorącym patryotą, teoretycznie, w ciaśniejszem kółku ludzi dyskretnych.

Mówił wszystkiemi językami doskonale, stworzonym był do salonowego i dworskiego życia, charakter miał łagodny, uprzejmość pańską, majątek znaczny, przekonanie polityczne niezbyt wybitne i dozwalające mu prawie ze wszystkimi być dobrze, trochę łagodnego sceptycyzmu, wiele pobłażania, nieco obojętności czyniły go ulubieńcem ówczesnej społeczności.

Sama pani z domu — Francuzka, spokrewniona przez rodzinę z kilku familiami znacznemi, mająca pełno kuzynów w Wiedniu i Paryżu, trochę po całym świecie, jeszcze bardziej kosmopolityczną barwę nadawała salonowi i towarzystwu, co ją otaczało. Spotykali się tu wszyscy, jak na gruncie neutralnym, a chociaż czasem starły się żywioły wprost sobie przeciwne i nieprzyjazne — umiano je tak zręcznie postawić, że częściej przejednały się chwilowo niż zwaśniły.

Oddawano też tu równą cześć bohaterstwu wszelkiemu i sławie, Bluecherom i Wellingtonom, Napoleonowi i Kutuzowym, Barclayom i ks. Józefowi — a zatem laurom młodego legionisty zarówno, jak szlifom jenerałów rosyjskich, legionom honorowym napoleońskich żołnierzy i gwiazdom rodem z naddunajskiej stolicy. Sama pani znalazła dla każdego słówko pochlebne, wyważone tak, by nikogo z obecnych nie raziło rykoszetem.

Tadeusz na wsi, spragniony towarzystwa — uczuł się tu, jakby w raju... żył... Wistocie pierwsze zetknięcie się z tym świetnym światem salonowym zawsze jest pełnem uroku. Gdyby on był rzeczywiście tym, jakim się być zdaje na pierwsze wejrzenie, tą słodyczą, miłością, pobłażaniem, dobrocią, wonią i blaskiem, w jaki się na zewnątrz przyodziewa! Każdego zrazu olśni ten wdzięk formy tak miłej, tak powabnej, tak pociągającej; to pokrycie umiejętne wszystkiego, co razi, co w życiu jest dysonansem, dysharmonią, przykrością.

Trzeba dodać, że pani domu miała przy sobie zwykle kilka mniej więcej majętnych, ale bardzo powabnych kuzynek blizkich i dalszych do umieszczenia, a o Tadeuszu wiedziano, że był nieżonatym, dosyć majętnym et tres comme il faut.

Mogło się to znacznie przyczyniać do tak uprzejmego przyjęcia przez wojewodzicowę i gospodarza. Ten trzeciego zaraz dnia odwiedził Tadeusza, zaprosił go na obiad en petit comite (cravatte noire) i przypomniawszy koligacyę, zalecił się, jako wielce na usługi gotowy i przychylny kuzynek. Spragnionemu życia, ludzi, towarzystwa niewieściego, tego rodzaju pokusie oprzeć się było trudno.

Na ów obiad proszony, oprócz domowych i paru osób troskliwie do barwy gościa dobranych (między innymi sławnego pułkownika Hebanowskiego; w takiem dobieraniu gospodyni taktem i umiejętnością celowała) — nie wezwano więcej nikogo. — Szczególną, ozdobą, były dwie rodzone siostrzenice pani wojewodzicowej, panna Olga i Natalia hrabianki... Nosiły one imiona rodziny, o której narodowości wyrzec było trudno; mogła ona być polsko-niemiecką, holenderską, angielską, szwedzką...

Panny były wychowane w Smolnym Monasterze, mówiły doskonale po francusku, rozmowa toczyła się tu przeważnie w tym języku, z powodu częstych cudzoziemców.

Piękna, wyniosłego wzrostu blondynka, z cudnemi, omdlałemi, niebieskiemi oczyma, ze złocistym warkoczem, budzącym uwielbienie, otaczającym skronie i w puklach spadającym na białe, prześliczne ramiona, panna Natalia... owładnęła Tadeuszem.. Okazywała mu szczególną uprzejmość, sympatyę i jakgdyby świeżo studyowała te kraje, o których z nim mówiła, jakby się nauczyła wypadków, w których miał udział, odzywała się o nich z zadziwiającą świadomością. Zasiadła, czy posadzono ją obok

niego przy stole, zajęła się nim wyłącznie w czasie obiadu, okazywała mu sympatyę gorącą, a przytem dowiodła umysłu tak wykształconego, tyle naturalnego dowcipu, uczucia, serca, wdzięku — iż legionista wstał oczarowany, podbity. — Nie wiedział, jak mu przeszedł ten obiad, nie pamiętał, czy kto więcej siedział u stołu, zdawało mu się, że nie było tam więcej nikogo, oprócz ich dwojga. Po obiedzie, gdy szczęśliwe sąsiedztwo na chwilę się rozerwać musiało, nie wiedzieć jak wkrótce potem znaleźli się, panna Natalia i Tadeusz, nie pojętym sposobem obok siebie. Opowiadał jej jeszcze dosyć długo o San Domingo, o Włoszech i nie rychło opatrzył się, że gospodarzy zaniedbał, że się stał niegrzecznym, że mu wypadało z tego snu nazbyt młodego przebudzić się nareszcie.

Uchybienie to jednak nie zostało mu wcale za złe wziętem, owszem, gospodyni i gospodarz rozstali się z nim jak najczulej, zapraszając, aby dom ich za pokrewny i poufały uważał.

Powróciwszy dopiero do Gerlacha, biedny wojak uczynił rachunek sumienia z samym sobą i postrzegł, że był w niebezpieczeństwie zakochania się w niebieskich oczach, złotych włosach i białych ramionach. Zgromił się srodze za to niespodzianie znalezione w sobie uczucie, ale począł rozważać, coby w następstwie mogło z niego wyniknąć.

Już po pierwszych dniach krąg znajomości Tadeusza był dosyć obszerny: poprzypominały się różne odwieczne stosunki, pozawiązywały liczne nowe. — Szczególną przyjaźnią zaszczycał go, wspomniany już, znany naówczas całej Warszawie, dymisyonowany pułkownik wojsk Napoleońskich, Hebanowski, okryty krzyżami, sławny z nieustraszonego męztwa, który w jednej z bitw wielkich stracił był rękę i powrócił do kraju okryty laurami, popularnością, szacunkiem... zachwycając swym dowcipem nieco żołnierskim, a przecie dobrego tonu.

Hebanowski celował szczególniej w opowiadaniu anegdot z czasów cesarstwa, pamięć miał nadzwyczajną i talent takiego zręcznego obwijania rzeczy drażliwych, iż z jego ust, wychodząc, bezkarnie mogły obić się o ściany salonu.

Był to typ epoki w swoim rodzaju... zarazem żołnierski, obozowy

i salonowy; bawiła w nim pewna rubaszność du meilleur cru, (z najlepszym gruntem) połączona z usposobieniami arystokratycznemi, zamiłowaniem życia, wykwintu, próżniaczej gawędki. Serce było dobre, lekkomyślność niepospolita, wyrozumiałość dla przyjaciół bez granic. Mówiąc o nim, zwano go: Le brave des braves... l' honneur personnifie, le galant homme par excellence... (Najodważniejszy z odważnych, honor uosobniony i znakomicie grzeczny człowiek...)

Nie było w salonach wesela, gdy nie przyszedł Hebanowski.

Starszy on był o wiele od Tadeusza, ale się do niego z pierwszego poznania przywiązał, jak do syna. Oddawna w domu Wojewodzica gość codzienny i poufały, zaszczycony szczególną łaską samej pani, którą umiał bawić anegdotami osłonionemi przyzwoicie — znalazł się naturalnie na obiedzie danym dla Tadeusza... Nazajutrz rano, zbyt nawet rano może, z cygarem w ustach przyszedł do Gerlacha.

— Ah! ca mon ami? (a! to mój przyjaciel) (wszyscy jego znajomi nosili ten tytuł)— odezwał się, siadając w fotelu, swą francuzczyzną ulubioną —zdaje mi się, że ty wczorajszego dnia... pokochałeś się na seryo... Przyznaj się... wrażenie, jakie uczyniła na tobie Natalia, było widoczne, uderzające.

Tadeusz spojrzał nań pomieszany, nie mogąc wstrzymać się od zarumienienia, i odparł prędko:

— Nie rozumiem, kochany pułkowniku! doprawdy... nierozumiem...

Hebanowski położył mu rękę na kolanach.

— Alons donc ?a qui le dites vous? (A więc, komu to mówisz?) między nami, cela crevait les yeux, (to uderzało w oczy) hrabianka Natalia... prawdziwa czarownica, co dziwnego, że ci się podobała... i co dziwnego, żeś ty też jej bardzo, bardzo przypadł do smaku, czego się nie zapiera... Wszyscy to zaraz spostrzegli, coś sympatycznego, quelque chose d'irresistible (coś nieprzepartego) porwało was oboje... Po wyjściu twem prześladowano tobą Natalkę,.. nie bardzo się broniła. A trzeba wiedzieć, że ona wcale nie jest do entuzyazmów skłonną... ale tym razem... elle est prise? (ona się złapała).

— Kochany pułkowniku — przerwał Tadeusz — widziałem ją po raz pierwszy... nie znam prawie. Byłem przy obiedzie grzecznym, to prawda — ale..

Pułkownik schylił się i śmiejąc, pocałował go.

— A! a! skromnym jesteś i tajemniczym do zbytku! — zawołał — powiadasz, że nie znasz hr. Natalii — a no! to może chcesz, abym ci co o niej powiedział? Lepszego objaśnienia o niej nikt ci dać nie potrafi. — Ja tam jestem jak domowym. To wiesz, że rodzona siostrzenica naszej Wojewodzicowej. Ojciec jej — który już nie żyje, był wysokim urzędnikiem przy dworze cesarsko-rosyjskim. Matka mieszka w Petersburgu... Między nami mówiąc: elle s'est un peu compromise, (ona się trochę skompromitowała) trochę płocha baba (mais tres comme il faut), dlatego siostra jej córki odebrała i po dokończeniu wychowania, wzięła je do siebie. —Elles n' auront pas grande chose (one nie będą miały wielkich rzeczy) ale zawsze bez posagu nie są, a protekcye ogromne. Ja ci powiem — dodał, zniżając głos pułkownik — że i mnie Natalka szczególniej się podobała... une femme solide, beaucoup d' esprit de bon aloi et charmante? (kobieta solidna, dużego rozumu i zachwycająca) Ramiona! mais c'est une Venus grecque... (ależ to Wenus grecka). I wdzięk! i takt! i rozumek i dobroć. Osoba niezmiernie wykształcona, a nie pedantka!

— Na nieszczęście — rozśmiał się Tadeusz — ja się jakoś żenić nie myślę — a dla wieśniaka i człowieka niemajętnego, przyznasz pułkowniku... że jakkolwiek śliczną i miła, nie byłaby wcale żoną stosowną...

— Ba! ba! mów, co chcesz! — zawołał Hebanowski — c'est une femme superieure, (to kobieta wyższa) takie kobiety z każdem położeniem zgodzić się umieją, każde potrafią uprzyjemnić.

— Zapewne, ale ani ona partyą dla mnie, ani ja dla niej — odezwał się, z cicha wzdychając, Tadeusz.

— Dlaczego? — przerwał żywo Hebanowski — masz wszystkie kwalifikacye do zrobienia jak najświetniejszej karyery. Służyłeś wojskowo — tu się na nowo tworzy armia polska, potrzebują ludzi, proszę cię, po co się zakopywać na wsi! Gdyby nie moja ręka i nie inwalidztwo, poszedłbym pewnie za przykładem Chłopickiego...

Zamilkli, Tadzio jakoś posmutniał.

— Ja, mój drogi pułkowniku — rzekł po chwili — nie mam już powołania do wdziewania munduru, chcę spokojnie gospodarzyć... aż... aż...

Tu westchnienie przerwało..

— Tułałem się dosyć — dodał—służyłem, chce mi się odetchnąć na wsi.

— Tak, tak, ale nie na starego wyjść kawalera — zawołał Hebanowski — do stu kartaczów! Gdybym był młodszy i nie kaleka, ożeniłbym się i ja, bo nie ma w świecie nic smutniejszego nad życie samotne, z lokajem we dwóch, bez domu, w oberży... na łasce obcych... Cre nom d'un nom? (Utworz imię z imienia.)

Nie mówili już więcej o tem, zagadano o rzeczach obojętnych ale odchodząc, pułkownik zapytał.

— Więc wieczorem, nieprawdaż, do zobaczenia u Wojewodzica?

— Jakto? dziś wieczorem?

— A dziś! Wojewodzic kazał ci przypomnieć, że jesteś raz na zawsze proszony na herbatę i że miło im będzie widzieć cię jak najczęściej, bez ceremonii... Kilka osób zastaniesz pewnie, et des plus huppees (i najbardziej znacznych.) Trzeba, byś poznał tutejsze matadory... I powinieneś przyjść...

— Miałem inne plany na myśli.

— Przecie milszego i więcej ci sprzyjającego towarzystwa nie znajdziesz. — Podał mu rękę. — Do zobaczenia! słowo, mam twe słowo.

— Ale przychodzić tak codziennie...

— Spokrewniony jesteś z niemi, proszą! cóż dziwnego! przesadzony formalista jesteś! Tak ci tam sprzyjają wszyscy... Allons donc?(A więc?) przyjadę po ciebie.

Trudno się było oprzeć naleganiu w takiej formie. Tadeusz i tego dnia pojechał znów, a traf tak zrządził (traf bywa filutem wielkim), że po pierwszych ewolucyach salonowych znalazł się przy pannie Natalii. Jakim sposobem cały niemal wieczór z sobą przegadali, tego sam nie wiedział...

Zbliżyło ich to znacznie do siebie, a Tadeusz wychodząc rozmarzony, pieszo, około północy, zeznał sam przed sobą, iż w istocie było niebezpieczeństwo. Należało uciekać albo się poddać... Kochał.

A że uczucie to było dlań prawie nowem, odrazu stało się panującem, gwałtownem, oślepiającem.

Rozum mu jeszcze wskazywał niestosowność, walczył z sobą, oburzał się; związek ten z wielu względów zdawał mu się dziwnym, nienaturalnym, poczwarnym, czuł, że następstwem jego mogło

być położenie fałszywe, pokuta całego życia... Wszystko to jasno przedstawiało mu się, a przecież namiętności zwyciężyć nie mogło.

Wróciwszy do domu, żelazną wolą wymógł na sobie, iż za parę dni pojedzie napowrót do Skały. Ta dni para była nieuchronną dlań do przygotowania się... a wyjązd musiał zerwać wszystko.

Ale któż obrachował, kiedy ważność i stanowczość dwóch dni w życiu człowieka?

W ciągu tych paru dni przesunęła mu się nieraz przez myśl przeszłość cała, od kolebki począwszy, do ucieczki.

Serce uczuciami dawnemi odbiło znów, przypomniał Karola, którego tak kochał... matkę — usiłował wskrzesić w sobie dawne myśli i wstręty — niestety! — napróżno się rozgrzewał, próżno usiłował zwyciężyć — z przerażeniem postrzegł sam w sobie zmianę, zobojętnienie, upadek.

Tadeusz rzucał się w przeróżne sofizmata, aby samego siebie przed trybunałem sumienia rozgrzeszyć.

Łatwo się domyśleć, że tak prędko nie wyjechał do Skały, że się dał zatrzymać w Warszawie i poszedł znów do Wojewodziców i wiele mówił z panną Natalią, a powracał chmurno zamyślony i niespokojny. Hebanowski, który go widocznie z ojcowską troskliwością szpiegował, nie badał już więcej i czekać się zdawał, aż go delikwent sam zaczepi. Obawiając się znać spłoszyć ptaszka, nie zważano zbytnio na zawiązujące się czułe między nim a panną Natalią stosunki.

Gdy nareszcie potrzeba było odjechać do Skały, Tadeusza puszczono, ale panna półżartem wymogła na nim słowo, że za miesiąc powróci i nie zakopie się na wsi.

Dotrzymał pan Tadeusz, przyjechał, siedział tygodni kilka i oświadczył się hr. Natalii.

Był już pewnym, że odrzuconym nie zostanie. Wiejska tęsknica pchnęła go do tego kroku.

Po oświadczynach dopiero, ciotka wziąwszy go na osobność do swego gabinetu, wyspowiadała we cztery oczy historyę nieszczęśliwej siostry, która była raczej nieszczęśliwą niż występną, która... miała zapewnioną sobie wysoką protekcyę. Zapewniała Tadeusza, że ona dla siostrzenicy uczyni co tylko będzie w jej mo-

cy, wzdychając dodała, iż na teraz o żadnym posagu mowy być nie może... zaręczyła przytem, iż Natalka będzie dlań najlepszą w świecie żoną, najwierniejszą towarzyszką, bo go z duszy pokochała.

Nie potrzebujemy dopowiadać reszty.—Tadeusz wziął za żonę cudowną blondynkę, zawiózł ją do Skały i rozpoczął z nią nowe życie.

Za posag posłużyła nominacya na jakiś urząd wysoki, nie obowiązujący do niczego, oprócz noszenia jakiegoś munduru, połączona z pensyą roczną dosyć znaczną.

W Skale zmieniło się nagle wszystko; kobieta, nawykła do życia w świetnych sferach stolecznych, nie mogła się zadowolnić skromną szlachecką dolą. Potrzeba było liberyi, ekwipażów, pałacu, zimy w Warszawie, stosunków z domami możnemi, utrzymania się na pewnej stopie równości z niemi.

Wkrótce po ślubie pierwsze zapały ostygać zaczęły, w życiu coraz chłodniejszem przyszło rozpatrywać się okiem. Tadeusz uczuł popełniony błąd — ale już było za późno. Żonę kochał namiętnie, a przekonał się wprędce, że była istotą zimną, czczą, bez serca, rozwiniętą umysłowo, moralnie zepsutą, chciwą życia.... a nie pojmującą go inaczej, jak w tym świecie sztucznym, wśród którego pierwsze lata spędziła.

Przyjście na świat syna, któremu dano imię Aleksander, związało go nowym węzłem z kobietą, jakby stworzoną na to, ażeby go uczynić najnieszczęśliwszym z ludzi. Umiała ona panować nad nim, rządzić, obudzać przywiązanie, rozżarzać namiętność, a nieubłaganie iść do celu, który sobie założyła. Tym celem było samo życie wśród żywiołów umiłowanych: wrzawy, zabaw, balów, plotek i intryg, dworskiego zamętu... i zalotów. Jak niemal wszystkie blondynki, Natalia, którą żadne uczucie nie dotknęło głębiej która nigdy nie potrafiła się wzruszyć i zaboleć, zachowała swą zachwycającą piękność, pielęgnowaną zresztą bardzo starannie i cały urok młodości.

Błyszczeć było dla niej potrzebą, koniecznością, warunkiem szczęścia.

Na wsi mieszkała tylko tak długo, ile musiała, resztę czasu spę-

działa w Warszawie, nie bardzo troszcząc się o to, czy mężowi z tem było dogodnie. Urząd wymagał zrazu pobytu w stolicy, ale wkrótce z powodu tej synekury, za niedopełnienie jakiejś formy, Tadeusz podał się do dymisyi.

Tadeusz z synkiem został na wsi, a piękna pani, jak dawniej, siedziała po większej części w Warszawie.

Gdy pani nie było w Skale, przybierała ona wcale inną postać... Tadeusz zgryziony, smutny, żył w ciasnem kółku przyjaciół i dla dziecięcia, wspomnieniami przeszłości.

Ale gdy piękna pani z nudy, po pieniądze, chcąc się okazać lepszą matką niż była, przyjechać raczyła do Skały — Tadeusz słabł, zakochanym był znowu, dawał się bałamucić, milczał, krył się z uczuciami... i dozwalał czarodziejce robić z sobą, co jej się podobało. Piękna Natalia dorastającego powoli Olesia chciała zabrać do Warszawy i wychowaniem jego pokierować, nie wątpiła na chwilę, że mąż jej na to zezwolić musi — omyliła się wszakże, przypochlebiania się, płacz, gniew, groźby, nie pomogły nic — Tadeusz nie dał Olesia.

Po raz pierwszy przekonała się, iż władza jej, urok, potęga, miały granice — i że mąż posłuszny zdobyć się mógł na wolę niezłomną.

Po pierwszym przypuszczonym na próżno szturmie — odjechała wprawdzie z niczem, gniewna, ale nie wyrzekła się nadziei, iż męża ułagodzić potrafi. Przypisywała ona niepowodzenie całe niezręczności i zbyt gwałtownemu postępowaniu, obiecując sobie być tak dobrą, tak dobrą dla Tadzia, że on jej w końcu Olesia odmówić nie potrafi.

Oleś tymczasem chował się w domu, dostał nauczyciela Polaka, a że ojciec sobie życzył, by szedł do szkół publicznych, posłano go do najbliższej wydziałowej... gdy mamy w domu nie było.

Można sobie wyobrazić rozpacz wielkiej damy, gdy przez szpiegi domowe o losie syna uwiadomioną została. Jej syn... jej Oleś na jednej ławce z ekonomczukami!!

Poleciała na wieś... udała chorą, groziła, że umrze... spazmowała.. klękała, prosiła... Tadeusz chwilami miękł, zdawał się już dać sobą zawładnąć — potem nazajutrz do swego uporu powracał... i Oleś pozostał w szkole.

Ale piękna Natalia nie powróciła już do Skały. Jakoś właśnie w tej porze zmarła naprzód matka jej w Petersburgu, po której zawikłane resztki majątku odziedziczyć się udało, potem ciotka, która uczyniła dla obu siostrzenic zapis testamentowy... To wszystko, z dodatkiem pensyi Tadeusza, którą on żonie odstąpił, dozwalało dosyć świetnie żyć w Warszawie. Stosunki były jak najpiękniejsze, nazywano ją hrabiną, należała do świata wykwintnego, a że sławna jej piękność zachowała się cudownie, nie zbywało na wielbicielach.

Nie potrzebowała więc jechać do tej nieznośnej Skały i nudzić się avec le vieux hermite, (ze starym pustelnikiem) o synu powoli przestała wspominać zdawał się jej straconym.

Nie bez przyczyny zwała starym Tadeusza, bo o ile ona sama była w pełni i rozkwicie piękności czarującej, która się zmieniała, nie zmniejszała, o tyle on nagle, tęsknotą i bólem wewnętrznym znękany, zestarzał.

Była to jakaś starość dobrowolna, opuszczenie się, zwątpienie, znużenie życiem, do którego ledwie głos syna go budził. Żył, śmiał się, odmładzał, gdy Oleś przyjeżdżał na wakacye; gdy wracał do szkoły zatapiał się w czytaniu pamiętników z czasów Napoleona... trochę gospodarzył... nie wyjeżdżał nigdzie prawie... i żył prawdziwie po pustelniczemu.

Tak, bez wielkich zmian w losach i trybie życia Tadeusza, przechodziły lata... na skroni jego włos się srebrzeć zaczynał —a piękna Comtesse Natalie (hrabina Natalia) była zawsze tą uroczą istotą, w której się wszyscy ludzie dobrego tonu kochali. Ubolewano nad nieszczęśliwą, że się tak omyliła w zamążpójściu, że z anielską dobrocią znosiła dziwactwa męża, tyrana, który jej dziecię odbierał, chciał ją zmusić do zamknięcia się z sobą w pustyni... Nie miano jej też za złe tego, iż uciekła od gbura, o którego grubiaństwach i fantazyach opowiadano rzeczy niestworzone!! Był to w oczach ludzi anioł dobroci, nieszczęśliwa ofiara, rozczulano się nad nią i przebaczano chętnie zbyt czasem miękkie serce... i nie właściwą żądzę zbyt płochych rozrywek, któremi zagłuszyć zapewne pragnęła napróżno tajone boleści.

Tę rolę ofiary odgrywała Natalia z niepospolitym talentem,

posuwając się czasem aż do tragicznego ruchu... które stanowiło przyłożenie do oczów batystowej chusteczki...

Ilekroć zresztą mówiono przy niej o mężu, zawsze gorąco stawała w jego obronie... co wywoływało naturalnie entuzyazm dla tego anioła.

Wiedział cały świat bardzo dobrze, że anioł miał w generale L... wiernego pocieszyciela i przyjaciela, ale to nie gorszyło nikogo. Stosunek ten sięgał bardzo podobno dawnych wspomnień młodości, z czasów gdy generał był kapitanem gwardyi i nie miał nic, oprócz szlifów. Teraz zmieniły się wielce okoliczności... L., zwany w lepszym świecie Lorkiem, był jednym z ulubieńców księcia, miał się bardzo dobrze, a że w sercu tkwiła mu dawna miłość — znalazłszy Natalię w Warszawie, będąc zupełnie wolnym, cały się oddał na jej posługi. Wszystek czas wolny od obowiązków spędzał w domu pięknej przyjaciółki.

Domyślano się nawet (może fałszywie), iż jej do utrzymania na stopie świetnej salonu dopomagał. Natalia pod jakimś pozorem zwała go poufale mon bon frere, (mój dobry brat) a że stosunek trwał już lata, nie obudzał nawet szmerów i plotek, bo się do niego przyzwyczajono. Wszystkie panie zresztą uniewinniały zupełnie biedną ofiarę, która teraz opowiadała pocichu z najgłębszem przekonaniem oprawdzie słów własnych, iż nieboszczka ciocia zmusiła ją do tego nie fortunnego związku, któremu ona opierała się jak mogła.

Generał Lorcio, oprócz innych przymiotów, któremi się odznaczał, miał i ten, niezmiernie szacowny, iż wcale nie był zazdrosny. Pewien przyjaźni i uczuć pani Natalii, patrzał z szyderską obojętnością na zakochiwania się, zaloty i naprzykrzone najścia młodzieży, którą otaczana była; zdawał się pobłażać wszystkim fantazyom i nigdy go one od przyjaciółki młodości odstraszyć nie mogły.

Salon pani Natalii był wówczas jednym z tych, w którym się spotykały wszystkie odcienia przekonań i ludzie różnych obozów.

KSIĘGA XIV.

W Warszawie.

Jedynak Tadeusza, poczciwy Oleś, w lipcu skończył był szkoły i miał wstąpić do uniwersytetu. Wahał się zrazu Tadeusz z wysłaniem go do Warszawy, obawiając się nieuniknionego wpływu matki i usiłowań przewidywanych wciągnięcia chłopca tam, w ten świat, w którym ona żyła, nad który innego nie pojmowała dla — ludzi "przyzwoitych"

Wprzódy niżeli postanowił, co miał czynić, wybadał Tadeusz syna, a rozmówiwszy się z nim z serca w serce, zaniechał trwogi — był pewnym, że mu go żaden wpływ nie odbierze. Pojechał z nim do Warszawy i śmiało poszedł razem do pani Natalii.

Piękna zawsze jeszcze i nadzwyczaj strojna pani, przyjęła tych "gości" z niepokojem jakimś, ze zdumieniem, z trwogą prawie.

Uściskała drżąc syna, łza zakręciła się w jej oku — po pierwszych wyrazach poufalszych różnica pojęć uderzyła ją boleśnie, zagryzła usta i otuliła się milczeniem. Pojęła, że dziecię chcieć przerobić, już było zapóżno — Oleś widocznie należał do ojca, dla niej był na wieki straconym.

Chłopak wychowany był miłością rozumną, surową zarazem i serdeczną, nawykły do pracy, skąpany pótem w tem życiu szkolnem, które od ławy studenckiej uczy wielkiej sztuki obcowania z ludźmi — a wiało od niego duchem prawdziwie polskim.

Matka od pierwszych słów, z kilku odpowiedzi zrozumiała (po swojemu), iż chłopiec był tak "popsuty" przez ojca, że z niego nic już być nie może.

Nie sprzeciwiała się wcale umieszczeniu go u profesora, dla przyzwoitości wymówiszy sobie tylko, iż będzie u niej co niedziela bywał na obiedzie. — Zafrasowała się trochę, aby na nią utrzymy-

wanie młodego akademika nie spadło... gdyż miała tyle — tyle wydatków niezbędnych, a dochody tak szczupłe!!

Serce macierzyńskie uderzyło parę razy, gdy raźnego, śmiejącego się do życia chłopaka całowała w czoło... łza mimowolnie zakręciła się w oku — ale też znów widok Ołesia, któremu młodziuchny wąsik wysypywać się zaczynał — tej żywej metryki, dla pani wyglądającej młodo, a pragnącej uchodzić za młodszą jeszcze niż była — z pewnych względów niezupełnie był na rękę. Uważała i to, że był opalony, rękawiczki miał nieprzyzwoite, buty niekształtne i że mu nie nadano dystynkcyi wcale... Co dla niej znaczyły wszystkie nauki w świecie, gdy chłopak był niedźwiedziowaty. Powiedziała sobie nawet po cichu, że w niedzielę na obiad gości zapraszać nie będzie i cieszyć się Olesiem sam na sam.

Tadeusz naówczas upewniwszy się o dziecię, które opiece jednego z najczcigodniejszych profesorów polecił, po ceremonialnem pożegnaniu z żoną — która potrafiła z niego trochę pieniędzy wydobyć — uciekł co najrychlej z Warszawy na wieś.

Cisza wiejska była mu teraz milszą nad wszystko, a pobyt w Warszawie był zatruty.

Tak siedział teraz na wsi, wyczekując czegoś niespodziewanego a przeczuwanego. Z sąsiadami nawet bliżej nie żył.

Znał go może lepiej jeden tylko, ściślejszą z nim przyjaźnią związany, sąsiad o miedzę, Henryk Pięczkowski, były kapitan artyleryi. Z tym, przywykłszy do niego, zżywszy się, Tadeusz na cztery oczy wynurzał się chętnie, spowiadał z tego, co czuł i myślał, chociaż przezacny kapitan, poczciwy z kościami, z innych względów lekkomyślny był, gaduła i nie bardzo charakterem do Tadeusza przystawał.

Płaciły za to wielkie przymioty, jak u nas bywa często, zmieszane z wadami wielą.

Na dni kilkanaście przed pochmurnym owym wieczorem październikowym Henryk wyruszył był pod jakimś pozorem do Warszawki, jak ją nazywał. — Natychmiast po powrocie przyrzekł być w Skale i Tadeusz po dziesięć razy na dzień wychodził do okna, wyczekując, rychło-li przybędzie. Powrót się jakoś nadspodziewanie przeciągał.

— Ależ nudziarz! już gdzieś pewnie siadł grać w karty, zgrał się

i odegrywa... — mruczał, znając go Tadeusz — po co on tam tak długo siedzi w tej Warszawie?

Nareszcie owego wieczora zaturkotało przed gankiem, gospodarz wybiegł aż do sieni... i tu zetknął się ze służącym, który właśnie biegł mu pożądanego zwiastować gościa.

— Pan Henryk przyjechał!

A tuż się spotkali sąsiedzi.

— Przecież, kochany panie Henryku! oczy wypatrzyłem, czekając na ciebie. Cóż się tam trzymało? Dawno z Warszawy? — spytał gospodarz.

Były kapitan artyleryi, wymuskany, z wąsikiem podkręconym do góry, w nowiutkim tużurku, ubrany jakby na wielką wizytę, ścisnął rękę Tadeusza.

— Ale dziś, dopiero dziś wróciłem, przed kilku godzinami — rzekł, poprawiając ubranie —gdyby nie do was, w taką psią porę nigdziebym się nie wybrał. Na grobelce o mało nie ugrzązłem.

— Grobelka przecie twoja! — roześmiał się Tadeusz — alem ją gotów kazać poprawić, byleś jeździł do mnie.— No, widziałeś Olesia!

— A! to pytanie? jakżebym twojego jedynaka nie widział? zaprowadziłem go nawet do Lesla i na teatr. Przywożę ci list od niego, zdrów jak ryba, czerwony jak rak i wesół jak trznadel.

Tak gwarząc, weszli do pokoju Tadeusza, który najczęściej z całego domu tylko parę izb narożnych zajmował — resztę domu, zbyt niegdyś po pańsku urządzonego, zostawiał pustkami prawie — gdyż mu smutne dzieje przypominały.

— Chodź do komina — zawołał gospodarz — ogrzejesz się. Ogienek olchowy... choć przy nim zziębłego przyjaciela ogrzać... Siadaj, mów — nakarm przyjaciela zgłodniałego... co słychać?...

Pan Henryk zmilczał, nakładając fajkę — spojrzeli po sobie znacząco.

— Niema nawet mowy o tem, że przenocujesz u mnie; twoja grobelka nie do przebycia po nocy... słota, wicher... ciemnica... barometr spada. Przez wieczór przynajmniej nagadamy się do syta... na Boga! co słychać! co słychać!

W tej chwili właśnie wszedł służący, choć to był najpoczciwszy w świecie Matyaszek, kapitan wszakże dał znak pokryjomu, że się wstrzyma z odpowiedzią.

— Co słychać? at! zachciałeś! po staremu... nowego nic...

Tadeusz doskonale zrozumiał tę ostrożność, nie ponowił już pytania... zwrócił rozmowę na Olesia... na drogę, na deszcz, tymczasem podano herbatę i tak gwarząc o rzeczach obojętnych, doczekano się, że słudzy się rozeszli.

Naówczas Tadeusz, nucąc coś, nieznacznie podszedł do drzwi, ażeby się przekonać, że ich nikt nie podsłuchuje, a pewien będąc, że służba w kredensie i pod oknami niema nikogo, z ciekawością wielką przysiadł się do Henryka.

Teraz, gdy zostali sami, Tadeusz, kładąc rękę na ramieniu przyjaciela z gorącą, natarczywą ciekawością, cicho powtórzył pytanie.

— Mów! zmiłuj się! co tam się dzieje w Warszawie — co słychać?

Pan Henryk dziwnie jakoś kiwał głową, kręcił wąsa; nie był to człowiek stworzony do badania usposobień w masach, łatwowierny, wrażliwy, lubiący towarzystwo i hulankę... naprzemian salony i cukiernie... nie miał bystrego poglądu, ani nawyknienia do głębszego zastanowienia się nad symptomatami.

— Co ty chcesz? — zawołał — skarz mnie Panie, jeśli rozumiem, co się dzieje i wiem, co będzie? Kaduk ich wie! Ty najlepiej wiesz, po co jeździłem do Warszawy, doszło do mnie, że się tam coś rusza, pojechałem przez ciekawość, ostrożnie, w domu rozgłosiwszy, iż jadę wódkę sprzedać. Chciałem języka dostać, co się dzieje... a dostałem — figę... Nic nie rozumiem! ale tó, powiadam ci, nic.

Westchnęli, Henryk kiwał głową i poprawił głownie u komina.

— Trudno coś w tych ciemnościach dojrzeć, mówił dalej — za co mogę ręczyć, że w młodzieży szalony duch... kipią, wrą, biją serca, ale się to kryje i dusi... W ostatnich dniach zajrzałem po starej znajomości do Rożnieckiego nawet, z którym kolegowałem niegdyś, do Kuruty, z którym grywaliśmy często...

— Byłżeś gdzie więcej?

— Po to jechałem, ażeby wszędzie być a dowąchać się czegoś, biegałem więc wszędzie, gdziekolwiek drzwi, dla mnie były otwarte — ale przez ciemności nie dojrzałem do dna.

— Jeśli ty, kapitanie, nie widziałeś jasno, jakże ja mogę przejrzeć? — rzekł Tadeusz. — Zgadzam się z tobą, iż zapewne chwilowe to tylko rozdrażnienie, poruszenie bezsilne... u nas nie ma się porywać komu, ani z czem, terroryzm przybił i spłaszczył... Ale

niemniej — smutnoż, smutno, cała Europa porusza się, wije, drży, zrywa...

Nie dokończył — Henryk popatrzał nań i ramionami ruszył.

— Otóż ci powiem — dokończył ciszej, — że biłem się z myślami w Warszawie tak jak ty, przerzucałem z jednych w drugie... nie wierzyłem, nie wierzę w nic... a mimo to... mimo to...

— Cóż, mimo to? — podchwycił Tadeusz.

— Mimo to wszystko kat ich wie — dorzucił Henryk — przeczucie jakieś mi mówi, że coś się stać musi...

Rozmowa sąsiadów przedłużyła się tak niemal do rana, nie potrafił jednak Henryk, mimo najsilniejszych argumentów, odwieść Tadeusza od zamiaru podróży do stolicy.

Parę dni poświęciwszy przygotowaniom, wyruszył ze Skały z niepokojem i gorączką, zarówno niecierpliwy widzieć syna i zbliżyć się do Warszawy, w której przeczucie wskazywało mu nadchodzące wypadki.

Ale Warszawę zastał zrazu tak spokojną, tak powszednią, jakby pod temi popioły szaremi żadna już iskra nie tlała.

Dawne stosunki Tadeusza, mimowolnie z powodu żony i przez nią pozawiązywane, dawały mu wstęp do tych nawet kół towarzystwa, które się najmniej z jego usposobieniami zgadzały. Znał niemal wszystkich w najwyższych sferach, wielu w pośrednich, a z wojskowymi różnych stopni łączyły go sympatye starego żołnierza i znajomości, pozawierane tu i owdzie. Mógł więc przy baczniejszym umyśle przejrzeć lepiej niż Henryk, co się naówczas działo w Warszawie.

Z bijącem sercem wjechał do stolicy, i — jak zwykle, stanął w hotelu Gerlacha. Natychmiast zawiadomiony o przybyciu ojca Oleś, przybiegł mu się rzucić w objęcia, rozpromieniony i szczęśliwy. Cały wieczór spłynął na opowiadaniach o profesorach, o życiu akademickiem, o naukach... po trosze o życiu miejskiem wogóle, które chłopakowi młodemu niebardzo było dostępnem.

Nazajutrz była niedziela, dzień, w którym Oleś zawsze chodzi na obiad do matki. Tadeusz postanowił, nie oznajmując wprzód o sobie, pójść z nim razem.

Stosunek obojga małżonków był dziwny, bo Tadeusz, który

oddaleniu tracił swą słabość dla Natalii, zbliżając się do niej, ulegał zawsze jej urokowi, pomimo, że wdzięku tego znał już wartość całą i fałszywość jego blasku.

Resztka dawnej namiętności gorzała zawsze pod popiołami. Któražby kobieta nie wiedziała o tem, nie poznała, że ma władzę, i nie starała się z niej korzystać? Zimna, niecierpiąca męża Natalia, którą życie nauczyło przybierać wszystkie role, stawała się też dla męża uprzejmą, a przy nim melancholiczną, popisującą się z rozumem i dowcipem, słowem, jak można było najmilszą. Zdawała mu się mówić: — Patrzaj, co straciłeś... Wobec syna, jak wobec świata, chętnie grała potrosze rolę ofiary niewinnej, osłaniającej się szatą wielkiego charakteru.

Na obiad niedzielny, jak zwykle, nie proszono nikogo, byli sami — ale kuchnia była zawsze bardzo wykwintna, prawdziwie pańska, bo pani Natalia miała tę słabość starzejących się pań, że dobrze jeść bardzo lubiła. Przy czarnej kawie, gdy Oleś w drugim pokoju przeglądał wspaniałe dzieło o pogrzebie cesarza Aleksandra, Tadeuszowi przez szczególny fawor pozwolono zapalić cygaro... i pani Natalia z tajemniczą minką, po krótkiej przechadzce, przysiadła się do niego.

Po obiedzie ojciec z synem pożegnali piękną panią, która się wieczorem wybrała na teatr...

Oleś powrócił do profesora, a Tadeusz poszedł powoli odwiedzać znajomych, dla zbadania umysłów i przejrzenia jaśniej w położeniu.

Postanowił sobie, nie pytając wręcz nikogo, śledzić biernie, przypatrując się towarzystwu, słuchając rozmów, szukając symptomów zdradzających się mimowoli.

Ówczesna społeczność warszawska z dziwnych składała się żywiołów i nie mniej osobliwe nosiła na sobie znamiona. Napoleon, Księstwo Warszawskie, wniosły tu potrzebę języka francuskiego i nałóg, z Polski czyniąc małą Francyę.

Po salonach, w koszarach, we wszystkich niemal domach znaczniejszych innego języka prawie nad ten posłyszeć nie było można. Wszyscy, co mieli pretensyę do dobrego wychowania i lepszego tonu, do uczoności nawet, tym tylko posługiwali się językiem.

Z niejaką trwogą dowiadywano się o wypadkach we Francyi i Belgii, chociaż jeszcze nie przypuszczano, ażeby one nad Wisłą odbrzmieć miały. Ilekroć kto śmielszy odezwał się z hypotezą

walki orężnej — odpychano ją śmiechem i pogardą, jako szaleństwo dziecinne.

W wyższych warstwach rewolucya widocznie na pochopnych sprzymierzeńcy wcale rachować nie mogła.

Tadeusz, przebiegając znajome domy, spotykał się z osobami wyżej położonemi, rozmawiał z wielu i przekonał się tylko, że tu nawet myśl podobna nie powstała...

Tadeusz w kilka dni też po przybyciu, zbadawszy, jak mu się zdawało, Warszawę, zupełnie zwątpił o prawdzie postrzeżeń Henryka i zabierał się już do wyjazdu...

Lekka na pozór słabość Olesia powstrzymała go jeszcze na dni kilka.

Tymczasem chłopak zapadł ciężej, a troskliwy ojciec, nie mając tak dalece spieszyć po co do domu, został przy nim dłużej nieco. Ogarnęło go było zwątpienie jakieś i już mu, prócz syna, wszystko na świecie stało się obojętnyem. Siedział więc tu, bo mu znośniej było niż w Skale.

Nadszedł listopad chmurny i mglisty w tym roku. Oleś po chorobie zwolna do sił przychodził. Tadeusz przeciągał wyjazd aż do zupełnego jego wyzdrowienia. Matka odwiedziła go ukradkowo, parę razy, a zresztą karteczkami, regularnie przesyłanemi co rano, dopełniała obowiązku, dowiadując się o zdrowie.

Tadeusz też ceremonialne jej tylko oddawał wizyty. Spotykał tu prawie zawsze towarzystwo, do którego zastosować się nie umiał, które na niego koso patrzało, mając mu za złe obojętność dla kobiety dystyngowanej, miłej, zacnej, a tak wybornie odgrywającej rolę nieszczęśliwej ofiary.

Tadeusz u przyjaciół jej uchodził za istne straszydło moralne; w ich oczach ten człowiek zamknięty, sztywny, milczący, noszący tytuł niezasłużony męża, odbierający matce syna... wyglądał na nielitościwego kata... Natalia przy nim podwajała anielską swą słodycz i dobroć, aby on się jak najczarniej wydawał.

Pod koniec już pobytu swojego w Warszawie, gdy Oleś miał do przerwanych nauk powrócić, pan Tadeusz, parę razy zdala na Saskim placu przypatrując się paradom wojskowym, obcując ze

starszyzną znajomą, przez nią zabrał też znajomość z kilku młodszymi oficerami i podchorążymi.

Z dwoma też Kicińskimi, Adamem i Tomaszem, ze szkoły podchorążych, był nieco spokrewnionym.

Raz wieczorem, spotkawszy się z nimi i kilku ich towarzyszami, zaprosił ich na wino.

Dzień był mglisty i usposobieni spleaenowe, w powietrzu coś niecierpliwiącego. Tadeusz czuł się tego dnia bardziej niż kiedykolwiek zrozpaczonym i kwaśnym. Młodzież siadła za stół zrazu milcząca, ale powoli wyszła z tego apatycznego usposobienia, gdy stary wojak jął opowiadać historyę legionów, bitwy swe i straszliwy poemat wyprawy na San Domingo.

Mimowolnie sam on też dał się unieść przypomnieniom dni młodych, serce i usta, hamowane nawyknieniem do milczenia, otwarły się nagle... Łza zrosiła oczy... Słuchano go z poszanowaniem, z sympatyą gorącą.

— Kiedy pan wyjeżdżasz z Warszawy? — spytał któryś.

— A no — co najprędzej, jutro, pojutrze może — zawołał Tadeusz — już mi tu jakoś ciąży... a nuda wiejska, do której nawykłem, znośniejsza.

— Hm — odezwał się inny — to bo pora do podróży brzydka... Niechby się pan choć do mrozów zatrzymał... bo czego się tam teraz wlec po takiem błocie.

Tadeusz, podnosząc głowę, dostrzegł po ustach kilku przebiegający uśmiech i wejrzenia ich pełne znaczenia. Zdawali się oczyma naradzać z sobą: mówić, czy milczeć.

— Hm — rzekł Tadeusz, którego to mocno zaciekawiło — czy panowie sądzicie, że wartoby zostać?...

— Ale bo szkaradne błoto! błoto! błoto! Po co się tam spieszyć! — dodał pierwszy...

— Myślę że w grudniu, choć po grudzie, drogi wszelako powinny być lepsze... — dodał, nie patrząc na nikogo.

— Albo jeszcze gorsze! — roześmiał się trzeci — w takim razie, nie byłoby już doprawdy na co czekać.

— W istocie, to dobra rada... posiedzę do pierwszych dni grudnia — bądź co bądź — szepnął Tadeusz.

Tadeusz tłumoki rozpakował i powiedział Olesiowi, że dla reumatyzmu w nodze jeszcze na dni kilka pozostać musi...

W zaburzeniach i walkach, jakie 29 listopada wyniknęły, w jednem z tych starć chwilowych, zbłąkana kula uwięzła w prawem ramieniu Tadeusza i wytrąciła z rąk broń. Józef, który ciągle był przy nim, podchwycił zaraz rannego... Zrazu kazał się on tylko obwiązać chustką naprędce i nie ustępował z placu, ale po godzinie miotania się, gdy krew coraz gwałtowniej uchodzić zaczęła, czując się osłabłym, musiał pomyśleć o jakimś ratunku. Józef podtrzymał go już niemal upadającego — chciał on być przeniesionym do hotelu, ale że bliżej było do domu pani Natalii przy ulicy Miodowej, sługa, na ten raz nieposłuszny, pociągnął go, niemal zmuszając, do żony. Osłabiony, znużony utratą krwi, złamany, nie mogąc się opierać, dał się poprowadzić, gdzie chciał poczciwy Józef. Przybywszy do wrót, znaleźli furtę, którą byli wyłamali, uchodząc, zabitą nanowo i zabarykadowaną. — Józef napróżno się do niej dobijał i nierychło, po przeciągłem parlamentowaniu, stróż na naleganie znajomego, ośmielił się ją nareszcie otworzyć. — Tadeusz już był całkiem siły utracił, z pomocą dwóch ludzi zdołano go ledwie wnieść na schody... Było to już nad świtaniem...

Drzwi mieszkania pani Natalii znaleźli zamknięte i do tych znów dobijać się przyszło z jeszcze większą trudnością. Dopiero głos Józefa poznawszy słudzy, mimo czyjegoś niezrozumiałego oporu — otworzyli. — Od progu już na ręce rannego wziąć musiano, który nie stracił był przytomności wprawdzie, ale krwią oblany był cały... Co najprędzej wszedłszy do salonu, bez poszanowania dla adamaszkowej kanapy, złożono na niej rannego.

W saloniku nie było nikogo — pozostał on, jak go rzucono wieczorem z zastygłym do herbaty przyrządem, z porozstawianemi w nieładzie meblami.

Dziwnym trafem oczy Tadeusza wprost padły na stół i zatrzymały się wlepione w parę zmiętych białych męzkich rękawiczek wojskowych, rzuconych nań... z gorączkowym znać pośpiechem...

Rękawiczki te... przyciągnęły jego wzrok tak, że go od nich oderwać nie mógł — były one dlań aż nadto łatwą do odgadnięcia zagadką. Uśmiech ironiczny, gorzki przesunął mu się po ustach wybladłych, oczy się zamknęły... omdlał...

W tejże chwili, z rozwianemi włosami, blada, żółta, straszna przecierpianą trwogą, wbiegła Natalia i stanęła... Osłupiałemi obłąkanemi oczyma popatrzyła na męża, który się jej zdał trupem — potem na krzątających się koło niego ludzi — powiodła się...

po czole i — niepojęta rzecz! — to, co ją do rozpaczy przywieść było powinno — zdawało się orzeźwiać i budzić otuchę. Odetchnęła wolniej.

Z rodzajem zimnego jakiegoś obłąkania zbliżyła się do kanapy... wpatrując się w Tadeusza, jakby szukała rany śmiertelnej. Ciężar wielki spadł z jej serca... czuła się bezpieczniejszą może, mając w obronie tego trupa. Oczy jej z bladej twarzy mężowskiej przesunęły się machinalnie na zamknięte drzwi do dalszych pokojów. Stanęła... Józef krzątał się, starając pana orzeźwić; chłopaka posłano po doktora lub cyrulika... Zbroczona, krwią płynąca ręka, zwieszona z kanapy, bezwładna, ciekła kroplami płynu, z którym uchodziło życie. Ale mimo osłabienia, w piersi słychać było oddech, ciało drgało, jakby się w bój pragnęło rzucić na nowo.

Wśród tej sceny milczącej drzwi się nagle otwarły z trzaskiem — Oleś wbiegł do salonu, nie spojrzał na matkę i przypadł wprost do ojca. Ukląkł przy nim i usta do bladego przyłożył czoła. — Tadeusz otworzył oczy, podniósł się — ożył. Płacząc, całowali się, nie mogąc wyrzec słowa.

Matka, popatrzywszy na nich, jak od czegoś strasznego cofnęła się — i szybko wyszła, drzwi zatrzaskując za sobą... Spostrzegła oczy Tadeusza, który jej wejrzeniem dzikiem wskazywał rzucone rękawice...

Ze zręcznością starej intrygantki potrafiła, uchodząc, pochwycić je ze stolika... Szło o to Tadeuszowi, bo dla dziecięcia matka czystą powinna była pozostać...

KSIĘGA XV.

W Prusach.

Tadeusz odbolał długo swą ranę. — Młoda krew goi się łatwo, starsze ciało nie spieszy się do życia. — Pomimo zaklęć żony, aby w jej domu pozostał, tegoż dnia, osłabły, na noszach kazał się przenieść do Gerlacha.

Na twarzy jego odcisnął się wyraz jakiegoś niewysłowionego szczęścia i razem boleści — pocóż mu właśnie w tę godzinę los rzucił tę rękawicę w oczy, jakby wyzywając do niepotrzebnego boju?

Ta rękawica przypomniała mu upokorzenie przeszłe, życie zmarnowane, przetrawione, a odnowione rozpacze.

Wśród dalszego przebiegu tych smutnych wypadków Oleś wzięty został do niewoli, Tadeusz zaś wraz z oddziałem Giełguda znalazł się na terytoryum pruskiem, gdzie rozbrojono wszystkich.

Rozbrojeni jeńcy ruszyli do Preklus, wioski nad brzegiem morza, położonej nad zatoką Kurońską, od pierwszego obozu o parę małych mil odległą. Za tłumem żołnierzy, dźwigających swe tłomoczki, szła jedna kompania Prusaków w tylnej straży.

Dzień był, jak na jesień, dosyć pogodny i wkrótce ukazało się morze, a na niem około półtorasta małych statków rybackich, których żagle pospuszczane na masztach wisiały.

Dwa większe okręty miały zabrać starszyznę i wojsko pruskie; łodzie przeznaczono dla żołnierzy.

Dość długo trwało wsiadanie i ładowanie się u brzegów, tak, że dobrze spóźnionym wieczorem ruszyła dopiero flotylla... Słońce na pogodnem niebie zachodziło, jak kula ognista; ale wiatr kołysał falami... Większa część tych ludzi po raz pierwszy widziała morze i ważyła się na nie — myśl, że się oddalali od ojczyzny, zasępiała czoła... Milczący zabrali miejsca na statkach... a gdy te wypłynęły

na pełniejsze wody i bałwany kołysać zaczęły niemi, większa część pokłaść się musiała pod ławami i onieśmielona... czekać końca tej przeprawy. Najbutniejsi potracili fantazyę. Tadeuszowi żywo przypomniała się wyprawa owa młodzieńcza, na innych wodach, wśród burzy... ale naówczas w duszy jego tyle życia było jeszcze!

Krótkiej tej żegludze po Kurońskiej zatoce nie zbywało na dramatycznych epizodach — bo noc nadeszła wkrótce, a że sternicy byli niewprawni, morze dosyć rozhukane i coraz niespokojniejsze, łodzie spotykały się z sobą, tłukły i kilka z nich było w niebezpieczeństwie. Naówczas rozlegały się krzyki chwilowe, wiatr je roznosił i w ciemnościach nie wiedziano nawet, co się z drugiemi stało.

Niektóre statki, z połamanemi od wichru masztami wirowały, inne, przeciążone, skłaniały się na boki, jakby zatonąć miały... Najmężniejsi na lądzie, czuli się przejęci trwogą dziecinną, widząc się bezbronnymi na łasce żywiołu, groźniejszego nad wszystkie i nieubłaganego w swym gniewie.

Ta nieprzebyta, długa noc wietrzna, chłodna, smętna, przebyta na falach — nie jednemu zdała się ostatnią godziną, żołnierze mruczeli, że ich umyślnie na zgubę wyprawiono... nikt przecież nie zginął i nareszcie świtać poczęło, a o świcie pokazały się brzegi... zbliżano się do lądu.

Czerwone dachy miasteczka Schacken w mroku poranka powitano z niektórych łodzi okrzykami radości, tak piekielnie długą wydała się ta noc burzliwa i bezsenna.

Zmokli od bryzgów fali, złamani rzucaniem statków, chorzy... wysiedli na brzeg, u którego powitała ich, oczekująca widocznie z punktualnością niemiecką, wyciągnięta w linię kompania kirasyerów w pełnej formie.

Poczęto jeńców rozprowadzać i rozdawać im bilety na kwatery do Szulców i Muellerów, do których ledwie się nieszczęśliwi na spoczynek dopytać mogli...

Tu, po długiem wylegiwaniu się na ziemi, żołnierz pierwszy raz spotkał łóżka i osłonę dachu... i choć niegościnne, ale dobroduszne ubogiego ludu przyjęcie.

KSIĘGA XVI.

Tułacze dzieje.

Szły dnie jednostajne powoli.

Co robić wśród takiej martwej ciszy z gorzkiemi wspomnieniami, z jutrem zagadkowem i niepewnem?

Byli na łasce i niełasce Prusaków, którzy, jak im się podobało, mogli postąpić z nimi.

Niepewność nękała, wzmagała się niecierpliwość. Żołnierze, stosunkowo szczęśliwsi, szli pracą zabijać tęsknotę, młócili Niemcom po stodołach, bo cep wioskę im przypominał rodzinną, a potem wieczorami, zapominając troski, skakali z dziewczętami po gospodach i tłukli niemieckich parobków, gdy im stanęli na zawadzie. I młocka i zaloty robiły im nieprzyjaciół, więc ucierano się krwawo, a kłótnia była rozrywką.

Niemki przepadały za rycerzami... Z tem wszystkiem prostym szeregowcom życie było znośniejsze; starszyzna marła z głodu dusznego, z nudzy i bezczynności. Wielu cierpiało niemal nędzę, bo nieopatrznie rzuciło groszem w dniach pierwszych.

Żołnierz zarabiał tyle prawie, co potrzebował, oficerowie śpiewali i tęsknili. Zapomnienia szuka się najczęściej w szałach... więc gra i kieliszek szły w pomoc.

Niech rzuci kamieniem, kto dni podobnych nie przeżył!

Wioska, w której postawiono Tadeusza i Lewandowskiego, nie dalej nad parę tysięcy kroków leżała od morza, więc ilekroć razy dzień był pogodny choć zimny, szli razem patrzeć i słuchać wód mówiących o prastarych dziejach świata.

Lazurowy Adryatyk może powrócić zamarłemu życie, Bałtyk szary, żywego smutkiem przygniata. Nic posępniejszego nad pustynne jego brzegi — morzu temu brak barwy, brak głosu, brak

woni mórz południowych — ale i ono, wsłuchawszy się weń — mówi o tęsknicy wiekuistej rodu ludzkiego.

Godzinami tak siedząc, patrzyli jak się przed nimi białe zwijały rybitwy, jak się morskie potwory wychylały z fali, jak się rybacze kręciły łodzie, a niekiedy łabędziej postawy, z rozpiętemi żaglami białemi w dali, przesuwał się okręt, jak senne widziadło.

W listopadzie widok morza stał się dramatyczniejszym... przyszły wichry jesienne, szalone, i fale się piętrzyć zaczęły... Nieraz, siedząc na podniesionych o kilkadziesiąt łokci brzegach, zapatrzeni godzinami — wracali przemokli od bryzgów szturmującego morza... Ale ryk i huk tych fali był dla nich rozrywką, widok tych walczących gór wodnych, okrytych pianą, rozwścieklonych, rozszalałych, przypominał im walki niedawno przebyte...

Nie wolno jednak było zbyt blizko wpatrywać się w to igrzysko... bo straże chodziły na brzegu nie wygnańców pilnujące, tylko wypuszczonego w dzierżawę słonecznego kamienia, który wyrzucało morze.

Wpatrywali się więc opodal w łowców bursztynu, wygrzebujących poplątane algi, wyrzucone przez fale i przepełnione kamieniami drogiemi. Na cichej rozmowie całe dnie często w tych kontemplacyach świata cichego, pustynnego, ożywianego tylko zdala przebiegającemi falami — spływały... ciągle jedne i wiecznie do siebie podobne.

Tadeusz w tem zapatrywaniu się na groźną, majestatyczną, posępną naturę północy, czerpał coraz nowe, mistycyzmu pełne idee...

Niekiedy wśród burzy modlił się zwrócony ku północy, duchem przywołując ku sobie stracone dziecko jedyne.

Lewandowski młody, ale z natury swej smutny, przywiązał się do legionisty, z którego charakterem sympatyzował — szedł za nim nieodstępnie i niekiedy był tak szczęśliwym, że mu jaką osłodził godzinę. Razem coraz nowe w okolice przedsiębrali wycieczki...

Długą chwilę przebyli na tych rumowiskach, długą przebłądzili, posuwając się wązkim ziemi pasem między Bałtykiem a zatoką, przypatrując się widokowi rozhukanego morza z jednej strony, spokojnego Hafu z drugiej, okrytego łodziami rybackiemi, opasanego brzegami, na których, jak rzędami pereł białych, świeciły osady i miasteczka.

Nadszedł grudzień, a z nim koniec tej przedmowy nowego ży-

wota. Rozesłano jeńcom zapytanie urzędowe, dokąd się udać chcieli.

Do wyboru dawano im — powrót do kraju... — lub Francyę.

Ostatniego dnia roku, przeprowadzeni przez mieszkańców, oficerowie ruszyli w podróż i dostali się do Królewca, gdzie na sam smutny dzień Nowego 1832 roku, około stu się ich razem znalazło. Wszystkich razem też konwojować miano, nie dając się im rozproszyć, aż do pruskiej granicy. W Królewcu czekały na nich proste wózki, tu spotkała ich zima ze śniegiem i mrozem.

Większa część nie miała okrycia ciepłego, ani grosza, aby go nabyć — ale — ktoby tam zważał — jechali do ciepłej, gościnnej Francyi swych marzeń.

Transport ten tułaczów, jak się tu dosiedzieli, był siedmnastym z porządku; dowodził nim major Żurawski z szóstego pułku piechoty liniowej. Sam rząd dostarczał podwody i kwatery do granicy, a że się ich pozbyć chciano — koni nie zabrakło nigdzie. Oficer pruski towarzyszył do Erfurtu...

Za Królewcem zimowy wiatr począł przejmować do kości — mróz się powiększał co chwila — a było wielu w jednej koszuli i jednym starym mundurze.

Zsinieli i drżący jechali milcząc ponad wysokim brzegiem morza, gdzie wiatr smagał całą siłą... Ale słońce zimowe, połyskując na morzu rozkołysanem, bawiło oczy, wyprawując igrzyska świetlane.

— Patrz, Lewandowski — zawołał Tadeusz, jadący z nim razem — patrz, co za widok cudowny!

— Pułkowniku — odparł porucznik — marznę tak, że aniołabym z nieba zstępującego nie zobaczył...

Wistocie mróz był nieznośny — skotniali wszyscy przywlekli się do Brandenburga, ale i tu mróz ścigał coraz ognistszy. Po takiej przeprawie w sam dzień Nowego Roku, nie dziw, że kto żyw, pobiegł się ogrzać do gospody... A była, jako w dzień ów uroczysty, Niemców pełna i, w dodatku, na galeryjce, rzępoliła muzyka... Zrobiono ponczu naprzód, aby z kości mróz wypędzić, a tuż ozwała się kapela...

Wierzcie, czy nie — zziębłe nogi się ruszyły — o! potęgo młodości!

Mróz wzrósł do dwudziestu stopni i nagich biedaków ścigał, nie folgując, do Elbląga. Wszystko to były stare niegdyś posiadłości Rzeczypospolitej, której dzieci burza rozbiła, bezdomne i wynędzniałe.

W domu, w którym Tadeusz stanął razem z nieodstępnym Lewandowskim, gospodarz po polsku pożegnał ich ze łzami.

Mróz w Elblągu litościwszym był nieco, droga wiodła po nad Nogatem, żyznemi Żuławami, w których ciągle jeszcze lud polski spotykali. Około południa ukazały się mury zamku krzyżackiego w Marrienburgu, z onym kościołem, którego całą ścianę olbrzymi wizerunek Maryi zajmuje. Niektórych żołnierzy postawiono na zamku, inni z ciekawością pobiegli go oglądać, pamiętając historyę oblężenia i tej kuli tkwiącej w ścianie, która omal nie obaliła kapitularza...

Wzdrygalibyśmy się historyi tego pielgrzymstwa dopełniać fantazyą, byłaby ona może obfitszą w barwy, ale pewnie mniej boleśnie prawdziwą, nad to, co czerpiemy ze zżółkiej, ołówkiem zapisanej książki, którą nam umierający żołnierz z łoża śmierci przekazał (ś. p. Kazimierz Lewandowski, porucznik I pułku ułanów, zmarły w Radomiu dnia 17 listopada 1850 r.).

Ze Tczewa jeszcze polskie wozy i parobczaki powieźli ich do Starogardu... Śnieg sypał, ale mróz zelżał. W Starogardzie już nikogo, coby po polsku rozumiał, nie znaleźli. Ztąd wlekli się dalej do Czerska (Tschersk-Siersk?) wsi dziwnej, dwulicowej, jakby na upokorzenie plemienia naszego zbudowanej. Polski i niemiecki Czersk, obok siebie stojące, przedstawiały obraz żywy losu dwóch narodowości... W niemieckim domy murowane, sklepy, handel, dostatek — w polskim domki pod słomą, stodółki ponachylane, obory drewniane... kościołek mały z drzewa, wpośród starych lip rozłożystych...

W niemieckiej oberży grano Mein lieber Augustin! w kościołku polskim rozlegały się organy i śpiew — Święty Boże...

Ledwie zsiadłszy z wozów, rzucili się podróżni do otwartej świątyńki, która im rodzinne przypominała...

Trafili na koniec nabożeństwa i na ten rzewny śpiew, który ze łzami płynąć się zdaje — Zmiłuj się nad nami!

Na wychodnem lud ich otoczył, ściskając jak braci, płacząc,

witając, żegnając. — To nasi! Ale chwila ta wypoczynku była krótką, trzeba było zdążać do Chojnic, Człuchowa i Koronowa.., gdzie już znów polskiego nie usłyszeli języka...

Prześliznęły się im potem niegościnny Kuestrin i Frakfurt nadodrzański. W obu tych miejscach Prusacy okazali się nieprzyjaźni, usposobienie ludności było niechętne i pogardliwe...

Dopiero w Saksonii pruskiej zmieniło się na lepsze, na serdeczne prawie i pełne zapału. Na każdej stacyi przyjmowano rozbitków z coraz wzrastającym entuzyazmem, ze współczuciem gorącem.

W Prusach rząd dostarczał podwód i mieszkań, tu mieszkańcy przyjmowali gościnnie.

W Luckau, ugaszczano uroczyście.

Odtąd począł się ów pochód, który trwać miał aż do Francyi... Na Torgau i Eilenburg podążyli tak do Lipska.

Lipsk słynął zawsze ze swej szczególnej sympatyi dla Polski. Dowiodło tego usposobienie miasta dla przybywających Polaków. Wysłano naprzeciwko nim powozy i konie, zabrano pakunki do furgonów, oficerów do paradnych ekwipażów. Było to dziełem komitetu utworzonego z mieszkańców, który nad przejeżdżającymi miał poruczoną opiekę... Przyjęcie uroczystszem jeszcze było niż gdzieindziej.

Znaczną część oficerów zabrali bursze z sobą do onej sławnej Faustowskiej piwnicy, do Auerbachowskiego loszku, z którego nikt pono trzeźwym nie wyszedł... Toasty brzmiały długo pod staremi sklepieniami, przeplatane poezyami Platena i Maltz'a.

Tadeusz bronił się słabością od kielichów, patrzył, słuchał i uśmiechał się młodzieńczym wybuchom.

Lewandowski rozpłakał się, upił i mówił potem, że się nie wytrzeźwił aż we Francyi.

Wyrywając się zbyt tłumnemu i wrzawliwemu towarzystwu, Tadeusz otrzymał pozwolenie udania się dla wypoczynku do stolicy Saksonii, do Drezna, pamiętnego mu z pierwszej epoki jego życia.

Lewandowski napróżno zatrzymać go pragnął, przeprowadzał niepocieszony, i nie prędzej się uspokoił, aż mu przyrzekł stary, że go we Francyi lub może jeszcze na drodze dopędzi.

Zły wszakże był ten wybór Drezna dla odpoczynku; przepełniali je naówczas Polacy, starym nałogiem szukający tu zawsze schronienia. Roili się Polacy po starem mieście, po hotelach, po domach, a że Saksonia dość była gościnną, tu gorliwsi a czynniejsi z wychodźców rozpoczynali już wrzawliwe narady tysiącznemi kwestyami, których rychłego zastosowania do życia spodziewać się nie było można; tu także święte one niewiasty: Klaudyna Potocka, generałowa Dąbrowska, ks. Sanguszkowa — związane dziełem miłosierdzia, biegły wspomagać, pocieszać, goić rany i sióstr a macierzy dłonią łzy biednych ocierać.

Wieczorem pełne były teatra tych, co jutro nie mieli za co kupić obiadu.

Około Tyszkiewicza, pułkownika Kamieńskiego, Nakwaskiego, Bydłowskiego, kręcili się ci, co już niecierpliwi byli bawić się w komitety, wybory i rozprawy. Całe dnie spędzano na opowiadaniach, na określeniu przedwczesnem tego, co się we Francyi czynić miało... Wieczory spływały na koncertach, na teatrze, w kilku domach zacnych Polek... lub szalonej grze u zielonego stolika.

Pragnący ciszy, skupienia ducha, nie wiedział Tadeusz może, iż wpadnie w gwar i zamęt, wśród którego obronić się od napaści będzie trudno.

Niełatwo się było nawet pomieścić w Dreznie i nie wiem, jakiem szczęściem, wśród przepełnionych hotelów, on i jego tłumoczek znaleźli kątek skromny, izdebkę od dziedzińca pod znanym, starym — Złotym Aniołem. Tadeusz nie szukał nikogo, prócz samotności. — Przybywszy w sobotę wieczorem, nazajutrz rano pierwszą wycieczkę zrobił do kościoła.

Wyszedł, okryty płaszczem swym żołnierskim, z którego tylko zdarł niepotrzebne znaki mundurowe i z osłoniętemi oczyma powlókł się ulicą zamkową ku znanemu kościołowi przy zamku... Godzina była ranna — przecież w ulicy minął się już z kilku twarzami swojskiemi, z postaciami, które ciekawie badać go chciały, napróżno zabiegające mu drogę.

Minął je wszakże, udając, że nie widzi i wszedł pod ciche sklepienia. W tej godzinie ubogiego tylko ludu było wiele, msza cicha odprawiała się przed bocznym ołtarzem. Kilka polskich twarzy spostrzegł także Tadeusz... i poszedł z rzewnem uczuciem do modlitwy.

Tu uczucie jakieś boleści i znękania objęło go u stóp ołtarza

silniej niż się spodziewał; znużony drogą, złamany na duchu, z tęsknicą, którą wzmogła jeszcze modlitwa — poczuł zimny pot, występujący na czoło, oczy zaszły mu mgłą — dziwne osłabienie owładające nim całym i mimowolnie, bojąc się paść, pochylił ku podłodze... Ręce, na których się chciał wezprzeć, uchyliły się bezsilne... oczy okryły ciemnością — omdlał i padł.

Gdy otworzył powieki — nie mógł już sobie przypomnieć, co się z nim stało. Znalazł się w powozie zamkniętym... obok niego siedział lekarz i średnich lat kobieta z wyrazem współczucia na twarzy.

Przyjście do przytomności było prawie tak nagłe, jak omdlenie po długich trudach... Tadeusz podniósł się przerażony, zmieszany i trąc czoło, starał przypomnieć, co się z nim stało.

— Gdzie jestem? co było ze mną? — zawołał po polsku.

— Nic, nic — odpowiedziała kobieta łagodnie — zemdlałeś pan w kościele, pospieszyliśmy mu na pomoc. Ja jestem rodaczką pańską, a nawet, choć pan tego pewno nie przypominasz sobie — dawną jego znajomą... Widywałam go w Warszawie.

Tadeusz, wpatrzywszy się, poznał w istocie księżnę Barbarę, której rysy szlachetne utkwiły mu niegdyś w pamięci. Ale teraz, dawniej pogodne i wesołe, młodsze oblicze, okryte było troską i smutkami. Ona także straciła wszystko, co kochała...

— A! pani — zawołał orzeźwiony — proszę mi przebaczyć — to było jakieś chwilowe... osłabienie... Jestem silny i zdrów, alem był może trochę drogą zmęczony, nie wiem. Niemoc ta już przechodzi, już przeszła... czuję się zupełnie dobrze i jestem pewien, że gdybym mógł wysiąść, poszedłbym o swej sile do domu.

— Na to ja nie pozwolę — odpowiedziała kobieta.

— Stoję niedaleko... pod Złotym Aniołem.

— Bardzo dobrze, tam więc odwieziemy pana, ale pozwolisz się spytać (doktór, towarzyszący nam, słowa nie rozumie po polsku) — dodała ciszej — pozwolisz pan spytać... czy — czy mu nie zbywa na czem... czy... służyć mu czem nie mogę?... pan zapewne...

— Jadę z Prus — odpowiedział Tadeusz — dążę do Francyi, chciałem w Dreznie odpocząć, odetchnąć...

— Tak... ale może przy utrudnionych z krajem stosunkach, mogłabym panu w czem być użyteczną... może mu zbywa...?

— A! na niczem! na niczem! — szybko zarumieniony odparł

legionista — niech księżna wierzy... nie zbywa mi na niczem, oprócz syna...

— A żona?

Tadeusz spuścił głowę i rzekł cicho:

— Została w Warszawie...

Rozkazano powozowi jechać pod Złotego Anioła. Tu księżna pozwoliła wprawdzie wysiąść pułkownikowi, ale mu zapowiedziała, że go nie może wypuścić ze swej opieki...

Pożegnawszy tych, co go tak litościwie ratowali, ze wstydem i uczuciem przykrości powlókł się do swej izdebki...

Traf zrządził, że właśnie pragnąc tu odpocząć, ukryć się, skupić w sobie — został słabością zdradzony...

W pierwszej chwili pomyślał nawet, czyby mu ujść nie wypadało, szukać gdzieindziej tej ciszy i spoczynku z myślą o Bogu?

Siadł z głową spuszczoną i dumał, gdy do drzwi zapukano... Po chwili otwarły się one z trzaskiem i wpadł zdyszany cały Henryk, ów sąsiad Skały, teraz pułkownikiem mianowany, który mężnie artyleryą dowodził, z którym się ledwie parę razy na placu boju skrzyżowali, a który w tej chwili może, mimo dawnej zażyłości, najmniej mógł być pożądanym.

Nie zmieniła go wojna o wiele, ale rozwinęła jako istotę, która we właściwym teraz była żywiole. Pozostała mu spotęgowana tylko wesołość, lekkomyślność, trzpiotowatość wiekowi niezbyt właściwa — a — co najdziwniej, gdy inni pochudli, on nawet utył nieco na wojence... Z wąsikiem podkręconym do góry, sztywny, wyprostowany, czupurny, padł w objęcia sąsiada i przyjaciela...

— Jak się masz! jak się masz! a widzisz! góra z górą... otośmy oba wyrzuceni na ląd... kochany mój pustelniku... księżna Barbara, którą spotkałem, wyjawiła mi twoją kryjówką! Kiedyżeś przybył, najdroższy kolego? cóż ty tu siedzisz tak nachmurzony i posępny! — pfe! pfe! my tu w najlepsze komerażujemy, trzpiotczemy się, bo smutek nie pomoże, a na nasze zdrowie wpływ wywiera zgubny... Co ty tu robisz?

— Ja dopiero wczoraj przybyłem — rzekł Tadeusz.

— Tak i dziś zemdlałem w kościele. Cóż to stary legionista został bigotem?

— Pułkowniku, byłem pobożny całe życie.

— To ślicznie, ja sam bywam pobożny, gdy mam czas i kiedy jestem goły... Ale... głodnemu, na czczo iść do kościoła, modlić

przed ołtarzem Pańskim? Cóż ci to było? czyś się wódki nie napił?

— Ja wódki nigdy nie piję.

— I dlatego taki jesteś osłabiony... Ja ci powiadam, palnij kieliszek koniaku, jak ręką odejmie...

Tadeusz mimowoli się uśmiechnął, pułkownik poszedł się przejrzeć w zwierciadle, wąsa pokręcił i zanucił.

— Przekonany jestem — dodał, odwracając się nagle — że ci Sasi muszą wino szampańskie fabrykować z buraków... Wystawże sobie...

W tem, nie dokończywszy mowy, począł szukać cygara i zapomniał, o czem mówił.

— A jakże się teraz czujesz? — spytał, zmieniając rozmowę.

— Nic mi nie jest, słabość była przemijająca. ..

— Ja obstaję przy koniaku — dodał Henryk. — Nadewszystko nie dam ci tu gnić i muszę cię zaraz rozruszać... Mnóstwo mamy ludzi, towarzystwo najlepsze, sympatya dla nas ogólna... entuzyazm, powiadam ci, kiedy Niemcy sięgają do kieszeni... a tam u nich serce siedzi!... Trzeba być dobrej myśli... — dodał uśmiechając się — krzątać się, krzyczeć, a zobaczysz...

Tadeusz nic nie odpowiedział... patrzał nań zdumiony, prawie z politowaniem.

— Dziś dla Polaków wielki bal u hr. Fleming — dodał pułkownik, zwracając mowę — i ty pewnie dostaniesz zaproszenie...

— Ale z niego korzystać nie będę.

— No, to przynajmniej bądź u swoich, u hr. Tyszkiewicza, u Nakwaskiego, u Kruszyńskiego, u ks. Sanguszkowej, u Klaudyi Potockiej. Jak widzisz, jest tu naszych poddostatkiem...

— Kochany przyjacielu — odparł cicho Tadeusz — celem mojego tu przybycia był odpoczynek — pozwólcie sobą rozporządzać, jak mi najlepiej.

— Nie — rzekł śmiejąc się Henryk — z tego nic nie będzie, bobyś z tęsknoty zdechł, a to byłaby szkoda. Trzeba się konserwować, a być dobrej myśli. My tu już dalsze narady rozpocząć mamy nad sprawami krajowemi, do których i ty musisz należeć...

Tadeusz ramionami wstrząsnął.

— Do żadnych! do żadnych! — zawołał — ja inaczej położenie pojmuję i zadanie emigracyi. Czcze narady wystawią nas na pośmiewisko... lekkomyślne rzucanie się na pogardę.

Na tem, szczęściem, skończyła się rozmowa. Zapewniwszy się, że Tadeusza zastanie w domu, pułkownik wyszedł, podśpiewując.

Cały czas, aż do jego powrotu, spędził Tadeusz na rozmyślaniu.

Chmurny dzień zimowy, powietrze mgliste i szare, usposabiały do smutku, nie dał się też łudzić żadnej z tych błyskotliwych nadziei, które ożywiały jego towarzyszów.

Jeszcze piąta nie wybiła, gdy Henryk powrócił zarumieniony, w humorze daleko lepszym niż rano. Był widocznie świeżo po dobrym obiedzie.

— Ale Niemeczkę poznałem! kubek w kubek czekoladniczka Liotarda! niech ją dyabli... a! przylepka!

Tadeusz spojrzał nań chmurno... Henryk uderzył się po ustach.

— No, no! przy tobie o tem mówić nie wolno! Ubierajmy się i idziemy.

Do mieszkania posła Nakwaskiego było niedaleko. Zastali już u niego mnóstwo emigracyi, wiele dymu i rozmowę nader ożywioną. — Czekano na nadciągających jeszcze ciągle towarzyszów, z których większa część była znajomą Tadeuszowi. — Gwar poczynał być ogromny, tak, że gdy nareszcie do narad przyjść miało — niełatwo było wyprosić milczenie.

Gospodarz podał gazetę francuską, którą Henryk podjął się czytać głośno. Opisanem w niej było w bardzo wymowny sposób świetne i uroczyste przyjęcie Ramorina, Langermanna i Sznajdego w Strasburgu. Dodało ono serca.

— Czcigodni współobywatele — rzekł po odczytaniu gospodarz — jutro mamy walną odprawić naradę u Staniewicza... dziś zeszliśmy się tu tylko dla przygotowania i przysposobienia do niej... odczytamy więc projekt.

Na wzmiankę o czytaniu fizyognomie tych, którzy pragnęliby byli wysunąć się co najrychlej do teatru, gdzie grano "Oberona" Webera — przeciągnęły się znacznie — pozostali wszakże.

Projekt wnosił utworzenie i podawał środki, jak się miał ukonstytuować komitet w Paryżu, władza wybrana z łona emigracyi, którejby się poddali wszyscy. Tymczasowo żądano stworzenia podobnego komitetu w Dreźnie, mającego się zajmować obmyślaniem środków podróży, utrzymania i pomocy dla przybywających emigrantów. Komitet drezdeński miał zawiązać korespondencyę z komitetami niemieckiemi na prowincyach.

Ledwie się ukończyło czytanie, poczęli wszyscy zabierać głosy

i rozprawiać, poddając każdy swą myśl, swój projekt, formę nową. Toczyły się rozprawy parlamentarnie i z zachowaniem wszystkich wyrażeń a przyjętych na sejmach formalności. Miało to nieco śmieszności w sobie, ale przynajmniej broniło od chaotycznej wrzawy. Niektórzy prawili długie mowy, sadząc się na elokwencyę, ze stratą czasu. Tadeusz milczał, przybity...

Obok niego stojący Mikołaj Kamieński nielitościwie począł drwić z szanownych preopinantów, a że go pozwano do tłumaczenia, pod pozorem, iż był członkiem komitetu dam — odparł, ruszając ramionami:

— Szanowni rodacy, w pierwszych chwilach, gdy emigracya napływać tu zaczęła, nie znajdując opieki, najczęściej bez grosza i w najprzykrzejszem położeniu — Pan Bóg też zesłał kilka szlachetnych i czułych na niedolę Polek, które się dobrowolnie poświęciły pełniać ciężki obowiązek wspomagania biednych.

P. Bernardowa Potocka. generałowa Dąbrowska, pani Dobrzycka, ks. Wł. Sanguszkowa, ze złożonych przez się kilkudziesięciu tysięcy, opatrywały przejeżdżających w koszule, buty, ubiory i pieniądze na drogę. W ostatnich czasach złożyły 24,000, które ja woziłem, dla przeprowadzenia żołnierzy za granicę.

Ale to nie był żaden komitet... bo pieniądze pochodziły z ich własnych dobrowolnych ofiar, rozdawanych wedle woli. Hoffman trzymał przez uprzejmość rachunki, Odyniec godził szewców i krawców, a ja, jako dawny wojskowy, zajmowałem się kontrolowaniem biedy, żeby się pod nią nie podszyło szalbierstwo.

— Tego rodzaju dzieło — dodał pułkownik — nie podlega niczyjej kontroli, bo to sprawa prywatnego miłosierdzia. Tym paniom wolno rozporządzać ofiarą, jak się im podoba, a wścibiając — z przeproszeniem — nosy, gdzie nie należy, obrazilibyście je tylko niepotrzebnie.

Chociaż mrużąc nieco, stanowcze to tłomaczenie przyjęto, a że część przytomnych już się powysuwała to na "Oberona," to na landsknechta, to po prywatnych domach — Tadeusz też miał prawo wymknąć się niepostrzeżony i byłby tego szczęśliwie dokonał, gdyby go pułkownik Henryk głośno nie zainterpelował.

— Dezerterujesz — zawołał — tak nie może być! My nie pozwolimy, abyś się od nas wydzielał i oddalał. Jutro zbieramy się u Staniewicza, na Wilsdrufer... tu niedaleko... daj słowo, że przybędziesz...

— Ale, po co? — spytał zwolna Tadeusz.

— Po co? a to piękne pytanie! Cygan się przecież dał powiesić dla kompanii, a ty nie chcesz uszów narazić na trochę hałasu! Musisz przyjść!

To mówiąc, począł go ściskać... Tadeusz, któryby się był może opierał natarczywości, uściskowi uledz był skłonny. Wyrzucał sobie zbytnią powolność swoją — a w końcu, ze słabością wszystkim nam właściwą — dał z siebie wymódz słowo.

Staniewicz, Żmudzin, stał nieopodal od Złotego Anioła na Wilsdruferstrasse. Tu znaleźli się ciż sami prawie z dodatkiem nowych przybyszów, między innymi Skulski, ten, który był zabił Giełguda, ukrywający się tu pod imieniem Zaręby. Na prezydencyę teraźniejszej rady uproszono hr. Tyszkiewicza, który się od niej wymówił; zmuszono więc do zastępstwa p. Tarnowskiego (Trzcińskiego), ażeby ład utrzymywał i marszałkował zgromadzeniu i — dla zadośćuczynienia wszelkiej formie, do pióra posadzono Kruszyńskiego. Nuż tedy znów czytać projekt komitetu, ale w początku zaraz przybyły wprost z Paryża Chłapowski objaśnił, iż tam jeden już istnieje, za nim Świrski oświadczył, że tworzenie nowych uważa za niepotrzebne, zbyteczne, nawet szkodliwe.

— Rząd saski — rzekł Świrski — mimo przychylności swej dla nas, cierpi nas tylko dopóty, póki może bez narażenia się rządom silniejszym. Stracilibyśmy przytułek...

Za Świrskim przemówił hr. Tyszkiewicz, potem inni, wrzawa rosła coraz. Jedni się domagali komitetu, drudzy oponowali, niektórzy mówili, aby się popisać z wymową. Szczęściem dla uszów i cierpliwości tych, którzy nie brali czynnego w rozprawach udziału, nadeszła obiadowa saska godzina, grożąca tem, że później na głodno musianoby czekać wieczora. Poczęto więc skłaniać się ku solwowaniu sesyi, ale nim to nastąpiło, Kruszyński, który dotąd między rządem a wychodźtwem pośredniczył, objąwszy tę funkcyę z polecenia Świrskiego, któremu ją zdał wyjeżdżający do Paryża Bonawentura Niemojowski, złożył swe obowiązki... Poczem posypali się wszyscy do drzwi, sesyę solwowano na godzinę piątą...

Wychodzącego Tadeusza Henryk znów za ręką pochwycił

— Przyjdziesz? — spytał.

— Nie, bo nie mam po co — tym razem stanowczo odezwał się Tadeusz — nie przyjdę...

— No, to już wiem, co to jest! wiem! — rzekł Henryk, ściskając jego rękę.

Ale, być-że to może, aby cię ta wiadomość, do której zdawna przygotowanym być przecie musiałeś, tak obeszła, iż wszystkich cię sił pozbawiła — a nawet ochoty do życia?

— Jaka wiadomość?... — podchwycił, stając, Tadeusz.

Henryk popatrzył nań, zawahał się — zmieszał widocznie, jakby nie wiedział, czy ma mówić, czy zmilczeć.

— Nie, czyż ty nie wiesz tego, co dla drugich już nie jest tajemnicą? a od czegożeś omdlał, jeśli nie z tego...

— Ale cóż to jest? co? na miłość Bożą? nie rozumiem! — zawołał zniecierpliwiony legionista...

— Jeśli znów ja mam być pierwszym zwiastunem przykrej wieści, to nie chcę! — rzekł Henryk.

— Nie potrzeba mi było zwiastować, że istnieje... — zawołał strwożony, chwytając za ręce towarzysza, Tadeusz. — Mów! czy to co tyczącego się mojego syna? mego dziecka? — dodał skwapliwie i wpatrzył się w Henryka, który był wielce zakłopotany.

— Bynajmniej... Zresztą to może być bajka! ja nie wiem! Jeśli wy nie słyszeliście nic, to musi być plotka... której powtarzać nie warto...

— Cóż to jest ostatecznie? co to jest? mów! — naglił Tadeusz — nie puszczę cię. Najgorsza wieść nie wyrówna tej niepewności, w jakiej mnie trzymasz...

— Bo to widzisz... na co plotki daremnie roznosić! Głupstwom zrobił, żem o to zaczepił — odezwał się Henryk zmieszany. — Wczoraj, czy pozawczoraj, z jakiegoś listu roznieśli tu tę wiadomość. Ale tyle baśni krąży... Zresztą, gdyby nawet była prawda, ty to, jestem pewien, mężnem zniesiesz sercem.

— Ale mów! mówże nareszcie, co o co idzie?! — odezwał się do najwyższego stopnia rozdrażniony Tadeusz.

— A ty się nie gorączkuj! Rzecz w świecie najpospolitsza. — Nie ty pierwszy i nie ty ostatni! Twoja jejmość, korzystając z tego, że, jako wychodziec, jesteś civiliter mortuus, poszła sobie pono za mąż, za jenerała...

Tadeusz zbladł strasznie, ale usta mu skrzywił uśmiech wzgardliwy, ironiczny.

— A! — zawołał — to tylko to! Miałżeś mnie czem tak dręczyć!

W istocie, spodziewać się tego mogłem i rozpaczać nie będę. Bądź zdrów.

Pomimo szyderskiego tonu, z jakim odchodząc, słowa te wymówił Tadeusz, głos jego drżał. Henryk poczuł w nim stłumiony jęk i stał chwilę, odejść nie mogąc. Patrzył na legionistę, który, zataczając się, jak upojony, wracał co prędzej pod Złotego Anioła, wpadł do swej izdebki i na klucz się zamknął.

Chciał być sam.

Jakkolwiek człowiek przygotowanym być może do ciosu, który ma w serce jego uderzyć — czuje on ten pocisk ostatni, bo łudzić się może do końca, iż los go odeń ocali.

Ta kobieta była dlań od pamiętnej nocy d. 29 listopada obojętną — przecież była to matka jego Olesia, jedynego dziecięcia, ukochanego nad wszystko, kobieta, którą był ukochał, której przebaczył wiele, śniąc, że w jakimś serca zakątku choć odrobinę czułości, pamięci zachowała dla niego, a na czole wstydu choć trochę...

— Matka Olesia! matka Olesia! — powtarzał, chodząc po izbie z załamanemi rękami. — Żona bez serca dla męża! matka bez przywiązania dla dziecięcia!

Zakrył oczy i — począł się modlić.

Do tych, co w drżeniu i trwogach przebyli całą wojnę o niepodległość, należała pani Natalia. Siedziała w domu zamknięta, z nienawiścią do męża, któremu przypisywała los syna, z obawą aby jej uczuć i myśli nie wyszpiegowano. Bojaźń ta nie była całkiem bezprzyczynną, utrzymywała bowiem korespondencyę, przesyłała wiadomości z Warszawy i potrafiła sobie wielkie zaskarbić zasługi. Wieczorem, pocichu, schodzili się u niej ludzie, ukrywający się, jak ona. Zamykano się u niej dla redagowania raportów, które szły śliczną francuzczyzną pisane.

8-go września, w domu przy ulicy Miodowej, otworzyły się okna i jaśniejąca, promienna, uśmiechnięta twarz pani Natalii wyjrzała po długo tłumionym strachu i gniewie.

Natalia wiedziała nieco, więcej domyślała się losów męża, od którego wprost nie miewała już dawno wiadomości. Wiedziała, albo że poległ lub wyjść musiał za granicę — potem stanowczo

doniesiono jej, że się znajdował w Prusiech... Dosyć jej było tego, że powrócić nie mógł.

Ponieważ nic jej odmówić nie śmiano, podała natychmiast prośbę o zajęcie majątku dla syna, o którego uwolnienie, domagała się... Protekcya, stosunki, obietnice, nie dozwalały ani wątpić, iż wszystkie jej prośby zostaną spełnione. Tak się też stało. Syn sądzonym był do służby na Kaukazie; — pod pozorem choroby, dozwolono mu powrócić do matki.

Skałę też oddano jej, nie jemu, jako wynagrodzenie za straty, w których ściślejszy rozbiór wcale się nie wdawano.

Nagrodą tych łask było przyrzeczenie ręki generałowi L.

Wszystko odbyło się bardzo żwawo — czasu do stracenia nie było, pani Natalia w czasie wojny dostrzegła kilka siwych włosków na skroni. Natalia pojechała do swej Skały, aby z niej co rychlej zetrzeć ostatnie znamiona znienawidzonego człowieka.

Tadeusz, wybierając się z rodzinnego gniazda, rzucił tu wszystko — nie mając czasu nic ocalić, zabezpieczyć, ani zniszczyć. Pamiątki, papiery, ślady przeszłości... poszły teraz na ogień, do Żydów... precz... Skała przybrała postać wcale nową.

Oleś tymczasem głód i chłód cierpiał, w żołnierskim płaszczu, pod karabinem. Ale wszędzie, gdzie są źli ludzie, Opatrzność i dobrych zsyła. Dziecię obudzało litość w poczciwych sercach, a cierpieć uczyło się przykładem drugich.

Gdy jednego poranku niespodzianie zawołano go do sztabu i odczytano mu rozkaz, ażeby był zwrócony matce, gdy zarazem list do jenerała przesłany, oznajmił mu, iż pieniądze na podróż odbierze, a przy pieniądzach przyszła po francusku pisana matki karteczka, już nowem jej nazwiskiem podpisana — chłopak zrazu nie wiedział, co począć z sobą...

Na wspomnienie matki rumienił się. Niespodziane uwolnienie nowej gorączki nabawiło go i rozbudziło fantazyę... Przymuszony taić się z myślami swemi, rozpotęgowywał je, zamykając w sobie. Z Tyflisu dano mu wkrótce potrzebne uwolnienie, kartę podróżną, pieniądze — a że drogi nie były bezpieczne, odbył pierwszą część podróży z małemi oddziałami Kozaków, które zwykle wówczas pocztom nawet towarzyszyły. Tak dostawszy się do ziemi Kozaków dońskich, pospieszniej już potem zbliżał się do Warszawy.

Przez całą tę drogę myślał, jak ma się stawić przed matką.

Z trwogą myślał o chwili przybycia do Warszawy; im ona bardziej się zbliżała, tem bardziej czuł się wzruszonym i niespokojnym.

Nie dojechawszy do stolicy, dowiedział się Oleś przypadkiem od jednego z towarzyszów uniwersytetu, potem kolegi w wojsku, którego w drodze spotkał, że ojciec jego, wedle wszelkiego podobieństwa, żył i znajdował się w Prusiech.

Ta wiadomość wzburzyła go... — nie mógł pojąć zamążpójścia matki... wzdrygał się na nie.

Dwa dni potem przeleżał chory w małej mieścinie, usiłując się uspokoić i obmyśleć, co mu czynić wypadało. Matka... matka występna... była dlań wszakże i być musiała zawsze matką!

Z postanowieniem ukrycia swych uczuć i starania o ucieczkę zbliżył się do Warszawy. Dojeżdżając, ociągał się, odwlekał chwilę stanowczą, ale — i ona w końcu nadejść musiała.

Odarty, zbiedzony, chory, zastukał do drzwi wybronzowanych matki i wpuszczony został do oślepiającego przepychem salonu. Po chwilce szelest sukni jedwabnej oznajmił mu wejście tej, która zwała się jego — matką. Nie wyszła sama. Z cygarem w ustach, wyprostowany, szedł za nią barczysty, sztywny małżonek, surowo i z góry spoglądając na chłopca, odzianego jeszcze w płaszcz żołnierski, pokornie stojącego u drzwi.

Matka z żywością zrazu posunęła się ku niemu — i jakby rozmyślnie z rozczulenia przechodząc do powagi chłodnej, wstrzymała się na pół drogi. — Oleś patrzał na nią trwożnie. — Nie krzyknęła, nie odezwała się — podeszła ku niemu zwolna, nieco tylko zarumieniona.

Wyciągniętą mu rękę Oleś, zapomniawszy o wszystkiem na chwilę, pocałował z uczuciem — ale usta matki nie zbliżyły się do jego czoła.

— Podziękuj temu panu, który ci dziś ojca zastępuje — odezwała się. — Jemu winieneś wolność...

Oleś zamilczał...

Po wyjściu generała matka zbliżyła się nieco do Olesia.

— Ja ciebie nie obwiniam — rzekła — byłeś nad to młodym, a przykłady nadto zaraźliwe — wszystkiemu winien on, twój ojciec, co cię tak wychował. Ale trzeba teraz o tych wszystkich głupstwach zapomnieć, a wstąpić zaraz do służby. Generał będzie cię protegował, awansu możesz być pewnym wkrótce.

— Ja — rzekł powoli chłopiec — nie mogę tak prędko być do służby zdatnym, bo się czuję chorym i bardzo znużonym...

— Prawda, wyglądasz okropnie — odezwała się nieco czulej Natalia — ale to skutek podróży. — Idź, pokażą ci tam pokoik przygotowany dla ciebie na trzeciem piętrze... powiesz, żeby ci dali co potrzeba... Na obiad przychodzić będziesz tylko, gdy ja ci powiem, w inne dnie mamy wiele gości, toby było dla nas i dla ciebie żenującem. Zresztą... potem, zobaczymy...

Popatrzała nań długo.

— Proszę się zachować jak należy, a wszystko będzie dobrze.

Tak, nie okazawszy mu żadnego uczucia, podała rękę do pocałowania, popatrzyła jeszcze, zadzwoniła na kamerdynera i wydawszy rozkazy — skinęła głową na pożegnanie.

Oleś wyszedł osłupiały — w matce nie znalazłszy serca matki; gdyby był mógł zapłakać, płakałby może, tak czuł nieszczęście swoje.

Ale w Olesiu zawczasu przeniesione nieszczęścia wyrobiły hart duszy niepospolity — zgnieciony, upokorzony, cały zamknął się w sobie.

Pierwsze dni nie wychodząc prawie, przebył w swej izdebce, blizkiej poddasza, sam jeden, na rozmyślaniach, co ma począć.

Pragnął ojca poszukać i losy jego podzielać. Planu tego wszakże bez czyjejś pomocy, bez stosunków, wykonać nie było podobna. Czekał na to, co los zdarzy.

Nigdzie nie spotkał znajomej twarzy. Przypomniał sobie wszakże przyjaciela od serca w uniwersytecie, niejakiego Seweryna Fiszera... Był to syn obywatela miasta Warszawy, czyli po prostu mieszczanina, pokrzywione miał nogi i niezdatny był do wojska.

Rodzice Fiszera mieli własny dom przy Wareckiej ulicy. Oleś — dostał się na Warecką ulicę. Właściciele domostwa zamieszkiwali na tyłach jego, bo to byli ludzie ubodzy. Oleś dostał się jakoś do kuchenki i drżącym od wzruszenia głosem zapytał o Seweryna. Sługa popatrzyła nań zmieszana i nic nie odpowiedziała; ale wkrótce potem wyszła znajoma mu dobrze matka, która krzyknąwszy na widok jego, wciągnęła go do pokoju. Nim się od niej mógł co dopytać, spłakała się naprzód, witając stokroć serdeczniej nad matkę rodzoną.

— Ale gdzież jest Seweryn? co się stało z Sewerynem? — począł

naglić Oleś. Zamiast odpowiedzi, zaprowadziła go staruszka na piętro do małej izdebki i tu ukazawszy drzwi pokoju, wpuściła samego.

Seweryn leżał na kanapce, twarzą ku poduszce, podniósł głowę, usłyszawszy wchodzącego i w pierwszem wzruszeniu, zapomniawszy o kulach, mało nie upadł, chcąc naprzeciw koledze pospieszyć.

Powitanie było braterskie, rozmowa przerywana, bolesna, prawie niezrozumiała... bo się jej połowy domyślać trzeba było. Oleś jemu, on naprzemian towarzyszowi, opowiadali dzieje i przygody. Gdy przyszło do powrotu, do tego, co teraz znalazł w Warszawie, Oleś prawie mówić nie mógł, ścisnął milcząco przyjaciela, słów mu brakło...

— Ojciec twój żyje niewątpliwie — rzekł Seweryn — widziałem niedawno żołnierza, który z Prus powrócił, uwolnionego z powodu późnego wieku i kalectwa, ten mi nazwisko ojca twego wymienił pomiędzy starszyzną, która wyszła ostatnich dni grudnia do Francyi. — Imię to dobrze utkwiło mi w pamięci.

Ale cóż ty myślisz począć z sobą?

— Ja? — cicho odparł Oleś — mam jak najmocniejsze postanowienie udać się do ojca... ujść za granicę... Ale jak... jak to wykonać?

— Czekaj, — szepnął Seweryn — naprzód nikomu w świecie ani pół słowa... Ja pomyślę... powoli środki ucieczki znajdziemy.

Rozprawiali tak długo... Jedną z ważniejszych przeszkód do przedsięwzięcia podróży był brak pieniędzy. Oleś spodziewał się ich dostać od przyjaciół ojca w sąsiedztwie Skały, gdyby tylko mógł tam dać znać o sobie.

W styczniu r. 1832 Oleś z okolic Skały, w największej tajemnicy, odebrał przysłane drogami ubocznemi trzysta dukatów, które ktoś ojcu jego na słowo pozostał dłużnym. Postanowiono uciekać, i urządzono w ten sposób wszystko, ażeby uszedłszy z domu, pierwsze chwile poszukiwania i pogoni przebył w bezpiecznem schronieniu w samej Warszawie. Młodość Olesia, twarz bez zarostu, rysy wdzięczne, czyniły przebranie go za kobietę bardzo łatwem. Strój ten był dlań wstrętliwy, ale się stał koniecznym, bo on jeden mógł go uczynić bezpiecznym. Matka Seweryna przygotowała wszystko, ale u siebie nie mogła przechować, boby go tu najłatwiej wyśledzono.

Zrana, wedle zwyczaju, wyszedłszy do kościoła, Oleś wymknął

się z niego drugiemi drzwiami i przez ogród klasztorny dostał się na drugą uliczkę. Tu już na niego czekano, zmieniono zaraz ubiór męzki, zaprowadzono do domu pod zamkiem i przebranego za dziewczynę, niby świeżo ze wsi przybyłą — zatrzymano.

Ponieważ Oleś częściej teraz z domu wychodził, aż do pory obiadowej nieobecność jego żadnych podejrzeń nie obudziła. Służący, który mu obiad nosił, rad, że się dobrze pożywi, gdy panicz nie nadszedł do wieczora, nie oznajmił nic o tem, zawsze sądząc, że powróci. Dopiero pod noc, gdy przeciw zwyczajowi do późna go nie było — dał sługa znać matce.

Pani generałowa wzięła to na karb jakiejś rozpusty młodzieńczej, dla której skłonną była być do zbytku pobłażającą i postanowiła nic mężowi nie mówić do rana. Dopiero gdy około południa nazajutrz Oleś się nie pokazał, a ściślejszy przegląd jego mieszkania dowiódł, iż niektóre droższe pamiątki zabrał z sobą, pobiegła do męża z nowiną, że chłopiec chyba uciec musiał.

Natalia uczuła żal, ścisnęło się jej serce, płakała cały dzień. — Wyrzucała sobie zbyt surowe z dzieckiem obejście, które do rozpaczliwego kroku popchnąć mogło; ale — po czasie — czuła, że dla niej Oleś był stracony.

Trzeciego, czy czwartego dnia dopiero z paszportem służącej, na wiejskiej furce, przebrany za dziewczynę, chłopak wyjechał z Warszawy. W tej samej postaci dostał się do granicy i szczęśliwie przebywszy komorę — znalazł się na Śląsku, gdzie mógł nareszcie zrzucić z siebie suknie kobiece i odetchnąć swobodniej.

We Wrocławiu jeszcze nie był pewnym, dokąd mu się udać przyjdzie, zwykły wszakże ówczesny gościniec polski wiódł go do Francyi, na Drezno. Opiekun jakiś, nastręczony mu we Wrocławiu, opatrzył go w paszport austryacki, z którym jako Galicyanin, pod imieniem Izydora Hłaski, ruszył do Saksonii.— Już we Wrocławiu mówiono mu o wielkiej liczbie przebywających tu Polaków, głównie w Dreźnie i Lipsku. Spodziewał się więc od którego z nich zasięgnąć pewniejszych o ojcu wiadomości.

W smutny wieczór zimowy dyliżans, wiozący Olesia od Budziszyna, wtoczył się nareszcie przed pocztę drezdeńską. Zabrawszy swój tłumoczek i spytawszy, gdzie najłatwiej znajdzie pomieszczenie, dostał od kogoś wskazówkę do gospody pod Trębaczem. Poszedł więc tam, z człowiekiem niosącym rzeczy, i w istocie na drugiem piętrze znalazł zimny pokoik.

Noc na śnie twardym upłynęła. — Nazajutrz potrzeba było wyjść na miasto, zoryentować się, poszukać kogoś, rozpytać. Machinalnie pokierował się wprost przed siebie, idąc napowrót ku tej poczcie, w której był wysiadł, a potem uliczkami ku Zwingrowi. Nie wiedząc sam jak, dostał się tędy do placu i kościoła.

Na zapytanie u drzwi, powiedziano mu że kościół był katolicki...

Dzwoniono właśnie na mszę ranną w zakrystyi, gdy Oleś wszedł...

Pod wysokiemi sklepieniami szary mrok jakiś panował, mrok ponurych dni zimowych... Ksiądz szedł ze mszą do bocznego ołtarza. Wiedziony uczuciem jakiemś niewysłowionem, Oleś za nim się udał i nieopodal uklęknął. Przyszły mu na myśl szkolne lata, gdy do mszy posługiwał.

Chciał, rozczulony i przejęty, z dziękczynną modlitwą, za ocalenie swe cudowne, złożyć Bogu serce w ofierze. Ołtarz, ksiądz, ranna prymaryi godzina... przemawiały mu wspomnieniami do serca. Ukląkł.

Niedaleko od niego w siwym, grubym płaszczu, z osłonioną twarzą, modlił się klęcząc mężczyzna, którego tylko srebrzący się włos siwy po nad kołnierzem widać było. Przy podniesieniu ów modlący się padł cały na ziemię i jęknął.

Na głos ten Oleś się odwrócił, jakby ze snu przebudzony — obejrzał się.

W tej chwili od ziemi podniosła się właśnie twarz nieznajomego.

Oleś nie mógł powstrzymać okrzyku podziwienia.

To był — ojciec!

Wejrzenie Tadeusza padło także na syna, ale nie dowierzając cudowi — zdumione, przelękłe tem, co mu się jeszcze wydawało złudzeniem.

Nagle, wpatrzywszy się, jak klęczał, tak podpełznął na kolanach syn do ojca, ojciec do syna i przed tym ołtarzem padli sobie w objęcia, płacząc oba.

Oba razem, klęcząc przy sobie, dosłuchali na modlitwie gorącej, mszy świętej i po ostatniej ewangelii, błogosławieństwie — wyszli milczący, trzymając się za ręce...

Rzadkie są w życiu chwile tak błogie, w których człowiek, napawając się szczęściem, o wszystkiem w świecie zapomina. Taką chwilę dała dwóm tym ludziom Opatrzność.

Szli z sobą, ciągle milcząc jeszcze, aż do bramy Jerzego. Tu ojciec począł znów ściskać Olesia i wpatrywać się weń, szukając

na jego twarzy śladów przebytego losu, o który jeszcze pytać go nie śmiał.

Oba rozmowy począć nie mieli odwagi. — Nieobecna pomiędzy nimi, stała nieszczęśliwa kobieta, której imienia bez wzgardy i litości wspomnieć nie mogli —a poszanować w niej musieli godność żony i matki...

Drżąc, prowadził z sobą Tadeusz syna do mieszkania, urywanemi słowy pytając go tylko, skąd i jak przybył. Oleś odpowiedział mu krótko... Powiedział, że uwolnienie z Kaukazu winien był matce, nie zataił tego, ale nie wspominał nic o przyjęciu w Warszawie, ażeby ojcu zdawać się mogło, iż dziecko przyjęła macierzyńskim uściskiem.

Potem już mowy i wspomnienia o niej nie było. Jak grób obchodzą ludzie, aby nań nie stąpić, tak oni oba omijali Natalii imię.....

Cały ten dzień w izdebce Tadeusza przeszedł na czarownej rozmowie. Posłano po rzeczy do gospody, aby się więcej nie rozdzielali z sobą. Tadeuszowi przybyła pociecha wielka, ale i nie mniejsza troska. Syn jego szedł na to nieznane tułactwo, które on już znał, jako najcięższą próbę człowieka.

Zmierzchało już, gdy drzwi się otworzyły, zabrzmiała piosenka i wtoczył się pułkownik Henryk... Nie spostrzegł zrazu Olesia i już miał żołnierską rozpocząć rozmowę, gdy Tadeusz, podając mu rękę, zawołał:

— Patrz, bracie, jakiem mnie Bóg szczęściem obdarzył... patrz! to mój syn, mój syn, uwolniony cudem z Kaukazu, zbiegły cudem z Warszawy i dziś cudem odzyskany w kościele...

— Jakto, w kościele? jakim sposobem? co? — zapytał Henryk wśród mroku, napróżno usiłując się przypatrzeć twarzy młodzieńca.

Tadeusz w krótkich opowiedział słowach ranną przygodę...

— Ale, jak Boga kocham, jeśli nie fanfaronujecie, o co was nie śmiałbym posądzać, to istotnie cud! No — i to dobrze! przy tak widocznej łasce Boskiej, gdyście się powinni podzielić radością z ziomkami, siedzicie jak mnichy w celi.

To nie do zniesienia! Miałem być dziś albo w teatrze, albo u pani Szymanowskiej, ale ażeby historyę tego pana Aleksandra posłyszeć, zapraszam was na ponczyk do cukierni... Zróbcież mi

tę łaskę.... Albo nie, chodźmy razem do Bydłowskiego... tam się nasi schodzą... tam was uraczymy i posłuchamy...

Tadeusz już z kilku dni doświadczenia wiedział, że u Bydłowskiego srodze grywano, tego przykładu lekkomyślności i szału nie chciał synowi stawić przed oczy...

— Mój drogi pułkowniku — zawołał — jakkolwiek bardzo ci jestem wdzięczen, ale Oleś zmęczony, ja złamany szczęściem, kroku się dziś z domu nie ruszymy. Poncz, jeśli raczysz wypić szklankę z nami, znajdzie się i u Złotego Aniołа.

— We trzech? a fe! ale nie! — przerwał Henryk — jeśli mi odmawiacie, ja też odmówię, bo co ja tu będę robił z dwoma rozczulonymi do łez a tak bogobojnymi ludźmi... Kocham was, a znudziłbym się z wami na śmierć! Nie! — nie...

— Ale ponczu się napijesz? — spytał Tadeusz, idąc do dzwonka..

— No, tak, w krótkich abcugach... szklaneczkę — odparł pułkownik — dzień zimny, do Szymanowskiej kawał drogi... szklanka ponczu nigdy nie zawadzi...

Przyniesiono ową szklankę...

Pułkownik zapalił cygaro i zagadnął Olesia, ale ten skromnym był w słowach. Najwięcej zabawiło poczciwego żołnierza, gdy się dowiedział, że uciekać musiał w kobiecych sukniach.

— Ale to, jak Boga kocham — je vous donne ma parole (daję wam słowo honoru), doskonała historya, czysty romans...dopijam ponczu, niosę nowinę do pani Szymanowskiej i jutro wam pokoju nie dadzą... staniecie się bohaterami dnia! Założcie się, że otrzymacie pięć zaproszeń na obiad i drugie tyle na herbatę...

— Na miłość Bożą, pułkowniku, byłoby to najcięższą dla nas klęską...

— A to dziwactwo! my się wam kwasić nie damy! tak nie może być... z ludźmi żyć potrzeba. Tyś stary, ale Olesiowi się osamotnieć nie godzi... ja na to nie pozwolę...

To mówiąc, nałożył kapelusz na głowę, poszedł do zwierciadła, wąsy zakręcił do góry i pożegnawszy, wyniósł się z nowiną na miasto...

Ocaleni na ten raz zostali sami... Tadeusz i Oleś, i do północy gwarzyli.

Tadeusz, przebywszy czas jakiś w Dreznie, za innymi pragnął przenieść się także do Francyi, ciągnęli tam wszyscy chciwi czynu; rachował też na to, że w Paryżu będzie mógł przerwane i zwichnięte dopełnić wychowanie syna...

Jednego poranku, nie opowiadając się nawet współtowarzyszom, którzy napróżno do narad go ciągnęli, zapakował tłomoczki i cicho z Olesiem wymknął się z miasta, dążąc ku nowej ojczyznie...

Los chciał, by nasi podróżni po drodze do Strasburga spotkali nieopodal od tego miasta kolumnę polskich wychodźców, która przebywszy wśród okrzyków zapału całe Niemcy, upojona, dążyła także na owo stanowisko zbiorowe. Francya w pojęciu wszystkich, to były legiony...

Kilku ułanów poznało siwe wąsy ulubionego pułkownika, kilku akademików rzuciło się do Olesia, mimowolnie stanąć musieli i połączyć się z nimi, a jakże ich potem było porzucić? Tadeusz ze łzami w oczach powiedział sobie, że ich losy podzieli...

Spotkanie to, które oni wówczas szczęśliwem mienili, pod samym Strasburgiem ich wstrzymało.

Na płaszczyźnie w dali, zarysowała się olbrzymia strzała sławnego tumu...

Zdaje się, że tu oczekiwano już na oddział, o którym wcześnie zawiadomione były władze, bo przed bramą miejską czekała nań gwardya narodowa z muzyką...

Wszyscy wysiedli i poczęli się ściskać z nieznajomymi braćmi, panowie gwardziści wzięli pod ręce tułaczów i przy odgłosie muzyki, szli na główny rynek, gdzie rozdawano bilety...

Całe miasto wybiegło przed domy i do okien, rzucano kwiatami, witano chustkami, wyrywano sobie przybyłych, ciągnięto ich do gospód, w których najserdeczniejsze czekało ich przyjęcie.

Pod pozorem choroby, Tadeusz potrafił się wymknąć na cichszą kwaterę z synem... ale po tego wbiegli zaraz towarzysze i wyciągnęli go z sobą...

Nazajutrz miasto dało wielki bal w teatrze na korzyść Polaków, bilety płacono po 25 franków, a osób było parę tysięcy... Przepysznie oświetlona sala, jaśniała pięknemi twarzami i ubiorami... Ochota i wesołość gospodarzów kazała gościom zapomnieć o tem, że troskę wiedli za sobą.

Nie jeden z tych, co wyświeżony bawił się noc całą i błyszczał dowcipem, nie miał grosza w kieszeni, żadnego środka do życia na

przyszłość i żadnej nadziei pomocy z domu. A jednak... śmiano się w oczy groźnemu jutru, jakby wyzywając niedolę, która szła z osłonioną twarzą naprzeciw uśmiechniętych... Nie jeden później z tych tanecznikow wesołych... miał mrzeć samotny na poddaszu z tęsknoty i głodu.

Ale możnaż było wąpić o przyjaźni i opiece rządu, którego reprezentanci gospodarzyli na tym balu? Prefekt departamentu, generałowie dywizyi i brygady, urzędnicy wyżsi, oficerowie w paradnych mundurach...

Błahe te oznaki zwiększały nadzieje i złudzenia.

Polacy zaproszeni byli wszyscy, nalegano od początku, by tańcowali, oparł się temu pułkownik Oborski i wyjątkowo tylko ku końcowi puścili się niektórzy....

Po balu ciekawi oglądać poszli Strasburg... Jeden z nich — żołnierz, w prostocie ducha wdrapał się na wierzchołek, a spytany dlaczego piął się tak wysoko, odpowiedział smutnie:

— Myślałem, że ztamtąd Polskę zobaczę.

Przyjęcie takie, jak w Strasburgu, czekało ich niemal wszędzie po drodze. Polacy byli nowością, byli modą... kolumny ciągnęły do Besancon na Colmar... Tadeusz i Oleś powlekli się za niemi, aby przypatrzeć się zblizka losom towarzyszów, których tu zrazu do tysiąca osiemset się zebrało. Wybrali oni dla porządku między sobą władzę, na której czele stał pułkownik Oborski. Akademicy a dawni towarzysze powiązali się w kółka, rozpoczęło się oczekiwanie, nasłuchiwanie i owo życie bez celu, bez stałego kierunku... które musiało rozproszeniem się skończyć. Pomimo namów swych dawnych znajomych, Aleksander po kilku dniach pobytu, pojechał z ojcem do Paryża.

Tadeusz, choć ulegał może pewnym czasu owego i ogólnych usposobień wpływom, skutkiem poprzedzających życia doświadczeń, jaśniej widzieć się zdawał przyszłość niż towarzysze. Nie rozczarowywał on nikogo — mówił niewiele, synowi nawet nic odbierał nadziei, ale milczeniem a smutkiem dowodził, że dla niego przyszłość wcale się inaczej przedstawiała.

W Paryżu, który do dzisiejszego wcale nie był podobnym ani fizyognomią, ani duchem, tułacze stanęli za Sekwaną na jednej z małych uliczek, w gospodzie taniej i skromnej. Trzeba było rozpatrzeć się, postanowić coś, obmyśleć. Wprawdzie rząd obiecywał subsydya i pensye, tworzyły się komitety, mające się sta-

rać o fundusze, obiecywano sobie przyszłość spokojną — ale Tadeusz zwykł był rachować tylko na siebie i trzeźwo zapatrywać się na położenie. Z założonemi rękami czekać nędzy i być zmuszonym żebrać pomocy, oburzała się jego dusza.

Trzeciego dnia po obejrzeniu miasta, po wypoczynku, po zetknięciu się z ludźmi, którzy najlepiej oświadomieni być mogli tem, co się we Francyi działo, stary legionista zawołał na radę syna.

— Mój Olesiu — rzekł — jest twojego wieku cechą i przymiotem, że on wszystko widzi jasno, tak samo o porankowej dobie dnia pogodnego oblewa się świat żywemi blaskami; jam stary, złamany i w moim wieku widzi się wszystko szaro a ciemno. Nie miej ty mi tego za złe, jak ja ci za złe wziąć nie mogę uśmiechu... Wolę, dla wszelkiego bezpieczeństwa, przewidywać zło, ażeby mu zapobiedz.

Nie ma się co łudzić — Francya da nam śpiewać, pisać, radzić i nic dla nas nie zrobi... O legionach wątpię... lub jeśli będą, to znów legie do wysłania na jakie San Domingo.

Do kraju powrócić ja nie mogę, ty nie zechcesz, oba nie mamy po co!! niestety! Żebrać nie potrafimy... Zliczywszy obie kasy nasze, nie przeniosą one pięciuset dukatów... Jest to wiele w stosunku do tych, co nie mają nic i żyją z komitetów, a bardzo mało na dwóch ludzi, którym już nic więcej znikąd przyjść nie może.

Moją myślą jest szukać pracy, dla ciebie trzeba nauki. Ja obejdę się jak najmniejszem... Wszystko potrzeba poświęcić twojej przyszłości... powiedz mi, do czego masz ochotę, jakie obrałbyś powołanie? Co do mnie, ponieważ na siłach mi nie zbywa, a pracować obowiązkiem — ja sobie już stan obrałem... będę rzemieślnikiem...

— Jakim? — zapytał Oleś zdziwiony.

— Zgadnij — rzekł wesoło Tadeusz.

— Nie potrafię... — szepnął syn.

— Więc nie pamiętasz, co stało u mnie w Skale, tam, pod oknem mojego pokoju? — spytał Tadeusz.

— A! tokarnia!

— Tak jest, tak, mój drogi, dlaczegóżbym nie miał spożytkować mojej siły i zręczności, aby sobie na chleb zarobić?

Oleś zamilkł, smutno mu było, ale się nie śmiał sprzeciwiać.

— Wejdę jeszcze na naukę do tokarza — rzekł legionista — a potem założę warsztat na swoją rękę... Drudzy z tego żyją.

— A więc, kiedy tak, to i ja — odparł Oleś — już się na coś zdecydowałem. Może się porwę nad siły... ale mi się zdaje, że medycyna odpowiedziałaby i mojej miłości dla natury, której tajemnice bliżej poznaćbym pragnął, i potrzebie wyżywienia się pracą. W najgorszym razie z medycyną mogę choćby do Ameryki jechać, a z głodu nie umrę...

— Tak — zawołał Tadeusz — nic nie mam przeciwko niej, ale przestrzegam, że nauka ta więcej nad inne do przezwyciężenia przedstawia trudności... Oswoić się trzeba z tem, co dla nas obrzydliwem było... uczuciu kazać milczeć... a ...

Szli tak, rozmawiając, gdy naprzeciw nich ukazał się słuszny, wojskowo wyglądający mężczyzna, który, Tadeusza postrzegłszy wykrzyknął.

— I wy tutaj! oddawna?...

— Od kilkunastu dni, panie generale.

Nadchodzący był generałem w istocie i jednym z tych, co się najwięcej śmiałością i szczęściem odznaczali.

— Jakto? a nigdzie was nie widać.

— Gdzieżbyśmy być mieli? — zapytał Tadeusz.

— Przecież gdziekolwiekbądź, między swojemi — przerwał generał — kupą się trzymać należy, nie odłączać... bo rozproszeni zginiemy.

— Co z sobą myślicie?

— A! — odparł, śmiejąc się Tadeusz i wskazując na syna — schwyciłeś nas generale na uczynku... oto w tej właśnie chwili syn mój obrał sobie za powołanie medycynę, a ja postanowiłem rzucić się do rzemiosła...

Jenerał spojrzał na nich zdziwiony tak, że przez chwilę odezwać się nie mógł..

— Jakto? — zawołał — nie rozumiem... Po cóż to wszystko! Jesteśmy żołnierze, szabla nam tylko przystoi... Pójdziemy do Belgii, za morza bodajby.. Ja tylko to jedno rozumiem powołanie.

Tadeusz podniósł głowę.

— Służby podobnej próbowałem — rzekł.

Na twarzy generała uśmiech jakiś przebiegł, w którym było niby politowanie... i pobłażliwe zdziwienie.

— Ha! — odezwał się — zrobicie, co się wam podoba...

Przeszli tak chwilę z sobą. Generał chłodno podał rękę Tadeu-

szowi i wyprostowany, sztywny poszedł na narady do księcia Adama...

Dwaj tułacze pociągnęli na swą uliczkę, zatopieni w myślach.

— Olesiu mój — szepnął ojciec ściskając syna, gdy weszli do domu — wierzaj mi, łudzić się darmo... trzeba się wziąć do pracy.

KSIĘGA XVII.

Na paryskim bruku.

Dwa lata upłynęły od czasu, gdy przewidujący przyszłość legionista przeczuł chwilę, kiedy zabraknie onego entuzyazmu, a nadejść mogą chwilę jawnej niechęci.

Przeczucia te aż nadto się sprawdziły nieszczęśliwa wyprawa Zaliwskiego, naleganie rządów, wreszcie znużenie, któremu łatwe ulega naród francuski, gorączkujący się skoro, ale też wyziębiający zbyt prędko —sprowadziły zupełną prawie zmianę stosunków emigracyi we Francyi.

Wiele się marzeń rozwiało, wiele nadziei poszło na dno, coraz straszliwsza rzeczywistość nagie zaczęła pokazywać oblicze. Rząd francuski skąpą i niechętną dłonią dawał jeszcze subsydya, wyglądające na jałmużnę, ale drogo je środkami surowemi opłacać kazał.

Wychodźcy, internowani jak zbrodniarze, ruszyć się już nie mogli z miejsc im wyznaczonych; każdy, który samowolnie przystąpił granicę, tracił do powrotu prawo i nadzieję pomocy...

Ci, którym wyniesione z kraju zasoby starczyły jeszcze, żyli po dawnemu, ci, co otrzymywali przekradane zasiłki, o nich ciągnęli do godziny spodziewanej, inni o szczupłej pensyjce schodzili na żebraków głodnych... niewielu pracą i zabiegliwością potrafiło sobie niepodległość zabezpieczyć.

Zwolna ta społeczność polska wychodźcza, tak jedna i cała, rozpadała się nie już na stronnictwa polityczne i nieprzyjazne obozy, ale na najróżniejsze stany i transfiguracye losu.

Jedni wcielali się do rodzin francuskich... wcale wykształceniem i pojęciami ich przeszłości nieodpowiednich, drudzy płynęli do innego świata, kędy ich nie lepsze losy czekały, innych osamotnie-

nie w kącie zapadłym odrywało od swoich na wieki... tamtych za bijała tęsknica, tych kule w wyprawach awanturniczych.

Książę Ogiński zakładał introligatornię w Paryżu... drugi stawał się mistrzem tańca, trzeci ogrodnikiem... nie licząc tych, którzy na poddaszach o chlebie i wodzie politykowali do upadłego

Pobożnych schwyciły bractwa i stowarzyszenia, liberalnych pochłonęły spiski kosmopolityczne.

Któż te niedole policzy? kto całą rozmaitość losów obejmie?... kto wszystkie odcienia tego życia odmalować potrafi?...

Tragedya, dramat, wszystko, aż do farsy, odbija się na licu schorzałem.

W boleściach powoli reszta złudzeń się rozpryskiwała.... wychodźtwo czuło potrzebę zjednoczenia, organizacyi, władzy a formy ich przez wszystkich uznanej, znaleźć nie umiało i nie mogło.

Wśród tych walk, na których ogół ciągle tracił, nic nie zyskując nigdy — Tadeusz, co mu za złe miano, jeden z pierwszych odłączył się od napróżnej a czczej słowa szermierki — poszedł w cichości pracować... Wielekroć spotykali go dawni znajomi z wyrzutami, odpowiadał im chłodno—że do polityki nie czuł powołania i że do próżnych narad należeć nie chce. Osadzono go chłodnym, ale gdy szyderstwa i groźby nie pomagały — dano mu pokój.

Starzy znajomi z niego świata albo już w nim nie poznawali dawnego towarzysza lub udawali, że go nie widzą. Ubóstwo też odstręczało, obawiali się możniejsi, ażeby zapomogi nie potrzebował...

Tadeusz uśmiechał się z tej trwogi, którą na twarzach ich czytał... i milczący dalej szedł swą drogą.

Razem z synem na przedmieściu św. Antoniego mieli na czwartem piętrze najęte dwie izdebki.

W jednej z nich uczył się Oleś, otoczony książkami, kośćmi i preparatami anatomicznemi, w drugiej ojciec toczył od rana do wieczora dla tych, którzy mu robotę do domu dawali. Zarobek był bardzo mały, chociaż bardzo misternie nauczył się wyrabiać najtrudniejsze i najdelikatniejsze ozdobne sprzęty... Do wielu jeszcze bardziej skomplikowanych brakło kosztownego warsztatu i narzędzi... Nie zrażał się wszakże stary żołnierz i pracował milczą-

cy. Myśl jego od warsztatu biegła w sfery inne, a praca rąk nie przeszkadzała dusznej...

Naprzeciwko, na ścianie, wisiał na drewnianym krzyżu wizerunek Zbawiciela, w koronie cierniowej, ze zwisłą na ramię głową... W niego wpatrywał się, by siły zaczerpnąć, legionista... a czasem, gdy mu się niewypowiedzianym bólem ścisnęło serce, szedł poklęknąć i pomodlić się... ktoby go był tak widział, wśród dnia, od rzuconych narzędzi pracy, odbiegającego nagle do stóp tego wizerunku wielkiej ofiary, byłby sam może łzę uronił nad tą niedolą milczącą, pokorną.

Całą pociechą by o dlań, gdy po dniu trudu doczekał się na schodach znanego odgłosu chodu ukochanego dziecięcia, gdy je w progu witając, pochwycił dłonią spracowaną za głowę, by na czole złożyć pocałunek — gdy potem siadł w poufnej rozmowie dopytywać o szczegóły dnia, o lekcye, o trudności, o najmniejszy krok Olesia, nad którym czuwał z macierzyńską troską.

W izdebce był piecyk, który im służył zą kuchenkę. Tadeusz w życiu swem nigdy wprzódy nie umiejący pomyśleć o potrawie i jadle, najczęściej sam gotował sobie i Olesiowi, ażeby mu oszczędzić czasu. Żona odźwiernego niekiedy im z miłosierdzia pomagała natrętnie...

Tadeusz nieraz też głodził się potajemnie, ażeby oszczędzonym groszem dziecku dać pokarm obfitszy i ponętniejszy. Kłamał pobożnie, iż jadł wprzódy, ażeby dla Olesia dać więcej i lepiej. W godzinie wieczornej dopiero, gdyż we dnie Oleś się także obchodził bułką suchą i szklanką mleka — zasiadali razem do skromnego obiadu. Najczęściej Tadeusz zapewniał, że już jadł wprzódy... i karmił tylko zgłodniałe dziecko. — Starszy wiek mniej potrzebuje, obchodzi się małem.

Uczty to były pytagoryjskie, spartańskie raczej, do których po dostatnim polskim chlebie nawyknąć było trudno. Kawałek mięsa, trochę zielonej sałaty, chleb i atramentowego smaku wina szklanka składały najczęściej ubogie ich jedzenie. Tadeusz sam gotował trochę kawy... chleb zadławiał resztę głodu. I tak się żyło z dnia na dzień.

Ci z wychodźców, dla których stół wykwintny był prawie życia warunkiem, dworować musieli możnym, aby się ich okruchami pożywić.

Ale powolnie zbliżył się koniec lat nauki i Oleś mógł się *spo-*

dziewać, że ze stopniem lekarza, zaświeci lepsza przyszłość. Szczęściem dlań, zagrzany miłością ojca umysł jego, rozwinął się bardzo świetnie — zdolności okazały niepospolite, a że chęć pracy była niezmierna, uczeń ten musiał zwrócić i nauczycieli baczność i współtowarzyszów zjednać szacunek... Prorokowano mu, że jeden z najsłynniejszych w Paryżu operatorów weźmie go za pomocnika. Dorównywało to zapewnieniu najpiękniejszej przyszłości.

Tak stały rzeczy w ubogim kątku naszych dwu tułaczów, gdy — mimo najgorętszych modliw, zupełnego oddania się na wolę Bożą — pracy nad sobą i walki z sercem, Tadeusz coraz bardziej opanowywany tęsknicą za krajem niezmożoną, nieuleczoną, nieprzezwyciężoną — zapadł w rodzaj choroby wycieńczającej i groźnej. Oka syna ujść ona nie mogła, ale nawet Oleś nie mógł nigdy być pewien ani przyczyny, ani natury słabości. Tadeusz był zamknięty w sobie i skarga nigdy z ust jego się nie wyrwała.

Bronił się wezbranemu uczuciu, ażeby synowi nie dodawać nadaremnego bólu...

Ale w chwilach, gdy dziecka przy nim nie było, gdy sam jeden, zamknięty, wśród ciszy... wydanym był na łup własnych myśli — choroba, gorączka, tęsknota, brały górę i zmuszały go do krwawego z sobą boju... Nieraz musiał porzucić warsztat, bo mu się w oczach łzami zachodzących ćmiło, bo ręce zimnym potem okryte drżały, bo w piersi brakło tchu... i czoło stygło jak lód po wierzchu, gdy wewnątrz czuł pod niem gorejące płomienie. Naówczas młodość, matka, Skała... ze swym dworem, cmentarz, na którym pogrzebał ostatniego druha i najlepszą z matek — ogród, drzewa, ścieżyny, woń tamtejszego powietrza, dźwięk wsi polskiej,... twarze upiorów jakichś nieznane a swoje... otaczały go widmami i wołać się zdawały: — wróć tam umierać!

Jakaś siła niepojęta, straszna, gwałtowna jak śmierć, pociągająca jak przepaść, chwytała go i rwała ku swej ziemi... Obawiał się pomieszania... nie był panem siebie. Godziny upływały w jakiejś gorączce wspomnień z sercem bijącem, jakby się ona siłą woli uprzytomnić i odrodzić mogła... siedział z założonemi rękami, odśniwał przeżyte godziny... i płakał...

Złamany tą chorobliwą tęsknicą, naprożno klękał na modlitwę...

W modlitwie tętnił dzwonek polskiego kościołka... głos naszych wiejskich organów, woń zieleni więdniejących u ołtarzy... Naprożno błagał Boga o oddalenie tej pokusy... na chwilę przemożona, po-

wracała na jawie, wracała we łzach... stawała u warsztatu... nie opuszczała go nigdy. Wzrost tego cierpienia, mimo staczanej z niej walki, codzień był widoczniejszym, zamiast słabnąć, wzmagało się ono codziennie.

Oleś widział tylko ślady jego na licu, o stanie ducha, starannie tajonym, nie wiedział...

Z każdym dniem wszakże było coraz gorzej a gorzej...

Jednego poranka, rad, że zmuszonym był wynijść, gdyż hałas uliczny rozbijał te myśli natłoki, Tadeusz, z robotą wykonaną pod pachą, wybrał się do składu, z którego miewał dawane sobie roboty.

Była to wiosna właśnie i dzień, jak na kwietniowy, do zbytku ciepły a piękny; niebo po nad Paryżem roztaczało się w błękitach niemal włoskich... białe chmurki toczyły się po nim wesoło... Ruch w mieście był ogromny i miał tę cechę paryską ochoczą a raźną, jaką mało ma miast europejskich... Wyszedłszy z ciasnych uliczek przedmieścia, zmuszony przebierać się do wytworniejszej części miasta, Tadeusz dostał się wreszcie aż do placu Vendome i napoleońskiej kolumny.

— Mais c'est impossible (ależ to niemożliwe)!

Dodać należy, iż Tadeusz miał na sobie niebieską bluzę robotnika, ubiór ubogi i czapkę starą...

Ten wykrzyknik zmusił go zwrócić oczy... przed nim stał, od Drezna niewidziany, pułkownik Henryk.

Mniej był on zmieniony wprawdzie, ale i na nim tych lat para odcisnęła się bardzo wyraźnie. Na pozór był to jeszcze ten sam człowiek, dbały o swój ubiór i wąsy, o postawę, o powierzchowność. ale zblizka wpatrzywszy się, znać było po wytartych sukniach, wątpliwego kształtu butach, bieliźnie starannie ukrywanej, nawet twarzy zżółkiej i oczach zapadłych, że wiele marzeń i rzeczywistości od raźnego dawniej emigranta, daleko gdzieś odlecieć musiały...

Pozostał cień świetnego pułkownika, ale wyblakły i stary...

Tadeusz, poznawszy go, zawahał się, czy ze swą bluzą do tak jeszcze wytwornie wyglądającego pana zbliżyć mu się będzie godziło. Pułkownik tymczasem oczy otwierał i usta coraz szerzej, powtarzając:

— Impossible (niemożliwe)... Ale, do stu katów — albo Tadeusz... albo... — Ja sam, ja, mój stary sąsiedzie, nie mylisz się...

— Cóż to jest? w bluzie? przystałeś do demokracyi? czy to

jest habit zakonu nowego? po co? na co?jak? czy nie masz ani z domu nic, ani pensyi z subsydyów? Jakże to może być? Ty! w bluzie... przecież... przyjaciele, książę Adam... komitet...

Wyrazy te wymówił Henryk pospiesznie, z przestrachem prawie, tak, że Tadeusz uśmiechnąć się musiał.

— A! rzekł powoli — co się tam dziwicie. Na niczyjej łasce być nie chciałem, prócz na mej własnej... i... ale jakże się wy macie?

— Ja? ja? zapytał Henryk — jak widzisz... wybieram się w służbę cudzoziemską, nie mogąc doczekać nic dla nas... a tymczasem pracujemy...

— Pracujecie?

— Tak jest! tak jest! wy bo widzę obcy wszystkiemu... Jakże, nie wiecie nic? nie mieszacie się do niczego? Nie należycie do żadnego towarzystwa? Jakież są twoje opinie... czy jesteś z Księciem, przeciw Księcia? Lelewelista, czy Czartoryszczyk?... Mów!

— Usunąłem się od czczych paplanin, których nie lubię...

Henryk ramionami ruszył.

— Ale to znów śmieszna rzecz... żeby nawet nie wiedzieć co się ze swymi dzieje? Przecież my pracujemy i po gabinetach, i po dworach, i na wszelkich drogach...

— Daj mi pokój, pułkowniku — odparł Tadeusz — nie będę wierzył w nic.

— Cóż to niesiesz pod ręką? — zapytał Henryk.

— Moją robotę... tokarską.

— Jak to? rzemiosłem się zajmujesz?

— Jak widzisz...

— Nie masz pensyi?

— Nie starałem się o nią, są potrzebniejsi.

Henryk ruszył ramionami.

— Już to prawda — szepnął — że Francya ze straszną meskinetyą postępuje sobie z nami. Targują się w izbach o mizerne 300,000 fr. i grożą nam, że subsydya dawać przestaną. Cóż dla Francyi znaczy nędzne półtora miliona? Ja, proszę cię... naprzykład, ja... ja... wiesz, co mi oni dają?

Ruszył ramionami z pogardą.

— Gdyby nie to, że się człowiek w ciągu tygodnia to tu, to tam pożywi, zaprosi na obiad, podje... liźnie, powiadam ci, przyszłoby przestać na frankowych obiadach, które są trucizną...

A tobież jak się dzieje? hę?

— No — tak — ubogo, ale ja niewiele potrzebuję — rzekł Tadeusz...

— Toś szczęśliwy! — zawołał, śmiejąc się Henryk — bo oto ja, naprzykład, jeśli mnie hrabina M... nie zaprosi na obiad, dalipan jestem bez pięciofrankówki w kieszeni! Czy... nie miałbyś tam zbywającej?

— Niestety! — nic — odparł Tadeusz, idę dopiero po moją szczupłą należność, a mieszkanie zapłacić trzeba.

Rozstali się milczący... — Henryk poszedł do hrabiny M... w nadziei, że jego dobry humor wyjedna mu na obiad zaproszenie... Tadeusz do swojego przedsiębiorcy... mającego skład mebli i sprzętów wytwornych i znaczną pracownię stolarską...

Twarz jego, na chwilę poczerwieniała wzruszeniem, okryła się znów bladością, oko przygasło... spuścił głowę i przybrawszy pozór obojętny, jako prosty robotnik wszedł do magazynu.

Składy i warsztaty zajmowały wielką przestrzeń, jeszcze naówczas nie tak przedrożałych, jak dziś, gruntów Paryża; od ulicy znajdował się wspaniały sklep, którego okna ozdobne wychodziły na ulicę de la Paix.

Tadeusz i jako człowiek i jako artystycznem uczuciem obdarzony robotnik, wysoko był szacowany przez naczelnika warsztatów i magazynu, p. Vervier, republikanina zagorzałego, demokratę.

Vervier czcił w nim spartańską cnotę i ile razy Tadeusz przyszedł doń, zatrzymywał go, rozmawiał, okazując mu serdeczne współczucie. Umiał też w sposób nieznaczny, nie dając tego poznać po sobie, przyjść mu w pomoc i dobrać robotę, która się najlepiej opłacić mogła. I tym razem, jakkolwiek zajęty, rzucił pióro zobaczywszy pułkownika, kochanego colonel Thadde, (pułkownika Tadeusza) witając go serdecznym obu dłoni uściskiem...

A że znalazł go pochmurniejszym niż zwykle, starał się być weselszym jeszcze, aby tę troskę spędzić z jego czoła. Przypisywał on ją trudnemu położeniu i pomyślał zaraz w poczciwem sercu swojem o nastręczeniu roboty, którąby mu była korzystną.

Gdy Tadeusz rozwijał z zielonego płótna co przyniósł z sobą, Vervier zawołał wesoło:

— To są małe arcydzieła, kochany pułkowniku! tak dziś nikt

nie robi z tych, co dla chleba pracują... Mnie was żal.. bo to się doprawdy naszą taryfą nie opłaca. Gdy nad takiemi rzeczami pracuje bezmyślna ręka wyrobnika... a! to jeszcze, ale wy to wykonywacie z miłością, wlewając ducha w rzecz najmniejszą. Łamię głowę, aby wam wynaleźć stosowną robotę i coby się jako tako wywdzięczyła... Otóż nadarza się bardzo szczęśliwa okoliczność... Przywieziono z Chin, czy z Indyi, przecudowne szachy z kości słoniowej... Cenione są kilka tysięcy franków... chcę je pokazać wam... a jeśli coś w tym rodzaju wykonacie, coby nie było kopią, ale artystycznem naśladowaniem, mój pryncypał zapłaci... bardzo wysoką cenę. Idzie o to, by pokazać, że ręka inteligentna Europejczyka może iść w zawody z niewolniczem dłutem półbarbarzyńcy, którego geniuszem jest cierpliwość.

To mówiąc, ujął Tadeusz za rękę.

— Chodźmy, kochany pułkowniku, do magazynu... szachy tam stoją, przypatrzysz się im... i powiesz mi, co o nich myślisz...

Tadeusz, choć czem innem w tej chwili zajęty, pomruczał tylko i dał się prowadzić. Drzwiczki z biura wywiodły ich do ogromnego składu, a ztąd weszli do magazynu, ułożonego tak, jak tylko Francuzi na pokaz, dla znęcenia oczów, ustawiać umieją.

Tadeusz z podziwieniem ujrzał tam nie jedną pracę rąk swoich, tak misternie zużytkowaną i wystrojoną, że ją ledwie mógł poznać.

Cudowne owe szachy, które może lat kilka pracy kosztowały tego, co je wydłubał z kości i hebanu, stały w oknie. Trzeba więc przejść bocznemi drożynami magazyn cały, aby, nie zawadzając gościom, których było pełno o tej godzinie — dostać się do okna...

Tadeusz usłyszał za sobą szelest kobiecych sukni jedwabnych i pieszczone głosy szczęśliwych starych dzieci, przychodzących tu po zabawki... potem papuzie szczebiotanie komisantów magazynowych, umiejących doskonale zalecać towar i zapalić doń przychodniów, ale cała jego uwaga była zwróconą na parę figurek szachów, które w tej chwili z pod okna dobył Vervier.

Było to w istocie nieco dziwaczne arcydzieło cierpliwości i wykonania raczej niż pomysłu... Jeszcze królowę trzymał w ręku, gdy szelest sukni kobiecej, zbliżył się ku niemu jakiś niepojęty prąd elektryczny przebiegł po nim, oczy mimowolnie podniosły się... i — osłupiał.

Przed nim stała kobieta nie pierwszej młodości, niezmiernie wytwornie stroina, jeszcze dość piękna, z twarzą zimną, marmurową.

którą w tej chwili marmurowa też oblała bladość, oczy jej jakby w obłąkaniu stężały, wzrok bezmyślny ściął się szklisto... i gdyby ją stojący obok słusznego wzrostu, barczysty męczyzna nie podtrzymał, możeby była upadła.

W ręku Tadeusza kosztowna figurka zadrżała, Vervier, który ten niemy dramat odgadnął, podchwycił ją co żywo, aby na ziemię się nie potoczyła... Chwila grobowego milczenia panowała, Tadeusz drżącą ręką powiódł po czole kroplami potu okrytem i z zatamowanym tchem, blady, popychał zwolna Verviera, aby mógł wyjść.

Ale gdy nie mówiąc słowa, miał ustąpić — osłupiała owa niewiasta wyciągnęła ręce i chwyciła go za bluzę...

— Tadeuszu! — zawołała nagle — na miłość Boga! mój syn — gdzie jest mój syn?...

Mężczyzna nieznany, towarzyszący kobiecie, pobladł z kolei, słysząc te wyrazy... i zawołał cicho po francusku:

— Au nom du ciel... Nathalie? vous nous mettez en spectacle... (W imię niebios... Natalio! robisz z nas widowisko...)

Kobieta, nie zważając na to — trzymała konwulsyjnie pochwycony rękaw bluzy i powtarzała głosem, w którym przebijało się jakby tłumione łkanie:

— Mój syn... mój syn!

Walczył z sobą widocznie Tadeusz, nim się zebrał na odpowiedź.

— Pani nie masz syna... syn należy do ojca... nie masz syna...

Usłyszawszy te wyrazy, kobieta oczy sobie zakryła ręką, puściła bluzę i padła w objęcia stojącego przy niej mężczyzny... Ten oczyma gniewnemi dawał znaki Tadeuszowi, aby co prędzej odszedł... W istocie, o ile mu siły dozwoliły, szybko dosyć, chociaż chwiejąc się na nogach, pułkownik wraz z p. Vervier, który mu towarzyszył, odszedł spiesznie boczną drogą, zakryty ustawionemi tu sprzętami.

Scena ta, jakkolwiek krótka, nadto była wyrazistą, ażeby przytomnych, ciekawych, jak zwykle bywają Francuzi, nie zwróciła oczów i uwagi. Wszyscy się skupili dokoła pięknej pani... cisnąc, szepcząc, dopytując, co się stało...

Robotnik w bluzie niebieskiej, stary, siwy, zmędzniały, w jakim mógł być stosunku z tą kobietą, której strój, postać, rysy, znamionowały osobę należącą do zupełnie innego świata?

Z półomdlenia, w jakie ją wprawiła odpowiedź nieznajomego... powoli, z pomocą trzeźwiących soli wyszła wielka pani, powiodła

okiem po sali, jakby szukając kogoś, łzy się jej rzuciły, zaczęła szlochać, mąż podał natarczywie rękę i prawie gwałtem opierającą się wyprowadził z magazynu...

Pytania... spojrzenia... opowiadania faktu, komentarze sypnęły się za odchodzącymi, których najęta kareta, szybko od sklepu uwiozła.

Vervier, wziąwszy pod rękę Tadeusza, już zupełnie oprzytomniałego po doznanem wzruszeniu, poprowadził go napowrót do biura...

Była to godzina śniadania, które czekało go w entresoli... Vervier, zaciekawiony, widząc, że Tadeusz musiał siąść i ocierał pot z czoła, a łzy z oczów, rzekł, wyciągając doń rękę:

— Kochany pułkowniku — proszę cię, trzy schodki, już jesteśmy u mnie... wypijesz szklankę wina, to cię orzeźwi... proszę... nie chcesz być badanym, daję ci słowo, nie zapytam o nic... Chodź...

Tadeusz nie mógł odpowiedzieć.

Poszli razem milczący...

W pokoiku Verviera stało dosyć skromne śniadanko na małym stoliku, butelka dobrego bordo była pod ręką. Francuz, który wierzył w siłę życiodawczą wina, jakby był Noego potomkiem — nalał coprędzej kieliszek i podał Tadeuszowi, a ten go, nie myśląc, wychylił.

— Gdybym był mógł przewidzieć to jakieś nieprzyjemne spotkanie — zawołał Vervier — nigdybym was nie poprowadził do magazynu. Ale trzeba też było trafu prawdziwie cudownego, żebyśmy weszli w chwili, właśnie w tej chwili...

Czy ona mieszka w Paryżu? — zapytał Francuz.

Tadeusz oczy podniósł, jakby nie rozumiał... i potrząsł głową...

— Historya jakaś tragiczna... nie rozumiałem rozmowy... ale ton jej. Wszak zemdlała? A wy...

Pułkownik jeszcze mówić nie mógł, ale widząc, że oczy Francuza gorzały ciekawością, ozwał się głosem jakby schrypłym.

— Ani słowa... ta kobieta była żoną moją i jest matką mojego syna... Ani słowa!

Podał rękę Vervier'owi zdziwionemu i wyszedł.

Wróciwszy do domu, przez cały dzień oczekiwał z gorączkowym niepokojem na syna Tadeusz.

Zapomniał nawet o codziennej kuchni i zmuszony był prosić żony dźwiernego, aby się nią zajęła, nie był dziś w możności cokol-

wiek począć... myśl uciekła gdzieindziej, w sercu wrzało. — Obawiał się, ażeby ten los, co czasem najdziwaczniejszemi zabawia się psotami, nie nastręczył tak samo Olesia matce, jak jego rzucił szydersko na jej spotkanie...

Uspokajało go to jedynie, że pracowity chłopak cały dzień spędzał w okolicy szkoły medycznej, około której ani cudzoziemcy, ani świat elegancki się nie kręci. Gdy się zbliżała godzina jego powrotu, wyglądał przez okna, nadsłuchiwał, otwierając drzwi na schodach, kroku ukochanego dziecięcia... Oleś właśnie się tego dnia przypóźniać zdawał... Tadeusz patrzał niespokojny na godzinę i wzdychał.

Nareszcie znany bieg dał się słyszeć na schodach — drzwi się otwarły i Oleś wbiegł z książkami pod pachą. Ojciec czekał przy progu i z wybuchem czułości niezwykłym, pochwycił go objęcia...

— Co ci jest, ojcze? — spytał poruszony Oleś

— Nic mi, jestem szczęśliwy, że cię mam.

— Jesteś tak wzruszony! czy co niepomyślnego... czy co nowego?

— Nic, nic — odparł Tadeusz — siadaj, spoczywaj, nie pytaj... Dawne wspomnienia przepełniły mi piersi — czułem się smutny, potrzebowałem spojrzeć na ciebie...

Oleś się uśmiechnął, był tego dnia wesół, coś mu się w szkole powiodło, promieniał młodością i nadzieją, blask ten i to życie padło na osmutniałego ojca i odbiło się na nim.

Lękając się, aby Oleś nie domyślił się z jego wzruszenia, co się działo w duszy, Tadeusz zakrzątnął się około obiadu, który nastawiła żona odźwiernego. Ale tego dnia, mimo ręki kobiecej wszystko było popsute, dla braku dozoru, jedno się spaliło, drugie niedogotowało — i obiad okazał się szkaradny. Ojciec się zań wstydził, ale skorzystawszy z chwili, gdy Oleś sądził, iż się przy piecu uwija, zszedł pocichu na dół, do handlu wiktuałów i tam niezwyczajnemi wcale przykupami postarał się nagrodzić niedostateczność dzisiejszego stołu. Obiad okazał się teraz nadto wspaniałym... a tłumaczeniem całej przygody były okazane pieniądze, które Vervier za robotę miał czas jakoś mu wcisnąć.

Siedzieli jeszcze u tego stołu, gdy do drzwi zapukano... Było to coś tak niezwyczajnego, iż Tadeusz, któremu na myśl przyszło niebezpieczeństwo, porwał się pierwszy, aby syna do drzwi uprzedzić.

We drzwiach stał komisyoner z blachą na piersiach i trzymał list w ręku... Pułkownik spojrzał na adres i poznał pismo Vervier'a.. Uspokojony nieco, podszedł do okna...

Vervier donosił mu w kilku słowach, iż pani ta, którą spotkał zrana w magazynie, wróciła, usilnie domagając się, aby jej wskazano adres robotnika. Domyślał się on, iż Tadeuszowi może to być nie na rękę i troskliwie zapytywał go, co ma począć. Dodawał od siebie radę, iż lepiej było może załatwić tę sprawę prędzej i dogodniej, niż czekać na miejscu, aż adres wyszuka policya, co niechybnie nastąpić musi.

Po zmarszczonych brwiach poznał Oleś, że ojciec nieobojętnie czytał pismo... Drżało ono w jego rękach... komisyoner czekał u drzwi... Tadeusz nalał mu wina szklankę, podał krzesło, aby odpoczął i prosił, żeby mu dał czas odpisać. Potrzebował się namyśleć.. Chwilami przychodziło mu do głowy uciekać z synem... ale naówczas już, kto z wychodźtwa raz, bez zezwolenia, zmienił miejsce pobytu lub przeszedł granicę, wzbroniony miał powrót. Szło mu o spokojne dokończenie nauki Olesia... Po długim namyśle, siadł i napisał do Vervier'a. — "Kochany Panie — uciec nie mogę, skryć się niepodobna... jeżeli nalegać będą, powiedzcie, że mogę się widzieć z niemi, gdzie zechcą... ale nie u mnie. Widzenia i rozmowy nie unikam, mojego spokoju domowego na zakłócenie narażać nie myślę."

Napisawszy kartkę, miał ją zapieczętować i oddać, ale pomyślał jeszcze, podarł ją i odpowiedział tylko w tych słowach:

— "Jutro będę sam — dajcie mi czas do namysłu."

Z tem odszedł posłaniec. — Oleś, jakkolwiek nawykły był do tego, że ojciec dlań żadnych nie miał tajemnic, tak go znał dobrze, iż dziś ze wzruszenia, z tego listu, z twarzy, z mowy, posądził go o ukrywanie jakiegoś wypadku, którego natury odgadnąć nie umiał. Pytać ani śmiał, ani mógł — czekał.

Pułkownik chodził wielkiemi krokami do pokoju... serce mu biło, namyślał się. — Pod cichem tem poddaszem wkrótce nieunikniony miał się odegrać dramat rodzinny. Oleś nie był dziecięciem, potrzeba było, należało, do przyszłych walk z losem, wprawiając go — hartując do życia, wystawić na próbę. Żal było tego serca, które ścisnąć się i cierpieć musiało — ale bólu niepodobna mu było oszczędzić.

Oleś przerzucał karty fizyologii, a z pod oka badał ojca, gdy

stary żołnierz stanął przed nim, sparł się na stole oburącz, westchnął i począł głosem drżącym:

— Mam ci coś powiedzieć — zbierz i odwagę i miłość twą dla mnie... narażeni jesteśmy obadwa na próbę... nie chcę nic począć bez ciebie. Jesteś mężczyzną... miej męztwo...

Aleksander zerwał się z siedzenia zbladły.

— Kochany ojcze — zawołał — znasz mnie, nie różnimy się w przekonaniach... ani w uczuciach... cokolwiek się stanie, stało... co chcesz, by się spełniło, jam ci posłuszny, nie, żebym wolę moją do twej łamać potrzebował... ale że moja jest twoją...

Ojciec przycisnął go do piersi.

— Olesiu — rzekł — przypadek zrządził, żem dziś, rano — spotkał tu... matkę twoją... Ona się odemnie domaga dziecięcia swojego... Masz do wyboru... pójść za nią, w dostatek i spokój ciała... lub ze mną na pracę, nędzę i troskę... Wybieraj...

— Ale ja wybrałem już raz! — przerwał Oleś z wybuchem — ja nie potrzebuję wybierać na nowo — jam twój.

— W tej kobiecie — w twej matce, ozwał się głos sumienia — ona cię kocha — chce widzieć — chce...

Głosu mu nie stało, upadł na krzesło...

— Ojcze mój — rzekł, chwytając jego ręce Oleś i całując je z zapałem — syn, nie mogę odepchnąć matki. Ty to czujesz... Uspokój się, ojcze — dodał — zaklinam cię, powiedz mi, gdzie jej mam szukać, aby ci bolesnego oszczędzić widoku — pójdę i wszystko się skończy...

Tadeusz wzdrygnął się — ścisnął syna i milczał...

— Tak — rzekł — uciekać nie powinniśmy, jesteśmy czyści i w swojem prawie. Nikt mnie od syna odsądzić nie może... Razem pójdziemy do niej... śmiało, zimno... bez gniewu, jak na biednych a prawych ludzi przystało... Ponieważ Bóg chciał, byśmy ten kielich goryczy wypili — wychylimy go do dna...

A teraz — pozwól mi się pomodlić!

I krokiem chwiejącym poszedł pod krzyż poklęknąć.

Oleś z głową spuszczoną nad książką został w tym samym pokoju.

Serce matki tajemnic jest pełnem — kocha ono nie wiedząc, że miłuje, odpychając boleje, zapomina chwilę, by pamiętać wie-

ki — a miłość, która jest jego prawem, wypędzona odzywa się i powraca, gdy zdało się, że na wieki wygnaną została.

Tak było z tem wychłodłem Natalii sercem, które kochać nie umiejąc, kochać pragnęło, a im wiek inne uczucia ostudzał, im płomienie chwilowe gasił bezlitośniej — tem potrzeba miłości dziecięcej odzywała się w niem silniej.

Surowo przyjęła przybywającego Olesia... nie drgnęła ku niemu, widząc go wynędzniałym i zbolałym... ale gdy dziecka jedynego nie stało, gdy i ono rzuciło ją jako macierzyńskiej dostojności niegodną, gdy się uczuła osamotnioną, opuszczoną, we władzy człowieka, którego przywiązanie było czemś nieokreślonem, dzikiem, namiętnem a zimnem... poczęły ukradkiem płynąć łzy, rozmiękła stwardniała pierś — ozwał się głos jakiś duszy, wołający na nią, by była matką!...

Upokarzało ją to opuszczenie i pogarda własnego dziecka, chciała je odzyskać koniecznie.

Ten powrót do obowiązku generał nazywał dziwactwem i fantazyą, obudzał on w nim niechęć, zazdrość, gniew — ale ów człowiek, wobec niewiasty, był słabym.

Wybuchał aż do groźby i upadał aż do niewolnictwa. Natalia umiała nim kierować i czyniła, co chciała. Dawała mu się wypłomienić, wypienić i wyburzyć, a potem wodziła nim, jak dziecięciem na pasku.

Tak się i teraz stało, mąż opierał się tęsknotom, podróży — myśli dziwacznej odzyskania Olesia, którego nazywał zepsutym i niewdzięcznym — a na ostatek uległ woli pani, wybrał się z nią w podróż — dojechał do Paryża w nadziei, że przeszkodzi odszukaniu zguby i wpadł w to zawikłanie, z którego teraz żadną siłą wyrwać już nie mógł żony. Musiał się poddać i być posłusznym.

Przeklinał może po cichu ożenienie swe, więzy, fałszywe położenie, ale energii na postępowanie stanowcze nie miał. Jedynym środkiem, do którego się uciekał, był niedołężny podstęp i kłamstwo... Oboje na nic się nie przydawało.

Scena poranna takie wywarła na Natalii wrażenie, iż doktora przywołać było potrzeba, a ten bez ogródki oświadczył, iż folgować należało uczuciu, aby nie wywołać najgroźniejszych następstw.

Noc upłynęła na gwałtownych spazmach; jak tylko nadeszła godzina możliwa do wyjazdu, jenerałowa zażądała powozu, odepchnęła męża i pojechała sama do magazynu.

Zastała tu pana Vervier właśnie, poznała go i wprost doń poszła.

— Panie — rzekła doń grzecznie, ale z gorączkową żywością — jestem matką, szukam mojego dziecięcia. — Uczucie moje zrozumiesz, ulitujesz się nademną... Dziecię to moje jedyne... ja chcę je widzieć, ja pragnę je uścisnąć! Tyś może ojcem, ty kochasz dzieci... ulituj się nademną, pomóż mi.

Chciała przed nim przyklęknąć.

Vervier zląkł się, był przejęty...

— Nie mogę zdradzić przyjaciela — rzekł — ale siadaj pani, czekaj, jadę i przywiozę ci go... lub... Nie — przywiozę! — dodał, chwytając za kapelusz.

Była godzina dziesiąta rano. Oleś jeszcze się nie wybrał do szkoły i namyślał, czy może ojca porzucić, gdy wpadł Vervier z całą tą "furia francese," do jakiej poczciwy człowiek tego narodu, poruszony cudzą niedolą, jest zdolny.

Poszedł wprost do Tadeusza.

— Pułkowniku — rzekł głosem łkającym — rób ze mną co chcesz... ale musicie wy oba jechać ze mną. Kobieta, matka ma prawa swoje, polityka się do nich nie miesza... Ona chciała klęknąć przedemną, błagając o dziecko... Winniśmy cześć uczuciu macierzyńskiemu... Jedziemy...

— Tak jest — rzekł chłodno Tadeusz — jedziecie...

— A wy?

— Ja zostaję...

Oleś wyszedł z drugiego pokoju blady, z czapką w ręku, skłonił się przybyłemu, poszedł w milczeniu ojca uścisnąć, obu im łzy zakręciły się w oczach... Tadeusz go pobłogosławił, wyszli i drzwi się za nimi zamknęły. Legionista, któremu nogi drżały, który już wszystkie swe wymodlił modlitwy — siadł w fotelu i wpadł w ten stan bezmyślnego osłupienia, w którym człowiek przestaje czuć wpływ czasu, bicie serca i wirowanie swych myśli.

Vervier obietnicą nadpłaty przynaglił dorożkarza do pośpiesznej jazdy; w milczeniu przebiegli znaczną przestrzeń miasta, która ich od ulicy "de la Paix" dzieliła, powóz się zatrzymał, wysiedli.

— Czekaj pan — zawołał Vervier — matka wasza jest w magazynie, miejsce to nie przystało na spotkanie z nią... wprowadzę panią do mojego mieszkania w entresoli... a pan przyjdziesz później.

Oleś stał posłuszny... ale nie upłynęła chwila, gdy Vervier

zbiegł już po niego i pchnął na wschodki, wiodące do mieszkania.

W pokoju stała drżąca Natalia...

Na widok syna wyciągnęła ręce, krew jej uderzyła do głowy... pochwyciła go i przycisnęła do piersi...

— Niewdzięczny! — zawołała — niewdzięczny...

Oleś milczał, pocałował ją w rękę z uszanowaniem i stał — niemy.

— Patrz... — dodała — tyś uciekł odemnie, ja mimo wszelkich przeszkód, przybyłam za tobą! Ty mnie nie kochasz... ty wolisz tu przy ojcu umrzeć z głodu... niż...

— Pani — zawołał Oleś drżącym głosem — obowiązek wołał mnie do nieszczęśliwego ojca... On był sam, znękany — ty, pani, nie byłaś samą i byłaś szczęśliwą... Jam spełnił, com był powinien.

— Tak wybrałeś — zawołała, co ci młodzieńcza dyktowała fantazya, a dla mnie serca nie miałeś... Ale, opamiętajże się... wróć do mnie — ja ojcu los zapewnię...

— Ojciec nic od was nie przyjmie — od nikogo — poprawił się Oleś — ja go opuścić nie mogę.

Natalia załamała ręce.

— Jesteś bez serca... jam matka! — zawołała.

— To ojciec mój... — rzekł Aleksander po cichu.

— Wolisz więc ginąć z nim...

— A! pani — przerwał syn — ja nie mam do wyboru, droga dla mnie jedyna... obowiązek...

— Jam cię ocaliła...?

— I nigdy tego dobrodziejstwa nie zapomnę — odpowiedział Oleś.

— A tak mi się za nie wywdzięczasz?...

— Pani — powtórzył Oleś.

— Cóż znaczy to — pani! nazywaj mnie matką! — poczęła prawie gniewnie...

— Matko — rzekł głosem zbolałym syn — nie uczyniłaś tego dla mnie z miłości, ale z miłosierdzia... Byłaś litościwą dla syna, pozwól mu być litościwym dla ojca...

Zbliżyła się, aby go objąć i poczęła płakać, powtarzając:

— Niewdzięczny! niewdzięczny! wróć ze mną... ja dla niego uczynię, co zechcesz...

— Pani — rzekł Oleś — ja mam ojca! ojciec sam jeden jest na

świecie! Dla niego świat zamknięty i bezemnie życie skończone... dla ciebie pani...

Przerwał, zrozumiała wymówkę i płakała. Nagle zerwała się z krzesła i postąpiła ku niemu.

— Masz słuszność — zawołała — jam może ofiary twej nie warta, ale dziecko, nie sądź mnie... bo nie do ciebie sąd należy... Rozumiem twe wahanie... nie chcę, byś w jednej godzinie zerwał dla mnie wszystkie nici nowego żywota... Daję ci czas do namysłu. My... ja — poprawiła się — jedziemy ztąd do Włoch... za kilka miesięcy wracać będziemy — pomyśl, serce się w tobie odezwie! Dla ojca i dla ciebie daję przyszłość! Myśl...

I powoli zbliżywszy się doń drżąca, złożyła pocałunek na jego czole, pochyliła głowę na ramię syna i płakała.

Łzy te były wymowniejsze nad słowa... i Oleś po raz wtóry uczuł się wzruszonym tak, że gdyby tylko siebie jednego miał złożyć w ofierze, nie wahałby się pewnie pójść za matką. Ale smętna, zbolała twarz ojca stała pomiędzy nim a nią...

— Olesiu mój,—Olesiu—dodała po cichu — pomnij, jam matka twoja... matka nigdy nie przestaje być — matką.

Usunęła się krokiem.

— Wyjadę dziś zaczęła głosem osłabłym — ty rozważ moją ofiarę...

To mówiąc, drżącą rękę wysunęła z pod szalu i szukając dłoni syna, usiłowała mu wcisnąć paczkę złota, którą trzymała... Ale na samą myśl tego datku, Aleksander cofnął się rozpłomieniony.

— Pani! — zawołał — my żebrakami nie jesteśmy my nic! nic — od nikogo nie potrzebujemy.

— Jakto? od matki? — rzekła Natalia.

Oleś cofnął się aż do drzwi...

— Nie — odpowiedział stanowczo — nie...

— Daj mi się pożegnać przynajmniej, przyrzecz mi, że się zobaczemy.

Aleksander niewyraźnymi odpowiedział słowami, ucałował rękę matki i zawrócił się ku drzwiom.

Słyszała, jak zbiegał ze schodów i siadłszy, płakała. W tych łzach ból, gniew, żal, zmieszały się razem.

Rozpłakaną jeszcze, znalazł ją wchodzący ostrożnie Vervier. Na widok tego obcego Natalia przemogła cierpienia...

— Dziękuję panu z serca — zawołała — jam matka — to był

mój syn... Czy oni są bardzo ubodzy? powiedz mi pan prawdę, całą prawdę...

— Pułkownik pracuje zręcznie i szybko, zarabia, co najlepszy robotnik zarobić może, ale to zawsze niewiele... zwłaszcza na dwóch... Paryż jest dosyć drogi...

— Panie — odezwała się zcicha kobieta — ja wiem, że oni odemnie nic nie przyjmą... nie byłożby sposobu, nieznacznie... zwiększyć mu wynagrodzenie... i polepszyć los jego?

To mówiąc, położyła na stoliku rulon Ludwików...

Vervier był trochę zmieszany.

— Spróbuję — rzekł — ale jeśliby mi się to nie powiodło, raczysz mi pani zostawić adres, abym się mógł wytłómaczyć, lub zwrócić.

— Za parę miesięcy ja wracać będę tędy... więc do zobaczenia.

To mówiąc, spuściła kwef i wyszła szybko.

Parę tygodni upłynęło od scen opisanych, życie wychodźców wracało do zwykłego trybu — Tadeusz toczył milczący, przygotowywał jadło... czekał na Olesia i w samotności pracował i modlił się. Tymczasem wrzało wszystko dokoła, w klubach, broszurach, pisemkach, wylewając się na świat Boży, jak krew płynąca z ran śmiertelnie pokaleczonego człowieka.

Ująć tego życia w jedno, połączyć go, skupić, zorganizować, nie było sposobu... Pędzono do legii cudzoziemskiej i bez nazwiska do Algieru, jedni lecieli do Portugalii, drudzy się wyrywali do Włoch, do Niemiec i rozproszeni ginęli. Z owych siedmiu tysięcy zostawało już pięć, które wprędce do coraz mniejszej liczby zejść miały. Tęsknota, nędza, żal, rozpacz, rzucająca się na strzały i szukająca śmierci, resztę wytępić miały. Gminy emigracyjne różnych miejscowości, wedle barwy tych, co im przewodzili, łączyły się z różnemi stronnictwami. Życie polityczne pochłaniało wszystkich... pojedyńczy tylko o zawodzie jakim, o pracy, o nauce i o zarobku na chleb pomyśleć mogli ..

Z powrotem do warsztatu i pracy, wróciły Tadeuszowi tęsknoty nieprzezwyciężone do kraju... Widok chwilowy tej kobiety zamiast go zrazić.. odnowił chęć powrotu do starych grobòwych pamiątek.

Jeden Oleś trzymał go tutaj, ale powiedział sobie, że raz doczekawszy końca nauk i wyzwolenia, uściska go i pójdzie na polskiej umierać ziemi... Marzył tylko o tem, że choćby w sukni żebraczej,

powlecze się do Skały... żyć będzie bodaj chlebem jałmużny... a kości złoży przy matki mogile...

Nigdy o tem jednak nie wspomniał nikomu, oprócz Henryka...

Od ostatniej wycieczki nieszczęśliwej do magazynu Tadeusz unikał też we dnie wychodzenia na ulicę, nie chciał się już spotykać nawet z Henrykiem. Pomimo wstrętu wszakże była konieczność, Vervier napisał do niego, że się chce umówić o szachy i prosił, by przyszedł.

Tadeusz musiał wybrać godzinę we dnie, boby go inaczej nie zastał. Umowa trwała krótko i wracał uspokojony, z wrzuconym mu prawie gwałtem zadatkiem, gdy na tej samej ulicy de la Voix posłyszał głos, wołający go po imieniu.

Odwrócił się...

Trotuarem szła kobieta, ubrana bardzo skromnie, niemłoda, twarzy bladej i oczu zagasłych, która go, uśmiechając się, przywoływała.

Niełatwo i zbliżywszy się dopiero, poznał w niej, z wielkim zdziwieniem swem, księżnę Barbarę, o której losach od Drezna nie wiedział.

— A to szczęście, żem ja WPana, panie pułkowniku, choć w ulicy raz przecie złapać mogła i żem cię, mimo bluzy, poznała? Wiedziałam, że jesteś w Paryżu...

— Ja siedzę zamknięty...

— I że siedzisz zamknięty — dodała — a właśnie dlatego chciałam się coś o was dowiedzieć...

— Cóż księżna tu robi?

— Jakto, waćpan nic nie wiesz?

— A pani... ja nic wogóle nie wiem.

— Jestem tak dobrze tułaczką, jak wy... Mąż mój umarł... zostało mi trochę klejnotów i garstka tylko pieniędzy... Dzieci nie mam, karmię naszych biedaków, jak się który struje jadłem francuskiem... ja go choć krupnikiem uzdrowię... Przyjdźże — dodała, śmiejąc się — choćby raz do mnie na obiad... Gdzie się stołujesz?

— Ja? — smutnie roześmiał się Tadeusz nad tą troskliwością kobiecą o przeżywienie biednych — ja stołuję się u siebie.

— A gotuje ci?

— Ja sam, — odparł pułkownik.

— To musi być śliczne — odezwała się księżna. Wprawdzie i ja

nie umiałam gotować, ale my... mamy "grace d'etat" do kuchni... ręczę ci, że nasz ubogi stół od waszego lepszy...

Tak się rozpoczęła rozmowa, a księżna nie puściła Tadeusza, zmusiwszy go, by na jej wczesny obiad polski poszedł choć spojrzeć... Potrzeba było posłuchać.

Wesołość, ton wyższego towarzystwa, elegancya wrodzona wielkiej pani, dziwnie odbijały od ubóstwa, które wszystko zdradzało. Mieszkanie na czwartem piętrze, dosyć obszerne było, niezmiernie skromne... Zastali w głównym pokoju stół już nakryty grubym, ale białym obrusem i polską kucharkę, pomocnicę księżnej, niegdyś jej garderobianę, która od kuchni zakłopotana biegła do stołu i kredensu, zmuszona sama gotować, nakrywać, a nawet po części zabawiać schodzących się już stołowników księżnej. Co było najbiedniejszego, chorego, opuszczonego... schodziło się tu odetchnąć swobodniej, bo księżna Barbara miała zawsze i chleb i uśmiech dla każdej nędzy.

Gospodarstwo to niegdyś milionowej pani, która wszedłszy z Tadeuszem, zaraz przypasała fartuszek i poszła pomagać w kuchni, przechodząc raz wraz z salonu do ognia i od rondelków do towarzystwa — było wielce oryginalne. Krasił je dobry humor siostry miłosierdzia, wyrozumiałej nawet na dziwactwa schorowanych ludzi...

Po większej części byli to starsi wojskowi, nawykli do lepszego towarzystwa, nieco z francuska wychowani, którym teraz ani na obiad, ani na towarzystwo nie stawało. Wytarte mundury i wybladłe twarze.

— Cieszcie się, moi kochani goście — zawołała księżna... — mamy dziś prawdziwy barszcz i huzarską pieczeń... a widzisz, kapitanie — dodała do stojącego na boku starego napoleońskiego żołnierza — wódki ci litewskiej, prawdziwej starki dostałam...

Cała ta przybrana księżnej rodzina byli to inwalidzi i biedacy... smutne oblicza sierot... którym ta chwila rozmowy przypomnieniem lepszych lat świeciła. Gdyby nie ów obrus gruby, nie nizki pokoik i nie dosyć zbrukane sprzęty, mogli się mniemać jeszcze w salonie księżnej przy Senatorskiej ulicy. . Ale tu herbowej liberyi, sreber i przepychu dawnego nie było.

Z salonu na czwartem piętrze polityka i spory wszechwładną dłonią gospodyni były wygnane... mówiono o dawnych czasach, jak najmniej o teraźniejszości.

Tadeusz nawet rozweselił się nieco w tej kupce ludzi, których uczucie, wiek, wychowanie, ku niemu ich zbliżały... Księżna spoglądała nań z troskliwością infirmerki, która nowego dostała chorego, badała słabość i starała się pozyskać zaufanie. Goście wszyscy prawie byli dawni znajomi.

Raziła tylko bluza pułkownika, za demokratyczna do towarzystwa, w które weszła. Trąciła ona pewną pretensyę do popisu z nędzą i pracą, chociaż w istocie dla tego, co ją nosił, miała wcale inne znaczenię. Spoglądano na nią z boku, z pewnym rodzajem nieufności. Tadeusz spostrzegł to i uczuł się w obowiązku sam ze swego ubrania uśmiechnąć się.

— Patrzycie panowie na moją bluzę, a jeśli ją bierzecie za wyznanie wiary, mylicie się... — rzekł powoli. — Nie jestem ani arystokratą, ani demokratą, jestem Polakiem i sądzę,że nazwisko to jest obojga przejednaniem... ale obok tego jestem robotnikiem i od moich współtowarzyszów odróżniać się nie mogę, a z innymi... nie żyję.

— Dlaczego? — spytał kapitan.

— Bo zajmuję się wychowaniem syna, kuchnią i zarabianiem na życie...

Rozmowa się przerwała... bo wszyscy miejsca swe zajmować zaczęli...

Serwaty pozaciągane były w pierścienie drewniane, na których stały cyfry zwykłych gości...

Obiad, jak i nakrycie, nadzwyczaj był skromny a mimo starania o to, by go polskim i narodowym uczynić, jakoś z cudzoziemska wyglądał. Księżna uczyła się gotować ze starego Szytlera i nie miała wielkiego do garnków talentu.

Dobre i jej święte serce dopełniało, co kuchni mogło braknąć.

Stara garderobiana kłóciła się nieustannie ze swą najukochańszą panią o każdą potrawę, obie wszakże gotując ze wspomnień i natchnienia, arcydzieł wytworzyć nie mogły. Biednym stół się wydawał wyborny... niektórzy z nich nie mieli grosza w kieszeni i gdyby nie księżna, nie jedliby nic może, oprócz suchego chleba... Ale po minach i rozmowie nikt by się w świecie tego nie domyślił.

Towarzystwo daleko było lepsze od obiadu... Na pierwszem miejscu prezydowała gospodyni w fotelu, choć go często opuszczać musiała z wielkiej troskliwości o rondelki i wybiegała z żywością nad wiek młodszą rękę mistrzowską przyłożyć do huzarskiej pieczeni...

Ten obiad, niby szpitalny, niby klasztorny, niby polski... a tak dziwnie rzewny... nawet Tadeuszowi trochę czoło rozchmurzył. Dowcipkowano, jak za najlepszych czasów, a do tego dowcipu nie jedna łza się wmieszała. Mimowolnie potrącił ktoś o kraj, o tych, co tam zostali, o błogich czasów wspomnienia i powieka zwilżyła się mimowolnie. Nikt przecie nie stał się winnym takiego egoizmu, by pokazał swój smutek...

Księżna, która straciła wszystko, męża, dzieci, majątek, stanowisko społeczne, przyjaciół... której obojętność i zapomnienie własnej rodziny wyciskało łzy u ołtarza, nadto dobrze rozumiała swe obowiązki gospodyni domu, by okazała zbolałe serce. Twarz jej uśmiechała się rezygnacyą chrześciańską i dobrocią anielską.

Wino, które stało w karafkach, choć najtańsze, rozwiązywało usta, jak najlepsze bordo, zaczęto coraz głośniej i raźniej po barszczu i kieliszku rozmawiać...

— A syn wasz, pułkowniku, czego się uczy?...

— Medycyny.

Tadeusz spojrzał na godzinę i uderzyła go ta myśl, że Oleś obiadu gotowego nie znajdzie... Ale rodzenki i migdały krążyły już jako deser i wkrótce ruszyli się wszyscy. Księżna wszakże zakazała pod klątwą wychodzić, dopókiby nie zrobiła kawy, bo kawą mogła się pochlubić. Kawa jej była doskonała.

Tadeusz musiał wypić kawę i po niej, usilnie zapraszany, ażeby przychodził jak najczęściej na barszcz do księżnej, pospieszył z jakimś niepokojem do domu. Tłumaczył go sobie tem, że owa wycieczka była w jego życiu regularnem i samotnem wyjątkową i niezwyczajną...

Godzina powrotu Olesia jeszcze była dosyć odległą, miał więc nadzieję przybyć w czas, by go uprzedzić.

Zdziwił się bardzo, gdy mu na dole żona odźwiernego powiedziała, że syn od godziny już był w domu.

Pospieszył na górę niespokojniejszy jeszcze... wszedł szybko i zastał Olesia rozciągniętego na kanapce, z książką rozłożoną na kolanach, z głowa bladą, włosami rozrzuconymi, śpiącego jakimś snem, który mu się wydawał nienaturalnym. Oleś nie kładł się nigdy we dnie, jakkolwiek był znużony, i nie wracał zwykle, jak znacznie później do domu.

Przybycie ojca nawet nie zbudziło go, a Tadeusz, spostrzegłszy śpiącego, chodził już teraz na palcach.

Oleś spał, oko ojcowskie i serce czuło, że to nie był sen zdrowia i pokrzepienia, ale zwiastun choroby i groźba... Z załamanemi rękami usiadł cicho przy chłopcu, który we śnie rzucał się, poruszał ustami i marzyć zdawał niespokojnie.

Czoło, do którego zlekka rękę przyłożył, było rozpalone i suche... Obawiał się odejść na chwilę a widział potrzebę rady lekarskiej.

Zbyteczną pracą wyczerpane siły, podbudzany organizm, mścił się zamętem funkcyj żywotnych. Do głowy, którą znużyły trudy nieustannie, falami biła krew i skupiała się cała potęga... nogi stygły... ręce lodowaciały...

Wszystko to zbadał ojciec, siedząc nad dziecięciem, nie doczekawszy się przebudzenia jego — wyobraźnia olbrzymiła jeszcze wrażenia i wskazówki, trwoga ogarniała...

O zwykłej porze Oleś się nie obudził... zmierzchło już, a sen ów ciężki trwał ciągle... nagle z krzykiem porwał się z kanapki, chwycił za rozpalone czoło, powiódł błędnemi oczyma i zobaczywszy ojca, z uśmiechem pochylił ku niemu... Odzyskał na chwilę przytomność, przemówił niewyraźnie, iż głowa go piecze i boli i zsunął się znów, usypiając, na podłożoną przez ojca poduszkę.

Nie było najmniejszej wątpliwości, iż Olesiowi groziła choroba, na którą on — nie wiedział środków... Potrzeba było co najrychlej sprowadzić doktora... Tadeusz, położywszy syna, zbiegł do loży odźwiernych prosić ich o pomoc, tak strwożony i pomieszany, iż zrazu słowa przemówić nie mógł. Byli to dobrzy ludzie, miłosierni dla swego lokatora, którzy mu z serca dopomódz pragnęli... posłano więc natychmiast po najbliższego lekarza i sprowadzono go niebawem.

Ojciec już był znów u łóżka dziecięcia... Wprawne oko doktora poznało zaraz początki zapalenia mózgu, z wielką rozwijającego się gwałtownością... Użyto wszystkich środków zaradczych, na jakie zdobyć się mógł wprawny praktyk i nauka...

Nadeszła noc, a z nią długie godziny trwogi bezsennej... i widma straszliwe przyszłości...

Oleś zrywał się, śmiał, mówił zupełnie bezprzytomny... Mimo zarządzonych lekarstw, zapalenie, na gwałtowności nie tracąc, rosło coraz i nie dawało się zwalczyć niemi. Młodzieńcza siła obja-

wiała się teraz w samej chorobie, przybierającej groźną, nie dającą się pokonać potęgę...

Trzy razy wśród nocy, mieszkający w pobliżu lekarz, powracał dla śledzenia przebiegu słabości i nie znalazł żadnego pocieszającego symptomu. Z zaciętemi usty, z oczyma wlepionemi w dziecko, z rękami konwulsyjnie załamanemi, stary legionista siedział u łóżka, nawet łzy wylać nie mogąc. Żona odźwiernego parę razy podała mu wody, zmusiwszy prawie do napicia i orzeźwienia. Chciała ona zawołać kogo z przyjaciół, znajomych, domagała się wskazówki, aby sprowadzić w pomoc miłosiernego człowieka, ale Tadeusz nie żył prawie z nikim, nie miał nikogo i nie odpowiedział na kilkakrotne nalegania. Poczciwa kobieta nad rankiem już, sama przemyślając, coby uczynić należało, dowiedziawszy się o blizko mieszkającym Polaku, pobiegła do tego nieznajomego, w przekonaniu, iż kupka Polaków żyje w miłościwem z sobą braterstwie. Mogła była trafić gorzej. — Owym Polakiem, mieszkającym w entresolu sąsiedniego domu, był hrabia Brandys, który szczęściem z ogólnej powodzi ocalił prawie cały majątek i żył bardzo wygodnie w Paryżu, politykując zawzięcie — ale do tego proletaryatu emigracyi, jak go zwał — co potrzebował pomocy i opieki, niechętnie się mieszał. Hrabia miał kamerdynera, wywiezionego z Polski, Szwajcara, który mówił po francusku, a długim pobytem w Polsce przerobił się był po części na Polaka... Do niego naprzód trafiła żona odźwiernego i z gorącością kobiecego serca, ze łzami jęła mu malować położenie nieszczęśliwego Tadeusza, wzywając o pomoc dla niego.

Baczny nader i rozważny, bo nieraz zdradzony, pan Bourlo kamerdyner hrabiego, ściągnął naprzód jak najpilniejsze śledztwo z kobiety, ale z niego przekonawszy się, iż chory syn i nieszczęśliwy ojciec musieli do demokracyi należeć, nie czuł się usposobionym donieść o tem panu swojemu. Hrabia należał do umiarkowanych i do stronników księcia Adama, nie z przekonania, ale dla tonu... Bluzowi więc nic od niego spodziewać się nie mogli, jako podejrzani o spólnictwo z gminą w Poitiers. Potrząsł głową, a dla swobodniejszego wytłumaczenia rzeczy, wywiódł kobietę na schody, starając się jej tu objaśnić, iż prywatna pomoc na niewieleby się tu przydała i że należało udać się do komitetu... Kobieta odparła żywo, iż nie jej, ale ich obowiązkiem myśleć co uczynić najlepiej; że ona dopełniła swego, dając znać Polakom, a oni

resztę zrobić byli powinni... Po czem skłoniła się panu Bourlo i odeszła gniewna.

Cała ta scena z szeptaniną i otwieranemi drzwiami nie uszła bystrego słuchu hrabiego, który leżał jeszcze w łóżku z fajką na długim cybuchu i dopijał wygodnie kawę... Zawołał kamerdynera... Bourlo opowiedział historyę.

— Ale któż to jest taki? — spytał marszałek (był bowiem jakimś marszałkiem hrabia)...

— A no... musi być któryś z tych, co to po klubach wyprawiają wrzaski... — rzekł wzgardliwie Szwajcar. — Co to się tam o to troszczyć... oni sobie radę dadzą.

Marszałek był w humorze ciekawości... jakoś nie miał innego zajęcia, wysłał więc natychmiast Szwajcara, aby mu się o nazwisku dowiedział.

Chcąc nie chcąc, kamerdyner poszedł i przyniósł z książki odźwiernego wpisane imię, nazwę i stopień Tadeusza...

— Widzisz! widzisz! — rzekł, rzucając fajkę hrabia — to jest bardzo porządny człowiek... tylko dziwak... słyszałem o nim... Do polityki tej waryackiej się nie miesza... Znałem go nawet i widywałem w Warszawie... trzeba dać znać księżnie... Tak go bez pomocy znów porzucić nie można...

Naprędce narzuciwszy szlafrok, hrabia napisał kilka słów i wyprawił służącego do księżnej.

Około południa zacna pani, rzuciwszy swych zwykłych gości, pośpieszyła z pełnym woreczkiem lekarstw i zasiłków różnych do mieszkania Tadeusza... Wieść też gruchnęła zaraz po rodakach, iż nieszczęście dotknęło biednego ojca, zagrożonego stratą jedynego dziecięcia.

Jakiekolwiek są wady nasze, w których serce łatwe udział zbyt wielki bierze — na to serce, z małemi wyjątkami — zawsze prawie rachować też można.

Najobojętniejsi zabolęli nad nieznajomym nawet, ledwie z nazwiska i z doli znanym żołnierzem. Niewiasty nasze, te niezmordowane siostry miłosierdzia, których dłoń litościwa zawsze cudze łzy ocierać jest gotową, drgnęły wszystkie, gotowe biedz w pomoc nieszczęściu. Do wieczora też samotne dotąd, ciche mieszkanie i dom, w którym przytułek znalazł Tadeusz, otoczone były dowiadującymi się, ciekawymi, przybywającymi z ofiarą i współczuciem...

W pierwszej izdebce, gdzie stała tokarnia Tadeusza, szepcząc po cichu, mieniał się ten zastęp przyjaciół nieznanych, podających sobie z ust do ust niepocieszające wieści o stanie chorego.

W istocie zapalenie ciągle się jeszcze wzmagało, lekarz też walczył z niem, nie tracąc nadziei dotąd, ale coraz mniej ufny, by mu natura dopomódz chciała do uratowania biednego Olesia.

Ojciec stracił przytomność prawie; wryty, skamieniały siedział nieporuszony, patrząc na dziecko... Czasami łza sączyła się ze spalonych powiek powoli i wysychała na twarzy, nie otarta ręką obezwładnioną.

Nie zbywało na pomocy, na troskliwości, na żadnym z tych środków, które uratować mogły, a jednak Oleś ku wieczorowi drugiego dnia był w gorszym stanie niż wczora.

Napróżno starano się wyciągnąć ojca ztąd i zmusić go do posiłku, do wypoczynku. Odpowiadał kiwaniem głowy i nie ruszał się z miejsca. Wyręczając się, godzinami księżna Barbara i dwie Polki, posługiwały choremu, on siedział i patrzał nań... Tak złamanego boleścią i osłabieniem tej drugiej nocy zmorzył niespokojny sen w krześle i skrócił godziny straszliwego oczekiwania.

Trzeciego dnia spodziewano się przesilenia... polepszenia... były oznaki pewne zmiany, nadzieja wstępowała w serca przyjaciół, ale doktór pozostał smutny i zamyślony...

Księżna wywiodła go z sobą do drugiego pokoju, ażeby wybadać.

— Powiedz mi pan, szczerze, otwarcie, ażebyśmy wiedzieli, co począć z tym ojcem nieszczęśliwym — czy możemy mieć wyzdrowienia nadzieję?

Lekarz spojrzał ostrożnie dokoła, zniżył głos i rzekł, odwracając się, aby go nie słyszano.

— Nadzieję należy mieć do ostatniej chwili... są cuda... trafiają się wypadki, my, jako ludzie, mylić się możemy, natura i Bóg są wszechmocne... O ile jednak dano mi sądzić o tem... ja prawie rozpaczam, abyśmy go uratować mogli. Jeśli państwo chcecie, wezwijcie innych lekarzy... może kto z kolegów moich będzie szczęśliwszym.

Księżna wstrzymała go, aby mówić zaprzestał, wiedziała już aż nadto, to, czego się dowiedzieć pragnęła...

— A! mój Boże — zawołała — cóż w takim razie zrobimy z

ojcem, który tego ciosu nie przeżyje?... Widziałeś pan tego człowieka? Siły jego nie starczą.

Lekarz spuścił głowę potwierdzająco i zamilkł.

Stan ten zrozpaczony nie powstrzymał wszakże od troskliwego ratowania do ostatka... czyniono, co było w mocy ludzkiej, aby wywołać siłę, którąby chorobę straszliwą przemogła... Czwartego dnia, nad rankiem, stary legionista ukląkł pomodlić się przy łóżku dziecięcia, potem zwlókł się pod krzyż swój i ze łzami, długo przeklęczał milczący, z głową o mur opartą...

Zdawało się, iż położenie swe przeczuł i niebezpieczeństwo widział jasno... Blady, wycieńczony, ledwie trzymający się na nogach, opierając się o ściany, popatrzywszy na warsztat swój i na izbę... wrócił do dawnego miejsca u łóżka syna...

Tej nocy, która nadeszła, osłonięta grobowem milczeniem... biedny chłopiec, ofiara boleści i pracy... miał krótkie i czyste życie zakończyć... Z każdą godziną upływającą uchodziły ostatnie błyski nadziei w cud i miłosierdzie Pańskie...

Przytomność, która wracała wprzódy na to, by mógł ojcu dłoń uścisnąć i uśmiechnąć się do niego, opuściła go zupełnie... Przyszło konanie długie, bo dusza z zasobem sił młodzieńczych walczyć jeszcze musiała, aby się z ciała wydobyć. Nareszcie ciężkie westchnienie wyzwoliło ją z tych więzów życia, które dlań prawie nie miało uśmiechu... Ojciec był osłupiały, trzymał rękę, która zadrżała raz ostatni w jego dłoni i łudząc się jeszcze, nie puścił jej skostniałej i ziębnącej. Już wszyscy widzieli śmierć na uspokojonem obliczu biednego Olesia... a Tadeusz jeszcze wierzył w życie, jeszcze tego słowa, całą boleść ziemską zawierającego w sobie — Na zawsze!!.. powiedzieć sercu nie umiał...

Trzymał palce stwardniałe trupa i modlił się o cud Łazarza...

Nadszedł nielitościwy dzień i na twarzyczce chłopca barwami zgonu odmalowała się prawda, w którą uwierzyć nie chciał...

Są w życiu chwile i obrazy, na które zasłonę rzucić potrzeba — bezsilne tu słowa, pędzel i dłuto — jak starożytny kunsztmistrz na oblicze ojca Ifigenii, my na pół żywego starca rzućmy całun milczący...

W chwili gdy ręka Olesia opadła ciężka i bezwładna u łoża, Tadeusz wstał, powiódł oczyma dokoła, wyszedł z krwawemi powieki do pierwszej izby i z pośpiechem niewysłowionym począł szukać, nie wiedząc już sam wkrótce, czego szuka...

Chciał znaleźć biały całun dla pokrycia synowskiego ciała — a znaleźć go nie mógł... Miłosierna ręka kobieca złożyła w ofierze zasłonę śmierci na zwłokach...

Potem już siadł stary z głową na piersi opadłą i skamieniał tak nieporuszony, jakby nie wiedział, co się z nim i wkoło niego dzieje. Lekarz i zacna księżna Barbara, która go nie opuszczała, byli tego zdania, że ból ten naturze i własnemu przebiegowi zostawić należy.

Nie ukrywano przed nim przygotowań grobowych... ale gdy wniesiono trumienkę i ubrane skromnie zwłoki przyszło w niej złożyć na sen wieczny, Tadeusz wstał, nie dając ich tknąć nikomu; jak pastunka w kolebce, ostrożnie złożył je na pościeli grobowej, potem pocałował czoło zimne i napowrót wrócił na krzesło.

Sprowadzono pułkownika Henryka, ażeby mu podał rękę, jeśliby na cmentarz chciał towarzyszyć ciału.

Nie mówiąc mu nic o tem, zrobiono składkę dla zakupienia grobu w Pere de Chaise. — Za ciałem szedł stary, nie potrzebując pomocy niczyjej, nie mogąc płakać...

Pogrzeb był skromny, ubogi, cichy, a liczny bardzo orszak emigracyi towarzyszył trumnie. Grób zarzucono wieńcami. Szanując ból ojca, nie chcąc go pomnażać, nie przemawiano u grobu.

W czasie całego tego obrzędu ojciec stał, modlił się, klęczał, podnosił ze straszliwą rezygnacyą, która się o niego lękać kazała. Patrząc nań, każdy się pytał siebie, jak ten człowiek dożyje jutra, jak jutro przeżyje?

Kilku przyjaciół i czcigodna siostra miłosierdzia czuwali nad nim. Pojęli oni, że powrót do tego domu i pamiątek po synu, którychby żal żywszy obudzić na nowo musiały, był dlań niepodobieństwem. Postarano się wcześnie o najęcie dlań nowego, skromnego mieszkania, do którego w czasie pogrzebu przeniesiono wszystko, co się w dawnem znajdowało.

Tu pamiątki nawet po synu — które zachowano starannie, wrażenia już tak bolesnego wywrzeć nie mogły. Księżna Barbara, wracając, oznajmiła o tem Tadeuszowi, który wiadomości wysłuchał z uwagą, ze zdziwieniem, ale nie okazując większego wzruszenia. Ścisnął podaną mu rękę.

W mieszkaniu obejrzał się, było nieco do dawnego podobne, poszukał półki z książkami po Olesiu, jego sukni i drobnych sprzętów, znalezionemi się ucieszył i siadł spokojny. Pułkownik i księżna pozostali z nim, czuwając. Pierwszy postanowił nie odstąpić

go, dopókiby pierwszy ból nie przewrzał, księżna zaś chciała na własne oczy widzieć, jaki przebieg żal weźmie...

Tadeusz nad podziw był spokojny, nie śmiano go pocieszać, mówiono o rzeczach obcych, on do syna powracał.

— Umarł — rzekł po różnych urywanej rozmowy przestankach — ale Bóg wiedział, co uczynił, ta śmierć czysta, piękna, to miłosierdzie Boże nad nim. Po cóż miał żyć dłużej? Bólu skosztował tyle, ile potrzebaby na wieniec i palmę zarobić; szczęścia spodziewać się nie mógł — Bóg mu oszczędził rozczarowań i zawodów... Jam stary, on był dobry a niedoświadczony, któż wie, w coby go wir życia i doła tułacza wciągnąć mogły? Nigdy tak czystym nie zszedłby później z tej ziemi, która brucze człowieka, jak dzisiaj... gdy go powołano. Bóg miłosierny... ja nad nim nie płaczę... bo oszczędzono mu wiele. Jego cnota nawet narażała go na niebezpieczeństwo, boć na nią dybią i czyhają szalbierze...

Umilkł...

Kilka tak razy odezwał się, zawsze z tą myślą jedynie, iż dobrze się stało, że Oleś poszedł spocząć...

Księżna wymknęła się około północy... pułkownik, niezręczny pocieszyciel, zaraz po jej odejściu, nagotowawszy sobie grogu, pozostał do dnia... Z północy też znużony Tadeusz usnął w krześle, a Henryk na kanapie.

Nazajutrz zdawało się panu Henrykowi, iż bezpiecznie go samemu sobie zostawić może... Odszedł więc, powrócił w ciągu pierwszych dni kilka razy, ale nie znalazł nic, coby obawę rodzić mogło. Tego samego zdania była i księżna, tak, że wkrótce Tadeusz pozostał z myślami i żalem, wśród ciszy, której pragnął.

W parę tygodni po pogrzebie, gdy już nieco o Tadeuszu zapomniano, bo inna struna zabrzmiała tym samym grobowym dźwiękiem i już się około innych sierot krzątać musieli litościwi ludzie — księżna Barbara spotkała, idąc ulicą, pułkownika, który szedł ze śniadanka, w niezłym humorze, wyświeżony jakoś, z wąsikami wyszwarcowanemi starannie, a bodaj nawet czy i niez malowanemi włosami, gdyż bardzo kasztanowato wyglądały. — Jak zawsze, pułkownik był wesół, grzeczny, nadskakujący płci pięknej. — Na skinienie księżnej przybiegł szczęśliwy, iż jej hołd uszanowania złożyć może. Wprawdzie obiadów jej wielkim zwolennikiem nie był, ale w złą godzinę, gdy lepszego nie miał, wpraszał się na bar-

szczyk narodowy znajdował, że kuchnia księżnej była bardzo zdrową.

— Pułkowniku — zawołała, śpiesząc na jego spotkanie zacna niewiasta — a cóż się stało z naszym nieszczęśliwym? Od kilku dni wiadomości mi o nim braknie...

Henryk ruszył ramionami, zaciął usta.

— Czcigodny bezwątpienia człowiek — rzekł, odchrząkując pułkownik — ale przez całe życie, mościa księżno, osobliwie od ożenienia, był jak szalony.

— Ale cóż tedy? co? — zawoła księżna zniecierpliwiona. — Widziałeś go? — zdrów?

— Zaraz będę miał honor odpowiedzieć — dodał Henryk, kłaniając się. — Zaraz, natychmiast. Po pogrzebie sama księżna uważała, jaki był szczególnym sposobem spokojny. Chciałem go w parę dni zabrać z sobą do znajomych, aby w tej nowej pustce swej nazbyt się żalowi nie oddawał i rozmyślaniom. Niepodobna go było wyciągnąć, uparł się, stękał... chodził, a nic nie jadł i nie pił!...

swTrzeciego dnia, gdym go odwiedził, patrzę, a ten, jakby mu naj-
lniej było, sprzedaje i spienięża co ma... Pokończył rachunki ze pi ymi stolarzami, ułożył się o wyprzedanie ruchomości, warsztatu... Nie wiele co tam było. Rzeczy po dziecku zebrał i odesłał do przechowania...

Na moje natrętne pytania, bom dostrzegł, że niedarmo tak się gorączkowo pozbywa wszystkiego odpowiedział mi, iż w żaden sposób pozostać w Paryżu nie może, bo mu to miejsce nadto przypomina utracone dziecię. Nie pytałem go, dokąd się udać pragnie. Nie przeszkadzałem też w niczem, pomagałem nawet, byliśmy ciągle razem.

W kilka dni wszystko było ukończone, on zupełnie jakoś przyszedł do siebie, oprzytomniał, milczący był, ale i mnie i innym zdawało się, że z tego wyjdzie i przeboli.

Odwiedzaliśmy go wszyscy, ile nas było starych kolegów; nawet ci, co się dawniej burzyli i dąsali, okazywali mu wiele serca i braterstwa. Miałem się kim wyręczyć.

Przychodzę naostatek kilka dni temu, powróciwszy z Wersalu, a tu żona odźwiernego, dobre kobiecisko (miał szczęście do odźwiernych), powiada mi, płacząc niemal, że le Colonel est parti (że pułkownik wyjechał)!— Gdzie? co? dokąd? Jak w wodę wpadł.

— Naturalnie, żem się zląkł, aby, uchowaj Boże, nie dopuścił się samobójstwa, bo to u nas rzecz bardzo praktykowana... a miałbym na sumieniu, żem go nie dopilnował. — Nie spostrzegłem z wielkiej desperacyi, iż mi do ręki list cisnęli...

— A! pisał do ciebie, pułkowniku? — spytała księżna.

— Właśnie mam list w kieszeni — odezwał się pułkownik, zaczynając poszukiwania pilne po wszystkich zakątkach surduta i wnętrznościach pugilaresu... Naostatek dobył kartkę zasmoloną i podał ją księżnie.

List, widocznie drżącą nakreślony ręką, zawierał następujące słowa:

"Kochany przyjacielu. Przykro mi, że odchodzę od was bez pożegnania i podzięki, bez uścisku twojej dłoni. Sobie i wam oszczędzam przykrości."

Od tej pory już więcej Tadeusza nie widziano.

KONIEC.

1872–1887.
1868–1870.
1868–1876 (Hahn). B. 11, 71, x.